LEGENDY

NUMER JEDEN NA LIŚCIE BESTSELLERÓW „NEW YORK TIMESA”

STAR WARS™

DZIEDZIC IMPERIUM

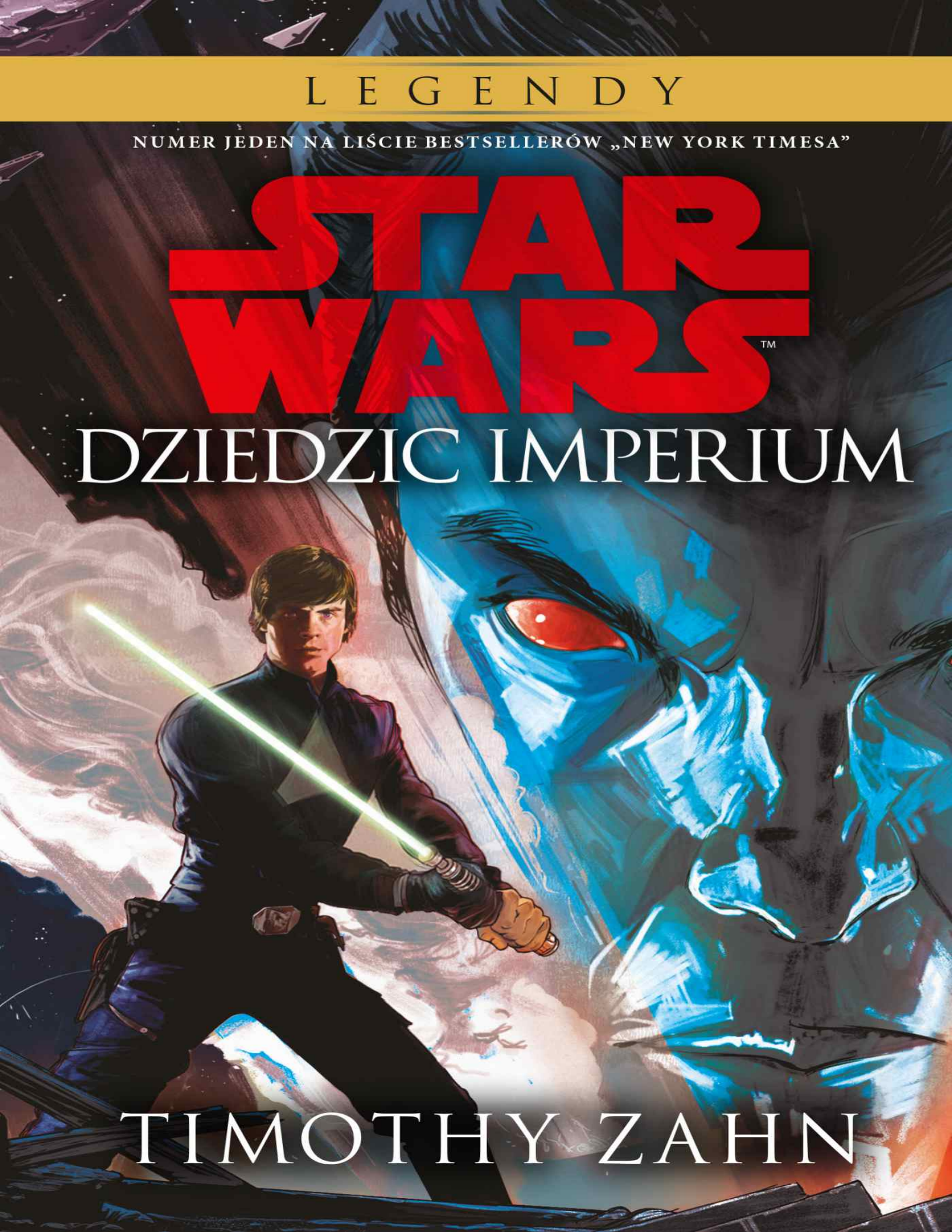

TIMOTHY ZAHN

Timothy Zahn

STAR WARS. DZIEDZIC IMPERIUM

Tom 1

przełożyła Anna Hikiert

Tytuł oryginału: *Star Wars. Heir to the Empire*

All rights reserved.
© & TM 1991 Lucasfilm Ltd.
All rights reserved. Published by Disney • Lucasfilm Press, an imprint of Disney Book Group. No part of this book may be reproduced or transmitted in any form or by any means, electronic or mechanical, including photocopying, recording, or by any information storage and retrieval system, without written permission from the publisher.

Copyright © for Polish edition
by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXVIII

Wydanie I
Warszawa, MMXVIII

Spis treści

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 1

Z prawoburtowego zejścia dla załogi przez gwar rozmów przebił się meldunek:

– Kapitanie Pellaeon, mamy komunikat od rozpoznania. Jednostki wysłane na rekonesans właśnie wyszły z prędkości światła.

Pellaeon, który pochylał się nad ramieniem człowieka obsługującego monitor strukturalny na mostku „Chimaery", zignorował wołanie.

– Proszę nakreślić tu linię – nakazał, stukając świetlnym piórem na wyświetlonym schemacie.

Inżynier spojrzał na niego z niedowierzaniem.

– Sir, chyba ktoś…

– Tak, słyszałem – rzekł Pellaeon. – Wydałem wam polecenie, poruczniku.

– Tak jest, sir – odparł tamten ostrożnie. Jego palce zatańczyły nad klawiszami.

– Kapitanie Pellaeon! – powtórzył głos, tym razem bliżej.

Dowódca, nie odwracając oczu od ekranu strukturalnego, zaczekał do chwili, gdy usłyszał również kroki. Wówczas odwrócił się ku nowo przybyłemu z całym majestatem, który wypracował sobie podczas pięćdziesięciu lat służby we flocie imperialnej.

Młody podoficer wachtowy zawahał się, zwolnił i zatrzymał w pół kroku.

– Eee, sir… – Umilkł, spojrzawszy w oczy Pellaeona.

Kapitan pozwolił, żeby cisza trwała jeszcze kilka uderzeń serca, po to, by zwrócić uwagę stojących najbliżej.

– To nie targ z bydłem na Shaum Hii, poruczniku Tschel – odezwał się spokojnym, choć lodowato zimnym głosem. – To mostek gwiezdnego niszczyciela Imperium, a rutynowych informacji nie przekazuje się – powtarzam, nie przekazuje się! – wrzeszcząc w kierunku tego, kto ma ją usłyszeć. Czy to jasne?

– Tak, sir. – Tschel przełknął ślinę.

Pellaeon wbijał spojrzenie w oficera jeszcze przez kilka sekund, po czym skinął lekko głową.

– Dobrze, a teraz proszę złożyć meldunek.

– Tak jest, sir. – Tschel ponownie przełknął. – Właśnie otrzymaliśmy raport od jednostek rozpoznawczych. Siły wysłane na zwiad powróciły z rekonesansu w układzie Obroa-skai.

– Bardzo dobrze. – Pellaeon skinął głową. – Napotkali jakieś trudności?

– Nieznaczne, sir. Miejscowi chyba mieli im za złe, że kradną zbiory ich głównej biblioteki. Dowódca skrzydła przekazał, że próbowali ich nawet ścigać, ale udało się ich zatrzymać.

– Mam nadzieję – rzekł ponuro Pellaeon.

Obroa-skai zajmował strategiczną pozycję w rejonach granicznych, a wywiad donosił, że Nowa Republika zabiegała o ich członkostwo i wsparcie. Jeśli ci podczas napadu dysponowali uzbrojonymi jednostkami…

Cóż, wkrótce i tak miał się wszystkiego dowiedzieć.

– Proszę przysłać dowódcę skrzydła na mostek, gdy tylko wylądują – przekazał Tschelowi. – Ponadto ogłosić żółty alarm w eskadrach rozpoznawczych. Jest pan wolny.

– Tak jest, sir. – Porucznik odwrócił się, naśladując wojskowy dryl, i odmaszerował w stronę konsoli komunikacyjnych.

„Ależ on młody” – pomyślał z goryczą Pellaeon.

Nagle uświadomił sobie, że w tym właśnie tkwił problem. W starych, dobrych czasach, gdy Imperium znajdowało się u szczytu władzy, byłoby nie do pomyślenia, by człowiek tak młody jak Tschel służył na pokładzie „Chimaery”. Teraz jednak…

Spojrzał na oficera siedzącego przed monitorem strukturalnym, równie młodego jak Tschel. Teraz na „Chimaerze” służyli praktycznie tylko młodzi mężczyźni i kobiety.

Powoli Pellaeon omiótł wzrokiem mostek, a wtedy znów przeszyło go echo dawnego gniewu i związanej z nim nienawiści. Dobrze wiedział, że zbyt wielu dowódców floty uważało pierwszą Gwiazdę Śmierci za jawną próbę skupienia kontroli nad ogromnymi siłami zbrojnymi Imperium w jednym ręku. Zawładnąwszy niepodzielnie polityką Imperium, Imperator wyciągał rękę po armię,

a to, że zignorował ewidentną słabość Gwiazdy Śmierci i natychmiast rozpoczął budowę kolejnej, jedynie potwierdzało przypuszczenia. Na najwyższych szczeblach hierarchii wojskowej Imperium mało kto szczerze opłakiwałby jej stratę, gdyby eksplodująca Gwiazda nie zniszczyła jednocześnie gwiezdnego superniszczyciela „Executor".

Choć upłynęło już pięć lat, Pellaeon nadal krzywił się na samo wspomnienie tej chwili. Wciąż widział pozbawionego sterowności „Executora", który zderzył się z niewykończoną Gwiazdą Śmierci i został całkowicie zniszczony w jej eksplozji. Strata tak wielkiego okrętu zawsze stanowiła uszczerbek dla floty, ale sytuację pogorszyło to, że utraconą jednostką był akurat „Executor" — osobisty okręt Dartha Vadera. Mroczny Lord słynął ze swojego nieprzewidywalnego usposobienia, a jego wybuchy nierzadko kończyły się śmiercią winnych, ale służba pod jego dowództwem od dawna uważana była za szybką drogę awansu.

Innymi słowy, zniszczenie „Executora" pociągnęło za sobą śmierć ogromnej liczby najlepszych spośród młodych kadetów oraz oficerów i specjalistów średniego stopnia.

Po jego stracie w pozbawionej dowództwa flocie zapanowało zamieszanie, w wyniku czego, nim padł rozkaz odwrotu, utracono jeszcze kilka niszczycieli. Sam Pellaeon, który przejął dowództwo po śmierci kapitana „Chimaery", robił wszystko, co mógł, by zapanować nad chaosem, ale mimo jego wysiłków nie zdołali już odzyskać inicjatywy w walce z rebeliantami. Byli przez nich skutecznie, systematycznie spychani, aż sytuacja zaczęła przypominać obecną.

Tę, w której Imperium władało jedynie jedną czwartą systemów niegdyś wchodzących w jego skład. Tę, w której dowodził gwiezdnym niszczycielem obsadzonym niemalże całkowicie przez mozolnie szkolonych, ale żałośnie niedoświadczonych młodych ludzi, spośród których wielu zostało zaciągniętych do służby pod przymusem.

Tę, w której dowodził nimi jeden z najwybitniejszych militarnych umysłów w dziejach Imperium.

Pellaeon uśmiechnął się lekko, niczym wilk, i znów rozejrzał się po mostku. Nie, Imperium bynajmniej nie groziła zagłada, o czym arogancka, samozwańcza Nowa Republika niebawem miała się dowiedzieć.

Zerknął na zegarek. Piętnaście po drugiej. Wielki admirał Thrawn niebawem miał zacząć medytację w pokoju dowodzenia. Procedury imperialne, które nie dopuszczały krzyków na mostku, jeszcze surowiej traktowały tych, którzy zakłócali wielkiemu admirałowi spokój przez interkom. Z Thrawnem rozmawiało się osobiście albo wcale.

– Proszę kontynuować pracę – rozkazał Pellaeon porucznikowi z sekcji strukturalnej, po czym skierował się ku drzwiom. – Ja wracam niebawem.

Nowy pokój dowodzenia wielkiego admirała Thrawna znajdował się dwa piętra pod mostkiem. Poprzedni dowódca okrętu urządził tu luksusowy apartament. Gdy Pellaeon spotkał Thrawna – lub, precyzyjnie mówiąc, został przez wielkiego admirała odnaleziony – jego pierwszym rozkazem było usunięcie wszelkich wygód i zamiana pomieszczenia w drugi mostek.

Był to nie tylko drugi mostek, ale także pokój medytacji i być może coś jeszcze. Wszyscy na pokładzie wiedzieli, że od czasu ostatniego remontu niszczyciela wielki admirał spędzał tu sporo czasu. Sekretem jednak pozostawało, czym się tu zajmował.

Pellaeon stanął przed drzwiami, poprawił mundur i wziął oddech. Być może miał niebawem tę tajemnicę poznać.

– Kapitan Pellaeon melduje się u wielkiego admirała Thrawna – oznajmił. – Mam informa…

Drzwi rozsunęły się, nim dokończył zdanie. Przygotowując się w duchu na każdy scenariusz, Pellaeon wszedł do słabo oświetlonego pomieszczenia. Rozejrzał się, ale nie zauważył niczego godnego uwagi, i ruszył ku drzwiom do głównej sali, znajdującym się kilka kroków przed nim.

Jedynym ostrzeżeniem, że coś jest nie tak, był delikatny podmuch powietrza na szyi.

– Kapitanie Pellaeon! – rozległo się niskie, chrapliwe miauknięcie tuż przy jego uchu.

Dowódca aż podskoczył i odwrócił się na pięcie, przeklinając zarówno siebie, jak i niską, żylastą istotę, która wyrosła tuż za nim.

– Niech cię szlag, Rukh – warknął. – Co ci odbiło?

Przez dłuższą chwilę Rukh wpatrywał się w niego, a Pellaeon czuł, jak po plecach spływa mu kropla potu. W tym świetle Rukh z wielkimi, ciemnymi oczami, wystającą szczęką i lśniącymi, ostrymi jak igły zębami jeszcze bardziej przypominał istotę wyjętą z koszmaru.

Zwłaszcza dla kogoś, kto jak Pellaeon widział, do czego Rukh i inni Noghri byli wykorzystywani przez wielkiego admirała.

– Ja tylko wykonuję swoją pracę – odparł w końcu Rukh.

Niemalże niedbałym gestem wyciągnął rękę i wskazał mu wewnętrzne drzwi, ale Pellaeon dojrzał wąski nóż zabójcy znikający w rękawie Noghriego. Zacisnął pięść, a potem znów ją rozwarł. Mięśnie twarde niczym stalowe pręty prześlizgnęły się pod ciemnoszarą skórą.

– Może pan wejść.

– Och, dziękuję! – parsknął Pellaeon. Raz jeszcze poprawił mundur i obrócił się ku drzwiom. Te otworzyły się przed nim, a oficer wszedł do…

Do łagodnie oświetlonej galerii sztuki.

Zatrzymał się jak wryty na progu i rozejrzał dookoła, zaskoczony. Ściany i kopulasty sufit były ozdobione obrazami i osobliwymi freskami. Kilka spośród nich wyglądało na dzieło ludzkie, ale większość bez wątpienia była dziełem innych ras. W pomieszczeniu znajdowało się też wiele rzeźb, ustawionych zarówno na piedestałach, jak i na podłodze, a w centrum pomieszczenia wznosił się podwójny krąg ekranów. Krąg zewnętrzny był nieco wyższy od wewnętrznego. Z tego, co Pellaeon mógł dostrzec, ekrany ustawione w obu kręgach również wyświetlały dzieła sztuki.

W centrum wewnętrznego kręgu na kopii fotela admiralskiego z głównego mostka zasiadał wielki admirał Thrawn.

Głównodowodzący trwał bez ruchu. Jego lśniące, błękitnoczarne włosy migotały w przygaszonym świetle, a bladoniebieska skóra, wyłaniająca się spod ludzkiego munduru, wydawała się chłodna i sprawiała niepokojące wrażenie. Admirał wsparł głowę na oparciu

i przymknął powieki, między którymi widać było wąskie pasemka czerwieni.

Pellaeon oblizał wargi. Naraz zwątpił, czy mądrze zrobił, naruszając prywatność Thrawna. Gdyby wielki admirał uznał, że jednak jest rozdrażniony…

Nagle myśli dowódcy okrętu przeciął cichy, łagodnie modulowany głos zwierzchnika.

– Niech pan podejdzie, kapitanie.

Powieki nadal miał przymknięte, ale wykonał drobny, starannie wyważony, zapraszający ruch ręką.

– Co pan sądzi?

– To bardzo… interesujące, sir – wykrztusił Pellaeon, podchodząc do zewnętrznego kręgu. Nie był w stanie wymyślić niczego bardziej inteligentnego.

– To oczywiście wszystko hologramy – rzekł Thrawn, a Pellaeon mógłby przysiąc, że usłyszał w jego głosie cień żalu. – Zarówno rzeźby, jak i obrazy. Wiele spośród nich zostało utraconych, a inne znajdują się na planetach pod kontrolą Rebelii.

– Tak, sir. – Pellaeon pochylił głowę. – Uznałem, że być może zainteresuje cię wiadomość, admirale, że z układu Obroa-skai wrócili zwiadowcy. Dowódca skrzydła ma złożyć pełny meldunek za kilka minut.

Thrawn skinął.

– Udało im się wedrzeć do centralnego systemu bibliotecznego?

– Pobrali przynajmniej część danych – odparł dowódca. – Nie wiem, czy zdołali ukończyć zadanie, gdyż próbowano ich ścigać. Dowódca uważa, że pościg został zgubiony.

Thrawn milczał przez moment.

– Nie – rzekł. – Myślę, że się myli, tym bardziej jeśli ścigający go służą Rebelii.

Nabrał powietrza, wyprostował się i po raz pierwszy od chwili, gdy Pellaeon odwiedził jego prywatną przestrzeń, otworzył jaśniejące czerwienią oczy.

Dowódca okrętu wytrzymał jego wzrok bez mrugnięcia okiem, co poczytał sobie za niemałe osiągnięcie. Wielu spośród najwyższych rangą oficerów i cieszących się uznaniem dworzan Imperium nadal

miało problemy z wytrzymaniem spojrzenia Thrawna lub w ogóle jego obecności. Być może dlatego wielki admirał spędzał w swojej karierze tyle czasu w Nieznanych Regionach, gdzie wcielał kolejne barbarzyńskie obszary galaktyki w obręb Imperium. Dzięki swoim błyskotliwym sukcesom zapracował na tytuł wodza i przywilej noszenia białego munduru wielkiego admirała. Był pierwszym nieczłowiekiem, który zasłużył na ten przywilej.

Ironią losu było to, że tym bardziej zaczęto dostrzegać w nim niezastąpionego specjalistę od wojny na pograniczu. Pellaeon nieraz się zastanawiał, czym zakończyłaby się bitwa o Endor, gdyby dowódcą „Executora" był Thrawn, a nie Vader.

– Tak jest, sir – rzekł. – Nakazałem ogłoszenie żółtego alarmu. Mamy przejść na czerwony?

– Jeszcze nie – odparł admirał. – Zostało jeszcze kilka minut. Niech pan powie, kapitanie, czy wie pan coś o sztuce?

– Cóż, niezbyt wiele – bąknął Pellaeon, nieco zaskoczony nagłą zmianą tematu. – Nigdy nie miałem czasu, który mógłbym jej poświęcić.

– Powinien pan trochę go znaleźć. – Thrawn wskazał część ekranów w wewnętrznym kręgu po swojej prawicy. – Oto obrazy z Saffy, wykonane gdzieś między rokiem tysiąc pięćset pięćdziesiątym a dwa tysiące dwusetnym epoki przedimperialnej. Proszę zwrócić uwagę na zmianę stylu… o, właśnie na tym, po pierwszym kontakcie z Thennqora. Tam z kolei – wskazał lewą część – mamy przykłady extrassy Paonnidów. Podobieństwa między nimi a wczesną sztuką z Saffy oraz płaskorzeźbami Vaathkree z połowy osiemnastego wieku epoki przedimperialnej.

– Tak, widzę – rzekł Pellaeon, choć nie była to do końca prawda. – Admirale, czy nie powinniśmy się znaleźć na…

Urwał, gdy rozległ się przeraźliwy gwizd.

– Mostek do wielkiego admirała Thrawna! – Z interkomu dobiegł głos zdenerwowanego porucznika Tschela. – Sir, zostaliśmy zaatakowani!

Thrawn włączył przekaźnik.

– Tu admirał – odezwał się z niezmąconym spokojem. – Ogłoście alarm czerwony, a potem proszę o meldunek. Bez paniki, jeśli

można.

– Tak jest, sir!

Zajaśniały stonowane światła alarmowe, a Pellaeon usłyszał wyjące na zewnątrz syreny, tu, w wewnętrznej przestrzeni admirała, ledwie słyszalne.

– Sensory wychwyciły obecność czterech fregat uderzeniowych Nowej Republiki – ciągnął Tschel, któremu udało się już nieco lepiej zapanować nad głosem. – I przynajmniej trzy skrzydła X-wingów. Zbliżają się tym samym kursem, co nasze statki zwiadowcze w symetrycznych formacjach V.

Pellaeon zaklął pod nosem. Pojedynczy gwiezdny niszczyciel z niedoświadczoną załogą przeciwko czterem fregatom w asyście myśliwców…

– Silniki na pełną moc! – zawołał do interkomu. – Przygotujcie się do wykonania skoku!

Ruszył w stronę wyjścia.

– Proszę na razie wstrzymać się ze skokiem, poruczniku. – Głos Thrawna był nadal zimny niczym lodowiec. – Załogi myśliwców TIE na stanowiska. Uruchomić pole ochronne.

Pellaeon odwrócił się ku Thrawnowi.

– Ale admirale…

Ten przerwał wszelkie sprzeciwy wzniesioną dłonią.

– Niech pan podejdzie, kapitanie – polecił. – Przyjrzymy się temu zamieszaniu, dobrze?

Dotknął innego przycisku i niespodziewanie wystawa dzieł sztuki znikła, a pomieszczenie zamieniło się w miniaturowy mostek. Na ścianach i ekranach pojawiły się odczyty przedstawiające stan silników, sterowania oraz uzbrojenia. Nad otwartą przestrzenią rozbłysła holograficzna projekcja taktyczna. Migocząca w rogu kula symbolizowała zbliżających się napastników. Na ścianie blisko obu oficerów wyświetlił się szacowany czas przybycia – dwanaście minut.

– Na szczęście statki zwiadowcze mają taką przewagę nad pościgiem, że same nie są w niebezpieczeństwie – skomentował Thrawn. – Spójrzmy, z czym tak naprawdę mamy do czynienia.

Mostek, proszę przekazać trzem najbliższym statkom rozpoznawczym rozkaz ataku.

– Tak jest, sir.

Na projekcji pojawiły się trzy błękitne punkty, zmierzające kursem na przechwycenie wrogiej eskadry. Kątem oka Pellaeon zauważył, jak Thrawn pochyla się, obserwując reakcję fregat oraz ich eskorty. Jeden z błękitnych punktów znikł.

– Doskonale. – Thrawn na powrót rozparł się w swoim fotelu. – To wystarczy. Proszę odwołać pozostałe dwie jednostki i nakazać całemu sektorowi czwartemu odwrót.

– Tak jest, sir – odparł Tschel, ale w jego głosie pojawiło się zaskoczenie.

Pellaeon również nie mógł się otrząsnąć.

– A nie możemy przynajmniej poinformować reszty floty? – spytał przez ściśnięte gardło. – „Grot Śmierci" powinien się tu zjawić w ciągu dwudziestu minut, a większość pozostałych okrętów w niespełna godzinę.

– Ostatnią rzeczą, jakiej teraz pragniemy, jest ściągnięcie większej liczby jednostek, kapitanie – rzekł Thrawn i spojrzał na Pellaeona z lekkim uśmiechem. – Przecież ktoś z napastników mógłby przetrwać, a nie chcemy, by Rebelia dowiedziała się zbyt wiele na nasz temat, prawda?

Odwrócił się ku ekranom.

– Mostek, proszę odwrócić okręt o dwadzieścia stopni na lewą burtę. Chcę, byśmy ruszyli prosto na wroga, celując w niego nadbudówką. Gdy tylko nieprzyjacielskie okręty znajdą się w obrębie zewnętrznego perymetru, jednostki sektora czwartego mają się przegrupować za nimi i rozpocząć zakłócanie transmisji.

– Taaak, sir, ale dlaczego…

– Nie musi pan niczego rozumieć, poruczniku. – Głos Thrawna nagle ochłódł. – Proszę zrobić to, o co jest pan proszony.

– Tak jest.

Pellaeon odetchnął ostrożnie, wpatrzony w ekrany pokazujące obrót „Chimaery".

– Obawiam się, że ja również nie rozumiem, admirale – rzekł. – Obracając ku nim nadbudówkę…

Thrawn ponownie uniósł dłoń.

– Niech pan więc patrzy i się uczy. Mostek, tyle wystarczy. Proszę zakończyć obrót i trzymać pozycję. Wyłączyć ekrany osłaniające hangary myśliwców i przekazać moc na pozostałe. Eskadry TIE mają startować, gdy tylko osiągną gotowość, po czym oddalić się od niszczyciela na dwa kilometry i okrążyć go w formacji luźnego roju. Średnia prędkość, atak strefowy.

Mostek potwierdził odebranie rozkazu, po czym Thrawn spojrzał na Pellaeona.

– Już pan rozumie, kapitanie?

Ten zasznurował usta.

– Obawiam się, że nadal nie – przyznał. – Widzę już powód, dla którego obrócił pan okręt. Zasłonił pan w ten sposób wyjście myśliwców z hangarów. Niemniej reszta to klasyczny manewr zbliżeniowy Marg Sabl. Nie sądzę, by dali się złapać na tak prostą strategię.

– Wręcz przeciwnie – poprawił go chłodno Thrawn. – Nie dość, że dadzą się złapać, to jeszcze zostaną całkowicie zniszczeni. Niech pan patrzy, kapitanie. I się uczy.

Myśliwce TIE wystartowały, przyspieszyły i przemknęły obok stateczników, rozdzielając się niczym krople z egzotycznej fontanny. Nacierające okręty zauważyły myśliwce i zmieniły kurs podejścia.

– Cóż oni wyczyniają, na Imperium? – Pellaeon zamrugał.

– Chcą zastosować jedyną znaną sobie taktykę obronną przeciwko Marg Sabl – rzekł Thrawn, tym razem bez wątpienia z wielką satysfakcją. – Czy, precyzyjniej mówiąc, jedyną taktykę, na którą są psychologicznie przygotowani.

Skinął głową w stronę migoczącej kuli.

– Widzi pan, kapitanie, naszym przeciwnikiem dowodzi jakiś Elomin, a żaden z nich nie jest w stanie poradzić sobie z prawidłowo przeprowadzonym manewrem Marg Sabl, który w pewnym momencie przybiera niekonwencjonalny obrót.

Pellaeon wpatrywał się w nadciągających najeźdźców, którzy nadal ustawiali się w całkowicie bezużyteczny szyk obronny. Naraz zrozumiał, czego właśnie był świadkiem.

– Te statki rozpoznawcze, które pan wysłał kilka minut temu… – zaczął. – Czy to panu wystarczyło, by się dowiedzieć, że to okręt Elominów?

– Niech się pan zagłębi w sztukę, kapitanie – odparł rozmarzony Thrawn. – Gdy zrozumie pan sztukę danej rasy, zrozumie pan też tę rasę. — Wyprostował się w fotelu. — Mostek, prędkość maksymalna. Proszę przygotować się do ataku.

Godzinę później było już po wszystkim.

***

Drzwi sali odpraw zasunęły się za dowódcą skrzydła, a Pellaeon nadal wpatrywał się w holograficzną mapę.

– Wygląda na to, że Obroa-skai to jednak ślepy zaułek – powiedział z żalem. – Nie jesteśmy w stanie oddelegować teraz sił potrzebnych do przeprowadzenia tak wielkiej pacyfikacji.

– Na razie, być może – zgodził się Thrawn. – Ale tylko na razie.

Pellaeon zmarszczył brwi, patrząc na siedzącego po drugiej stronie stołu. Wielki admirał bawił się datapadem. Pocierał go bezwiednie kciukiem, wpatrując się w gwiazdy przez iluminator. Na jego ustach błąkał się dziwny uśmiech.

– Admirale? – spytał ostrożnie Pellaeon.

Thrawn odwrócił głowę. Jego lśniące, czerwone oczy spoczęły na kapitanie okrętu.

– To drugi kawałek układanki, kapitanie – powiedział cicho i pokazał mu datapad. – Szukałem go przez ponad rok.

Niespodziewanie odwrócił się w stronę interkomu i włączył go.

– Mostek, tu wielki admirał Thrawn. Proszę o przygotowanie komunikatu do wysłania na „Grot Śmierci”. Kapitan Harbid ma zostać poinformowany, że na jakiś czas opuszczamy flotę. On zaś ma kontynuować taktyczne rozpoznanie miejscowych układów i pobierać dane, gdzie się da. Potem ma wziąć kurs na planetę o nazwie Myrkr. Komputer nawigacyjny zawiera tę lokalizację.

Mostek potwierdził przyjęcie rozkazu, a Thrawn odwrócił się znów ku Pellaeonowi.

– Wygląda pan na nieco zagubionego, kapitanie – stwierdził. – Czyżby to dlatego, że nigdy nie słyszał pan o Myrkr?

Pellaeon pokręcił głową, bez powodzenia próbując odgadnąć wyraz twarzy wielkiego admirała.

– A powinienem?

– Raczej nie. To ostoja przemytników, malkontentów i innych bezużytecznych mętów.

Urwał i upił starannie odmierzony łyk ze sporego kubka, który, sądząc po zapachu, został napełniony mocnym piwem Forvish. Pellaeon zmusił się do milczenia. Jeśli wielki admirał miał w istocie zamiar podzielić się z nim jakimś sekretem, z pewnością planował zrobić to w swoim czasie i na swoich warunkach.

– Usłyszałem przypadkowo wzmiankę na jej temat jakieś siedem lat temu – ciągnął Thrawn, odstawiając kubek. – Zaintrygowało mnie to, że planeta jest zasiedlona od trzystu lat, a mimo to zarówno Stara Republika, jak i Jedi zawsze zostawiali ją w spokoju.

Uniósł lekko błękitno-czarną brew.

– Jakie wnioski by pan z tego wyciągnął, kapitanie?

Pellaeon wzruszył ramionami.

– Że to świat na uboczu, leżący zbyt daleko, by ktokolwiek mógł się nim przejmować.

– Bardzo dobrze, kapitanie. Ja również tak z początku myślałem, ale okazało się, że jest inaczej. Myrkr leży niecałe sto pięćdziesiąt lat świetlnych stąd, blisko naszych granic i wewnątrz granic Starej Republiki. — Thrawn opuścił wzrok na datapad. – Nie, wyjaśnienie tej zagadki jest o wiele ciekawsze. I o wiele bardziej użyteczne.

Pellaeon również spojrzał na datapad.

– I to wyjaśnienie stało się pierwszym elementem pańskiej zagadki?

Thrawn uśmiechnął się do niego.

– Znów dobrze pan odgadł, kapitanie. Tak. Myrkr, a ściślej mówiąc, jeden z tamtejszych gatunków, był pierwszym elementem. Drugi znajduje się na świecie zwanym Wayland. — Zamachał datapadem. – Na świecie, który wreszcie, dzięki mieszkańcom Obroa-skai, potrafię zlokalizować.

– Proszę przyjąć moje gratulacje – rzekł Pellaeon, który uznał, że ma już dość tej rozgrywki. – A mogę się dowiedzieć, czego ta zagadka dotyczy?

Uśmiech Thrawna wywołał u kapitana ciarki.

– Cóż, dotyczy ona jedynej kwestii, która tak naprawdę ma znaczenie – rzekł cicho. – Chodzi mi o całkowite unicestwienie Rebelii.

Rozdział 2

– Luke?

Wołanie nie było donośne, ale powtórzyło się parokrotnie. Luke Skywalker, który wpatrywał się w znany sobie, choć osobliwie zniekształcony krajobraz Tatooine, odwrócił się.

Człowieka, który stał nieopodal, znał równie dobrze, jak okolicę.

– Witaj, Ben – rzekł, choć miał wrażenie, że artykulacja przychodzi mu z trudem. – Dawno cię nie widziałem.

– To prawda – rzekł z powagą Obi-Wan Kenobi. – I obawiam się, że na nasze kolejne spotkanie przyjdzie nam czekać jeszcze dłużej. Przybywam bowiem, by się pożegnać, Luke.

Krajobraz nagle zaczął drżeć i niespodziewanie w umyśle Luke'a pojawiło się przeświadczenie, że przecież śpi. Leży w łóżku w swoim apartamencie pałacu imperialnego i śni o Benie Kenobim.

– Nie, ja nie jestem snem – zapewnił go Ben, trafnie odczytawszy niewypowiedzianą myśl Luke'a. – Ale dzieli nas zbyt wielki dystans, bym mógł pojawić się w inny sposób, a teraz nawet ta ostatnia ścieżka powoli się przede mną zamyka.

– Nie! – Luke usłyszał własne słowa. – Przecież nie możesz nas porzucić, Ben! Potrzebujemy cię!

Ben uniósł lekko brwi, a na jego ustach na moment pojawił się cień dawnego uśmiechu.

– Nie potrzebujesz mnie, Luke. Jesteś Jedi, a twoja Moc jest silna.

Po chwili uśmiech przygasł, a jego wzrok wydawał się skupiać na czymś innym, czego Luke nie mógł dojrzeć.

– Tak czy owak – dodał cicho – to nie ja podejmuję tę decyzję. I tak zbyt długo już zwlekam i, nie mogę dłużej odkładać wędrówki ku temu, co leży dalej, poza moim życiem.

Luke nagle przypomniał sobie Yodę na łożu śmierci i własne słowa, gdy błagał go, by nie umierał.

„Silna jest moja Moc – odparł wówczas mistrz Jedi. – Ale nie tak silna".

– Każde życie przebiega według tego samego wzoru – przypomniał mu Ben. – Ty kiedyś też odbędziesz tę podróż.

Znów na moment coś przykuło jego uwagę.

– Twoja Moc jest silna, Luke, a dzięki dyscyplinie i determinacji stanie się jeszcze potężniejsza. – Jego spojrzenie stwardniało. – Ale nie wolno ci ani na moment zaniechać ostrożności. Imperator nie żyje, ale ciemna strona nadal jest potężna. Nigdy o tym nie zapominaj.

– Nie zapomnę – obiecał Luke.

Twarz Bena złagodniała i znów się uśmiechnął.

– Przyjdzie ci się zmierzyć z wielkimi niebezpieczeństwami, Luke – rzekł. – Znajdziesz jednakże nowych sojuszników w chwilach, gdy będziesz się ich najmniej spodziewał.

– Nowych sojuszników? – powtórzył Luke. – Kogo masz na myśli?

Wizja zaczęła drżeć i słabnąć.

– A więc żegnaj – rzekł Ben, jakby nie słyszał pytania. – Kochałem cię jako syna i jako ucznia. Bywaj więc i niech Moc będzie z tobą.

– Ben!

Ben jednakże odwrócił się, a obraz się rozpłynął. Luke, wciąż pogrążony we śnie, uświadomił sobie, że Obi-Wan znikł.

„A więc zostałem sam – powiedział do siebie. – Jestem ostatnim Jedi”.

I wtedy odniósł wrażenie, że znów słyszy głos Bena, niewyraźny, słaby, dobiegający z wielkiej odległości.

– Wcale nie ostatnim, Luke! Pierwszym z tych, którzy nadejdą.

Potem głos rozpłynął się, a Luke nagle się zbudził.

Przez chwilę leżał nieruchomo, wpatrywał się w blask świateł Centrum Imperialnego, które igrały na suficie, i próbował się otrząsnąć z sennej ociężałości. Był zdezorientowany i oszołomiony, przytłoczony ogromnym smutkiem. Najpierw zamordowano wujka Owena i ciocię Beru, potem Darth Vader, jego prawdziwy ojciec, poświęcił za niego swoje życie, a teraz opuścił go nawet duch Bena Kenobiego.

Właśnie po raz drugi został sierotą.

Westchnął ciężko i wysunął się spod koców, po czym wsunął pantofle i narzucił szatę. W jego apartamencie znajdował się

niewielki aneks kuchenny. Kilka minut zabrało mu sporządzenie egzotycznego napoju, który pokazał mu Lando podczas swojej ostatniej wizyty na Coruscant. Potem, przytroczywszy miecz świetlny, udał się na dach.

Był wielkim przeciwnikiem przenoszenia centrum Nowej Republiki tu, na Coruscant, i z jeszcze większym uporem gardłował przeciwko organizowaniu ich młodego rządu w starym pałacu imperialnym. Nie podobała mu się ta symbolika, tym bardziej że naciskała na nią grupa, która, jego zdaniem, była zanadto przywiązana do symboli.

Lecz mimo tych wszystkich zastrzeżeń musiał przyznać, że widok ze szczytu pałacu był imponujący.

Przez kilka minut stał na skraju dachu i opierał się o sięgającą mu do piersi kamienną balustradę. Rozkoszował się chłodnym wiatrem, który mierzwił mu włosy. Choć był środek nocy, Centrum Imperialne tętniło życiem. Światła ulic i przemieszczających się pojazdów układały się w mieniącą się mozaikę, istne dzieło sztuki. Nisko wiszące chmury nad jego głową, opromienione łuną nad miastem i światłami przecinających je od czasu do czasu śmigaczy, przypominały ciemne, rozciągające się daleko sklepienie, równie bezkresne, jak samo miasto. Daleko na południu widział góry Manarai, których pokryte śniegiem szczyty również płonęły, podobnie jak chmury odbijając emanację miasta.

Wpatrywał się w góry, gdy nagle, dwadzieścia metrów za nim, otworzyły się drzwi do pałacu.

Dłoń Luke'a błyskawicznie powędrowała w stronę miecza świetlnego, ale opanował odruch. Natychmiast rozpoznał istotę, która przestąpiła próg.

– Tu jestem, Threepio! – zawołał.

Odwrócił się i ujrzał idącego ku niemu C-3PO, jak zwykle emanującego ulgą oraz troską.

– Dzień dobry, panie Luke – rzekł i przechylił lekko głowę, by spojrzeć na kubek w ręku człowieka. – Jest mi niesłychanie przykro, że przeszkadzam.

– W porządku – powiedział mu Luke. – Chciałem tylko zaczerpnąć świeżego powietrza.

– Jest pan pewien? – spytał C-3PO. – Choć oczywiście nie mam zamiaru wściubiać nosa w nie swoje sprawy.

Mimo smutku Luke nie mógł powstrzymać uśmiechu. C-3PO próbował być jednocześnie pomocny, dociekliwy i uprzejmy, co rzadko udawało się w pełni, ale przynajmniej zawsze budziło rozbawienie.

– Jestem tylko odrobinę przygnębiony, to wszystko – przyznał droidowi i znów przeniósł spojrzenie na miasto. – Zbudowanie porządnego, funkcjonalnego rządu okazuje się o wiele trudniejsze, niż sądziłem. Ba, trudniejsze, niż wydawało się komukolwiek z członków Rady. – Zawahał się i dodał: – A głównie dlatego, że brakuje mi dziś Bena.

Przez chwilę C-3PO milczał.

– Zawsze dobrze mnie traktował – rzekł w końcu. – Artoo również.

Luke uniósł kubek do ust, by zamaskować kolejny uśmiech.

– Masz doprawdy wyjątkowy punkt widzenia na Wszechświat, Threepio – rzekł.

Kątem oka zauważył, że droid sztywnieje.

– Mam nadzieję, że pana nie uraziłem – powiedział z niepokojem. – Nie taki miałem zamiar.

– Nie uraziłeś mnie – zapewnił go Luke. – W rzeczy samej, być może właśnie przedstawiłeś mi ostatnią lekcję Bena.

– Słucham?

Luke upił łyk.

– Rządy i całe planety są bardzo ważne, Threepio, ale gdy odsieje się wszystkie istotne czynniki, okaże się, że cała sprawa opiera się na ludziach.

– Och – rzekł droid po chwili milczenia.

– Innymi słowy – podjął Luke – Jedi nie może dać się porwać kwestiom wagi galaktycznej, jeśli te kolidują z interesem zwykłych ludzi. Lub droidów – dodał, spoglądając na rozmówcę.

– Och, rozumiem, sir. – C-3PO znów pochylił głowę w kierunku kubka Luke'a. – Proszę o wybaczenie, sir, ale czy mógłbym spytać, co pan pije?

– To? – Luke zerknął do naczynia. – Taki koktajl. Lando pokazał mi kiedyś, jak go zrobić.

– Lando? – powtórzył C-3PO. W jego głosie zabrzmiała dezaprobata. Widać było, że droid, choć miał wbudowaną polityczną poprawność, nie przepadał za Lando.

I nic dziwnego, zważywszy na okoliczności ich pierwszego spotkania.

– Tak. Pewnie kojarzysz go z nieciekawym miejscem, ale jest bardzo dobry – wyjaśnił Luke. – Nazywa się gorącą czekoladą.

– Och, rozumiem. – Droid wyprostował się. – Cóż, sir, skoro w istocie niczego panu nie trzeba, myślę, że powinienem ruszać dalej.

– Jasne. A co ci w ogóle przyszło do głowy, by tu zajrzeć?

– Przysłała mnie, oczywiście, księżniczka Leia – odparł C-3PO, najwyraźniej zaskoczony tym, że Luke musi pytać. – Powiedziała mi, że coś pana dręczy.

Luke uśmiechnął się i pokręcił głową. Leia zawsze potrafiła go pocieszyć, gdy tego potrzebował.

– Popisuje się – mruknął.

– Słucham, sir?

– Leia popisuje się swoimi nowymi mocami Jedi. – Luke machnął ręką. – Pokazuje, że nawet w środku nocy potrafi wyczuć czyjś zły nastrój.

Droid przechylił głowę.

– Ale naprawdę wydawała się przejęta pańskim stanem, sir.

– Wiem – rzekł Luke. – Tylko sobie żartuję.

– Och. – C-3PO znów się zastanowił. – Czy mam więc jej przekazać, że nic panu nie dolega?

– Jasne. – Luke pokiwał głową. – A kiedy już zejdziesz na dół, powiedz jej, że powinna przestać się mną przejmować i porządnie się wyspać. Wystarczy, że nadal dokuczają jej poranne nudności. Nie musi do tego być zmęczona po nieprzespanej nocy.

– Przekażę jej wiadomość, sir – rzekł C-3PO.

– I – dodał cicho Luke – powiedz, że ją kocham.

– Tak, sir. Dobrej nocy, panie Luke.

– Dobrej nocy, Threepio.

Odprowadził wzrokiem droida. W jego sercu wzbierała nowa fala rozpaczy, gotowa go pogrążyć. Nie miał wątpliwości, że C-3PO go nie zrozumie. Ba, nie podołałby nawet nikt z członków Rady Tymczasowej, ale dla Lei, będącej w trzecim miesiącu ciąży, spędzanie większości czasu akurat tu…

Zadrżał, bynajmniej nie z powodu chłodu nocy.

„W tym miejscu ciemna strona Mocy silna jest" – Yoda powiedział o jaskini na Dagobah. Luke stoczył tam walkę na miecze świetlne z Darthem Vaderem, podczas której okazało się, że pojedynkuje się sam ze sobą. Przez kilka kolejnych miesięcy nie mógł zapomnieć o czystej potędze ciemnej strony Mocy, którą wówczas tam wyczuł. Dopiero po jakimś czasie zrozumiał, że Yoda posłał go tam tylko po to, by mu pokazać, jak długo potrwa jeszcze jego nauka.

Mimo to często się zastanawiał, jak jaskinia stała się tym, czym była. Rozmyślał nad tym, czy kiedyś nie mieszał tam ktoś, kto władał wielką mocą, ale przeszedł na ciemną stronę.

Bo tu, na Coruscant, mieszkał Imperator.

Znów zadrżał. Naprawdę jednak do szału doprowadzało go to, że nie był w stanie wyczuć żadnej koncentracji zła w pałacu. Rada wypytała go o to, gdy pojawił się pomysł przeniesienia operacji do Centrum Imperialnego. Musiał wówczas zacisnąć zęby i powiedzieć im, że nie. Rzeczywiście, nie rejestrował żadnych śladów obecności Imperatora.

Ale to, że niczego nie wykrywał, nie oznaczało, że niczego tu nie było.

Pokręcił głową.

„Przestań!" – nakazał sobie w myślach.

Jeśli dalej będzie bał się własnego cienia, doczeka się tylko paranoi. Ostatnie koszmary i problemy ze snem były przypuszczalnie wywołane jedynie stresem, jaki brał się z obserwacji Lei i pozostałych, próbujących zamienić rebelię wojskową w rząd dbający o potrzeby cywili. Bez wątpienia Leia nie zgodziłaby się nawet zbliżyć do Coruscant, gdyby miała jakieś wątpliwości co do tego miejsca.

Leia.

Z niemałym trudem Luke przegnał napięcie. Gdy jego umysł się odprężył, sięgnął zmysłami Jedi i gdzieś w połowie wysokości pałacu wyczuł obecność drzemiącej Lei. Jej oraz bliźniąt, które nosiła pod sercem.

Przez chwilę utrzymywał jedynie częściowy kontakt, nie chcąc rozbudzić jej jeszcze bardziej. Wciąż nie mógł się nadziwić wrażeniu, jakie wywoływała świadomość, że Leia nosi dwoje nienarodzonych jeszcze dzieci. Bez wątpienia dziedzictwo Skywalkerów miało się w nich odrodzić w pełni. Samo to, że wyczuwał całą trójkę, oznaczało, że będą dysponować niezwykle silną Mocą.

A przynajmniej miał nadzieję, że tak to należy rozumieć. Żałował, że nie zdołał spytać o to Bena.

Szansa przepadła na zawsze.

Luke przegnał łzy i zerwał kontakt. Gorąca czekolada w jego kubku wystygła. Rozejrzał się raz jeszcze dookoła, spojrzał na miasto, na chmury i na gwiazdy, które widział jedynie oczami swojej duszy. Gwiazdy, wokół których obracały się planety, zasiedlone przez miliardy istot. Wielu z nich nadal czekało na wolność i światło obiecane im przez Nową Republikę.

Zamknął oczy, broniąc się przed ostrym blaskiem i równie wielkimi nadziejami.

„Niestety, nie ma magicznej różdżki, która potrafiłaby wszystko naprawić od razu – pomyślał ze znużeniem. – Taka sztuczka nie udałaby się nawet Jedi”.

C-3PO, powłócząc nogami, wyszedł z pomieszczenia, a Leia Organa Solo westchnęła ze znużeniem i znów umościła się wśród poduszek.

„Lepiej odnieść pół zwycięstwa niż nie odnieść żadnego” – przyszło jej do głowy stare porzekadło.

Potem przypomniała sobie, że nigdy w nie nie wierzyła. Przecież zgodnie z założeniami jej prywatnej filozofii połowa zwycięstwa to także połowa porażki.

Znów westchnęła, czując dotyk umysłu Luke’a. Jego spotkanie z C-3PO nieco poprawiło mu nastrój – na co zresztą liczyła – ale

ponownie opuszczonemu Luke'owi groził nawrót depresji.

Może powinna wstać i sama z nim porozmawiać? Może byłaby w stanie skłonić go do rozmowy o tym, co tak bardzo dręczyło go przez ostatnich kilka tygodni.

W brzuchu poczuła ledwie zauważalny ucisk.

– To nic takiego – pogładziła go kojąco. – Wszystko w porządku. Martwię się tylko o waszego wujka Luke'a, i tyle.

Powoli ucisk ustąpił. Leia podniosła się, ujęła stojącą na stoliku nocnym pełną do połowy szklankę i opróżniła ją, próbując się przy tym nie krzywić. Ciepłe mleko nie znajdowało się wysoko na liście jej ulubionych napojów, ale okazało się niezastąpione, gdy chciała ukoić nawracający ból żołądka. Lekarze zapewniali ją, że najgorsze dolegliwości powinny lada dzień zniknąć. Leia miała wielką nadzieję, że się nie mylą.

Z sąsiedniego pomieszczenia doszły ją odgłosy czyichś cichych kroków. Jedną ręką pospiesznie odstawiła szklankę na stolik, a drugą naciągnęła sobie koc aż po brodę. Lampka na stoliku nadal się świeciła, a więc Leia skupiła Moc, by ją wyłączyć.

Nic się nie stało. Leia zacisnęła zęby i podjęła kolejną próbę, ale znów się nie udało. Wyglądało na to, że nie władała Mocą na tyle dobrze, by móc oddziaływać za jej pomocą na coś tak małego jak włącznik. Wysunęła więc rękę spomiędzy koców i spróbowała go dosięgnąć.

Drzwi po drugiej stronie jej sypialni rozchyliły się. Na progu stanęła wysoka kobieta w koszuli nocnej.

– Wasza Wysokość? – zawołała cicho, odgarniając lśniące, białe włosy z oczu. – Czy wszystko w porządku?

Leia westchnęła i poddała się.

– Dobrze, wejdź już, Winter. Jak długo podsłuchujesz pod drzwiami?

– Nie podsłuchuję – odparła Winter i wślizgnęła się do sypialni. Wydawała się wręcz oburzona sugestią Lei. – Ujrzałam światło wypływające z twojego pokoju i pomyślałam, że może czegoś ci trzeba.

– Wszystko gra – zapewniła ją Leia, zastanawiając się, czy ta kobieta kiedyś przestanie ją zadziwiać. Rozbudzona w środku nocy,

rozczochrana i ubrana w starą koszulę nocną, nadal prezentowała się o wiele dostojniej niż Leia, gdy się do tego przykładała. Nie miała pojęcia, ile razy podczas ich wspólnego dzieciństwa na Alderaanie jakiś gość na dworze wicekróla brał Winter za księżniczkę Leię.

Winter z kolei prawdopodobnie pamiętała każdą taką sytuację. Skoro zapamiętywała rozmowy słowo w słowo, bez wątpienia potrafiła też przywołać z pamięci każdą chwilę, gdy została pomylona z księżniczką.

Leia często się zastanawiała, co pomyślałaby reszta członków Rady Tymczasowej na wieść o tym, że milcząca asystentka, siedząca u jej boku podczas oficjalnych spotkań lub stojąca przy niej podczas nieoficjalnych rozmów na korytarzach, zapamiętuje każde padające słowo. Przypuszczała, że niektórym z nich wcale by się to nie spodobało.

– Może podać jeszcze trochę mleka, Wasza Wysokość? – spytała Winter. – Albo jakieś ciastka?

– Nie, dziękuję. – Leia pokręciła głową. – Żołądek mi już nie dokucza. Chodzi raczej… No wiesz. O Luke'a.

– Chodzi o to samo, co prześladuje go przez ostatnich dziewięć tygodni? – Winter pokiwała głową.

– Aż tak długo? – Leia zmarszczyła brwi.

Winter wzruszyła ramionami.

– Byłaś zajęta – odpowiedziała dyplomatycznie.

– Nawet mi nie przypominaj – odparła sucho Leia. – Nie wiem, co z nim począć, Winter. Pojęcia nie mam, co z nim począć. Powiedział Threepio, że tęskni za Benem Kenobim, ale widzę, że bynajmniej nie chodzi o to.

– Może ma to jakiś związek z twoją ciążą? – zasugerowała Winter. – Wszak to też dziewiąty tydzień.

– Tak, wiem – zgodziła się Leia. – Ale też mniej więcej w tym samym czasie Mon Mothma i admirał Ackbar wymogli na reszcie przeniesienie siedziby rządu tu, na Coruscant. Wtedy też otrzymaliśmy pierwsze meldunki z pogranicza o tajemniczym geniuszu taktycznym, który przejął dowodzenie nad flotą

imperialną. — Rozłożyła ręce. – Tak więc trudno coś stwierdzić na pewno.

– Chyba musimy zaczekać na chwilę, gdy będzie gotów z tobą rozmawiać – zastanowiła się Winter. – Być może kapitan Solo zdoła wyciągnąć go z tego stanu po powrocie.

Leia zacisnęła kciuk i palec wskazujący, gdy ponownie zalała ją fala gniewu przemieszanego z tęsknotą. Dlaczego Han musiał znów polecieć na jedną z tych durnych misji i pozostawić ją tu samą?

Gniew wyparował, a jego miejsce zajęło poczucie winy. Tak, Han znów gdzieś poleciał, ale nawet gdy był na Coruscant, miała wrażenie, że praktycznie się nie widują. Pochłonięta coraz bardziej skomplikowanym zadaniem utworzenia nowego rządu, Leia przez długie dni ledwie miała czas, by coś zjeść, nie mówiąc o spotkaniu z mężem.

„Ale to przecież moja praca!” – przypomniała sobie stanowczo.

Niestety, była to również praca, którą tylko ona była w stanie wykonać. W przeciwieństwie do niemalże wszystkich innych członków hierarchii Sojuszu, miała wielkie doświadczenie zarówno w teorii, jak i w bardziej praktycznych aspektach polityki. Wyrosła przecież w królewskim domu Alderaana, gdzie uczyła się sztuki rządzenia od przybranego ojca, a postępy zrobiła tak wielkie, że już jako nastolatka reprezentowała go w Senacie Imperialnym. Bez jej wiedzy ich wysiłek mógł obrócić się wniwecz, tym bardziej że Nowa Republika nadal znajdowała się w krytycznym stanie.

„Jeszcze kilka miesięcy – pomyślała. – Nie więcej. Kilka miesięcy i będę mogła trochę odpocząć. Wówczas wynagrodzę wszystko Hanowi”.

Poczucie winy znikło. Pozostała jednak samotność.

– Może Hanowi się uda – powiedziała do Winter. – A na razie lepiej się prześpijmy. Jutro czeka nas trudny dzień.

Winter uniosła nieco brwi.

– A bywają inne? – zapytała równie oschle, jak Leia przed chwilą.

– Dobra, dość już tego – napomniała ją Leia, udając powagę i surowość. – Jesteś o wiele za młoda na cynizm. Serio, nie żartuję. Zmykaj do łóżka.

– Jesteś pewna, że niczego nie potrzebujesz?

– Absolutnie pewna. Sio! Do łóżka.

– Cóż, a więc dobrej nocy, Wasza Wysokość.

Płynnym krokiem opuściła pomieszczenie i zamknęła za sobą drzwi. Leia zaś wślizgnęła się do łóżka, nakryła się kocami i na powrót umościła w pościeli.

– Wy też dobrze śpijcie – szepnęła do swoich dzieci i znów łagodnie pogładziła brzuch.

Han nieraz mówił, że z własnym brzuchem rozmawia ten, któremu nieco odbiło. Jednocześnie Leia podejrzewała skrycie, że, zdaniem Hana, nikt nie jest całkiem normalny.

Bardzo za nim tęskniła.

Westchnęła, wyciągnęła rękę i wyłączyła światło. W końcu pochłonął ją sen.

Han Solo, który zdążył w tym czasie pokonać jedną czwartą drogi przez galaktykę, upił łyk ze swojego kubka i rozejrzał się po otaczającym go zewsząd migotliwym chaosie.

„I znowu tu trafiłem” – pomyślał z niedowierzaniem.

Mimo to dobrze było sobie uświadomić, że w galaktyce, którą nie tak dawno postawiono na głowie, pewne rzeczy nie zmieniały się nigdy. Co prawda, w kącie przygrywał inny zespół, a tapicerka na zajmowanym przez Hana siedzeniu była nieco twardsza, ale nie licząc tych szczegółów, knajpa w Mos Eisley wyglądała dokładnie tak, jak zawsze. Tak jak tego dnia, gdy po raz pierwszy spotkał Luke’a Skywalkera i Obi-Wana Kenobiego.

Zdawało mu się, że zdarzyło się to kilkanaście żyć temu.

Siedzący obok niego Chewbacca zawarczał cicho.

– Nie martw się, przyjdzie – rzekł do niego Han. – To przecież Dravis. Nie wiem, czy on w całym swoim życiu kiedykolwiek przybył gdziekolwiek na czas.

Powoli przeniósł wzrok na tłum.

„Nie – poprawił się w myślach. – Nie wszystko wygląda tu tak, jak kiedyś”.

W rzeczy samej, nie widział żadnego z przemytników, którzy regularnie odwiedzali to miejsce. Nie miał pojęcia, kto przejął

resztki organizacji Jabby, ale z pewnością wyniósł się już z Tatooine.

„Muszę wypytać o to Dravisa” – pomyślał, odwracając się ku tylnym drzwiom knajpy.

Wciąż spoglądał w bok, gdy na stół padł cień.

– Witaj, Solo! – rozległ się rozbawiony głos.

Han odliczył w myślach do trzech, a potem powoli, jak gdyby nigdy nic, odwrócił się ku przybyszowi.

– Cóż, witaj, Dravis. – Skinął głową. – Ileż to czasu minęło! Siadaj!

– Z ochotą! – Dravis uśmiechnął się szeroko. – Ale najpierw połóż ręce na stole. Chewie też.

Han obrzucił go spojrzeniem człowieka głęboko urażonego.

– Dajże spokój – powiedział i objął obiema dłońmi kubek. – Myślisz, że ściągnąłbym cię taki kawał drogi tu, by teraz do ciebie strzelać? Jesteśmy starymi kumplami, zapomniałeś?

– No, jesteśmy. – Dravis, siadając, obrzucił Chewbaccę badawczym spojrzeniem. – A przynajmniej byliśmy. Słyszałem jednak, że ostatnio cieszysz się powszechnym szacunkiem?

Han wzruszył ramionami.

– Szacunek. Dziwne, niejasne słowo, doprawdy.

Dravis uniósł brew.

– Dobrze, bądźmy więc precyzyjni – rzekł sardonicznie. – Słyszałem, że dołączyłeś do Sojuszu Rebeliantów, dochrapałeś się rangi generała, poślubiłeś byłą księżniczkę z Alderaana i zmajstrowałeś sobie bliźnięta.

Han machnął dłonią, umniejszając wagę jego słów.

– Tak naprawdę to z posadki generalskiej zrezygnowałem kilka miesięcy temu.

– Och, wybacz – parsknął Dravis. – A więc po co chciałeś się spotkać? Ostrzec mnie chcesz?

– O czym ty gadasz? – Han zmarszczył brwi.

– Nie udawaj niewiniątka, Solo. – Dravis nagle spoważniał. – Oto Nowa Republika zastępuje Imperium. Wszystko ładnie, pięknie, bardzo się z tego cieszymy, nastały rządy sprawiedliwości i tak dalej. Obaj jednakże dobrze wiemy, że przemytnikom obojętne jest,

kto rządzi. Jeśli więc chcesz nam przedstawić oficjalne stanowisko waszych władz oraz zachęcić, byśmy porzucili nasz proceder, pozwól, że cię wyśmieję i wyjdę stąd.

Zaczynał się już podnosić, ale zatrzymał go głos Hana:

– Nasze spotkanie nie ma z tym nic wspólnego. Jeśli mam być szczery, miałem nadzieję, że uda mi się ciebie zatrudnić.

Dravis zamarł.

– Co takiego? – spytał czujnie.

– Dobrze słyszysz. Chcemy przyjąć kilku przemytników.

Dravis usiadł powoli.

– Czy ma to jakiś związek z waszą wojną z Imperium? – spytał ostro. – Bo jeśli tak…

– Nie, nie ma żadnego związku – zapewnił go Han. – Mógłbym mówić długo i kwieciście, ale w gruncie rzeczy chodzi o to, że Nowej Republice brakuje w tej chwili statków transportowych, nie mówiąc już o doświadczonych pilotach statków transportowych. Jeśli więc szukasz sposobności, by zarobić szybko nieco uczciwego grosza, lepszej okazji nie znajdziesz.

– Aha. – Dravis rozparł się na krześle, ułożył łokieć na oparciu i podejrzliwie przyjrzał się Hanowi. – Gdzie jest haczyk?

– Nie ma żadnego haczyka. – Han Solo pokręcił głową. – Potrzebujemy statków i pilotów, by na nowo ożywić handel międzygwiezdny, a ty masz i jedno, i drugie. To wszystko.

Dravis się zastanowił.

– A po co niby mam pracować bezpośrednio dla was i zarabiać nędzne pensyjki, skoro moglibyśmy to wszystko przemycić i zarobić jeszcze więcej?

– Pewnie, czemu nie – przyznał Han. – Ale tylko wtedy, gdyby wasi klienci musieli płacić wysokie cła. Jak wiadomo, im wyższe cło, tym bardziej opłaca się wynająć przemytnika. W tym wypadku jednak tak nie będzie. – Uśmiechnął się.

Dravis wbił w niego niechętne spojrzenie.

– Przestań gadać od rzeczy, Solo. Ten nowy, świeżutki rząd, który reprezentujesz, wszędzie szuka forsy. Chcesz, bym uwierzył, że zrezygnuje z ceł na wszystko?

– Wierzyć możesz, w co chcesz. – Głos Hana ochłódł. – Chcesz, to się rozeznaj. Popytaj. Poszukaj informacji. Kiedy nabierzesz pewności, daj mi znać.

Dravis przygryzł skórę policzka. Ani na moment nie spuszczał wzroku z Hana.

– Wiesz co, Solo? – powiedział z zadumą. – Nie przyszedłbym tu, gdybym ci nie ufał. Cóż, może byłem też po prostu ciekaw, co tym razem wymyślisz. Być może bym ci uwierzył, przynajmniej na tyle, by chcieć samemu wszystko sprawdzić. Ale powiem ci wprost to, że wielu ludzi z mojej grupy bynajmniej nie będzie miało na to ochoty.

– Czemu nie?

– Bo wyrosłeś ponad nas. Jesteś kimś. Cieszysz się szacunkiem. Och, nie patrz znów tak na mnie. Rzeczywistość wygląda tak, że opuściłeś nasz interes na tak długo, że już nie pamiętasz, jak wygląda nasze życie. Przemytnika motywuje szansa na zysk, Solo. Zysk oraz wrażenia.

– A więc czym się zajmiesz? Będziesz działał w sektorach Imperium? – spytał Han, próbując sobie przypomnieć wszystkie lekcje dyplomacji, których udzieliła mu Leia.

– To się opłaca – rzekł Dravis, wzruszając ramionami.

– Póki co – przypomniał mu Han. – Ale ich terytorium się kurczy od pięciu lat i nic nie wskazuje, by miało się to zmienić. Nasze floty są już równie liczne, wiesz? Co więcej, nasi ludzie są bardziej zmotywowani i o wiele lepiej wyszkoleni od nich.

– Może. – Dravis uniósł brew. – A może nie. Słyszałem plotki, że komendę objął tam ktoś nowy. Ktoś, kto sprawia wam sporo trudności. Na pewno nie słyszałeś o systemie Obroa-skai, na przykład? Dotarło do mnie, że nie tak dawno Elominowie stracili tam eskadrę. Cóż za niedbalstwo, doprawdy. Stracić tyle okrętów?

Han zacisnął zęby.

– Pamiętaj, że każdy, kto sprawia problemy nam, przysporzy ich również tobie – rzekł, celując w przemytnika palcem. – A jeśli wydaje ci się, że Nowej Republice bardzo potrzeba pieniędzy, to wyobraź sobie, jaki głód panuje w Imperium.

– Zapowiadają się ciekawe czasy – zgodził się Dravis i wstał. – Cóż, miło cię było znów ujrzeć, Solo, ale muszę już lecieć. Pozdrów

ode mnie księżniczkę.

Han westchnął.

– Przekaż swoim ludziom naszą propozycję, dobra?

– Och, przekażę, a jakże. Może nawet ktoś się skusi. Któż to może wiedzieć?

Han pokiwał głową. Nie spodziewał się po tym spotkaniu niczego więcej.

– Jeszcze jedno, Dravis. Kto przejął rynek po śmierci Jabby?

Dravis przyjrzał mu się z zadumą.

– Cóż – powiedział po chwili. – To chyba żaden sekret – dodał. – Oficjalnych nominacji nie ma i nie było, ale gdybym lubił się zakładać, postawiłbym pieniądze na Talona Karrde.

Han ściągnął brwi. Oczywiście słyszał o Talonie Karrde, ale nie obiło mu się o uszy, że jego organizacja znajduje się w rankingu dziesięciu najważniejszych w tym sektorze galaktyki. To, że miałby się wybić na czoło, nie mieściło mu się w głowie, a więc albo Karrde nie lubił zwracać na siebie uwagi, albo Dravis się mylił.

– Gdzie mogę go znaleźć?

Dravis obdarzył go przebiegłym uśmiechem.

– Chciałbyś to wiedzieć, co? Może ci kiedyś powiem.

– Dravis…

– Naprawdę muszę już lecieć. Na razie, Chewie.

Zaczął się odwracać, ale zamarł.

– Aha, byłbym zapomniał. Przekaż swojemu kumplowi, który tam siedzi, że jest najgorszą obstawą, jaką na oczy widziałem. Może się przydać na przyszłość.

Znów się uśmiechnął, odwrócił i zniknął w tłumie.

Han skrzywił się, odprowadzając go spojrzeniem. Cóż, przynajmniej przyjął ich zaproszenie, choć pewnie tylko po to, by odwrócić się do nich plecami. Inni przemytnicy, z którymi się skontaktował, nie mieli do niego aż takiego zaufania. Zawsze to jakiś postęp.

Chewbacca warknął coś pogardliwego.

– A czego się niby spodziewałeś, skoro w radzie zasiada sam admirał Ackbar? – Han wzruszył ramionami. – Wszyscy wiedzą, że przed wojną Kalamarianie nie mieli litości dla przemytników. Nie

martw się, zjawią się. Przynajmniej niektórzy spośród nich. Dravis może ględzić o zyskach i emocjach, ale jeśli zaproponujesz im dostęp do stoczni oraz warsztatów, przejrzyste warunki finansowe, nie tak jak u Jabby, oraz gwarancję, że nikt nie będzie do nich strzelał, to wkrótce się zainteresują. Dobra, chodźmy.

Wysunął się z zajmowanego przez nich boksu i skierował się do baru oraz znajdującego się za nim wyjścia. W połowie drogi zatrzymał się przy innym boksie.

– Mam dla ciebie informację – zwrócił się do jedynego człowieka, który w nim siedział. – Rzekomo jesteś najgorszą obstawą, jaką widział Dravis.

Wedge Antilles uśmiechnął się szeroko i wstał.

– Myślałem, że o to właśnie chodziło – powiedział i przeczesał palcami czarne włosy.

– Tak, ale Dravis na to nie wpadł – odparł Han, choć w duchu musiał przyznać przemytnikowi nieco racji. Nie licząc sytuacji, gdy siedział za sterami X-winga i rozbijał myśliwce TIE w pył, Wedge zwracał na siebie uwagę jak neon na nocnym niebie.

– Dobra, to gdzie jest Page?

– Tutaj, sir. – Han usłyszał cichy głos za swoimi plecami.

Odwrócił się i ujrzał mężczyznę średniego wzrostu, który nie wyróżniał się żadnymi cechami. Był jednym z tych, którzy nigdy nie zwracali na siebie uwagi i potrafili bez trudu wtopić się w każde otoczenie.

I na tym właśnie polegał fortel, który zastosowali w Mos Eisley.

– Widziałeś coś podejrzanego? – spytał Han.

Page pokręcił głową.

– Żadnej obstawy, żadnej broni poza blasterem. Ten gość musiał naprawdę ci ufać.

– Cóż, postęp. – Han rozejrzał się ponownie. – Ruszajmy. W tym tempie dotrzemy na Coruscant później, niż sądziliśmy, a ja po drodze chciałem jeszcze zajrzeć na Obroa-skai.

– I sprawdzić, co z tą zaginioną eskadrą Elominów? – spytał Wedge.

– Tak. – Han uśmiechnął się ponuro. – Chcę sprawdzić, czy już się pokapowali, co się z nią stało. Przy odrobinie szczęścia dowiemy się,

kto podniósł na nich rękę.

Rozdział 3

Składany stół w prywatnym biurze był już zastawiony, a jedzenie gotowe do podania. Talon Karrde nalewał właśnie wina, gdy usłyszał pukanie do drzwi.

– Mara? – zawołał.

– Tak! – Głos młodej kobiety rozległ się po drugiej stronie drzwi. – Prosiłeś, bym zjadła z tobą obiad.

– Tak. Wejdź, proszę.

Drzwi rozsunęły się i do środka, ze swoją zwykłą kocią gracją, weszła Mara Jade.

– Nie zdradziłeś mi, o co… – powiedziała, ale urwała na widok pięknie zastawionego stołu. Zamrugała zielonymi oczami. – …o co tu chodzi – dokończyła nieco innym tonem. Zielone oczy, chłodne i badawcze, przeszyły Talona.

– Nie, absolutnie nie chodzi mi o to, o czym właśnie sobie pomyślałaś – zapewnił ją Karrde i wskazał jej krzesło naprzeciwko siebie. – To czysto biznesowe spotkanie.

Zza jego biurka dobiegł dźwięk, będący czymś między chichotem a mruknięciem.

– Tak, Drang, dobrze usłyszałeś – rzekł Karrde, obracając się w kierunku źródła głosu. – Spotkanie biznesowe. No, wyłaź, jazda stąd.

Vornskr wyjrzał zza burka. Pazury przednich łap wpił w dywan, a łeb trzymał nisko podłogi, jak na polowaniu.

– Powiedziałem: jazda stąd! – powtórzył stanowczo Karrde i wskazał drzwi za plecami Mary. – Dalej, twoje jedzenie jest już gotowe w kuchni. Sturm już tam jest, co oznacza, że z twojej kolacji być może niewiele zostało.

Drang niechętnie wylazł zza biurka i poczłapał w stronę drzwi. W jego głosie, nadal przypominającym połączenie chichotu z mruknięciami, pobrzmiewała żałość.

– Tylko nie udawaj teraz skrzywdzonego niewiniątka! – zbeształ go Karrde, po czym wyjął z półmiska kawałek przyrumienionego mięsa bruallki. – No, łap. To poprawi ci humor.

Rzucił przysmakiem w kierunku drzwi. Apatia Dranga znikła w okamgnieniu. Odbił się od ziemi, wyskoczył i złapał kąsek w powietrzu.

– Brawo! – zawołał za nim Karrde. – A teraz idź i zjedz swoją zdobycz w spokoju.

Vornskr wyszedł na zewnątrz.

– W porządku. – Karrde spojrzał na Marę. – To na czym skończyliśmy?

– Mówiłeś mi, że to spotkanie biznesowe – oznajmiła kobieta wciąż nieco chłodnym głosem, siadając za stołem i przyglądając się nieufnie temu, co na nim stało. – Bez wątpienia to najsmaczniejsze spotkanie od dawna.

– O to tak naprawdę chodziło – oznajmił Karrde i usiadł. Sięgnął w stronę półmiska. – Wydaje mi się, że raz na jakiś czas musimy sobie przypominać, że przemytnik to niekoniecznie to samo co barbarzyńca.

– Ach. – Mara upiła łyk wina. – Jestem przekonana, że większość twoich ludzi jest ci bardzo wdzięczna, że im to przypominasz.

Karrde się uśmiechnął.

„Czyli niepotrzebnie się łudziłem, że niecodzienne okoliczności zbiją ją z tropu – pomyślał. – Cóż, powinienem się domyślić, że na kogoś takiego jak Mara podobny fortel nie podziała”.

– Można dzięki temu spędzić doprawdy interesujący wieczór – rzekł i przyjrzał się jej uważnie. – Zwłaszcza gdy trzeba omówić awans.

Przez jej twarz przemknęło ledwie zauważalne zaskoczenie.

– Awans? – powtórzyła ostrożnie.

– Tak – rzekł Karrde i nałożył jej porcję bruallki. – Twój, jeśli chodzi o ścisłość.

W jej oczach na powrót pojawiła się czujność.

– Sam wiesz, że jestem członkiem waszej grupy od raptem sześciu miesięcy!

– A właściwie to pięciu i pół – poprawił ją. – Niemniej we wszechświecie czas nigdy nie jest tak istotny jak umiejętności i rezultaty. W twoim wypadku zaś zarówno jedno, jak i drugie budzą podziw.

Mara wzruszyła ramionami. Jej czerwonozłote włosy zalśniły.

– Miałam sporo szczęścia – powiedziała.

– Szczęście z pewnością odgrywało w tym pewną rolę – zgodził się Karrde. – Jednocześnie już dawno temu odkryłem, że to, co większość ludzi nazywa szczęściem, tak naprawdę okazuje się głównie surowym talentem połączonym z umiejętnością wykorzystywania sytuacji. — Nałożył sobie porcję mięsa i dodał: – Do tego dochodzą twoje umiejętności talent pilota oraz inne ważne cechy. Potrafisz wydawać rozkazy oraz je przyjmować, umiesz też – mówiąc to, uśmiechnął się lekko i wskazał stół – błyskawicznie dopasowywać się do nietypowych i nieoczekiwanych sytuacji. To zestaw ważnych talentów dla przemytnika.

Urwał i milczał przez moment. Mara, która w przeszłości również nauczyła się, by w odpowiednich momentach powstrzymywać się od zadawania pytań, także się nie odzywała.

– Przejdźmy do sedna, Mara. Jesteś bardzo cennym nabytkiem i nie chcę marnować twojego potencjału, przydzielając cię do wsparcia bądź nawet przekazując ci osobną linię przemytu – odezwał się. – Chciałbym zacząć szkolenie, które przygotuje cię do roli mojej zastępczyni.

Tym razem udało mu się ją zaskoczyć, nie było co do tego wątpliwości. Mara na moment otworzyła szeroko oczy, a potem je zmrużyła.

– Na czym będą polegać moje nowe obowiązki? – zapytała.

– Głównie na podróżowaniu ze mną – odparł Karrde i upił łyk wina. – Będziemy też razem zakładać nowe interesy i spotykać się z niektórymi spośród naszych najstarszych stałych klientów, by mogli cię poznać. I tak dalej.

Widział po jej oczach, że nie do końca mu wierzy. Wiedział, o co jej chodzi. Z natury nieufna Mara podejrzewała, że jego słowa są jedynie zasłoną dymną, a kryją się za nimi bardziej osobiste żądania.

– Nie musisz mi teraz odpowiadać – dodał. – Zastanów się i pogadaj z innymi, którzy pracują dla mnie dłużej od ciebie. — Spojrzał jej prosto w oczy i rzekł: – Potwierdzą, że nie okłamuję moich ludzi.

Mara wydęła usta i powiedziała:

– Też tak słyszałam. Ale pamiętaj – podjęła znów swobodnym tonem – że jeśli przekażesz mi uprawnienia, zrobię z nich użytek. W strukturze organizacyjnej aż się prosi o zmiany…

Urwała, gdy zaćwierkał interkom na biurku.

– Kto tam? – zawołał Karrde.

– Tu Aves! – dobiegł głos. – Uznałem, że zainteresuje cię to, że mamy towarzystwo. Na orbicie pojawił się gwiezdny niszczyciel Imperium.

Karrde zerknął na Marę i podniósł się.

– Wiadomo coś o nim? – zapytał, po czym rzucił serwetkę obok talerza i obszedł biurko, by spojrzeć na ekran.

– W tych czasach już nie nadają częstotliwości rozpoznawczej. – Aves pokręcił głową. – Z tej odległości trudno odczytać litery na kadłubie, ale Torve przypuszcza, że to „Chimaera”.

– Ciekawe – mruknął Karrde.

„A więc sam wielki admirał Thrawn” – pomyślał.

– Próbują przekazać jakąś transmisję?

– Niczego nie wychwyciliśmy. O, zaraz. Wygląda na to, że… Tak, wysyłają prom. Nie, dwa promy. Orientacyjny punkt lądowania… – Aves zmrużył oczy, wpatrując się przez moment w coś poza ekranem. – Orientacyjny punkt lądowania znajduje się gdzieś, tu w lesie.

Kątem oka Karrde ujrzał, że Mara sztywnieje.

– A nie w którymś z miast? – spytał Avesa.

– Nie, bez wątpienia w lesie. Nie więcej niż pięćdziesiąt kilometrów stąd.

Karrde potarł palcem wskazującym dolną wargę, rozważając możliwości.

– Nadal widać tylko dwa promy?

– Jak dotąd tak. – Aves chyba zaczynał się odrobinę denerwować. – Ogłosić alarm?

– Wręcz przeciwnie. Przekonajmy się, czy nie potrzebują jakiejś pomocy. Uruchom kanał komunikacyjny.

Aves otworzył usta, ale szybko je zamknął.

– W porządku – odparł, po czym nabrał głęboko powietrza i zaczął stukać coś na klawiaturze poza ekranem. – Kanał uruchomiony.

– Dziękuję. Do gwiezdnego niszczyciela Imperium „Chimaera”! Tu mówi Talon Kaarde. Czy można wam w czymś pomóc?

– Brak odpowiedzi – stwierdził Aves. – Nie sądzisz, że być może nie chcieli zostać zauważeni?

– Jeśli nie chcesz, by cię ktoś zauważył, nie lecisz nigdzie gwiezdnym niszczycielem – wytknął Karrde. – Nie, przypuszczalnie w tej chwili sprawdzają moje nazwisko w swojej bazie danych. Chętnie przekonałbym się, co tam na mnie mają i czy w ogóle coś.

Odkaszlnął i zaczął ponownie:

– Gwiezdny niszczyciel „Chimaera”, tu…

Nagle twarz Avesa znikła z ekranu, a w to miejsce pojawił się mężczyzna w średnim wieku, z insygniami kapitańskimi.

– Kapitan Pellaeon z „Chimaery” – rzucił szorstko. – Czego pan chce?

– Przede wszystkim okazać sąsiedzką życzliwość – odparł spokojnie Karrde. – Zauważyliśmy zbliżające się promy i zastanawiamy się, czy pan bądź wielki admirał Thrawn nie potrzebujecie jakiejś pomocy.

Skóra wokół oczu Pellaeona napięła się nieco.

– Kto?

– Ach, racja – Karrde pokiwał lekko głową, uśmiechając się pod nosem. – Oczywiście. Przecież ja też nie słyszałem nic o wielkim admirale Thrawnie, a już na pewno nie w związku z „Chimaerą” czy z intrygującymi doniesieniami o rajdach na niektóre systemy w rejonach Paonnid i Obroa-skai.

Napięcie na twarzy imperialnego kapitana zwiększyło się nieco.

– Jest pan bardzo dobrze poinformowany, panie Karrde. – W miękkim tonie Pellaeona kryła się groźba. – Ciekawe, jak byle przemytnik mógł posiąść taką wiedzę.

Karrde wzruszył ramionami.

– Moi ludzie słyszą różne historie i plotki, a ja zbieram je w logiczną całość i wyciągam wnioski, podobnie zresztą jak wasz wywiad, jak sądzę. Jeśli wasze promy mają zamiar wylądować w lesie, ostrzeżcie załogi, by zachowały czujność. Mieszka tam sporo gatunków drapieżników, a miejscowe rośliny zawierają mnóstwo metalu, przez co odczyty sensorów są w najlepszym razie mało precyzyjne.

– Dziękuję za radę – rzekł Pellaeon nadal chłodnym głosem. – Nasze promy nie pozostaną tam długo.

– Ach. – Karrde pokiwał głową, przez którą przemknęły kolejne możliwości i wyjaśnienia, na szczęście niezbyt liczne. – Polowanie, co?

Tym razem Pellaeon obdarzył go lekko pobłażliwym uśmiechem.

– Informacje o działalności sił Imperium są bardzo drogie. Sądziłem, że ktoś, kto zajmuje się tym, co pan, będzie zdawał sobie z tego sprawę.

– W rzeczy samej – zgodził się Karrde, wpatrując się bacznie w rozmówcę. – Ale zdarzają się okazje. Załogi tych promów szukają isalamirów, prawda?

Kapitan znieruchomiał, a jego uśmiech znikł.

– Tu nie ma mowy o żadnych okazjach, Karrde – wycedził po chwili. – A synonimem słowa „drogi” jest „kosztowny”, które ma więcej znaczeń.

– Zgadza się. Chyba że ma się w zanadrzu coś o zbliżonej wartości. Zakładam, że wiecie już dużo o wyjątkowej naturze isalamirów, gdyż w przeciwnym razie nie byłoby was tutaj. Czy mogę więc założyć, że znacie tę osobliwą, rzadko spotykaną i w miarę bezpieczną technikę zbierania ich z gałęzi drzew?

Pellaeon przyglądał mu się bardzo uważnie, z pewną podejrzliwością.

– Miałem wrażenie, że isalamiry mają ledwie pięćdziesiąt centymetrów długości i nie są drapieżnikami.

– Nie miałem na myśli pańskiego bezpieczeństwa, ale ich, kapitanie – powiadomił go Karrde. – Nie da się ich po prostu zbierać, bo wówczas się je pozabija. Isalamir w tym stadium jest na

stałe przytwierdzony do pnia. Jego pazury wydłużyły się i urosły do tego stopnia, że praktycznie wrosły w pień drzewa, na którym żyje.

– A pan, jak sądzę, wie, jak się do tego zabrać?

– Nie ja, ale niektórzy spośród moich ludzi – rzekł Karrde. – Jeśli pan sobie życzy, mogę wysłać kogoś z nich na spotkanie z waszymi promami. Technika, o której mówię, nie jest szczególnie skomplikowana, ale naprawdę trzeba pokazać, na czym polega.

– Oczywiście – rzucił ironicznie Pellaeon. – A opłata za tę demonstrację osobliwych technik to?

– Nie ma żadnej opłaty. Jak już wspomniałem, pomagam po sąsiedzku.

Pellaeon przechylił lekko głowę.

– Twoja hojność zostanie zapamiętana – rzekł.

Przez moment przytrzymał wzrokiem spojrzenie Karrde, dając mu do zrozumienia, że jego słowa należy zrozumieć na dwa sposoby. Jeśli planował jakiś przekręt, Imperium również tego nie zapomni.

– Przekażę wiadomość na promy, by czekano na wizytę waszego eksperta.

– Wkrótce tam dotrze. Do usłyszenia, kapitanie.

Pellaeon sięgnął ku czemuś, co znajdowało się poza ekranem, po czym Karrde znów ujrzał twarz Avesa.

– Słyszałeś wszystko? – spytał Karrde.

Aves pokiwał głową.

– Dankin i Chin już rozgrzewają Skipraya.

– Dobrze. Niech pozostaną w trybie otwartej transmisji. I przysłać ich do mnie zaraz po powrocie.

– W porządku – odparł Aves i się rozłączył.

Karrde odsunął się od biurka, zerknął na Marę i znów usadowił się przy stole.

– Przepraszam za to, że musiałem cię opuścić na moment – rzucił swobodnym tonem i przyglądając się jej kątem oka, nalał sobie więcej wina.

Zielone oczy Mary odzyskały ostrość, a wtedy dziewczyna spojrzała na niego. Mięśnie jej twarzy, jeszcze przed chwilą zesztywniałe na kamień, wreszcie się rozluźniły.

– Zrobisz to za darmo? – spytała i sięgnęła lekko drżącą ręką po własny kieliszek. – Oni bez wątpienia kazaliby sobie zapłacić, gdybyś ty czegoś od nich chciał. Imperium w tych czasach nie dba o nic poza pieniędzmi.

Karrde wzruszył ramionami.

– Nasi ludzie będą ich obserwować od momentu lądowania do chwili startu. Już to wydaje mi się odpowiednią zapłatą.

Mara przyglądała mu się uważnie.

– Nie wierzysz chyba w to, że przybyli tu po isalamiry, co?

– Nie, raczej nie. – Karrde uciął kawałek pieczeni i wsunął ją do ust. – Chyba że ktoś znalazł dla nich zastosowanie, o którym nie mamy pojęcia. Raczej nie przebyliby takiego szmatu drogi tylko po to, by pozbierać isalamiry, które wykorzystają przeciwko pojedynczemu Jedi.

Mara odwróciła spojrzenie.

– A może nie ścigają Skywalkera? – mruknęła. – Może natrafili na innych Jedi?

– Raczej mało prawdopodobne. – Karrde przyglądał się jej uważnie. W chwili, gdy wypowiedziała nazwisko Luke'a Skywalkera, w jej głosie pojawiły się silne emocje. – Z tego, co wiem, Imperator urządził im czystkę w pierwszej fazie Nowego Ładu. Chyba że – dodał, gdy uderzyła go kolejna myśl. – Chyba że znaleźli Dartha Vadera!

– Vader zginął na Gwieździe Śmierci – przypomniała mu Mara. – Razem z Imperatorem.

– Tak brzmi oficjalna historia, ale…

– On tam zginął, i koniec. – Mara przerwała mu zaskakująco ostrym tonem.

– Jasne. – Karrde pokiwał głową. W trakcie pięciu miesięcy uważnych obserwacji zdołał zebrać listę tematów, które zawsze wywoływały ostrą reakcję u Mary. Jednym z nich był zmarły Imperator oraz Imperium przed bitwą o Endor.

A po przeciwnej stronie emocjonalnego spektrum znajdował się Luke Skywalker.

– Tak czy owak – ciągnął w zadumie – jeśli wielki admirał ma powód, by zabierać isalamiry na pokład swoich okrętów, możemy

pójść w jego ślady.

Mara znów skupiła na nim spojrzenie.

– Po co? – spytała ostro.

– Zwykły środek ostrożności – odparł Karrde. – Skąd ta gwałtowna reakcja?

Przyglądał się Marze, która toczyła wewnętrzną walkę.

– Mam wrażenie, że to strata czasu – powiedziała. – Thrawn pewnie cierpi na jakąś paranoję. A zresztą jak niby ma utrzymać isalamiry przy życiu bez ich drzew?

– Jestem pewien, że Thrawn ma jakiś sposób, by zabrać te stworzenia wraz z ich drzewami – zapewnił ją Karrde. – Dankin i Chin bez trudu wywęszą wszystkie potrzebne szczegóły.

Mara opuściła nagle powieki i odwróciła głowę.

– Tak – wymamrotała, jakby przyznawała się do porażki. – Tak, bez wątpienia.

– A tymczasem – Karrde udawał, że nie dostrzega jej zachowania – musimy porozmawiać o interesach. Jeśli pamięć mnie nie myli, chciałaś mi przedstawić listę zmian do wprowadzenia w naszej organizacji.

– Tak. – Mara znów nabrała powietrza i zamknęła oczy, a gdy je otworzyła, powiał z nich typowy dla niej chłód. – Tak. Cóż…

Z początku powoli, ale z narastającą pewnością siebie zaczęła punkt po punkcie przedstawiać wady organizacji. Każdy z nich omawiała drobiazgowo i wnikliwie, a Karrde jadł, słuchał i nie mógł się nadziwić ukrytym talentom tej kobiety.

„Któregoś dnia rozgryzę jej przeszłość – obiecał sobie w duchu. – Dowiem się, co takiego tak starannie przede mną skrywa. Dowiem się, skąd pochodzi oraz kim jest. A przede wszystkim ustalę, co zrobił Luke Skywalker, skoro teraz tak bardzo go nienawidzi”.

Rozdział 4

Minęło prawie pięć dni, nim „Chimaera”, podróżująca z prędkością przelotową zero koma cztery, pokonała trzysta pięćdziesiąt lat świetlnych między Myrkr i Waylandem. Nikt jednak nie miał nic przeciwko, bo dopiero po upływie tego czasu zespół techniczny na pokładzie niszczyciela ukończył pracę nad przenośną ramą, która miała utrzymywać przy życiu oraz karmić isalamiry.

– Wciąż nie jestem przekonany, czy to naprawdę konieczne – burknął Pellaeon, z niechęcią przyglądając się grubej rurze oraz przyssanym do niej istotom przypominającym salamandry z łuskami porośniętymi futrem. Rura oraz rama były ciężkie i toporne, a same stworzenia wcale nie pachniały tak dobrze.

– Jeśli strażnik, którego się spodziewacie, znalazł się na Waylandzie z nominacji Imperatora, nie rozumiem, dlaczego powinniśmy mieć z nim problemy.

– Niech pan to nazwie środkiem ostrożności – rzekł Thrawn i usiadł w kokpicie promu. Zaczął zapinać pasy. – Należy założyć, że będziemy mieli trudności z przekonaniem go do tego, kim jesteśmy. Ba, może nawet nie wierzyć w to, że nadal służymy Imperium.

Spojrzał na ekrany i skinął pilotowi.

Rozległo się stłumione brzęknięcie i kadłub promu przeszyło drżenie, gdy wystrzelił z hangaru „Chimaery” i skierował się ku powierzchni planety.

– Łatwiej byłoby go nam przekonać, gdybyśmy zabrali oddział szturmowców – mruknął Pellaeon i zerknął na ekran znajdujący się za nim.

– Równie dobrze moglibyśmy go w ten sposób zirytować – wytknął Thrawn. – Nie wolno nam lekceważyć dumy i uczuć Mrocznego Jedi, kapitanie. Poza tym – zerknął przez ramię – od tego mamy Rukh. Każdy, kto niegdyś współpracował z Imperatorem, powinien wiedzieć, jak chwalebną rolę odegrali przed laty Noghri.

Pellaeon zerknął na milczącą postać rodem z koszmarów, zajmującą fotel po drugiej stronie.

– Wydaje się pan pewien, sir, że strażnik okaże się Mrocznym Jedi.

– A kogo innego Imperator wybrałby do pilnowania osobistego magazynu? – zdziwił się Thrawn. – Miałby wyznaczyć do tej roli legion szturmowców z AT-AT i inną zaawansowaną bronią, którą można by z zamkniętymi oczami wykryć z orbity?

Pellaeon się skrzywił. Przynajmniej tym nie musieli się przejmować. Skanery „Chimaery" nie wykryły na powierzchni Waylandu żadnych kultur, które wyszłyby poza etap prymitywnego myślistwa, choć dla niego nie była to wielka pociecha.

– Ja się tylko zastanawiam, czy Imperator nie zabrał go z Waylandu, by wykorzystać w wojnie z Rebelią.

– Wkrótce się dowiemy. – Thrawn wzruszył ramionami.

Ryk towarzyszący przebijaniu się promu przez atmosferę stawał się coraz głośniejszy, a na ekranie Pellaeona pojawiły się szczegóły dotyczące samej planety. Wyglądało na to, że w większości pokryta jest gęstymi lasami, które tu i ówdzie przerywały szerokie, trawiaste równiny. Wśród chmury przed nimi zamajaczyła samotna góra.

– Czy to góra Tantiss? – spytał pilota.

– Tak jest, sir – potwierdził tamten. – Niebawem ujrzymy samo miasto.

– Jasne. – Pellaeon zerknął ukradkowo na prawe udo i poprawił blaster w kaburze. Thrawn nie miał żadnych wątpliwości, że jego plan się powiedzie, ale kapitan żałował, że nie mają większej siły ognia.

Miasto, leżące przy południowo-zachodnim zboczu Tantiss, było znacznie większe, niż wydawało się z orbity, gdyż wiele spośród jego masywnych, przysadzistych budynków ciągnęło się daleko pod osłoną drzew. Thrawn kazał pilotowi okrążyć miasto dwukrotnie, a potem posadzić prom na głównym placu, naprzeciwko imponującej, sprawiającej królewskie wrażenie budowli.

– Interesujące – stwierdził Thrawn, który wstał i spoglądał przez iluminator, zarzucając na ramię plecak na isalamiry. – Mamy tu do czynienia z przynajmniej trzema typami architektury: ludzkim oraz

co najmniej dwoma należącymi do obcych ras. Rzadko się dostrzega podobną różnorodność w obrębie jednej planety, a co dopiero miasta. Pałac przed nami, w rzeczy samej, zawiera elementy wszystkich trzech stylów.

– Tak – rzucił Pellaeon, nie słuchając zwierzchnika, i sam wyjrzał przez okno. Architektura interesowała go teraz o wiele mniej od ludzi, którzy według sensorów wykrywających życie kryli się w budynkach lub za nimi. – Wie pan może, czy te rasy są wrogie w stosunku do obcych?

– Przypuszczalnie tak – rzekł Thrawn i ruszył w stronę wyjścia, gdzie czekał na niego Rukh. – Jak większość ras. Idziemy?

Rampa opuściła się z sykiem silników pneumatycznych. Pellaeon, zaciskając zęby, dołączył do towarzyszy. Prowadzeni przez Rukha, zeszli na ziemię i ruszyli naprzód.

Nikt do nich nie strzelał. Nikt nie wrzeszczał, nie krzyczał ani nawet nie wyściubił nosa.

– Nieśmiali, co? – mruknął Pellaeon, rozglądając się z dłonią przy rękojeści blastera.

– Nic dziwnego – rzekł Thrawn i wyjął dysk megafoniczny z pasa. – Przekonajmy się, czy uda się ich przekonać, by okazali nam gościnność.

Wsunął dysk między złączone dłonie i uniósł go do ust.

– Szukam strażnika góry! – Jego głos poniósł się po placu, a ostatnia sylaba odbiła echem wśród okolicznych budynków. – Czy ktoś mnie do niego zaprowadzi?

Echo przebrzmiało. Zapadła cisza. Thrawn opuścił dysk i czekał, ale nadal na próżno.

– Może nie rozumieją – zasugerował Pellaeon.

– Rozumieją – odparł chłodno Thrawn. – W każdym razie ludzie na pewno. Może potrzeba im większej motywacji.

Ponownie uniósł dysk.

– Szukam strażnika góry! – powtórzył. – Jeśli nikt mnie do niego nie zaprowadzi, ucierpi całe miasto!

Nie przebrzmiało jeszcze echo jego słów, gdy ktoś wypuścił ku nim strzałę. Pocisk trafił Thrawna w bok, o mały włos nie przebijając plecaka na isalamiry, ale odbił się od pancerza, który

wielki admirał nosił pod białym mundurem, i spadł na ziemię, nie robiąc mu krzywdy.

– Stój! – rzucił Thrawn, gdy Rukh skoczył do jego boku, trzymając blaster w gotowości. – Masz lokalizację?

– Tak! – zgrzytnął Noghri i wycelował broń w masywny, dwupiętrowy budynek na skraju placu.

– Dobrze – rzekł Thrawn i znów uniósł dysk do ust. – Jeden z waszych właśnie do nas strzelił. Przypatrzcie się konsekwencjom.

Opuścił dysk i skinął Rukhowi.

– Teraz.

Rukh uśmiechnął się lekko, zaciskając ostre niczym igły kły, i przystąpił do skrupulatnego, metodycznego niszczenia całej budowli.

Najpierw zasypał gradem strzałów drzwi i okna, zniechęcając potencjalnych napastników do dalszych ataków, a potem przeniósł ogień na dolne piętro. Przy dwudziestym strzale budowla zaczęła lekko drżeć. Rukh strzelił parokrotnie w górne piętro, potem w dolne i naraz…

Budynek zapadł się z ogłuszającym hukiem.

Thrawn odczekał, aż zapadnie cisza, po czym znów uniósł dysk.

– Oto konsekwencje sprzeciwiania się mojej woli! – zawołał. – Powtórzę pytanie raz jeszcze. Kto zaprowadzi mnie do strażnika góry?

– Ja! – rozległ się nowy głos.

Pellaeon odwrócił się na pięcie. Przed pałacem stał wysoki, chudy człowiek ze zmierzwionymi, siwymi włosami i brodą sięgającą niemalże po pępek. Nosił sandały z paskami oplatającymi łydki i starą, brązową szatę, a spod kosmyków brody połyskiwał jakiś medalion. Z jego ciemnej, poznaczonej zmarszczkami twarzy bił pełen wyniosłości majestat, a w spojrzeniu kryła się mieszanina zainteresowania i wzgardy.

Te same emocje pojawiły się w jego głosie.

– Jesteście obcymi – oznajmił i spojrzał na prom. – Spoza planety.

– Tak, to prawda – przyznał Thrawn. – A ty kim jesteś?

Starzec zerknął na dymiącą ruinę, która była dziełem Rukha.

– Zniszczyliście jeden z moich budynków! – powiedział. – Nie było takiej potrzeby.

– Zostaliśmy zaatakowani – powiedział chłodno Thrawn. – Byłeś właścicielem tego domu?

Pellaeon miał wrażenie, że oczy ich rozmówcy błysnęły, ale z tej odległości nie mógł stwierdzić tego na pewno.

– Ja tu władam! – rzekł starzec. W jego głosie czaiła się groźba. – Wszystko, co tu widzicie, należy do mnie.

Przez kilka uderzeń serca Thrawn oraz miejscowy władca spoglądali na siebie twardo. Pierwszy ciszę przerwał przybysz.

– Jestem wielki admirał Thrawn, wódz Imperium, sługa Imperatora. Szukam strażnika góry.

Starzec pochylił lekko głowę.

– Zaprowadzę was do niego.

Odwrócił się i ruszył w kierunku pałacu.

– Trzymajmy się blisko siebie – mruknął Thrawn. – To może być pułapka.

Nikt jednak nie odważył się już do nich strzelić, a niewielka grupka przybyszów z Imperium przemierzyła plac i podeszła do zwieńczonej łukiem bramy prowadzącej do pałacu.

– Wydawało mi się, że strażnik będzie mieszkał w samej górze – powiedział Thrawn, gdy ich przewodnik rozchylił przed nimi podwójne wrota. Nie stawiły wielkiego oporu, co oznaczało, że starzec dysponował większą siłą, niż na to wyglądał.

– Kiedyś tak było – rzucił przez ramię. – Gdy rozpoczynałem swoje rządy, mieszkańcy Waylandu zrobili dla niego to.

Stanął w centrum bogato zdobionego przedsionka, w połowie drogi do kolejnych podwójnych drzwi, i oznajmił:

– Wynocha!

Przez ułamek sekundy Pellaeon myślał, że starzec zwraca się do niego. Już otwierał usta, by go zbesztać, gdy po obu stronach pomieszczenia rozchyliły się ścianki i z sekretnych niewielkich kryjówek wyskoczyło dwóch niewysokich, chudych ludzi. Zmierzyli przybyszów z Imperium nieprzychylnymi spojrzeniami, zarzucili kusze na plecy i wyszli. Starzec zaczekał, aż zamkną się za nimi drzwi, i podszedł do kolejnych.

– Chodźcie! – zachęcił ich z dziwnym błyskiem w oczach. – Strażnik Imperatora czeka na was.

Drzwi rozchyliły się bezszelestnie. Ze środka padło na nich światło kilku setek świec rozstawionych wzdłuż ścian. Pellaeon zerknął na stojącego przy wejściu starca, a po jego plecach spłynął zimny dreszcz. Naraz nabrał złych podejrzeń. Odetchnął pełną piersią, puścił Rukha i Thrawna przodem, a sam wszedł za nimi.

Prosto do krypty.

Nie było wątpliwości co do przeznaczenia tego pomieszczenia. Nie licząc migoczących świec, w krypcie znajdowała się jedynie wielka, prostokątna płyta z czarnego kamienia.

– Rozumiem – rzekł cicho Thrawn. – A więc nie żyje.

– Tak, nie żyje – potwierdził stojący za nim starzec. – Widzi pan wszystkie te świece, admirale Thrawn?

– Widzę. – Oficer skinął głową. – Twój lud musiał bardzo go cenić.

– Cenić? – Starzec parsknął cicho. – Gdzieżby tam. Te świece palą się na grobach przybyszów spoza planety, którzy dotarli tu po jego śmierci.

Pellaeon obrócił się ku niemu, odruchowo wyciągając blaster.

Thrawn odczekał kilka uderzeń serca, po czym również się odwrócił, powoli i spokojnie.

– W jaki sposób zginęli? – zapytał.

Starzec uśmiechnął się blado.

– To ja ich pozabijałem, oczywiście. Tak jak zabiłem strażnika.

Uniósł ręce dłońmi skierowanymi ku nim.

– Tak jak teraz zabiję was.

Bez żadnego ostrzeżenia z jego palców wystrzeliły błękitne błyskawice…

…i zniknęły bez śladu w odległości metra przed nimi.

Wszystko wydarzyło się tak szybko, że Pellaeon nie miał nawet okazji drgnąć, a co dopiero wystrzelić. Było już za późno, ale mimo to poderwał broń. Jego dłonie owionęło gorące powietrze, pamiątka po błyskawicach.

– Nie strzelaj. – Ciszę przerwał spokojny głos Thrawna. – Jak sam widzisz, strażniku, nie jesteśmy zwykłymi przybyszami spoza

planety.

– Strażnik nie żyje! – warknął starzec, ale ostatnie słowo pochłonął trzask kolejnych błyskawic. Te również wyparowały bez śladu.

– Tak, stary strażnik na pewno nie żyje! – wykrzyknął Thrawn, próbując zagłuszyć trzask wyładowań. – Ty teraz nim jesteś! Ty strzeżesz góry Imperatora.

– Nie służę żadnemu Imperatorowi – odciął się ze złością starzec, uwalniając trzecią, równie nieskuteczną salwę. – Moja moc służy tylko mnie i nikomu więcej.

Jego ataki ustały równie niespodziewanie, jak się rozpoczęły. Starzec wpatrywał się w Thrawna i nie opuszczał dłoni, jednocześnie zdumiony i rozdrażniony.

– Nie jesteście Jedi – oznajmił. – A więc jak tego dokonaliście?

– Przyłącz się do nas, a się dowiesz – zaproponował Thrawn.

Tamten wyprostował się dumnie.

– Jestem mistrzem Jedi! – wychrypiał ze złością. – I nie mam zamiaru do nikogo się przyłączać!

– Rozumiem. – Thrawn pokiwał głową. – W takim razie pozwól, byśmy my przyłączyli się do ciebie. — Spojrzenie jego czerwonych oczu wgryzało się w starca. – Pozwól, byśmy ci pokazali, jak zgromadzić większą moc, niż możesz sobie wyobrazić. Moc, o której nawet mistrz Jedi może tylko pomarzyć.

Dłuższą chwilę starzec wpatrywał się w Thrawna, a przez jego twarz przemknęła seria różnych emocji.

– Dobrze – rzekł w końcu. – Chodźcie. Porozmawiajmy.

– Dziękuję. – Thrawn pochylił lekko głowę. – A czy mogę spytać, do kogo mamy zaszczyt się zwracać?

– Oczywiście! – Na obliczu starca znów pojawiła się wyniosłość, a gdy się odezwał, jego głos poniósł się echem po pustej krypcie. – Jestem mistrz Jedi Joruus C’baoth.

Pellaeon wciągnął ostro powietrze, a po plecach spłynął mu zimny dreszcz.

– Jorus C’baoth – szepnął. – Ale… – urwał.

C’baoth obrzucił go wzrokiem, jaki sam Pellaeon rezerwował dla młodszych oficerów, którzy wyrwali się z komentarzem nie na

miejscu.

– Chodźcie – powtórzył, odwracając się plecami do Thrawna. – Czeka nas rozmowa.

Wyprowadził ich z krypty i znów stanęli w blasku słońca. Tymczasem na placu zgromadziło się kilka grup ludzi, szepczących nerwowo i zachowujących bezpieczną odległość zarówno od krypty, jak i od promu.

Z jednym wyjątkiem. Kilka kroków przed nimi stał strażnik, którego C'baoth wyprosił z krypty. Z trudem panował nad furią, a w dłoniach trzymał napiętą kuszę.

– Zniszczyliście mu dom – odezwał się C'baoth niemalże swobodnym tonem. – Nic dziwnego, że marzy mu się zemsta.

Wtedy wojownik podrzucił kuszę do ramienia i nacisnął spust. Pellaeon instynktownie nachylił się i uniósł blaster…

Bełt nagle zatrzymał się w powietrzu, jakieś trzy metry przed oficerami Imperium.

Pellaeon wpatrywał się w lewitujący pocisk z drewna i metalu. Jego umysł powoli chłonął to, co się właśnie wydarzyło.

– To nasi goście. – C'baoth zwrócił się do strażnika, ale podniósł głos, najwidoczniej chcąc, by jego słowa dotarły do wszystkich zgromadzonych na placu. – I należy traktować ich tak, jak na to zasługują.

Bełt pękł z głośnym trzaskiem i spadł na ziemię. Strażnik powoli, niechętnie opuścił kuszę, ale w jego oczach nadal płonął potężny gniew. Thrawn odczekał chwilę, po czym skinął na Rukha. Noghri uniósł blaster i nacisnął spust.

Niespodziewanie od ziemi oderwał się płaski kamień i w okamgnieniu znalazł się na linii strzału, rozpadając się na kawałki, gdy trafiła w niego wiązka.

Thrawn odwrócił się ku C'baothowi. Na jego twarzy malowały się zaskoczenie i gniew.

– C'baoth!

– To moi poddani, wielki admirale! – Starzec przerwał mu głosem wykutym ze stali. – Nie twoi, a moi. Jeśli któryś z nich zasłużył sobie na karę, ja ją wymierzę.

Przez dłuższą chwilę obaj mężczyźni spoglądali sobie w oczy, po czym Thrawn z zauważalnym trudem odzyskał panowanie nad sobą.

– Oczywiście, mistrzu C'baoth – rzekł. – Wybacz.

Jedi pokiwał głową.

– Lepiej. Znacznie lepiej. – Spojrzał nad ramieniem Thrawna na swojego strażnika i skinął mu głową na znak, żeby odszedł. – Chodźcie. – Przeniósł znów wzrok na wielkiego admirała. – Pora, byśmy porozmawiali.

– Chcę się dowiedzieć – C'baoth wskazał gościom niskie poduszki – w jaki sposób odparliście mój atak.

– Pozwól, że najpierw przedstawię naszą ofertę – rzekł Thrawn. Rozejrzał się od niechcenia po pomieszczeniu, po czym usiadł na poduszkach. Pellaeon był przekonany, że jego zwierzchnik podziwia dzieła sztuki na ścianach. – Myślę, że okaże się ona…

– Chcę się dowiedzieć, w jaki sposób odparliście mój atak – powtórzył C'baoth.

Na ustach Thrawna pojawił się lekki grymas, nad którym natychmiast zapanował.

– Tak naprawdę to bardzo proste. – Wielki admirał dotknął isalamira owiniętego wokół jego ramion i pogłaskał łagodnie palcem jego grzbiet. – Te stworzenia, które widzisz na naszych plecach, zwą się isalamiry. To istoty prowadzące nadrzewny tryb życia na odległej planecie trzeciej klasy i nie byłoby w nich nic szczególnego, gdyby nie jedna niezwykła i przypuszczalnie unikatowa właściwość. Mianowicie odpychają Moc.

– Co masz na myśli? – C'baoth zmarszczył brwi. – Jak to odpychają?

– Nie dopuszczają Mocy do siebie, i to wszystko – wyjaśnił Thrawn. – Mniej więcej jak bąbel powietrza, który przepycha się przez wodę i opiera się jej naciskowi. Bywa, że jeden isalamir stwarza bąbel o średnicy dziesięciu metrów, a gdy jest ich więcej i mogą się nawzajem wspierać, strefa ochronna rośnie.

– Nigdy dotąd nie słyszałem o czymś takim! – C'baoth wpatrywał się w isalamira Thrawna z niemalże dziecięcą fascynacją. – Jak to

możliwe, że coś takiego w ogóle powstało?

– Nie mam pojęcia – przyznał Thrawn. – Przypuszczam, że łatwiej im w ten sposób przetrwać, ale doprawdy nie wiem, przed czym miałyby się bronić. – Uniósł brew. – Właściwie nie ma to znaczenia. Póki co wystarczy mi sama umiejętność.

Twarz C'baotha pociemniała.

– Wystarczy do czego? By mnie pokonać?

Thrawn wzruszył ramionami.

– Spodziewaliśmy się zastać tu strażnika Imperatora. Musiałem mieć pewność, że ten pozwoli nam się przedstawić i wyjaśnić, na czym polega nasze zadanie.

Wyciągnął rękę i raz jeszcze pogładził grzbiet isalamira.

– Choć ochrona przed strażnikiem okazała się jedynie dodatkową korzyścią, bo mam dla naszych milusińskich o wiele ważniejsze zadanie.

– Czyli?

Thrawn się uśmiechnął.

– Wszystko w swoim czasie, mistrzu C'baoth. Poza tym dowiesz się wszystkiego dopiero po tym, jak obejrzymy magazyny Imperatora w górze Tantiss.

C'baoth się skrzywił.

– A więc tak naprawdę zależy wam na górze.

– Tak, jest nam potrzebna, nie ma co do tego żadnych wątpliwości – przyznał Thrawn. – A raczej to, co spodziewam się w niej znaleźć.

– Czyli?

Thrawn przyglądał mu się przez moment.

– Krążą plotki, że tuż przed bitwą o Endor naukowcy pracujący dla Imperatora opracowali dla naszej floty skuteczny, działający system maskujący. Chcę go otrzymać. Ponadto – dodał niemalże od niechcenia – zależy mi jeszcze na pewnym mało istotnym drobiazgu, który również jest dziełem naszej technologii.

– I spodziewasz się znaleźć ten system tu? We wnętrzu góry?

– Spodziewam się znaleźć działający podzespół bądź przynajmniej kompletny zestaw schematów – rzekł Thrawn. – Imperator założył tę

placówkę po to, by interesujące i potencjalnie pożyteczne wynalazki nie zostały zagubione.

– I by gromadzić gdzieś pamiątki swoich rozlicznych podbojów – parsknął C'baoth. – Są tam całe sale pełne hologramów, w których gratuluje sam sobie.

Pellaeon się wyprostował.

– Byłeś w środku?

Spodziewał się, że magazynu będą broniły liczne zamki, bariery oraz stalowe drzwi.

C'baoth obrzucił go spojrzeniem, w którym pobłażliwość mieszała się z pogardą.

– Oczywiście, że byłem w środku. Już zapomniałeś, że zabiłem strażnika?

Przeniósł spojrzenie na Thrawna.

– A więc chcesz odzyskać zabawki Imperatora, a teraz wiesz już, że do wnętrza góry można wejść bez mojej pomocy. Dlaczego nadal tu siedzicie?

– Bo góra to tylko jedna rzecz, której mi potrzeba – wyjaśnił Thrawn. – Zależy mi na sojuszu z mistrzem Jedi takim jak ty.

C'baoth umościł się wśród poduszek, a na jego ustach, ginących wśród brody, pojawił się cyniczny uśmiech.

– No, wreszcie przechodzimy do sedna. Zdaje się, że to ten moment, w którym oferujecie mi potęgę o wiele większą, niż mistrzowi Jedi mogłoby się śnić?

Thrawn odpowiedział uśmiechem.

– Tak, to prawda. Powiedz mi, mistrzu C'baoth, czy słyszałeś o opłakanej w skutkach klęsce floty imperialnej podczas bitwy o Endor pięć lat temu?

– Słyszałem jedynie plotki. Jeden z przybyszów powiedział mi coś o niej. – C'baoth zerknął przez okno na pałac z kryptą znajdujący się po drugiej stronie placu. – Choć nie miał wiele czasu.

Pellaeon przełknął ślinę, ale Thrawn najwyraźniej nie zwrócił uwagi na zawoalowaną groźbę.

– A więc pewnie się zastanawiasz, w jaki sposób niewielka grupka okrętów Rebelii zdołała rozbić flotę Imperium, przewyższającą ją siłą ogniową w stosunku jeden do dziesięciu.

– Nie poświęciłem wiele czasu rozważaniom na ten temat – rzekł sucho C'baoth. – Po prostu założyłem, że Rebelianci byli lepszymi wojownikami.

– Nie jest to do końca błąd – zgodził się Thrawn. – Rebelianci w istocie walczyli lepiej, ale nie zawdzięczali tego wcale swoim szczególnym talentom czy też szkoleniom. Działali lepiej od floty, gdyż Imperator stracił życie.

Przeniósł wzrok na Pellaeona.

– Był pan tam, kapitanie. Na pewno zwrócił pan uwagę na nagłą utratę koordynacji załóg oraz spadek wydajności okrętów i załamanie dyscypliny. Niespodziewanie nasze siły utraciły ten trudny do sprecyzowania czynnik, który zwiemy duchem walki.

– Tak, powstało pewne zamieszanie – przyznał sztywno Pellaeon. Zaczynał powoli widzieć, do czego zmierza Thrawn, i wcale mu się to nie podobało. – Ale wszystko to da się wytłumaczyć napięciem związanym z walką – dodał.

Jedna błękitnoczarna brew uniosła się nieco.

– Doprawdy? A utrata „Executora"? A chaos pośród pilotów myśliwców TIE, który doprowadził do zniszczenia Gwiazdy Śmierci? A strata sześciu innych gwiezdnych niszczycieli w starciach, które okręty tej klasy powinny wygrać bez trudności? To dla pana zwykłe napięcie bitewne?

– Imperator nie dowodził w bitwie – warknął Pellaeon. W jego sercu obudził się ogień. – Nie wydał ani jednego rozkazu. Byłem tam, admirale, i wiem to.

– Tak, kapitanie, był pan tam. – Głos Thrawna nieoczekiwanie stwardniał. – I nadszedł czas, by przejrzał pan na oczy i ujrzał prawdę, nawet jeśli wyda się panu gorzka. Nie miał pan już w sobie ducha walki. Ba, nie miał go nikt w całej flocie imperialnej! Pchała was do działania jedynie wola Imperatora! Tylko jego umysł dawał wam siłę, tylko dzięki niemu umieliście odnaleźć w sobie zdecydowanie i skuteczność działania. Byliście uzależnieni od jego obecności, niczym podzespoły komputera wojennego.

– To nieprawda! – zaprzeczył gwałtownie Pellaeon, którego żołądek został skręcony bólem. – Absolutnie nie! Przecież po jego śmierci kontynuowaliśmy walkę!

– Tak – odezwał się Thrawn cichym, pełnym wzgardy głosem. – Walczyliście. Jak kadeci.

– A więc po to jestem ci potrzebny, admirale? – parsknął C'baoth. – Mam zamienić wasze okręty bojowe w kukiełki posłuszne twojej woli?

– Nie, skądże znowu, mistrzu C'baoth – odparł Thrawn, którego głos znów stał się idealnie spokojny. – Analogia z podzespołami komputera wojennego została wybrana celowo i dobrze przemyślana. O klęsce Imperatora zadecydował jeden błąd: chciał bowiem osobiście kontrolować całą flotę, przez cały czas i bez wyjątków. Na dłuższą metę było to rozwiązanie nieskuteczne i w istocie źle się dla niego skończyło. Ja zaś życzę sobie, byś poprawił koordynację między okrętami a grupami uderzeniowymi. I to tylko w krytycznych momentach i w starannie wybranych sytuacjach na polu walki.

C'baoth spojrzał na Pellaeona.

– W imię czego? – burknął.

– W imię tego, o czym już rozmawialiśmy – rzekł Thrawn. – W imię potęgi.

– Jakiej potęgi?

Thrawn wydawał się zaskoczony, po raz pierwszy od chwili lądowania.

– Mam, oczywiście, na myśli władzę nad światami. Ostateczną porażkę Rebelii. Powrót do chwały Nowego Ładu Imperium.

C'baoth pokręcił głową.

– Nie wie pan, co to potęga, admirale. Podbijanie planet, których nigdy już później nie odwiedzisz, to nie potęga. Nie jest nią również niszczenie okrętów i ludzi, którym człowiek nigdy nie spojrzał w oczy.

Zatoczył łuk ręką.

– Oto potęga, wielki admirale Thrawn. To miasto, ta planeta, ci ludzie. Każdy człowiek, każdy Psadan i każdy Myneyrsh, którzy tu mieszkają, są moi. Moi!

Jego wzrok znów powędrował ku oknu.

– To ja ich uczę. Ja im rozkazuję. Ja wymierzam im karę. Zaciskam dłoń na życiu i śmierci każdego z nich.

– I dokładnie to chcę ci dać – rzekł Thrawn. – Miliony żywotów. Miliardy, jeśli sobie zażyczysz. Miliardy ludzi, z którymi będziesz mógł robić to, co ci się żywnie podoba.

– To nie to samo – odparł C'baoth z ojcowską cierpliwością w głosie. – Nie mam ochoty z daleka sprawować władzy nad anonimowymi tłumami ludzi.

– Możesz więc sobie wybrać jedno miasto, którym mógłbyś władać – nalegał Thrawn. – Duże, małe, jakiego sobie zażyczysz.

– Władam już miastem.

Thrawn zmarszczył brwi.

– Potrzebuję twojej pomocy, mistrzu C'baoth. Podaj cenę.

– Cenę? – Uśmiechnął się C'baoth. – Cenę za moją służbę?

Niespodziewanie jego uśmiech znikł.

– Jestem mistrzem Jedi, wielki admirale – syknął ostrzegawczo. – A nie najemnikiem jak twój Noghri. — Obrzucił pogardliwym spojrzeniem Rukha, który siedział z boku w milczeniu. – Tak, Noghri. Dobrze wiem, czym oni są. To osobiści Komandosi Śmierci Imperatora, którzy zabijają i sami giną dla kaprysu ambitnych ludzi jak Darth Vader oraz siedzący tu wielki admirał.

– Lord Vader służył Imperatorowi i Imperium – wyrzęził Rukh. Wpatrywał się ciemnymi oczyma w C'baotha, nie mrugając. – Tak jak my.

– Nie wątpię – C'baoth zwrócił się do Thrawna. – Mam wszystko, czego mi trzeba, wielki admirale Thrawn. Bezzwłocznie opuśćcie Wayland.

Thrawn ani drgnął.

– Potrzeba mi twojej pomocy – powtórzył cicho. – I otrzymam ją.

– Bo co? – zadrwił C'baoth. – Bo każesz swoim Noghri, by spróbowali mnie zabić? Byłoby to niemal zabawne widowisko. — Spojrzał na Pellaeona. – A może rozkażesz swojemu dzielnemu dowódcy floty, by z orbity zrównał z ziemią moje miasto? Ale zaraz, nie możecie przecież ryzykować zawalenia się góry.

– Moi artylerzyści rozbiliby to miasto, nie przypalając nawet trawy na zboczach góry Tantiss – odciął się Pellaeon. – Jeśli mam zademonstrować…

– Niech się pan nie unosi, kapitanie – przerwał mu ze spokojem Thrawn. – A więc życzy pan sobie sprawować władzę osobiście, mistrzu C'baoth? Twarzą w twarz? Potrafię to jak najbardziej zrozumieć, choć nie wydaje mi się, by kryło się w tym duże wyzwanie. Odnoszę wrażenie, że te czasy już minęły. Chociaż – dodał w zadumie, spoglądając przez okno – może rzeczywiście na niczym więcej już panu nie zależy. Przypuszczam, że nawet mistrzowie Jedi w pewnym momencie robią się zbyt starzy na nowe wyzwania i wolą już tylko siedzieć na ławeczce w słońcu.

Oblicze C'baotha spochmurniało.

– Ostrożnie, admirale – ostrzegł go. – Bo zniszczenie waszej trójki to również wyzwanie.

– Wręcz przeciwnie, rzekłbym. Dla człowieka, który posiadł taką potęgę i dysponuje takimi możliwościami, z pewnością nie byłoby to wyzwanie. – Thrawn wzruszył ramionami. – Popraw mnie, jeśli się mylę, ale masz tu innych Jedi pod swoimi rozkazami?

C'baoth wzruszył ramionami, najwyraźniej zaskoczony raptowną zmianą tematu.

– Innych Jedi? – powtórzył.

– Oczywiście. Przecież wypada, by mistrz Jedi miał na swoje usługi innych, którzy nie osiągnęli jego statusu. Jedi, którymi mógłby przewodzić i których mógłby zarówno uczyć, jak i karać.

Przez twarz C'baotha przemknął cień.

– Nie ma już Jedi – burknął. – Imperator oraz Vader wytępili ich wszystkich.

– Nie wszystkich – powiedział cicho Thrawn. – Dwoje nowych pojawiło się w ciągu ostatnich pięciu lat. To Luke Skywalker i jego siostra Leia Organa Solo.

– I jakie to ma dla mnie znaczenie?

– Mogę ci ich dostarczyć.

Przez długą chwilę C'baoth wpatrywał się w niego, a na jego twarzy niedowierzanie i pragnienie dominacji walczyły o lepsze. Wygrało pragnienie.

– Oboje?

– Oboje. – Thrawn skinął głową. – Pomyśl tylko, co człowiek o twoim doświadczeniu mógłby zrobić z młodymi Jedi. Mógłbyś ich

formować, zmieniać, przekształcać w dowolny sposób. Co tylko sobie życzysz. — Uniósł brew i dodał: – A wraz z nimi otrzymałbyś też niespodziankę. Otóż Leia jest w ciąży. Spodziewa się bliźniaków.

C'baoth wciągnął gwałtownie powietrze.

– Bliźnięta Jedi? – zasyczał.

– Moje źródła utrzymują, że mają potencjał. – Thrawn się uśmiechnął. – Choć to, czym się staną, będzie w całości zależało od ciebie.

C'baoth zerknął na Pellaeona, a potem na Thrawna, po czym wstał powoli, majestatycznie.

– Dobrze, wielki admirale – rzekł. – Dołączę do twoich sił w zamian za Jedi. Zaprowadźcie mnie na wasz okręt.

– Powoli, mistrzu C'baoth. – Thrawn również się podniósł. – Najpierw czeka nas eksploracja góry Imperatora. Nasza umowa zależy od tego, czy znajdę to, czego szukam.

– Oczywiście. – Oczy C'baotha rozbłysnęły. – Miejmy więc obaj nadzieję – rzekł z groźbą w głosie – że nie wyjdziesz stąd z pustymi rękami.

Pellaeon nie miał pojęcia, że górska twierdza okaże się tak ogromna. Poszukiwania trwały siedem godzin, ale udało im się znaleźć oba skarby, na których zależało Thrawnowi, zarówno moduł maskujący, jak i mało istotny drobiazg, będący dziełem imperialnej technologii.

Drzwi do pokoju dowodzenia admirała Thrawna rozsunęły się i do środka wkroczył Pellaeon.

– Mogę zamienić z panem słowo, admirale?

– Oczywiście, kapitanie – odparł Thrawn, który siedział w sercu podwójnego kręgu dzieł sztuki. – Proszę wejść. Czy są jakieś nowe informacje z pałacu imperialnego?

– Nie, sir, od wczoraj nie dotarło nic nowego – odparł Pellaeon i podszedł do skraju kręgu. W myślach raz jeszcze powtórzył sobie to, co miał zamiar przedstawić zwierzchnikowi. – Mogę jednak wysłać zapytanie, jeśli sobie pan życzy.

– Przypuszczalnie będzie to zbyteczne. – Thrawn pokręcił głową. – Wygląda na to, że szczegóły wyprawy na Bimmisaari zostały już mniej więcej uzgodnione. Wystarczy więc postawić w stan gotowości jedną z grup komandosów – myślę, że Zespół Ósmy się nada – i będziemy mieli naszych Jedi.

– Tak, sir. – Pellaeon nabrał tchu i odważył się kontynuować: – Admirale… Przychodzę, by zameldować, że nie jestem całkiem przekonany co do sensowności układów z C'baothem. Jeśli mam być szczery, myślę, że on nie jest do końca poczytalny.

Thrawn uniósł brew.

– Oczywiście, że nie jest poczytalny. Co więcej, nie jest to też Jorus C'baoth.

Pellaeon rozdziawił usta.

– Co takiego?

– Jorus C'baoth nie żyje – poinformował go Thrawn. – Był jednym z sześciu mistrzów Jedi na pokładzie „Lotu Pozagalaktycznego" wysłanego przez Starą Republikę. Nie wiem, czy znajdował się pan wówczas wystarczająco wysoko w hierarchii służbowej, by wiedzieć o tej misji.

– Słyszałem plotki. – Pellaeon zmarszczył brwi, próbując przypomnieć sobie jak najwięcej. – Wydaje mi się, że było to coś na kształt zuchwałej próby rozciągnięcia władzy Starej Republiki poza galaktykę, którą podjęto przed wybuchem wojny klonów. Więcej nic o niej nie słyszałem.

– A to dlatego, że nie było już co usłyszeć – rzekł spokojnym tonem Thrawn. – Statek został przechwycony przez grupę uderzeniową poza obszarem Starej Republiki i zniszczony.

Pellaeon wpatrywał się w admirała, a po jego plecach spływały dreszcze.

– Skąd pan wie?

Thrawn uniósł brwi.

– Bo to ja byłem dowódcą tej grupy. Już wtedy Imperator zdawał sobie sprawę z tego, że Jedi należy eksterminować. Sześciu mistrzów na jednym statku okazało się zbyt tłustym kąskiem, by go zignorować.

Pellaeon oblizał usta.

– A więc kim…

– …jest człowiek, którego sprowadziliśmy na pokład „Chimaery”? – dokończył za niego Thrawn. – Wydawało mi się, że to oczywiste. Joruus C’baoth… niech pan zwróci uwagę na istotną różnicę w wymowie imienia „Jorus”… jest klonem.

– Klonem? – Pellaeon wpatrywał się w niego.

– Bez wątpienia – rzekł Thrawn. – Wyhodowanym z próbki tkanki pobranej jakiś czas przed śmiercią prawdziwego C’baotha.

– Czyli, innymi słowy, gdzieś na początku wojny. – Pellaeon przełknął ślinę. Tworzone wówczas klony, a przynajmniej te, z którymi zetknęła się flota, okazywały się wysoce niestabilne, zarówno mentalnie, jak i emocjonalnie. Zaburzenia niektórych osobników były wręcz spektakularne. – I mimo to sprowadził pan to coś na pokład mojego okrętu? – spytał ostro.

– A może życzyłby pan sobie, byśmy ściągnęli dojrzałego Mrocznego Jedi? – spytał go chłodno Thrawn. – Może nawet drugiego Dartha Vadera, obdarzonego wielką mocą i jeszcze większą ambicją, dzięki czemu szybko przejąłby władzę nad pańskim okrętem? Nie zdaje sobie pan sprawy z tego, jakim jest pan szczęściarzem.

– Mroczny Jedi przynajmniej byłby przewidywalny – zripostował Pellaeon.

– Joruus C’baoth jest również dość przewidywalny – zapewnił go Thrawn. – A jeśli straci panowanie nad sobą – kiedy to mówił, machnął ręką w stronę ekranów pokazujących najrozmaitsze schematy – zawsze możemy liczyć na isalamiry.

– Nadal mi się to nie podoba – skrzywił się Pellaeon. – Z jednej strony ledwie jesteśmy w stanie uchronić przed nim okręt, a z drugiej mamy liczyć na to, że będzie koordynował ataki floty.

– To ryzyko wliczone w cenę – zgodził się Thrawn. – Niemniej ryzyko zawsze było nieodłączną częścią działań wojennych. W tym konkretnym wypadku potencjalne korzyści przyćmiewają ewentualne niebezpieczeństwa.

Pellaeon pokiwał niechętnie głową. Nie podobało mu się to rozwiązanie i czuł, że nigdy się do niego nie przekona, ale nie miał wątpliwości, że Thrawn podjął już decyzję.

– Tak jest, sir – mruknął. – Mówił pan o poinformowaniu Zespołu Ósmego. Czy chce pan, bym się tym zajął?

– Nie, ja to zrobię. – Thrawn uśmiechnął się sardonicznie. – Wszak jestem ich znamienitym przywódcą i tak dalej. Sam pan wie, jacy są Noghri. Jeśli nie dręczy pana nic więcej…

Nie było wątpliwości, że Thrawn go odprawia.

– Nie, sir – powiedział Pellaeon. – Będę na mostku, jeśli będzie mnie pan potrzebował.

Odwrócił się.

– Klon przyniesie nam zwycięstwo, kapitanie! – zawołał za nim cicho wielki admirał. – Niech pan odsunie swoje lęki i skupi się na przyszłości.

„O ile nas wcześniej nie pozabija” – pomyślał Pellaeon, a głośno powiedział:

– Tak jest, sir!

I wyszedł.

Rozdział 5

Han zakończył czytanie raportu, rozsiadł się wygodnie i przygotował na krytykę.

Nie musiał czekać długo.

– Czyli pańscy przyjaciele przemytnicy znów nie mają ochoty się zaangażować? – odezwał się admirał Ackbar. W jego głosie pojawiły się obrzydzenie i zniechęcenie, a wysoka czaszka poruszyła się dwukrotnie w geście niezrozumiałym dla każdego, kto nie był Kalamarianinem. Ogromne oczy zamrugały w tym samym tempie. – Zapewne pamięta pan, że od samego początku byłem przeciwny temu pomysłowi? – dodał, wskazując raport Hana dłonią o palcach połączonych błoną.

Han zerknął na siedzącą naprzeciwko niego Leię.

– Tu nie chodzi o zaangażowanie w naszą sprawę, admirale, a o to, że większość przemytników po prostu nie dostrzega korzyści, dla których mieliby porzucić dotychczasową działalność i przejść na zwykły fracht.

– A może po prostu nam nie ufają? – rozległ się melodyjny głos, należący do kolejnej osoby z obcej rasy. – Czy się mylę?

Han nie zdołał opanować grymasu.

– Tak, to możliwe – rzekł i zmusił się do spojrzenia na Borska Fey'lyę.

– Możliwe? – Fey'lya otworzył szeroko fioletowe oczy, a jasnobrązowe futro porastające całe jego ciało zafalowało lekko. Wśród Bothan ten gest wyrażał uprzejme zdziwienie, a Fey'lya sięgał po niego często. – Powiedział pan: *możliwe*, kapitanie Solo?

Han westchnął cicho i poddał się. Wiedział, że Fey'lya w ten czy inny sposób i tak zmusi go do powiedzenia prawdy.

– Niektóre grupy, z którymi rozmawiałem, w istocie nam nie ufają – przyznał. – Myślą, że nasza oferta to podstęp, który ma ich wywabić z kryjówek.

– A przyczyną, oczywiście, jestem ja – warknął Ackbar, a jego skóra, zazwyczaj łososiowego koloru, pociemniała nieco. – Nie znudził się pan jeszcze odbijaniem tego samego terytorium, Fey'lya?

Ten znów otworzył szeroko oczy. Przez moment obaj wpatrywali się w siebie, a napięcie wokół stołu narastało. Han wiedział, że nie przepadali za sobą od chwili, gdy po bitwie o Yavin Fey'lya wciągnął do Sojuszu sporą frakcję Bothan. Od samego początku Fey'lya walczył o wpływy i pozycję. Zawierał umowy i układy wszędzie, gdzie mógł, nie robiąc żadnej tajemnicy z tego, że oczekuje objęcia ważnego urzędu w systemie politycznym tworzonym przez Mon Mothmę. Ackbar uważał podobne ambicje za niebezpieczne marnotrawstwo czasu i energii, tym bardziej że przyszłość Sojuszu była wówczas niepewna, i nie owijając niczego w bawełnę, z typową dla siebie bezpośredniością wygłaszał te uwagi na głos.

Zważywszy na to, że Ackbar cieszył się sławą wielkiego, odnoszącego sukcesy dowódcy, Han przypuszczał, że Fey'lya prędzej czy później skończyłby na jakiejś pomniejszej rządowej posadce, gdyby nie to, że szpiedzy, którzy odkryli lokalizację nowej Gwiazdy Śmierci, należeli do grupy Bothan Fey'lyi.

Zajęty pilniejszymi sprawami, Han nawet nie zauważył, w jaki sposób Fey'lya wykorzystał ten sukces, by osiągnąć obecną pozycję w Radzie. I szczerze powiedziawszy, chyba nie chciał się tego dowiedzieć.

– Ja jedynie próbuję poukładać sobie sytuację w głowie, admirale – rzekł Fey'lya, gdy zapadła ciężka cisza. – I dochodzę do wniosku, że nie ma sensu wysyłać cennych ludzi, takich jak kapitan Solo, z takimi zadaniami, skoro każda z tych misji jest z góry skazana na niepowodzenie.

– One nie są skazane na niepowodzenie! – wtrącił się Han. Kątem oka zauważył, że Leia obrzuca go ostrzegawczym spojrzeniem, ale zignorował ją. – Przemytnicy, którzy nas interesują, są niczym konserwatywni ludzie interesu. Nie angażują się w nic nowego, jeśli tego sobie dobrze nie przemyślą. Zobaczycie, że się zjawią.

Fey'lya wzruszył ramionami, a jego futro znów zafalowało.

– A tymczasem marnujemy czas i energię, nie otrzymując nic w zamian.

– Posłuchaj, nie da się stworzyć nic…

Rodzącą się kłótnię przecięło ledwie słyszalne stuknięcie młotka, które dobiegło od szczytu stołu.

– Przemytnicy – odezwała się cichym głosem Mon Mothma, omiatając surowym wzrokiem każdego z siedzących przy stole – czekają na to samo, co reszta galaktyki, czyli na formalny powrót praw i zasad Starej Republiki. To jest nasze pierwsze i najważniejsze zadanie, radcy. Mamy stać się Nową Republiką nie tylko z nazwy.

Han spojrzał w oczy Lei i tym razem to on obrzucił ją ostrzegawczym spojrzeniem. Leia skrzywiła się, ale pokiwała lekko głową i milczała.

Mon Mothma pozwoliła, by cisza potrwała jeszcze chwilę, po czym ponownie rozejrzała się dookoła stołu. Han złapał się na tym, że przygląda się jej uważnie. Zauważył coraz głębsze zmarszczki na jej twarzy i pasemka siwizny we włosach. Uświadomił sobie również, że jej szyja nie jest już smukła, a raczej chuda. Postarzała się od chwili ich pierwszego spotkania w czasach, gdy Sojusz desperacko poszukiwał drogi ucieczki z cienia rzucanego przez drugą Gwiazdę Śmierci Imperium. Od tego momentu Mon Mothma znajdowała się w samym środku ogromnego zamieszania, które towarzyszyło tworzeniu nowego, działającego sprawnie rządu, i wysiłek z tym związany odcisnął już na niej swoje piętno.

Jej oczy jednakże nadal gorzały tym samym cichym ogniem, co wtedy. Tym samym ogniem, który – jeśli wierzyć opowieściom – płonął w nich od historycznej chwili, gdy zerwała z Nowym Ładem Imperatora i założyła Sojusz Rebeliantów. Była twardą, mądrą kobietą, która w pełni panowała nad sytuacją, i wszyscy obecni zdawali sobie z tego sprawę.

Jej spojrzenie zatoczyło pełen krąg i spoczęło na Hanie.

– Kapitanie Solo, dziękuję za raport oraz za pańskie starania. Niniejszym ogłaszam, że nasze spotkanie dobiegło końca.

Raz jeszcze uderzyła młotkiem i wstała. Han zamknął teczkę i przepchnął się przez tłum wstających, rozmawiających członków Rady na drugą stronę stołu.

– A więc – odezwał się cichym głosem, stanąwszy za plecami Lei, która również zbierała swoje rzeczy. – Wynosimy się stąd?

– Im szybciej, tym lepiej – odpowiedziała szeptem księżniczka. – Muszę tylko oddać to Winter.

Han rozejrzał się i rzekł jeszcze ciszej:

– Coś mi mówi, że doszło do ostrych spięć, zanim mnie wezwano.

– Nie było gorzej niż na ogół – odparła Leia. – Fey'lya i Ackbar, jak zwykle uprzejmi i stonowani, znów się pożarli, tym razem o porażkę w Obroa-skai. Wiesz, Elominowie utracili tam swoją grupę uderzeniową. Według Fey'lyi, choć jego uwagi są zawoalowane, stanowisko głównodowodzącego floty przerasta Ackbara. A potem oczywiście Mon Mothma...

– Czy mogę zamienić z tobą słowo, Leio? – Głos Mon Mothmy rozległ się za plecami Hana.

Kapitan Solo odwrócił się ku niej. Leia uczyniła to samo, choć miał wrażenie, że w jej ruchach pojawiło się napięcie.

– Tak?

– Zapomniałam cię spytać, czy rozmawiałaś z Lukiem o wyprawie na Bimmisaari – odezwała się Mon Mothma. – Miałaś poprosić go, by poleciał z tobą. Zgodził się?

– Tak – rzekła księżniczka i spojrzała przepraszająco na męża. – Przykro mi, Han, nie miałam okazji, by o tym powiedzieć. Bimmowie przysłali wczoraj wiadomość, że życzą sobie, by Luke towarzyszył mi w rozmowach.

– Bimmowie sobie tego zażyczyli, co? – Han uświadomił sobie, że jakiś rok temu wpadłby w furię na wieść o tym, że mozolnie ułożony i dopięty na ostatni guzik plan staje na głowie na moment przed realizacją. Chyba powoli przejmował dyplomatyczną cierpliwość od Lei.

Albo po prostu nie był już człowiekiem tak twardym i nieustępliwym jak kiedyś.

– Podali jakieś powody?

– Bimmowie przepadają za bohaterami – rzekła Mon Mothma, nim Leia zdołała odpowiedzieć, przyglądając się uważnie twarzy Hana. Być może próbowała rozgryźć, jak bardzo zdenerwowała go

zmiana planów. – A udział Luke'a w bitwie o Endor odbił się szerokim echem.

– Tak, słyszałem o tym co nieco – odparł Han, próbując zapanować nad sarkazmem w głosie. Nie przeszkadzało mu to, że Luke znalazł się w panteonie herosów Nowej Republiki, bo chłopak zdecydowanie sobie na to zasłużył, ale skoro Mon Mothmie zależało na tym, by móc się pochwalić jakimś Jedi, powinna pozwolić Lei na kontynuację nauki, a nie zrzucać na nią całą robotę dyplomatyczną. W tym tempie ambitny ślimak był w stanie szybciej zostać Jedi niż ona.

Leia odnalazła jego dłoń i zacisnęła na niej palce. Han odpowiedział tym samym, aby dać jej znać, że nie jest wcale zły, choć pewnie już to wiedziała.

– Dobrze, ruszajmy więc – powiedziała Mon Mothmie i trzymając Hana za rękę, ruszyła ku drzwiom. – Musimy jeszcze zebrać droidy przed wylotem.

– Udanej podróży – powiedziała z powagą Mon Mothma. – I powodzenia!

– Droidy są już na „Sokole" – poinformował ją Han, gdy wymijali grupki pogrążonych w rozmowie członków Rady. – Chewie zgarnął je w trakcie narady.

– Wiem – mruknęła Leia.

– Racja – bąknął Han i powstrzymał się od dalszych komentarzy.

Leia uścisnęła jego dłoń.

– Wszystko będzie w jak najlepszym porządku, Han. Ty, ja i Luke znów wybieramy się w drogę. Jak za dawnych czasów!

– Pewnie – odparł Han.

„Będziemy siedzieć wśród włochatych Bimmów oraz tych karzełków, którzy zamieszkują planetę razem z nimi, i bez końca słuchać tłumaczenia C-3PO, próbując jednocześnie wniknąć w psychikę i mentalność miejscowych po to, by dowiedzieć się, co pozwoli nam przeciągnąć ich na stronę Nowej Republiki".

– Jasne – powtórzył z westchnieniem. – Dokładnie jak za starych, dobrych czasów.

Rozdział 6

Rozkołysane, należące do miejscowej flory drzewa niczym ogromne macki odchylały się od miejsca, w którym Han Solo sadzał „Sokoła Millennium” na ziemi. Kilka podskoków później statek kosmiczny znieruchomiał na nierównym podłożu.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił głośno, nie kierując swoich słów do nikogo z obecnych. – Oto Bimmisaari, miejsce słynące z futer i ruchliwych roślin.

– Obawiam się, że sprawa jest nieco bardziej złożona – ostrzegła go Leia, która odpinała pasy na fotelu za jego plecami, stosując jednocześnie jedną z technik relaksacyjnych, których nauczył ją Luke. Rozmowy polityczne ze znanymi ludźmi nie przedstawiały dla niej trudności, ale misje dyplomatyczne z nieznanymi rasami stanowiły wyzwanie o wiele bardziej skomplikowane.

– Dasz sobie radę! – powiedział siedzący za nią Luke i zacisnął dłoń na jej ramieniu.

Han zerknął za siebie.

– Możecie przestać? – jęknął. – Coraz lepiej wychodzą wam te sztuczki Jedi i mam wrażenie, że słyszę jedynie połowę każdej z waszych rozmów.

– Przykro mi – rzekł Luke. Podniósł się i pochylił, by spojrzeć przez jedno z dziobowych okien „Sokoła”. – Wygląda na to, że nasz komitet powitalny już się zebrał. Przygotuję Threepio.

– Dołączymy do was za minutę! – zawołała za nim Leia. – Gotów, Han?

– Taaa – odparł, sprawdzając, czy blaster wychodzi łatwo z kabury. – Chewie, ostatnia szansa, by zmienić zdanie.

Leia skupiła się i wsłuchiwała w zdawkowe warknięcie, którym odpowiedział Chewbacca. Upłynęło tyle lat, a wciąż nie rozumiała go tak dobrze jak Han. Wyglądało na to, że jej mąż potrafił wyczuwać w głosie Wookieego subtelne zmiany tonacji, wciąż dla niej niesłyszalne.

Niemniej, choć znaczenie wielu słów było dla niej niejasne, ogólny przekaz był jak najbardziej klarowny.

– Och, przestań! – ponaglił go Han. – Przecież już nieraz ci nadskakiwano! Pamiętasz, jak cię wielbiono na Yavinie? Jakoś nie przypominam sobie, byś wtedy narzekał.

– W porządku, Han. – Leia wstawiła się za Chewbaccą. – Jeśli Chewie chce zostać na pokładzie z Artoo i popracować nad stabilizatorami, nie ma problemu. Bimmowie na pewno się nie obrażą.

Han spojrzał przez okno na nadciągającą delegację.

– Nie tym się martwię – mruknął. – Uznałem po prostu, że w razie czego przyda się dodatkowe wsparcie. Na wszelki wypadek.

Leia uśmiechnęła się i poklepała go po ramieniu.

– Bimmowie to bardzo przyjazny lud – zapewniła go. – Nie spodziewaj się żadnych trudności.

– Już kiedyś słyszałem podobne zapewnienia – burknął sucho Han i wyciągnął komunikator z niewielkiego schowka przy swoim fotelu. Zaczął go mocować do pasa, ale zmienił zdanie i przypiął go zamiast tego do kołnierza.

– Dobrze tu wygląda – stwierdziła księżniczka. – Czyli, jak rozumiem, dawne insygnia generalskie chcesz teraz zamocować do paska?

Han się skrzywił.

– Bardzo śmieszne. Komunikator na kołnierzu to dobry pomysł. Wystarczy drobny, niezauważalny ruch, by go włączyć, a wtedy będę mógł zamienić słowo z Chewiem i nikt tego nawet nie zauważy.

– Ach – odparła Leia, która w duchu musiała przyznać, że pomysł w istocie był niezły. – Wygląda na to, że spędzasz nieco za dużo czasu z porucznikiem Pagem i jego komandosami.

– Za dużo czasu to spędzam na posiedzeniach Rady. – Han podniósł się z fotela. – Po czterech latach przyglądania się politycznym sporom człowiek uczy się, że subtelność i podejrzliwość naprawdę popłacają. Chodź, Chewie. Ktoś musi za nami zamknąć.

Luke i C-3PO czekali przy rampie.

– Gotowi? – spytał Skywalker.

– Gotowi – odparła Leia i nabrała powietrza.

Zasyczała hydraulika i rampa opuściła się powoli, po czym cała czwórka zeszła na ziemię, gdzie czekała na nich grupa odzianych w żółć, częściowo pokrytych futrem mieszkańców Bimmisaari.

Ceremonia powitalna była krótka i w znacznej mierze niezrozumiała, choć C-3PO robił, co mógł, by nadążyć z tłumaczeniem pieśni na pięć głosów, którą ich przyjęto. Ta szybko dobiegła końca, a wtedy wystąpiło dwoje Bimmów. Jeden z nich nadal wygrywał melodię, a drugi uniósł niewielkie urządzenie elektroniczne.

– Pozdrawia prześwietną członkinię Rady Leię Organę Solo – rzekł droid. – I ma nadzieję, że wasze rozmowy ze Starszymi Prawa okażą się owocne. Prosi też, by kapitan Solo zostawił broń na okręcie.

Droid powiedział to tak swobodnym tonem, że znaczenie ostatniego zdania dotarło do nich dopiero po chwili.

– Co powiedziałeś na końcu? – spytała Leia.

– Kapitan Solo ma pozostawić swoją broń na statku – powtórzył C-3PO. – Nikt nie ma prawa przekraczać granic miasta z bronią ofensywną. Nie ma wyjątków od tej zasady.

– Cudownie – mruknął Han do ucha Lei. – Nie powiedziałaś mi nic o tym.

– Co miałam ci powiedzieć, skoro nie miałam o niczym pojęcia! – zripostowała Leia i obdarzyła obu wysłanników uśmiechem. – Obawiam się, że nie mamy wyboru.

– Dyplomacja – warknął Han, a słowo to w jego ustach zabrzmiało jak przekleństwo. Odpiął pas z bronią, owinął go starannie wokół kabury i ułożył na rampie. – Zadowolona?

– A czy bywa kiedyś inaczej? – Leia skinęła do C-3PO. – Powiedz im, że jesteśmy gotowi.

Droid przełożył jej słowa. Bimmowie odsunęli się i wskazali drogę, którą właśnie pokonali.

Ruszyli w ślad za delegacją. Gdy od „Sokoła” dzieliło ich już jakieś dwadzieścia kroków, a Chewbacca rozpoczął zamykanie rampy, Leia uświadomiła sobie coś nowego.

– Luke? – szepnęła.

– Tak, wiem – odparł ten. – Może ich zdaniem to tylko element należący do wyposażenia Jedi?

– Albo ich sensory wykrywające broń nie rejestrują mieczy świetlnych – rzekł cicho Han, osłaniający księżniczkę z drugiej strony. – Choć to, o czym nie wiedzą, nie wyrządzi im krzywdy.

– Miejmy nadzieję – odparła Leia i powściągnęła odruchowe, dyplomatyczne obawy. Wszak skoro sami Bimmowie niczemu się nie sprzeciwili… – Na niebiosa, spójrzcie tylko na ten tłum! – dodała.

Kilkuset mieszkańców planety czekało na nich za drzewami. Zgromadzili się po obu stronach ścieżki, wszyscy odziani w ten sam odcień żółci. Delegacja powitalna rozciągnęła się w pojedynczy szereg i przeszła między krajanami jak gdyby nigdy nic. Leia, przygotowana na wszystko, ruszyła w ślad za nimi.

To, co nastąpiło, było stosunkowo dziwne, ale nie aż tak nieprzyjemne, jak się spodziewała. Każdy z Bimmów wyciągał rękę, by móc jej dotknąć. Ich dłonie z niewysłowioną lekkością muskały jej ramiona, głowę bądź plecy. Rytuałowi nie towarzyszył żaden dźwięk, a wśród Bimmów panował wzorowy porządek, co sugerowało, że jako cywilizacja dążą do perfekcjonizmu.

Mimo to cieszyła się, że Chewbacca pozostał na statku. Nie cierpiał, gdy dotykali go obcy, a jego reakcje do przyjemnych nie należały.

Wyszli wreszcie poza tłum, a Bimm idący najbliżej Lei powiedział kilka słów.

– Mówi, że Wieża Prawa jest tuż przed nami – przełożył C-3PO. – Tam mieści się rada ich planety.

Leia zerknęła nad głowami prowadzącej ich delegacji. Dostrzegła budynek nazywany Wieżą Prawa, a obok niego…

– Threepio, spytaj, co znajduje się tuż obok – poleciła droidowi. – Mam na myśli tę budowlę, która przypomina kopułę z odciętym czubkiem.

Droid zaśpiewał, a Bimm udzielił mu odpowiedzi.

– To główny rynek miasta – rzekł C-3PO. – Nasz przewodnik twierdzi, że jego lud zawsze preferuje bycie na świeżym powietrzu.

– Dach przypuszczalnie rozciąga się i zakrywa wnętrze kopuły, gdy pogoda się psuje – dodał idący z tyłu Han. – Widziałem już

podobne rozwiązania w innych miejscach.

– Nasz przewodnik mówi, że przed odjazdem chętnie cię tam oprowadzi.

– Świetny pomysł – rzekł Han. – Trudno o lepsze miejsce, by poszukać porządnych pamiątek!

– Cicho bądź! – ofuknęła go Leia. – Jak chcesz, to wracaj na „Sokoła" i czekaj wraz z Chewiem!

W porównaniu z innymi miejscami, w których spotykały się rady planetarne, Wieża Prawa okazała się stosunkowo skromną budowlą i przewyższała trzypoziomową kopułę jedynie o kilka pięter. Zaprowadzono ich do znajdującej się na parterze, ozdobionej wielkimi gobelinami sali, gdzie czekała na nich kolejna grupa Bimmów. Na widok Lei powstali i zaśpiewali.

– Dołączają do pozdrowień wygłoszonych na lądowisku, księżniczko – przetłumaczył C-3PO. – Przepraszają też za to, że z rozpoczęciem rozmów trzeba będzie jeszcze chwilę zaczekać. Wygląda na to, że ich główny negocjator zachorował zaledwie chwilę temu.

– Och! – odparła Leia, nieco zaskoczona. – Przekaż wyrazy współczucia i spytaj, czy możemy jakoś pomóc.

– Bimmowie dziękują z całego serca – odpowiedział C-3PO po kolejnej wymianie pieśni. – Ale zapewniają, że nie będzie to konieczne. Nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo, a jego stan przysparza mu tylko niedogodności. — Zawahał się i dodał ostrożnie: – Nie wydaje mi się, by kolejne pytania były stosowne, Wasza Wysokość. Dolegliwości tego Bimma są najwyraźniej dość osobistej natury.

– Rozumiem – powiedziała z powagą Leia, powstrzymując uśmiech obudzony poważnym tonem głosu droida. – Cóż, w takim razie najlepiej będzie, jeśli powrócimy na „Sokoła" i zaczekamy, aż ich towarzysz będzie w stanie zasiąść do rozmów.

Droid przełożył jej słowa, a wówczas jeden z miejscowych wystąpił i zaśpiewał coś w odpowiedzi.

– Ten oto Bimm proponuje alternatywne rozwiązanie, Wasza Wysokość. W trakcie zaistniałej przerwy z przyjemnością oprowadzi cię po targowisku.

Leia zerknęła na Hana i Luke'a.

– Ktoś się sprzeciwia?

Bimm zaśpiewał kolejną pieśń.

– Sugeruje ponadto, że pan Luke i kapitan Solo znajdą dla siebie coś ciekawego na górnych piętach Wieży – wyjaśnił droid. – Wygląda na to, że zgromadzono tam relikty z czasów wieków średnich Starej Republiki.

Z tyłu głowy Lei odezwał się cichy alarm. Czy Bimmowie próbowali ich właśnie rozdzielić?

– Luke'owi i Hanowi również mogłoby się spodobać na targu – powiedziała ostrożnie.

Znów nastąpiła wymiana arii.

– Zdaniem naszego rozmówcy, targ byłby dla nich wielkim rozczarowaniem – odparł C-3PO. – Szczerze powiedziawszy, jeśli przypomina w czymś targi, które sam widziałem…

– Ale ja lubię targowiska – przerwał mu szorstko Han. Jego oczy pociemniały, gdyż najwyraźniej również nabrał podejrzeń. – Wprost za nimi przepadam.

Leia spojrzała na brata.

– Co o tym sądzisz?

Luke omiótł Bimmów spojrzeniem. Księżniczka wiedziała, że próbuje ich przeniknąć zmysłami Jedi.

– Doprawdy nie wiem, czego się tu obawiać – powiedział powoli. – Nie wyczuwam w nich żadnych ukrytych intencji ani też fałszu, nie licząc, oczywiście, hipokryzji typowej dla polityków.

Leia pokiwała głową, już nieco spokojniejsza. Tak, typowa polityka. Racja, przecież na pewno nie chodziło o nic więcej. Bimmowie przypuszczalnie chcieli wykorzystać chwilę, by przed rozpoczęciem rozmów pokazać jej coś, na czym im bardzo zależy.

– W takim razie – skinęła gospodarzom głową – przyjmujemy zaproszenie.

– Targowisko znajduje się w tym miejscu od ponad dwustu lat – przekładał C-3PO, gdy Leia i Han podążali w ślad za przewodnikiem po nachylonej delikatnie rampie prowadzącej z drugiego na trzeci

poziom kopuły. – Choć, oczywiście, nie zawsze tak wyglądało. Wieża Prawa, w rzeczy samej, została wzniesiona tu dokładnie dlatego, że miejsce to było popularnym skrzyżowaniem.

– Nie zmieniło się specjalnie, co? – skomentował Han i zbliżył się do Lei, chcąc ją osłonić przed stratowaniem przez grupkę zaaferowanych kupujących. Widział już w swoim życiu wiele targowisk, ale miejsca tak zatłoczone zdarzały się rzadko.

Jak okiem sięgnąć, wszędzie widział mrowie odzianych w żółć Bimmów.

„Czy oni znają jakieś inne kolory?" – przemknęło mu przez głowę.

Co ciekawe, w tłumie dostrzegał również kilku innych ludzi, parę Baradów, jakiegoś Ishi Tiba, grupę Yuzzumów oraz kogoś, kto na pierwszy rzut oka przypominał Paonnida.

– Teraz sam widzisz, dlaczego tę planetę warto przyłączyć do Nowej Republiki – mruknęła mu do ucha Leia.

– Chyba tak – przyznał Han i zatrzymał się przy jednym ze straganów, by przyjrzeć się rozłożonym tam narzędziom. Sprzedawca zaśpiewał coś do niego, wskazując mu zestaw noży do krojenia.

– Nie, dzięki – burknął Han i cofnął się, ale Bimm nie przestawał trajkotać, a jego gesty stawały się coraz bardziej gwałtowne. – Threepio, możesz przekazać naszemu gospodarzowi, by powiedział temu tutaj, że nie jesteśmy niczym zainteresowani? – zawołał do droida.

Nie było odpowiedzi.

– Threepio? – powtórzył i rozejrzał się.

C-3PO wpatrywał się w coś w tłumie.

– Hej, kukło pozłacana! – warknął. – Mówię do ciebie!

Droid się odwrócił.

– Ogromnie mi przykro, kapitanie Solo – odezwał się przepraszającym tonem. – Wygląda jednak na to, że nasz gospodarz znikł.

– Jak to znikł? – spytał ostro Han i rozejrzał się. Dobrze pamiętał, że w materiał na ramionach oprowadzającego ich Bimma wpięto kilka lśniących igieł.

Nigdzie już takich nie widział.

– Jak on mógł po prostu uciec?

Leia złapała go mocno za rękę.

– Mam złe przeczucie – wykrztusiła. – Wracajmy do Wieży.

– Taaa… – zgodził się Han. – Chodźmy, Threepio. Nie możemy się zgubić.

Nie puszczając dłoni Lei, odwrócił się i…

Zamarł. Kilka kroków dalej z morza żółci wyrastało trzech obcych, którzy się w nich wpatrywali. Nie byli wiele wyżsi od Bimmów. Mieli stalowoszarą skórę, wielkie, ciemne oczy i wystające szczęki.

W rękach trzymali pałki stokhli.

– Mamy kłopoty! – mruknął do Lei i rozejrzał się uważnie, z rozpaczliwą nadzieją, że tych trzech to jedyny powód do zmartwień.

Było ich jednak przynajmniej jeszcze ośmiu, wszyscy czyhający w promieniu mniej więcej dziesięciu metrów. Ze wszystkich stron otaczali Hana, Leię i C-3PO.

– Han! – odezwała się niespokojna Leia.

– Widzę ich – mruknął. – Jest źle, ukochana.

Wyczuł, że Leia zerka do tyłu.

– Kim oni są? – szepnęła.

– Nie wiem! Nigdy nic takiego nie widziałem! Ale coś mi mówi, że nie ma z nimi żartów. Są uzbrojeni w pałki stokhli, które wyzwalają mgiełkę, mogącą w promieniu dwustu metrów powalić każdego, łącznie z dobrze wyrośniętym gundarkiem.

Spojrzał przez ramię.

– Próbują nas zapędzić ku rampie wiodącej na dół – powiedział. – Pewnie chcą nas porwać bez zwracania na siebie zbyt wielkiej uwagi.

– Jesteśmy skazani na zagładę! – jęknął C-3PO.

Leia złapała Hana za rękę.

– Co robimy?

– Przekonajmy się, jak bacznie się nam przyglądają – mruknął Han i starając się nie spuszczać nieznajomych z oczu, niby przypadkiem uniósł rękę w stronę komunikatora.

Najbliższy obcy pogroził mu pałką. Han zamarł i powoli opuścił dłoń.

– Dobra, kiepski pomysł – burknął. – Chyba pora odłożyć konwenanse. Powiadom Luke'a.

– Nie pomoże nam.

Han spojrzał na Leię. Oczy jego żony były szkliste, pełne lęku, a twarz udręczona.

– Czemu nie? – spytał, walcząc ze ściskiem w żołądku.

Leia westchnęła cicho, ledwie słyszalnym głosem.

– Jego też dorwali.

Rozdział 7

Było to bardziej wrażenie aniżeli cokolwiek zbliżonego do słowa, ale rozbrzmiało w umyśle Luke'a równie wyraźnie jak krzyk.

„Pomocy!".

Obrócił się błyskawicznie i natychmiast zapomniał o starożytnym gobelinie, któremu się przyglądał. Dzięki zmysłom Jedi w okamgnieniu osiągnął gotowość do walki. Wokół siebie nie widział niczego niepokojącego – wielka komnata na najwyższym piętrze Wieży Prawa nadal była pusta, jeśli nie liczyć kilku Bimmów przechadzających się między gobelinami i gablotami zawierającymi relikty. Nie dostrzegał żadnego niebezpieczeństwa, a przynajmniej takiego, które zagrażałoby komukolwiek w tej chwili.

„O co chodzi?" – przesłał odpowiedź, ruszając jednocześnie ku sąsiedniej sali, gdzie znajdowały się schody prowadzące w dół.

Ujrzał przelotną wizję, przekazaną przez umysł Lei, a w niej kilka obcych postaci oraz przekonujący obraz zaciskającej się pętli.

„Trzymaj się! – przekazał. – Ruszam!"

W biegu złapał za framugę, by pokonać ostry zakręt, a wtedy…

Wyhamował gwałtownie. Na drodze do schodów czekało siedmiu milczących obcych o szarej skórze, rozstawionych w luźny półkrąg.

Luke zamarł. Jego dłoń, nadal zaciśniętą na framudze, dzieliło pół galaktyki od miecza świetlnego przy pasie. Nie miał pojęcia, do czego służyły pałki, którymi napastnicy w niego celowali, ale nie miał najmniejszej ochoty przekonać się o tym na własnej skórze. Chyba że nie dostanie innego wyboru.

– Czego chcecie? – spytał głośno.

Obcy w środku półkręgu, przypuszczalnie ich przywódca, wykonał gest pałką, wskazując pomieszczenie, z którego Luke właśnie wyszedł.

– Chcecie, bym tam wrócił?

Przywódca powtórzył gest, ale tym razem Luke dojrzał coś nowego, drobny, niemalże niezauważalny taktyczny błąd.

– W porządku – rzekł niewinnym, spokojnym głosem, chcąc wyciszyć napięcie. – Żaden problem.

Nie spuszczając wzroku z obcych i trzymając ręce z dala od miecza świetlnego, zaczął się cofać.

Prowadzony przez nieznanych napastników, szedł do tyłu, aż znalazł się w sali, do której zmierzał, gdy usłyszał sygnał alarmowy Lei.

– Gdybyście mi powiedzieli, o co wam chodzi, z pewnością udałoby nam się jakoś dogadać – zaproponował.

Za sobą słyszał cichy szelest kroków, zdradzający, że po sali nadal kręcili się Bimmowie. Przypuszczalnie obcy nie zaatakowali tylko z tego względu.

– Moglibyśmy chociaż o tym porozmawiać. Nie ma przecież powodu, by ktokolwiek z was został ranny.

Kciuk lewej dłoni przywódcy napastników drgnął. Nieznacznie, ale wystarczyło, by Luke to dostrzegł. A więc broń uruchamiało się kciukiem.

– Jeśli macie do mnie jakąś sprawę, jestem gotów do rozmów – ciągnął. – Moi przyjaciele na targowisku nie są wam do tego potrzebni.

Stał już niemalże przy wejściu do sąsiedniego pomieszczenia. Zostało raptem kilka kroków. Gdyby tylko powstrzymali się od strzelania jeszcze przez chwilę…

I już stał w wejściu. Nad jego głową rozpinał się kamienny łuk.

– I gdzie teraz? – spytał, rozluźniając mięśnie.

„Teraz” – pomyślał.

Przywódca raz jeszcze wykonał gest pałką. Gdzieś w połowie ruchu, przez ułamek sekundy, broń była wycelowana nie w Luke’a, ale w dwóch spośród towarzyszy obcego.

Wtedy Luke sięgnął po Moc i wcisnął spust. Rozległ się głośny, ostry syk. Pałka drgnęła dziko w rękach napastnika i eksplodowała półprzejrzystą chmurą.

Luke nie czekał na efekty. Dzięki swojemu fortelowi zyskał może pół sekundy zamieszania i nie zamierzał jej tracić. Bez namysłu wykonał salto w tył i schował się za ścianą.

Ledwie mu się udało, gdyż niemalże natychmiast rozległa się nierówna seria ostrych syków, a gdy stanął na równe nogi, ujrzał pasma cienkiej, półprzejrzystej materii, które oblepiły framugę na całej długości. Kolejne, wirując, pomknęło za pospiesznie wycofującym się Jedi. Widział teraz, że pociski z początku przypominają pasma mgły, ale gdy wznoszą się i opadają ku niemu, przeistaczają się w płynne strugi, a potem błyskawicznie zyskują materialność.

Miał już w ręku miecz świetlny i uruchomił go z głośnym sykiem. Wiedział, że napastnicy lada moment wpadną przez drzwi i nie ma już co silić się na subtelności. A kiedy tu się zjawią…

Zacisnął zęby, a przez jego umysł przemknął błyskawicznie obraz starcia z Bobą Fettem. Został opleciony inteligentną liną łowcy nagród i zdołał uciec tylko dzięki temu, że przeciął ją odbitym strzałem z blastera. Tym razem jednak nie mógł liczyć na żadne blastery, by powtórzyć tę sztuczkę.

Nie miał pojęcia, czy jego miecz świetlny jest w stanie mu teraz pomóc. Spodziewał się, że będzie musiał przecinać linę, która się bez przerwy odtwarza.

Lub siedem identycznych lin.

Słyszał już kroki nadciągających pospiesznie przeciwników. Pocisk, który przemknął przez drzwi, zmusił go do cofnięcia się i uniemożliwił atak z zaskoczenia. Standardowa technika wojskowa, która pokazała mu, że bynajmniej nie ma do czynienia z amatorami.

Uniósł miecz świetlny i pospiesznie się rozejrzał. Sala, podobnie jak pozostałe na tym piętrze, przystrojona była starożytnymi gobelinami i innymi przedmiotami z dawnych lat. Żaden z nich nie stanowił przeszkody, za którą mógłby się ukryć. Rozejrzał się w poszukiwaniu wyjścia, które musiało się tu znajdować, ale był to właściwie bezsensowny odruch, gdyż bez względu na to, gdzie wyjście się znajdowało, i tak nie zdołałby uciec.

Syk ucichł. Luke odwrócił się w chwili, gdy napastnicy wpadli do środka. Dostrzegli go, odwrócili się, wycelowali…

Luke znów sięgnął po Moc, zerwał jeden z gobelinów ze ściany i cisnął im na głowy.

Tylko Jedi był w stanie posłużyć się taką sztuczką, a ta według wszelkiego prawdopodobieństwa powinna zadziałać. Przecież cała siódemka napastników znajdowała się pod gobelinem, gdy ten zaczął spadać, niemniej wszyscy jakimś cudem zdołali się spod niego wyślizgnąć, a materiał uformował się w nieskładną stertę na podłodze.

Zza niej znów rozległy się ostre syknięcia uruchamianej broni. Luke odruchowo wykonał unik, ale naraz uświadomił sobie, że tym razem pasma mgły nie pomknęły ku niemu. Wręcz przeciwnie, smugi wylatywały zza zerwanego gobelinu i przecinały zygzakami inne, które wciąż wisiały na ścianach.

W pierwszej chwili Luke pomyślał, że kilku obcym broń wypaliła przez przypadek, gdy próbowali się wydostać spod zrzuconego materiału, ale sekundę później uświadomił sobie prawdę. Napastnicy przytwierdzali po prostu inne tkaniny do ściany, by drugi raz nie zdołał się posłużyć tą samą sztuczką. Luke dzięki Mocy szarpnął za leżący gobelin w nadziei, że zdoła rozpędzić nim napastników, ale przekonał się, że ten również został przytwierdzony do podłogi.

Ostrzał ustał. Zza spiętrzonego gobelinu wyjrzało ostrożnie jedno ciemne oko, a Luke ze smutkiem uświadomił sobie, że jeśli chce ocalić Hana i Leię, pozostało mu już tylko jedno rozwiązanie.

Włączył miecz świetlny i oczyścił umysł. Zmysłami Jedi sięgnął ku siedmiu postaciom, formując w wyobraźni ich sylwetki. Obcy, który mu się przyglądał, wysunął broń zza tkaniny.

A wtedy Luke cofnął ramię i z całej siły cisnął mieczem świetlnym.

Ostrze pomknęło w kierunku skraju gobelinu, wirując w powietrzu niczym nieznany nauce, ale rozwścieczony drapieżnik. Obcy ujrzał zagrożenie, cofnął się odruchowo i…

I zginął, gdy ostrze miecza świetlnego przecięło zarówno gobelin, jak i jego.

Pozostali zapewne również uświadomili sobie, że im także pisana jest śmierć, ale mimo to nie poddali się. Z osobliwym, mrożącym krew w żyłach wyciem rzucili się do ataku – czterech wypadło z obu

stron gobelinu, a dwóch wyskoczyło, by otworzyć ogień znad leżącej materii.

Luke'owi nie zrobiło to żadnej różnicy. Kierowany Mocą miecz świetlny zatoczył łuk i przemknął przez grupę napastników, tnąc jednego po drugim.

Uderzenie serca później było już po wszystkim.

Luke, drżąc na całym ciele, nabrał powietrza. Dokonał tego. Nie tak, jak sobie tego życzył, ale nie było to istotne. Teraz pozostawało jedynie mieć nadzieję, że zdążył na czas. Przyzwał miecz świetlny z powrotem do ręki i rzucił się biegiem, przeskakując nad ciałami zabitych obcych.

„Leia?" – przesłał pytanie siłą Mocy.

Nad kolejnym rzędem straganów widać już było bogato zdobione kolumny okalające rampę prowadzącą na dół, gdy Han poczuł, jak idącą obok niego Leię przeszył dreszcz.

– Uwolnił się – szepnęła. – I pędzi tu.

– Świetnie – mruknął Han. – Miejmy nadzieję, że ci kolesie nie zorientują się w sytuacji, zanim tu dotrze.

W niemalże tej samej chwili grupa obcych jednocześnie uniosła pałki stokhli i zaczęła się przepychać ku nim przez kłębiących się dookoła Bimmów.

– Za późno. – Han zgrzytnął zębami. – Już tu idą.

Leia zacisnęła dłonie na jego ramieniu.

– Może odbiorę im broń?

– Nie dasz rady wyrwać jednocześnie jedenastu pałek! – odparł Han, rozglądając się desperacko w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby im pomóc.

Nagle jego wzrok padł na stół uginający się od biżuterii wystawionej na sprzedaż, a wtedy go olśniło.

„Mam pomysł – pomyślał. – Chyba".

– Leia, widzisz te błyskotki? Złap no ich garść.

Wyczuł, jak omiata go zaskoczonym spojrzeniem.

– Co?

– Rób, co ci mówię! – syknął, wpatrzony w nadciągających obcych. – Złap, ile się da, i rzuć wszystko do mnie!

Kątem oka dostrzegł, jak jedno z mniejszych pudeł zadygotało, gdy Leia próbowała je pochwycić Mocą. Naraz pudło wystrzeliło w powietrze i wpadło mu w ramiona. Kilka małych naszyjników wypadło na ziemię, zanim zdołał je pochwycić jak należy.

Niespodziewanie wrzawę setek rozmów targowiska przeciął przeraźliwy wrzask. Han odwrócił się w stronę źródła głosu i ujrzał właściciela ukradzionego pudła, jak celuje w niego dwoma palcami.

– Han! – krzyknęła Leia, usiłując przekrzyczeć pisk okradzionego Bimma.

– Chowaj się! – zawołał w odpowiedzi.

Sekundę później zachwiał się, gdy ze wszystkich stron runęła na niego żółta fala rozwścieczonych Bimmów, przewracając go na ziemię.

Zasłonięty ich ciałami przed pałkami stokhli, Han wypuścił pudło z biżuterią i złapał komunikator.

– Chewie! – ryknął.

Luke usłyszał wrzask nawet na szczycie Wieży Prawa, a potem wyczuł nagłe zamieszanie w umyśle Lei. W tej samej chwili zrozumiał, że nigdy nie dotrze na targowisko w porę.

Wyhamował, zastanawiając się gorączkowo. Po drugiej stronie sali znajdowało się wielkie, otwarte okno, z którego rozciągał się widok na kopułę, ale nawet Jedi nie był w stanie bezpiecznie zeskoczyć z wysokości pięciu pięter. Odwrócił się i rozejrzał po pomieszczeniu w poszukiwaniu innych rozwiązań, aż nagle jego wzrok padł na broń obcych leżącą na progu pomieszczenia.

Ryzyko było ogromne, ale innej możliwości nie widział. Sięgnął po pałkę Mocą, złapał ją i podbiegł do okna, przyglądając się przyciskom. Widział jedynie ustawienia średnicy pocisku oraz regulację ciśnienia, a za nimi spust. Pospiesznie wybrał możliwie najwęższą wiązkę i najwyższe ciśnienie, po czym wychylił się, wycelował w element dachu nad targowiskiem i nacisnął spust.

Nie spodziewał się, że trzymana przez niego pałka szarpnie tak mocno, ale efekt przeszedł jego oczekiwania. Struga mgły zatoczyła łuk i uderzyła w dach, formując rosnącą szybko, półmaterialną grudę. Luke przyciskał spust jeszcze przez pięć sekund, a potem wypuścił pałkę, stabilizując Mocą koniec formowanej liny. Dał jej jeszcze kilka sekund, by stwardniała, po czym ostrożnie sprawdził jej wytrzymałość, upewnił się, czy aby na pewno przylgnęła do kopuły nad targowiskiem, a potem nabrał tchu, złapał ją obiema rękami i wyskoczył.

Leciał w dół, ogłuszony hukiem powietrza, które szarpało go za ubranie i włosy. Gdzieś pod sobą, na najwyższym poziomie targowiska, widział tłum odzianych na żółto Bimmów oraz grupkę szarych postaci, które usiłowały się przez nich przedrzeć, by dopaść Hana i Leię. Zabłysło i jeden z Bimmów padł na ziemię. Luke nie miał pojęcia, czy został zabity, czy tylko oszołomiony. Zresztą nie miał głowy do takich rozważań, bo targowisko przybliżało się w oszałamiającym tempie.

Przygotował się na kontakt z ziemią…

Wtedy nad jego głową, z rykiem, który zapewne wstrząsnął oknami w promieniu pięciu przecznic, przemknął „Sokół Millennium”.

Fala uderzeniowa uniemożliwiła Luke’owi miękkie lądowanie. Stracił równowagę, przetoczył się po ziemi i wpadł na dwóch Bimmów. Zerwał się na równe nogi, a wtedy uświadomił sobie, że Chewbacca doprawdy nie mógł przybyć w lepszym momencie. Dwóch napastników, którzy stali zaledwie dziesięć metrów od niego, uniosło broń, by oplątać wiązkami nawracającego „Sokoła”. Luke wyrwał miecz świetlny zza pasa, przeskoczył nad tuzinem Bimmów i zanim dwaj atakujący zdążyli się zorientować, ściął ich jednym cięciem.

W górze rozległ się kolejny ryk, ale Chewbacca, zamiast wykonać następny przelot nad targowiskiem, uruchomił przednie miotacze manewrujące i zatrzymał statek kosmiczny w miejscu. Wisząc dokładnie nad swoimi osaczonymi towarzyszami, wysunął działko z dolnej części kadłuba i otworzył ogień.

Bimmowie nie byli głupi. Choć otoczenie przypominało mrowisko, w które Han i Leia z rozmachem wbili kij, same mrówki nie miały ochoty dać się zastrzelić z nieba. Kotłująca się masa żółci rozpierzchła się w okamgnieniu i Bimmowie, zapomniawszy o swoim świętym gniewie, uciekali z przerażeniem jak najdalej od „Sokoła". A Luke, kryjąc się za grupami uciekinierów, zaczął przekradać się w stronę napastników.

Miecz świetlny błysnął w chwili, kiedy działko „Sokoła" otworzyło ogień. Zagrożenie szybko zostało usunięte.

– Wyglądasz jak kupka nieszczęścia – oznajmił Luke, kręcąc głową.

– Bardzo mi przykro, panie Luke – rzekł pokornie C-3PO. Jego głos był niemalże niesłyszalny, gdyż większość jego głowy i korpusu pokrywały pasma stwardniałej mgiełki wystrzelonej z pałek stokhli, dzięki czemu przypominał osobliwie zapakowany prezent. – Wszystko wskazuje na to, że bez przerwy ściągam na pana problemy.

– To nieprawda i sam dobrze o tym wiesz – pocieszył go Luke i przyjrzał się niewielkiej kolekcji rozpuszczalników rozstawionych na okrągłym stole w głównej kajucie „Sokoła". Jak do tej pory żaden z tych, po które sięgnął, nawet nie zdołał naruszyć zastygłej skorupy na lśniących blachach C-3PO. – Od lat jesteś dla nas ogromną pomocą. Musisz tylko nauczyć się robić uniki.

R2-D2 stojący obok Luke'a zaćwierkał coś.

– Nie, kapitan Solo nic nie mówił o unikach. – C-3PO oznajmił sztywnym tonem. – Powiedział: „Przygotuj się do uniku!" Myślę, że różnica jest oczywista nawet dla ciebie.

R2-D2 znów coś zatrajkotał, co zostało zignorowane przez C-3PO.

– Dobra, spróbujmy tego – zasugerował Luke i podniósł kolejną butelkę z rozpuszczalnikiem. Rozglądał się właśnie w poszukiwaniu czystej szmatki, gdy do kabiny weszła Leia.

– Co z nim? – spytała, przyglądając się droidowi.

– Nic mu nie będzie, choć przypuszczalnie nie pozbędziemy się tego świństwa aż do powrotu na Coruscant – odparł Luke. – Han powiedział, że pałki stokhli są wykorzystywanie głównie przez

łowców polujących na wielką zwierzynę na odległych planetach, a ta mgiełka ma dość egzotyczną naturę.

Wymownie wskazał odstawione na bok butelki z rozpuszczalnikiem.

– Może Bimmowie są w stanie coś na to poradzić – powiedziała Leia, podnosząc jedną z butelek i przyglądając się etykietce.

– Czyli wracamy? – Luke zmarszczył brwi.

Księżniczka zasznurowała usta.

– Musimy, Luke, i sam dobrze to wiesz. Wysłano nas z misją dyplomatyczną, a nie na wycieczkę dla naszej przyjemności. Nie zostałoby to dobrze odebrane, gdybyśmy po prostu wrócili do siebie, startując znad ich głównego targowiska.

– Moim zdaniem, Bimmowie powinni się uważać za szczęściarzy, że nikt z nich nie zginął – wytknął Luke. – Tym bardziej że to, co się stało, jest przynajmniej częściowo ich winą.

– Nie możesz obciążyć całego społeczeństwa winą za działania kilku jednostek – oznajmiła Leia.

„Cóż za karcący ton" – pomyślał Luke.

– Zwłaszcza gdy mamy do czynienia z niewłaściwą decyzją, podjętą przez jednego politycznego wywrotowca.

– Z niewłaściwą decyzją? – parsknął Luke. – Tak to nazwano?

– Tak, tak to nazwano – Leia pokiwała głową. – Wygląda na to, że Bimm, który zaprowadził nas na targowisko, został w tym celu opłacony. Nie miał pojęcia, co się może wydarzyć.

– I zakładam, że nie widział, jak zadziała to coś, co podał ich głównemu negocjatorowi?

Leia wzruszyła ramionami.

– Tak naprawdę to nie mamy żadnych dowodów na to, że on bądź ktokolwiek inny otruł ich głównego negocjatora – odparła. – Choć zważywszy na okoliczności, gotowi są przyznać, że to możliwe.

Luke zrobił kwaśną minę.

– Jakże miło z ich strony. A co Han mówi o powrocie?

– Han nie ma w tej sytuacji wiele do gadania – powiedziała stanowczo Leia. – To moja misja, nie jego.

– Prawda – oznajmił Han, wkraczając do głównej kajuty. – To twoja misja. Ale mój statek.

Leia spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Ty chyba nie zrobiłeś tego, o czym właśnie myślę – szepnęła.

– Tak, zrobiłem – rzekł spokojnie Han i opadł na jeden z foteli. – Jakieś dwie minuty temu przyspieszyliśmy do prędkości światła. Następnym przystankiem jest Coruscant.

– Han! – wybuchła Leia. Luke nigdy nie widział, by była tak wściekła. – Obiecałam Bimmom, że zaraz wracamy!

– A ja im powiedziałem, że nastąpi małe opóźnienie – odciął się Han. – Bo wrócimy tam dopiero, gdy skombinuję eskadrę X-wingów i może gwiezdny krążownik w ramach eskorty.

– A jeśli ich uraziliśmy? – parsknęła Leia. – Czy ty masz w ogóle pojęcie, ile pracy włożyliśmy w przygotowanie tej misji?

– Tak się składa, że mam! – Głos Hana stwardniał. – I jestem też w stanie sobie wyobrazić, co mogłoby się stać, gdyby ta banda nieboszczyków z pałkami stokhli miała więcej kolegów.

Przez długą minutę Leia wpatrywała się w niego, a Luke czuł, jak jej gniew powoli gaśnie.

– Ale nie powinieneś odlatywać bez konsultacji ze mną – oznajmiła.

– Racja – przyznał Han. – Ale nie chciałem zwlekać. Gdyby oni w istocie mieli kolegów, ci mieliby statek kosmiczny.

Uśmiechnął się lekko, na próbę.

– Nie było czasu, by zwołać zebranie całego komitetu.

Leia uśmiechnęła się krzywo w odpowiedzi.

– Ja nie jestem komitetem – odpowiedziała kwaśno.

Z tymi słowami krótka kłótnia dobiegła końca, a napięcie wyparowało.

„Kiedyś – obiecał sobie Luke – zbiorę się na odwagę i spytam, o co chodziło w tym ich dowcipie”.

– A skoro już mowa o naszych nieżyjących kolegach – odezwał się. – Czy ktoś z was zapytał może Bimmów, kim oni właściwie byli?

– Bimmowie nie mieli pojęcia. – Leia pokręciła głową. – Ja sama na pewno nigdy czegoś takiego nie widziałam.

– Sprawdzimy w imperialnych archiwach po dotarciu na Coruscant – rzekł Han, obmacując ostrożnie policzek, na którym rosła już opuchlizna. – Na pewno zostali gdzieś opisani.

– Chyba że to rasa – odezwała się cicho Leia – którą Imperium znalazło w Nieznanych Regionach.

Luke spojrzał na nią.

– Myślisz, że stoi za tym Imperium?

– A któż by inny? – odparła siostra. – Pytanie brzmi raczej: po co im to było?

– Cóż, powodów nie znamy, ale z pewnością będą rozczarowani – oznajmił Han i podniósł się. – Wracam do kokpitu. Spróbuję nieco zmylić nasz ślad. Nie będziemy ryzykować.

Naraz Luke przypomniał sobie Hana za sterami „Sokoła", przedzierającego się przez bitwę nad pierwszą Gwiazdą Śmierci, by zestrzelić ścigające go myśliwce.

– Trudno sobie wyobrazić Hana Solo, który przestał ryzykować – stwierdził.

Han wycelował w niego palcem.

– Zanim się zdobędziesz na kolejny dowcip, przypomnij sobie, że ludzie, których próbuję ochronić, to ty, twoja siostra, twoja siostrzenica oraz twój siostrzeniec. Co ty na to?

– Wygrałeś. – Luke uśmiechnął się i zasalutował mu nieistniejącym mieczem świetlnym.

– Właśnie mi o czymś przypomniałeś – dodał Han, obserwując jego gest. – Czy to nie czas, by Leia dostała własny miecz świetlny?

Luke wzruszył ramionami.

– Mogę wykonać go dla niej, gdy będzie gotowa – rzekł i spojrzał na siostrę. – Co powiesz?

– Nie wiem – przyznała Leia po chwili wahania. – Nigdy nie czułam się pewnie z taką bronią.

Przeniosła spojrzenie na Hana.

– Ale chyba powinnam się przemóc.

– Chyba tak – zgodził się Luke. – Twoje talenty różnią się od moich, ale i tak powinnaś wyuczyć się podstaw. Z tego, co wiem, prawie wszyscy Jedi Starej Republiki nosili miecze, nawet ci, którzy byli uzdrowicielami czy nauczycielami.

– W porządku. – Leia pokiwała głową. – Wezmę się za to, gdy uporam się ze swoją pracą.

– Weź się za to, zanim się uporasz! – powiedział Han. – Serio, Leio. Twoje nieocenione umiejętności dyplomaty w niczym nie pomogą ani tobie, ani nikomu innemu, jeśli Imperium zamknie cię w pokoju przesłuchań.

Leia znów pokiwała głową z niechęcią.

– Pewnie macie rację. Zaraz po powrocie powiem Mon Mothmie, by uwolniła mnie od niektórych zobowiązań. — Uśmiechnęła się do Luke'a i powiedziała: – Wygląda na to, że przerwa semestralna dobiegła końca, panie profesorze.

– Na to wygląda – rzekł Luke, próbując przełknąć włochatą kulę w gardle, której się zupełnie nie spodziewał.

Leia zauważyła odruch i, co dziwne, zrozumiała go na opak.

– Och, przestań – skarciła go łagodnym głosem. – Przecież nie jestem aż tak kiepską uczennicą. Poza tym potraktuj to wszystko jak dobre ćwiczenie. Przecież kiedyś będziesz musiał nauczyć tego wszystkiego bliźnięta.

– Wiem – rzekł cicho Luke.

– Dobra – oznajmił Han. – A więc wszystko postanowione. Idę za stery. Na razie.

– Do zobaczenia – rzekła Leia. – A teraz – zwróciła się do C-3PO i przyjrzała się mu uważnie – zobaczmy, czy uda się coś zrobić z tym paskudztwem.

Luke rozparł się w fotelu i przyglądał się, jak Leia zabiera się do pracy. W dole brzucha zaś poczuł znajomy ból. Przypomniał sobie bowiem, co Ben Kenobi powiedział mu na temat Dartha Vadera.

„Podjąłem się wyszkolić go na Jedi. Sądziłem, że podołam temu zadaniu równie dobrze jak Yoda. Pomyliłem się".

Słowa te rozbrzmiewały w głowie Luke'a przez całą podróż powrotną na Coruscant.

Rozdział 8

Przez długą chwilę wielki admirał Thrawn siedział na swoim fotelu, otoczony holograficznymi dziełami sztuki, i nic nie mówił. Pellaeon stał wyprężony na baczność i spoglądał na jego pozbawioną wyrazu twarz z czerwonymi, jaśniejącymi oczami. Próbował nie myśleć o losie, jaki Darth Vader fundował nierzadko tym, którzy przynosili mu złe wieści.

– A więc zginęli wszyscy z wyjątkiem koordynatora akcji? – spytał w końcu Thrawn.

– Tak, sir – potwierdził Pellaeon.

Zerknął na przeciwległą stronę pomieszczenia, gdzie C'baoth przyglądał się uważnie jednemu z dzieł sztuki na ścianie, i dodał ciszej:

– Nadal nie wiemy do końca, co poszło źle.

– Proszę przekazać do centrali, by koordynator został dokładnie przesłuchany – rzekł Thrawn. – Czy mamy raport z Waylandu?

Pellaeon był przekonany, że rozmawiają na tyle cicho, by C'baoth ich nie usłyszał, ale pomylił się.

– I to by było tyle, tak? – spytał ostro, odwrócił się od ekranu i podszedł do fotela dowodzenia Thrawna. – Noghri zawiedli, ach, wielka szkoda. Weźmy się więc za pilniejsze sprawy, co? O nie! Obiecałeś mi Jedi, admirale Thrawn.

Thrawn wpatrywał się w niego chłodno.

– Obiecałem ci Jedi – przyznał. – I dostarczę ci ich.

Wymownie odwrócił się z powrotem ku Pellaeonowi.

– Czy mamy raport z Waylandu? – powtórzył.

Pellaeon przełknął ślinę, próbując sobie wmówić, że w kabinie dowodzenia ukryto kilka isalamirów, przez co C'baoth nie może tu korzystać ze swojej mocy. Przynajmniej na razie.

– Zespół inżynieryjny zakończył właśnie analizę, sir – rzekł. – Meldują, że schematy generatora pola maskującego wydają się kompletne, ale zbudowanie takiego zajmie trochę czasu. Pociągnie

też za sobą spore koszty, przynajmniej dla okrętu rozmiarów „Chimaery”.

– Na szczęście nie będą musieli na początek konstruować niczego tak wielkiego. – Thrawn wręczył Pellaeonowi datapad. – Znajdzie pan tu wszystko, czego będziemy potrzebowali na Sluis Van.

– Ma pan na myśli te stocznie? – Pellaeon zmarszczył brwi, ujmując datapad. Wielki admirał jak dotąd był bardzo tajemniczy w kwestii celów oraz strategii ataku.

– Tak. Aha, byłbym zapomniał. Będziemy również potrzebować wyspecjalizowanych maszyn wydobywczych, kretowiertów, o ile dobrze zapamiętałem potoczną nazwę. Niech wywiad rozpocznie poszukiwanie w archiwach, gdzie takie można zdobyć. Potrzebujemy przynajmniej czterdziestu.

– Tak jest, sir. – Pellaeon sporządził notatkę na datapadzie. – Mam jeszcze jedną sprawę, sir – odezwał się i zerknął na C’baotha. – Zespół inżynieryjny przekazał również, że prawie osiemdziesiąt procent potrzebnych nam cylindrów Spaarti jest funkcjonalnych bądź w stanie, z którego łatwo ich do funkcjonalności przywrócić.

– Cylindry Spaarti? – C’baoth zmarszczył brwi. – A co to?

– Kolejne technologiczne cacko, które miałem nadzieję znaleźć we wnętrzu góry – zaspokoił jego ciekawość Thrawn, rzucając przy tym ostrzegawcze spojrzenie na Pellaeona. Nie było to konieczne, gdyż kapitan sam doszedł do wniosku, że omawianie tej kwestii przy C’baocie nie jest najrozsądniejszym rozwiązaniem. – Osiemdziesiąt procent – rzekł Thrawn. – To bardzo dobrze, kapitanie. Bardzo dobrze. — Jego czerwone oczy błysnęły. – Imperator wykazał się wielką przezornością, zostawiając nam tyle wspaniałego sprzętu, z którym możemy odbudować Imperium. A co z zasilaniem i systemami obronnymi góry?

– Również są w znacznym stopniu funkcjonalne – odparł kapitan. – Uruchomiono trzy z czterech reaktorów. Część wewnętrznego systemu obronnego najwyraźniej została naruszona zębem czasu, ale to, co pozostało, powinno w zupełności wystarczyć do obrony góry.

– To druga bardzo dobra wiadomość. – Thrawn pokiwał głową. Emocje, które okazał przed chwilą, całkowicie ustąpiły miejsca chłodnemu wyrachowaniu. – Przekaż im, by zajęli się

przywracaniem cylindrów do pełnej gotowości operacyjnej. Za dwa bądź trzy dni powinien tam przybyć „Grot Śmierci” z dodatkowymi specjalistami i zapasem dwustu isalamirów potrzebnych, by je uruchomić. Wówczas – dodał z bladym uśmiechem – będziemy gotowi, by rozpocząć operację na poważnie. Najpierw zajmiemy się stoczniami na Sluis Van.

– Tak jest, sir – rzekł Pellaeon i znów zerknął na C’baotha. – A co ze Skywalkerem i jego siostrą?

– Następnym razem wykorzystamy zespół czwarty – rzekł wielki admirał. – Wyślij do nich wiadomość, by porzucili dotychczasowe zadania i czekali na dalsze rozkazy.

– Ja mam ich powiadomić, sir? – spytał kapitan. – Bynajmniej nie kwestionuję rozkazu – dodał pospiesznie – ale w przeszłości wolał pan kontaktować się z nimi osobiście.

Thrawn uniósł lekko brwi.

– Zespół ósmy mnie rozczarował – powiedział cicho. – To, że pan wysyła informację, będzie dla nich sygnałem, że jestem bardzo niezadowolony.

– A jeśli zespół czwarty również zawiedzie? – wtrącił C’baoth. – Bo oni też nie dadzą rady, wiesz o tym, prawda? Co wówczas poczniesz? Też będziesz po prostu niezadowolony? A może przyznasz wreszcie, że twoje profesjonalne maszynki do zabijania nie są w stanie poradzić sobie z Jedi?

– Jak dotąd nie spotkali przeciwnika, z którym nie umieliby sobie poradzić, mistrzu C’baoth – odparł spokojnie Thrawn. – Któryś z zespołów doprowadzi sprawę do końca. — Wzruszył ramionami i dodał: – Wystarczy poczekać. Strata kilku czy nawet kilkunastu Noghri nie osłabi poważnie naszych sił.

Pellaeon skrzywił się i zerknął odruchowo na drzwi do sąsiedniego pomieszczenia. Nie sądził, by Rukh również podchodził z filozoficznym spokojem do wizji kolejnych ofiar wśród swoich rodaków.

– Proszę pamiętać, admirale, że próba porwania z pewnością ich zaalarmowała – rzekł. – Będą teraz mieć się na baczności.

– Dobrze gada! – C’baoth wycelował palcem w kierunku kapitana. – Nie oszuka się Jedi drugi raz tą samą sztuczką.

– Możliwe – odparł Thrawn. Słowo było uprzejme, ale ton bynajmniej nie wskazywał, by chciał się z nimi zgodzić. – A więc jaką alternatywę sugerujecie? Byśmy skupili wysiłki na siostrze Skywalkera, a jego samego zostawili w spokoju?

– Tak. Sugeruję, byś *ty* się skupił na siostrze Skywalkera – rzekł wyniośle C'baoth. – A ja zajmę się młodym Skywalkerem.

Thrawn znów uniósł brwi.

– A jak chciałbyś się za to zabrać?

– To Jedi, tak jak ja. – C'baoth się uśmiechnął. – Jeśli go wezwę, przyjdzie.

Przez dłuższą chwilę Thrawn przyglądał mu się uważnie.

– Jesteś potrzebny mojej flocie – powiedział w końcu. – Rozpoczęliśmy przygotowania do ataku na kosmiczne doki Sluis Van, które znajdują się pod kontrolą Rebelii. Niektóre wstępne działania będą wymagały koordynacji mistrza Jedi.

C'baoth wyprostował się jak struna.

– Obiecałem, że pomogę tylko wtedy, gdy sam zobowiążesz się dostarczyć mi Jedi. Chcę ich dostać, wielki admirale Thrawn.

Thrawn wbił w C'baotha płonący wzrok czerwonych oczu.

– Czyżbym słyszał, jak mistrz Jedi łamie dane słowo? Przecież wiedziałeś, że pochwycenie Skywalkerów może trochę potrwać.

– Tym bardziej powinienem więc zacząć już teraz – odciął się C'baoth.

– A czemu nie zająć się i jednym, i drugim? – wtrącił Pellaeon.

Thrawn i C'baoth spojrzeli na niego.

– Proszę wytłumaczyć, kapitanie – oznajmił Thrawn. W jego głosie pojawiła się lekka nuta groźby.

Pellaeon zacisnął zęby, ale było już za późno, by się wycofać.

– Moglibyśmy rozpocząć od rozsiania w kilku miejscach plotek o pojawieniu się mistrza C'baotha – rzekł. – Na przykład na jakimś słabo zaludnionym świecie, gdzie mógłbyś mieszkać od wielu lat i nie przyciągać niczyjej uwagi. Plotki tego typu z pewnością szybko dotarłyby do Nowej Rep… Znaczy się do Rebelii – poprawił się, spoglądając na Thrawna. – Zwłaszcza jeśli wraz z plotkami wypłynie imię Jorusa C'baotha.

– I myślisz, że wystarczy zwykła plotka, by Skywalker jak idiota poleciał do mnie? – parsknął C’baoth.

– A niech sobie zachowa ostrożność – rzekł Thrawn. Groźba znikła z jego głosu. – Niech weźmie ze sobą połowę floty rebelianckiej, jeśli będzie miał ochotę. Nie będzie w stanie połączyć pana z nami, mistrzu.

Pellaeon pokiwał głową.

– Zajmiemy się więc poszukiwaniami odpowiedniej planety i sianiem plotek, a tymczasem możesz pozostać z nami i uczestniczyć w przygotowaniach do ataku na Sluis Van. Mam nadzieję, że reakcja na nasze działania zajmie Skywalkera na tyle, by nie miał czasu sprawdzić naszych historii.

– A jeśli nie – dodał Thrawn – będziemy wiedzieć, kiedy wykona ruch, i mieć mnóstwo czasu na to, by go wyprzedzić.

– Hm – mruknął C’baoth i pogładził długą brodę. Jego spojrzenie rozmyło się, jakby wpatrywał się w nieskończoność. Pellaeon wstrzymał oddech, ale po chwili stary Jedi pokiwał raptownie głową.

– Dobrze – rzekł. – Plan brzmi dobrze. Udam się teraz do moich komnat, wielki admirale Thrawn, a tam wybiorę świat, w którym ogłoszę swój powrót.

Pożegnał obu niemalże królewskim skinieniem, po czym wyszedł.

– Gratulacje, kapitanie – rzekł Thrawn i obrzucił Pellaeona chłodnym spojrzeniem. – Pański pomysł najwyraźniej przypadł mistrzowi C’baothowi do gustu.

Pellaeon zmusił się, by spojrzeć mu w oczy.

– Przepraszam, że odezwałem się nieproszony.

Thrawn uśmiechnął się lekko.

– Służył pan zbyt długo pod rozkazami Lorda Vadera, kapitanie – rzekł. – Ja nie mam żadnych problemów z przyjęciem sensownego pomysłu tylko dlatego, że nie wyszedł ode mnie. Moje ego oraz moja pozycja nie są tu rzeczą najwyższej wagi.

„Chyba że chodzi o układy z C’baothem” – pomyślał kapitan.

– Tak jest, sir – rzekł na głos. – A teraz, z pańskim pozwoleniem, przygotuję wytyczne na Wayland oraz dla zespołów Noghri.

– Proszę bardzo, kapitanie. Proszę też nadal nadzorować przygotowania do operacji na Sluis Van – dodał Thrawn. Jego spojrzenie zdawało się przewiercać Pellaeona na wylot. – Niech pan nie spuszcza z nich oczu. Nasza droga do zwycięstwa nad Rebelią będzie długa, a rozpoczną ją sukcesy w górze Tantiss oraz nad stoczniami Sluis Van.

Teoretycznie spotkania Rady Wewnętrznej miały przebiegać w spokojniejszym nastroju niż posiedzenia bardziej formalnej Rady Tymczasowej. Han przekonał się jednakże, że ich atmosfera stawała się niekiedy równie gorąca i gwałtowna jak podczas spotkań w większym gronie.

– Nie wiem, czy ja to wszystko dobrze rozumiem – rzekł Borsk Fey'lya z typową dla siebie śliską uprzejmością. – Osobiście, bez konsultacji z wyższą instancją, podjął pan decyzję o przerwaniu misji dyplomatycznej na Bimmisaari.

– Już raz to powiedziałem – odparł Han. Miał ochotę zaproponować Bothaninowi, by następnym razem słuchał uważniej. – Przedstawiłem również przesłanki, jakimi się kierowałem.

– Które, moim zdaniem, były całkiem uzasadnione – rzekł z powagą admirał Ackbar. – Obowiązkami kapitana Solo, co nie powinno budzić niczyjego zdumienia, była ochrona pani ambasador i szybki powrót w celu zaalarmowania nas.

– Zaalarmowania nas? – skontrował Fey'lya. – Proszę o wybaczenie, admirale, ale nie jestem w stanie zrozumieć, czym jest niebezpieczeństwo, które nam rzekomo grozi. Nie mam pojęcia, kim były te szaroskóre istoty, ale najwyraźniej Stary Senat nie uznał ich za wystarczająco istotne, bo nie ma o nich wzmianki w naszych archiwach. Wątpię, czy tak nieistotna rasa jest w stanie pchnąć na nas większą ofensywę.

– Nie znamy powodu, dla którego nie ma ich w naszych archiwach – wtrąciła Leia. – Być może to przeoczenie, a być może błąd w bazie danych.

– Albo ktoś celowo usunął dane – rzekł Luke.

Futro Fey'lyi zafalowało, co oznaczało uprzejme niedowierzanie.

– A kto taki w imperialnym senacie chciałby usunąć dane o istnieniu całej rasy?

– Nie powiedziałem, że stoi za tym członek senatu – rzekł Luke. – Może ci obcy sami usunęli dane o sobie?

– Przesada – fuknął Fey'lya i pociągnął nosem. – Nawet gdyby było to możliwe, kto mógłby chcieć coś takiego zrobić?

– Być może radna Organa Solo zna odpowiedź na to pytanie? – wtrąciła spokojnie Mon Mothma i spojrzała na Leię. – Byłaś bardziej związana z archiwami imperialnego senatu niż ja. Czy, twoim zdaniem, podobne manipulacje byłyby w ogóle możliwe?

– Nie wiem. – Leia pokręciła głową. – Nigdy tak naprawdę nie wnikałam w sposoby funkcjonowania archiwów senatu. Zwykły ludzki rozsądek mówi mi jednak, że niemożliwością byłoby skonstruowanie systemu bezpieczeństwa, którego osoba zdeterminowana i wyszkolona nie potrafiłaby złamać.

– Co nie wyjaśnia, dlaczego ci wasi obcy mieliby być aż tak zdeterminowani. – Fey'lya znowu pociągnął nosem.

– Może widzieli niedawny upadek Starej Republiki. – W głosie Lei pojawiły się pierwsze sygnały irytacji. – Może wykasowali całą wiedzę na temat swojej planety i siebie samych w nadziei, że Imperium ich nie zauważy.

„Trzeba mu przyznać, że szybko wyciąga wnioski" – pomyślał Han, przyglądając się Bothaninowi, który mówił dalej:

– W takim razie być może powodem również tego ataku jest lęk przed ponownym odkryciem – stwierdził i spojrzał na Ackbara. – Osobiście nie widzę jednak powodu, dla którego należałoby urządzać teraz pełną militarną operację. Wykorzystywanie naszej wspaniałej floty wojennej do eskorty misji dyplomatycznych byłoby obrazą dla odważnych, przebojowych ludzi, którzy w niej służą.

– Może pan sobie podarować przemówienia, radco – burknął Ackbar. – Na żadnym z obecnych tu *odważnych*, *przebojowych* ludzi nie robią one wrażenia.

– Mówię tylko to, co czuję, admirale – rzekł Fey'lya. W jego głosie zabrzmiała urażona duma, co było jego specjalnością.

Ackbar przeniósł na niego spojrzenie i otworzył usta, ale uprzedziła go Leia.

– Czy moglibyśmy wrócić do głównego tematu? Bo zakładam, że nie umknęło niczyjej uwadze, że ci obcy, bez względu na to, co nimi kierowało, czekali na nas w pełnej gotowości, gdy dotarliśmy na Bimmisaari.

– Bez wątpienia musimy udoskonalić środki bezpieczeństwa podczas podobnych misji – rzekł Ackbar. – I to przez cały czas. Napastnicy wszak skaptowali miejscowego polityka Bimmów.

– Co tylko doprowadzi do tego, że każda kolejna misja zabierze więcej czasu i będzie nas więcej kosztowała – mruknął Fey'lya, jeżąc futro.

– Nic na to nie poradzimy – rzekła stanowczo Mon Mothma. – Musimy chronić naszych negocjatorów, w przeciwnym razie Nowej Republice grożą stagnacja i wewnętrzna inercja. Innymi słowy – przeniosła spojrzenie na Ackbara – proszę przydzielić eskortę radnej Organie Solo, która jutro wraca na Bimmisaari.

„Jutro?" – pomyślał Han i spojrzał z zaskoczeniem na Leię. Ona również nie posiadała się ze zdziwienia.

– Przepraszam, bo chyba nie usłyszałem – odezwał się Han, unosząc palec. – Jutro?

Mon Mothma spojrzała na niego z łagodnym zdziwieniem.

– Tak, jutro. Bimmowie nadal czekają, kapitanie.

– Wiem, ale…

– Han próbuje powiedzieć – wtrąciła Leia – że na tym właśnie posiedzeniu planował poprosić o krótkie wyłączenie mnie z obowiązków dyplomatycznych.

– Obawiam się, że to niemożliwe – rzekła Mon Mothma, marszcząc lekko brwi. – Mamy o wiele za dużo pracy przed sobą.

– Nie chodzi bynajmniej o wakacje – odezwał się Han, próbując pamiętać o dyplomatycznych manierach. – Leia potrzebuje więcej czasu, by się skupić na szkoleniu Jedi.

Mon Mothma zasznurowała usta, po czym spojrzała na Ackbara i Fey'lyę.

– Przykro mi – powiedziała, kręcąc głową. – Jestem ostatnią osobą na świecie, która mogłaby zignorować potrzebę dodania nowych Jedi do naszych szeregów. Niestety, mamy zbyt wiele pilnych spraw, by móc sobie na to pozwolić.

Znów spojrzała na Fey'lyę. Han złapał się na przykrej myśli, że niemalże prosi go o pozwolenie.

– Za rok, a może szybciej – dodała, spoglądając na brzuch Lei – będziemy mieli wystarczająco dużo doświadczonych dyplomatów, byś mogła poświęcić więcej czasu na swoje studia. Póki co obawiam się, że potrzebujemy cię tutaj.

Przez moment w pomieszczeniu trwała niezręczna cisza. Pierwszy odezwał się Ackbar.

– Jeśli pozwolicie, zajmę się przygotowaniem eskorty, o której była mowa.

– Oczywiście. – Mon Mothma pokiwała głową. – Jeśli nie ma innych, pilniejszych spraw, nasze spotkanie dobiega niniejszym końca.

I temat został zakończony. Han, zaciskając mocno zęby, zebrał swoje karty danych.

– Wszystko gra? – spytała cicho stojąca za nim Leia.

– Czasem mam wrażenie, że wszystko było o wiele łatwiejsze, gdy mieliśmy na głowie po prostu walkę z Imperium – warknął w odpowiedzi Han i spojrzał na siedzącego po drugiej stronie stołu Fey'lyę. – Przynajmniej wówczas wiedzieliśmy, kto jest naszym wrogiem.

Leia uścisnęła jego ramię.

– Dajże spokój – powiedziała. – Chodź, sprawdzimy, czy udało się jako tako oskrobać Threepio.

Rozdział 9

Oficer taktyczny podszedł do stanowiska dowodzenia na mostku „Chimaery” i z wprawą strzelił obcasami.

– Wszystkie jednostki w gotowości bojowej, admirale – zameldował.

– Doskonale. – Głos Thrawna był spokojny i zimny jak lodowiec. – Przygotujcie się do przejścia w prędkość światła.

Pellaeon zerknął na wielkiego admirała, a potem przeniósł uwagę na ekran, na którym wyświetlały się raporty przedstawiające status okrętu i stan taktyczny. Następnie zerknął na widoczną przez okna czerń pustki kosmicznej, która wydawała się pochłaniać resztę grupy uderzeniowej Pellaeona, składającej się z pięciu okrętów. Słońce systemu Bpfassh, znajdujące się w odległości trzech tysięcznych roku świetlnego stąd, było niewielkim punkcikiem, nieróżniącym się niczym od tysięcy innych gwiazd. Wojskowe doświadczenie na ogół odradzało wychodzenie z nadprzestrzeni w ustalonym punkcie na zewnątrz systemów, do których zmierzali – istniało ryzyko, że przynajmniej jeden okręt się zgubi w drodze do tak osobliwego miejsca zbiórki, a ponadto niełatwo było wykonać skok w nadprzestrzeń na tak niedużą odległość. Za pierwszym razem, gdy wielki admirał wyjawił mu, że zamierza zawrzeć ten element w jednym ze swoich planów ataku, kapitan sprzeciwił mu się zdecydowanie i stoczyli na ten temat długą, miejscami dość burzliwą kłótnię. Teraz, po blisko roku ćwiczeń, manewr stał się dla nich niemalże rutyną.

„Być może – pomyślał Pellaeon – załoga »Chimaery« nie była wcale tak niedoświadczona, jak wskazywałoby jej nieobycie z protokołem floty”.

– Kapitanie? Czy mój okręt flagowy jest gotowy?

Pellaeon powrócił myślami do spraw bieżących. Systemy obronne okrętu wskazywały stan gotowości, a piloci TIE-ów siedzieli już w maszynach, gotowi do startu.

– „Chimaera” jest do pańskiej dyspozycji, admirale – rzekł.

Krótka, formalna wymiana zdań niczym echo z przeszłości przypomniała mu dni, gdy należyta dyscyplina była na porządku dziennym w całej galaktyce.

– Doskonale – rzekł Thrawn.

Obrócił się na swoim fotelu i zwrócił ku człowiekowi siedzącemu na tyłach mostka.

– Mistrzu C’baoth, czy pozostałe grupy uderzeniowe są gotowe?

– Tak – rzekł Jedi z powagą. – Czekają tylko na mój rozkaz.

Pellaeon skrzywił się i zerknął raz jeszcze na Thrawna, ale wielki admirał najwyraźniej postanowił puścić słowa Jedi mimo uszu.

– A więc wydaj im rozkaz – rzekł do C’baotha i wyciągnął rękę, by pogładzić isalamira wczepionego w ramę przymocowaną do jego fotela.

– Kapitanie, proszę rozpocząć odliczanie.

– Tak jest, sir. – Pellaeon włączył stoper. Pozostałe okręty ich grupy miały odebrać jego sygnał i rozpocząć to samo odliczanie.

Liczby malały, aż na ekranie wyświetliło się zero. W oknach okrętu pojawiły się rozciągnięte rozbłyski gwiazd i „Chimaera” wykonała skok.

Błyski widoczne w iluminatorach dziobowych ustąpiły miejsca przemykającej pospiesznie mozaice nadprzestrzeni.

– Prędkość: trzy – oznajmił oficer odpowiedzialny za sterowanie z części mostka znajdującej się pod nimi, potwierdzając swój odczyt.

– Przyjąłem – odparł Pellaeon, po czym zacisnął pięści i przygotował się w duchu na nadchodzącą bitwę. Nie odrywał oczu od licznika, który tym razem zaczął odliczanie od zera.

„Siedemdziesiąt trzy, siedemdziesiąt cztery, siedemdziesiąt pięć, siedemdziesiąt sześć…”.

Znów zajaśniały gwiezdne linie, a rozciągnięte pasma mozaiki skurczyły się do rozmiarów gwiazd. „Chimaera” była na miejscu.

– Myśliwce, do startu! – zawołał Pellaeon, zerkając na hologram przedstawiający sytuację taktyczną. Wyszli z nadprzestrzeni dokładnie tam, gdzie zaplanowano, skąd łatwo było uderzyć na podwójną planetę Bpfassh i jej skomplikowany układ księżyców. –

Mamy jakąś reakcję przeciwnika? – krzyknął w stronę oficera taktycznego.

– Z trzeciego księżyca startują wrogie myśliwce – odparł tamten. – Na razie nie widać nic większego.

– Zlokalizować bazę tych myśliwców – rozkazał Thrawn – a potem przekazać „Nieustępliwemu”, by ją zniszczył.

– Tak jest, sir.

Pellaeon widział już myśliwce wroga, które zbliżały się ku nim niczym rój wściekłych insektów. Gwiezdny niszczyciel „Inexorable” szedł wzdłuż lewej burty „Chimaery” ku ich bazie, a jego myśliwce TIE, uformowane w klin, pomknęły na spotkanie obrońców.

– Kurs na odleglejszą planetę – nakazał oficerowi sterującemu. – Eskadry myśliwców mają osłonić nasz atak. Przekażcie „Judicatorowi”, by się zajął drugą planetą.

Spojrzał na Thrawna.

– Jakieś specjalne rozkazy, admirale?

Ten wpatrywał się w skan bliźniaczych planet, przekazywany ze średniego dystansu.

– Trzymajmy się póki co dotychczasowych ustaleń, kapitanie – rzekł. – Nasze wstępne dane okazują się na razie prawidłowe. Proszę samodzielnie wybrać cele ataku, ale przypomnieć artylerzystom, że naszym zadaniem jest uszkodzić i wzbudzić lęk, a nie dokonywać całkowitych zniszczeń.

– Przekazać instrukcje! – rzucił Pellaeon w kierunku stanowisk komunikacyjnych. – Również pilotom TIE.

Kątem oka ujrzał, jak Thrawn się obraca.

– Mistrzu C’baoth! – odezwał się. – Jak przebiega atak w pozostałych systemach?

– Według planu.

Pellaeon odwrócił się, marszcząc czoło. Głos, choć bez wątpienia należał do C’baotha, był tak gardłowy i pełen wysiłku, że niemalże nie do rozpoznania.

Podobnie jak jego wygląd.

Kapitan niszczyciela wpatrywał się w Jedi przez dłuższą chwilę, czując, jak w jego brzuchu rozlewa się zimno. C’baoth siedział z nienaturalną sztywnością. Pod zamkniętymi powiekami widać

było poruszające się zauważalnie i szybko źrenice. Z ogromną siłą zaciskał dłonie na poręczach fotela, a usta zagryzł tak mocno, że na szyi uwydatniły się żyły.

– Wszystko w porządku, mistrzu C'baoth? – spytał.

– Niech się pan nie przejmuje, kapitanie – rzekł chłodno Thrawn. – Mistrz C'baoth robi to, co sprawia mu największą przyjemność: kontroluje ludzi.

C'baoth wydał z siebie dźwięk, który zabrzmiał jak coś między parsknięciem a pogardliwym chichotem.

– Już ci raz mówiłem, wielki admirale Thrawn, że nie to stanowi o prawdziwej potędze.

– Fakt, mówiłeś – odparł Thrawn neutralnym tonem. – Czy możesz teraz powiedzieć coś o oporze stawianym obu eskadrom przez wroga?

C'baoth zmarszczył czoło jeszcze bardziej.

– Nie, raczej nie. Mam tylko pewność, że żadnej z nich nie grozi niebezpieczeństwo. Potrafię wyczytać to z ich umysłów.

– Dobrze. Niech „Nemesis" odłączy się od swojej grupy i czeka na nas w punkcie zbornym.

Pellaeon spojrzał ze zdziwieniem na dowódcę.

– Sir?

Thrawn odwrócił się ku niemu. Jego jarzące się czerwienią oczy zalśniły ostrzegawczo.

– Proszę powrócić do swoich obowiązków, kapitanie – rzekł.

I wtedy Pellaeon uświadomił sobie, że zsynchronizowany atak na terytorium Republiki był czymś więcej niż elementem przygotowań do uderzenia na Sluis Van. Był to również test umiejętności C'baotha, a także jego gotowości do wykonywania rozkazów.

– Tak jest, admirale – rzekł i powrócił do śledzenia ekranów.

„Chimaera" była już w zasięgu. Na taktycznym holo pojawiły się drobne iskierki symbolizujące ogień prowadzony z ogromnych baterii turbolaserów. Centrale komunikacyjne na powierzchni planety jaśniały i znikały, po nich fabryki i ośrodki przemysłu. Na prawej burcie pojawiły się dwa lekkie krążowniki klasy Carrack, ale ekran przedstawiający sytuację myśliwców TIE pokazał, że ich dotychczasowa formacja rozpadła się, gdy piloci rzucili się ku

przeciwnikowi. W oddali widać było „Stormhawka” prowadzącego ostrzał orbitalnej platformy obronnej, która na oczach Pellaeona po prostu wyparowała. Bitwa rozwijała się bardzo dobrze.

Wręcz wzorowo…

Tknięty nieprzyjemnym przeczuciem, Pellaeon przyjrzał się ekranom przedstawiającym aktualną sytuację. Jak dotąd Imperium zniszczyło osiem jednostek liniowych i osiemnaście myśliwców przeciwnika. Ich eskadra utraciła przy tym zaledwie trzy myśliwce TIE, a gwiezdne niszczyciele odniosły powierzchowne uszkodzenia. Mieli więc ogromną przewagę nad obrońcami, ale mimo to…

Pellaeon powoli, niechętnie wyciągnął rękę w kierunku swojej konsoli. Kilka tygodni temu sporządził statystyczne zestawienie wyników starć, w których brała udział „Chimaera”. Przywołał je teraz i porównał z obecnym statusem.

Nie było wątpliwości, że w każdej kategorii i podkategorii dotyczącej prędkości, koordynacji, skuteczności działania i celności załoga niszczyciela osiągnęła wynik przynajmniej czterdzieści procent wyższy niż zwykle.

Odwrócił głowę, by spojrzeć na twarz C’baotha, wciąż napiętą z wysiłku. Po plecach przebiegł mu zimny dreszcz. Nigdy nie uwierzył do końca w teorię Thrawna, wyjaśniającą przyczyny klęski w bitwie o Endor. Bez wątpienia nigdy nie chciał w nią uwierzyć. Teraz jednakże nie było już o czym rozmawiać. Kwestia stała się oczywista.

C’baoth, który musiał skupić całą swoją moc i uwagę na kontakcie umysłowym z dwiema innymi eskadrami, znajdującymi się w odległości prawie czterech lat świetlnych, nadal był w stanie pomóc jego załodze.

Bywało, że zastanawiał się – z niemałą dozą pogardy – z jakiego powodu starzec obnosi się z tytułem mistrza. Teraz już zrozumiał.

– Odbieramy kolejne transmisje! – zameldował oficer łączności. – Startuje nowa grupa planetarnych krążowników średniego zasięgu.

– Proszę posłać „Stormhawka” kursem na przechwycenie – polecił Thrawn.

– Tak jest, sir. Zlokalizowaliśmy również miejsce, z którego wróg nadaje sygnał alarmowy, admirale.

Pellaeon otrząsnął się z zadumy i spojrzał na holo. Na najdalszym księżycu systemu pojawił się nowy, jaśniejący krąg.

– Niech się tym zajmie Eskadra Czwarta.

– Anuluję rozkaz – wtrącił Thrawn. – Nim przybędą posiłki, nas już tu dawno nie będzie. Niech więc Rebelia traci swoje zasoby, spiesząc na pomoc placówkom, których uratować się już nie da. A skoro już o tym mowa – Thrawn spojrzał na zegarek – wydaje mi się, że nadszedł czas, by się stąd zbierać. Proszę wezwać myśliwce do hangarów. Gdy pojawi się ostatni z nich, przechodzimy w prędkość światła.

Palce Pellaeona przemknęły po klawiszach jego konsoli. Pospiesznie sprawdził, czy niszczyciel jest gotowy do manewru. Dotychczas powszechnie uważano, że gwiezdne niszczyciele zostały stworzone jako ruchome centra inwazji na planety i wykorzystywanie ich do błyskawicznych uderzeń w wojnie podjazdowej to marnotrawstwo potencjału, a przy tym spore ryzyko.

Niemniej zwolennicy podobnych strategii najwyraźniej nigdy nie widzieli kogoś takiego jak wielki admirał Thrawn w akcji.

– Proszę przekazać pozostałym eskadrom, by również przerwały natarcie. – Thrawn zwrócił się do C'baotha. – Zakładam, że jest pan z nimi w wystarczająco bliskim kontakcie?

– Zbyt często kwestionuje pan moje możliwości, wielki admirale. – Głos C'baotha był jeszcze bardziej ochrypły niż wcześniej. – O wiele za często.

– Kwestionuję wszystko, co nie jest mi znane bądź oczywiste – rzekł Thrawn i znów się obrócił. – Zwołaj obie eskadry do punktu przegrupowania.

– Jak sobie życzysz – zasyczał mistrz Jedi.

Pellaeon zerknął na C'baotha. Starzec udowodnił, że jego talent okazuje się wielce pomocny w realiach bojowych, ale cierpliwość wielkiego admirała miała swoje granice.

– Musi się nauczyć, kto tu dowodzi – rzekł Thrawn, jakby czytał w myślach kapitanowi.

– Tak jest, sir. – Pellaeon skinął z wymuszonym spokojem. Po raz kolejny Thrawn udowodnił, że wie, co robi, ale kapitan nie miał

pojęcia, czy ten zdaje sobie sprawę z rozmiarów potęgi, którą obudził na Waylandzie. Myśl ta zaniepokoiła go.

Wielki admirał pokiwał głową.

– Dobrze. Czy wiadomo już, gdzie szukać tych kretowiertów, o które prosiłem?

– Eee… Nie, sir – odparł Pellaeon.

„Jak szybko wszystko się zmienia – pomyślał. – Rok temu byłbym bardzo zaskoczony, gdybym w samym środku operacji uderzeniowej miał rozmawiać o czymś, co nie ma z nią związku”.

– W każdym razie nie znaleźliśmy miejsca, które dysponowałoby taką ilością sprzętu, sir – ciągnął. – Osobiście uważam, że naszą największą szansą jest system Athega. A raczej byłby, gdyby udało nam się rozwikłać panujący tam problem intensywności światła słonecznego.

– Nie sądzę, by był to naprawdę istotny problem – rzekł Thrawn z pewnością siebie. – Jeśli wykonamy skok z należytą dokładnością, „Judicator” będzie narażony na blask słońca jedynie przez kilka minut. Jego kadłub z pewnością to wytrzyma. Musimy się jedynie dobrze przygotować. Należy zasłonić iluminatory oraz usunąć sensory i urządzenia komunikacyjne znajdujące się na zewnątrz.

Pellaeon pokiwał głową i darował sobie kolejne pytanie. Wygłuszenie i oślepienie gwiezdnego niszczyciela zazwyczaj pociągnęłoby za sobą wiele trudności, ale teraz nie musieli się nimi przejmować. Wszak mieli ze sobą C’baotha.

– Wielki admirale Thrawn?

Ten znów się odwrócił.

– Tak, mistrzu C’baoth?

– Gdzie moi Jedi, wielki admirale Thrawn? Obiecałeś, że twoi oswojeni Noghri przyprowadzą mi moich Jedi.

Kątem oka Pellaeon zauważył, jak Rukh drgnął.

– Cierpliwości, mistrzu C’baoth – rzekł Thrawn. – Ich przygotowania były czasochłonne, ale już dobiegły końca. Oczekują tylko na moment, by zaatakować.

– Obym nie musiał długo na ten moment czekać! – ostrzegł go C’baoth. – Mam już dość czekania.

Thrawn zerknął na Pellaeona. Jego czerwone oczy zdawały się tlić.

– Jak my wszyscy – rzekł cicho.

Jeden ze zgromadzonych w dali gwiezdnych niszczycieli Imperium, widocznych przez dziobowy iluminator frachtowca „Dziki Karrde", zasymulował ruch i znikł.

– Wynoszą się stąd – oznajmiła Mara.

– Co? Już? – zdziwił się stojący za nią Karrde.

– Już – potwierdziła i wstukała kilka komend, by uzyskać pełny obraz sytuacji. – Jeden niszczyciel właśnie wszedł w prędkość światła, a pozostałe zaczynają się przygotowywać do skoku.

– Ciekawe – rzekł Karrde i podszedł bliżej, by spojrzeć na iluminator ponad jej ramieniem. – Błyskawiczny atak w wykonaniu niszczycieli. Coś takiego nie zdarza się często.

– Słyszałem o podobnym ataku w układzie Draukyze kilka miesięcy temu – wtrącił drugi pilot, zwalisty mężczyzna o imieniu Lachton. – Wyglądał identycznie, tyle że wziął w nim udział tylko jeden niszczyciel.

– Chyba właśnie się przekonaliśmy, że wielki admirał Thrawn wywiera wpływ na strategię Imperium – oznajmił zamyślony Karrde, choć w jego głosie pojawiła się odrobina zatroskania. – Tak czy owak, dziwne to trochę. Wygląda na to, że Thrawn jest skłonny podjąć ryzyko nieproporcjonalnie duże do swoich celów. Ciekawe, o co mu naprawdę chodzi.

– Nie mam pojęcia o co, ale zapewniam cię, że chodzi o coś skomplikowanego – odparła Mara z goryczą w głosie. – Thrawn nigdy nie załatwiał niczego w prosty sposób. Wyróżniał się wśród innych nawet dawno temu, gdy Imperium stać było jeszcze na styl czy subtelne działania.

– Trudno o proste rozwiązania w czasach, gdy twoje terytorium kurczy się z dnia na dzień – stwierdził Karrde i urwał. Mara czuła, że spogląda na nią. – Wygląda na to, że wiesz co nieco o wielkim admirale.

– Ja wiem co nieco o wielu rzeczach – odparła Mara spokojnym głosem. – To dlatego szkolisz mnie na swoją zastępczynię, pamiętasz?

– Wygrałaś – rzekł beztrosko Karrde. – O, kolejny przeszedł w nadprzestrzeń.

Mara spojrzała w iluminator na tyle szybko, by ujrzeć, jak znika trzeci. Pozostał już tylko czwarty.

– Nie powinniśmy już ruszać? – zwróciła się do dowódcy. – Ten ostatni zniknie za chwilę.

– Och, nie będziemy wypełniać tego zlecenia – odparł Karrde. – Uznałem, że skoro już znaleźliśmy się tu we właściwym momencie, dobrze będzie obejrzeć tę bitwę.

Mara zmarszczyła brwi, spoglądając na niego.

– Co masz na myśli? Jak to nie będziemy wypełniać tego zlecenia? Przecież się nas spodziewają.

– Tak, to prawda. – Karrde pokiwał głową. – Niestety, lada moment w całym systemie zaroi się od okrętów Nowej Republiki, a to kiepskie towarzystwo dla kogoś, kto podróżuje z ładowniami pełnymi kontrabandy.

– A skąd pomysł, że się zjawią? – spytała Mara. – Przecież nie zdążą już pomóc zaatakowanym.

– Nie, ale chodzi już o coś innego – rzekł Karrde. – Republika będzie chciała osiągnąć kilka politycznych celów naraz. Ich flota będzie się uwijać to tu, to tam, prężyć muskuły i zapewniać miejscowych, że drugi raz do podobnego ataku nie dojdzie.

– I pewnie obiecają też pomoc w uprzątnięciu zgliszczy – wtrącił Lachton.

– Bez dwóch zdań – potwierdził sucho Karrde. – Tak czy owak, nie jest to sytuacja, w której chcielibyśmy się znaleźć. Z następnego postoju prześlemy transmisję z informacją, że spróbujemy dostarczyć towar w przyszłym tygodniu.

– Nadal mi się to nie podoba – upierała się Mara. – Obiecaliśmy, że damy radę. Obiecaliśmy!

Przez moment nikt się nie odzywał.

– To standardowa procedura – powiedział Karrde. Mówił ze swadą, taktownie jak zwykle, ale w jego głosie dało się wyczuć

zaciekawienie. – Jestem przekonany, że woleliby opóźnioną dostawę od utraty całego towaru.

Mara z niemałym wysiłkiem odepchnęła od siebie czarną mgiełkę wspomnień. Obietnice…

– Pewnie tak – przyznała.

Zamrugała, na nowo skupiając uwagę na swojej konsoli. Podczas ich rozmowy ostatni gwiezdny niszczyciel skoczył w nadprzestrzeń, pozostawiając po sobie rozwścieczonych, bezsilnych obrońców i trudny do wyobrażenia bałagan, którego uprzątnięciem mieli się zająć politycy i wojskowi Nowej Republiki.

Przez moment Mara wpatrywała się w odległe planety. Zastanawiała się, czy Luke Skywalker znajdzie się wśród ludzi wysłanych na pomoc.

– Ruszamy, gdy będziesz gotowa, Maro.

Z niemałym wysiłkiem otrząsnęła się z zadumy.

– Tak jest, sir! – rzekła i znów skupiła się na konsoli.

„Jeszcze nie – obiecała sobie cicho. – Ale wkrótce. Naprawdę niebawem”.

Zdalniak opadł, zawahał się i znów opadł. Po chwili jeszcze bardziej obniżył lot i wystrzelił. Leia wykonała nader szerokie cięcie swoim nowym mieczem świetlnym, ale okazała się odrobinę zbyt wolna.

– Ach! – warknęła, cofając się o krok.

– Nie kontrolujesz Mocy tak, jak należy – rzekł Luke. – Musisz… Poczekaj chwilę.

Korzystając z własnej Mocy, przełączył zdalniaka na pauzę. Wyraźnie pamiętał swoje pierwsze ćwiczenia z posługiwania się mieczem świetlnym. Jeszcze na pokładzie „Sokoła”. Musiał się skupić na instrukcjach Bena Kenobiego, a przy tym nie spuszczać oczu ze zdalniaka. Połączenie tych dwóch obowiązków wcale nie było łatwe.

Ale może o to właśnie chodziło. Być może lekcja przyswojona w warunkach stresu zostaje lepiej zapamiętana.

Żałował, że nie ma co do tego pewności.

– Kontroluję ją najlepiej, jak umiem – powiedziała Leia, masując ramię, w które ukąsił ją strzał zdalniaka. – Nie wyuczyłam się jeszcze odpowiednich technik, i tyle.

Przeszyła go spojrzeniem i dodała:

– Albo po prostu nie nadaję się do takiej walki, i tyle.

– Jesteś w stanie się tego nauczyć – rzekł stanowczo Luke. – Ja dałem radę, a nie przechodziłem tylu szkoleń z walki, co ty na Alderaanie.

– A może w tym tkwi problem? – spytała Leia. – Może odruchy, których wówczas nabyłam, zaczynają mi teraz przeszkadzać?

– To możliwe – przyznał Luke, żałując, że i na to pytanie nie zna odpowiedzi. – W każdym razie im szybciej się ich pozbędziesz, tym lepiej. Przygotuj się…

Zabuczały drzwi.

– To Han – powiedziała Leia i wyłączyła miecz. – Wejdź! – zawołała.

– Cześć – rzucił Han, wchodząc do środka. Spojrzał najpierw na Leię, a potem na Luke'a. Nie uśmiechał się. – Jak idzie lekcja?

– Nie najgorzej – stwierdził Luke.

– Nawet nie pytaj – zripostowała Leia i zmarszczyła brwi. – Co się dzieje?

– Imperium – rzekł kwaśno Han. – Właśnie jednocześnie przeprowadzili trzy błyskawiczne uderzenia na znajdujące się daleko od siebie systemy w sektorze Sluis. Jeden z nich nazywał się Bpfassh, a nazw dwóch innych nie wymówię.

– Trzy systemy naraz – gwizdnął Luke. – Zuchwali się robią, nie?

– Ostatnimi czasy rzeczywiście przechodzą samych siebie. – Leia pokręciła głową, a na jej twarzy pojawiły się napięcie i skupienie. – Oni coś knują, Han. Czuję to. Coś wielkiego, coś niebezpiecznego. — Bezradnie machnęła dłonią. – Ale za diabła nie jestem w stanie dojść do tego, co wymyślili.

– Tak, Ackbar gada to samo. – Han pokiwał głową. – Sęk w tym, że nie ma żadnych dowodów. Pominąwszy styl ataku i taktykę, mamy wszak do czynienia z klasycznym przykładem wojny podjazdowej, którą Imperium zajmuje się od półtora roku.

– Wiem. – Leia zacisnęła zęby. – Ale nie skreślaj Ackbara za szybko. Ten Kalamarianin ma dobry instynkt wojownika, bez względu na to, co inni mówią.

– Hej, skarbie, ja jestem po twojej stronie! – Han uniósł brew. – Już zapomniałaś?

Leia odpowiedziała mu bladym uśmiechem.

– Przepraszam. Wyrządzili nam poważne szkody?

– Mogło być o wiele gorzej. – Han wzruszył ramionami. – Tym bardziej że natarcie w każdym systemie przeprowadziły cztery gwiezdne niszczyciele. Niemniej wszystkie układy porządnie oberwały.

– Mogę sobie to wyobrazić – westchnęła Leia. – Niech no zgadnę. Mon Mothma życzy sobie, bym poleciała tam i zapewniła mieszkańców, że Nowa Republika naprawdę jest w stanie ich ochronić, a nawet ma taki plan?

– Jak na to wpadłaś? – burknął Han. – Chewie już przygotowuje „Sokoła".

– Nie wybierasz się przypadkiem sama, co? – spytał Luke. – Po Bimmisaari…

– Och, nie martw się. – Han obdarzył go skąpym uśmiechem. – Tym razem nie będziemy już łatwymi celami. Dołączymy do konwoju dwudziestu jednostek, które mają zbadać rozmiar strat. Towarzyszy nam również Wedge Antilles ze swoimi najlepszymi ludźmi z Eskadry Łotrów. Nic nam nie grozi tym razem, jak sądzę.

– O misji na Bimmisaari też tak mówiono – rzekł Luke. – Wybieram się z wami.

Han spojrzał na Leię.

– Cóż, w sumie to… To nie możesz.

– Czemu nie? – Luke zmarszczył brwi.

– Bo mieszkańcy Bpfassh nie przepadają za Jedi – odpowiedziała cicho Leia.

Han wykrzywił usta.

– Podobno podczas wojny klonów niektórym z ich Jedi odbiło i zdążyli sporo namieszać, zanim ich powstrzymano. Przynajmniej tak utrzymuje Mon Mothma.

– Ma rację. – Leia pokiwała głową. – Wciąż odczuwamy skutki klęski imperialnego senatu z czasów, gdy sama do niego należałam. Nie chodzi tylko o Bpfassh. Wielu Mrocznych Jedi uciekło i siało spustoszenie w całym sektorze Sluis. Jeden z nich dotarł aż na Dagobah, zanim go złapano.

Luke poczuł, jak przeszywa go dreszcz.

„Dagobah?”

– Kiedy to było? – spytał najspokojniej, jak umiał.

– Trzydzieści, trzydzieści pięć lat temu – odparła Leia i lekko zmarszczyła czoło, przyglądając się jego twarzy. – Dlaczego pytasz?

Luke pokręcił głową. Yoda przecież nigdy nie wspominał o tym, by na Dagobah kiedykolwiek dotarł jakiś Mroczny Jedi.

– Tak tylko – mruknął.

– Dobra, o historii pogadamy kiedy indziej – wtrącił Han. – Im szybciej wylecimy, tym szybciej będziemy mieli to z głowy.

– Zgadza się – rzekła Leia, przypasała miecz i skierowała się ku drzwiom. – Wezmę tylko swoją torbę podróżną i przekażę Winter kilka instrukcji. Spotkamy się na statku.

Luke patrzył, jak jego siostra wychodzi, a gdy się odwrócił, ujrzał, że Han wpatruje się w niego.

– Nie podoba mi się to – rzekł.

– Nie martw się. Będzie bezpieczna – zapewnił go Han. – Słuchaj, wiem, jak bardzo opiekuńczy stałeś się ostatnio wobec niej, ale nie może być tak, że starszy brat będzie baczył na każdy jej krok.

– Tak po prawdzie to nigdy nie ustaliliśmy, które z nas jest starsze – mruknął Luke.

– Mniejsza o to. – Han machnął ręką. – Wystarczy, że zrobisz dla niej to, co już robisz. Wyszkol ją na Jedi, a da sobie radę ze wszystkim, czym Imperium w nią ciśnie.

– Pewnie masz rację – rzekł Luke, ale poczuł ucisk w żołądku.

– Dopóki Chewie i ja będziemy tuż przy niej, rzecz jasna – poprawił Han, kierując się ku drzwiom. – Do zobaczenia po powrocie.

– Uważajcie na siebie! – zawołał w ślad za nim Luke.

Han się odwrócił.

– Ej! – zaprotestował, obrzucając go niewinnym, urażonym spojrzeniem. – To przecież ja. Już zapomniałeś?

Wyszedł i Luke pozostał sam.

Przez dłuższą chwilę włóczył się po pomieszczeniu i zmagał z ciężarem odpowiedzialności, która zaczynała już go przytłaczać. Nie miał nic przeciwko ryzykowaniu własnym życiem, ale nie podobało mu się to, że w jego rękach znalazła się również przyszłość Lei. Nie chciał tego.

– Nie jestem nauczycielem! – zawołał w głąb pustego pomieszczenia.

Jedyną odpowiedzią był drobny ruch zdalniaka, który nadal znajdował się w trybie pauzy. Tknięty nagłym impulsem Luke włączył urządzenie, chwycił własny miecz świetlny i rzucił się do ataku. Zdalniak zaczął miotać się po pomieszczeniu, ciskając w Jedi serią szybko następujących po sobie impulsów, ale Luke odbijał każdy z nich bez wysiłku. Miecz świetlny obracał się tak prędko, że młody Jedi zdawał się wręcz spowity w świetlisty kokon, a jego ciało i umysł przepełniła osobliwa euforia. Och tak, z tym mógł walczyć! Wreszcie mierzył się z czymś materialnym i namacalnym, a nie odległym i bezcielesnym jak jego lęki. Zdalniak miotał kolejnymi impulsami, co do jednego odbijanymi przez klingę Luke'a.

Niespodziewanie urządzenie wydało głośny pisk i zamarło. Skywalker przez moment wpatrywał się w nie z oszołomieniem, zastanawiając się, co się stało, aż nagle uświadomił sobie, że głośno oddycha. Sapał, a po jego ciele spływał pot. Zdalniak był zaprogramowy na dwudziestominutową sesję treningową, która właśnie dobiegła końca.

Luke wyłączył miecz i przypiął go do pasa. Był nieco wyprowadzony z równowagi tym, co się właśnie stało. Nie po raz pierwszy stracił poczucie czasu, ale jak dotąd zawsze zdarzało się to podczas cichej medytacji. W walce zapamiętał się tak jedynie na Dagobah, gdzie ćwiczył pod okiem Yody.

Na Dagobah…

Luke starł rękawem pot z czoła, podszedł do stanowiska komunikacyjnego w kącie sali i wywołał port kosmiczny.

– Tu Skywalker – przedstawił się. – Przygotujcie mi mojego X-winga do startu za najdalej godzinę.

– Tak jest, sir – potwierdził młody oficer odpowiedzialny za hangar. – Proszę jednakże w pierwszej kolejności podesłać swojego astromecha.

– Racja. – Luke pokiwał głową.

Nie pozwalał, by czyszczono pamięć komputera pokładowego, mimo że wymagały tego procedury, w rezultacie czego komputer zlał się całkowicie z unikatową osobowością R2-D2, do tego stopnia, że działał na poziomie droida. Dzięki temu połączeniu jego myśliwiec dysponował niebywałą prędkością operacyjną i skutecznością działania, ale były też minusy – żaden z komputerów konserwacyjnych nie był już w stanie połączyć się z X-wingiem.

– Podeślę go za parę minut – rzekł Luke, przerwał połączenie i wyprostował się, zastanawiając się, dlaczego właściwie to robi. Przecież Yoda nie żył od dawna i Luke nie mógł już liczyć na to, że zdoła nawiązać kontakt z jego duchem.

A może by się udało?

Rozdział 10

– Jak widać naokoło – ciągnął Wedge ponurym, tonem, miażdżąc podeszwą plastik i ceramikę – mamy tu do czynienia z totalną rozwałką.

– Nie ma co do tego wątpliwości – rzekła Leia.

Zrobiło jej się niedobrze, gdy patrzyła na zasłany szczątkami krater o płaskim dnie. Kilku innych przedstawicieli Republiki z jej świty przechadzało się również po pobojowisku i toczyło ciche rozmowy z towarzyszącymi im mieszkańcami Bpfassh. Od czasu do czasu któryś z nich zatrzymywał się i przyglądał szczątkom, które w niczym nie przypominały wielkiej elektrowni stojącej tu przed atakiem.

– Ilu ludzi zginęło? – spytała, nie wiedząc, czy naprawdę chce usłyszeć odpowiedź.

– W tym systemie kilkuset – odparł Wedge, zerknąwszy na datapad. – Nie najgorzej, trzeba przyznać.

– Nie – odparła Leia i odruchowo uniosła głowę, by spojrzeć na błękitnozielone niebo nad ich głowami.

„Fakt, nieźle – pomyślała. – Zważywszy na to, że mieli nad sobą cztery siejące spustoszenie gwiezdne niszczyciele.”

– Choć uszkodzeń jest sporo.

– Tak – przytaknął Wedge. – Mimo to mogło być znacznie gorzej.

– Ciekawe, co ich powstrzymało – mruknął Han.

– Wszyscy się nad tym zastanawiają – zgodził się Wedge. – To drugie najczęściej zadawane tu pytanie.

– A jak brzmi pierwsze? – spytała Leia.

– Niech no zgadnę – wtrącił Han. – Pierwsze pytanie brzmi: po co w ogóle zaatakowali Bpfassh?

– Otóż to. – Wedge znów pokiwał głową. – Przecież mają całe mnóstwo innych celów. Trzydzieści lat świetlnych stąd znajdują się stocznie Sluis Van, na przykład, gdzie bez przerwy stacjonuje przynajmniej sto statków, nie mówiąc już o samych dokach

i wytwórniach. W odległości sześćdziesięciu znajduje się stacja komunikacyjna na Praesytlinie, a w promieniu stu lat świetlnych mamy cztery lub pięć większych ośrodków handlowych. Przy prędkości przelotowej gwiezdnych niszczycieli to raptem jeden dzień podróży. Czemu więc uderzyli w Bpfassh?

Leia zastanowiła się. Tak, pytanie w istocie miało sens.

– Sluis Van jest doskonale chronione – zauważyła. – Są tam nasze krążowniki i miejscowe stałe stacje bojowe. Myślę, że każdy dowódca Imperium powinien dobrze się zastanowić, zanim się na nie porwie. Poza tym te systemy znajdują się o wiele dalej w głąb Republiki niż Bpfassh. Może po prostu nie chcieli ryzykować.

– Jednocześnie testując nowy system komunikacyjny w warunkach bojowych? – dodał Han ponurym głosem.

– Nie mamy pewności, czy rzeczywiście mają nowy system – ostudził go Wedge. – Skoordynowane ataki to nie nowość.

– Nie. – Han pokręcił głową i rozejrzał się. – Nie, Wedge, oni mają coś nowego. Mają jakiś wzmacniacz, który pozwala im przesyłać podprzestrzenne komunikaty przez ekrany ochronne, wraki i inne szczątki.

– Nie sądzę, by był to wzmacniacz – rzekła Leia, a po jej plecach spłynął dreszcz. Miała wrażenie, że rozwiązanie kryje się blisko, wręcz majaczy gdzieś na skraju jej umysłu. – Przecież nikt we wszystkich trzech systemach nie wychwycił żadnej transmisji.

Han spojrzał na nią i zmarszczył brwi.

– Wszystko gra? – spytał cicho.

– Tak – mruknęła i znów poczuła dreszcze. – Przypomniało mi się, jak… jak Darth Vader torturował nas na Bespinie. Nie wiem, gdzie był wtedy Luke, ale skądś wiedział, co się dzieje. Ponadto mówiono, że Imperator i Vader też to potrafili.

– Tak, ale obaj nie żyją – przypomniał jej Han. – Luke sam tak powiedział.

– Wiem – odparła Leia. Mrowienie na skraju jej umysłu stawało się coraz intensywniejsze. – A jeśli Imperium odnalazło kolejnego Mrocznego Jedi?

Wedge, który nieco ich wyprzedził, usłyszał jej słowa i odwrócił się.

– Masz na myśli C’baotha?

– Kogo? – Leia zmarszczyła brwi.

– Jorusa C’baotha – odparł Wedge. – Wydawało mi się, że mówiłaś coś o Jedi.

– Tak – powiedziała Leia. – A kim jest Jorus C’baoth?

– W czasach przedimperialnych był jednym z głównych mistrzów Jedi – odparł Wedge. – Ponoć zaginął gdzieś przed rozpoczęciem wojen klonów. Kilka dni temu obiło mi się o uszy, że pojawił się na jakiejś planecie zwanej Jomark, gdzie założył warsztat.

– Jasne – parsknął Han. – A w trakcie działań Rebelii siedział z bezczynnie założonymi rękami?

– Nie wiem, generale. – Wedge wzruszył ramionami. – Ja nie tworzę plotek, a jedynie je zgłaszam.

– Powinniśmy spytać Luke’a – rzekła Leia. – Może wie coś na ten temat. Możemy już wracać?

– Pewnie – odparł Wedge. – Śmigacze czekają tam…

Mrowienie, które dokuczało Lei od dłuższej chwili, niespodziewanie eksplodowało i przeobraziło się w konkretne przeświadczenie.

– Han, Wedge! Padnij!

Zza krawędzi krateru wyłoniła się grupa szaroskórych obcych, których dobrze zapamiętali z Bimmisaari.

– Kryć się! – huknął Han do innych przedstawicieli Republiki.

Ułamek sekundy później obcy otworzyli ogień z blasterów. Han złapał Leię za nadgarstek i pociągnął ją ku wątpliwej osłonie, jaką dawała poskręcana płyta ochronna, jakimś cudem wbita do połowy w ziemię. Wedge przypadł tam chwilę później, zderzając się z Leią.

– O, przepraszam – wysapał, wyszarpując własny blaster, i ostrożnie wyjrzał za krawędź ich kryjówki.

Wiele nie ujrzał, gdyż sekundę później strzał z blastera rozbryznął metal niedaleko jego twarzy.

– Nie mam pewności – rzekł – ale wydaje mi się, że mamy kłopoty.

– Nie mylisz się – zgodził się ponuro Han.

Leia odwróciła się ku niemu. Jej mąż wyciągnął już blaster z kabury, a wolną ręką sięgnął po komunikator.

– Cholera, dodali dwa do dwóch. Zakłócają wszystkie transmisje.

Leia poczuła, jak robi się jej zimno. Pozbawieni środków łączności, nie mieli szans na przywołanie jakiejkolwiek pomocy. Byli zdani na łaskę losu.

Odruchowo nakryła dłonią brzuch, przypadkowo muskając przy tym miecz świetlny. Naraz przypomniała sobie o broni. Uwolniła ją i zdusiła lęk nagłym przypływem determinacji. Może nie była jeszcze w pełni przeszkoloną Jedi, może nie miała tyle doświadczenia, ale z pewnością nie zamierzała poddać się bez walki.

– Wygląda mi na to, że już kiedyś spotkaliście się z tymi przyjemniaczkami! – rzucił Wedge, który wychylił się za osłonę i posłał kilka strzałów na ślepo w kierunku napastników.

– Cóż, wpadliśmy raz na siebie – burknął Han, szukając pozycji do oddania czystego strzału. – Choć nie dowiedzieliśmy się jeszcze, czego od nas chcieli.

Leia ułożyła kciuk na przycisku uwalniającym ostrze miecza świetlnego, zastanawiając się, czy starczy jej umiejętności, by odbijać strzały z blasterów, ale naraz zamarła. Przez jazgot broni i brzęk trafianego metalu przebił się nowy, dobrze jej znany odgłos.

– Han!

– Tak, słyszę! – odparł Han. – Ty to masz wyczucie. Chewie!

– Co? – spytał Wedge.

– Słyszysz ten skowyt? To silniki „Sokoła”! – Han wychylił się, by spojrzeć zza płyty. – Pewnie Chewie odkrył, że zakłócają transmisję, i poskładał fakty. Patrzcie, leci!

Nad ich głowami przemknął z ostrym rykiem znajomy kształt „Sokoła Millennium”. Zatoczył krąg, ignorując nieskuteczny ogień blasterów koncentrujący się na spodniej części kadłuba, po czym, podskakując kilkakrotnie, osiadł na ziemi między nimi a napastnikami. Leia wyjrzała ostrożnie i zobaczyła opadającą rampę.

– Dobra! – Han zerknął ponad jej ramieniem. – Okej. Podbiegnę pierwszy i będę was osłaniał z boku rampy. Leia, biegniesz druga, Wedge, osłaniasz tyły. Miejcie oczy i uszy szeroko otwarte. Mogą próbować nas otoczyć.

– Jasne! – Wedge skinął głową. – Ruszam na wasz sygnał.

– Okej! – Han już się podrywał, kiedy Leia złapała go za rękę.

– Poczekajcie! – odezwała się. – Coś jest nie tak.

– Zgadza się! – wtrącił Wedge. – Strzelają do nas!

– Poważnie – warknęła Leia. – Coś tu nie gra!

– A co? – Han zmarszczył brwi. – Dalej, nie możemy tu siedzieć przez resztę dnia!

Leia zacisnęła zęby, usiłując zrozumieć osobliwe, nieprzyjemne mrowienie, wciąż dla niej niejasne… I nagle wszystko zrozumiała.

– To Chewie! – powiedziała. – Nie wyczuwam jego obecności na statku!

– Bo pewnie jest za daleko! – odezwał się Wedge. W jego głosie pojawiła się nuta niecierpliwości. – Dalej, zaraz zestrzelą mu ten statek spod tyłka, jeśli się nie pospieszymy.

– Powoli! – warknął Han, wciąż wpatrzony w Leię. – Jeszcze przez chwilę jest bezpieczny. Przecież strzelają z ręcznych blasterów, a jeśli zrobi się zbyt gorąco, może zawsze uruchomić…

Urwał nagle, a jego twarz przybrała dziwny wyraz. Sekundę później Leia zrozumiała, o co mu chodzi.

– Dolne działko – oznajmiła. – Czemu go nie wysunął?

– Dobre pytanie – rzekł ponuro Han.

Wychylił się ponownie i wytężył wzrok, a kiedy znów się schował za metalową płytą, na jego twarzy widniał sardoniczny uśmieszek.

– Odpowiedź jest prosta. Bo to nie „Sokół”.

– Co? – Wedge rozdziawił usta.

– To nie „Sokół”! Oczom nie wierzę! Ci goście wygrzebali skądś jakiś działający frachtowiec YT-1300!

– Rany, nie przebierają w środkach, by cię dopaść. – Wedge gwizdnął cicho.

– Tak, zaczynam sam nabierać takiego przekonania – odparł Han. – Ktoś ma jakiś sensowny pomysł?

Wedge znów wyjrzał z ich kryjówki.

– Bieg na przełaj odpada, tak?

– Jeśli dalej siedzą na skraju krateru z bronią gotową do strzału, to tak – stwierdziła Leia.

– Tak – zgodził się Han. – A gdy tylko zorientują się, że nie nabraliśmy się na ich fortel, zrobi się naprawdę gorąco.

– Istnieje jakiś sposób, by przynajmniej uszkodzić ten statek? – zapytała księżniczka. – Żeby nie wystartował i nie zaatakował nas z góry?

– Istnieje sporo sposobów – burknął Solo. – Ale trzeba by się było znaleźć w środku, by wykorzystać którykolwiek z nich. Zewnętrzna osłona nie jest imponująca, ale wytrzyma ogień z ręcznych blasterów.

– A miecz świetlny?

Han spojrzał na nią podejrzliwie.

– Nie chcesz chyba zaproponować…

– Nie sądzę, byśmy mieli wybór – przerwała mu Leia. – Mylę się?

– Chyba nie. – Han się skrzywił. – Dobra, ale to ja pobiegnę.

– Nie. – Leia pokręciła głową. – Nie możemy się rozstawać. Wiemy, że chcą pojmać choć jednego z nas żywcem. W przeciwnym razie już by nas roznieśli. Jeśli pobiegniemy wspólnie, nie będą mogli strzelać. Proponuję, byśmy jak gdyby nigdy nic popędzili ku rampie, a tuż przed nią rozbiegli się i schowali za nią. Ja i Wedge cię osłonimy, a ty weźmiesz miecz świetlny i rozwalisz co trzeba.

– Sam nie wiem – mruknął Han. – Myślę, że to ja i Wedge powinniśmy pobiec.

– Nie, musimy to zrobić wspólnie – nalegała Leia. – Wówczas możemy przynajmniej liczyć na to, że nie będą celować zbyt dobrze.

Han spojrzał na Wedge'a.

– Co o tym myślisz? – spytał.

– Myślę, że lepszej szansy już nie dostaniemy – odparł tamten. – Ale jeśli ma się to udać, nie możemy marnować ani chwili.

– Zgadza się. – Han nabrał powietrza i oddał Lei blaster. – W porządku. Daj mi miecz świetlny. Okej, gotowi? Ruszamy!

Wyślizgnął się spoza kryjówki i popędził w kierunku statku, przykucając co chwila, by uniknąć mknących w powietrzu wiązek z blasterów. Leia zauważyła, że pozostali przedstawiciele ich delegacji nie próżnowali i zaciekle ostrzeliwali obcych. We wnętrzu statku kosmicznego dostrzegła jakiś ruch i mocniej ujęła blaster Hana. Solo, który wyprzedzał ich o pół sekundy, wbiegł po rampie, ale nagle zeskoczył i wślizgnął się pod kadłub.

Obcy najwyraźniej zrozumieli, że ich pułapka nie zadziałała. Gdy Leia i Wedge przypadli do obu stron rampy, powitał ich grad wiązek z wnętrza. Księżniczka padła na ziemię i wcisnęła się pod rampę, oddając kilka strzałów na ślepo do środka statku, by choć na moment zatrzymać napastników. Wedge również strzelał, a Han najwyraźniej dopełzł już w miejsce, gdzie planował rozpocząć swój sabotaż. W powietrzu śmignęła wiązka energii, mijając o włos jej lewe ramię. Wystraszona Leia spróbowała wcisnąć się jeszcze głębiej w cień rampy. Za sobą usłyszała już syczące parsknięcie, wyraźne na tle laserowej palby, oznaczające, że Han wreszcie uruchomił jej miecz. Zacisnęła zęby i przygotowała się na wszystko, nie do końca wiedząc dlaczego...

Niespodziewanie rozległa się eksplozja, a kadłub przeszył wstrząs, który pchnął ją na ziemię. Statek kosmiczny wyskoczył na metr w górę i runął z łoskotem na ziemię.

W uszach jej dzwoniło, ale mimo to usłyszała czyjś dziki okrzyk wojenny. Ostrzał z wnętrza kadłuba ustał nagle i w ciszy, która go zastąpiła, Leia usłyszała osobliwy, głośny syk. Ostrożnie odczołgała się od rampy i rozejrzała.

Spodziewała się, że ujrzy jakiś wyciek z kadłuba. Nie była więc przygotowana na widok wielkiej chmury białego gazu, który buchał ku niebu niczym gorąca para wodna znad gejzeru.

– Podoba ci się? – Han podczołgał się bliżej i z zadowoleniem przyjrzał swojemu dziełu.

– To akurat mocno zależy od tego, czy statek zaraz wybuchnie, czy też nie! – odparła Leia. – Coś ty zrobił?

– Przeciąłem przewody chłodzące głównego napędu – oznajmił Han, po czym wziął od niej blaster i oddał jej miecz. – Patrzymy na uchodzący sprężony korfaz.

– Zawsze myślałam, że gazy chłodzące są niebezpieczne i nie wolno ich wdychać. – Leia z obawą przyglądała się skłębionej chmurze.

– Są! – zgodził się Han. – Ale korfaz jest lżejszy od powietrza, a więc tu, na ziemi, nic nikomu nie grozi. Czego, mam nadzieję, nie da się powiedzieć o wnętrzu statku.

Nagle Leia zdała sobie sprawę z ciszy, która zapadła.

– Przestali strzelać – powiedziała.

– Zgadza się! – stwierdził Han. – Co gorsza, nie tylko ci we wnętrzu statku.

– Ciekawe, co knują – mruknęła Leia i zacisnęła dłoń na rękojeści miecza świetlnego.

Odpowiedź na swoje pytanie poznała sekundę później. Po niebie przetoczył się ogłuszający huk, który cisnął ją na ziemię falą uderzeniową. Przez przejmującą zgrozą chwilę była przekonana, że obcy uruchomili mechanizm autodestrukcyjny na statku, ale dźwięk stopniowo przebrzmiał, a rampa przed nimi nadal była cała.

– Co to było?

– To, moja droga – odpowiedział Han, podnosząc się z ziemi – był dźwięk wystrzelonej kapsuły ratunkowej.

Ostrożnie wyłonił się spod iluzorycznej ochrony, którą dawała rampa, i rozejrzał się po niebie.

– Przypuszczalnie zmodyfikowanej na potrzeby manewrów atmosferycznych – dodał. – Nie zdawałem sobie dotąd sprawy z tego, jak są głośne.

– Bo zazwyczaj startują w próżni. – Leia również wyczołgała się na zewnątrz. – I co teraz?

– Teraz – Han wskazał coś ręką – zbierzemy eskortę i wynośmy się stąd.

– Eskortę? – zdziwiła się Leia. – Jaką esk…

Jej pytanie przerwał ryk silników trzech X-wingów, które przemknęły nad ich głowami, rozchylając skrzydła w pozycji do ataku. Leia spojrzała na biały pióropusz korfazu, sięgający już nieba, i nagle wszystko zrozumiała.

– Zrobiłeś to celowo, co?

– Cóż – rzekł Han z niewinną miną. – Po co po prostu psuć dobry statek kosmiczny, skoro można popsuć go tak, by jednocześnie wysłać sygnał alarmowy? – Spojrzał na chmurę i dodał w zadumie: – Wiesz co? Czasem nadal zadziwiam sam siebie.

Z głośników „Sokoła” płynął chrapliwy głos admirała Ackbara:

– Mogę pana zapewnić, kapitanie Solo, że robimy wszystko, co w naszej mocy, by dowiedzieć się, jak do tego doszło.

– Cztery dni temu usłyszałem to samo – przypomniał mu Han, próbując zachować uprzejmość. Nie było to łatwe. Już dawno temu przywykł, że bez przerwy do niego strzelano, ale sytuacja, w której celowano również do Lei, była dlań nie do przyjęcia. – Niechże pan przestanie! Przecież da się chyba zliczyć ludzi, którzy wiedzieli o naszym przybyciu na Bpfassh.

– Pewnie się pan zdziwi – rzekł Ackbar – ale trzeba wziąć pod uwagę członków Rady, ich sztaby oraz pracowników portu kosmicznego, ochrony i wsparcia technicznego. Po zliczeniu ich wszystkich okazało się, że wiedzę o celu waszej podróży miało prawie dwieście osób. Oczywiście nie wliczamy tu przyjaciół bądź kolegów, którym ludzie z powyższego grona mogli coś szepnąć. Odnalezienie ich wszystkich zabierze sporo czasu.

– Wspaniale. – Han się skrzywił. – A mogę spytać, czym, pana zdaniem, moglibyśmy się teraz zająć?

– Macie eskortę.

– Cztery dni temu też ją mieliśmy i nie na wiele nam się zdała. Komandor Antilles i Eskadra Łotrów sprawdzają się świetnie podczas walk w kosmosie, ale do walki na ziemi nie mają kwalifikacji. O wiele bardziej przydałby się porucznik Page i jego komandosi.

– Niestety, cały oddział wykonuje teraz zadanie – rzekł Ackbar. – W takich okolicznościach najlepiej będzie sprowadzić radną Organę Solo do miejsca, gdzie można zapewnić jej odpowiednią ochronę.

– Chciałbym – rzekł Han. – Pytanie brzmi tylko, czy na Coruscant będzie bezpieczniejsza niż tu.

Zapadła cisza. Han wyobrażał sobie, jak Ackbar przewraca wielkimi oczami osadzonymi w wypukłych oczodołach.

– Nie wiem, czy podoba mi się ton, jakim zadał pan pytanie, kapitanie.

– Mnie też się on nie podoba, admirale – odparł Han. – Niech pan jednakże uświadomi sobie, że skoro Imperium pozyskuje informacje z pałacu, bez trudu zdoła wprowadzić swoich agentów do środka.

– Nie wydaje mi się to wielce prawdopodobne – rzekł Ackbar, którego głos zauważalnie ochłódł. – Służby bezpieczeństwa, które zorganizowałem na Courscant, są w stanie poradzić sobie z każdym zagrożeniem stworzonym przez Imperium.

– Jestem co do tego przekonany, admirale – westchnął Han. – Chodziło mi jedynie…

– Odezwiemy się, gdy pojawią się kolejne informacje, kapitanie – rzekł Ackbar. – Póki co proszę działać według nakazów zdrowego rozsądku. Coruscant, koniec transmisji.

Subtelny szum ucichł.

– Super. Bpfassh też kończy transmisję – mruknął Han.

Przez chwilę siedział w kokpicie „Sokoła” i obrzucał w myślach przekleństwami politykę i polityków, a zwłaszcza Ackbara. Znajdujące się przed nim ekrany, które na ogół wyświetlały status statku, pokazywały teraz okolicę lądowiska ze szczególnym uwzględnieniem obszaru na zewnątrz rampy. Działko podkadłubowe było wysunięte i gotowe do otwarcia ognia, a ekrany osłonowe – gotowe do włączenia w każdej chwili, choć w atmosferze nie spełniały swojej funkcji tak dobrze jak w kosmosie.

Han pokręcił głową z frustracją i niesmakiem.

„Któż by pomyślał – uświadomił sobie – że pewnego dnia przyłapię sam siebie na paranoi”.

Za sobą usłyszał ciche kroki. Odruchowo pochwycił za blaster.

– To tylko ja – rzekła Leia, która podeszła bliżej i spojrzała na ekrany. Wydawała się zmęczona. – Skończyłeś już rozmowę z Ackbarem?

– Rozmową to ja bym tego nie nazwał – odparł kwaśno Han. – Zapytałem, co robią, by się dowiedzieć, w jaki sposób nieprzyjaciele z blasterami dotarli tu w ślad za nami, na co on zapewnił mnie, że robią wszystko, co możliwe. Udało mi się nadepnąć mu na odcisk, to się rozłączył. Ostatnio nie stać go na wiele więcej.

Leia uśmiechnęła się krzywo.

– Ty to dopiero umiesz rozmawiać z ludźmi, co?

– Tym razem to nie ja ponoszę winę – sprzeciwił się Han. – Ja tylko zasugerowałem, że nasza ochrona być może nie jest w stanie

zatrzymać tych gości, gdy postanowią przeniknąć do pałacu imperialnego. To Ackbar reaguje przesadnie.

– Wiem. – Leia pokiwała głową i ze znużeniem opadła na fotel pilota. – W dowodzeniu nie ma sobie równych, ale brakuje mu subtelności, by zostać dobrym politykiem. Co gorsza, Fey'lya nie przestaje go podgryzać. Nic dziwnego, że staje się coraz bardziej zaborczy, jeśli chodzi o własne pole działania – zakończyła, wzruszając ramionami.

– Dobrze, ale jeśli zależy mu na tym, by trzymać Fey'lyę z dala od wojska i floty, zabiera się za to z niewłaściwej strony – warknął Han. – Połowa dowódców jest już przekonana, że to Fey'lyi należy słuchać.

– Niestety, to często prawda – przyznała Leia. – Charyzma i ambicja to niebezpieczne połączenie.

Han zmarszczył brwi. W jej głosie pojawiło się coś, co mu się nie spodobało.

– Niebezpieczne? Skąd ten pomysł? Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nic. – Na jej twarzy odmalowała się skrucha. – Nie, ja tak tylko gadam…

– Leio, jeśli wiesz o czymś…

– Nie, nie wiem nic – ucięła. – Mam tylko przeczucie. Wrażenie, że Fey'lya ma chrapkę na coś więcej niż tylko stanowisko naczelnego dowódcy. Ale to naprawdę tylko przeczucie.

Tak jak wtedy, gdy przeczuła, że Imperium planuje coś wielkiego?

– Dobra – powiedział Han pojednawczo. – Rozumiem. I co? Wszystko załatwione?

– Tyle, ile się dało – odparła Leia, a w jej głosie na nowo pojawiło się zmęczenie. – Odbudowa potrwa jakiś czas, ale organizacją zajmie się Coruscant.

Rozparła się w fotelu i przymknęła oczy.

– Potrzebne są całe konwoje ze sprzętem, z konsultantami, być może z dodatkową siłą roboczą. Sam dobrze wiesz, o co mi chodzi.

– Tak – rzekł Han. – I pewnie chciałabyś jak najszybciej wrócić i zakasać rękawy.

Leia otworzyła szeroko oczy i spojrzała na niego z zainteresowaniem.

– Zabrzmiało to, jakbyś sam nie miał ochoty.

Han dokładnie przyjrzał się ekranom.

– Cóż, wszyscy się spodziewają, że właśnie tym się zajmiesz – oznajmił. – A więc może powinniśmy zrobić coś innego?

– Na przykład?

– Nie wiem. Na przykład znaleźć jakieś miejsce, w którym nikt by cię nie szukał.

– A co potem? – zapytała czujnie.

Han odruchowo przygotował się na najgorsze.

– A potem przetrzymać cię tam przez jakiś czas – dokończył.

– Dobrze wiesz, że nie stać mnie na nic takiego – Leia odparła dokładnie tym tonem, który spodziewał się usłyszeć. – Mam zobowiązania na Coruscant.

– Wobec siebie masz również kilka – zripostował Han. – Nie mówiąc o bliźniętach.

– To nie w porządku! – Leia zmierzyła go wściekłym spojrzeniem.

– Nie?

Odwróciła się od niego z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

– Nie mogę zerwać kontaktu z tym, co się dzieje na Coruscant – powiedziała cicho. – Po prostu nie mogę, i tyle. Zbyt dużo się tam dzieje, bym mogła się zaszyć gdzieś daleko.

Han zacisnął zęby. Miał wrażenie, że ostatnio zbyt często sprzeczają się o to samo.

– Dobrze, a więc skoro musisz jedynie być w kontakcie, znajdźmy jakieś miejsce, które ma placówkę dyplomatyczną. Przynajmniej będziesz mogła odbierać tam oficjalne wiadomości z Coruscant.

– A niby w jaki sposób dopilnujesz, by miejscowy ambasador nas nie wydał? – Leia potrząsnęła głową. – Nie, nie wierzę, że mówię takie rzeczy – szepnęła. – Mam wrażenie, że zamiast żyć w czasach prawomocnego rządu, znów powróciliśmy do okresu Rebelii.

– A kto powiedział, że ambasador musi cokolwiek wiedzieć? – spytał Han. – Mamy odbiornik dyplomatyczny na „Sokole” i sami możemy słuchać transmisji.

– Tylko jeśli zdobędziemy kod szyfrujący danej placówki – przypomniała mu. – A potem wprowadzimy go do naszego odbiornika, co może okazać się niemożliwe.

– Znajdziemy sposób! – zapewnił Han. – W najgorszym razie Ackbar zyska trochę czasu, by odnaleźć przeciek.

– Prawda – powiedziała z namysłem Leia, powoli kręcąc głową. – Choć sama nie wiem. Szyfry Nowej Republiki są niemalże nie do złamania.

– Nie chcę cię rozczarowywać, kochana, ale świat jest pełen hakerów, którzy jedzą kody rządowe na śniadanie. Wystarczy tylko znaleźć jednego z nich.

– I zapłacić mu fortunę? – spytała kwaśno Leia.

– Tak, właśnie tak – rzekł Han, pogrążony w myślach. – Choć z drugiej strony nawet hakerzy są winni innym przysługi.

– Doprawdy? – Leia spojrzała na męża z ukosa. – Nie sądzę, byś znał kogoś z nich.

– Tak się akurat składa, że znam. – Han zasznurował usta. – Problem w tym, że jeśli Imperium dobrze odrobiło zadanie domowe, pewnie nie spuszczają go z oczu.

– Co więc zamierzasz?

– Zamierzam znaleźć kogoś, kto ma własne kontakty – rzekł Han, wyciągnął rękę ku konsoli i włączył komunikator. – Antilles, tu Solo. Odbierasz mnie?

– Głośno i wyraźnie, generale – odpowiedział niemal natychmiast Wedge.

– Opuszczamy Bpfassh, Wedge – powiadomił go Han. – To nie jest jeszcze oficjalny komunikat, ale masz za zadanie powiadomić resztę naszej delegacji, gdy tylko wystartujemy.

– Rozumiem – odparł Wedge. – Mam wam przydzielić eskortę czy chcecie się wymknąć po cichu? Mam kilku ludzi, którym ufam bardziej niż własnym rodzicom.

Han uśmiechnął się przebiegle do Lei. Wedge zrozumiał ich w lot.

– Dzięki, ale nie chcemy, by reszta delegacji czuła się pozbawiona ochrony.

– Jak tam sobie chcecie. Póki jesteście tutaj, mogę załatwić wszystko, co trzeba, a jeśli do niczego się nie przydam, to cóż. Do

zobaczenia na Coruscant!

– Otóż to – rzekł Han i przerwał połączenie. – Kiedyś tam – mruknął cicho i włączył interkom. – Chewie? Jesteśmy gotowi do lotu?

Wookiee wywarczał potwierdzenie.

– Dobra. Upewnij się, czy wszystko naprawdę działa jak należy, a potem zrywamy się stąd. I ściągnij też Threepio. Być może trzeba będzie zamienić kilka słów z miejscową kontrolą lotów.

– A dowiem się, dokąd zmierzamy? – spytała Leia, gdy Han zaczął uruchamiać procedury przedstartowe.

– Już ci powiedziałem – odparł Han. – Musimy odnaleźć człowieka godnego zaufania, który dysponuje własną listą nielegalnych współpracowników.

W oczach Lei pojawi się podejrzliwy błysk.

– Nie masz chyba na myśli Lando?

– A któż by inny mógł nam pomóc? – rzekł niewinnie Han. – Toż to prawy obywatel, były bohater wojenny i uczciwy człowiek interesu. Założę się, że zna jakichś hakerów.

Leia spojrzała ku niebu.

– Czemu – wymamrotała – nagle mam złe przeczucie?

Rozdział 11

– Trzymaj się, Artoo – zawołał Luke, gdy X-wingiem targnęły pierwsze podmuchy turbulencji atmosferycznej. – Schodzimy! Skanery dobrze działają?

Droid zaćwierkał potwierdzająco, a przez ekran komputera przepłynęło tłumaczenie.

– W porządku – rzekł Luke i skupił uwagę na spowitej chmurami planecie, która zbliżała się im na spotkanie.

„Dziwne – pomyślał – że już podczas pierwszej wyprawy na Dagobah sensory zawiodły podczas lądowania".

A może jednak nie było to wcale tak zaskakujące? Może to Yoda celowo wpłynął na działanie przyrządów pokładowych, by przyprowadzić go jak najbliżej siebie i nie wzbudzić przy tym podejrzeń?

Yoda jednakże już nie żył…

Luke stanowczo odepchnął od siebie tę myśl. Nie widział nic złego w żałobie po śmierci przyjaciela i nauczyciela – ba, był to sposób, by oddać mu cześć – ale niepotrzebne rozważania o jego stracie sprawiały, że przeszłość wywierała zbyt duży wpływ na teraźniejszość.

X-wing wniknął w dolne partie atmosfery, gdzie w kilka sekund został spowity grubymi, białymi chmurami. Luke przyglądał się instrumentom, chcąc, by podejście do lądowania przebiegło powoli i spokojnie. Podczas poprzedniej wizyty na Dagobah, tuż przed bitwą o Endor, udało mu się wylądować bez wypadku, ale nie miał zamiaru polegać na swoim szczęściu. Sensory odpowiadające za lądowanie wychwyciły lokalizację dawnego domostwa Yody.

– Artoo! – zawołał. – Znajdź mi jakiś kawałek równego, twardego terenu, co?

W odpowiedzi na szybie myśliwca pojawił się czerwony prostokąt, wskazujący miejsce leżące na wschód od domostwa Yody, ale nadal w zasięgu marszu.

– Dzięki! – rzucił Luke i skierował myśliwiec ku wskazanemu miejscu. Chwilę później X-wing, łamiąc gałęzie, przedarł się przez korony drzew i osiadł na ziemi.

Luke zdjął hełm i wciągnął w nozdrza ciężki zapach bagien, będący osobliwym połączeniem słodyczy i zgnilizny. Przez jego umysł przemknęły setki wspomnień. Powolne drganie uszu Yody. Dziwna, ale smaczna potrawka z mięsa, którą często przyrządzał. Jego sterczące włosy, które łaskotały Luke'a w kark, gdy Yoda siedział mu na plecach podczas treningu. Samo szkolenie, niekończące się ćwiczenia, zmęczenie zarówno fizyczne, jak i umysłowe, coraz większa świadomość Mocy, jaskinia i kryjące się w niej ciemne wyobrażenia…

„Jaskinia?"

Luke błyskawicznie podniósł się w kokpicie, odruchowo sięgając po miecz świetlny. Próbował przeniknąć wzrokiem mgłę.

„Przecież na pewno nie wylądowałem przy jaskini…"

Okazało się, że tak. W odległości zaledwie pięćdziesięciu metrów widział drzewo, które wyrastało tuż nad wejściem do tego tchnącego złem miejsca. Jego ogromny, poczerniały pień piął się ku górze wśród innych pni. Między jego splątanymi korzeniami kryło się ciemne wejście, ledwie widoczne wśród mgieł i krzewów.

– Cudownie – mruknął. – Po prostu cudownie.

Za sobą usłyszał serię ćwierknięć, które ułożyły się w pytanie.

– Mniejsza o to, Artoo – zawołał przez ramię, odkładając hełm na siedzenie. – Wszystko gra. Wiesz co? Zostań może tutaj, a ja…

X-wing zakołysał się lekko. Luke spojrzał za siebie i przekonał się, że droid zszedł już ze swojego stanowiska i powoli przesuwał się naprzód.

– Lub, jeśli sobie życzysz, możesz udać się ze mną – dodał kwaśno.

R2-D2 znów zatrajkotał. Nie było w tym słychać radości, ale na pewno ulgę. Mały droid nie cierpiał zostawać sam.

– Uważaj! – polecił mu Luke. – Zejdę pierwszy i ci pomogę.

Zeskoczył. Teren okazał nieco grząski, ale na tyle stabilny, by utrzymać ciężar X-winga. Zadowolony, przywołał Moc i postawił R2-D2 na ziemię obok siebie.

– Proszę bardzo – powiedział.

Z oddali dobiegł długi, wibrujący zaśpiew jednego z miejscowych ptaków. Luke wsłuchał się w trel, rozglądając się dookoła i zastanawiając, dlaczego właściwie tu przybył. Na Coruscant był przekonany – ba, wręcz przeświadczony! – że tak należy. Teraz jednakże, gdy już tu dotarł, miał wrażenie, że motywacja nieco opadła. Co więcej, wydawało mu się, że nie postąpił zbyt mądrze.

R2-D2 zaćwierkał pytająco. Luke, nie bez wysiłku, odsunął od siebie wątpliwości.

– Wydawało mi się, że Yoda być może pozostawił coś, co mogłoby nam się przydać – powiedział do robota, wybierając ten argument, który najłatwiej było mu ubrać w słowa. – Jego dom powinien być… – Rozejrzał się. – Gdzieś tam!

Dystans nie był wielki, ale droga zabrała mu więcej czasu, niż z początku sądził. Przyczyną była po części zarówno topografia, jak i roślinność – Luke zdołał już zapomnieć, z jakim trudem wiązała się wędrówka po bagnach Dagobah. Szybko doszedł jednak do wniosku, że wędrówkę utrudniało mu coś jeszcze – ledwie wyczuwalny, ale uporczywy napór na jego umysł, który wydawał się narastać i zaćmiewał jego zdolność myślenia.

W końcu dotarli na miejsce, a tam Luke przekonał się, że dom znikł bez śladu.

Przez długą chwilę Luke stał bez ruchu i wpatrywał się w gąszcz roślinności porastający miejsce, gdzie znajdował się dom Yody. Przejmujące poczucie straty walczyło w jego sercu z upokarzającym przeświadczeniem, że zachował się jak idiota. Dorastał na pustyniach Tatooine, gdzie porzucony dom mógł stać jeszcze dobre pół wieku lub dłużej, przez co nawet nie przyszło mu do głowy, że na bagnach wystarczy pięć lat, by budowla znikła bez śladu.

R2-D2 zaćwierkał pytająco.

– Miałem nadzieję, że Yoda pozostawił może jakieś księgi czy nagrania – wyjaśnił Luke. – Cokolwiek, z czego dowiem się więcej o metodach szkolenia Jedi. Nie ma tego jednak dużo, co?

W odpowiedzi R2-D2 wysunął płytkę sensoryczną.

– Mniejsza o to – rzekł Luke i podszedł bliżej. – Skoro i tak już tu jesteśmy, można się chociaż rozejrzeć.

Wyrąbanie za pomocą miecza świetlnego ścieżki przez gąszcz zabrało mu jedynie kilka minut i wnet stanął przed tym, co pozostało z zewnętrznych ścian domu. Te rozpadły się całkiem i w najwyższym miejscu sięgały mu do pasa, oplecione siateczką drobnych pnączy. W środku domostwa również niepodzielnie panowała roślinność, która pięła się na stare, kamienne palenisko i przerastała je od środka. Stare żeliwne garnki Yody leżały zagrzebane do połowy w błocie, pokryte osobliwie wyglądającym mchem.

R2-D2 gwizdnął cicho.

– Nie, nie sądzę, byśmy znaleźli tu cokolwiek użytecznego – zgodził się Luke i ukucnął, by wyciągnąć jeden z garnków z błota. Wystrzeliła spod niego niewielka jaszczurka, która znikła wśród wysokich traw. – Artoo, mógłbyś sprawdzić, czy wyczuwasz może jakąś elektronikę w pobliżu, co? Nigdy nie widziałem, by Yoda wykorzystywał coś w tym stylu, ale…

Wzruszył ramionami, a droid posłusznie wysunął płytkę sensoryczną. Obracał ją przez chwilę we wszystkich kierunkach, aż znieruchomiał.

– Masz coś? – spytał Luke.

R2-D2 zaćwierkał z ekscytacją i obrócił kopulastą głowę w kierunku, z którego przybyli.

– Mamy się cofnąć? – spytał Luke, marszcząc brwi, po czym spojrzał na rumowisko. – Na pewno to nie tu?

R2-D2 pisnął parokrotnie, odwrócił się i potoczył z niemałym trudem po nierównej powierzchni. Zamarł, obrócił głowę w stronę Luke’a i wydał z siebie serię dźwięków, które mogły być pytaniem.

– Dobra, idę – westchnął Luke i odepchnął osobliwą zgrozę, która naraz przeszyła jego serce. – Prowadź.

Blask słoneczny nadal przenikał gęste korony drzew, ale gdy dotarli do X-winga, zrobiło się już zauważalnie ciemniej.

– Gdzie teraz? – spytał Luke. – Mam nadzieję, że nie przyznasz się, że odbierasz sygnały mojego myśliwca?

R2-D2 obrócił parokrotnie swoją kopułą, a wydawane przez niego piski ułożyły się w pełne oburzenia zaprzeczenie. Płytka sensoryczna obróciła się lekko i…

I wskazała jaskinię.

– Jesteś pewien? – Luke przełknął ślinę.

Droid znów zaćwierkał.

– A więc jesteś pewien.

Przez długą minutę wpatrywał się z niezdecydowaniem w mgły unoszące się w wejściu, a w jego sercu narastała niepewność. Nie było żadnego powodu, by tam wchodzić – o tym był przekonany. Nie miał pojęcia, co R2-D2 wyczuł, ale na pewno nie zostało to pozostawione przez Yodę. Nie w tym miejscu.

Ale w takim razie co to było? Leia mówiła coś o Mrocznym Jedi z Bpfassh, który tu przybył. Czyżby to on to zostawił?

Luke zacisnął zęby.

– Zaczekaj tutaj, Artoo – polecił droidowi, a sam ruszył ku jaskini. – Wrócę najszybciej jak się da.

Yoda często go ostrzegał, że niewolnikami ciemnej strony Mocy były gniew oraz strach. Luke zastanawiał się, po której stronie służyła ciekawość.

Z bliska drzewo, które wyrosło nad wejściem do jaskini, wydawało się równie złowieszcze, jak je sobie zapamiętał – poskręcane, ciemne, zamarłe w oczekiwaniu, jakby samo tętniło ciemną Mocą. A może i tak było. Luke nie miał pewności, bo obezwładniająca emanacja z jaskini przytłaczała wszystkie jego zmysły. Bez wątpienia była ona źródłem tego naporu na umysł, który prześladował go od chwili, gdy postawił stopę na Dagobah. Przez moment zastanawiał się, czy kiedykolwiek oddziaływała tak silnie.

Być może nie było tak ze względu na Yodę. Jego obecność osłaniała Luke’a przed prawdziwą siłą zła drzemiącego w jaskini.

Yoda jednakże już odszedł, a Luke miał się zmierzyć z jaskinią w pojedynkę.

Nabrał powietrza.

„Jestem Jedi” – przypomniał sobie stanowczo, odczepił komunikator od paska i włączył go kciukiem.

– Artoo? Słyszysz mnie?

W głośniku usłyszał szczebiot droida.

– Dobra. Wchodzę. Daj mi znać, gdy znajdę się blisko źródła tych sygnałów, które odbierasz.

R2-D2 pisnął na potwierdzenie, a Luke wsunął komunikator za pas i wyjął miecz świetlny. Znów nabrał powietrza, zanurkował pod poskręcanymi korzeniami i wkroczył do środka.

Wnętrze jaskini było równie przerażające, jak to sobie zapamiętał. Panował tam mrok, a powietrze było ciężkie i wilgotne. Po ścianach pełzały owady i wiły się oślizgłe rośliny. Luke nie przypominał sobie, by kiedykolwiek znalazł się w miejscu równie nieprzyjemnym. Podłoże wydawało się o wiele bardziej zdradliwe niż wcześniej i dwukrotnie niemal przewrócił się na twarz, gdy grunt usunął mu się spod nóg. Nie były to groźne wypadki, ale wystarczyło, by stracił równowagę. Wśród mgieł widział już dobrze znane miejsce i nagle uświadomił sobie, że mocno ściska miecz świetlny. To tam przecież stoczył koszmarny pojedynek z nierealnym, utkanym z cieni Darthem Vaderem.

Dotarł tam i zatrzymał się, odpychając od siebie lęk i wspomnienia. Tym razem jednak, ku jego uldze, nic się nie wydarzyło. Z cieni nie dobiegł syczący oddech, nie wyłonił się spośród nich Mroczny Lord gotów do konfrontacji. Nic.

Luke oblizał usta i odpiął komunikator od pasa.

„Nie, oczywiście, że nic – pomyślał. – Nic się nie wydarzy. Już raz stawiłem czoła takiemu kryzysowi i wyszedłem z niego obronną ręką”.

Po tym, jak Vader odkupił swoje winy i zginął, jaskinia nie stanowiła już dlań zagrożenia, a jedynym czającym się w niej niebezpieczeństwem były nienazwane, nierealne lęki, i to tylko wtedy, gdy pozwolił im zapanować nad sobą. Od początku powinien sobie to uświadomić.

– Artoo? – zawołał. – Dalej tam jesteś?

Mały droid zapiszczał w odpowiedzi.

– W porządku – rzekł Luke i znów ruszył naprzód. – Jak daleko znajduje się…

I wtedy, w połowie zdania i niemalże w połowie kroku, mgiełka w jaskini gwałtownie zgęstniała i uformowała migotliwą, surrealistyczną wizję.

Znajdował się na niewielkim, pozbawionym dachu pojeździe, który zawisł nad ogromną jamą w ziemi. Grunt był niewyraźny, mało widoczny, doskonale za to czuł palący, nieznośny upał. Coś szturchnęło go w plecy, popychając go w kierunku wąskiej deski wystającej z burty pojazdu…

Luke'owi oddech uwiązł w piersi. Niespodziewanie scena nabrała wyrazistości. Stał na należącym do Jabby skifie i zaraz miał zostać stracony w Wielkiej Jamie Carkoon…

Przed sobą widział barkę żaglową Jabby, która zbliżała się ku nim. Poplecznicy Jabby przepychali się przy relingu, by znaleźć jak najlepsze miejsce. Wiele szczegółów barki nadal pozostawało niewyraźnych, ale dobrze widział drobną, zwieńczoną kopułą postać R2-D2 na dziobie. Czekał na sygnał.

– Nie mam zamiaru brać udziału w tej zabawie! – zawołał Luke. – Najmniejszego! Już kiedyś stawiłem czoła temu wyzwaniu i zwyciężyłem!

Słowa te zabrzmiały mało przekonująco nawet dla niego samego. W tej samej chwili poczuł kolejne szturchnięcie włócznią w plecy i uświadomił sobie, że spada. Zdołał się obrócić w powietrzu, złapać koniec deski i wyskoczyć wysoko nad głowami strażników.

Wylądował i odwrócił się ku barce. Wyciągnął dłoń w kierunku miecza świetlnego, który R2-D2 właśnie wyrzucił ku niemu.

Nie zdołał go złapać. Stał i czekał, ale lecąca ku niemu broń nagle zmieniła kierunek i pomknęła ku przeciwnemu końcowi barki. Luke rozpaczliwie wytężył Moc, ale nic to nie dało. Miecz świetlny nadal oddalał się od niego, aż…

Aż wylądował w ręku stojącej samotnie szczupłej kobiety.

Luke wpatrywał się w nią, a jego ciało przeszyła zgroza. Kobietę spowijały mgły, a wznoszące się za nią słońce zamazywało rysy jej twarzy, ale miecz świetlny, wzniesiony wysoko niczym trofeum, powiedział mu wszystko, co wiedzieć powinien. Nieznajoma władała Mocą, a co więcej – właśnie skazała jego i jego przyjaciół na śmierć.

Włócznie strażników znów zaczęły szturchać jego ciało, a wtedy przez mgły snu przedarł się jej szyderczy śmiech.

– Nie! – krzyknął Luke, a wizja znikła równie zaskakująco, jak się pojawiła.

Znów stał w jaskini na Dagobah, a jego czoło i tunika były mokre od potu. Z trzymanego w ręku komunikatora dobiegało szaleńcze popiskiwanie.

Drżąc na całym ciele, nabrał powietrza i ze wszystkich sił zacisnął dłoń na rękojeści miecza świetlnego, by upewnić się, że wciąż go ma.

– Wszystko… – wykrztusił z niemałym trudem, bo zaschło mu w gardle. – Wszystko w porządku, Artoo. Nic mi nie jest. Ja tylko…

Urwał na moment, próbując przypomnieć sobie, co tu właściwie robi.

– Nadal odbierasz ten elektroniczny sygnał?

Droid pisnął potakująco.

– I dalej jest przede mną?

Potwierdził.

– W porządku – rzekł Luke.

Obrócił miecz w dłoni, otarł pot z czoła i ostrożnie ruszył naprzód, próbując rozglądać się we wszystkich kierunkach jednocześnie.

Wyglądało jednak na to, że jaskinia wyczerpała już swój repertuar. Idący w głąb Luke nie natknął się na żadną wizję, aż R2-D2 oznajmił wreszcie, że dotarł na miejsce.

Wykryte przez droida urządzenie, które Luke ze sporym trudem wydobył z błota i mchu, okazało się wielkim rozczarowaniem. Był to nieznacznych rozmiarów, lekko spłaszczony cylinder, nieco dłuższy od jego dłoni, wyposażony w pięć trójkątnych, pokrytych rdzą przycisków po jednej stronie i napis w obcej mowie po drugiej.

– To wszystko? – spytał Luke.

„Miałbym przebyć taki szmat drogi po coś tak nieokreślonego?” – pomyślał.

– Na pewno nie ma nic więcej?

R2-D2 potwierdził piśnięciem, a potem wydał z siebie gwizd, który mógł być jedynie pytaniem.

– Nie wiem, co to jest – odparł Luke. – Ale może ty to rozpoznasz. Poczekaj chwilę, już wracam.

Droga powrotna do przyjemnych nie należała, ale na szczęście przebiegła bez większych przygód i niebawem Luke wyłonił się spośród korzeni drzewa, by z westchnieniem ulgi wciągnąć w płuca stosunkowo świeże powietrze bagien.

Z lekkim zdziwieniem skonstatował, że podczas eksploracji jaskini zapadł już zmierzch, co oznaczało, że jego pokrętna, wynaturzona wizja trwała dłużej, niż mu się wydawało. Z daleka widział stożkowate, zamglone snopy świateł X-winga uruchamianych przez R2-D2. Przedzierając się przez gęstą roślinność, Luke ruszył ku niemu.

R2-D2 czekał cierpliwie, trajkocząc cicho do siebie. Na widok Luke'a wchodzącego w krąg światła mały droid zakołysał się w przód i w tył niczym zdenerwowane dziecko i zagwizdał z ulgą.

– Spokojnie, Artoo, nic mi nie jest – zapewnił go Luke, po czym ukucnął i wyciągnął spłaszczony cylinder z kieszeni. – Wiesz, co to jest?

Droid zaćwierkał z zadumą. Jego kopuła obracała się to w jedną, to w drugą stronę, by przyjrzeć się znalezisku pod każdym kątem. Niespodziewanie jego cichy trajkot zastąpił pełen ekscytacji elektroniczny jazgot.

– Co takiego? – spytał Luke, usiłując zrozumieć natłok dźwięków i zastanawiając się kwaśno, dlaczego C-3PO nigdy nie było w pobliżu, gdy człowiek naprawdę go potrzebował. – Spokojnie, Artoo! Zwolnij, ja nie mogę… Zresztą nieważne – przerwał sam sobie, podniósł się i rozejrzał po gęstniejących ciemnościach. – Tak czy owak, nie sądzę, by dalszy pobyt na tej planecie miał jakikolwiek sens.

Raz jeszcze spojrzał na jaskinię, niemalże pochłoniętą przez coraz intensywniejszy mrok, i zadrżał. Nie, nie było żadnego powodu, by tu zostać, i przynajmniej jeden, by się stąd wynosić.

„To tyle – pomyślał ponuro – jeśli chodzi o poszukiwania oświecenia".

Od razu powinien był się domyślić.

– Chodź – odezwał się do droida. – Wskakuj do gniazda. Opowiesz mi o wszystkim w drodze do domu.

Raport R2-D2 okazał się stosunkowo krótki i nie przyniósł żadnych konkretnych odpowiedzi. Mały droid nie rozpoznawał urządzenia i nie był w stanie rozgryźć jego przeznaczenia za pomocą zwykłych skanerów. Nie wiedział nawet, w jakim języku wykonano napis, nie mówiąc już o tym, co oznaczał. Luke zaczynał się zastanawiać, skąd się wzięło podniecenie droida, ale wtedy na ekranie komputera pojawiło się ostatnie zdanie.

– Lando? – Luke zmarszczył brwi i raz jeszcze przeczytał zdanie. – Nie przypominam sobie, by Lando kiedykolwiek nosił coś takiego.

Na ekranie pojawiły się kolejne słowa.

– Tak, zdaję sobie sprawę z tego, że byłem wówczas zajęty – zgodził się Luke i odruchowo zacisnął palce sztucznej prawej ręki. – Dopasowywaniem nowej kończyny, na przykład. Czy Lando przekazał to generałowi Madine'owi, czy też po prostu mu pokazał?

Pojawiło się jeszcze jedno zdanie.

– Tak, jasne – zapewnił Luke robota. – Wiem, że ty również byłeś zajęty.

Spojrzał na ekran pokazujący widok z tyłu. Półksiężyc Dagobah malał stopniowo. Luke z początku planował dotrzeć na Coruscant i zaczekać, aż Leia i Han powrócą z Bpfassh, ale z tego, co wiedział, ich misja mogła potrwać kilka tygodni bądź dłużej. Lando zaś niejednokrotnie zapraszał go do odwiedzenia jego nowych kopalni rzadkich surowców na niezwykle gorącej planecie Nkllon.

– Zmiana planów, Artoo – oznajmił i wprowadził nowy kurs. – Przeskoczymy do systemu Athega i spotkamy się z Lando. Może on nam powie, co to jest.

„A po drodze będę miał czas, by przemyśleć ten niepokojący sen bądź wizję, która przydarzyła mi się w jaskini” – pomyślał. – „I ustalić, czy to rzeczywiście był tylko sen”.

Rozdział 12

– Nie, nie mam zezwolenia na przelot przez Nkllona – powtarzał cierpliwie Han do nadajnika „Sokoła” i obrzucał gniewnym spojrzeniem lecący obok nich zmodyfikowany B-wing. – Nie prowadzę też tu żadnych interesów. Próbuję jedynie skontaktować się z Lando Calrissianem.

Z siedzenia za plecami Hana dobiegł odgłos, który mógłby uchodzić za stłumiony śmiech.

– Chcesz coś powiedzieć? – spytał przez ramię.

– Nie – odparła niewinnie Leia. – Przypomniały mi się tylko pewne fakty z przeszłości.

– Dobra, dobra – warknął Han. Sam również dobrze pamiętał to, co wydarzyło się na Bespinie, i nie zaliczał tych chwil do swoich najmilszych wspomnień. – Słuchaj no, bądź taki dobry i połącz się z Calrissianem – zaproponował pilotowi B-winga. – Przekaż mu, że zjawił się tu stary przyjaciel, który ma wielką ochotę zagrać w sabaka o to, co sam sobie wybierze z jego magazynu. Lando zrozumie, o co mi chodzi.

– Że co? – Leia wysunęła się i spojrzała na niego z przestrachem.

Han wyciszył nadajnik.

– Imperium może mieć tu swoich szpiegów – przypomniał jej. – Nie sądzę, że przedstawianie się z imienia i nazwiska całemu systemowi Athega to sensowny pomysł.

– Masz rację – zgodziła się Leia. – Ale przekazana przez ciebie wiadomość jest mimo to dość dziwna.

– Nie dla Lando – zapewnił Han. – Od razu się domyśli, że to ja, o ile ta biurwa za sterami myśliwca zmięknie i wyśle wiadomość.

Siedzący obok Chewbacca wywarczał ostrzeżenie. Z tylnej części prawej burty nadciągało coś wielkiego.

– Wiesz, co to takiego? – Han wychylił głowę, by się przyjrzeć.

Nim Wookiee zdołał odpowiedzieć, odbiornik zatrzeszczał ponownie:

– Do niezidentyfikowanej jednostki, generał Calrissian udziela wam specjalnego zezwolenia na tranzyt. – W głosie pilota B-winga pojawił się lekki zawód. Przypuszczalnie miał wielką ochotę osobiście wykopać intruzów z własnego układu. – Jednostka eskortowa idzie kursem na przecięcie. Proszę utrzymać dotychczasowy kurs do chwili jej przybycia.

– Przyjąłem – rzekł Han, nie mogąc się zmusić, by podziękować pilotowi.

– Jednostka eskorty? – spytała z niepokojem Leia. – Po co nam eskorta?

– Nic dziwnego, że nie masz o niczym pojęcia, bo za każdym razem, kiedy Lando odwiedza pałac, ty zajmujesz się polityką – napomniał ją Han, nadal przekrzywiając głowę. – Nkllon to niezwykle gorąca planeta i znajduje się o wiele za blisko swojego słońca, by jakakolwiek normalna jednostka mogła do niej podejść i się nie usmażyć. Stąd – wskazał Lei nadciągający okręt – nasza eskorta.

Leia gwałtownie wciągnęła powietrze i nawet Han, który oglądał pokazywane mu przez Lando hologramy, musiał przyznać, że w rzeczywistości jednostka sprawiała imponujące wrażenie. Na pierwszy rzut oka statek-tarcza przypominał ogromny, latający parasol, którego zaokrąglona czasza średnicą sięgała połowy długości imperialnego gwiezdnego niszczyciela. Spodnia część czaszy wyposażona była w rozliczne rury i zbiorniki substancji chłodzących, które chroniły ją przed spaleniem podczas podchodzenia do powierzchni planety. W miejscu rączki parasola znajdował się gruby, cylindryczny pylon, który mierzył mniej więcej połowę średnicy czaszy i kończył się wielkimi płetwami chłodniczymi. W środku pylonu znajdował się statek holowniczy, który go napędzał.

– Na niebiosa – szepnęła oszołomiona Leia. – I to coś naprawdę lata?

– Tak, ale nie bez trudu – odparł Han, który przyglądał się sceptycznie, jak sunący przez przestrzeń kosmiczną potwór zbliża się do jego statku. Nie musiał wcale podchodzić szczególnie blisko, bo „Sokół” był wszak o wiele mniejszy od ogromnych

kontenerowców, którym na ogół towarzyszyły statki-tarcze. – Lando opowiadał mi, że mieli tysiące problemów z zaprojektowaniem tych statków i drugie tyle z nauczeniem ludzi, jak się nimi lata.

– Jestem w stanie w to uwierzyć – powiedziała Leia.

– Do niezidentyfikowanego statku, tu Statek-Tarcza Dziewięć. Przygotujcie się do dokowania. Proszę o przekazanie podstawowego kodu podporządkowania.

– Jasne – mruknął Han pod nosem i uruchomił transmisję. – Statek-Tarcza Dziewięć, my nie mamy kodu. Podajcie nam kurs i będziemy się was trzymać.

Przez dłuższą chwilę w eterze trwała cisza.

– Do niezidentyfikowanego statku – rozległ się głos, w którym Han doszukał się niechęci. – Idźcie kursem dwa osiem cztery z szybkością sześć podświetlnych.

Nie czekając na odpowiedź czy potwierdzenie, ogromny kosmiczny parasol zaczął się oddalać.

– Trzymaj się go, Chewie. – Han zwrócił się do drugiego pilota, choć nie sądził, by stanowiło to wielki problem. „Sokół” był o wiele szybszy i nieskończenie zwrotniejszy od jakiejkolwiek maszyny tych rozmiarów. – Do Statku-Tarczy Dziewięć. Jaki jest przewidywany czas dotarcia na Nkllona?

– Do niezidentyfikowanego statku. Spieszycie się?

– Czy ktoś, kto ma tak wspaniały widok, może się spieszyć? – spytał z sarkazmem Han, wpatrzony w dolną część czaszy, która zajmowała niemalże całe niebo. – Tak, w sumie to trochę się spieszymy.

– Przykro mi to słyszeć. Jak by to powiedzieć… Gdybyście mieli podstawowy kod podporządkowania, moglibyśmy wykonać drobny skok w nadprzestrzeń i dotrzeć na Nkllona w jakąś godzinę. W tym zaś tempie potrwa to… Cóż, jakieś dziesięć.

– Cudownie – skrzywił się Han.

– Przypuszczalnie moglibyśmy stworzyć tymczasowy kod podporządkowania – zaproponowała Leia. – Threepio zna na tyle komputer „Sokoła”.

Chewbacca odwrócił się i wydał z siebie warkot, który wykluczał jakiekolwiek spory w tej dziedzinie, nawet gdyby Han miał ochotę

na kłótnię. A nie miał.

– Chewie ma rację – powiedział do Lei. – Nie będziemy nikomu nic przekazywać. Ten statek ma być wolny po wsze czasy. Ty tam, na statku-tarczy! Słyszałeś mnie?

– Do niezidentyfikowanego statku – odparł załogant gigantycznego parasola. Wszyscy oni wydawali się czerpać perwersyjną radość z tego, że mogą się posłużyć tą frazą. – Mnie i tak płacą od godziny.

– Dobra, ruszajmy – odezwał się Han.

– Spoko – odparł tamten i przerwał połączenie.

Han oparł dłonie na sterach. Przez chwilę nic się nie działo, z tym wyjątkiem, że statek-tarcza nadal dryfował przez próżnię.

– Chewie, czy on już uruchomił silniki?

Wookiee zaburczał na znak, że nie.

– Co się dzieje? – spytała Leia i znów się pochyliła ku nim.

– Nie wiem. – Han się rozejrzał, choć gigantyczny parasol przesłaniał mu większość widoku. – Mam jednakże jakieś złe przeczucia.

Uruchomił nadajnik.

– Statek-Tarcza Dziewięć, co was zatrzymuje?

– Do niezidentyfikowanego statku, nie ma czym się przejmować – odparł tamten. – Nadciąga jeszcze jeden, który również nie ma kodu, a więc zabiorę was razem. Nie ma chyba sensu, by czekał, co?

Włoski na karku Hana zaczęły się podnosić. Kolejny statek kosmiczny, który przez przypadek zmierzał na Nkllona w tym samym czasie co oni?

– Wiecie, co to za jedni?

– Dobre sobie! – parsknął pilot statku-tarczy. – Stary, ja nawet nie wiem, kim wy jesteście!

– Ale mi pomogłeś. – Han wyciszył nadajnik. – Chewie, jesteś w stanie zidentyfikować tamtego?

Odpowiedź Wookieego była krótka i zwięzła, a do tego niepokojąca.

– Pięknie – warknął Han. – Pięknie jak rzadko.

– Brakowało mi tego – oznajmiła Leia, zerkając mu nad ramieniem.

– Zbliża się z przeciwnej strony centralnego pylonu statku-tarczy – oznajmił ponurym głosem Han, wskazując poruszający się punkt na ekranie skanera. – Idzie takim kursem, by nie było go widać.

– Celowo?

– Przypuszczalnie. – Han skinął głową i podniósł się, nie mogąc już dłużej znieść napięcia. – Chewie, przejmij stery. Idę sprawdzić działka.

Wyszedł korytarzem prowadzącym do kokpitu i przypadł do drabiny.

– Kapitanie Solo! – Z saloniku dobiegł zdenerwowany mechaniczny głos. – Coś nie w porządku?

– Prawdopodobnie tak, Threepio! – odkrzyknął Han. – Lepiej się przypnij.

Wspiął się po drabinie, przeszedł przez bramkę grawitacyjną przed wieżyczką i opadł na fotel. Panel kontrolny załączył się z szybkością, która sprawiła mu ulgę. Jedną ręką uruchomił zasilanie, a drugą złapał za słuchawkę.

– Widać coś nowego, Chewie? – zawołał do mikrofonu.

Wookiee wywarczał odpowiedź odmowną, co oznaczało, że nadciągająca jednostka nadal była skryta za pylonem statku-tarczy. Niemniej celownik podawał już odległość, a dzięki tym danym Chewbacca był już w stanie oszacować przybliżone rozmiary obcej jednostki. Nie była szczególnie duża.

– Cóż, to już coś – powiedział Han, próbując sobie przypomnieć typy i klasy wszystkich statków kosmicznych tych rozmiarów. Nadal nie miał pojęcia, cóż Imperium mogło posłać przeciwko nim.

„Czy oni mają w ogóle tak niewielkie jednostki? – myślał intensywnie. – Może to jakaś odmiana TIE?”

– Miejcie się na baczności – rzucił do mikrofonu. – To może być pułapka!

Celownik optyczny zaalarmował ich sygnałem dźwiękowym, co oznaczało, że nieznany statek zaczyna wyłaniać się zza pylonu. Han przygotował się na wszystko i oparł palce na spustach…

Raptowność, z jaką obca jednostka wyłoniła się zza pylonu, zaskoczyła nawet jego. Nieznajomy wykonał zwrot i wyprostował lekko kurs.

– To X-wing! – oznajmiła Leia z wielką ulgą. – Z oznaczeniami Republiki.

– Witajcie, nieznajomi! – zatrzeszczał głośnik głosem Luke'a. – Cieszę się, że was widzę.

– Eee… Cześć! – odparł Han, poskramiając odruch nazwania Luke'a po imieniu. Teoretycznie rozmawiali na bezpiecznej częstotliwości, ale jej zabezpieczenia stanowiły czystą formalność i pokonanie ich dla człowieka z odpowiednią motywacją nie nastręczało szczególnych trudności. – Co ty tu porabiasz?

– Chcę się zobaczyć z Lando – odparł Luke. – Wybaczcie, jeśli was wystraszyłem. Kiedy usłyszałem, że będzie mi towarzyszył niezidentyfikowany statek, uznałem, że to być może pułapka. Dopiero jakąś minutę temu zorientowałem się, że niepotrzebnie się obawiam.

– Ach – mruknął Han, przyglądając się, jak myśliwiec ustawia się na równoległym kursie.

„Czyli to X-wing Luke'a…" – pomyślał. – „A przynajmniej tak wygląda".

– A więc – rzekł swobodnie, celując działkami w myśliwiec. Lecąc tym kursem, X-wing musiałby się odwrócić o dziewięćdziesiąt stopni, nim zdołałby otworzyć ogień, chyba że został zmodyfikowany. – A więc to tylko towarzyska wizyta?

– Nie do końca. Znalazłem pewien stary gadżet, który… Cóż, mam nadzieję, że Lando będzie w stanie go zidentyfikować – zawahał się. – Wiesz co? Chyba nie powinniśmy rozmawiać o tym przez radio. Co ty na to?

– Zgadzam się – odparł Han.

Jego myśli śmigały z prędkością światła. Nie dość, że myśliwiec wyglądał na ten Luke'a, to jeszcze głos niczym się nie różnił od głosu jego przyjaciela, ale Solo wciąż miał świeżo w pamięci fortel, który zastosowano przeciwko nim na Bpfassh. O mały włos skończyłby się dla nich tragicznie i od tego czasu Han nie miał już zamiaru brać nic za pewnik. Musiał więc jakoś rozwiać wątpliwości, i to szybko.

Wyłączył radio i przeszedł na interkom.

– Leia, możesz wykryć, kto siedzi w tym X-wingu? To Luke czy nie on?

– Chyba on – odparła. – Jestem niemalże pewna.

– *Niemalże pewna* to ciut za mało, moja droga – ostrzegł ją Han.

– Wiem. Poczekaj, mam pewien pomysł.

Han wrócił na łącza.

– …powiedział, że gdybym miał podstawowy kod podporządkowania, mogliby dostarczyć mnie na miejsce o wiele szybciej – mówił Luke. – Wykonaliby skok w nadprzestrzeń, z którego wyszliby możliwie najbliżej Nkllona, na skraju oddziaływania studni grawitacyjnych, a potem osłanialiby mnie do chwili, gdy znalazłbym się w cieniu planety. Wówczas mógłbym już pokonać resztę drogi bez niczyjej pomocy.

– Z tym że X-wingów nie wyposażono w kody podporządkowania? – zasugerował Han.

– Zgadza się – odparł Luke nieco sucho. – Małe przeoczenie w projekcie, jak sądzę.

– Pewnie tak – przytaknął Han. Zaczynał się już pocić. Nie miał pojęcia, co przyszło Lei do głowy, i dałby wiele, by się tego dowiedzieć.

– Jeśli chodzi o mnie, cieszę się, że go nie masz – odezwała się Leia. – Czuję się o wiele bezpieczniej, mogąc podróżować w takim konwoju. Och, zanim zapomnę. Ktoś tu chce się jeszcze przywitać.

– Artoo? – rozległ się niepewnie afektowany głos C-3PO. – Jesteś tam?

Słuchawki Hana eksplodowały kaskadami elektronicznych pisków i ćwierknięć.

– Cóż, nie mam pojęcia, gdzie indziej mógłbyś się znaleźć – odparł sztywno C-3PO. – Dotychczasowe doświadczenia mówią mi, że mogłeś się w wpakować w całą masę tarapatów, tym bardziej że nie mogłeś liczyć na moją umiejętność wyciągania cię z opresji.

W słuchawkach rozległ się odgłos, który podejrzanie przypominał elektroniczne parsknięcie.

– Cóż, doprawdy zawsze trzymałeś się tego przekonania – rzekł C-3PO jeszcze sztywniej niż przed momentem. – Myślę, że masz prawo trzymać się swoich urojeń.

R2-D2 znów parsknął, a Han, uśmiechając się do siebie, wyłączył panel kontrolny i przestawił działka na tryb gotowości. W czasach, gdy parał się jeszcze przemytem, poznał wielu ludzi, którzy za nic w świecie nie chcieliby się wiązać z kobietą bystrzejszą od nich samych.

Han z kolei już dawno doszedł do wniosku, że on nie wyobraża sobie innego związku.

Pilot statku-tarczy nie przesadzał. Minęło prawie dziesięć godzin, nim w końcu przekazał, że od tej pory mogą kontynuować podróż samodzielnie, dorzucił nie do końca uprzejmy komentarz na pożegnanie i ruszył w swoją drogę.

Nie było wiele do oglądania, ale Han wiedział, że ciemna strona niezamieszkałej planety rzadko bywa interesującym widokiem. Na jednym z ekranów zajaśniał sygnał naprowadzający i Han powoli obrócił „Sokoła" w tym kierunku.

Za sobą usłyszał kroki.

– Co się dzieje? – spytała Leia, która ziewając, usiadła w fotelu drugiego pilota.

– Przebywamy w cieniu Nkllona – powiedział Han i wskazał ruchem głowy pozbawioną blasku gwiazd ciemność. – Kierujemy się ku jednej z kopalni Lando i będziemy tam za jakieś dziesięć, piętnaście minut.

– Super – rzekła Leia i spojrzała w bok, na światła towarzyszącego im X-winga. – Rozmawiałeś z Lukiem?

– Przed paroma godzinami. Powiedział, że chce się zdrzemnąć. Przypuszczam, że jego myśliwcem kieruje teraz Artoo.

– Tak, to prawda – powiedziała Leia tym samym, nieco nieobecnym głosem, którym mówiła w chwilach, gdy sięgała po swoje moce Jedi. – Ale nie śpi dobrze. Coś go dręczy.

– Coś go dręczy od kilku miesięcy – przypomniał jej Han. – Da sobie z tym radę.

– Nie, tu chodzi o coś innego. – Leia pokręciła głową. – Coś większego. Sama nie wiem… Może też coś pilniejszego, ważniejszego.

Odwróciła się ku niemu.

– Winter jest zdania, że może z tobą chciałby o tym porozmawiać.

– Cóż, jak dotąd tego nie zrobił – rzekł Han. – Ale nie martw się. Jeśli będzie miał ochotę pogadać, to pogada.

– Pewnie tak. – Leia patrzyła przez okna kokpitu na bezmiar planety, ku której gnali. – Niezwykłe. Zauważyłeś, że widać stąd część korony słonecznej?

– Cóż, mam nadzieję, że nie masz ochoty przyjrzeć się jej bliżej – powiedział Han. – Te statki-tarcze nie są tu dla ozdoby. Blask słońca jest tak potężny, że mógłby w kilka sekund usmażyć wszystkie sensory, a potem w parę minut spalić kadłub „Sokoła”.

Leia pokręciła głową z podziwem.

– Najpierw Bespin, a teraz Nkllon. Czy zdarzało się, że Lando nie był zaangażowany w jakąś szaleńczą inwestycję?

– Zdarzało się, ale rzadko – przyznał Han. – Choć na Bespinie pracował przynajmniej ze znaną technologią. Wszak Miasto w Chmurach działało od wielu lat, zanim je przejął. Tu z kolei – skinieniem głowy pokazał jej planetę – musieli wymyślić wszystko od podstaw.

Leia pochyliła się.

– Wydaje mi się, że dostrzegam jakieś miasto. Tam są jakieś światła!

Han spojrzał we wskazanym kierunku.

– Za małe na miasto – oszacował. – Osobiście postawiłbym na działającą na obrzeżach grupę kretowiertów. Słyszałem ostatnio, że mają ich ponad sto, przez cały czas zajętych drążeniem powierzchni.

– Co to takiego? Te pojazdy, które pomogliśmy mu pozyskać od Stonehill Industries?

– Nie, te akurat Lando wykorzystuje w zewnętrznych partiach systemu jako holowniki – poprawił ją Han. – Kretowierty to niewielkie, dwuosobowe pojazdy, które przypominają stożki z odpiłowanymi czubkami. Wyposażono je w zestawy działek strzelających plazmą, rozstawionych wokół luku w spodniej części. Wystarczy wylądować, postrzelać z działek przez minutę bądź dwie, by rozbić warstwę ziemi, a potem wyjść przez luk w dole i pozbierać urobek.

– O, już sobie przypominam. – Leia pokiwała głową. – Kiedyś wykorzystywano je do pozyskiwania surowców na asteroidach, prawda?

– Podobnie to wyglądało, ale te akurat Lando znalazł w jakiejś hucie, gdzie wykorzystywano je do przetapiania. Zamiast usuwać z nich działka plazmowe, właściciele umieścili całe pojazdy nad pasami transmisyjnymi.

– Ciekawe, jak Lando je przejął.

– Akurat tego chyba nie chcemy wiedzieć.

Nadajnik zatrzeszczał, a potem dobiegł z niego wyraźny głos:

– Do niezidentyfikowanych statków! Tu kontrola lotów Nomad City. Udzielono wam zgody na lądowanie na platformach piątej i szóstej. Podążajcie za sygnałem i uważajcie na drgania przy sadzaniu maszyn.

– Przyjąłem! – rzucił Han.

„Sokół” mknął już nad powierzchnią, a wysokościomierz wskazywał zaledwie pięćdziesiąt metrów nad ziemią. Przed nimi wyrastało już niskie, rozciągnięte wzniesienie. Han pociągnął lekko za ster i przeleciał nad nim, a wówczas…

Wówczas ujrzał przed sobą Nomad City.

– Jeszcze raz, Leio – zwrócił się do żony. – Jak ty to ujęłaś? Szaleńcze inwestycje?

Leia pokręciła głową bez słów. Nawet Han, który nie wiedział, czego się ma spodziewać, musiał przyznać, że widok robił wielkie wrażenie. Ogromne, garbate budowle, które wchodziły w skład kompleksu górniczego, mieniły się tysiącami świateł i razem przypominały wręcz ogromnego, egzotycznego potwora, który pełzł naprzód przez pustkowie. W porównaniu z konstrukcją okoliczne wzniesienia wydawały się małe i niepozorne. Mrok dookoła przecinały błyskające światła reflektorów, a nad kompleksem i wokół niego uwijały się niewielkie statki, przywodzące na myśl natrętne pasożyty.

Minęła dłuższa chwila, nim umysł Hana przestał postrzegać kompleks jako całość i zaczął rozróżniać jego elementy. Górę kompleksu stanowił stary pancernik, a dół tworzyło czterdzieści

zdobytych na Imperium AT-AT. Jednostkami krążącymi dookoła były promy oraz pojazdy pilotujące.

Co ciekawe, podzielenie Nomad City na elementy składowe wcale nie czyniło go mniej imponującym.

Znów zatrzeszczał nadajnik.

– Niezidentyfikowane statki – rozległ się znajomy głos. – Witajcie w Nomad City! O co chodziło z tą partyjką w sabaka?

Han uśmiechnął się krzywo.

– Cześć, Lando! Właśnie rozmawialiśmy o tobie!

– Założę się – powiedział tamten z przekąsem. – Przypuszczalnie podziwialiście moje zdolności do robienia interesów oraz moją pomysłowość.

– Coś w tym guście – zgodził się Han. – Czy lądowanie na tym czymś wymaga jakichś szczególnych talentów?

– Nie, raczej nie – zapewnił go Lando. – Przecież poruszamy się z prędkością zaledwie kilku kilometrów na godzinę. Czy w tym X-wingu siedzi Luke?

– Tak, to ja! – odezwał się Skywalker, uprzedzając Hana. – To miejsce jest niesamowite, Lando!

– Poczekaj, aż przyjrzysz mu się od środka. Zresztą i tak najwyższy czas, byście mnie odwiedzili, że pozwolę sobie dodać. Czy Leia i Chewie są z wami?

– Tak, jesteśmy tu wszyscy – powiedziała księżniczka.

– Przy czym to nie do końca wizyta towarzyska – ostrzegł go Han. – Potrzebujemy pomocy.

– Cóż, pewnie. – W głosie Lando pojawiło się ledwie wyczuwalne wahanie. – W czym tylko będę mógł wam pomóc. Słuchajcie, jestem w Centrali Projektów i nadzoruję trudny wykop. Wyślę kogoś, by was odebrał z lądowiska i sprowadził do mnie. Ale pamiętajcie, że tu nie ma powietrza, i lepiej zaczekajcie na zamknięcie tunelu dokującego, nim zabierzecie się do otwierania włazów.

– W porządku – rzekł Han. – Tylko upewnij się, czy człowiek, którego wyślesz w ramach komitetu powitalnego, to ktoś, komu można zaufać.

Kolejna ledwie zauważalna przerwa.

– Serio? – spytał swobodnym tonem Lando. – Czy jest coś, o czym…

Jego głos został nagle przerwany przez głośny, elektroniczny pisk.

– Co się dzieje? – warknęła Leia.

– Ktoś nas zagłusza! – parsknął Han i wyłączył odbiornik. Pisk momentalnie ucichł, pozostawiając po sobie jedynie nieprzyjemne brzęczenie w uszach, a Han przełączył się na interkom.

– Chewie, mamy kłopoty! – zawołał. – Chodź no tu!

Wookiee zawarczał na znak, że zrozumiał, a Han znów pochylił się nad odbiornikiem.

– Przeskanuj okolicę! – rzucił do Lei. – Sprawdź, czy coś nadciąga.

– W porządku! – Leia już naciskała odpowiednie przyciski. – Co chcesz zrobić?

– Najpierw znajdę dla nas wolną częstotliwość!

Szarpnął za stery i skierował „Sokoła” ku otwartej przestrzeni, a potem znów włączył odbiornik, tym razem ściszając go od razu. Swego czasu poznał kilka sztuczek, dzięki którym można było obejść zagłuszanie, a pytanie brzmiało, czy będzie mieć czas, by wprowadzić je w życie.

Nagle, o wiele szybciej, niż się spodziewał, pisk zamienił się w głos:

– …rzam, wszystkie jednostki, które mnie słyszą, niech się zgłoszą.

– Lando, to ja! – zawołał Han. – Co się dzieje?

– Nie jestem pewien! – Lando wydawał się nieco roztargniony. – Niewykluczone, że naszą komunikację zakłócają wybuchy na słońcu, bo to czasem się tutaj zdarza, ale częstotliwość niezbyt pasuje do…

Urwał.

– Co się dzieje? – spytał Han.

Z głośnika dobiegł syk, jakby ktoś nagle wciągnął powietrze.

– Gwiezdny niszczyciel Imperium – rzekł cicho Lando. – Zbliża się do cienia planety.

Han spojrzał na Leię i ujrzał, jak jej twarz zamienia się w kamień.

– Znaleźli nas – szepnęła.

Rozdział 13

– Rozumiem, Artoo, rozumiem! – mówił uspokajającym tonem Luke. – Pozwól, że ja się zajmę niszczycielem, a ty spróbuj jakoś przebić się przez zakłócanie.

Mały droid potwierdził serią ćwierknięć, w których brzmiało wyraźne zaniepokojenie, po czym wrócił do pracy. „Sokół Millennium", który jeszcze przed chwilą podchodził do lądowania, ostro skręcił i ruszył kursem na przechwycenie w kierunku nadciągającego okrętu. Mając nadzieję, że Han wie, co robi, Luke uruchomił tryb gotowości bojowej i podążył w ślad za „Sokołem".

„Leia?" – zapytał w myślach.

Siostra odpowiedziała natychmiast, choć bez słów. Odebrał jedynie wyraźny gniew, frustrację i cichy lęk.

„Trzymaj się – posłał ku niej myśl, wkładając w nią tyle przekonania i pewności siebie, ile był w stanie. – Jestem z tobą!"

Sam przed sobą musiał przyznać, że nie czuł bynajmniej pewności siebie. Nie przejmował się szczególnie samym niszczycielem – jeśli Lando nie przesadził w opisie intensywności blasku gwiazdy, sensory wielkiej jednostki były już zapewne ślepe. Przy odrobinie szczęścia część znajdującego się na kadłubie uzbrojenia również zdążyła wyparować.

Trzymane w głębi kadłuba myśliwce TIE jednakże nie były narażone na promieniowanie i będą gotowe do startu, gdy tylko niszczyciel znajdzie się w cieniu planety.

Niespodziewanie zakłócenia urwały się.

– Luke?

– Jestem! – odezwał się Skywalker. – Jaki mamy plan?

– Cóż, miałem nadzieję, że to ty coś wymyślisz – rzekł sucho Han. – Wygląda na to, że wróg ma sporą przewagę.

– Lando dysponuje jakimiś myśliwcami?

– Ściąga, co może, ale będzie trzymał je blisko, by chronić swój kompleks. Poza tym mam wrażenie, że jego piloci wcale nie są tak

doświadczeni.

– A więc stanowimy szpicę ataku – podsumował Skywalker.

Przez umysł przeszło mu wspomnienie sprzed pięciu lat, kiedy wkroczył do pałacu Jabby na Tatooine, wykorzystując Moc, by namieszać w głowach strażnikom.

– Mam pomysł – powiedział. – Polecę przodem i spróbuję narobić wśród nich zamieszania lub przynajmniej ich spowolnić. Ty leć za mną i rozwalaj, co się da.

– Lepszego planu pewnie nie ułożymy – burknął Han. – Trzymaj się blisko powierzchni. Przy odrobinie szczęścia część z nich rozwali się na wzgórzach.

– Oby nie za blisko – ostrzegła go Leia. – Pamiętaj, że nie będziesz w stanie skupić się szczególnie na prowadzeniu myśliwca.

– Dam sobie radę z jednym i z drugim – zapewnił ją Luke i raz jeszcze zerknął na instrumenty. Po raz pierwszy miał stoczyć bitwę kosmiczną jako Jedi. Gdzieś na skraju jego świadomości pojawiło się pytanie, czy to tak właśnie Jedi Starej Republiki rozgrywali swoje starcia i czy w ogóle w ten sposób walczyli.

– Nadlatują! – oznajmił Han. – Wylecieli z hangaru i kierują się na nas. Wygląda na to, że… Że to tylko jedna eskadra. Są nader pewni siebie.

– Może. – Luke spojrzał na ekran taktyczny, marszcząc czoło. – A te statki, które im towarzyszą? Co to takiego?

– Nie mam pojęcia – odparł powoli Han. – Ale spore są. Możliwe, że to transportowce wojsk.

– Miejmy nadzieję, że nie.

„Bo jeśli to klasyczna inwazja, a nie kolejne szybkie uderzenie jak na Bpfassh…”

– Lepiej ostrzeż Lando! – zawołał.

– Leia się tym zajmuje. Gotowy?

Luke wziął głęboki oddech. Myśliwce TIE uformowały trzy klucze składające się z czterech jednostek i mknęły prosto ku nim.

– Jestem gotowy – rzekł.

– Dobra. Do roboty.

Pierwszy klucz nadciągał ze sporą prędkością. Luke przymknął oczy, prowadząc myśliwiec wyłącznie siłą swoich odruchów, po

czym sięgnął po Moc.

Było to dziwne uczucie. Dziwne i nie do końca przyjemne. Nie przeszkadzało mu łączenie się z innymi umysłami, gdy chciał przekazać informację, ale wdzieranie się w nie po to, by celowo zaburzać percepcję, było czymś zupełnie innym.

Podczas interwencji w pałacu Jabby towarzyszyły mu podobne odczucia, ale wówczas tłumaczył to sobie ogromnym stresem. Przecież musiał odnaleźć i ocalić Hana. Teraz jednakże uświadomił sobie, że jego odczucia kryły znacznie więcej. Być może tego typu działania – nawet przedsięwzięte w samoobronie – niebezpiecznie przybliżały go do granicy, za którą czaił się mrok i gdzie Jedi nie mieli wstępu.

Zastanawiał się, dlaczego Ben i Yoda nigdy mu o tym nie mówili.

„Ciekawe, czy przyjdzie mi jeszcze odkryć coś o doli Jedi, o czym nie miałem do tej pory pojęcia…”

„Luke?”

Zapięte pasy pilota naparły, gdy ostro zmienił kurs, ale wrażenie wydawało się odległe, mało wyraźne. Liczył się bowiem tylko ten głos, który rozległ się w jego umyśle.

– Ben? – zawołał głośno.

Głos nie przypominał mu Bena Kenobiego, ale któż to mógł być, jeśli nie on?

„Dołączysz do mnie, Luke – oznajmił głos. – Musisz do mnie dołączyć. Będę na ciebie czekał”.

„Kim jesteś?” – zapytał Luke i skupił się najmocniej, jak mógł, na podtrzymaniu kontaktu, by jednocześnie nie zderzyć się z jakąś przeszkodą. Obcy umysł był jednakże nieuchwytny, zdawał się skakać i umykać niczym liść niesiony przez wichurę.

„Gdzie jesteś?”

„Odnajdziesz mnie!”

Luke wytężał wszystkie siły, ale czuł, że kontakt słabnie.

„Odnajdziesz mnie, a Jedi znów powstaną. Póki co, żegnaj!”

„Zaczekaj!” – krzyknął, ale jego słowa zaginęły wśród nicości. Luke zacisnął zęby i stopniowo zaczął sobie uzmysławiać, że woła go inny, o wiele bardziej znajomy głos.

– Leia? – wychrypiał, bo w gardle poczuł niewytłumaczalną suchość.

– Luke, nic ci nie jest? – pytała z niepokojem siostra.

– Nic, wszystko gra – odparł, tym razem mocniejszym głosem. – Co jest nie tak?

– To z tobą jest coś nie tak – wtrącił Han. – Masz zamiar przegonić ich aż do domu?

Luke zamrugał i rozejrzał się zaskoczony. Po myśliwcach TIE zostały jedynie szczątki rozsiane wszędzie dookoła. Ekran wskazywał, że gwiezdny niszczyciel opuścił już cień Nkllona i zmierzał z pełną prędkością w kierunku miejsca na tyle odległego od studni grawitacyjnej, by można było wykonać skok w nadprzestrzeń. W oddali widać było dwa inne punkty, przypominające miniaturowe słońca. Były to dwa spośród statków-tarcz Lando, które zmierzały, by wziąć udział w walce, choć ta dobiegła już końca.

– Już po wszystkim? – spytał oszołomiony.

– Tak – zapewniła go Leia. – Dorwaliśmy dwa myśliwce TIE, a wtedy reszta zawróciła i uciekła.

– A te transportowce wojsk?

– Powróciły wraz z myśliwcami – rzekł Han. – Nie mamy pojęcia, co one tu właściwie robiły, bo nie przyglądaliśmy im się zbytnio podczas walki. Wygląda jednak na to, że nawet nie zbliżyły się do miasta.

Luke nabrał tchu i spojrzał na zegar. Stracił ponad pół godziny. Trzydzieści minut, których jego zegar wewnętrzny nawet nie zarejestrował. Czyżby ten osobliwy kontakt z nieznanym mu Jedi naprawdę trwał tak długo?

Czuł, że będzie musiał to przemyśleć i przeanalizować. Bardzo dokładnie.

Na głównym ekranie mostka niszczyciel „Judicator”, przypominający jedynie jasny punkt na tle czerni Nkllona, wykonał skok w nadprzestrzeń.

– Udało im się, admirale – oznajmił Pellaeon.

– Dobrze. – Wielki admirał obrzucił pozostałe ekrany niemalże leniwym spojrzeniem, gdyż w takiej odległości od systemu Athega nie było się czego bać.

– A więc… – Obrócił się w fotelu. – Mistrzu C'baoth?

– Wypełnili zadanie – odparł C'baoth, na którego twarzy znów widniało to osobliwe napięcie. – Przejęli pięćdziesiąt jeden kretowiertów, po które ich posłałeś.

– Pięćdziesiąt jeden – powtórzył Thrawn z nieskrywaną satysfakcją. – Doskonale. Nie miałeś żadnych trudności z kierowaniem nimi podczas ataku i ucieczki?

C'baoth skupił spojrzenie na Thrawnie.

– Wypełnili zadanie – powtórzył. – Ile razy jeszcze masz zamiar zadać mi to samo pytanie?

– Dopóki nie nabiorę pewności, że usłyszałem prawidłową odpowiedź – odparł spokojnie Thrawn. – Bo przez moment wyglądałeś, jakbyś miał spore kłopoty.

– Nie było żadnych kłopotów, wielki admirale Thrawn – rzekł wyniośle C'baoth. – Tak się bowiem składa, że w międzyczasie toczyłem rozmowę… – Urwał na moment, a na jego twarzy pojawił się lekki uśmieszek. – Z Lukiem Skywalkerem – dodał.

– O czym ty mówisz?! – parsknął Pellaeon. – Według najnowszych raportów wywiadu Skywalker przebywa…

Zamilkł na gest Thrawna.

– Wyjaśnij – rzekł wielki admirał.

C'baoth skinął w kierunku ekranu.

– On przebywa tam, wielki admirale. Przybył na Nkllona tuż przed „Judicatorem".

Thrawn zmrużył jaśniejące, czerwone oczy.

– Skywalker dotarł na Nkllona? – spytał niebezpiecznie cichym głosem.

– I znalazł się w samym środku bitwy – powiadomił go C'baoth, najwyraźniej ubawiony zaskoczeniem admirała.

– I nic mi nie mówisz? – spytał Thrawn tym samym groźnym tonem.

Uśmiech C'baotha znikł.

– Już ci mówiłem, wielki admirale, byś zostawił Skywalkera w spokoju. Ja się nim zajmę. W odpowiednim czasie i na swój sposób. Ja domagam się od ciebie tylko tego, byś wypełnił swoją obietnicę i przetransportował mnie na Jomarka.

Przez długą chwilę Thrawn wpatrywał się w mistrza Jedi. Jego zmrużone oczy przypominały jaśniejące czerwienią ostrza, a z zaciętej twarzy nie dało się wyczytać żadnych emocji. Pellaeon wstrzymał oddech.

– Jest za wcześnie – rzekł w końcu wielki admirał.

C'baoth parsknął.

– Dlaczego? Bo uznałeś, że moje talenty są zbyt cenne, by się z nimi rozstać?

– Skądże znowu – odparł Thrawn lodowatym głosem. – Plotki o twoim pojawieniu się nie zdążyły się jeszcze rozejść. Najpierw musimy nabrać pewności, że Skywalker na nie zareaguje. Posyłanie cię tam teraz to tylko strata czasu.

Na obliczu C'baotha pojawił się rozmarzony uśmiech.

– Och, zareaguje – powiedział cicho. – Zaufaj mi, admirale. Zareaguje.

– Ja zawsze ci ufam – stwierdził sardonicznie Thrawn. Wyciągnął dłoń i pogładził isalamira, który oplótł poręcz fotela dowodzenia, jakby chciał przypomnieć mistrzowi Jedi, że nie jest to zaufanie pełne. – Choć z drugiej strony to twój czas i marnuj go, jeśli chcesz. Kapitanie Pellaeon, ile potrwają naprawy na „Judicatorze"?

– Przynajmniej kilka dni, admirale. Wszystko zależy od rozmiarów uszkodzeń, ale obawiam się, że w krytycznej sytuacji remont może zabrać nawet od trzech do czterech tygodni.

– Dobrze. Udamy się w miejsce spotkania, dotrzymamy im przez chwilę towarzystwa, by się przekonać, czy remont idzie w dobrym kierunku, a potem zabierzemy mistrza C'baotha na Jomarka. Ufam, że będzie to satysfakcjonujące rozwiązanie? – spytał, patrząc na Jedi.

– Tak – rzekł ten. Ostrożnie odpiął pasy i wstał. – Udam się teraz na spoczynek, wielki admirale. Powiadom mnie, jeśli będzie potrzebna moja pomoc.

– Oczywiście.

Thrawn patrzył, jak mistrz idzie przez mostek, a gdy drzwi zasunęły się za nim, odwrócił się do Pellaeona. Ten przygotował się na najgorsze.

– Proszę sporządzić dla mnie symulację trasy z Nkllona na Jomarka – odezwał się Thrawn chłodnym, ale spokojnym głosem. – Możliwie najprostszej trasy pokonanej przez lecącego z największą prędkością X-winga z napędem nadprzestrzennym.

– Tak jest, admirale. – Pellaeon dał znać nawigatorowi, który skinął i zabrał się do pracy. – Myśli pan, że nasz mistrz ma rację? Że Skywalker tam poleci?

Thrawn wzruszył lekko ramionami.

– Jedi potrafią wpływać na innych ludzi, kapitanie, nawet na sporą odległość. Możliwe, że nawet będąc wśród nas, odnalazł Skywalkera i zbliżył się do niego na tyle, by zaszczepić w jego umyśle sugestię lub nawet rozkaz. Nie mam pojęcia, czy jego techniki podziałają na innych Jedi, ale wkrótce się przekonamy – dodał, znów wzruszając ramionami.

– To prawda, sir – rzekł Pellaeon.

Przez jego ekran przepływały już cyfry. Pellaeon nachylił się i rzekł:

– Cóż, nawet jeśli Skywalker wyruszy natychmiast w drogę, bez trudu dotrzemy na Jomarka przed nim.

– To już wiem, kapitanie – rzekł Thrawn. – Mam na myśli bardziej wymagające zadanie. Wysadzimy C'baotha na Jomarku, a potem cofniemy się wzdłuż symulowanej trasy X-winga o, powiedzmy, przynajmniej dwadzieścia lat świetlnych.

Pellaeon zmarszczył brwi. Wyraz twarzy Thrawna sprawił, że na jego karku podniosły się włoski.

– Chyba nie rozumiem, sir – powiedział ostrożnie.

Jaśniejące oczy admirała przeszywały go na wylot.

– To całkiem proste, kapitanie. Chcę wyprowadzić naszego wspaniałego, prześwietnego mistrza Jedi z przeświadczenia, jakoby był dla nas niezbędny.

Pellaeon naraz wszystko pojął.

– Czyli czekamy przy trasie Skywalkera, by go pojmać?

– Otóż to. – Thrawn pokiwał głową. – A wówczas podejmiemy ważną decyzję.

W jego oczach pojawił się nieprzyjemny blask.

– Zadecydujemy wówczas, czy oddajemy go C'baothowi, czy też go zabijemy.

Pellaeon otworzył szeroko usta.

– Ale obiecał pan C'baothowi, że ten może go zatrzymać!

– Nadszedł czas, by raz jeszcze przemyśleć naszą umowę – oznajmił chłodno Thrawn. – Skywalker okazał się niezwykle niebezpiecznym przeciwnikiem i z tego, co wiemy, oparł się już jednej próbie przeciągnięcia go na naszą stronę. C'baoth będzie miał mniejsze trudności ze złamaniem woli jego siostry i jej dzieci.

Pellaeon spojrzał nad ramieniem admirała na zamknięte drzwi i przypomniał sobie, że nie ma możliwości, by C'baoth podsłuchał ich rozmowę. Na mostku „Chimaery" przebywało zbyt wiele isalamirów.

– Być może C'baoth ma ochotę podjąć to wyzwanie – powiedział ostrożnie.

– Nim Imperium zostanie odbudowane, czeka go jeszcze wiele wyzwań. Dobrze, by zachował swoje talenty oraz spryt – rzekł Thrawn i spojrzał ponownie na ekrany. – Poza tym przypuszczalnie zapomni o Skywalkerze, gdy pojmie jego siostrę. Odnoszę wrażenie, że potrzeby i pragnienia naszego mistrza okażą się równie niestałe, jak jego nastroje.

Pellaeon zastanowił się. Jego zdaniem, przynajmniej w sprawie Skywalkera C'baoth okazywał niezmienną konsekwencję. Ani na moment nie przestawał mówić o tym, jak bardzo chce go dorwać.

– Z całym szacunkiem, admirale, ale sugeruję, byśmy podjęli wszelkie działania, by zachować Skywalkera przy życiu – oznajmił, po czym nagle go olśniło. – Tym bardziej że po jego śmierci C'baoth mógłby zniechęcić się do wyprawy na Jomarka i powrócić na Waylanda.

Thrawn spojrzał na niego i zmrużył lekko oczy.

– Interesująca sugestia, kapitanie – mruknął. – Interesująca, w rzeczy samej. Ma pan oczywiście rację. Tak, ze wszystkich sił musimy trzymać go z dala od Waylandu, przynajmniej do chwili

zakończenia prac na cylindrach Spaarti i gdy zbierzemy tyle isalamirów, ile będzie trzeba.

Obdarzył Pellaeona skąpym uśmiechem.

– Jego reakcja na to, co robimy, nie będzie należała do przyjemnych.

– Zgadzam się, sir – rzekł Pellaeon.

Warga Thrawna drgnęła.

– Dobrze, kapitanie. Zgadzam się z pańską sugestią – rzekł i wyprostował się w fotelu. – Czas ruszać w drogę. Proszę przygotować „Chimaerę” do przejścia w nadprzestrzeń.

Pellaeon odwrócił się ku ekranom.

– Tak jest, sir. Mamy kierować się bezpośrednio do punktu zbornego?

– Najpierw czeka nas mały rekonesans. Proszę okrążyć system i zatrzymać niszczyciel w pobliżu bazy statków-tarcz, gdzie zaczyna się szlak handlowy. Tam niech pan wypuści kilka sond, by śledziły Skywalkera, i umieści je na skraju systemu oraz dalej wzdłuż jego symulowanej trasy.

Wyjrzał przez okno na Nkllona.

– Któż zresztą wie, co się może wydarzyć – powiedział. – „Sokół Millennium” wszak często podąża wraz ze Skywalkerem.

– A wówczas dorwiemy ich wszystkich.

Rozdział 14

– Pięćdziesiąt jeden! – warknął Lando Calrissian i smagnął wściekłym spojrzeniem Hana i Leię. Niczym zwierzę w klatce krążył wokół niskich foteli w salonie. – Pięćdziesiąt jeden moich najlepszych, zmodyfikowanych kretowiertów! Pięćdziesiąt jeden! To prawie połowa mojej siły roboczej. Rozumiecie to? Połowa!

Opadł na fotel, ale zerwał się niemalże natychmiast. Krążył po pomieszczeniu, a jego czarny płaszcz powiewał za nim niczym oswojona chmura burzowa. Leia otworzyła usta, by powiedzieć kilka słów pokrzepienia, ale poczuła, jak Han ściska ją za rękę, jakby chciał ją ostrzec. Wszystko wskazywało na to, że nieraz już widział Lando w tym stanie. Leia zacisnęła więc zęby i bez słowa śledziła wzrokiem rozjuszonego przedsiębiorcę.

Co ciekawe, wybuch złości ucichł równie gwałtownie, jak się zaczął. Lando zatrzymał się przed Leią.

– Przepraszam – powiedział nieoczekiwanie dla wszystkich i ujął dłoń księżniczki. – Całkiem zapomniałem o swoich obowiązkach gospodarza, nieprawdaż? Witajcie na Nkllonie!

Uniósł jej dłoń do ust i ucałował ją, wskazując jednocześnie widok za oknem.

– Co sądzicie o moim małym interesie?

– Imponujący! – powiedziała Leia bez cienia przesady. – Jak w ogóle wpadłeś na pomysł, by rozpocząć działanie akurat tutaj?

– Cóż, dłubię już tu od paru lat. – Lando wzruszył ramionami.

Delikatnie pomógł Lei powstać i podprowadził ją do okna, opierając dłoń na jej plecach. Leia zauważyła, że od czasu jej ślubu z Hanem Lando okazywał wobec niej iście dworskie maniery, podobnie jak podczas ich pierwszego spotkania w Mieście w Chmurach. Intrygowało ją to przez jakiś czas, aż spostrzegła, że okazywana jej uwaga ma rozdrażniać Hana.

W innych okolicznościach zapewne by tak było. Teraz jednakże jej mąż nawet tego nie zauważał.

– W archiwach Miasta w Chmurach znalazłem kiedyś projekt podobnej inwestycji, pochodzący z czasów, gdy miasto zostało zbudowane przez lorda Ecclessisa – ciągnął Lando, wskazując ręką widok za oknem. Krajobraz unosił się i opadał w rytm kroków maszyn kroczących, co przypominało Lei jej doświadczenia żeglarskie. – Większość wykorzystywanego tu metalu pochodzi z Miser, sąsiedniej planety krążącej jeszcze bliżej słońca niż Nkllon. Nawet Ugnaughtowie, którzy zajmowali się górnictwem, mieli z tym nie lada problem. Figg wykonał projekt ruchomego centrum wydobywczego, które miałoby działać na ciemnej stronie Miser, z dala od bezpośredniego blasku słońca, ale nic z tego nie wyszło.

– Pomysł okazał się mało praktyczny – rzekł Han, który stanął za Leią. – Powierzchnia Miser jest zbyt nierówna, by można się było bez trudu poruszać po niej na kołach.

Lando spojrzał na niego ze zdziwieniem.

– A ty skąd to wiesz?

Han potrząsnął głową z roztargnieniem. Wpatrywał się w krajobraz i rozgwieżdżone niebo nad nim.

– Pamiętasz, kiedyś próbowałeś namówić Mon Mothmę, by pomogła ci sfinansować tę inwestycję? Otóż ja spędziłem wówczas całe popołudnie na grzebaniu w archiwach Imperium. Chciałem się przekonać, czy ktoś już nie sięgnął po ten pomysł, ale dowiedziałem się tylko, że to niemożliwe.

– Miło, że zadałeś sobie aż tyle trudu. – Lando uniósł brew. – Dobra. O co chodzi?

– Chyba powinniśmy poczekać na Luke'a, nim zaczniemy rozmowę – zaproponowała cicho Leia, uprzedzając Hana, który chciał się właśnie odezwać.

Lando zerknął na Hana, jakby dopiero teraz zauważył nieobecność Luke'a.

– A gdzie on właściwie jest?

– Chciał się szybko wykąpać i przebrać – rzekł Han i przeniósł uwagę na niewielki prom z rudą, podchodzący do lądowania. – Wiesz, X-wingi to niezbyt wygodne maszyny.

– Zwłaszcza podczas długich podróży – zgodził się Lando i spojrzał tam, gdzie Han. – Zawsze miałem wrażenie, że

instalowanie hipernapędu w czymś tak małym to kiepski pomysł.

– Chyba pójdę sprawdzić, co go powstrzymuje – uznał nagle Han. – Macie tu interkom?

– Tam jest! – Lando pokazał wycięty drewniany pulpit na końcu salonu. – Połącz się z centralą. Znajdą go.

– Dzięki – rzucił Han przez ramię, ruszając we wskazanym kierunku.

– Jest źle, co? – Lando mruknął do Lei, nie spuszczając oczu z idącego Hana.

– Źle – przyznała Leia. – Istnieje spore prawdopodobieństwo, że ten niszczyciel szukał mnie.

Lando milczał przez chwilę.

– Przybyliście tu po pomoc – oznajmił. Nie było to pytanie.

– Tak.

Calrissian nabrał tchu.

– Cóż… Zrobię, co będę mógł, rzecz jasna.

– Dzięki – odparła Leia.

– Nie ma problemu – rzekł Lando. Nie patrzył już na Hana, a na prace trwające za oknem. Rysy jego twarzy stwardniały. Być może myślał o ostatniej sytuacji, gdy Leia i Han przybyli po pomoc.

I o tym, ile to go kosztowało.

Lando wysłuchał opowieści w milczeniu, a potem pokręcił głową.

– Nie – powiedział zdecydowanie. – Jeśli istnieje jakiś przeciek, nie szukajcie go na Nkllonie.

– A skąd ta pewność? – spytała Leia.

– Bo nie ma za was żadnej nagrody – wyjaśnił Lando. – Pracuje tu sporo najróżniejszych mętów, ale każdego z nich interesuje tylko zysk. Nikt z nich nie oddałby was Imperium dla samej zabawy. Poza tym po co Imperium miałoby kraść moje kretowierty, skoro niby szukają was?

– Może tylko chcą wprowadzić zamieszanie – stwierdził Han. – Po co kraść kretowierty? Na co one komu?

– Niewykluczone – przyznał Lando – że chcą wywrzeć nacisk ekonomiczny na któregoś z moich klientów lub po prostu utrudnić

dopływ surowców do Nowej Republiki. Zresztą mniejsza o to. Ważne jest to, że porwali maszyny, a nie was.

– A skąd wiesz, że nie ma za nas nagrody? – zapytał Luke, siadając po prawej. Leia zauważyła, że nie odpiął miecza świetlnego i wybrał miejsce między przyjaciółmi a wejściem. Najwidoczniej nie czuł się o wiele bezpieczniej od niej.

– Ponieważ usłyszałbym o tym. – W głosie Lando pojawiła się lekka uraza. – To, że jestem szanowanym przedsiębiorcą, nie oznacza, że wypadłem z obiegu!

– Mówiłem ci, że nadal będzie miał kontakty. – Han uśmiechnął się z ponurą satysfakcją. – Super. Któremu z nich ufasz, Lando?

– Cóż – zaczął Lando, ale przerwało mu piśnięcie urządzenia, które nosił na nadgarstku. – Przepraszam was na moment.

Zdjął niewielki komunikator z ozdobnej bransolety i włączył go.

– Tak?

Leia nie zdołała usłyszeć odpowiedzi, ale po chwili Lando zmarszczył brwi.

– Jaki znowu nadajnik?

Znów padła odpowiedź.

– W porządku, zajmę się tym. Kontynuujcie skanowanie.

Wyłączył komunikator i ponownie wpiął go w bransoletę.

– To był człowiek z działu komunikacji – oznajmił, rozglądając się. – Wychwycili nadajnik bliskiego zasięgu, działający na dość niecodziennej częstotliwości, który… który najwyraźniej nadaje z tego salonu.

Leia poczuła, jak siedzący obok niej Han sztywnieje.

– Co znowu za nadajnik? – zapytał.

– Pewnie ten – odparł Luke. Wstał i wyjął spłaszczony cylinder znaleziony na Dagobah. Podszedł z nim do Lando. – Miałem nadzieję, że uda ci się stwierdzić, co to jest.

Lando ujął cylinder i uniósł wyżej.

– Ciekawe – uznał i przyjrzał się z bliska znakom obcego alfabetu na powierzchni. – Nie widziałem niczego takiego od lat, a już na pewno nie w tym stylu. Skąd to masz?

– Leżało zagrzebane w błocie na samym środku bagien. Artoo wychwycił sygnał z daleka, ale nie miał pojęcia, co to jest.

– To nasz nadajnik, zgadza się. – Lando pokiwał głową. – Niesamowite, że nadal działa.

– A co on nadaje? – Han wpatrywał się w urządzenie nieufnie, jakby był to niebezpieczny wąż.

– Jedynie sygnał jednostki – zapewnił go Lando. – Ponadto ma bardzo krótki zasięg, który działa jedynie w obrębie planety. Nikt nie wykorzystał go, by dotrzeć tu w ślad za Lukiem, jeśli to cię martwi.

– A wiesz, co to jest? – zapytał Luke.

– Pewnie. – Lando oddał mu cylinder. – To stary nadajnik przyzywający. Sądząc po wyglądzie, pochodzi jeszcze sprzed wojen klonów.

– Nadajnik przyzywający? – Luke zmarszczył brwi i ujął cylinder. – Czyli taki sterownik, który przywołuje statek?

– Coś w tym stylu. – Lando pokiwał głową. – Tylko że o wiele bardziej złożony. Gdybyś miał statek z systemem pełnego podporządkowania, wystarczyłoby wprowadzić jedną komendę na nadajniku, by statek podleciał bezpośrednio do ciebie, automatycznie omijając po drodze wszystkie przeszkody. Niektóre z nich były nawet w stanie walczyć po drodze z innymi jednostkami, wykazując sporą samodzielność.

Pokręcił głową, wspominając dawne czasy.

– Co się nieraz bardzo przydawało.

– Ciekawe, co na to flota katańska – parsknął cicho Han.

– Cóż, naturalnie trzeba było wprowadzić pewne zabezpieczenia – zgodził się Lando. – Ale oczywiście podzielenie ważnych funkcji statku kosmicznego i przekazanie ich dziesiątkom bądź nawet setkom droidów musi wywołać swego rodzaju problemy. Ograniczone obwody podporządkowanego skoku, które wykorzystujemy, by połączyć transportowce ze statkami-tarczami, są, rzecz jasna, bezpieczne.

– Czy w Mieście w Chmurach również korzystałeś z obwodów podporządkowanego skoku? – spytał Luke. – Artoo mówił, że widział cię z czymś takim.

– Mój osobisty statek był w niego wyposażony – odparł Lando. – Nigdy nic nie wiadomo i potrzebowałem jakiejś gwarancji

bezpieczeństwa. — Jego warga drgnęła. – Ludzie Vadera przypuszczalnie dowiedzieli się o tym i wyłączyli obwód, bo gdy wezwałem mój statek, ten się nie zjawił. Mówisz, że gdzie go znalazłeś? Na bagnie?

– Tak. – Luke spojrzał na Leię. – Na Dagobah.

Leia wbiła wzrok w brata.

– Na Dagobah? – spytała. – Na planecie, na którą umknął ten Mroczny Jedi z Bpfassh?

– Tej samej. – Luke pokiwał głową i przez moment z dziwnym wyrazem twarzy obracał w palcach nadajnik przywołujący. – Ta rzecz zapewne należała do niego.

– Albo została zgubiona kiedy indziej przez kogoś innego – wytknął Lando. – Nadajniki produkowane przed wojnami klonów mogły działać w trybie gotowości przez sto lat.

– Nie. – Luke powoli pokręcił głową. – Ten nadajnik należał do niego. Jaskinia, w której go znalazłem, aż pulsuje od ciemnej strony Mocy. Myślę, że to tam zginął.

Przez chwilę wszyscy siedzieli w milczeniu. Leia uważnie przyglądał się bratu, wyczuwając nowe napięcie kotłujące się w jego głowie. Nabierała przekonania, że na Dagobah wydarzyło się coś jeszcze. Coś, co miało związek z niepokojem, który odczuwała w drodze na Nkllona…

Luke uniósł głowę, jakby nagle wyczuł przepływ myśli Lei.

– Rozmawialiśmy o kontaktach, jakie Lando ma wśród przemytników – zagaił, przekazując tym samym siostrze wyraźny komunikat: to nie pora, by o tym rozmawiać.

– Racja – szybko podjął Han, który najwyraźniej również pochwycił ukryte znaczenie jego słów. – Chciałbym wiedzieć, któremu spośród oficjalnie wiarygodnych przyjaciół można zaufać.

Lando wzruszył ramionami.

– Wszystko zależy od tego, w jakiej sprawie chcesz im zaufać.

Han spojrzał prosto na niego.

– W sprawie bezpieczeństwa i życia Lei.

W warknięciu Chewbakki, który siedział po drugiej stronie Hana, pojawił się przestrach. Lando otworzył szeroko usta.

– Nie mówisz chyba poważnie.

Han pokiwał głową, nie spuszczając wzroku z przyjaciela.

– Sam widziałeś, że czujemy oddech Imperium na karku. Musimy się gdzieś ukryć do chwili, gdy Ackbar ustali, gdzie jest przeciek. Leia musi jednak mieć łączność z Coruscant, a więc potrzebujemy się po cichu podłączyć do jakiejś placówki dyplomatycznej.

– Placówki dyplomatyczne korzystają z szyfrów – powiedział z ciężkim westchnieniem Lando. – Czyli żeby się po cichu podłączyć, będziecie potrzebować pomocy hakera.

– Hakera godnego zaufania.

Lando z sykiem wypuścił powietrze między zębami i powoli pokręcił głową.

– Przykro mi, Han, ale nie znam żadnego hakera, któremu mógłbym zaufać tak dalece!

– A znasz jakieś grupy przemytnicze, które miałyby hakera na swoich usługach? – nalegał Han.

– Oczywiście mówimy o ludziach godnych zaufania? – zastanowił się Lando. – Nie, niezbyt. Jedynym, który mógłby się ewentualnie nadawać, jest szef grupy przemytniczej Talon Karrde. Wszyscy mówią, że jest niezwykle uczciwy podczas prowadzenia interesów.

– Spotkałeś się z nim kiedyś? – spytał Luke.

– Raz. Odniosłem wrażenie, że jest człowiekiem zimnym i wyrachowanym, gotowym zrobić wiele dla zysku.

– Słyszałem o nim – rzekł Han. – Po prawdzie to od paru miesięcy próbuję się z nim skontaktować. Dravis… pamiętasz Dravisa? Powiedział mi, że ostatnio jego grupa przewyższa rozmiarami inne.

– Niewykluczone. – Lando wzruszył ramionami. – W przeciwieństwie do Jabby Karrde nie obnosi się ze swoim bogactwem i nie szczyci władzą. Nie wiem nawet, gdzie się znajduje jego baza, nie mówiąc już o tym, wobec kogo jest lojalny.

– O ile w ogóle stać go na lojalność – burknął Han. W jego oczach błysnęły dziesiątki bezowocnych wysiłków, jakie podejmował, by skontaktować się z grupami przemytniczymi, które wolały siedzieć okrakiem na politycznej barykadzie. – Znam wielu, którzy nie są do tego zdolni.

– Ryzyko zawodowe. – Lando potarł dłonią podbródek i zmarszczył czoło, zamyślony. – Serio, nie wiem, Han. Chętnie

przechowałbym was tutaj, ale nie jesteśmy w stanie odeprzeć naprawdę poważnego ataku.

Wbił wzrok w dal.

– Chyba że… Chyba że zrobimy coś naprawdę sprytnego.

– Na przykład?

– Na przykład możemy wziąć prom bądź kapsułę i zakopać ją – oznajmił Lando z błyskiem w oku. – Umieścimy ją tuż przy miejscu, gdzie padają promienie słońca o świcie, i po kilku godzinach osłaniałby was blask promieni. Imperium nigdy by was tam nie odnalazło, nie mówiąc już o dostaniu się do was.

Han pokręcił głową.

– Nazbyt ryzykowne. Jeśli pojawią się jakiekolwiek problemy, nikt nie będzie w stanie nas wyciągnąć.

Chewbacca złapał jego rękę i zawarczał cicho. Han odwrócił głowę ku niemu.

– To nie aż tak ryzykowne, jak się wydaje – powiedział Lando, który znów skupił uwagę na Lei. – Przygotujemy kapsułę tak, by nic jej nie groziło. Zabezpieczaliśmy w ten sposób delikatne instrumenty badawcze i udało się uniknąć jakichkolwiek uszkodzeń.

– Jak długo trwa obrót Nkllona wokół własnej osi? – spytała Leia.

Powarkiwanie Chewbakki stawało się coraz bardziej natarczywe, ale wciąż słyszał rozmowę wokół siebie.

– Trochę ponad dziewięćdziesiąt standardowych dni – poinformował ją Lando.

– Czyli nie mogłabym się skontaktować z Coruscant przez minimum czterdzieści pięć. Chyba że macie nadajnik, który działa po słonecznej stronie planety.

Lando pokręcił głową.

– Najlepszy z dostępnych usmażyłby się w kilka minut.

– W takiej sytuacji obawiam się, że…

Urwała, gdy siedzący obok niej Han odkaszlnął wymownie.

– Chewie ma sugestię – oznajmił. Miał mieszane uczucia, co przebijało z jego głosu i było widać na twarzy.

Wszyscy spojrzeli na drugiego pilota „Sokoła”.

– No i? – ponagliła go Leia. – Co ci przyszło do głowy?

Warga Hana drgnęła.

– Chewie mówi, że jeśli chcesz, zabierze cię na Kashyyyka.

Leia przeniosła spojrzenie na Chewbaccę. Zawładnęło nią osobliwie i nie do końca przyjemne uczucie.

– Odniosłam swego czasu wrażenie – powiedziała ostrożnie – że Wookiee raczej zniechęcają ludzi do odwiedzania ich świata.

Chewbacca wydawał się równie zmieszany jak Han, ale nawet się nie zająknął.

– Wookiee byli stosunkowo przyjaźni wobec ludzi, dopóki nie pojawiło się Imperium, które zaczęło ich niewolić – przetłumaczył Han. – Mimo to Chewie twierdzi, że udałoby się utrzymać wizytę w tajemnicy. Poza wami dwojgiem wiedziałby o niej jedynie przedstawiciel Nowej Republiki oraz kilku innych.

– Ha, i powracamy do sedna sprawy – rzekła Leia. – Wiedziałby o mnie przedstawiciel Nowej Republiki.

– Tak, ale byłby to Wookiee – zauważył Lando. – Jeśli przyjmie cię pod osobistą opiekę, nigdy cię nie zdradzi. Kropka.

Leia przyglądała się twarzy Hana.

– Pomysł wydaje się dobry – stwierdziła Leia. – Powiedz mi więc, co ci się w nim nie podoba.

Na szczęce Hana zadrżał jakiś mięsień.

– Kashyyyk to nie jest najbezpieczniejsze miejsce w galaktyce – wypalił. – Zwłaszcza dla nie-Wookieech! Będziesz żyć w koronach drzew, setki metrów nad ziemią…

– Będzie przy mnie Chewie – przypomniała mu stanowczo Leia, tłumiąc dreszcze. Sama również słyszała opowieści o zabójczej przyrodzie rodzimej planety Chewiego. – Przecież sam nieraz powierzałeś mu własne życie.

– Ale to co innego. – Han wzruszył niepewnie ramionami.

– No to jedź tam z nią – zaproponował Luke. – Leia będzie miała wtedy dwóch obrońców.

– Taa… – mruknął kwaśno Han. – Taki był mój zamiar, ale Chewie uważa, że zyskamy więcej czasu, jeśli się rozstanę z Leią. On zabierze ją na Kashyyyka, a ja będę latał na „Sokole” i udawał, że Leia nadal jest ze mną. Choć nie wiem jak.

– To ma sens. – Lando pokiwał głową.

Leia spojrzała na Luke'a i już chciała zaproponować, by to on udał się z nią, ale pytanie zamarło jej na ustach. Coś w spojrzeniu jej brata mówiło, by nawet go o to nie prosić.

– Damy sobie z Chewiem radę – powiedziała i uścisnęła dłoń Hana. – Nie martw się.

– A więc mamy plan – rzekł Lando. – Chewie, oczywiście możesz skorzystać z mojego statku. A zresztą – zamyślił się. – Jeśli potrzeba ci towarzystwa, Han, może wybiorę się z tobą.

Han wzruszył ramionami. Wszystko wskazywało na to, że plan nadal mu się nie podoba.

– Pewnie, jeśli tylko chcesz.

– Świetnie – rzekł Lando. – Sądzę, że powinniśmy opuścić Nkllona razem. Od kilku tygodni planuję poważne zakupy na innych planetach, a więc mam dobry powód, by wylecieć. Kiedy miniemy bazę statków-tarcz, Chewie i Leia przejmą mój statek i nikt się nie zorientuje.

– A wtedy Han prześle kilka wiadomości na Coruscant, udając, że Leia jest na pokładzie? – spytał Luke.

Lando uśmiechnął się przebiegle.

– Myślę, że stać nas na nieco więcej. Nadal macie ze sobą Threepio?

– Pomaga Artoo w testach sprawności technicznej „Sokoła" – odparła Leia. – A czemu pytasz?

– Wkrótce się przekonasz – rzekł Lando i wstał. – Mój pomysł zabierze nam nieco czasu, ale myślę, że warto spróbować. Chodźcie. Pora na rozmowę z moim głównym programistą.

Główny programista Lando Calrissiana okazał się niewielkim człowiekiem o rozmarzonych, niebieskich oczach. Golił głowę po bokach, pozostawiając jedynie pasmo włosów na środku, które niczym szara tęcza ciągnęło się znad brwi aż po szyję. Z tyłu głowy widać też było lśniący implant. Luke słuchał, jak Lando wyłuszcza mu swój zamysł, a gdy się przekonał, że wszystko pójdzie zgodnie z planem Calrissiana, wymknął się do przydzielonej mu kwatery.

Leia, która weszła tam godzinę później, zastała go ślęczącego nad niekończącymi się mapami gwiezdnymi.

– O, tu jesteś – powiedziała i zerknęła na wyświetlone mapy. – Już zaczęliśmy się zastanawiać, co się z tobą stało.

– Chciałem sprawdzić kilka rzeczy – odparł Luke. – Już skończyliście?

– Przynajmniej mój udział dobiegł końca. – Leia przysunęła sobie krzesło i usiadła. – Teraz dopracowują program, po czym nadejdzie pora na Threepio.

Luke pokręcił głową.

– Mam wrażenie, że to wszystko powinno być prostsze.

– Och, podstawowa technika w istocie nie jest skomplikowana – zgodziła się z nim Leia. – Wygląda na to, że prawdziwe trudności zaczną się w chwili, gdy rozpocznie się wgrywanie nagranych partii do pamięci Threepio. Należy jakoś prześlizgnąć się obok programów nadzorujących tak, by nie uszkodzić jego osobowości. — Znów spojrzała na ekran. – Chciałam cię spytać, czy sam nie chciałbyś udać się na Kashyyyka – powiedziała, siląc się na swobodny ton – ale wygląda na to, że masz inne plany.

– Ja nie chcę od ciebie uciec, Leio. – Luke się skrzywił. Miał nadzieję, że jego słowa zabrzmią przekonująco. – Naprawdę, uwierz mi. Po prostu to, czym chcę się zająć, będzie miało w dłuższej perspektywie o wiele większe znaczenie dla ciebie i bliźniaków niż mój pobyt na Kashyyyku.

– W porządku – rzekła Leia, ze spokojem przyjmując jego oświadczenie. – A możesz przynajmniej powiedzieć mi, dokąd się wybierasz?

– Jeszcze nie wiem – przyznał Luke. – Muszę znaleźć pewnego człowieka, ale nawet nie wiem, gdzie rozpocząć poszukiwania.

Zawahał się, uświadomiwszy sobie nagle, że jego słowa zabrzmią dziwnie.

„Ba, to przecież zupełne wariactwo – pomyślał. – Ale kiedyś i tak będę musiał im o wszystkim powiedzieć”.

– Ten człowiek to Jedi.

– Nie mówisz poważnie. – Leia wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami.

– A niby czemu? – Luke zmarszczył brwi. Nie rozumiał tego do końca, ale jej reakcja wydała mu się niestosowna. – Przecież to wielka galaktyka.

– Ale rzekomo miałeś w niej być ostatnim Jedi! – sprzeciwiła się Leia. – Czyż nie to usłyszałeś od Yody przed śmiercią?

– Tak – przytaknął. – Ale zaczynam się zastanawiać, czy Yoda się nie mylił.

Leia uniosła brwi.

– Mistrz Jedi miałby się mylić?

Przez umysł Luke'a przemknęło wspomnienie Obi-Wana, który objawił mu się jako duch pośród bagien Dagobah i próbował wytłumaczyć mu to, co z początku sądził o Vaderze.

– To, co mówią Jedi, czasem wprowadza nas w błąd – powiedział siostrze. – Ponadto nawet mistrzowie Jedi nie są nieomylni.

Urwał i wbił wzrok w siostrę, zastanawiając się, ile jej może powiedzieć. Wciąż byli daleko od pokonania Imperium, a życie tego tajemniczego Jedi mogło zależeć od jego dyskrecji. Leia czekała w milczeniu, a na jej twarzy malowała się troska.

– Będziesz musiała zachować to dla siebie – powiedział w końcu Luke. Tylko dla siebie. Nie mów nawet Hanowi czy Lando, chyba że stanie się to absolutnie konieczne. Nie są tak odporni na przesłuchania jak ty.

Ciałem Lei wstrząsnął dreszcz, ale w jej oczach nadal widać było skupienie.

– Rozumiem – odparła spokojnym głosem.

– W porządku. Czy kiedykolwiek zastanawiałaś się, w jaki sposób mistrz Yoda zdołał ukrywać się przez tyle lat przed Imperatorem i Vaderem?

Leia wzruszyła ramionami.

– Wydawało mi się, że nie wiedzieli w ogóle o jego istnieniu.

– Tak, ale powinni o nim wiedzieć – rzekł Luke. – Przecież wiedzieli o mnie, prawda? Wyczuwali moją Moc. Czemu więc nie wiedzieli o Yodzie?

– Może wykształcił jakąś blokadę umysłową, która maskowała jego Moc?

– Może. Ale mnie się wydaje, że nie odkryto go ze względu na miejsce, które sobie wybrał do życia. Lub raczej – poprawił sam siebie – gdzie go życie pchnęło.

Przez usta Lei przemknął lekki uśmiech.

– Czy właśnie nadchodzi chwila, w której się dowiem, gdzie się znajdowało to twoje tajne centrum szkoleniowe?

– Nie chcę, by dowiedział się o tym ktokolwiek inny – rzekł Luke, który nagle poczuł w sobie osobliwy, niewytłumaczalny impuls, by usprawiedliwić swoją decyzję. – Yoda ukrył się po mistrzowsku, ale nawet po jego śmierci bałem się, że Imperium będzie w stanie zrobić coś… – Urwał. – Tak czy owak, to chyba nie ma już większego znaczenia. Dom Yody znajdował się na Dagobah, wręcz kilka kroków od ciemnej jaskini, w której znalazłem ten nadajnik.

Leia otworzyła szerzej oczy ze zdumienia, które natychmiast przygasło, gdy uświadomiła sobie prawdę.

– Dagobah – szepnęła i pokiwała głową, jakby właśnie rozwiązała dręczący ją od dawna problem. – A zawsze się zastanawiałam, jak pokonano tego Mrocznego Jedi. To pewnie Yoda…

– …go powstrzymał – dokończył za nią Luke. Po jego plecach przeszedł dreszcz. Jego własne starcia z Darthem Vaderem były ciężkim przeżyciem, ale pojedynek na Moc między dwoma mistrzami Jedi musiał być przerażającym spektaklem. – I zapewne nie miał wiele czasu, by go pokonać.

– Nadajnik był już w trybie gotowości – przypomniała sobie Leia. – A więc ten Mroczny Jedi przygotowywał się właśnie do wezwania swojego statku.

Luke pokiwał głową.

– Wszystko to wyjaśnia, dlaczego jaskinia aż tętni od ciemnej strony Mocy. Nie tłumaczy jednak, dlaczego Yoda postanowił tam zostać.

Urwał i przyglądał się siostrze uważnie, aż nagle olśniło ich oboje.

– To jaskinia go osłaniała! – szepnęła Leia. – Zupełnie jak dodatni i ujemny ładunek elektryczny, które zbliżą się do siebie! Ktoś, kto przygląda się im z dala, uzna, że nie ma tam niczego.

– Tak, zgadza się – znów przytaknął Luke. – A skoro mistrz Yoda w ten sposób ukrył swoją obecność, nie widzę powodu, dla którego

inny Jedi nie miałby posłużyć się tą samą sztuczką.

– Jestem przekonana, że inny Jedi mógłby coś takiego zrobić – zgodziła się niechętnie Leia. – Ale nie sądzę, by plotki o tym C'baocie były na tyle wiarygodne, by je sprawdzać.

– Jakie plotki? – Luke zmarszczył czoło. – O jakim C'baocie?

Tym razem to Leia ściągnęła brwi.

– Pojawiły się pogłoski o mistrzu Jedi nazywającym się Jorus C'baoth, który ujawnił się po kilku dekadach życia w ukryciu. – Wbiła wzrok w brata. – Nic o tym nie słyszałeś?

– Nie. – Luke pokręcił głową.

– Ale wciąż nie wiem, jak…

– Ktoś mnie wezwał, Leio, podczas starcia dziś po południu. W umyśle. Tak jak zrobiłby to inny Jedi.

Przez dłuższą chwilę wpatrywali się w siebie.

– Nie wierzę w to – stwierdziła Leia. – Po prostu w to nie wierzę. Gdzie ktoś z taką potęgą jak ten C'baoth miałby się ukrywać przez tyle czasu? I po co?

– Nie wiem, po co – przyznał Luke. – Ale jeśli chodzi o miejsce… – Ruchem głowy wskazał ekrany. – Tego właśnie szukam. Miejsca, gdzie mógł kiedyś zginąć Mroczny Jedi.

Znów spojrzał na Leię.

– Czy wspomniane przez ciebie plotki mówią, gdzie ten C'baoth miał niby mieszkać?

– To może być pułapka zastawiona przez Imperium! – ostrzegła go Leia niespodziewanie ochrypłym głosem. – Ten ktoś, kto cię przyzywał, mógł równie dobrze być Mrocznym Jedi, takim jak Vader, a te plotki rozpuszczono tylko po to, by cię zwabić. Nie zapomnij, że Yoda nie liczył tych, których przyciągnęła ciemna strona Mocy. W chwili, gdy powiedział, że jesteś ostatnim Jedi, żyli zarówno Vader, jak i Imperator.

– To całkiem prawdopodobne – przyznał Luke. – Równie możliwe, że to tylko przeinaczona, rozdęta plotka. Ale jeśli jest inaczej…

Niedokończone zdanie Luke'a zawisło między nimi. Młodzieniec widział niepewność na twarzy siostry i wyczuwał ją w jej umyśle, przetkaną lękiem o jego bezpieczeństwo. Mimo to Leia na jego

oczach zapanowała nad obiema emocjami. W tych aspektach ich szkolenia robiła szybkie postępy.

– Przebywa na Jomark – powiedziała w końcu cichym głosem. – Przynajmniej jeśli wierzyć pogłoskom, którymi podzielił się z nami Wedge.

Luke odwrócił się w stronę ekranu i wywołał informacje o Jomark. Niewiele ich było.

– Słabo zaludniona – rzekł, czytając statystyki i przyglądając się nielicznym mapom. – Niewiele więcej ponad trzy miliony ludzi, a przynajmniej tak było w czasach, gdy zebrano te dane – dodał, szukając daty publikacji. – Cóż, nie wygląda na to, by planeta przyciągnęła uwagę przez ostatnich piętnaście lat.

Przeniósł wzrok na Leię.

– Idealne miejsce dla Jedi, który chciałby się ukryć przed Imperium.

– Ruszasz bezzwłocznie?

Luke odtrącił odpowiedź, która sama się narzucała.

– Nie – wyrzucił z siebie. – Zaczekam, aż ty i Chewie będziecie gotowi do drogi. Będę mógł wylecieć wraz z waszym statkiem-tarczą. Przynajmniej będę cię strzegł choć przez chwilę.

– Dzięki. – Leia nabrała tchu i powstała. – Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

– Ja też – rzekł szczerze Luke. – Ale bez względu na to, czy to dobra decyzja, czy też zła, muszę spróbować. Nie ma innej możliwości.

Lei zadrżały usta.

– I chyba to jedna z tych rzeczy, do których będę musiała się przyzwyczaić. Do tego, że Moc będzie mnie zmuszać do najróżniejszych kroków.

– Nie przejmuj się tym – poradził jej Luke, który podniósł się i wyłączył ekran. – Nie wszystko dzieje się jednocześnie. Będziesz miała czas, by się przyzwyczaić. Chodźmy, ciekaw jestem, co u Threepio.

– Wreszcie! – wykrzyknął C-3PO i zamachał ramionami z rozpaczliwą ulgą, gdy Luke i Leia weszli do pomieszczenia. – Panie Luke! Proszę, proszę powiedzieć generałowi Calrissianowi, że to, co sobie umyślił, jest poważną ingerencją w moje podstawowe oprogramowanie.

– Nic ci się nie stanie, Threepio – uspokoił go Luke, podchodząc do niego. W pierwszej chwili miał wrażenie, że droid po prostu siedzi, ale gdy znalazł się bliżej, ujrzał plątaninę kabli, która łączyła tył jego głowy oraz plecy ze stojącym za nim komputerem. – Lando i jego ludzie będą mieli baczenie na to, by nic ci się nie stało.

Zerknął na Lando, który skinął głową na potwierdzenie.

– Ale panie Luke!

– Tak naprawdę, Threepio – wtrącił Lando – mógłbyś to potraktować jako uzupełnienie twojego podstawowego oprogramowania. Dobrze się zastanów. Czy droid tłumaczący nie powinien odzywać się głosem osoby, dla której tłumaczy?

– Jestem droidem protokolarnym! – odezwał się C-3PO najchłodniej, jak umiał. – I powtórzę, że podobne zabiegi nie są przewidziane w żadnym istniejącym protokole.

Informatyk z implantem spojrzał znad panelu i skinął.

– Jesteśmy gotowi – oświadczył Lando i dotknął przycisku. – Jeszcze chwila… W porządku. Powiedz coś, Threepio.

– Och, rety – rzekł droid.

Jego głos niczym się nie różnił od głosu Lei.

R2-D2, stojący po drugiej stronie pomieszczenia, zaćwierkał cicho.

– Proszę. – Lando wydawał się bardzo zadowolony z siebie. Spojrzał na Leię i dodał: – Perfekcyjny wabik, by ochronić perfekcyjną damę.

– Czuję się doprawdy osobliwie – oświadczył C-3PO, nadal przemawiając głosem Lei, choć tym razem wydawał się zadumany.

– Brzmi dobrze – Han spojrzał na pozostałych. – Gotowi do wylotu?

– Daj mi jeszcze godzinę – rzekł Lando, ruszając w stronę drzwi. – Muszę wprowadzić ostatnie instrukcje dla moich zespołów. Zresztą nasz statek-tarcza będzie również potrzebował chwili, by tu dotrzeć.

– Spotkamy się na pokładzie! – zawołał w ślad za nim Han. Podszedł do Lei i wziął ją za rękę. – Chodź, wracajmy już lepiej na „Sokoła”.

Leia położyła dłoń na jego ręce i uśmiechnęła się, by dodać mu odwagi.

– Wszystko będzie dobrze, Han. Chewie i pozostali Wookiee zajmą się mną.

– Niechby spróbowali zawalić sprawę – warknął Han i zerknął na programistę, który odpinał ostatnie kable łączące droida z konsolą. – Threepio, pora na nas. Umieram z ciekawości, co powie Chewie, jak usłyszy twój nowy głos.

– O rety – wymamrotał droid. – O rety…

Skierowali się ku drzwiom. Leia pokręciła głową.

– Czy ja naprawdę tak mówię? – spytała.

Rozdział 15

Han był przekonany, że podczas długiej podróży pod osłoną statku-tarczy zostaną zaatakowani przez Imperium, ale jego przeczucie choć raz go zawiodło. Trzy statki kosmiczne dotarły do bazy tarcz bez żadnego incydentu, a potem wykonały krótki skok w nadprzestrzeń, by przenieść się na jeszcze dalsze obrzeża układu Athega. Tam Chewbacca i Leia zastąpili Lando na pokładzie jego luksusowego statku, noszącego nazwę „Ślicznotka", i ruszyli na Kashyyyka. Luke odczekał, aż bezpiecznie odlecą, po czym odłączył własnego myśliwca i udał się w nieznanym kierunku, nie tłumacząc nikomu celu swojej podróży.

Han zaś został na „Sokole" w towarzystwie Lando i C-3PO.

– Nic jej nie będzie – zapewnił go Lando, który wprowadzał dane do komputera nawigacyjnego z fotela drugiego pilota. – Trudno sobie wyobrazić bezpieczniejsze rozwiązanie. Nie martw się.

Han nie bez trudu odwrócił głowę od iluminatora. Zresztą i tak nie miał na co patrzeć, bo „Ślicznotka" już dawno znikła.

– Właśnie mi się przypomniało, że powiedziałeś niemalże to samo na Boordii – oznajmił kwaśno. – Wiesz, kiedy mieliśmy przewieźć ten transport dolfrimii, ale wszystko poszło nie tak. Pamiętasz? Też mówiłeś: wyluzuj, damy radę, nie ma co się martwić.

Lando zachichotał.

– Tak, ale teraz naprawdę tak myślę.

– Dobrze wiedzieć. Dobra, to co zaplanowałeś w ramach rozrywki?

– Cóż, po pierwsze, musimy poprosić Threepio, by wysłał wiadomość na Coruscant – rzekł Lando. – Jeśli podsłuchuje nas Imperium, muszą odnieść wrażenie, że Leia jest na pokładzie. Potem odwiedzimy kilka innych systemów i znów wyślemy wiadomość, a następnie – spojrzał z ukosa na Hana – wybierzemy się na małe zwiedzanie.

– Zwiedzanie? – powtórzył podejrzliwie Han.

Lando spoglądał na niego z absolutną niewinnością, co zdarzało się jedynie wtedy, gdy próbował kogoś w coś wkręcić.

– Ach, już rozumiem. Chcesz, byśmy przemierzyli całą galaktykę w poszukiwaniu nowych kretowiertów.

– Han! – zawołał Lando urażonym tonem. – Myślisz, że upadłem tak nisko, że będę próbował wkręcić cię w pomoc w prowadzeniu interesów?

– Och, wybacz. – Han próbował ukryć sarkazm. – Zupełnie zapomniałem, że jesteś już szanowanym biznesmenem. A więc co będziemy zwiedzać?

– Cóż… – Lando rozparł się w fotelu i splótł dłonie z tyłu głowy. – Wspomniałeś dziś, że nie byłeś w stanie skontaktować się z Talonem Karrde. Uznałem, że być może warto raz jeszcze spróbować.

– Poważnie mówisz? – Han ściągnął brwi.

– A czemu nie? Szukasz statków handlowych oraz dobrego hakera. Karrde jest w stanie zapewnić i jedno, i drugie.

– Haker już mi nie jest potrzebny, bo Leia… Jak to ująłeś? Trudno sobie wyobrazić bezpieczniejsze rozwiązanie.

– Jasne. Dopóki ktoś nie rozpuści plotki, że ona jest na Kashyyyku. Nie sądzę, by zrobił to któryś z Wookieech, ale Kashyyyk bez przerwy odwiedzają handlarze z innych ras i planet. Wystarczy, by zauważyła ją jedna osoba, a wrócimy do punktu wyjścia – wyjaśnił Lando, po czym uniósł brew. – A poza tym Karrde może coś wiedzieć o tym tajemniczym dowódcy Imperium, który ostatnio się za wami ugania.

„Który ponadto jest niemalże na pewno odpowiedzialny za zamachy na Leię” – pomyślał Han.

– Wiesz, jak się skontaktować z Karrde? – spytał.

– Nie bezpośrednio z nim, ale wiem, jak się porozumieć z jego ludźmi. Myślę też, że dopóki mamy ze sobą Threepio i jego miliony języków, powinniśmy działać i nawiązać tyle kontaktów, ile się da.

– To potrwa.

– Nie tak długo, jak myślisz – zapewnił go Lando. – Poza tym w ten sposób dobrze ukryjemy swoje ślady.

Han się skrzywił, ale wiedział, że Lando ma rację. W końcu dopóki Leia była bezpiecznie ukryta, przynajmniej na jakiś czas,

mogli sobie pozwolić na rozważne działanie.

– Dobra – zadecydował. – Pod warunkiem że nie skończy się to zabawą w chowanego z gwiezdnym niszczycielem.

– Jasne – rzekł trzeźwo Lando. – Przecież nie chcemy, by Imperium wpadło na trop Karrde. Mamy już dość wrogów.

Włączył interkom pokładowy.

– Jesteś tam, Threepio?

– Oczywiście – odpowiedział droid głosem Lei.

– No to chodź tu – nakazał Lando. – Pora na twój debiut.

Tym razem pokój dowodzenia wypełniły nie obrazy, ale rzeźby. Dziesiątki bądź nawet setki zajmowały holograficzne nisze w ścianach, inne stały na zbytkownych piedestałach albo po prostu na podłodze. Ich różnorodność, co bynajmniej już Pellaeona nie dziwiło, była wprost oszałamiająca – widział dzieła z drewna lub kamienia, które wyszły spod rąk ludzi, jak i majstersztyki, które wydawały się bardziej żywymi istotami niż czyjąkolwiek pracą. Każdą rzeźbę opromieniała kula miękkiego światła, której blask budował ostry kontrast z mrokiem między dziełami.

– Admirale? – zawołał niepewnie Pellaeon, próbując odnaleźć swojego przełożonego w mozaice cieni i świateł.

– Proszę podejść, kapitanie – rozległ się spokojny, stonowany głos Thrawna. Pellaeon dostrzegł wtedy mętną biel jego munduru w fotelu dowodzenia, nad którym pojawiły się dwie czerwone szparki. – Ma pan coś?

– Tak, sir – rzekł Pellaeon. Podszedł do kręgu konsol i wręczył Thrawnowi datapad. – Jedna z naszych sond na skraju układu Athega zauważyła Skywalkera. Co więcej, nie tylko jego samego, ale również jego towarzyszy.

– Oraz jego towarzyszy – powtórzył zamyślony Thrawn. Połączył datapad z komputerem i przez chwilę oglądał w milczeniu nagranie. – Interesujące – mruknął. – Doprawdy interesujące. A co to za statek, który podłączył się do górnego luku „Sokoła”?

– Wstępnie zidentyfikowaliśmy go jako „Ślicznotkę” – odparł kapitan Pellaeon. – Osobisty statek Lando Calrissiana. Któraś z sond

przechwyciła transmisję, z której wynika, że Calrissian opuścił Nkllona, by dokonać większych zakupów w innych systemach.

– Czy mamy pewność, że Calrissian w istocie wszedł na pokład?

– Cóż, pewności nie ma, ale próbujemy to potwierdzić.

– Nie jest to konieczne – rzekł Thrawn. – Nasi przeciwnicy najwyraźniej nie zniżają się już do poziomu tak dziecinnych sztuczek.

Skupił uwagę na nagraniu, na którym „Sokół" oraz „Ślicznotka" zostały połączone.

– Niech się pan przyjrzy ich strategii, kapitanie. Kapitan Solo oraz jego żona i przypuszczalnie ten Wookiee Chewbacca wchodzą na „Sokoła" na Nkllonie, a Calrissian wyrusza na własnym statku. Docierają na skraj układu Athega, a tam wymieniają się jednostkami.

– Ale my… – Pellaeon zmarszczył brwi.

– Proszę o ciszę – rzekł ostro Thrawn i podniósł palec, wpatrzony w ekran. Pellaeon umilkł i również wbił w niego wzrok, ale nie wydarzyło się absolutnie nic. Po chwili oba statki ostrożnie oddzieliły się od siebie.

– Doskonale – powiedział Thrawn i zatrzymał film. – Cztery minuty pięćdziesiąt trzy sekundy. Spieszą się, czemu nie można się dziwić, bo połączone ze sobą statki są zazwyczaj bezbronne. Oznacza to… – Zmarszczył czoło, skupiony. – Troje ludzi – oznajmił, a w jego głosie pojawiła się satysfakcja. – Troje ludzie przemieściło się między jednostkami.

– Tak jest, sir – przytaknął Pellaeon, zastanawiając się, jak, na Imperium, wielki admirał Thrawn doszedł do tego wniosku. – Mamy jednakże pewność, że Leia Organa Solo pozostała na pokładzie „Sokoła".

– Doprawdy? – spytał Thrawn z leniwą uprzejmością. – Czyżby?

– Wydaje mi się, że tak, sir – rzekł z przekonaniem Pellaeon. Przecież wielki admirał nie widział całej transmisji. – Niedługo po odlocie „Ślicznotki" oraz X-winga Skywalkera przechwyciliśmy meldunek z „Sokoła".

Thrawn pokręcił głową.

– Nagranie – oznajmił tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Nie, są o wiele sprytniejsi. A więc zapewne wykorzystali droida naśladującego inne głosy. Postawiłbym na Threepio Skywalkera. Leia Organa Solo była bowiem jedną z dwóch osób, które odleciały na „Ślicznotce”.

Pellaeon spojrzał na ekran.

– Nie rozumiem – przyznał.

– Niech pan przemyśli możliwości. – Thrawn rozparł się w fotelu i splótł przed sobą dłonie. – Trzy osoby rozpoczynają podróż na „Sokole Millennium”. Potem trzy osoby przechodzą z jednostki na jednostkę. Ani Solo, ani Calrissian nie należą do ludzi, którzy przekazaliby dowodzenie komputerowi czy droidowi, a więc na każdym statku musiała pozostać przynajmniej jedna osoba.

– Tak, sir – rzekł Pellaeon. – Ale nie mówi nam to, kto gdzie się znalazł.

– Cierpliwości, kapitanie – przerwał mu Thrawn. – Cierpliwości. Jak sam pan widzi, prawdziwą zagadką jest ostateczny kształt obu załóg. Na szczęście, skoro już wiemy, kto przeszedł ze statku na statek, istnieją tylko dwie możliwe kombinacje. Na pokładzie „Ślicznotki” mogą być albo Solo z żoną, albo Organa Solo z Wookieem.

– Chyba że jednym z przesiadających się był droid – wytknął Pellaeon.

– Mało prawdopodobne. – Thrawn pokręcił głową. – Dane, które zebraliśmy na temat Solo, mówią, że nigdy nie przepadał za droidami i nigdy też nie wpuszczał ich na swój pokład, chyba że w wyjątkowych sytuacjach. Droid Skywalkera oraz jego astromech wydają się jedynymi wyjątkami, a dzięki pańskiej transmisji danych wiemy już, że droid pozostał na „Sokole Millennium”.

– Tak jest, sir – rzekł Pellaeon. Nie był w pełni przekonany, ale wiedział już, że z Thrawnem lepiej się nie wykłócać. – Czy mam umieścić „Ślicznotkę” na liście poszukiwanych przez nas jednostek?

– To nie będzie konieczne. – Tym razem Thrawn nawet nie próbował ukryć satysfakcji. – Wiem dokładnie, dokąd zmierza Organa Solo.

Pellaeon wbił wzrok w zwierzchnika.

– Nie mówi pan chyba poważnie, sir.

– Najzupełniej poważnie – odparł spokojnym głosem admirał. – Proszę się zastanowić. Solo bądź Organa Solo nic nie zyskują dzięki przesiadce na „Ślicznotkę”, bo „Sokół Millennium” jest o wiele szybszy i lepiej uzbrojony. Jedynym logicznym wyjaśnieniem jest więc to, że Organa Solo przesiadła się wraz z Wookieem.

Thrawn uśmiechnął się do Pellaeona.

– A w tej sytuacji istnieje tylko jedno miejsce, w które mogliby się udać.

Kapitan spojrzał na ekran. Miał zamęt w głowie, ale logika admirała zaprowadziła porządek wśród jego myśli.

– Kashyyyk?

– Kashyyyk – potwierdził Thrawn. – Nasi przeciwnicy dobrze wiedzą, że nie mogą wiecznie uciekać przed naszymi Noghri, a więc postanowili otoczyć się Wookieemi. Nie mam pojęcia, co by im to miało dać.

Pellaeon miał wrażenie, że drga mu warga. Należał do załóg okrętów wysyłanych na Kashyyyka, by łapać Wookieech dla imperialnych handlarzy niewolników.

– Nie sądzę, by było to aż takie proste, admirale – ostrzegł. – Środowisko naturalne Kashyyyka najlepiej można podsumować określeniem wielopoziomowej, śmiertelnie groźnej pułapki, a sami Wookiee są znakomitymi wojownikami.

– Podobnie jak Noghri – odparł chłodno Thrawn. – Pozostaje jeszcze jeden temat. Co ze Skywalkerem?

– Wektor jego podróży zgadzał się z naszą symulacją drogi na Jomarka – powiadomił go Pellaeon. – Niemniej jednak mógł zmienić kierunek po wyjściu poza zasięg naszych sond.

– Nie, leci prosto na Jomarka – rzekł Thrawn i uśmiechnął się lekko, wręcz skąpo. – Przecież tak rzekł nasz mistrz Jedi, nieprawdaż? — Spojrzał na zegar i dodał: – Natychmiast ruszamy na Jomarka. Na jaką przewagę możemy liczyć?

– Przynajmniej cztery dni, o ile myśliwiec Skywalkera nie został zmodyfikowany. Poza tym nie wiadomo, ile postojów zrobi po drodze.

– Nie będzie żadnych postojów – stwierdził wielki admirał. – Jedi mają w zwyczaju przenosić się w stan hibernacji podczas długich podróży. Na nasze potrzeby przewaga czterech dni jednakże wystarczy w zupełności.

Wyprostował się w swoim fotelu i dotknął jednego z przycisków. Holograficzne dzieła sztuki natychmiast zgasły, a w ich miejsce zapaliły się światła centrali dowodzenia.

– Będziemy potrzebowali jeszcze dwóch okrętów – rzekł Thrawn. – Krążownika przechwytującego, który wyciągnie Skywalkera z hiperprzestrzeni tam, gdzie będziemy tego chcieli, oraz jakiegoś frachtowca. Najlepiej takiego, po którym nikt nie będzie płakał.

– Po którym nikt nie będzie płakał, sir? – Pellaeon zamrugał.

– Otóż to, kapitanie. Potrzeba nam statku, który można poświęcić, gdyż upozorujemy pojmanie Skywalkera na czysty przypadek. Chcę, by myślano, że szansa na złapanie X-winga pojawiła się nieoczekiwanie w chwili, gdy zatrzymaliśmy podejrzany frachtowiec, przypuszczalnie przewożący zapasy wojskowe dla Rebelii. — Uniósł brew i wyjaśnił: – W ten oto sposób będziemy nadal mieli możliwość przekazania go C'baothowi, jeśli się na to zdecydujemy, i nawet sam Skywalker nie zorientuje się, że tak naprawdę wpadł w pułapkę.

– Rozumiem, sir – rzekł Pellaeon. – Za pańskim pozwoleniem przygotuję „Chimaerę" do drogi.

Odwrócił się i…

I zamarł.

Jedna z rzeźb nie zniknęła bowiem wraz z innymi. Samotna, wciąż opromieniana swoją kulą światła, powoli wiła się na piedestale niczym osobliwy ocean.

– Tak – rzekł Thrawn za jego plecami. – Ta jest autentyczna.

– Bardzo… bardzo interesująca – wykrztusił Pellaeon.

Ruchy rzeźby wydawały się hipnotyczne.

– Prawda? – W głosie Thrawna pojawił się niemalże smutek. – Patrzy pan na świadectwo pewnej porażki, którą poniosłem na skraju galaktyki. Była to jedyna jak dotąd sytuacja, w której analiza sztuki danej rasy nie pozwoliła mi zrozumieć jej mentalności,

a przynajmniej nie wtedy. Teraz jednakże wydaje mi się, że zaczynam ją pojmować.

– Jestem przekonany, że okaże się to przydatne w przyszłości – rzekł dyplomatycznie Pellaeon.

– Wątpię – odparł Thrawn tym samym tęsknym, smutnym głosem. – Skończyło się tym, że zniszczyłem ich świat.

Pellaeon przełknął ślinę.

– Tak jest, sir – rzekł i ponownie ruszył ku drzwiom.

Grymas na jego twarzy, gdy mijał rzeźbę, był ledwie zauważalny.

Rozdział 16

W stanie hibernacji, w jaki wprawiali się Jedi, nie było ani snów, ani świadomości otaczającego świata. Stan ten przypominał bardzo śpiączkę, choć pojawiła się interesująca anomalia. Mimo że Luke nie był świadom zewnętrznego świata, w jakiś sposób rejestrował upływający czas. Nie rozumiał tej umiejętności, ale nauczył się już robić z niej użytek.

Właśnie dzięki niej oraz przeraźliwemu szczebiotowi R2-D2, rozbrzmiewającemu gdzieś w zamglonej pustce, uświadomił sobie, że coś jest nie tak.

– W porządku, Artoo, już nie śpię – zapewnił droida, powoli odzyskując świadomość.

Zamrugał wciąż klejącymi się oczami, potrząsnął głową i pospiesznie przyjrzał się instrumentom. Od razu zorientował się, że ten osobliwy zmysł rejestrujący upływ czasu się nie pomylił. Jego X-wing wyszedł z hiperprzestrzeni jakieś dwadzieścia lat świetlnych przed Jomark. Sensor dystansu wykazał obecność dwóch jednostek niemalże przed nim i trzeciej czekającej w pewnej odległości. Wciąż mrugając, uniósł głowę, by się rozejrzeć.

Wtedy adrenalina uderzyła mu do głowy i rozbudził się ostatecznie. Przed sobą widział lekki frachtowiec z ostrzelanym kadłubem. Poskręcane, częściowo zdezintegrowane płyty kadłuba odsłaniały potężny ładunek. Za nim widniała burta gwiezdnego niszczyciela Imperium, ogromna niczym mroczny klif.

„Gniew, strach, agresja – ciemną stroną Mocy one są”.

Z niemałym trudem Luke odepchnął lęk. Frachtowiec znajdował się między nim a niszczycielem. Jego załoga, skupiona na większej zdobyczy, mogła wręcz nie zauważyć jego przybycia.

– Wynośmy się stąd, Artoo – rzucił, przechodząc na sterowanie ręczne i obracając X-winga, aż dźwignia napędzająca stery zajęczała w proteście.

– Do niezidentyfikowanego myśliwca! – Z głośnika dobiegł ochrypły głos. – Tu „Chimaera”, gwiezdny niszczyciel Imperium. Przekaż swój kod identyfikacyjny i przedstaw powód swojego przybycia.

Czyli nie było już co się łudzić, że zdoła umknąć niespostrzeżenie. Luke zorientował się, co wyrwało X-winga z nadprzestrzeni – trzecią jednostką był krążownik przechwytujący, ulubione narzędzie Imperium, dzięki któremu uniemożliwiano wrogom przeskok w nadprzestrzeń. Wyglądało na to, że zaczaili się na frachtowiec, a on po prostu miał pecha i przemknął przez cień masy krążownika, co wyrwało go z dotychczasowej prędkości.

Frachtowiec. Luke zamknął na moment oczy, koncentrując się. Sięgnął po Moc, by ustalić, czy to jednostka Republiki, neutralna, czy może pirat zatrzymany przez „Chimaerę”. Na jego pokładzie nie wyczuł jednakże żadnych śladów życia. Załoga musiała uciec bądź w całości trafiła do niewoli.

Tak czy owak, Luke nie mógł już nikomu pomóc.

– Artoo, znajdź najbliższą krawędź fali grawitacyjnej emitowanej przez ten krążownik – rzucił i naparł na stery.

Myśliwiec runął w dół tak gwałtownie, że Luke’owi żołądek podszedł do gardła, a kompensator przyspieszenia nie mógł nadążyć za manewrem. Gdyby udało mu się jeszcze chwilę skryć za frachtowcem, być może zdołałby się wymknąć, nim niszczyciel pochwyciłby go wiązką ściągającą.

– Do niezidentyfikowanego myśliwca! – W ochrypłym głosie pojawił się gniew. – Powtarzam! Przekaż swój kod lub zostaniesz zatrzymany!

– Szkoda, że nie wziąłem jednego z fałszywych kodów Hana – mruknął Luke. – Artoo? Gdzie się kończy oddziaływanie tego pola?

Droid pisnął, a na ekranie pojawił się wykres.

– Tak daleko? – mruknął Luke. – Cóż, nie mam wyboru. Trzeba podjąć próbę. Trzymaj się!

– Do niezidentyfikowanego myśliwca…

Resztę słów pochłonął ryk napędu myśliwca, gdy Luke zdecydowanie wyzwolił pełną moc. Ledwie usłyszał świergot protestującego R2-D2.

– Nie, wyłącz osłony! – odkrzyknął. – Potrzebujemy działać najszybciej jak się da!

Nie dodał, że gdyby dowódca gwiezdnego niszczyciela postanowił ich zniszczyć, osłona nie na wiele by się zdała, a już na pewno nie z takiej odległości. Niemniej R2-D2 zapewne sam to wiedział.

Na razie zamysły Imperium wydawały się niejasne. Jak dotąd nie próbowali go zniszczyć, ale nie mieli też zamiaru go wypuścić. Na ekranie wyświetlającym to, co się działo z tyłu, widział, jak niszczyciel przemieszcza się nad frachtowcem, by ten nie przeszkadzał mu w kolejnych akcjach.

Luke zerknął na pomiar odległości. W dalszym ciągu znajdował się w zasięgu wiązki ściągającej i wiedział, że przy tej prędkości nie uwolni się od niej przez najbliższych kilka minut. Potrzebował więc czegoś, dzięki czemu mógłby oślepić bądź wyprowadzić w pole swoich prześladowców…

– Artoo, potrzebuję szybkiego przeprogramowania jednej z torped protonowych – zawołał. – Chcę ją wypuścić na zero-delta-v, później ma się ona odwrócić i pognać do tyłu. Żadnych czujników czy kodów naprowadzających. Ma lecieć na ślepo. Dasz radę?

Droid zaćwierkał twierdząco.

– Dobrze. Daj znać, gdy będziesz gotów, a potem wypuszczaj.

Skupił uwagę na ekranie przedstawiającym wydarzenia za rufą myśliwca. Torpeda protonowa wyposażona w czujniki naprowadzania natychmiast ściągnęłaby na siebie uwagę urządzeń zakłócających, których niszczyciel miał sporą kolekcje. Na torpedę z wyłączonymi czujnikami nie było innego sposobu, jak tylko zestrzelić ją laserami. Problemem oczywiście było wówczas to, że musiała zostać precyzyjnie wycelowana. W przeciwnym razie mogła bez jakiejkolwiek reakcji minąć cel.

R2-D2 pisnął. Myśliwiec przeszyło lekkie drżenie, gdy wystrzelił pocisk. Luke patrzył przez chwilę na pocisk, a potem przywołał Moc, by skorygować jego kurs.

Sekundę później frachtowiec zniknął w serii imponujących eksplozji.

Luke spojrzał na pomiar odległości, a w duchu zacisnął kciuki. Był już niemalże na skraju zasięgu. Gdyby szczątki frachtowca mogły

powstrzymać wiązkę ściągającą jeszcze przez kilka sekund, mogłoby się udać.

R2-D2 zaćwierkał ostrzegawczo. Luke spojrzał na tłumaczenie, a potem na ekran dalekiego zasięgu. W brzuchu poczuł ucisk. Droid znów zaszczebiotał, tym razem bardziej natarczywie.

– Widzę, Artoo – warknął Luke.

Nic dziwnego. Dla Imperium była to wszak taktyka niemalże oczywista. Skoro frachtowiec przestał mieć jakiekolwiek znaczenie, krążownik przechwytujący przesunął się, a jego ogromne projektory pola grawitacyjnego złapały uciekającego X-winga. Luke patrzył, jak obszar w kształcie stożka przesuwa się po ekranie…

– Trzymaj się, Artoo! – zawołał i wykonał ostry skręt w prawo, tak gwałtowny, że kompensatory znów nie zdążyły w porę zareagować. Chwilę później mknął już prostopadle do poprzedniego kursu.

Z tyłu dobiegł go wrzask przerażonego droida.

– Cicho, Artoo, wiem, co robię.

Gwiezdny niszczyciel, który znalazł się teraz na prawej burcie, próbował obrócić swój ogromny kadłub, naśladując manewr Luke’a. Zabrało mu to oczywiście o wiele więcej czasu niż myśliwcowi ale po raz pierwszy od początku starcia zamigotały wiązki energii, miotane przez działa laserowe.

Skywalker podjął szybką decyzję. Sama prędkość nie była w stanie go ocalić, a jeden nieprzemyślany ruch mógł zakończyć się dla niego tragicznie.

– Włącz osłony, Artoo – polecił droidowi, skupiając się na serii najlepszych zwodów. – Ustal równowagę między mocą napędu i mocą tarcz.

R2-D2 zatrajkotał w odpowiedzi. Ryk silnika nieznacznie przycichł, gdyż część mocy przeszła na osłony. Zwolnili nieco, ale wszystko wskazywało na to, że wybieg Luke'a odnosił skutek. Krążownik przechwytujący, zaskoczony ostrym skrętem myśliwca, obracał się w niewłaściwym kierunku, a pole grawitacyjne przesuwało się po poprzednim kursie Luke’a, zamiast skupić się na obecnym. Dowódca interdictora najwyraźniej próbował naprawić swój błąd, ale sama inercja ogromnych generatorów grawitacyjnych

statku działała na korzyść Luke'a. Gdyby udało mu się jeszcze przez kilka sekund pozostać poza zasięgiem gwiezdnego niszczyciela, oddaliłby się od wiązki i mógłby uciec w nadprzestrzeń.

– Przygotuj się do przejścia w prędkość światła – przykazał R2-D2. – Nie przejmuj się kierunkiem. Wykonamy krótki skok i potem się zastanowimy, co dalej.

R2-D2 potwierdził, a wtedy…

Wtedy myśliwiec zahamował tak gwałtownie, że siła odśrodkowa wcisnęła Luke'a w pasy.

Został pochwycony wiązką ściągającą niszczyciela.

R2-D2 wrzasnął ze zgrozą, ale Luke nie miał czasu na pocieszanie swojego droida. Kurs myśliwca, który jeszcze przed chwilą biegł po linii prostej, teraz stał się łukiem, czymś na kształt pseudoorbity, której centrum był gwiezdny niszczyciel. W przeciwieństwie do prawdziwej orbity, ta bynajmniej nie była stabilna, bo gdy załoga niszczyciela zdołała pochwycić myśliwiec kolejną wiązką, ten zaczął się zbliżać do okrętu Imperium, zataczając spiralę o coraz ciaśniejszym promieniu.

Spiralę, która musiała się zakończyć w jednym z hangarów niszczyciela.

Luke wyłączył osłony i raz jeszcze pchnął całą moc w napęd, choć wiedział, że to właściwie próżny gest. Nie pomylił się – przez chwilę wiązka wydawała się słabnąć, ale szybko znów nabrała mocy. Tak niewielka zmiana prędkości nie wystarczyła, by zmylić namierzające oprzyrządowanie wiązki.

Ale gdyby udało mu się znacznie bardziej zwiększyć prędkość…

– Do niezidentyfikowanego myśliwca! – W ochrypłym głosie teraz pojawiła się nuta drwiny. – Nie masz szans na ucieczkę, a kolejne próby bez wątpienia doprowadzą do uszkodzenia twojego statku. Masz natychmiast zredukować moc i przygotować się do dokowania.

Luke zacisnął zęby. Pozostała mu już tylko jedna możliwość, która wiązała się ze sporym ryzykiem, ale kiedyś słyszał, że komuś się udało. Kiedyś, gdzieś…

– Artoo, spróbujemy ich okpić! – zawołał do droida. – Na mój sygnał odwróć działanie kompensatora przyspieszenia i daj pełną moc. Zlikwiduj wszystkie fabryczne ograniczenia, jeśli musisz.

Rozległ się jakiś sygnał na panelu kontrolnym i Luke zaryzykował szybki rzut oka na ekran. Zataczając łuk, dotarł na skraj pola grawitacyjnego interdictora.

– Artoo, teraz!

Z ogłuszającym piskiem przeciążonej elektroniki myśliwiec niespodziewanie zatrzymał się w miejscu.

Luke nie miał nawet czasu, by zadać sobie w myślach pytanie, dlaczego jego X-wing wydał z siebie taki odgłos, gdyż siła odśrodkowa znów rzuciła nim o pasy, mocniej niż poprzednio. Kciuki Skywalkera naparły na przyciski wyzwalające torpedy protonowe, odpalając oba pociski. Ułamek sekundy później X-wing pomknął w górę. Gwałtowny manewr sprawił, że wiązka ściągająca zgubiła go na moment. Pozostawało teraz mieć nadzieję, że komputery nadzorujące ściąganie przechwycą torpedy zamiast niego…

I nagle znikły! Pozostała po nich jedynie strużka gazów napędowych, pokazujących, w którym miejscu zostały wyrwane z pierwotnego kursu. Fortel się powiódł. Niszczyciel ściągał niewłaściwy cel.

– Jesteśmy wolni! – rzucił do R2-D2 i przerzucił pełną moc na napęd. – Szykuj się do przejścia w prędkość światła!

Droid zaćwierkał coś, ale Luke nie miał już czasu spoglądać na ekran i sunące po nim tłumaczenie. Dowódca okrętu, który uświadomił sobie błąd i zrozumiał, że nie zdoła już namierzyć kolejnej wiązki, najwyraźniej wydał rozkaz zestrzelenia X-winga. Wszystkie baterie niszczyciela otworzyły ogień jednocześnie i Luke nagle znalazł się w samym środku tornada laserowego ognia. Rozluźnił się i pozwolił, by Moc przejęła nad nim kontrolę i kierowała jego zaciśniętymi na sterze dłońmi tak, jak dzierżyła jego miecz świetlny. Myśliwiec drgnął raz, trafiony. Kątem oka Luke ujrzał, jak końcówka jego prawego górnego działka laserowego znika w chmurze niezwykle gorącej plazmy. Inny strzał eksplodował tuż nad jego głową, kolejny wypalił smugę na dachu kabiny.

Znów rozległ się sygnał ostrzegawczy panelu. Wydostali się spoza cienia grawitacyjnego interdictora.

– Szybko! – krzyknął Luke do R2-D2.

Rozległo się kolejne, jeszcze bardziej przejmujące wycie elektroniki i niebo naraz przekształciło się w mozaikę rozciągniętych gwiazd.

Udało się.

Wydawać by się mogło, że Thrawn spogląda przez iluminator przez wieki. Wpatrywał się w miejsce, gdzie znikł X-wing. Pellaeon przyglądał mu się ukradkowo, myśląc tylko o konsekwencjach burzy, która miała się lada moment rozpętać. Jednym uchem słuchał przygnębiających meldunków, które nadchodziły z projektora wiązki ściągającej numer cztery, i obiecywał sobie, by nie angażować się w usuwanie strat.

Zniszczenie jednego z dziesięciu projektorów wchodzących w skład wyposażenia „Chimaery" było stosunkowo niewielką stratą. Ucieczka Skywalkera już nie.

Thrawn poruszył się i obrócił. Pellaeon napiął mięśnie.

– Proszę udać się ze mną, kapitanie – powiedział cicho wielki admirał i ruszył po pomoście mostka.

– Tak jest, sir – wymamrotał Pellaeon.

Po chwili szedł już za plecami zwierzchnika, przypominając sobie, co Darth Vader robił z podwładnymi, którzy go zawiedli.

Na mostku panowała niezwykła cisza. Thrawn oraz Pellaeon dotarli do schodów i zeszli na dół do stanowisk załogi ciągnących się wzdłuż prawej burty. Minęli załogantów skupionych nad konsolami i stojących za nimi, wyprężonych na baczność oficerów, aż zatrzymali się przy stanowisku obsługi prawoburtowej wiązki ściągającej.

– Podaj swoje imię – odezwał się Thrawn nienaturalnie spokojnym głosem.

– Cris Pieterson, sir – odparł młody mężczyzna siedzący przy konsoli.

– Operowałeś wiązką ściągającą podczas naszego starcia z myśliwcem – rzekł Thrawn. Nie było to pytanie.

– Tak jest, sir, ale to, co się wydarzyło, nie było moją winą.

Brwi Thrawna podjechały nieco do góry.

– Proszę o wytłumaczenie.

Pieterson zaczął gestykulować, ale szybko zmienił taktykę.

– Myśliwiec zrobił coś z kompensatorem przyspieszenia, dzięki czemu znikł wektor prędkości…

– Jestem świadom faktów – przerwał mu Thrawn. – Czekam, aż usłyszę wyjaśnienie, dlaczego nie jest to twoja wina.

– Nie zostałem należycie przeszkolony na taką ewentualność, sir – rzekł Pieterson, a w jego oczach błysnął upór. – Komputer utracił namiar, ale po chwili go odzyskał. Nie miałem pojęcia, że pochwyciłem inny cel, do chwili…

– Gdy torpedy protonowe eksplodowały w pobliżu projektora?

– Tak, sir. – Pieterson wytrzymywał wzrok admirała.

Thrawn przyglądał mu się jeszcze przez dłuższą chwilę.

– Kto jest twoim bezpośrednim przełożonym? – spytał w końcu.

Wzrok Pietersona przesunął się w prawo.

– Chorąży Colclazure, sir.

Thrawn powoli odwrócił się w stronę wysokiego mężczyzny wyprężonego na baczność.

– Czy to pan jest zwierzchnikiem tego człowieka?

Colclazure zauważalnie przełknął ślinę.

– Tak jest, sir – odparł.

– Czy jego szkolenie należało do pańskich obowiązków?

– Tak jest, sir – powtórzył Colclazure.

– Czy w trakcie szkolenia analizował pan scenariusze podobne do tego, który właśnie się urzeczywistnił?

– Ja… Nie pamiętam, sir – przyznał chorąży. – Choć w skład standardowego zestawu szkoleń wchodzą scenariusze, w których komputer traci namiar i próbuje go później ponownie ustalić.

Thrawn zerknął na Pietersona.

– Czy pan również go zwerbował, chorąży?

– Nie, sir. Pieterson jest z poboru.

– Czy to czyni go gorszym? Mniej zasługującym na pański czas i pańskie szkolenie?

– Nie, sir. – Colclazure zerknął na Pietersona. – Zawsze staram się jednakowo traktować moich podkomendnych.

– Rozumiem. – Thrawn zastanawiał się przez moment, a potem odwrócił się lekko, by spojrzeć nad ramieniem Pellaeona. – Rukh.

Pellaeon drgnął, gdy Noghri prześlizgnął się obok niego. Nie zdawał sobie sprawy, że ten towarzyszył im przez cały czas. Thrawn odczekał, aż zabójca stanie obok niego, po czym odwrócił się ku Colclazure'owi.

– Czy zna pan różnicę między pomyłką a błędem, chorąży?

Na całym mostku panowała śmiertelna cisza. Colclazure znów przełknął ślinę, a na jego twarzy pojawiła się trupia bladość.

– Nie, sir.

– Otóż pomyłkę może popełnić każdy, chorąży. Ale pomyłka staje się błędem dopiero wtedy, gdy się jej w porę nie poprawi.

Uniósł palec.

A potem go wycelował, niemalże leniwie.

Pellaeon nie zauważył, by Rukh choć drgnął. Pieterson zaś nie miał nawet czasu, by krzyknąć.

Ciszę na mostku przerwał kilkakrotnie odgłos przełykania śliny, zupełnie jakby ktoś mężnie próbował powstrzymywać wymioty. Thrawn zerknął ponad ramieniem Pellaeona i skinął. Rozległ się tupot kroków dwóch maszerujących szturmowców.

– Proszę to wynieść. – Wielki admirał odwrócił się od skulonego ciała Pietersona i przebił wzrokiem Colclazure'a.

– Pomyłka – odezwał się cichym głosem – właśnie została naprawiona. Proszę przystąpić do szkolenia zastępcy.

Mierzył chorążego spojrzeniem jeszcze przez jedno uderzenie serca, a potem, całkowicie ignorując napięcie wokół siebie, odwrócił się ponownie w stronę kapitana niszczyciela.

– Chcę otrzymać pełny raport techniczno-taktyczny na temat kilku ostatnich sekund starcia – oznajmił znów rzeczowym głosem. – Szczególnie interesuje mnie wektor prędkości światła myśliwca.

– Wszystko znajduje się tu, sir – odezwał się nieco niepewnie któryś z poruczników i podszedł do wielkiego admirała z datapadem.

– Dziękuję. – Thrawn zerknął na niego i przekazał dowódcy statku. – Dopadniemy go, kapitanie – rzekł i ruszył w kierunku schodów. – I to szybko.

– Tak jest, sir – zgodził się ostrożnie Pellaeon, który podążył za swoim zwierzchnikiem. – Jestem pewien, że to tylko kwestia czasu.

Thrawn uniósł brew.

– Źle pan mnie zrozumiał – rzekł łagodnie. – To nie żadne czcze przechwałki, a realistyczna ocena sytuacji. Uciekinier jest niedaleko stąd. Co więcej – uśmiechnął się przebiegle – jest bezradny.

– Nie rozumiem, sir. – Pellaeon zmarszczył brwi.

– Zastosowany przez niego manewr ma bowiem pewien efekt uboczny, o którym Skywalker przypuszczalnie nie ma pojęcia – wyjaśnił wielki admirał. – Przestawienie kompensatorów przyspieszenia na pracę wstecz wyrządza spore uszkodzenia w sąsiadującym z nimi napędzie. Po przebyciu góra jednego roku świetlnego napęd zawiedzie całkowicie. Wystarczy więc, byśmy przeszukali obszar wzdłuż jego wektora lub nakłonili innych, by zrobili to za nas. Uciekinier wnet będzie w naszych rękach. Rozumie pan?

– Tak jest, sir – odparł Pellaeon. – Czy mam skontaktować się z resztą floty?

Thrawn pokręcił głową.

– Najwyższym priorytetem dla floty są przygotowania do ataku na Sluis Van. Nie, myślę, że to zadanie można zlecić na zewnątrz. Proszę wysłać wiadomość do przywódców największych grup przemytniczych, które działają w tym rejonie – do Brascka, Karrde, Par'taha i innych, na których mamy namiary. Proszę wykorzystać przy tym ich prywatne częstotliwości oraz kody szyfrujące. Gdy sobie uświadomią, ile o nich wiemy, okażą się chętniejsi do współpracy. Przekaże im pan wektor nadprzestrzenny Skywalkera i zaproponuje nagrodę w wysokości trzydziestu tysięcy kredytów za jego pojmanie.

– Tak jest, sir – odparł Pellaeon i raz jeszcze spojrzał na stanowiska załogi. W sekcji wiązki ściągającej nadal trwało zamieszanie. – Sir, skoro pan wiedział, że Skywalkerowi nie uda się daleko uciec…

– Imperium jest w stanie wojny, kapitanie – przerwał mu wielki admirał chłodnym głosem. – Nie stać nas na luksus werbowania

ludzi o umysłach tak ograniczonych, że nie są w stanie reagować na nieoczekiwane sytuacje.

Spojrzał znacząco na Rukha, a potem przeniósł wzrok swoich czerwonych, jaśniejących oczu na Pellaeona.

– Proszę wykonać rozkazy, kapitanie. Skywalker niebawem będzie nasz. Żywy lub… Cóż.

Rozdział 17

Ekrany i wskaźniki przed Lukiem jaśniały, gdy wyświetliły się na nich kolejne komunikaty oprogramowania diagnostycznego, większość na czerwono. Za ekranami widział przez szybę kabiny nos X-winga opromieniony lekkim blaskiem odległych gwiazd. One same mieniły się zimnym, obojętnym światłem.

Nie było niczego więcej. Żadnych słońc, planet i asteroid czy komet. Żadnych okrętów wojennych, transportowców, satelitów czy sond. Nic. Wraz z R2-D2 wylądowali dosłownie w samym środku niczego.

Oprogramowanie diagnostyczne zakończyło skanowanie.

– I co tam mamy, Artoo?

Z tyłu dobiegł jęk pełen skargi. Odpowiedź robota wyświetliła się na ekranie.

– Aż tak źle, co?

R2-D2 znów jęknął i zastąpił diagnozę komputera własną oceną.

Nie było dobrze. Gwałtowne przestawienie kompensatorów przyspieszenia nieoczekiwanie naruszyło oba motywatory hipernapędu – nie zostały, co prawda, spalone, ale były uszkodzone na tyle, by przestać działać jakieś dziesięć minut po skoku. Myśliwiec leciał z czwartą prędkością, co oznaczało, że pokonał mniej więcej pół roku świetlnego. Co gorsza, ten sam manewr doprowadził do całkowitego skrystalizowania podprzestrzennej anteny radiowej.

– Innymi słowy – rzekł Luke – nie możemy lecieć dalej, nie zostaniemy raczej odnalezieni i nie możemy wezwać pomocy.

R2-D2 dodał coś jeszcze.

– Racja – westchnął Luke. – No i nie możemy tu zostać. A w każdym razie nie na długo.

Luke potarł dłonią podbródek i odepchnął od siebie osaczające go przerażenie. Strach mógł go tylko obrabować z umiejętności

logicznego myślenia, a na to absolutnie nie mógł sobie teraz pozwolić.

– W porządku – rzekł. – To może spróbujemy zrobić tak: wymontujemy oba motywatory hipernapędu i sprawdzimy, czy uda się odzyskać tyle części, by złożyć jeden działający. Jeśli tak, zamontowalibyśmy go gdzieś na środku rufy, gdzie mógłby obsługiwać oba silniki. Może tam, gdzie znajduje się siłownik rozdziału skrzydeł. Przecież nie potrzebujemy go, by dotrzeć to domu. Zgadza się?

R2-D2 gwizdnął z zadumą.

– Nie pytam, czy to będzie łatwe – odparł cierpliwie Luke, gdy pojawiło się tłumaczenie odpowiedzi droida. – Ciekawi mnie, czy to wykonalne.

Kolejny gwizd oznaczał mocno pesymistyczną odpowiedź.

– Dobra, wypróbujmy to tak czy owak – rzekł Luke, odpiął pasy i odwrócił się w ciasnej kabinie. Należało zdjąć tył fotela, by dostać się do schowka, w którym znajdowały się narzędzia.

R2-D2 znów coś zaćwierkał.

– Nie martw się, nie mam zamiaru tu utknąć – zapewnił go Luke.

Zmienił zdanie i sięgnął do schowka w kokpicie, gdzie znajdowały się zaciski uszczelniające dla jego rękawic i hełmu należącego do kombinezonu pilota. Przecież równie dobrze mógł wyjść w próżnię i dostać się do schowka przez właz na dnie kadłuba.

– Jeśli naprawdę chcesz się przydać, przywołaj schematy i dowiedz się, w jaki sposób mogę wymontować te motywatory. I rozchmurz się, co? Bo zaczynasz już brzmieć jak Threepio.

Porównanie ogromnie wzburzyło małego droida, ale wtedy Luke założył ostatni zacisk na hełm, czym odciął dopływ dźwięków. Niemniej zdążył nabrać pewności, że R2-D2 w istocie nie był już tak przestraszony.

Minęły niemalże dwie godziny, nim Luke przedarł się przez rury i kable, a potem zdołał wymontować lewoburtowy motywator hipernapędu, ale wystarczyła niecała minuta, by nabrał pewności, że pesymizm R2-D2 był uzasadniony.

– Jest pełen pęknięć – powiedział ponuro, obracając masywne urządzenie w rękach. – Widać je wszędzie na obudowie. Są cienkie jak włos, ale niektóre ledwie dostrzegalnie ciągną się przez całą długość.

R2-D2 wydał z siebie bulgot, którego nie trzeba było tłumaczyć. Luke rzadko zajmował się naprawami X-wingów, ale wiedział, że pozbawiony nietkniętej nadprzewodzącej obudowy motywator hipernapędu był tylko pudłem pełnym połączonych części zamiennych.

– Nie poddawajmy się jeszcze – przypomniał R2-D2. – Jeśli obudowa drugiego motywatora jest cała, wciąż mamy szansę.

Nadal czując się niezgrabnie w stanie nieważkości, zebrał narzędzia i prześlizgnął się pod kadłubem X-winga do silnika prawoburtowego. Zdjęcie osłony i zawiązanie kilku przeszkadzających mu kabli zabrało tylko kilka minut. Potem, ostrożnie ujmując latarkę słupkową, by się nie oślepić, zajrzał do środka.

Przyjrzał się uważnie obudowie i już po chwili wiedział, że dalsza praca nie ma większego sensu.

Przez moment wisiał przy myśliwcu, jednym kolanem uderzając delikatnie o elementy przepięcia, i zastanawiał się, co takiego w imię Mocy miał teraz począć. Jego X-wing, tak bezpieczny i niezawodny w samym środku bitwy, wydawał się nagle jedynie delikatną nicią, na której zawisło jego życie.

Rozejrzał się dookoła, wszędzie widząc pustkę oraz odległe gwiazdy, i znów nawiedziło go osobliwe uczucie spadania, które zawsze towarzyszyło przebywaniu w stanie nieważkości. Przypomniało mu się, jak zwisał z iglicy Miasta w Chmurach, osłabiony strachem i upływem krwi, zastanawiając się, na ile wystarczy mu sił.

„Leia! – zawołał w głębi swojego umysłu, wkładając wszystkie siły w umiejętność Jedi. – Leia, usłysz mnie! Odpowiedz mi!”

Nie licząc echa jego własnych słów, nie było innej reakcji. Nie przewidział, że Leia przebywa na Kashyyyku pod opieką Chewbakki i całej planety Wookieech.

Zastanawiał się, czy Leia kiedykolwiek się dowie, co się z nim stało.

„Jedi nie powinien odczuwać emocji. Jedi zna jedynie pokój” – pomyślał Luke i wziął oddech, odpychając złe myśli. Nie miał zamiaru się poddawać. A skoro hipernapędu nie można naprawić, to może istniało coś innego, co mógł zrobić.

– Wchodzę do środka, Artoo – oznajmił i zebrał narzędzia. – A ty tymczasem zbierz wszystko, co wiemy o naszej antenie nadajnika podprzestrzennego.

Nim Luke zamknął kabinę, droid przygotował już pełny raport. Podobnie jak w wypadku hipernapędu, informacje nie były zbyt pokrzepiające. Antena, na którą składało się dziesięć kilometrów ultracienkiego nadprzewodzącego drutu owiniętego wokół rdzenia w kształcie litery „U”, nie była elementem, który można byłoby zwyczajnie naprawić poza bazą.

Luke jednakże nie był zwyczajnym pilotem X-winga.

– Posłuchaj, mam plan – powiedział powoli do droida. – Drut, którym owinięto rdzeń, nie nadaje się już do niczego, ale sam rdzeń chyba nie został uszkodzony. Gdyby udało nam się gdzieś znaleźć dziesięć kilometrów nadprzewodzącego drutu, może zdołalibyśmy też wykonać nową antenę, co?

R2-D2 zastanowił się i wyćwierkał odpowiedź.

– Och, przestań! – napomniał go Luke. – Chcesz mi wmówić, że nie jesteś w stanie zrobić czegoś, czym całymi dniami zajmuje się jakaś nieinteligentna maszyna służąca tylko do nawijania drutu?

W serii pisków bez wątpienia dało się usłyszeć oburzenie, co potwierdziło tłumaczenie na ekranie.

– A więc nie ma problemu. – Luke stłumił uśmiech. – Myślę, że w silniku repulsorowym lub w zakłócaczu sensorów znajdziemy odpowiednią ilość drutu. Możesz sprawdzić?

Kolejne ćwierknięcie R2-D2 rozległo się po dłuższej chwili.

– Tak, wiem, jakie ograniczenia ma system podtrzymywania życia – odparł Luke. – To dlatego ty będziesz zajmował się nakładaniem drutu. Ja przeczekam to w stanie hibernacji.

Odpowiedziała mu seria gwizdnięć.

– Nie martw się – zapewnił go Luke. – Jeśli będę się budził raz na kilka dni, by się najeść i napić, nic mi nie grozi. Przecież widziałeś nieraz, jak to robię, prawda? Pora, byś się wziął do pracy.

Ani silnik repulsorowy, ani też zakłócacz sensorów nie dysponowały odpowiednią ilością drutu, ale R2-D2 zajrzał do rzadziej odwiedzanych fragmentów swojej technicznej pamięci i doszedł do wniosku, że osiem kilometrów dostępnych w zakłócaczu sensorów powinno wystarczyć do stworzenia przynajmniej mało wydajnej anteny. Zastrzegł przy tym, że nie ustali z góry, czy stworzona w ten sposób antena zadziała. Musieli ją wypróbować.

Po godzinie pracy Luke zdołał wymontować zarówno zakłócacz, jak i antenę, ściągnąć z anteny zniszczone odrutowanie i przenieść wszystko na tył kadłuba, gdzie znalazło się w zasięgu chwytaków R2-D2. Przez następną godzinę Luke przygotowywał ramę, na którą należało nawinąć drut, by się nie zerwał, a przez kolejne trzydzieści minut przyglądał się działaniu droida z wnętrza kabiny, by mieć pewność, że wszystko idzie dobrze.

W tym momencie uznał, że nie pozostało mu nic do zrobienia.

– Nie zapominaj o jednym – ostrzegł R2-D2, próbując się jak najwygodniej umościć w kokpicie X-winga. – Jeśli coś pójdzie nie tak… Ba, jeśli wyda ci się, że coś idzie nie tak, obudź mnie natychmiast. Rozumiesz?

R2-D2 zagwizdał potwierdzająco.

– W porządku – rzekł Luke bardziej do siebie niż do droida. – A więc pora na mnie.

Wziął głęboki oddech i raz jeszcze musnął spojrzeniem rozgwieżdżone niebo.

„Jeśli to nie zadziała…” – pomyślał.

Choć na razie nie było sensu się tym zamartwiać. Zrobił wszystko, co było możliwe, i nadszedł czas, by odnaleźć swój wewnętrzny spokój, a także powierzyć swój los droidowi.

R2-D2 oraz Mocy.

Odetchnął raz jeszcze.

Leia! – zawołał po raz ostatni, choć wiedział, że nie ma to sensu. Potem skierował swoje myśli w głąb umysłu i zaczął spowalniać

rytm bicia serca.

Ostatnią rzeczą, którą zapamiętał, nim zawładnęła nim ciemność, była osobliwa świadomość, że ktoś gdzieś jednak usłyszał jego wołanie…

„Leia…”

Leia przebudziła się.

– Luke? – zawołała, opierając się na łokciu i wbijając wzrok w półmrok wokół siebie. Mogła przysiąc, że usłyszała głos brata. Głos? A może dotknięcie jego umysłu?

Ale przecież przy niej nie było nikogo. Widziała wokół siebie jedynie ciasne wnętrza głównego salonu „Ślicznotki”, a słyszała tylko bicie własnego serca oraz znane sobie odgłosy towarzyszące podróży kosmicznej. Wyczuwała jednak obecność Chewbakki, który siedział w kokpicie kilkanaście kroków dalej. Nie mogła jej pomylić z niczym innym.

W miarę jak rozpędzała opary snu, uświadamiała sobie, że Luke jest kilkaset lat świetlnych stąd.

Wszystko to musiało jej się przyśnić.

Położyła się z westchnieniem, ale po chwili wyczuła subtelną zmianę w odgłosach wydawanych przez napęd. Częstotliwość wibracji również się zmieniła, gdy główny napęd podświetlny został wyłączony, a w jego miejsce uruchomiono repulsory. Gdy wytężyła słuch, miała wrażenie, że wyłapuje ledwie słyszalny świst powietrza o kadłub.

Nieco przed czasem lądowali na Kashyyyku.

Wyszła z łóżka, odnalazła ubranie i zaczęła się ubierać, ale subtelne jak dotąd złe przeczucia zaatakowały ją ze zdwojoną mocą. Han i Chewbacca robili wszystko, by ją uspokoić, jednak czytała przecież raporty dyplomatyczne i doskonale wiedziała, że Wookiee nadal żywili wielką niechęć wobec ludzi. Nie miała też pojęcia, czy w takiej sytuacji jej wysoka ranga w hierarchii Nowej Republiki pomoże jej, czy też nie.

Zwłaszcza że miała nadal ogromne trudności ze zrozumieniem ich mowy.

Na samą myśl o tym znów się skrzywiła, nie po raz pierwszy od czasu opuszczenia Nkllona. Żałowała, że Lando nie wykorzystał jakiegoś innego droida do swojej sztuczki z imitowaniem głosu. Gdyby miała przy sobie znającego siedem milionów języków C-3PO, czułaby się nieco raźniej.

Gdy weszła do kokpitu, „Ślicznotka" mknęła tuż nad zaskakująco płaskimi połaciami chmur, od czasu do czasu wymijając płynnie skupiska wystających z niej koron drzew. Przypomniała jej się sytuacja, kiedy po raz pierwszy natknęła się na informację o rozmiarach drzew na Kashyyyku. Wydały jej się nieprawdopodobne do tego stopnia, że nakrzyczała na bibliotekarza senatu. Zbeształa go za to, że rząd nie dba o weryfikację danych, przez co do archiwów trafiają tak wierutne bzdury. Wywiązała się z tego oczywiście awantura, ale nawet teraz, gdy spoglądała na roślinność planety, wciąż nie mogła uwierzyć w jej rozmiary.

– Czy to typowe rozmiary dla drzew wroshyr? – spytała Chewbaccę, siadając obok niego.

Wookiee zaprzeczył warknięciem. Te, które przebijały pułap chmur, przewyższały przeciętne o jakieś pół kilometra.

– To te, na których nakładacie pierścienie świadczące o młodym wieku – Leia pokiwała głową.

Chewbacca spojrzał na nią. Niewiele potrafiła odczytać z oblicza Wookieego, ale jego zaskoczenie było zauważalne.

– Nie bądź taki zdziwiony – upomniała go z uśmiechem. – Niektórzy ludzie wiedzą coś o kulturze Wookieech. Nie wszyscy jesteśmy niedouczonymi dzikusami, wiesz?

Przez chwilę Chewbacca wpatrywał się w nią, a potem zawarczał z rozbawieniem i skupił się na sterach.

Nieco po prawej przed nimi pojawiła się bardziej zbita grupa drzew wroshyr,, o wiele wyższych od pozostałych. Chewbacca skierował „Ślicznotkę" ku nim i po kilku minutach byli już na tyle blisko, by Leia mogła dostrzec skomplikowaną sieć lin lub cienkich gałęzi, rozciągniętą między drzewami tuż nad poziomem chmur. Chewbacca zatoczył wokół nich łuk, a potem warknął ostrzegawczo i zanurkował między chmury.

Leia skrzywiła się. Nigdy nie przepadała za lataniem na ślepo, zwłaszcza w rejonie tak bardzo najeżonym przeszkodami, ale „Ślicznotka” wyszła z chmur niemalże natychmiast po tym, jak się między nie zanurzyła. Pod sobą ujrzeli kolejną warstwę chmur. Chewbacca przeszył ją również bez wahania, by po krótkim locie wyprowadzić statek na otwartą przestrzeń.

Leia wciągnęła powietrze zaskoczona. Przestrzeń między gigantycznymi drzewami wypełniało bowiem miasto, które zdawało się wisieć w powietrzu.

Nie była to bynajmniej zbieranina prymitywnych chat jak u Ewoków na Endorze, którzy również mieszkali na drzewach. Nie, patrzyła na miasto z prawdziwego zdarzenia, zajmujące przestrzeń przynajmniej kilometra kwadratowego bądź nawet więcej. Nawet z tej odległości widziała, że niektóre budynki były spore i o skomplikowanej architekturze, sięgające wysokości dwóch, trzech pięter, a ulice między nimi były równo wytyczone. Tu i ówdzie sterczały ogromne pnie drzew, sprawiające wrażenie brunatnych kolumn, na których wspiera się dach z chmur. Miasto ze wszystkich stron otaczały roztańczone, barwne snopy świateł reflektorów.

Siedzący obok Chewbacca wywarczał pytanie.

– Nie, nigdy dotąd nie widziałam holowioski Wookieech – szepnęła. – Moja strata, wszystko na to wskazuje.

Byli już na tyle blisko, by widzieć, że wbrew jej oczekiwaniom pod miastem nie ma zwężającego się stożka jak w Mieście w Chmurach.

Zresztą nie było widać niczego, na czym miasto mogłoby się wspierać. Czyżby podtrzymywały je repulsory?

„Ślicznotka” odbiła nieco na lewo. Tuż przed sobą widzieli teraz okrągłą platformę, znajdującą się na skraju miasta, ale nieco nad nią. Otaczały ją światła ostrzegawcze. Wyglądało na to, że platforma wystaje prosto z drzewa i dopiero po chwili Leia uświadomiła sobie, że to resztki ogromnego konaru, który przycięto pionowo niedaleko pnia.

Spory wyczyn inżynieryjny. Zaskoczona księżniczka zadała sobie w duszy pytanie, jak pozbyto się reszty konaru.

Platforma nie wydawała się dostatecznie wielka, by pomieścić statek rozmiarów „Ślicznotki”, ale po chwili Leia zrozumiała, że padła ofiarą złudzenia optycznego wywołanego rozmiarami drzewa. Gdy Chewbacca posadził statek na poczerniałej od ognia platformie, okazało się, że zmieściłby się tam równie dobrze wielki liniowiec pasażerski.

Albo krążownik uderzeniowy Imperium.

„Może nie ma sensu wnikać w przyczyny powstania tej platformy” – pomyślała Leia.

Automatycznie założyła, że Wookiee wyślą po nią delegację, i okazało się, że nie pomyliła się do końca. Gdy Chewbacca opuścił rampę, Leia ujrzała, że dwóch potężnych obcych czeka na zewnątrz. Dla niewprawnego oka nie różnili się niczym od siebie, poza tym, że jeden był nieco wyższy. Szerokie szarfy, które nosili od ramienia po talię, również miały inny wzór. Wyższy Wookiee z szarfą wyszytą złotą nicią ruszył ku schodzącej po rampie Lei. Ta brnęła w dół, wykorzystując wszystkie znane sobie techniki uspokajające Jedi, modląc się o to, by spotkanie nie przebiegło tak niezręcznie, jak się tego obawiała. Chewbacca był dla niej trudny do zrozumienia, a przecież żył od wielu lat wśród ludzi. Wookieego mieszkającego na rodzinnej planecie, mówiącego miejscowym dialektem, przypuszczalnie nie była w stanie w ogóle zrozumieć.

Wysoki Wookiee pochylił lekko głowę i otworzył usta. Leia przygotowała się na najgorsze.

– Ja tobie, Leiaorganasolo, pozdrrrowienia przynoszę – wywarczał. – Ja w Rwookrrorro witam ciebie!

Zaskoczona Leia wybałuszyła oczy.

– Eee… Dziękuję – wykrztusiła. – Ja… Jestem zaszczycona!

– Jak my twoją obecnością jesteśmy zaszczyceni – warknął Wookiee uprzejmie. – Ja jestem Ralrracheen. Łatwiej będzie zwać mnie Ralrra.

– Miło mi cię poznać. – Wciąż oszołomiona Leia skinęła głową.

Nie licząc dźwięku „r”, który Wookiee rozciągał w warknięcie, każde jego słowo było idealnie zrozumiałe. Słuchając go, miała wrażenie, że wreszcie znikły wszystkie zakłócenia, które uniemożliwiały jej pełne zrozumienie Chewbakki. Czuła, że się

rozpromienia, i miała nadzieję, że jej zaskoczenie nie jest zauważalne.

Wyglądało na to, że obaj witający odczytali jednak jej emocje, bo Chewie wydał serię dźwięków odpowiadających u niego rozbawieniu.

– Niech no pomyślę – odezwała się sucho, spoglądają na niego. – Masz wadę wymowy i ani razu nie przyszło ci do głowy, by mi o tym powiedzieć?

Chewbacca zaśmiał się jeszcze głośniej.

– Chewbacca mówi doskonale – wyjaśnił Ralrra. – To ja mam wadę wymowy. Co ciekawe, dzięki niej ludzie rrrozmieją mnie lepiej.

– Wszystko jasne – rzekła Leia, choć nie było to do końca prawdą. – Byłeś więc ambasadorem?

Nagle odniosła wrażenie, że powietrze wokół nich zaczęło chłodnieć.

– Byłem niewolnikiem Imperrrium – wywarczał cicho Ralrra. – Jak i Chewbacca, nim Hansolo go uwolnił. Moi prześladowcy uznali, że jestem użyteczny, bo mogli dzięki mnie rrrozmawiać z innymi niewolnikami Wookiee.

Leia poczuła dreszcze.

– Przykro mi – szepnęła. Nie miała pojęcia, co jeszcze mogłaby powiedzieć.

– Niepotrzebnie – stwierdził Ralrra. – Dzięki temu mogłem przekazać wiele inforrrmacji o siłach Imperrrium. Przydały się, gdy wasz Sojusz nas uwolnił.

Naraz Leia uświadomiła sobie, że Chewbacca nie stoi już u jej boki. Ku swojemu ogromnemu zdumieniu zauważyła, że szczepił się z drugim Wookieem i toczy z nim zaciekłą walkę. Nie mógł nawet sięgnąć po swoją laserową kuszę, gdyż tę uwięziło potężne ramię jego przeciwnika.

– Chewie! – warknęła, a jej dłoń natychmiast znalazła się na rękojeści blastera.

Nie zdążyła jednakże wyciągnąć broni, gdy włochata dłoń Ralrry opadła na jej nadgarstek.

– Nie przeszkadzaj im! – powiedział stanowczo. – Chewbacca i Salporrrin przyjaźnią się od dzieciństwa i nie widzieli się od wielu lat. Nie można im przerrrywać powitania!

– Przepraszam – bąknęła Leia i cofnęła rękę. Poczuła się jak idiotka.

– Chewbacca przekazał w prrrywatnej wiadomości, że potrzeba ci schronienia – ciągnął Ralrra, który być może zdał sobie sprawę z jej zażenowania. – Chodźmy. Pokażę ci, co przygotowaliśmy.

Leia zerknęła raz jeszcze na Chewbaccę i Salporina, nadal zwartych we wściekłej walce.

– Może powinniśmy zaczekać na nich? – zaproponowała nieco niepewnie.

– Nie ma potrzeby. – Ralrra się wyprostował. – Bo i nie ma zagrrrożenia. Leiaorganasolo, musisz zrrrozumieć, że bez ciebie i twoich ludzi wielu z nas nadal byłoby niewolnikami Imperrrium. Inni by zaś polegli z rrrąk szturrrmowców. Jesteśmy dłużnikami twoimi i twojej Rrrepubliki. Na śmierrrć i życie.

– Dziękuję – rzekła Leia, czując ulgę.

Wiele aspektów kultury i psychiki Wookieech nadal było dla niej niejasnych, ale doskonale rozumiała instytucję długu na śmierć i życie. Ralrra niniejszym oficjalnie zadeklarował, że będzie strzegł jej bezpieczeństwa. Mogła liczyć na jego honor, zajadłość i dziką siłę.

– Chodź – warknął Ralrra i pokazał jej windę przypominającą klatkę, czekającą na nich na skraju platformy. – Udamy się do wsi.

– Oczywiście – rzekła Leia. – A przy okazji… Chciałabym się dowiedzieć, jak ta cała wieś utrzymuje się w powietrzu? Korzystacie z repulsorów?

– Chodź – powtórzył Ralrra. – Pokażę ci.

Okazało się, że wieś bynajmniej nie utrzymuje się na repulsorach. Nie wykorzystywano też mechanizmów grawitacyjnych, kombinacji wiązek ściągających czy innych cudów technologii. Leia z niemałym zaskoczeniem uświadomiła sobie, że metoda Wookieech jest sama

w sobie o wiele bardziej wyszukana i złożona niż którakolwiek z jej znanych.

Otóż wieś opierała się na gałęziach.

– Było to wielkie zadanie, by zbudować wieś tych rrrozmiarów – rzekł Ralrra, unosząc ogromne ramię i wskazując plątaninę konarów. – Wiele gałęzi na tym poziomie trzeba było usunąć, by inne rrrosły szybciej i były silniejsze.

– Przypomina to gigantyczną pajęczynę – zauważyła Leia, przyglądając się dolnej części wsi z windy i próbując nie myśleć o kilometrach pustej przestrzeni pod nimi. – W jaki sposób je tak splątaliście?

– To nie my. Rrrosnąc rrrazem, drzewa stają się jednością.

– Że co? – Leia zamrugała.

– Wyrrrosły rrrazem, i tyle – wyjaśnił Ralrra. – Gdy spotykają się dwie gałęzie wrrroshyr, zrrrastają się w jedno i rrrazem wypuszczają nowe we wszystkich kierrrunkach. – Wywarczał pod nosem jakieś zdanie bądź frazę, której Leia nie zrozumiała. – To żywa pamiątka jedności i siły ludu Wookiee – dodał niemalże do siebie.

Leia pokiwała w milczeniu głową.

„To również – pomyślała – istotna podpowiedź co do natury całego ich ekosystemu. Być może wszystkie drzewa wroshyr to tak naprawdę jedna roślina o połączonym bądź przynajmniej przemieszanym systemie korzeni. Czy Wookiee zdają sobie z tego sprawę? A może zauważalna cześć, jaką okazują drzewom, nie pozwala im na takie myślenie bądź prowadzenie badań w tym kierunku?”

Jednocześnie takie pytania z pewnością niewiele mogły jej w tej chwili pomóc. Leia spojrzała na ciemną, zamgloną przepaść, ku której zmierzała ich winda. Gdzieś tam w dole znajdowały się krótsze drzewa wroshyr i setki innych gatunków roślin, które tworzyły niezgłębione puszcze Kashyyyka.

Mówiono, że w ich obrębie istniało wiele rozmaitych ekosystemów, ułożonych warstwami na różnych wysokościach. Im bliżej ziemi się znajdowały, tym bardziej były niebezpieczne. Nie miała pojęcia, czy Wookiee w ogóle schodzili na sam dół, ale

z pewnością powierzchnia nie stwarzała dogodnych warunków do spokojnego studiowania flory.

– Nazywamy je krrroyie – odezwał się Ralrra.

Leia zamrugała, zaskoczona jego słowami. Już chciała zapytać, o czym mówi, ale zauważyła podwójny klucz ptaków, który mknął po niebie pod nimi.

– Wyglądają na ptaki – rzekła.

– Tak. Kiedyś były niezłym rrrarrrytasem dla ludu Wookiee, ale teraz nawet biedota może je jeść.

Wskazał skraj wsi nad ich głowami i poruszające się snopy świateł z reflektorów, które Leia zauważyła podczas schodzenia do lądowania.

– Krrroyie zbliżają się do światła, a tam czekają na nich łowcy.

Leia pokiwała głową. Widywała już wiele sposobów na ściągnięcie jadalnych zwierząt na różnych planetach.

– Nie przeszkadzają im te chmury?

– W chmurrrach działają najlepiej – odparł Ralrra. – Chmury rrrozprzestrzeniają światło, przez co krrroyie ujrzy je z daleka i przybędzie.

W tej samej chwili podwójny klucz skręcił ostro i popędził ku chmurom nad ich głowami i migoczącym w nich światłom.

– Sama widzisz. Być może dziś skosztujemy jednego z nich na kolację.

– Byłoby świetnie – odparła Leia. – Chewie powiedział kiedyś, że wspaniale smakują.

– A więc musimy wrrrócić do wsi – powiedział Ralrra i dotknął przycisku na panelu kontrolnym windy. Zaskrzypiały liny, gdy ta ruszyła ku górze. – Mieliśmy zamiarrr umieścić cię w jednej z barrrdziej luksusowych rrrezydencji – dodał. – Ale Chewbacca nie chciał się zgodzić.

Wskazał coś ręką, a Leia ujrzała domy, które wydawały się wbudowane w ściany domów. Niektóre dysponowały wieloma piętrami i wydawały się dość zbytkowne, a wszystkie wychodziły na otwartą przestrzeń.

– Chewbacca rozumie moje preferencje – powiedziała, tłumiąc dreszcz. – Ciekawi mnie, po co zjechaliśmy aż tak nisko.

– Winda najczęściej jest wykorzystywana do transportu ładunków bądź chorych – rzekł Ralrra. – Większość Wookieech woli się wspinać samodzielnie.

Wyciągnął ku niej rękę dłonią do góry. Napiął mięśnie pod pokrytą futrem skórę, a wtedy z ukrytych fałd skóry na czubkach palców wysunęły się nieprzyjemnie wyglądające pazury.

Leia przełknęła ślinę.

– Nie wiedziałam, że Wookiee mają takie szpony – powiedziała. – Choć w sumie powinnam była się domyślić. W końcu jesteście stworzeniami nadrzewnymi.

– Życie bez nich wśrrród drzew byłoby niemożliwe – zgodził się Ralrra. Wsunął szpony i machnął dłonią ku górze. – Nawet wspinanie się po pnączach byłoby trrrudne.

– Po pnączach – powtórzyła Leia i mrużąc oczy, spojrzała przez przezroczysty dach windy. Nie dostrzegła wcześniej żadnych pnączy i teraz też niczego nie widziała. Po chwili jej wzrok padł na linę, która ciągnęła windę ku liściom i gałęziom…

Była ciemnozielona.

– Masz na myśli tę linę? – spytała ostrożnie. – To jest pnącze?

– To pnącze kshyy jest – wyjaśnił Wookiee. – Nie martw się tym, czy nas udźwignie. Jest mocniejsze od kabli kompozytowych i nie może nawet z blasterrra być przecięte. Ono też się samo odnawia.

– Rozumiem – rzekła Leia, wpatrzona w linę. W sercu walczyła z nagłym przypływem ataku paniki. Latała po całej galaktyce w setkach najrozmaitszych śmigaczy i statków kosmicznych, nawet przez chwilę nie doświadczając akrofobii, ale nigdy dotąd nie wisiała nad przepaścią bez dna w pomieszczeniu pozbawionym silnika i kokpitu. Niosące ulgę poczucie bezpieczeństwa zaczynało znikać.

– Czy pnącza kiedyś się zrywają? – spytała, udając beztroskę.

– W przeszłości czasem się to zdarzało – rzekł Ralrra. – Rrrozmaite pasożyty i grzyby mogą doprowadzić do errrozji, jeśli im się na to pozwoli. Teraz montujemy zabezpieczenia, któррrych nasi przodkowie nie mieli. Ta winda jest wyposażona w awarrryjne systemy rrrepulsorów.

– Ach – rzekła Leia.

Chwilowe poczucie dyskomfortu zaczynało ustępować, a ona znów poczuła się jak początkująca, całkiem zielona i niezbyt inteligentna dyplomatka. Patrząc na osobliwe nadrzewne wsie i porośnięte futrami ciała Wookieech, łatwo było zapomnieć, że ci dobrze sobie radzą z zaawansowaną technologią.

Winda wzniosła się ponad poziom osady, gdzie czekali na nich Salporin i Chewbacca. Ten ostatni ściskał kuszę, a Leia zauważyła u niego drobne kurcze, które nauczyła się kojarzyć z niecierpliwością. Ralrra zatrzymał windę przy szerokiej rampie i otworzył drzwi. Salporin podszedł i podał Lei dłoń, by jej pomóc.

– Ustaliliśmy, że wrrraz z Chewbaccą zatrzymacie się w domu Salporrrina – rzekł Ralrra, gdy znów znaleźli się na stosunkowo twardym gruncie. – To niedaleko, ale jeśli sobie życzysz, przygotowaliśmy też trrransport.

Leia rozejrzała się po okolicy. Miała wielką ochotę przejść się, porozmawiać z mieszkańcami, wyczuć atmosferę tego miejsca, ale przecież nie mogła zniweczyć wysiłku, który włożono w to, by przemycić ją potajemnie na Kashyyyka. Paradowanie przed miejscowymi nie było najlepszym pomysłem.

– Jakiś transport by się przydał – rzekła do Ralrry.

Chewbacca wywarczał coś, gdy podeszli do niego.

– Chciała obejrzeć strrrukturrrę osady – odparł Ralrra. – Jesteśmy gotowi.

Chewie raz jeszcze warknął z niezadowoleniem, ale zarzucił sobie kuszę na ramię i bez kolejnych komentarzy podszedł do sań repulsorowych, czekających na skraju drogi w odległości kilkunastu kroków. Ralrra i Leia udali się w ślad za nim, a Salpori szedł ostatni. Domy i inne budynki, jak księżniczka zdążyła już zauważyć, zaczynały się na skraju splątanych gałęzi, przy czym od skraju przepaści nie chroniło ich nic poza kilkoma poskręcanymi pnączami kshyy. Ralrra dał jej do zrozumienia, że domy wzniesione przy samym pniu należały do najlepiej sytuowanych, a w tych na skraju osady mieszkali przedstawiciele górnych warstw klasy wyższej. Leia obrzuciła któryś z nich mało zainteresowanym spojrzeniem. W cieniu jednego z okien mignęła jej jakaś twarz.

– Chewie! – syknęła.

Twarz znikła, zanim zdołała sięgnąć po blaster, ale nie miała wątpliwości, co właśnie ujrzała. Wiedziała, że nigdy nie zapomni tych wyłupiastych oczu, wystającej szczęki i stalowoszarej skóry.

Chewbacca przypadł do niej w jednej chwili, unosząc kuszę.

– Widziałam jednego z tych, którzy napadli na nas na Bimmisaari – rzuciła i przywołała moce Jedi, by rozejrzeć się po okolicy. Nie wykryła niczego. – W tamym oknie! – dodała, wskazując je lufą blastera. – Tam był!

Chewbacca wywarczał rozkaz i zasłonił Leię swoim ogromnym ciałem. Celując kuszą to w jedną, to w drugą stronę, zaczął się wycofywać, prowadząc księżniczkę ze sobą. Ralrra i Salporin przypadli już do drzwi domu, obaj uzbrojeni w paskudnie wyglądające noże, które wyciągnęli nie wiadomo skąd. Każdy z nich znieruchomiał przy własnej futrynie, a Chewbacca rozbił drzwi strzałem z kuszy.

Gdzieś w sercu osady buchnęło przeciągłe, wibrujące wycie Wookieego, w którym kryły się zarówno wściekłość, jak i ostrzeżenie. Zew zdawał się odbijać echem od budowli i potężnych pni. Nim Ralrra i Salporin wskoczyli do środka domu, inne głosy podjęły okrzyk, który potężniał i rósł w siłę, aż Leia miała wrażenie, że dołączyła do niego połowa osady. Wtuliła się w futro na plecach Wookieego, oszołomiona agresją wrzasku. Przed jej oczami stanęli handlarze na Bimmisaari i ich reakcja na kradzież biżuterii.

Z tym wyjątkiem, że teraz nie miała przed sobą zabawnych, drobnych Bimmów okrytych żółtym futrem, a potężnych, krewkich i silnych Wookieech.

Nim Ralrra i Salporin wybiegli z domu, zgromadził się wokół nich spory tłum. Chewbacca nie zwrócił nawet na to uwagi, nie spuszczając oczu ani wycelowanej broni z domu. Jego towarzysze wypadli na zewnątrz, obiegli dom i wyłonili się po chwili, zrezygnowani jak myśliwi, którym wymknęła się zdobycz.

– On tam był! – upierała się Leia, gdy obaj podeszli do niej i do Chewbakki. – Widziałam go!

– Być może to prrrawda – rzekł Ralrra i wsunął noże do ukrytych pochew pod swoją szarfą. Salporin, który nadal nie spuszczał oczu z domu, nie chował noży. – Ale nie odnaleźliśmy żadnych śladów.

Leia przygryzła wargę i rozejrzała się dookoła. W pobliżu nie było innych domów, w których obcy mógłby się schronić, a za nim znajdował się tylko skraj osady.

– Schował się pod spodem – uświadomiła sobie nagle. – Tak, to jedyne rozwiązanie! Albo zszedł na dół za pomocą jakiegoś sprzętu, albo pod gałęziami czeka na niego pojazd!

– To mało prrrawdopodobne – rzekł Ralrra i przeszedł obok niej. – Ale możliwe. Zjadę windą. Sprrróbuję go znaleźć.

Chewbacca zatrzymał go wyciągniętą dłonią i sprzeciwił się warknięciem.

– Rrracja – przyznał Ralrra, choć z niechęcią. – Twoje bezpieczeństwo, Leiaorrrganasolo, jest dla nas najważniejsze. Zabierzemy cię w bezpieczne miejsce, a potem poszukamy tego obcego.

„W bezpieczne miejsce” – pomyślała Leia, a po jej plecach przebiegł dreszcz. Właśnie zaczynała się zastanawiać, czy coś takiego jak bezpieczne miejsce wciąż dla niej istniało.

Rozdział 18

Świergot dobiegający gdzieś z dala wyrwał Luke'a z pozbawionego marzeń snu.

– Okej, Artoo, już nie śpię! – oznajmił zaspanym głosem i uniósł rękę, by przetrzeć oczy.

Kłykciami uderzył o szybkę hełmu, co pomogło mu nieco dojść do siebie. Nie przypominał sobie jeszcze okoliczności, podczas których pogrążył się w hibernacji, ale miał przemożne wrażenie, że R2-D2 wybudził go zbyt szybko.

– Coś nie tak? – spytał, próbując odtworzyć sobie, czym droid właściwie miał się zajmować.

W jego świergocie pojawiła się nuta niepokoju. Luke, który wciąż nie zdołał odzyskać ostrości widzenia, zlokalizował ekran, na którym pojawiało się tłumaczenie. Ku jego lekkiemu zaskoczeniu ekran był czarny. Reszta instrumentów pokładowych również nie działała.

Naraz go olśniło. Przecież uwiązł w przestrzeni kosmicznej, a wszystkie układy X-winga, z wyjątkiem dopływu mocy i ustawionego na minimalnym poziomie systemu podtrzymywania życia, zostały wyłączone.

R2-D2 zaś miał opleść drutem nową antenę podprzestrzenną! Luke obrócił zesztywniały kark, by spojrzeć na droida, zastanawiając się, na czym polega jego problem…

Aż drgnął z zaskoczenia. Zbliżał się ku niemu inny statek kosmiczny.

Błyskawicznie odzyskał przytomność. Odwrócił się ku sterom i rzucił się, by uruchomić dopływ mocy, ale po chwili zrozumiał, że to jedynie bezużyteczny odruch. Nawet gdyby pominął niektóre procedury, rozgrzanie całkowicie wygaszonego silnika X-winga do stanu, w którym mógłby latać i manewrować, nie mówiąc już o toczeniu walki, zabrałoby Luke'owi przynajmniej piętnaście minut. Jeśli więc przybysz miał złe zamiary…

Wykorzystując awaryjne silniki manewrowe, obrócił X-winga powoli ku nadciągającej jednostce. Ekrany i czujniki zaczynały powoli ożywać, potwierdzając to, co sam zdążył już zauważyć. Obcy był średniej wielkości, nieco sfatygowanym koreliańskim frachtowcem. Imperium zazwyczaj nie posługiwało się takimi jednostkami, a co więcej – ten nie miał na kadłubie żadnych imperialnych oznaczeń.

Luke nie wierzył jednak, by w tych okolicznościach przyszło mu się spotkać ze zwykłym frachtowcem, który po prostu przelatywał w pobliżu. Może był to jakiś pirat? Luke sięgnął po Moc, próbując wyczuć, kim jest załoga.

R2-D2 znów zaćwierkał. Skywalker spojrzał na ekran.

– Tak, też zauważyłem – rzekł. – Ale zwykły frachtowiec byłby w stanie zwolnić tak ostro, gdyby był pusty. Wiesz co? Zajmij się lepiej szybką analizą odczytów sensorów. Może wykryjemy jakąś broń na jego pokładzie.

Droid przytaknął piśnięciem, a Luke przyjrzał się innym instrumentom. Główny kondensator dział laserowych był naładowany do połowy, podobnie jak główny napęd podprzestrzenny. Migająca kontrolka radiowa wskazywała zaś na to, że frachtowiec usiłował się z nim skontaktować.

Luke przygotował się na wszystko.

– …jesz pomocy? – rozległ się chłodny głos kobiecy. – Powtarzam. Do niezidentyfikowanego myśliwca gwiezdnego, tu frachtowiec „Dziki Karrde”. Czy potrzebujesz pomocy?

– „Dziki Karrde”, tu X-wing AA-589 należący do sił Nowej Republiki – odezwał się Luke. – W rzeczy samej, pomoc byłaby wskazana.

– Przyjęłam, X-wing. Co stanowi problem?

– Napęd nadprzestrzenny – powiedział Luke, przyglądając się zbliżającemu się frachtowcowi.

Choć jeszcze chwilę temu X-wing był skierowany prosto ku niemu, pilot „Dzikiego Karrde” wykonał lekki skręt, by zejść spod luf myśliwca. Być może po prostu miał się na baczności, choć niewykluczone, że istniały inne powody.

– Straciłem oba motywatory – wyjaśnił Luke. – Oba mają popękane obudowy i być może inne uszkodzenia. Macie może jakieś zapasowe?

– Nie dla tak dużej jednostki.

Nastąpiła chwila przerwy, po czym głos oznajmił:

– Otrzymałam dalsze instrukcje. Jeśli chcesz wejść na pokład, możemy ci zaproponować przejazd do systemu, do którego zmierzałeś.

Luke znów sięgnął po Moc, próbując dotrzeć do intencji rozmówczyni, ale jeśli w jej słowach kryło się oszustwo, nie był w stanie go wyczuć. Co więcej, nie miał specjalnie wyboru.

– Brzmi nieźle – rzekł. – A dacie radę zabrać mojego myśliwca?

– Nie sądzę, by cię było stać na nasze opłaty przewozowe – oznajmiła kobieta oschle. – Spytam dowódcy, ale na twoim miejscu nie łudziłabym się. Póki co weźmiemy go na hol. Nasze ładownie są i tak przepełnione.

Luke poczuł, jak mu drgnęła warga. Załadowany w pełni frachtowiec nie zdołałby zahamować tak gwałtownie, co zauważył przed chwilą R2-D2. Albo kłamali, albo ich napęd, który wyglądał całkiem normalnie, przeszedł całościową przebudowę.

Co z kolei oznaczało, że „Dziki Karrde” jest przemytnikiem, piratem albo zamaskowanym okrętem wojennym. Republika zaś nie dysponowała takimi.

Kobiecy głos rozległ się ponownie:

– X-wing, utrzymaj obecną pozycję. Podejdziemy bliżej, by wysunąć cylinder ściągający. Chyba że wolisz przejść do nas w kombinezonie?

– Z cylindrem będzie najszybciej – stwierdził Luke, zadecydowawszy, że spróbuje wysondować rozmówczynię. – Nie wydaje mi się, by ktokolwiek z nas miał szczególny powód, by spędzić tu więcej czasu. A jak tu w ogóle trafiliście?

– Jesteśmy też w stanie zabrać pewną ilość bagażu – ciągnęła kobieta, ignorując jego pytanie. – Astromecha, jak sądzę, też będziesz chciał zabrać?

„I tyle mi przyszło z sondowania” – pomyślał Luke.

– Tak, wezmę go.

– Dobra, a więc przygotuj się. Nawiasem mówiąc, kapitan przekazuje, że opłata za transport wynosi pięć tysięcy.

– Rozumiem – rzekł Luke i odpiął pasy.

Ze schowków wydobył rękawice oraz zaciskacze, które umieścił w kieszeni na piersi skafandra. Chciał w razie potrzeby mieć do nich łatwy dostęp. Cylinder ściągający był stosunkowo bezpieczną metodą przemieszczania się w próżni, ale wypadki się zdarzały. Poza tym, gdyby załodze „Dzikiego Karrde" zamarzył się jego X-wing, zamknięcie cylindra w połowie operacji byłoby najprostszym i najmniej kłopotliwym sposobem pozbycia się jego pilota.

Załoga… Luke zatrzymał się i wytężył zmysły, próbując wniknąć w umysły ludzi na frachtowcu. Wyczuwał coś niedobrego, czego nie umiał jednak nazwać.

R2-D2 zaćwierkał z niepokojem.

– Nie, nie odpowiedziała mi na pytanie – zgodził się Luke. – Ale nie jestem w stanie sobie wyobrazić żadnego sensownego powodu, dla którego się tu znaleźli. A ty?

Droid wydał z siebie ciche, elektroniczne jęknięcie.

– Zgoda. – Luke pokiwał głową. – Ale jeśli odrzucimy ich propozycję, niczego nie zyskamy. Musimy ją przyjąć i mieć się na baczności.

Sięgnął do drugiej skrytki i wyjął blaster. Sprawdził poziom mocy i wsunął broń do kabury wbudowanej w kombinezon. W drugiej kieszeni znalazł się komunikator, choć Luke nie miał pojęcia, do czego może mu się przydać na pokładzie frachtowca. Wokół pasa z niemałym trudem – wszak kabina była ciasna – zamocował sakwę z zapasami na wypadek katastrofy, a potem przytroczył miecz świetlny.

– Okej, X-wing, cylinder przygotowany – odezwał się głos. – Czekamy na twój sygnał.

Niewielki hangar „Dzikiego Karrde" znajdował się tuż nad nim. Wrota rozchyliły się zapraszająco. Luke spojrzał na instrumenty i upewnił się, że między oboma statkami powstał korytarz powietrza, po czym wziął głęboki oddech.

– Ruszamy, Artoo! – oznajmił i otworzył kabinę.

Jego twarz owiał podmuch powietrza towarzyszący stabilizującemu się ciśnieniu. Luke odbił się lekko i uniósł, a potem złapał za krawędź kabiny i odwrócił głowę. Zauważył, że R2-D2 również opuścił swoje stanowisko i dryfował nad X-wingiem, piszcząc z niechęcią.

– Mam cię, Artoo! – uspokoił go Luke i ściągnął do siebie za pomocą Mocy. Następnie rozejrzał się raz jeszcze, zgiął kolana i wybił się.

Dotarł do śluzy na tyłach hangaru na chwilę przed R2-D2. Złapał za pasy przymocowane do ściany i płynnie wytracił prędkość zarówno własną, jak i towarzyszącego mu robota. Ktoś mu się przyglądał – co do tego nie było wątpliwości, gdyż zewnętrzna śluza zamknęła się, gdy obaj jeszcze pozostawali w ruchu. Wówczas stopniowo powróciła grawitacja, na tyle powoli, by zdołał się do niej przyzwyczaić i nie stracić równowagi. Chwilę później rozchyliła się wewnętrzna śluza.

Czekał na nich młody mężczyzna w kombinezonie nieznanego kroju.

– Witajcie na pokładzie „Dzikiego Karrde" – powiedział i skinął im z powagą na powitanie. – Proszę za mną. Kapitan was przyjmie.

Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się i ruszył zakrzywiającym się korytarzem.

– Chodźmy, Artoo – mruknął Luke.

Idąc w ślad za nieznajomym załogantem, znów sięgnął po Moc, by szybko przestudiować cały statek. Nie licząc przewodnika, na statku wyczuwał jeszcze tylko cztery osoby, wszystkie w przedniej części jednostki. Sekcja rufowa zaś…

Potrząsnął głową, próbując się skupić, ale w niczym mu to nie pomogło. Część rufowa nadal pozostawała dlań osobliwie nieprzenikniona, co Luke wziął za skutek długiej hibernacji. Uznał, że w tylnej części okrętu nie ma członków załogi ani droidów, co w tej chwili wystarczało mu w zupełności.

Przewodnik zaprowadził go pod drzwi, które rozchyliły się, gdy postąpił w bok.

– Kapitan Karrde czeka na was – rzekł i wskazał drzwi.

– Dziękuję. – Luke skinął mu głową i z plączącym mu się pod nogami R2-D2 wkroczył do kajuty.

Niewielkie pomieszczenie okazało się czymś na kształt biura. Większość jednej ze ścian zajmowała maszyneria, która przypominała wyspecjalizowany sprzęt do przesyłania i kodowania informacji, a na środku znajdowało się biurko z konsolą. Za nim zasiadał smukły mężczyzna o szczupłej twarzy, krótkich, ciemnych włosach i bladobłękitnych oczach.

– Dobry wieczór – powiedział chłodnym, starannie modulowanym głosem. – Jestem Talon Karrde.

Otaksował Luke'a wzrokiem od góry do dołu.

– A przed sobą, jak sądzę, mam komandora Luke'a Skywalkera?

Luke wbił w niego wzrok. Skąd on, na wszystkie światy, to wiedział?

– Noszę nazwisko Skywalker, ale jestem zwykłym obywatelem – rzekł, nie bez trudności narzucając sobie spokój. – Zrezygnowałem ze stopnia wojskowego w Sojuszu prawie cztery lata temu.

W kąciku ust Talona Karrde błąkał się uśmieszek.

– Przyjąłem do wiadomości. Muszę jednak przyznać, że znalazłeś sobie zdecydowanie doskonałe miejsce, by uciec przed tym wszystkim.

Choć było to zdanie oznajmujące, Luke domyślił się, że Karrde chciałby dowiedzieć się czegoś o okolicznościach.

– Nie sam je wybrałem – odparł Luke. – Pomógł mi w tym pewien imperialny gwiezdny niszczyciel, z którym starłem się pół roku świetlnego stąd.

– Ach – rzekł Karrde, choć Luke na próżno szukał zaskoczenia w jego głosie czy wyrazie twarzy. – Tak, Imperium nadal jest dość aktywne w tej części galaktyki. Ba, ostatnimi czasy jego aktywność rośnie.

Przechylił lekko głowę, ani na moment nie spuszczając Luke'a z oczu.

– Choć, jak sądzę, sam już to zauważyłeś. Dodam, że najprawdopodobniej uda się wziąć twój myśliwiec na hol. Właśnie zakładamy liny.

– Dziękuję – rzekł Luke.

Na karku czuł nieprzyjemne mrowienie. Bez względu na to, czy Karrde był piratem, czy też przemytnikiem, powinien był zareagować o wiele gwałtowniej na wieść o gwiezdnym niszczycielu w pobliżu. Chyba że miał z nim jakiś układ.

– Chciałem ci też serdecznie podziękować za ocalenie – dodał. – Ja i Artoo bardzo się cieszymy, że się pojawiliście w pobliżu.

– A Artoo to… Ach, oczywiście. Twój astromech! – Błękitne oczy Karrde omiotły droida. – Myślę, że świetny z ciebie pilot, Skywalker. I zajadły wojownik. Ucieczka przed gwiezdnym niszczycielem Imperium to nie byle wyczyn. Choć z drugiej strony sądzę, że człowiek taki jak ty ma niezłą wprawę w przysparzaniu Imperium kłopotów.

– Nie walczę już w pierwszej linii – rzekł Luke. – A ty nie odpowiedziałeś mi na ważne pytanie, kapitanie. Jak to możliwe, że znaleźliście się akurat w tym miejscu? Ciekawi mnie też, skąd wiesz, kim jestem.

Przez twarz Karrde przemknął kolejny prawie uśmiech.

– Dajże spokój. Istnieją tylko dwie możliwości: albo jesteś Lukiem Skywalkerem i rycerzem Jedi, albo kimś innym, kogo pasjonują artefakty z przeszłości i ma nieznośnie wysokie mniemanie o swoim talencie szermierczym.

Jego błękitne oczy znów omiotły Luke'a od stóp do głów.

– Raczej nie jesteś tym, kogo spodziewałem się ujrzeć, ale to w sumie nie jest dziwne. Większość wiedzy, którą władali Jedi, zaginęła, a resztę wypaczyły mity oraz ludzka ignorancja. Trudno więc uzyskać klarowny obraz Jedi.

Ostrzegawczy dzwonek w głowie Luke'a brzmiał coraz głośniej.

– Mówisz, jakbyś się spodziewał, że mnie ujrzysz – rzekł.

Rozluźnił mięśnie i przybrał pozycję do walki, a jego zmysły sięgnęły dalej. Pozostali członkowie załogi znajdowali się mniej więcej tam, gdzie kilka minut temu, choć zbliżyli się nieco do dziobu. Poza samym Karrde w bezpośrednim sąsiedztwie nie było nikogo, kto mógłby być dla Luke'a zagrożeniem.

– Tak też, prawdę powiedziawszy, było – zgodził się ze spokojem Karrde. – Choć nie mogę sobie przypisać za to żadnych zasług. Doprowadziła nas tu jedna z moich podwładnych, Mara Jade.

Przechylił głowę lekko w prawo.

– Obecnie przebywa na mostku.

Umilkł, ewidentnie na coś czekając. Luke wiedział, że być może to podstęp, ale sama sugestia, że ktoś mógł być w stanie wyczuć jego obecność z odległości kilku lat świetlnych, była zbyt intrygująca, by ją zignorować. Otworzywszy umysł na wszystkie doznania z okolicy, Luke skupił się na mostku „Dzikiego Karrde". Za sterami zasiadała młoda kobieta, która rozmawiała z nim wcześniej. Obok niej starszy mężczyzna zajmował się obliczeniami na komputerze nawigacyjnym. A za nimi…

Kontakt z jej umysłem był niczym prąd elektryczny, który przeszył jego mózg.

– Tak, to ona – potwierdził Karrde, niemalże od niechcenia. – Dobrze to ukrywa, jak sądzę, choć przed Jedi raczej zamaskować niczego nie zdoła. Obserwuję ją ostrożnie od wielu miesięcy i dopiero niedawno ustaliłem ponad wszelką wątpliwość, że żywi te uczucia tylko do ciebie.

Minęła kolejna sekunda, nim Luke odzyskał głos. Nigdy dotąd nie czuł tak ogromnej, mrocznej nienawiści, nawet od samego Imperatora.

– Nie spotkałem jej dotychczas – wykrztusił.

– Nie? – Karrde wzdrygnął ramionami. – Szkoda, bo miałem nadzieję, że mi powiesz, skąd się wzięły te uczucia. Cóż, dobrze. – Powstał. – Myślę więc, że nie mamy już o czym rozmawiać. Chciałbym też zawczasu powiedzieć, że żałuję, że wszystko musi się tak skończyć.

Luke odruchowo sięgnął po miecz świetlny, ale w tej samej chwili jego ciałem wstrząsnął szok wywołany bronią ogłuszającą.

Jedi znali techniki walki z utratą przytomności, ale każda z nich wymagała choć ułamka sekundy przygotowań. Luke nie miał nawet tyle czasu. Wydawało mu się, że spada. Skądś dobiegł go szaleńczy świergot R2-D2, a w ostatniej myśli pojawiło się pytanie, jak, na Wszechświat, Karrde mu to zrobił.

Rozdział 19

Budził się powoli, etapami, nieświadom niczego poza tym, że leży na plecach i czuje się okropnie.

Stopniowo mgła przed jego oczami zaczęła się krystalizować i układać się w kształty. Powietrze było ciepłe, ale wilgotne, a zmieniające się podmuchy wiatru przynosiły nieznane mu zapachy. To, na czym leżał, było miękkie i wydawało się łóżkiem, a wrażenie na skórze i w ustach miał takie, jakby spał od kilku dni.

Minęła kolejna minuta, zanim następne wnioski przeniknęły przez mgłę w jego umyśle. Żadna znana mu broń ogłuszająca nie działała dłużej niż godzinę, może dwie, co oznaczało, że po postrzeleniu podano mu jeszcze środki znieczulające.

Uśmiechnął się w duchu. Karrde spodziewał się zapewne, że nie odzyska przytomności tak szybko. Czekała go więc niespodzianka. Luke skupił się i skorzystał z techniki, którą wykorzystywali Jedi, by pozbyć się toksyn z organizmu. Czekał teraz, aż mgła się rozejdzie.

Minęło trochę czasu, nim sobie uświadomił, że tak naprawdę nic się nie dzieje.

Znów zasnął, a gdy się obudził, w jego umyśle panował już porządek. Zamrugał parokrotnie, oślepiony słońcem, ale otworzył oczy i uniósł głowę.

Leżał na łóżku w niewielkim, ale wygodnie umeblowanym pokoju. Wciąż miał na sobie kombinezon pilota. Dokładnie naprzeciwko łóżka znajdowało się otwarte okno, przez które wpadały podmuchy niosącego aromaty wiatru. Dojrzał tam również skraj lasu, ciągnący się w odległości może pięćdziesięciu metrów, nad którym unosiło się żółtawopomarańczowe słońce. Nie miał pojęcia, czy wschodzi, czy też zachodzi. Umeblowanie nie przypominało mu w niczym celi więziennej, a więc…

– Obudziłeś się w końcu, co? – rozległ się kobiecy głos.

Zaskoczony Luke obrócił głowę w kierunku, z którego dobiegł głos. W pierwszej chwili pomyślał, że z jakiegoś powodu stracił

umiejętność wyczuwania ludzkiej obecności. Druga myśl podszepnęła mu, że głos zapewne dochodzi z komunikatora bądź interkomu.

Obrócił się i zrozumiał, że pierwsza myśl okazała się poprawna.

Kobieta zasiadała w fotelu z wysokim oparciem, a jej ręce spoczywały na podłokietnikach. Jej postawa i wygląd wydały się Luke'owi osobliwie znajome. Miała mniej więcej tyle lat, co on, wspaniałe złocistorude włosy i równie piękne zielone oczy. Założyła nogę na nogę, a na kolanie ułożyła sobie niewielki, ale paskudnie wyglądający blaster.

Była człowiekiem z krwi i kości, a mimo to, choć zakrawało to na niemożliwość, nie potrafił jej wyczuć.

Zdumienie zapewne odbiło się na jego twarzy, gdyż przez usta nieznajomej przemknął uśmiech. Bynajmniej nie przyjazny czy choćby uprzejmy, ale taki, który składał się po połowie z goryczy i złośliwości.

– Zgadza się – powiedziała. – Witaj z powrotem w świecie zwykłych śmiertelników.

Niespodziewanie Luke uświadomił sobie, że mentalna blokada nie ograniczyła się tylko do niej. Nie mógł wyczuć nikogo ani niczego. Ani ludzi, ani droidów, ani nawet lasu za oknem.

Miał wrażenie, że nagle oślepł.

– Niezbyt ci się to podoba, co? – zadrwiła kobieta. – Trudno jest się nagle pogodzić z utratą tego, co kiedyś czyniło cię kimś szczególnym, co?

Powoli, ostrożnie Luke zsunął nogi z krawędzi łóżka i usiadł. Nie spieszył się – dał swojemu ciału trochę czasu, by odzyskało swobodę ruchów.

Kobieta przyglądała mu się uważnie. Jej ręka opadła na rękojeść blastera.

– Jeśli masz zamiar zaimponować mi szybkością, z jaką powracasz do pełni sił – odezwała się – oszczędź sobie wysiłku.

– Nie mam aż tak ambitnych planów – odparł Luke, oddychając ciężko. – Chcę jedynie stanąć na nogi. — Odwrócił głowę i spojrzał jej twardo w oczy, zastanawiając się, czy odwróci wzrok. Ta nawet nie drgnęła. – Nic mi nie mów. Niech sam zgadnę. Jesteś Mara Jade.

– Tym również mi nie zaimponowałeś – rzekła chłodno kobieta. – Karrde powiedział mi już, że wspomniał przy tobie moje imię.

Luke pokiwał głową.

– Powiedział mi również, że to ty znalazłaś mojego X-winga. Dziękuję!

Oczy Mary rozbłysły.

– Daruj sobie te wyrazy wdzięczności! – parsknęła. – Jeśli o mnie chodzi, jedyny dylemat polega na tym, czy oddać cię Imperium, czy może zabić na miejscu!

Poderwała się, trzymając blaster w ręku.

– Wstawaj! Karrde chce się z tobą zobaczyć!

Luke podniósł się ostrożnie, a wtedy zauważył, że Mara przypięła sobie jego miecz świetlny do pasa. Czyżby więc rzeczywiście sama była Jedi? I to na tyle potężnym, by stłumić moc Luke'a?

– Żadna z tych możliwości szczególnie do mnie nie przemawia – rzekł.

– Jest jeszcze trzecia. – Mara zrobiła pół kroku ku niemu. Stała teraz tak blisko, że mógłby wyciągnąć rękę i jej dotknąć. Uniosła blaster i wycelowała go w jego twarz. – Możesz spróbować uciec, a ja zabiję cię na miejscu.

Przez moment oboje stali nieruchomo. W spojrzeniu kobiety znów lśniła gorzka nienawiść, ale Luke, który patrzył jej w oczy, dostrzegł w nich coś jeszcze. Coś, co przypominało bezlitosny, nieustępujący od dawna ból.

Stał nieruchomo i nie mówił ani słowa. Mara, niemalże niechętnie, opuściła broń.

– Chodź. Karrde czeka.

Pokój, w którym trzymano Luke'a, znajdował się na końcu długiego korytarza. Na ścianach znajdowały się rozmieszczone w równych odstępach identyczne drzwi.

„To chyba jakieś koszary" – pomyślał Luke, gdy wyszli na zewnątrz i skierowali się ku wielkiej budowli z wysokim dachem, znajdującej się po drugiej stronie trawiastej polany.

Wokół niej wzniesiono kilka innych zabudowań, w tym kilka magazynów, kolejne koszary i budynek, który przypominał hangar z warsztatem. Po obu stronach hangaru stało kilka statków kosmicznych, w tym przynajmniej dwa duże frachtowce przypominające „Dzikiego Karrde", oraz kilka mniejszych jednostek. Dla niektórych zabrakło najwidoczniej miejsca i wciśnięto je między drzewa lasu, który zewsząd napierał na skupisko budynków. Zza jednego z frachtowców wystawał nos jego X-winga. Przez chwilę Luke zastanawiał się, czy nie spytać Mary, co się stało z jego R2-D2, ale uznał, że lepiej będzie zadać to pytanie samemu Karrde.

Dotarli do głównego budynku znajdującego się w centrum. Mara podeszła do drzwi i dotknęła płytki sensorycznej przy framudze.

– Jest w salonie – powiedziała, gdy drzwi się rozsunęły. – Prosto przed tobą.

Ruszyli długim korytarzem, mijając po drodze średnich rozmiarów pomieszczenia, w których znajdowały się odpowiednio jadalnia i pokój wypoczynkowy. Ogromne drzwi na końcu korytarza otworzyły się, gdy podeszli bliżej. Mara popchnęła go do środka, a Luke…

Luke ujrzał świat rodem ze starożytnych legend.

Przez moment stał na progu i wpatrywał się bez słowa. Pomieszczenie było przestronne, a pod przezroczystym, wysokim sufitem zbiegały się dziesiątki rzeźbionych belek. Same ściany, wykonane z ciemnobrązowego drewna, tu i ówdzie urozmaicały kunsztownie rzeźbione kratki, przez które wpadało intensywnie błękitne światło. W pomieszczeniu nie brakowało innych niezwykłych ozdób – w jednym z kątów Luke dostrzegł piękną rzeźbę, w kolejnym trudny do rozpoznania artefakt obcych. Krzesła, kanapy i wielkie poduszki ułożono tak, by stworzyć możliwość odbycia rozmów na osobności, dzięki czemu w pomieszczeniu panowała swobodna, niemalże nieformalna atmosfera.

Wszystko to jednakże miało mniejsze znaczenie bądź dotarło do Luke'a znacznie później. Uwagę Skywalkera w pierwszej kolejności przyciągnęło bowiem drzewo rosnące w samym środku pokoju.

Nie była to mała roślina jak te delikatne drzewka, które stały wzdłuż ścian pewnego korytarza w pałacu imperialnym. Patrzył na

potężne drzewo, mające dobry metr średnicy pnia, które wyrastało z niepokrytego boazerią fragmentu podłogi i sięgało wysoko ponad przejrzysty dach. Ogromne konary zaczynały się już na wysokości dwóch metrów i rozciągały się po całym pomieszczeniu. Niektóre niemalże sięgały ścian, zupełnie jakby były ramionami próbującymi objąć wszystko, co się da.

– Och, Skywalker! – zawołał ktoś stojący przed nim.

Luke z niemałym trudem oderwał wzrok od drzewa i ujrzał Karrde siedzącego wygodnie na krześle pod pniem. Po obu stronach krzesła kucały dwa czworonogi z długimi kończynami. Ich pyski, osobliwie przypominające psie, zwróciły się ku gościowi.

– Chodź do mnie! – zawołał Karrde.

Luke przełknął ślinę i podszedł bliżej. Pamiętał z dzieciństwa opowieści o fortecach, w których wyrastały drzewa, przerażające historie o niebezpieczeństwach, bezradności i lęku.

W każdej z nich forteca z drzewem w środku była siedzibą zła.

– Witamy z powrotem w świecie żywych – rzekł Karrde. Uniósł srebrny dzban ze stojącego nieopodal stolika i nalał z niego czerwonego płynu do dwóch kielichów. – Wybacz, że trzymałem cię tak długo we śnie, ale jestem przekonany, że to docenisz. Wszak trzeba dołożyć wielu starań, by Jedi pozostał tam, gdzie go umieszczono.

– Oczywiście – rzekł Luke i skupił uwagę na dwóch stworzeniach czuwających przy krześle Karrde. Wpatrywały się w niego z intensywnością, która wyprowadzała go z równowagi. – Choć wystarczyłoby, gdybyś mnie po prostu uprzejmie poprosił.

Przez usta Karrde przemknął cień uśmiechu.

– Możliwe. Możliwe też, że nie. Usiądź, proszę. – Wskazał krzesło obok siebie.

Luke zrobił krok do przodu, ale w tej samej chwili jedno ze zwierząt podniosło się nieco, a z jego paszczy dobiegło zduszone prychnięcie.

– Spokojnie, Sturm – skarcił je Karrde. – Ten człowiek to mój gość.

Stworzenie zignorowało go, całkowicie skupiwszy swoją uwagę na Luke'u.

– Chyba ci nie wierzy – zasugerował ostrożnie Luke, ale w tym momencie rozległo się prychnięcie drugiego.

– Może rzeczywiście nie. – Karrde złapał lekko oba zwierzęta za obroże i rozejrzał się po pokoju. – Chin! – zawołał do trzech mężczyzn, rozprawiających o czymś w jednym z zakątków utworzonych z kanap. – Mógłbyś je stąd zabrać?

– Pewnie. – Mężczyzna w średnim wieku, ostrzyżony w stylu Froffli, powstał i podszedł bliżej. – Chodźcie, chłopaki – burknął, złapał oba zwierzęta za obroże i wyprowadził je na zewnątrz. – Co powiecie na mały spacerek, co?

– Proszę o wybaczenie, Skywalker. – Karrde skrzywił się lekko, odprowadzając China wzrokiem. – Przy innych gościach na ogół zachowywały się lepiej. Usiądź, proszę.

Luke opadł na wskazane mu krzesło i przyjął podany mu kielich. Mara minęła go i usiadła obok swojego szefa. Jej blaster, co nie uszło uwadze Jedi, znajdował się teraz w kaburze na lewym przedramieniu. Wystarczyłby szybki ruch, by znów znalazł się w jej ręce.

– To tylko lekki środek stymulujący. – Karrde wskazał kielich w ręku Luke'a. — Coś, co pomoże ci się obudzić.

Pociągnął łyk z własnego kielicha i odstawił go na stolik.

Luke upił nieco. Smakowało nie najgorzej, a poza tym, gdyby Karrde chciał go otruć, nie musiałby wcale uciekać się do tak dziecinnych sztuczek.

– Mógłbyś mi powiedzieć, gdzie jest mój droid?

– Och, nic mu nie jest – zapewnił go Karrde. – Umieściłem go w jednej z szop na sprzęt, gdzie będzie bezpieczny.

– Chciałbym się z nim zobaczyć, jeśli wolno.

– Jestem pewien, że da się to zorganizować, ale nie teraz. – Karrde rozparł się na swoim krześle i zmarszczył lekko czoło. – Może po tym, jak już ustalimy, co tak naprawdę z tobą zrobić.

Luke zerknął na Marę.

– Twoja współpracownica wymieniła kilka możliwości. Mam nadzieję, że dodasz coś do tej listy.

– Na przykład powrót do domu? – zasugerował Karrde.

– Za odpowiednim wynagrodzeniem, rzecz jasna – zapewnił go Luke. – Powiedzmy, że otrzymasz połowę tego, co zaproponowałoby ci Imperium, co?

– Hojnie gospodarujesz pieniędzmi innych ludzi – zauważył sucho Karrde. – Źródłem problemu, niestety, nie są pieniądze, ale polityka. Prowadzę interesy w strefie zarówno Imperium, jak i Republiki. Gdyby więc Imperium się dowiedziało, że oddaliśmy cię Republice, byliby z nas niezadowoleni.

– Podobnie by było, gdybyś mnie wydał Imperium – wytknął Luke.

– Prawda – przyznał Karrde. – Z tą różnicą, że ze względu na uszkodzenia radia podprzestrzennego twojego X-winga Republika przypuszczalnie nie ma pojęcia, co się z tobą stało. Czego, niestety, nie można powiedzieć o Imperium.

– I nie chodzi o to, co Imperium by zaproponowało – wtrąciła Mara. – Mówimy o tym, co już zaproponowało. Padła kwota trzydziestu tysięcy.

Luke zacisnął usta.

– Nie miałem pojęcia, że jestem tak cenny – rzekł.

– Dla wielu innych marginalnych graczy kwota, którą za ciebie zaoferowano, to różnica między plajtą a wypłacalnością – powiedział wprost Karrde. – Przypuszczam, że wiele statków porzuciło swoje zadania i trasy, by przeczesywać obszar, gdzie rzekomo przebywasz.

Uśmiechnął się lekko.

– Problem z nimi polega na tym, że żaden nawet się nie zastanowił, jak zatrzymają Jedi po tym, gdy go już złapią.

– Twoja metoda sprawdziła się całkiem nieźle – rzekł Luke. – Pewnie nie powiesz mi, jak ci się to udało, co?

Karrde znów się uśmiechnął.

– Tak wielkie sekrety są warte mnóstwo pieniędzy. Znasz jakieś inne, równie cenne, którymi chciałbyś się wymienić?

– Przypuszczalnie nie – rzekł spokojnie Luke. – Ale nadal utrzymuję, że Nowa Republika będzie gotowa zapłacić cenę rynkową.

Karrde upił łyk i spojrzał na Skywalkera z zadumą znad krawędzi kielicha.

– Zaproponuję ci pewien układ – rzekł, odstawiając naczynie. – Powiesz mi, dlaczego Imperium nagle się tobą zainteresowało, a ja ci zdradzę, dlaczego twoje moce Jedi przestały działać.

– Czemu nie zapytasz bezpośrednio swoich kontaktów w Imperium?

– Dziękuję, ale z tej możliwości wolę zrezygnować. – Karrde się uśmiechnął. – Nie życzę sobie, by moje nagłe zainteresowanie przyciągnęło ich uwagę. Tym bardziej że nim pojawiła się propozycja, by dołączyć do poszukiwań, zawarliśmy już kilka porozumień.

– Czyli nie szukaliście mnie? – Luke zmarszczył brwi.

– Nie. – Karrde się skrzywił. – To jedna z tych drobnych ironii losu, które czynią życie tak ciekawym. Wracaliśmy z pobranym ładunkiem, gdy Mara, tknięta nagłym przeczuciem, wyprowadziła nas z nadprzestrzeni, by wykonać odczyt nawigacyjny.

Luke przyjrzał się kamiennemu obliczu dziewczyny.

– I tak oto los się do ciebie uśmiechnął – rzekł.

– Możliwe – stwierdził Karrde. – Jednakże w ten sposób znalazłem się w samym środku dokładnie tej sytuacji, której chciałem uniknąć.

Luke uniósł ręce.

– A więc wypuść mnie i udawajmy, że nic się nie stało. Daję słowo, że nie pisnę o naszym spotkaniu.

– Imperium i tak by się dowiedziało. – Karrde pokręcił głową. – Ich nowy dowódca jest mistrzem w łączeniu strzępów informacji. Nie, osobiście uważam, że jedyną nadzieją dla nas jest znalezienie kompromisu. Rozwiązania, w którym będziemy mogli cię wypuścić, ale jednocześnie damy Imperium to, czego chce.

Przechylił lekko głowę.

– Czyli wracamy do mojego pierwotnego pytania.

– A stamtąd do mojej pierwszej odpowiedzi – odparł Luke. – Naprawdę nie wiem, czego chce Imperium.

Zawahał się przed wypowiedzeniem kolejnych słów, ale uświadomił sobie, że Leia znajduje się już daleko poza zasięgiem

Imperium.

– Zdradzę ci jednak, że nie chodzi tylko o mnie. Moja siostra Leia już dwukrotnie została zaatakowana.

– Chcieli ją zabić?

Luke zastanowił się.

– Nie sądzę. Uczestniczyłem w odparciu pierwszej napaści i odniosłem wrażenie, że napastnicy planowali ją porwać.

– Ciekawe – mruknął Karrde, a jego wzrok na moment stracił ostrość. – Leia Organa Solo, która szkoli się, by zostać Jedi tak jak jej brat. Cóż, to może wyjaśnić niektóre… No, niektóre niedawne działania Imperium.

Luke odczekał chwilę, ale wnet uświadomił sobie, że Karrde nie ma zamiaru niczego mu wyjaśniać.

– Mówiłeś coś o kompromisie – przypomniał mu.

Karrde sprawiał wrażenie, jakby wrócił myślami do pokoju.

– Tak, mówiłem – rzekł. – Przyszło mi do głowy, że Imperium być może zainteresowało się twoją uprzywilejowaną pozycją. Że być może szukają jakichś informacji o tajnych działaniach Rady Tymczasowej. W takim wypadku proponowałbym, byś ty wrócił do swoich. Imperium zaś oddalibyśmy twojego droida, który ma podobne fakty w pamięci.

Luke poczuł ucisk w żołądku.

– Nie na wiele by się to zdało – powiedział, siląc się na spokojny ton. Przerażała go sama myśl o R2-D2 sprzedanym w imperialną niewolę. – Artoo nigdy nie uczestniczył w żadnym posiedzeniu Rady.

– Ale dobrze zna twoją osobowość – przypomniał mu Karrde. – A także osobowość twojej siostry, jej męża i wielu innych wysoko sytuowanych członków Nowej Republiki. — Wzruszył ramionami. – To oczywiście kwestia dyskusyjna, bo samo to, że Imperium jest zainteresowane Jedi i potencjalnymi Jedi, sugeruje, że nie chodzi im bynajmniej o informacje. Gdzie te ataki nastąpiły?

– Pierwszy na Bimmisaari, a drugi na Bpfassh.

Karrde pokiwał głową.

– Mamy kontakt na Bpfassh. Może uda się go nakłonić, by przyjrzał się nieco działaniom Imperium. Do tego czasu, obawiam

się, będziesz musiał pozostać tu jako nasz gość.

Zabrzmiało to tak, jakby właśnie zakończył rozmowę.

– Zanim mnie odeślesz, pozwól, że zwrócę twoją uwagę na jeszcze jeden fakt – odezwał się Luke. – Bez względu na to, co się stanie ze mną czy nawet z Leią, skoro już o tym mówimy, Imperium jest i tak skazane na porażkę. Nową Republikę popiera więcej planet niż Imperium, a ich liczba wciąż się zwiększa. W końcu odniesiemy zwycięstwo, choćby tylko dzięki przewadze liczebnej.

– Z tego, co wiem, podobnie wypowiadał się Imperator, gdy mówił o waszej Rebelii – zripostował sucho Karrde. – W każdym razie rozumiesz chyba mój dylemat, co? Jeśli nie wydam cię Imperium, są gotowi wywrzeć na mnie zemstę, ale wygląda na to, że w dalszej perspektywie to Nowa Republika odniesie zwycięstwo.

– Tylko jeśli on i jego siostra będą nadal trzymać Mon Mothmę za rękę — wtrąciła Mara pogardliwie. – Jeśli nie będzie ich…

– Jeśli nie będzie ich przy niej, przyszłość nie wydaje się już tak klarowna – zgodził się Karrde. – Tak czy owak, dziękuję ci za czas, który mi poświęciłeś, Skywalker. Mam nadzieję, że uda nam się podjąć decyzję bez dalszej zwłoki.

– Nie spiesz się ze względu na mnie – rzekł Luke. – Ta planeta wydaje się miłym miejscem i chętnie spędzę tu jeszcze parę dni.

– Miłym? Ulegasz mylnym wyobrażeniom – ostrzegł go Karrde. – Moje dwa oswojone vornskry mają wielu krewnych w lesie, a ci nie poznali jeszcze korzyści płynących z udomowienia.

– Rozumiem – rzekł Luke.

„Gdyby tylko udało się wydostać z ich bazy i znaleźć poza zasięgiem tego dziwnego oddziaływania, które skierowano przeciwko mnie…”

– Nie licz też na to, że pomogą ci w czymś twoje umiejętności Jedi – dodał Karrde niemalże leniwie. – W lesie będziesz równie bezradny, co tu, a może nawet bardziej.

Spojrzał na górujące nad nim drzewo.

– W końcu mieszka tam o wiele więcej isalamirów niż tu.

– Isalamirów? – Luke spojrzał w tym samym kierunku i po raz pierwszy zauważył smukłe, szaro-brązowe stworzenie, które wisiało na drzewie dokładnie nad głową Karrde. – Co to takiego?

– Przyczyna, dla której nie ruszysz się z miejsca, w którym cię umieściliśmy – rzekł Karrde. – Isalamiry posiadły niezwykłą umiejętność odpychania Mocy. Tworzą swoiste bąble, w których Moc właściwie nie istnieje.

– Nigdy o nich nie słyszałem – rzekł Luke, zastanawiając się, czy w tej historii jest choć ziarnko prawdy. Ani Yoda, ani Ben nigdy nawet o tym nie wspominali.

– Bo mało kto o tym wie – zgodził się z nim Karrde. – A w przeszłości większość spośród tych, którzy ten sekret poznali, miała żywotny interes w tym, by sekretem pozostał. Jedi Starej Republiki z oczywistych względów unikali tej planety, stąd kilka grup przemytniczych urządziło tu swoje bazy. Po tym, jak Imperator zniszczył Jedi, większość z nich wyniosła się w pobliże swoich potencjalnych rynków. Teraz, gdy Jedi pojawili się na nowo – skinął z powagą Luke'owi – być może niektóre powrócą, choć myślę, że obecnej społeczności nie bardzo się to spodoba.

Luke przyjrzał się drzewu. Wiedział już, czego szukać, dzięki czemu bez trudu wypatrzył kilka nowych isalamirów oplecionych wokół konarów i gałęzi.

– A skąd się wzięło przekonanie, że to akurat isalamiry odpowiadają za powstawanie tych pęcherzy w Mocy? – spytał.

– Zaintrygowała mnie miejscowa legenda – rzekł Karrde. – A to, że stoisz tu i rozmawiasz ze mną, utwierdza mnie w przekonaniu, że legenda jest prawdziwa. Czy w przeciwnym razie niezwykle nerwowy człowiek z bronią ogłuszającą zdołałby się podkraść niepostrzeżenie do Jedi?

Luke smagnął go ostrym spojrzeniem. Ostatni fragment układanki znalazł się na miejscu.

– Umieściłeś isalamiry na pokładzie „Dzikiego Karrde".

– Dokładnie – rzekł Karrde. – Choć raczej przez przypadek, jeśli mam być szczery. Cóż… – przeniósł spojrzenie na Marę. – A może nie do końca przez przypadek?

Luke raz jeszcze zerknął na isalamira nad głową Karrde.

– Jak daleko rozciąga się ten bąbel?

– Tak naprawdę to nikt tego nie wie – przyznał Karrde. – Według legendy każdy isalamir jest w stanie roztoczyć wokół siebie bąbel

o średnicy od metra do dziesięciu, ale ich grupy tworzą o wiele większe strefy. Mam wrażenie, że same się w ten sposób wzmacniają. Może wyświadczysz nam przysługę i weźmiesz udział w kilku eksperymentach przed wyjazdem?

– Być może – rzekł Luke. – Choć to akurat zależeć będzie od kierunku, w którym przyjdzie mi wyruszyć.

– Pewnie tak – zgodził się Karrde. – Cóż, mam wrażenie, że chciałbyś się nieco odświeżyć. Masz ten kombinezon na sobie od dobrych kilku dni. Zabrałeś jakieś ubrania na zmianę?

– W skrytce bagażowej w moim X-wingu znajduje się niewielka walizka – rzekł Luke. – A tak w ogóle to dziękuję, że go zabrałeś.

– Nie mam w zwyczaju marnować rzeczy, które kiedyś mogą się przydać – odparł Karrde. – Walizka dotrze do ciebie niebawem, jak tylko moi ludzie ustalą, że nie ma tam ukrytej broni czy innego niebezpiecznego sprzętu. — Uśmiechnął się lekko. – Nie wydaje mi się, by Jedi zawracał sobie takimi rzeczami głowę, ale nawykłem do systematyczności. Dobrej nocy, Skywalker.

W dłoni Mary znów znalazł się niewielki blaster.

– Ruszamy! – oznajmiła i wskazała mu lufą kierunek.

Luke się podniósł.

– Chciałem ci zaproponować jeszcze jedną możliwość – rzekł do Karrde. – Jeśli dojdziesz do wniosku, że lepiej by było, byś nas nigdy nie spotkał, proponuję, żebyś pozostawił mnie i Artoo tam, gdzie nas znalazłeś. Jestem gotów stawić czoła innym poszukującym.

– Włączając w to Imperium? – spytał Karrde.

– Tak.

Karrde znów uśmiechnął się lekko.

– Zdziwiłbyś się. Ale będę pamiętał o twoim pomyśle.

Słońce znikło za drzewami, a niebo zauważalnie pociemniało, gdy Mara odprowadziła go do budynków po drugiej stronie wielkiej polany.

– Przegapiłem obiad? – spytał, gdy szli korytarzem w kierunku jego pokoju.

– Ktoś ci coś przyniesie. – Głos Mary niewiele się różnił od warknięcia.

– Dzięki. – Luke odetchnął ostrożnie. – Słuchaj, nie wiem, skąd się bierze twoja niechęć…

– Zamknij się! – przerwała mu. – Po prostu się zamknij.

Luke skrzywił się, ale nie dyskutował. W milczeniu dotarli do drzwi, a tam Mara wepchnęła go do środka.

– Okno nie ma zamka – poinformowała go. – Ale jest objęte systemem alarmowym. Spróbuj tylko się przez nie wydostać. Sama jestem ciekawa, czy uda mi się cię dopaść przed vornskrami, czy też mnie wyprzedzą.

Obdarzyła go ironicznie słodkim uśmiechem.

– Ale właściwie nie musisz mi wierzyć. Spróbuj, a sam się przekonasz.

Luke spojrzał na okno, a potem na Marę.

– Chyba sobie podaruję. Dzięki.

Bez słowa wyszła na zewnątrz, zamykając za sobą drzwi. Szczęknął uaktywniany zamek elektroniczny, a potem nastała cisza.

Luke podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. W oknach koszar migotały jakieś światła, choć w budynku, w którym go umieszczono, niczego nie zauważył.

„Ma to sens – pomyślał. – Karrde sam nie wie, czy odda mnie Imperium, czy też Nowej Republice, ale na wszelki wypadek woli trzymać moją obecność we względnej tajemnicy. Tym bardziej mu się to przyda, jeśli postanowi pójść za radą Mary i po prostu mnie zabić”.

Odwrócił się od okna i wrócił do łóżka, walcząc ze strachem gęstniejącym mu w sercu. Od czasu spotkania z Imperatorem nigdy nie czuł się taki bezradny.

A gwoli ścisłości, nigdy nie był tak bezradny.

Wziął głęboki oddech.

„Jedi nie powinien odczuwać emocji. Jedi zna jedynie pokój”.

Skądś wiedział, że musi istnieć jakiś sposób, by wydostać się z tego więzienia. Musiał jedynie zrobić wszystko, by go nie zabito, nim go odkryje.

Rozdział 20

– Nie, zapewniam cię, że wszystko jest w porządku – odezwał się głosem Lei C-3PO ze słuchawkami na głowie.

Choć wydawało się to niemożliwe, droid wyglądał naprawdę nieszczęśliwie.

– Wraz z Hanem zadecydowaliśmy, że w tej sytuacji nie ma co marnować czasu i rozejrzymy się w systemie Abregado.

– Rozumiem, Wasza Wysokość. – Głos Winter dobiegł z głośników „Sokoła". Han miał wrażenie, że słyszy w nim zmęczenie, a także odrobinę napięcia. – Chciałabym jednak zaproponować, byście nie ukrywali się zbyt długo.

C-3PO spojrzał bezradnie na Hana.

– Niebawem wracamy! – wymamrotał ten do komunikatora.

– Niebawem wracamy – powtórzył C-3PO, trzymając mikrofon.

– Chciałabym jedynie…

– Chciałabym jedynie…

– …obejrzeć infrastrukturę fabryczną…

– …obejrzeć infrastrukturę fabryczną…

– …Gadosów.

– …Gadosów.

– Tak, Wasza Wysokość – rzekła Winter. – Przekażę informację Radzie. Jestem przekonana, że przyjmą wiadomość z zadowoleniem. — Urwała na ledwie zauważalny moment. – Zastanawiam się, czy mogłabym zamienić również kilka słów z kapitanem Solo.

Lando, siedzący po drugiej stronie kokpitu, skrzywił się lekko.

– Ona wie – wyszeptał ledwie słyszalnie.

– Co ty nie powiesz! – odparł Han równie cicho, po czym spojrzał na C-3PO i skinął głową.

– Oczywiście – oznajmił droid i cofnął się z zauważalną ulgą. – Han?

Kapitan Solo pochwycił komunikator.

– Jestem, Winter. Co się dzieje?

– Chciałam się dowiedzieć, czy wiesz już może, kiedy ty i księżniczka Leia powrócicie na Coruscant. Admirał Ackbar jest tym szczególnie zainteresowany.

Han zmarszczył brwi. Odkąd zrezygnował ze stopnia, Ackbar nie zamienił z nim nawet słowa, nie licząc kwestii formalnych.

– Podziękuj w moim imieniu admirałowi za jego troskę – odparł, ostrożnie dobierając słowa. – Mam nadzieję, że daje sobie ze wszystkim radę?

– Mniej więcej tak jak zawsze – rzekła Winter. – Choć ma trochę problemów w rodzinie. Przecież zaczęła się szkoła.

– Dzieciaki się kłócą i rozrabiają? – spytał Han.

– Wieczorami dochodzi do sprzeczek. Wiesz, na przykład kto ma czytać najmłodszemu i tak dalej. Sam rozumiesz.

– Tak – odparł Han. – Dobrze znam te dzieciaki. A co z sąsiadami? Nadal ma z nimi na pieńku?

Winter milczała przez moment.

– Cóż, nie mam pewności – odparła. – Nic o nich nie mówił. Mogę zapytać, jeśli chcesz.

– Nie, to przecież nie jest aż tak ważne – rzekł Han. – Najważniejsze, by z rodziną było wszystko dobrze.

– Zgadzam się. I myślę, że zależało mu głównie na tym, bym ci o nim przypomniała.

– Dzięki za przekazanie wiadomości. – Han zerknął na Lando. – Powiedz mu, że nie będzie musiał na nas długo czekać. Udamy się do Abregado, potem może jeszcze zatrzymamy się na moment w paru innych systemach i wracamy prosto do domu.

– W porządku – odparła Winter. – Coś jeszcze?

– Nie. A właściwie tak. Na jakim etapie zatrzymała się odbudowa Bpfassh?

– Masz na myśli te trzy systemy zaatakowane przez Imperium?

– Tak – odparł Han.

„Tam, gdzie mieliśmy drugie starcie z szaroskórymi porywaczami z nieznanej rasy” – dodał w myślach, ale nie było sensu się nad tym rozwodzić.

– Poczekaj, wywołam odpowiedni plik – powiedziała Winter. – Postęp prac jest zadowalający. Było trochę trudności z dostawami,

ale obecnie materiały docierają na czas.

Han zmarszczył brwi.

– Jak Ackbar tego dokonał? Wygrzebał jakieś zardzewiałe wraki i wypchnął je w przestrzeń kosmiczną?

– Nie, zbudował własne frachtowce – odparła sucho Winter. – Zarekwirował część okrętów wojennych, głównie gwiezdnych krążowników i fregat uderzeniowych, zredukował załogi do szkieletowych, dodał im droidy i zamienił je w jednostki transportowe.

– Mam nadzieję, że nie puszczą ich bez silnej eskorty – zauważył niechętnie Han. – Puste gwiezdne krążowniki byłyby znakomitym celem ćwiczebnym dla Imperium.

– Jestem pewna, że pomyślał o tym – zapewniła go Winter. – Doki orbitalne oraz stocznie na Sluis Van również są dobrze chronione.

– Jakoś trudno mi uwierzyć, by cokolwiek w tych czasach było dobrze chronione – odparł kwaśno Han. – Na pewno nie teraz, gdy Imperium robi, co chce. Dobra, muszę kończyć. Odezwę się.

– Miłej podroży. Wasza Wysokość? Jesteś tam? Do zobaczenia!

Lando strzelił palcami.

– Do zobaczenia, Winter – odezwał się posłusznie droid.

Han przejechał palcem po gardle, a Lando wyłączył nadajnik.

– Gdyby te krążowniki wyposażono w odpowiednie układy podporządkowania, nie trzeba byłoby zaludniać ich droidami, by zamienić je na transportowce – wytknął niewinnie.

– Taa… – Han pokiwał głową, ledwie rejestrując słowa przyjaciela. – Chodź, trzeba się pospieszyć i wracać.

Podniósł się z fotela i sprawdził blaster.

– Coś się święci na Coruscant – dodał. – Coś niedobrego.

– Masz na myśli te głupoty na temat rodziny Ackbara? – spytał Lando, wstając.

– Tak. – Han już szedł w kierunku wyjścia ze statku. – Jeśli dobrze zrozumiałem Winter, Fey'lya właśnie rozpoczął poważnie natarcie na terytorium Ackbara. Dalej, Threepio, ktoś musi za nami zamknąć.

– Kapitanie Solo, raz jeszcze zmuszony jestem zaprotestować przeciw tej intrydze – oznajmił płaczliwym tonem droid, drepcząc

za Hanem Solo. – Naprawdę mam wrażenie, że wcielanie się w księżniczkę Leię…

– Dobrze, dobrze – przerwał mu Han. – Zaraz po powrocie poproszę Lando, by usunął zmiany w twoim oprogramowaniu.

– Nasza wyprawa dobiega już końca? – spytał Lando, który przepchnął się obok C-3PO, by stanąć przed wyjściem. – Przecież powiedziałeś Winter, że…

– Powiedziałem to, co powiedziałem, bo ktoś może nas podsłuchiwać. Sprawdzimy ten kontakt i zawracamy. Może nawet zatrzymamy się po drodze na Kashyyyku i zabierzemy Leię.

– Jest aż tak źle? – Lando gwizdnął cicho.

– Tak naprawdę to trudno powiedzieć – przyznał Han i wcisnął przycisk opuszczający rampę. Ta opadła gładko na pokrytą kurzem nawierzchnię z permkrety. – Nie wiem, o co jej chodziło z tymi wieczorami i czytaniem młodemu. Być może miała na myśli jakieś działania wywiadowcze podjęte przez Ackbara, a może – co gorsza – chciała przekazać, że Fey'lya szykuje się do zamachu na stanowisko admirała.

– Powinieneś opracować sobie jakiś lepszy kod z Winter – oznajmił Lando, gdy ruszyli w dół po rampie.

– Wszyscy powinniśmy byli to zrobić! – warknął Han. – Od trzech lat szukam chwili, by usiąść do tego z Winter i Leią, ale nigdy nie mieliśmy na to czasu.

– Cóż, jeśli ci to w czymś pomoże, twoja analiza ma sens – stwierdził Lando, rozglądając się po doku. – Zgadza się w każdym razie z plotkami, które usłyszałem. Rozumiem, że ci *sąsiedzi* to Imperium?

– Tak. Gdyby Ackbarowi udało się wykryć jakieś przecieki, Winter na pewno by coś o tym usłyszała.

– Czy powrót nie będzie się więc wiązał z niebezpieczeństwem? – spytał Lando, gdy ruszyli w stronę wyjścia.

– Będzie – zgodził się Han niechętnie. – Ale podejmiemy to ryzyko. Bez Lei, która odgrywa rolę negocjatora pokojowego, Fey'lya być może zdoła uprosić bądź zastraszyć resztę Rady i otrzymać wszystko, co mu się zamarzy.

– Mhm. – Lando zatrzymał się w dole rampy prowadzącej do wyjścia z doku i uniósł głowę. – Miejmy nadzieję, że to już ostatni kontakt.

– Na twoim miejscu miałbym nadzieję, że ten człowiek w ogóle się pojawi – rzekł Han.

Wśród pilotów, z którymi Han latał w czasach swojej przemytniczej kariery, port kosmiczny Abregado-rae cieszył się okropną reputacją. Na liście najgorszych miejsc w galaktyce sąsiadował z Mos Eisley na Tatooine i innymi parszywymi dziurami, przez co czysty, jasny miejski krajobraz, który ukazał się ich oczom po wyjściu na zewnątrz, stanowił miłą niespodziankę.

– Proszę, proszę – mruknął Lando. – Czyżby do Abregado wreszcie dotarła cywilizacja?

– Słyszałem już o dziwniejszych rzeczach – zgodził się Han i rozejrzał. W okolicy panował ład i dawało się wyczuć charakterystyczną atmosferę, typowy dla niemalże każdego portu porządek. Atmosferę miejsca nie do końca ujarzmionego…

– Ups – szepnął Lando, wpatrzony w coś za ramieniem Hana. – Wygląda na to, że ktoś właśnie dostał się pod młot.

Han odwrócił się. Wokół innego wyjścia z doków, znajdującego się jakieś pięćdziesiąt metrów dalej, zebrała się niewielka grupa umundurowanych mężczyzn w lekkich pancerzach, uzbrojonych w karabiny blasterowe. Na ich oczach połowa z nich rozchyliła wrota i wślizgnęła się do środka, a reszta pozostała na ulicy, by strzec tyłów.

– I to spory młot – zgodził się Han. Przechylił głowę i odczytał numer nad wejściem. – Sześćdziesiąt trzy. Mam nadzieję, że nie zaczaili się na człowieka, z którym mamy się spotkać. A tak w ogóle, to gdzie ma to nastąpić?

– Tam – rzekł Lando i wskazał niewielki, pozbawiony okien budynek stojący między dwoma innymi, o wiele starszymi. Nad drzwiami wisiała rzeźbiona deska, na której napisano „LoBue”. – Mamy usiąść przy jednym ze stołów przy barze w kasynie, a potem czekać. Sam się z nami skontaktuje.

Skromne wejście tworzyło błędne wrażenie, gdyż wnętrze LoBue okazało się zaskakująco przestronne – lokal rozciągał się bowiem

również na sąsiedni budynek. Przy wejściu rozstawiono kilka stołów idealnych do rozmów, skąd doskonale było widać niewielki, ale kunsztownie wykończony parkiet taneczny. Obecnie świecił pustkami, ale z głośników płynęła irytująca muzyka. Za parkietem ciągnął się szereg bardziej prywatnych boksów, w których panował nieprzenikniony półmrok. Po lewej znajdowały się niewysokie schody prowadzące do wejścia w ścianie z przezroczystego plastiku, za którą usytuowano kasyno.

– Wydaje mi się, że tam jest bar – mruknął Lando. – Za stołami do gry w sabaka po lewej. To chyba tam mamy czekać.

– Byłeś już tu kiedyś? – rzucił przez ramię Han, kierując się ku schodom.

– Na tej planecie tak, ale nie tu. Ostatni raz odwiedziłem Abregado-rae wiele lat temu. Było tu jeszcze gorzej niż na Mos Eisley, toteż nie zabawiłem tu długo. — Lando pokręcił głową. – Bez względu na to, jakie problemy mają tu z nowym rządem, trzeba im oddać, że doprowadzili planetę do porządku – dodał.

– Cóż, jeśli ty też masz jakieś problemy z tym rządem, lepiej o nich nie gadaj, co? – ostrzegł go Han. – Choć raz w życiu chciałbym nie rzucać się w oczy.

– Jak sobie życzysz. – Lando zachichotał.

Przy barze światło było nieco mniej intensywne niż w samym kasynie, ale nie utrudniało to widoczności. Han i Lando zasiedli niedaleko stołów, przy których toczyła się gra w sabaka. Ze środka stołu wyrosło holo atrakcyjnej dziewczyny.

– Dzień dobry, panowie – odezwała się w poprawnym, wymawianym z przyjemnym akcentem basicu. – Co mogę podać?

– Czy macie jakiś wino Necr'ygor Omic? – spytał Lando.

– Tak, oczywiście. Mamy roczniki czterdziesty siódmy, czterdziesty dziewiąty, pięćdziesiąty i pięćdziesiąty drugi.

– Poproszę więc pół karafki rocznika czterdziestego dziewiątego – oznajmił Lando.

– Dziękuję panom – powiedziało holo i znikło.

– Czy to część umówionego scenariusza spotkania? – zapytał Han, rozglądając się leniwie po kasynie.

Według czasu miejscowego kilka godzin temu minęło południe, ale mimo to połowa stołów była już zajęta. Sam bar, dla odmiany, był niemalże pusty i gościło przy nim zaledwie kilkoro ludzi oraz obcych. Wyglądało na to, że na liście miejscowych deprawacji alkohol nie cieszy się aż taką popularnością jak hazard.

– Tak naprawdę to nie powiedział nic o tym, co mamy zamówić – rzekł Lando. – Ale skoro już tak się składa, że lubię Necr'ygor Omic…

– A rachunki pokryje księgowość na Coruscant…

– O, właśnie. W myślach mi czytasz.

Na środku stołu rozchylił się niewielki luk, z którego wyłoniła się taca z zamówionym winem.

– Czy życzycie sobie coś jeszcze, panowie? – zapytała holodziewczyna.

Lando pokręcił głową, ujął karafkę i dwa kieliszki, które pojawiły się razem z nią.

– Póki co dziękujemy.

Znikło holo, a po nim taca.

– Cóż. – Lando nalał wina do kieliszków. – A więc czekamy.

– Zanim to czekanie pochłonie cię całkowicie, obróć się no o sto osiemdziesiąt stopni – rzekł Han. – Spójrz na trzeci stolik do sabaka od końca, tam, gdzie siedzi pięciu facetów i kobieta. Widzisz drugiego gościa od prawej? Powiedz mi, czy ja się aby nie mylę.

Lando uniósł swój kieliszek z winem, jakby przyglądał się jego barwie. W trakcie kontemplacji obrócił się na krześle.

– Czy to nie Fynn Torve?

– Takie miałem wrażenie – zgodził się Han. – Ale wolałem się upewnić, bo chyba widywałeś go ostatnio częściej ode mnie.

– Nie miałem z nim kontaktu od ostatniej trasy na Kessel, którą zrobiłem z tobą. – Lando uniósł lekko brew, patrząc na Hana. – Tuż przed inną wielką grą w sabaka – dodał sucho.

Han spojrzał na niego z urazą.

– Nie masz mi chyba nadal za złe tego, że wygrałem „Sokoła", co?

– Teraz? – Lando się zamyślił. – Nie, raczej nie. Szczerze powiedziawszy, przegrana z amatorem…

– Amatorem?

– …właściwie mnie nie obeszła, ale przyznam, że niedługo po grze zdarzało mi się leżeć w łóżku i planować wyrafinowaną zemstę. Dobrze, że się nigdy do tego nie zabrałem.

Han znów przeniósł uwagę na stoły do gry.

– Nie wiem, czy poprawi ci to nastrój, Lando, ale gdybyś nie przegrał „Sokoła”, pewnie nie siedzielibyśmy tu teraz. Pierwsza Gwiazda Śmierci Imperium zniszczyłaby Yavina, a potem planeta po planecie rozbiłaby cały Sojusz. Nigdy byśmy się z tego nie podnieśli.

Lando wzruszył ramionami.

– Może. Może nie. Z ludźmi takimi jak Leia czy Ackbar…

– Leia zostałaby stracona – przerwał mu Han. – Była skazana na śmierć w chwili, gdy z Lukiem i Chewiem wyciągnęliśmy ją z Gwiazdy Śmierci.

Wspomnienie wywołało u niego dreszcze. Wciąż nie mógł uwierzyć w to, jak mało brakowało, by ją stracił na zawsze. Co więcej, nigdy by się nie dowiedział, ile by stracił.

A teraz, gdy już miał taką świadomość, tym trudniej było mu pogodzić się z tym, że nadal grozi jej śmierć.

– Nic jej nie będzie, Han – powiedział cicho Lando. – Nie martw się. — Pokręcił głową. – Dałbym wiele, by się dowiedzieć, czego Imperium od niej chce.

– Ja to wiem – warknął Han. – Chodzi im o nasze bliźnięta.

Lando spojrzał na niego z niedowierzaniem i przestrachem.

– Jesteś pewien?

– Nie mam wątpliwości – rzekł Han. – Dlaczego niby sięgnęli po broń ogłuszającą podczas napaści na Bpfassh? Bo potraktowana nią ciężarna kobieta ma jakieś pięćdziesiąt procent szans na poronienie, i tyle.

– Ma to sens – zgodził się z nim ponuro Lando. – Leia wie?

– Nie wiem. Pewnie się domyśla.

Spojrzał znów na stoły do sabaka. Panująca przy nich atmosfera radosnej dekadencji działała mu na nerwy. Jeśli Torve naprawdę był kontaktem Karrde, powinien już dawno przerwać tę idiotyczną zabawę i podejść do nich, a nie istniało wiele innych możliwości.

Rozejrzał się znów po kasynie, zerknął na bar i zamarł. Teraz dopiero dostrzegł trzech mężczyzn, ledwie widocznych w ciemnym

kącie.

Każdy port handlowy cechowała unikatowa, niemożliwa do podrobienia atmosfera, na którą składały się dziesiątki zapachów, dźwięków i wibracji, natychmiast zauważalnych dla każdego doświadczonego pilota. Obecność przedstawicieli planetarnego biura ochrony wyłapywali równie łatwo.

– Oho! – mruknął.

– Co takiego? – spytał Lando i rozejrzał się od niechcenia po całej sali, aż dostrzegł ten sam stół. – O, widzę. Fakt, oho. Chyba już zaczynam rozumieć, dlaczego Torve chowa się przy stole do sabaka.

– I robi, co może, by nas zignorować – dodał Han, przyglądając się kątem oka agentom biura ochrony.

Próbował wyczuć, czego chcą i na czym skupiła się ich uwaga. Jeśli przybyli tu w ślad za człowiekiem, z którym Han i Lando mieli się spotkać, właściwie miał związane ręce. Mógł jedynie wyciągnąć dowód osobisty Nowej Republiki i próbować ich zakrzyczeć. Nie miał pojęcia, czyby to zadziałało, czy nie. Miał jednak pewność, że bez względu na skutek nie obejdzie się bez utrzymanej w histeryczno-uprzejmym tonie bury ze strony Fey'lyi.

A może po prostu chcieli dopaść Torvego? Może czekający tu ludzie stanowili część operacji, którą wraz z Lando widzieli w dokach?

Cóż, warto było zaryzykować. Wyciągnął rękę i dotknął panelu na środku stołu.

– Obsługa?

– Tak, panowie? – Hologram znów się pojawił.

– Poproszę dwadzieścia żetonów do sabaka.

– Oczywiście – padła odpowiedź i holo znikło.

– Zaraz, zaraz – rzekł ostrożnie Lando, widząc, jak Han dopija swoje wino. – Chyba nie chcesz tam do nich podejść, co?

– A masz lepszy pomysł? – spytał Han, poprawiając blaster w kieszeni. – Jeśli to on jest naszym kontaktem, nie mam zamiaru wypuścić go z ręki.

Lando westchnął z rezygnacją.

– Jak widać, to tyle, jeśli chodzi o dyskretne działanie. Jaką ja mam pełnić w tym funkcję?

– Przyglądaj się i bądź gotów na interwencję.

Środek stołu znów się rozchylił i wyłonił się schludny stosik żetonów do sabaka.

– Wygląda na to, że na razie po prostu go obserwują – dodał Han. – Może uda się go stąd wyciągnąć, zanim agenci doczekają się posiłków.

– A jeśli nie?

Han zebrał żetony i wstał.

– Wtedy spróbuję odwrócić ich uwagę. Spotkamy się na „Sokole”.

– W porządku. Do zobaczenia.

Han zebrał po drodze jedno z krzeseł i usiadł naprzeciwko Torvego. Z metalicznym chrzęstem rzucił na stół swoje żetony.

– Rozdajcie mi też – oznajmił.

Pozostali spojrzeli na niego, jedni z zaskoczeniem, inni z rozdrażnieniem. Sam Torve podniósł głowę raz, a potem drugi.

Han uniósł brew.

– To ty rozdajesz, synu? Dalej, ja też chcę grać.

– Nie, to nie moja kolej – odparł Torve i zerknął na pyzatego mężczyznę po prawej.

– No i już zaczęliśmy – rzekł tamten kwaśno. – Zaczekaj do kolejnego rozdania.

– Przecież jeszcze nie wszyscy się dorzucili. – Han wskazał stosik żetonów w puli podstawowej.

W puli specjalnej z kolei zabrało się już sporo pieniędzy, co oznaczało, że gra toczyła się już od dawna. Przypuszczalnie dlatego rozdający nie chciał przyjąć do gry nikogo nowego, kto mógłby wygrać wszystko.

– Dość tego gadania i daj mi karty! – dodał i dorzucił żeton do puli.

Rozdający, nie przestając mierzyć przybysza nieprzychylnym spojrzeniem, zdjął dwie karty z wierzchu talii i podsunął je Hanowi.

– No, już lepiej – rzekł ten z aprobatą. – Od razu człowieka wspomnienia nachodzą. Swego czasu spuszczałem niezły łomot każdemu, kto zasiadł ze mną do gry.

Torve spojrzał na niego ostro, a jego twarz zastygła niczym lód.

– Coś podobnego – rzekł z udawaną obojętnością. – Wiedz, że teraz przyszło ci grać z dużymi chłopakami. To już nie ta zabawa, co dawniej.

– Na szczęście nie jestem amatorem – oznajmił nonszalancko Han.

„Zaraz, który dok wpadł w oko agentom? – pomyślał. – Sześćdziesiąty trzeci…”

– Ile to ja gier wygrałem tylko w tym miesiącu? – udał zastanowienie. – Będzie z sześćdziesiąt trzy.

Oczy Torvego błysnęły, jakby sobie coś uświadomił.

„A więc to rzeczywiście jego lądowisko…”

– Sporo można wygrać w sześćdziesięciu trzech grach – mruknął Torve i opuścił jedną dłoń pod blat stołu.

Han napiął mięśnie, ale gdy Torve znów podniósł rękę, ta była pusta. Następnie rozejrzał się raz jeszcze dookoła, ledwie zauważalnie zatrzymując wzrok na stoliku, przy którym siedział Lando, po czym znów spojrzał na Hana.

– Serio jesteś gotów postawić forsę czy tylko gadać o tym potrafisz?

Han ze spokojem spoglądał mu w oczy.

– Wymień stawkę, a zobaczysz.

Torve pokiwał powoli głową.

– Pozostaje mi uwierzyć ci na słowo.

– Jestem pewien, że to dla was niezmiernie interesujące – odezwał się jeden z pozostałych graczy. – Ale reszta z nas chciałaby pograć w karty.

Torve uniósł brew.

– Stawka wejściowa to cztery kredyty.

Han zerknął na swoje karty. Miał w ręku Panią Kijów i czwórkę Monet.

– Jasne – rzekł i dorzucił sześć żetonów do puli podstawowej. – Podbijam do sześciu.

Poczuł za sobą gwałtowny ruch i…

– Oszust! – wrzasnął mu niski głos prosto do ucha.

Han podskoczył i obrócił się, odruchowo sięgając po blaster, ale czyjaś dłoń sięgnęła mu przez ramię i wyrwała mu karty.

– Jesteś pan oszustem! – ryknął ten sam człowiek ponownie.

– Nie wiem, o czym pan mówi! – Han odwrócił głowę, by spojrzeć na oskarżyciela.

I momentalnie tego pożałował. Miał za sobą niemal dwukrotnie potężniejszego od siebie brodacza, górującego nad nim niczym rozwścieczona chmura burzowa. Na jego twarzy malowało się święte oburzenie.

– Doskonale pan wie, o czym mówię! – Brodacz wypluwał każde słowo. – Ta karta – krzyczał, machając jedną z dwóch w posiadaniu Hana – to skifter!

Han zamrugał.

– Na pewno nie! – zaprotestował.

Wokół ich stołu szybko gromadził się tłum ochroniarzy i innych pracowników kasyna, a do tego ciekawskich gapiów i paru takich, którzy mieli nadzieję ujrzeć nieco krwi.

– To przecież ta sama karta, którą mi wydano – próbował wyjaśnić.

– Och, czyżby? – Olbrzym ujął kartę w swoją potężną dłoń, podsunął ją Hanowi przed oczy i dotknął palcem drugiej ręki jej rogu. Pani Kijów natychmiast zmieniła się w szóstkę Szabel. Mężczyzna dotknął jej ponownie i oczom Hana ukazał się Umiar. Potem ósemka Flaszek. Idiota. I Dowódca Monet.

– Wydano mi tę kartę! – powtórzył Han, czując, jak pod jego kołnierzem gromadzi się pot. Lando się nie pomylił. O dyskrecji rzeczywiście należało już zapomnieć. – Jeśli to skifter, nie ja go wniosłem.

Niski mężczyzna o zaciętej twarzy przepchnął się obok brodacza.

– Ręce na stół! – rozkazał Hanowi głosem, który krył w sobie zaciekłość równą spojrzeniu. – Proszę się odsunąć, Czcigodny. Poradzimy sobie.

„Czcigodny? – pomyślał Han i raz jeszcze spojrzał na mierzącą go wściekłym spojrzeniem chmurę burzową. Tym razem dostrzegł czarną, najeżoną ciemnymi kryształkami opaskę na szyi olbrzyma, przygniatającą nieliczne kępki włosów. – Czcigodny, co?” – pomyślał z narastającą rozpaczą.

Nie od dziś wiedział, że w galaktyce istniało wiele skrajnie ekstremistycznych grup religijnych, których najważniejszą pasją

było eliminowanie wszelkich form gier hazardowych.

A wraz z nimi hazardzistów.

– Ręce na stół, powiedziałem! – warknął ochroniarz i wyrwał podejrzaną kartę z ręki Czcigodnego. Przyjrzał się jej, wypróbował samodzielnie i pokiwał głową. – Niezły skifter, oszuście – oznajmił i obdarzył Hana najkwaśniejszą ze swoich min.

– Zapewne podmienił kartę po rozdaniu! – wtrącił Czcigodny, który nawet nie drgnął. – Gdzie ona jest, oszuście?

– Karta, którą dostałem, znalazła się właśnie w ręku twojego przyjaciela – odwarknął Han. – Ja nie potrzebuję skiftera, by wygrywać w sabaka! Skoro miałem go w ręku, stało się tak dlatego, że dostałem go od rozdającego.

– Czyżby? – Czcigodny bez ostrzeżenia odwrócił się do pucułowatego gracza, który rozdawał karty. Ten nadal siedział przy stole, choć wokół niego wyrósł już tłum. – Poproszę pańskie karty, jeśli nie ma pan nic przeciwko – rzekł, wyciągnąwszy dłoń.

Tamten otworzył szeroko usta.

– O czym ty mówisz? Dlaczego miałbym wydać komukolwiek skiftera? Poza tym to talia należąca do kasyna! Nie widać?

– Cóż, a więc istnieje tylko jeden sposób, by się przekonać, prawda? – oznajmił Czcigodny i zabrał całą talię. – Wy obaj – wskazał Hana oraz rozdającego – zostaniecie przeskanowani i wtedy się okaże, kto ukrywa dodatkową kartę. Sądzę, że to rozwiąże nasz problem, czyż nie, Kampl? – Spojrzał na wciąż krzywiącego się ochroniarza.

– Wiemy, jak wykonywać naszą pracę, Czcigodny – warknął Kampl. – Cyru, przynieś no tu skaner, co?

Skaner okazał się niewielkim urządzeniem, które można było ukryć w dłoni, co nie stanowiło zaskoczenia, gdyż zaprojektowano je z myślą o działaniu w ukryciu.

– Najpierw ten tutaj. – Kampl wskazał Hana.

– Się robi. – Jego podwładny przesunął skaner wzdłuż sylwetki Hana. – Nic.

Na wciąż wykrzywionej twarzy Kampla po raz pierwszy pojawiła się niepewność.

– Jeszcze raz – rozkazał.

Cyru wykonał polecenie.

– Dalej nic. Ma blaster, komunikator oraz identyfikator. Niczego więcej.

Przez chwilę Kampl patrzył ze złością na Hana, a potem niechętnie zwrócił się ku pucułowatemu rozdającemu.

– Protestuję! – parsknął tamten, zrywając się na równe nogi. – Jestem obywatelem klasy AA! Nie macie prawa obciążać mnie oskarżeniami, które nie mają żadnego potwierdzenia w faktach.

– Możemy cię przeskanować tu albo na posterunku – warknął Kampl. – Wybór należy do ciebie.

W spojrzeniu, jakim pucułowaty obrzucił Hana, krył się czysty jad, ale stał sztywno i czekał, aż technik ochrony zakończy skan.

– On też jest czysty – zadeklarował po chwili, marszcząc lekko brwi.

– Zbadaj podłogę – rozkazał mu Kampl. – Może ktoś ją upuścił.

– I przeliczcie karty w talii – odezwał się Czcigodny.

Kampl odwrócił się gwałtownie ku niemu.

– Po raz ostatni…

– Ponieważ jeśli się okaże, że w grze jest przepisowe siedemdziesiąt sześć kart – przerwał mu Czcigodny drżącym od podejrzliwości głosem – być może mamy do czynienia z ustawioną talią.

Kampl podskoczył, jakby został użądlony.

– Tu się nie ustawia kart! – oznajmił stanowczo.

– Nie? – Czcigodny wbił w niego niechętne spojrzenie. – Nawet wtedy, gdy do gry siadają pewni szczególni gracze? Tacy, którzy wiedzieliby, jak odnaleźć specjalną kartę, gdyby naszła ich potrzeba?

– To idiotyczne! – warknął Kampl i zbliżył się o krok do Czcigodnego. – LoBue to szanujący się lokal, w którym przestrzega się prawa. Żaden z graczy nie ma związków z…

– Ej! – odezwał się nagle pucułowaty rozdający. – A co się stało z tym gościem, który siedział przy mnie? Gdzie się podział?

– Aha! – parsknął Czcigodny. – Żadnych związków, co?

Ktoś zaklął z furią i zaczął przedzierać się przez tłum ku wyjściu. Był to jeden z agentów planetarnej ochrony, który obserwował stół.

Kampl spojrzał na niego, nabrał powietrza i obrócił gniewne spojrzenie na Hana.

– Zdradzisz imię swojego partnera?

– To nie mój partner – oznajmił Han. – A ja nie oszukiwałem w grze. Jeśli chcesz wystosować formalne oskarżenie, zabierz mnie na posterunek i zrób to tam. Jeśli nie – mówiąc to, wstał i zgarnął pozostałe żetony – wychodzę.

Przez dłuższą chwilę był przekonany, że Kampl przejrzy jego blef, ale szef ochrony nie miał żadnych dowodów i dobrze o tym wiedział. Co więcej, najwyraźniej miał na głowie ważniejsze sprawy od angażowania się w coś, co mogło obrócić się przeciwko niemu.

– Zjeżdżaj stąd, jeśli chcesz – warknął. – I nigdy tu nie wracaj.

– Nie martw się o to – rzekł Han.

Tłum zaczynał się rozchodzić i Han nie miał problemów z dotarciem do własnego stolika. Lando, co bynajmniej go nie zaskoczyło, już tam nie zastał. Zdziwiło go jednak to, że przed wyjściem przyjaciel uregulował rachunek.

– Gładko poszło! – powitał go Lando na szczycie rampy wejściowej. – Nie sądziłem, że cię wypuszczą tak prędko.

– Nie mieli do czego się przyczepić – odparł Han, który wbiegł po rampie i wcisnął zamykający ją przycisk. – Mam nadzieję, że Torve ci się nie wymknął.

Lando pokręcił głową.

– Czeka w saloniku. I uważa się za naszego dłużnika! – dodał, unosząc brwi.

– Przyda się – oznajmił Han i ruszył krętym korytarzem.

Torve siedział przy stoliku do gry w holo. Przed nim leżały trzy niewielkie datapady.

– Dobrze znów cię ujrzeć, Torve – rzekł Han od progu.

– Ciebie też, Solo – powiedział tamten z powagą. Powstał i podał Hanowi dłoń. – Podziękowałem już Calrissianowi, ale chciałem i tobie okazać wdzięczność, zarówno za ostrzeżenie, jak i za pomoc w dostaniu się tutaj. Jestem waszym dłużnikiem.

– Daj spokój! – Han machnął dłonią. – Rozumiem, że w doku sześćdziesiątym trzecim naprawdę stoi twój statek?

– Statek mojego szefa, ściślej mówiąc. – Torve się skrzywił. – Na szczęście nie ma na nim żadnej kontrabandy, bo wszystko zdążyłem wyładować, ale bez wątpienia mnie podejrzewają.

– Co przewoziłeś? – spytał Lando, wchodząc do środka w ślad za Hanem. – O ile to nie tajemnica.

Torve uniósł brew.

– Nie, to żadna tajemnica, ale i tak mi nie uwierzycie. Przewoziłem żywność.

– Nie pomyliłeś się – rzekł Lando. – Nie uwierzyłem.

Torve odwrócił głowę i pokiwał nią.

– Z początku, szczerze mówiąc, sam w to nie wierzyłem, ale okazało się, że wśród wzgórz na południu mieszka jakiś klan, któremu obecny rząd nie przypadł do gustu.

– Buntownicy?

– Nie, i to tak naprawdę jest dziwne – rzekł Torve. – Nie buntują się, nie sieją zamętu, nie uprawiają sabotażu, nie siedzą nawet na ważnych surowcach. To zwykli, prości ludzie, którzy chcą tylko móc żyć tak jak dawniej. Rząd jednakże uznał, że należy ich przykładnie ukarać, i nałożył wiele sankcji, w tym odciął im dostawy żywności i zasobów medycznych do chwili, gdy podporządkują się władzy jak wszyscy inni.

– Miejscowi rządzący mają to do siebie – zgodził się Lando z ciężkim sercem. – Nie tolerują żadnej lokalnej autonomii.

– I tak oto przemycamy im zapasy – zakończył Torve. – Porąbana sprawa. Tak czy owak, dobrze was znów ujrzeć. Cieszę się, że nadal pracujecie razem. Tyle zespołów rozleciało się przez ostatnie lata, zwłaszcza po tym, jak Jabba rozstał się z tym światem.

Han spojrzał na Lando, a ten na niego.

– To nie tak, że my po prostu pracujemy razem. Połączyło nas o wiele więcej. Dziwnym trafem znaleźliśmy się po tej samej stronie podczas wojny, bo wcześniej…

– Wcześniej to chciałem go zabić. – Lando pospieszył z wyjaśnieniami. – Normalka.

– Pewnie – rzekł ostrożnie Torve, patrząc to na jednego, to na drugiego. – Niech no zgadnę… Poszło o „Sokoła”? Natknąłem się na plotki, że go ukradłeś, Solo.

Han spojrzał na Lando z uniesionymi brwiami.

– Że go ukradłem? – powtórzył.

– Jak już mówiłem, byłem na ciebie wściekły. – Lando wzruszył ramionami. – Co prawda, nie dopuściłeś się kradzieży w dosłownym tego słowa znaczeniu, ale prawie. Prowadziłem wówczas półlegalny komis używanych statków kosmicznych, a że podczas partyjki sabaka skończyły mi się pieniądze, zaproponowałem Hanowi, by w razie wygranej wybrał sobie któryś z nich. — Spojrzał na Hana z udawanym oburzeniem. – Spodziewałem się, że wybierze któryś z tych błyszczących, krytych chromowanymi płytami jachtów, które zbierały kurz w pierwszym rzędzie, a nie frachtowiec, który po cichu szykowałem dla siebie.

– Nieźle się spisałeś – rzekł Han. – Choć ja i Chewie musieliśmy i tak powyciągać wiele rzeczy i poprzerabiać je na własny sposób.

– Świetnie – warknął Lando. – Jeszcze jeden taki dowcip, a chyba ci go odbiorę.

– Chewiemu przypuszczalnie by się to nie spodobało – rzekł Han i wbił twarde spojrzenie w Torvego. – Ty, oczywiście, wiedziałeś o wszystkim.

Ten uśmiechnął się szeroko.

– Nie bierz tego do siebie, Solo, ale zawsze próbuję się dowiedzieć czegoś o moich klientach, nim przystąpię do negocjacji. Chcę wiedzieć, czy mogę się po nich spodziewać czystej gry. Ludzie, którzy kłamią na temat swojej przeszłości, przypuszczalnie w interesach również nie są szczerzy.

– Mam nadzieję, że udało nam się przejść twoją weryfikację?

– A jakże! – Torve, wciąż uśmiechnięty, skinął głową. – A więc co takiego Talon Karrde może dla was zrobić?

Han ostrożnie wciągnął powietrze. Wreszcie.

Teraz pozostawało mu już tylko jedno zmartwienie – jak tego wszystkiego nie schrzanić.

– Chciałem zaproponować Talonowi Karrde umowę, a z nią szansę pracy dla Nowej Republiki.

Torve pokiwał głową.

– Doszły do mnie słuchy, że próbowałeś wcisnąć ten pomysł innym grupom przemytniczym. Pojawiło się w związku z tym ogólne przekonanie, że próbujesz wystawić je Ackbarowi.

– Wcale nie – zapewnił go Han. – Ackbar nie był zachwycony pomysłem, ale przystał na mój plan. Potrzebujemy zdobyć skądś więcej statków transportowych, a więc logiczne było, że udamy się z tym do przemytników.

Torve zacisnął usta.

– Z tego, co słyszałem, oferta w istocie jest korzystna, choć to nie ja podejmuję takie decyzje.

– A więc zabierz nas do Karrde – zaproponował Lando. – Daj mu szansę porozmawiać z Hanem.

– Przykro mi, ale przebywa teraz w naszej głównej bazie. – Torve pokręcił głową. – Nie mogę was tam zabrać.

– Czemu nie?

– Bo nie zgadzamy się, by obcy wpadali do nas i tak sobie wyjeżdżali – wyjaśnił cierpliwie Torve. – Nie mamy na przykład tak ogromnej ochrony, jaką Jabba otaczał się na Tatooine.

– My nie do końca jesteśmy … – zaczął Lando, ale Han przerwał mu machnięciem ręką.

– Dobra – rzekł do Torve. – Jak chcesz tam wrócić?

Torve otworzył usta i znów je zamknął.

– Wygląda na to, że będę musiał znaleźć sposób na to, by jakoś uwolnić mój statek z rąk władz, no nie?

– To zabierze trochę czasu – stwierdził Han. – A poza tym jesteś tu rozpoznawalnym człowiekiem. Choć ktoś wiarygodny, ktoś, kto okaże odpowiednie dokumenty uwierzytelniające, przypuszczalnie zdołałby go wydostać, zanim ktoś inny zorientowałby się, co się stało.

– Na przykład ty? – Torve uniósł brew.

Han wzruszył ramionami.

– Mógłbym się tego podjąć, choć po awanturze w LoBue sam również powinienem chyba przyczaić się gdzieś i spróbować nie zwracać na siebie uwagi. Ale jestem pewien, że dałbym radę.

– Jesteś pewien, tak? – rzekł sardonicznie Torve. – A w czym tkwi haczyk?

– Nie ma żadnego haczyka – rzekł Han. – W zamian chcę tylko jednego: pozwolisz, byśmy się zabrali z tobą do waszej bazy, a tam utniemy sobie z Karrde pogawędkę. Piętnaście minut, nie więcej.

Torve wpatrywał się w niego z zaciśniętymi ustami.

– Popadnę w nieliche kłopoty, jeśli cię posłucham. Zdajesz sobie z tego sprawę, co?

– Nie jesteśmy pierwszymi z brzegu przygodnymi znajomymi – przypomniał mu Lando. – Raz spotkałem się z Karrde, a Han i ja od wielu lat strzeżemy wielu ważnych sekretów wojskowych Sojuszu. Obaj możemy się poszczycić długą listą ludzi, którzy darzą nas zaufaniem.

Torve spojrzał na Lando, a potem znów na Hana.

– Popadnę w nieliche kłopoty – powtórzył z westchnieniem. – Ale chyba rzeczywiście jestem wam to winien. Postawię jednakże jeden warunek: to ja zajmę się nawigacją. Co więcej, zaprogramuję ją w zaszyfrowanym, zmazywalnym module. O tym, czy w drodze powrotnej będziecie musieli zrobić to samo, zadecyduje Karrde.

– W porządku – zgodził się Han. Paranoja należała do najczęstszych dolegliwości spotykanych u przemytników, a on sam zresztą nie był szczególnie zainteresowany tym, gdzie Karrde uwił sobie gniazdko. – Kiedy możemy ruszać?

– Gdy tylko będziesz gotów – rzekł Torve, a potem ruchem głowy wskazał żetony do sabaka, które Han nadal trzymał w dłoni. – Chyba że chcesz wrócić do LoBue i zagrać – dodał.

Han całkiem o nich zapomniał.

– Ech, niech je szlag trafi – warknął i rzucił je na stolik do hologry. – Co to za gra z fanatykami chuchającymi mi w kark?

– Tak, Czcigodny odstawił naprawdę niezłe widowisko – zgodził się Torve. – Nie wiem, co byśmy zrobili bez niego.

– Zaraz, zaraz – wtrącił Lando. – Ty go znasz?

– Jasne! – Torve wyszczerzył zęby. – To mój kontakt z klanem zamieszkującym wzgórza. Mimo to cieszę się, że dołączyłeś do gry, bo bez nieznajomego, do którego mógł się przyczepić, nie zdołałby wywołać aż takiego zamieszania.

– Co? Co ja słyszę, do jasnej… – Han zgrzytnął zębami. – Czyli to pewnie był jego skifter, co?

– Oczywiście, że jego. – Torve spojrzał niewinnie na Hana. – Dlaczego jednak narzekasz? Masz przecież to, czego chciałeś. Zabieram was na spotkanie z Karrde, no nie?

Han zastanowił się. Torve bez wątpienia miał rację, ale mimo to…

– W porządku – rzekł. – Najwyraźniej pora, by dać sobie spokój z wszelkimi popisami.

Torve parsknął cicho pod nosem.

– I mówisz to ty? Dobra, pokażcie mi swój komputer. Muszę się zabrać za kodowanie modułu nawigacyjnego.

Rozdział 21

Mara podeszła do drzwi sali łączności, zastanawiając się z niepokojem, dlaczego Karrde wezwał ją tak niespodziewanie. Nie wyjawił powodów, ale w jego głosie usłyszała coś, co sprawiło, że obudził się w niej dawny instynkt przetrwania. Upewniła się, że jej mały blaster cały czas wisi lufą do góry w ukrytej w rękawie kaburze, po czym otworzyła drzwi.

Spodziewała się zastać w środku przynajmniej dwóch ludzi – Karrde i człowieka pełniącego dyżur łącznościowy – i być może innych, których jej szef również życzył sobie w tej nagłej sprawie ujrzeć. Tymczasem, ku jej lekkiemu zaskoczeniu, Karrde był sam.

– Wejdź, Maro – zaprosił ją do środka, unosząc głowę znad czytnika danych. – I zamknij drzwi za sobą.

Dziewczyna spełniła polecenie.

– Jakieś kłopoty? – zapytała.

– Nie, jedynie pomniejszy problem – odparł Karrde. – Choć dość dolegliwy. Właśnie otrzymałem wiadomość od Fynna Torvego, że wraca, ale nie sam. Ma gości. Byłych generałów Nowej Republiki, Lando Calrissiana oraz Hana Solo.

Mara poczuła ucisk w żołądku.

– Czego chcą?

Karrde wzruszył lekko ramionami.

– Wygląda na to, że tylko pogadać ze mną.

Myśli Mary na sekundę powróciły do Skywalkera, który nadal był trzymany w przydzielonym mu pomieszczeniu w koszarach.

„Nie – pomyślała. – Absolutnie nie. Jak ktokolwiek w całej Nowej Republice miałby się dowiedzieć, że Skywalker tu trafił?”

Sekretu nie znała nawet większość ludzi Karrde, w tym znaczna część tych, którzy przebywali tu, na planecie Myrkr.

– Lecą własnym statkiem? – spytała.

– Tak naprawdę to wszyscy przybywają na jednym. – Karrde pokiwał głową. – Całą trójką.

Mara zerknęła na sprzęt komunikacyjny za plecami szefa.

– Wzięli go na zakładnika?

– Nie sądzę. – Karrde pokręcił głową. – Hasła, które przekazał Torve, mówią, że wszystko gra. Nie zagraża mu żadne niebezpieczeństwo. „Eteryczny Szlak" nadal znajduje się na Abregado, gdzie został zatrzymany przez miejscowe władze czy coś w tym stylu. Wygląda na to, że Solo i Calrissian pomogli Torve uniknąć podobnego losu.

– No to podziękuj im, poproś, by wysadzili gdzieś Torvego, i każ im zjeżdżać z planety – powiedziała Mara. – Nie zapraszałeś ich tutaj.

– Zgoda – rzekł Karrde, przyglądając się uważnie dziewczynie. – Choć odnoszę wrażenie, że Torve ma wobec nich pewien dług.

– Niech go więc sam spłaca.

Karrde zmrużył lekko oczy.

– Torve to jeden z moich współpracowników – oznajmił chłodnym głosem. – Jego długi są długami całej organizacji. Powinnaś to już wiedzieć.

Mara znów poczuła ucisk w gardle, gdy naszła ją nowa myśl, nagła i przerażająca.

– Nie wydasz im chyba Skywalkera, co? – spytała ostro.

– Masz na myśli żywego Skywalkera? – odpowiedział pytaniem Karrde.

Przez dłuższą chwilę Mara wpatrywała się w niego. Patrzyła na jego nieznaczny uśmiech, nieco ciężkie powieki i obojętność wypisaną na twarzy, ale wiedziała, że to tylko gra. Karrde umierał z ciekawości. Oddałby wiele, by wiedzieć, dlaczego tak nienawidziła Skywalkera. Ba, stawało się to wręcz jego pasją.

Jeśli o nią chodziło, mógł się tym pasjonować do bólu.

– A nie przyszło ci do głowy – warknęła – że Solo i Calrissian mogli zaaranżować to wszystko, łącznie z zarekwirowaniem „Eterycznego Szlaku", by odnaleźć naszą bazę?

– Owszem, przyszło – rzekł Karrde. – Ale odrzuciłem tę myśl jako mało prawdopodobną.

– Jasne – rzekła sardonicznie Mara. – Przecież wielki, szlachetny Han Solo nigdy nie zniżyłby się do tak diabelskiego planu, czyż nie?

Nie odpowiedziałeś mi na pytanie.

– O Skywalkera? Wydawało mi się, że postawiłem sprawę jasno, Mara. Pozostanie tutaj dopóty, dopóki się nie dowiem, dlaczego wielkiemu admirałowi Thrawnowi tak bardzo na nim zależy. Musimy przynajmniej się zorientować, ile jest wart i kto chciałby go kupić, po czym ustalimy za niego cenę rynkową. Zasięgam już tu i ówdzie informacji, a przy odrobinie szczęścia za kilka dni będziemy wiedzieć więcej.

– A tymczasem jego przyjaciele będą tu już za kilka minut.

– Tak – zgodził się Karrde i wydął lekko wargi. – Skywalkera zatem trzeba będzie gdzieś przenieść. Nie możemy pozwolić sobie na to, by Solo czy Calrissian natknęli się na niego przez przypadek. Zamknij go więc w magazynie numer cztery.

– To tam trzymamy jego droida – przypomniała mu Mara.

– Magazyn składa się z dwóch pomieszczeń. Umieść go w drugim – rzekł Karrde i machnięciem ręką wskazał jej talię. – I nie zapomnij, by schować to cacko przed przybyciem naszych gości. Sądzę, że raczej rzuci im się to w oczy.

Mara zerknęła na miecz świetlny Skywalkera, który wisiał przy jej pasku.

– Nie martw się. Jeśli ci to nie przeszkadza, wolałabym nie mieć z nimi do czynienia w czasie ich pobytu.

– Nie miałem wobec ciebie żadnych szczególnych planów – zapewnił ją Karrde. – Chciałem tylko, byś była przy mnie, gdy będę ich witał, i ewentualnie towarzyszyła nam podczas obiadu. Poza tym jesteś wolna.

– Czyli zostaną tu na cały dzień?

– I zapewne również na noc. – Karrde zmierzył ją wzrokiem. – Po pierwsze, tego właśnie należy się spodziewać po dobrym gospodarzu, a po drugie, cóż… Czy przychodzi ci do głowy lepszy sposób, by w razie potrzeby udowodnić całej Republice, że Skywalkera nigdy u nas nie było?

Argumentacja Karrde miała sens, co nie oznaczało, że musiało się to jej podobać.

– Chcesz ostrzec resztę załogi „Dzikiego Karrde”, by trzymali języki za zębami?

– Mam nawet lepszy pomysł! – Karrde skinął głową w kierunku konsoli komunikacyjnej. – Wysłałem wszystkich, którzy wiedzą o Skywalkerze, na „Gwiezdny Lód”, który trzeba przygotować do trasy. A, byłbym zapomniał. Kiedy już umieścisz Skywalkera w jego nowym więzieniu, przesuń jego X-winga dalej w głąb lasu. Nie więcej niż jakieś pięćset metrów, nie chcę, byś bez potrzeby chodziła samotnie po tych terenach. Umiesz latać X-wingiem?

– Umiem latać wszystkim.

– Dobrze. – Karrde znów się lekko uśmiechnął. – A więc bierz się do roboty. „Sokół Millennium” wyląduje za jakieś dwadzieścia minut.

Mara wzięła głęboki oddech.

– W porządku – powiedziała, odwróciła się i wyszła z pomieszczenia.

Idąc w stronę koszar, nie zauważyła nigdzie ani żywej duszy, co z pewnością zostało zaaranżowane przez Karrde. Na pewno poprzydzielał ludziom zadania w innych miejscach, by nikt nie widział, jak Jade prowadzi Skywalkera do magazynu. Mara dotarła do pomieszczenia, w którym go trzymano, i otworzyła drzwi.

Więzień stał przy oknie. Miał na sobie tę samą czarną tunikę, spodnie i wysokie buty, co tego dnia w pałacu Jabby.

Stała wtedy biernie, w milczeniu, i patrzyła.

Patrzyła, jak niszczy jej życie.

– Łap wszystko, co do ciebie należy, i wychodzimy – warknęła i machnęła blasterem. – Przeprowadzka.

Skywalker podszedł do łóżka, nie spuszczając z niej oczu. Co ciekawe, spoglądał nie na dłoń z blasterem, ale na jej twarz.

– Karrde podjął decyzję? – spytał spokojnym głosem, biorąc walizkę.

Przez moment kusiło ją, by go okłamać. By powiedzieć, że to jej własny pomysł, i przekonać się, czy udałoby się jej tym samym zburzyć spokój Jedi, który doprowadzał ją do szału. Niemniej nawet Jedi, gdyby poczuł się zagrożony, mógł stawić zaciekły opór, a ona nie miała czasu na szamotaninę.

– Przenoszę cię do jednego z magazynów – oznajmiła. – Niebawem będziemy mieli gości, a nie znaleźliśmy żadnego

uroczystego stroju w twoim rozmiarze. Dalej, ruszamy.

Przeprowadziła go obok centralnego budynku bazy i skierowała się w stronę magazynu numer cztery, który stał na tyłach, z dala od najbardziej uczęszczanych dróg. Pomieszczenie po lewej, w którym najczęściej przechowywano delikatny bądź niebezpieczny sprzęt, było również jedynym, którego drzwi wyposażono w zamek, co niewątpliwie podsunęło Karrde pomysł wykorzystania go w charakterze zaimprowizowanego aresztu. Nie spuszczając Skywalkera z oczu, Mara otworzyła drzwi, zastanawiając się w duchu, czy Karrde nie wyłączył już przypadkiem wewnętrznego mechanizmu. Drzwi rozsunęły się i wystarczył jeden rzut oka, by wiedziała, że tak się nie stało.

Cóż, łatwo to było poprawić.

– Właź – oznajmiła. Włączyła światło w środku i ponagliła Luke'a do wejścia.

Skywalker spełnił jej polecenie.

– Przytulnie tu – stwierdził, rozglądając się po pozbawionych okien ścianach i ustawionych jedna na drugiej wielkich skrzyniach przeznaczonych do transportowania towarów, wypełniających prawie połowę powierzchni. – I pewnie też cicho.

– Idealnie się nadaje do medytacji Jedi – zadrwiła Mara.

Zauważyła skrzynię z napisem „dyski do blasterów". Podeszła i zajrzał do środka, ale ujrzała tam tylko stertę zapasowych kombinezonów. Obejrzała też wszystkie pozostałe, by mieć pewność, że w magazynie nie ma niczego, co mogłoby pomóc Skywalkerowi w ucieczce.

– Potem ci skombinuję jakąś pryczę – oznajmiła, kierując się ku drzwiom. – I coś do jedzenia.

– Póki co nic mi nie trzeba.

– Tak jakby mnie to obchodziło – odparła.

Wewnętrzny mechanizm zamka krył się za cienką metalową płytą. Wystarczyły dwa strzały z blastera, by płytka odgięła się od tyłu, a trzeci zniszczył pęk kabli.

– Naciesz się ciszą – rzekła i wyszła.

Drzwi znów się zasunęły i Luke pozostał sam.

Rozejrzał się dookoła. Sterty skrzyń, brak okien, drzwi z pojedynczym zamkiem.

– Bywałem w gorszych miejscach – mruknął pod nosem. – Przynajmniej nie ma tu rankora.

Zmarszczył brwi. Nie miał pojęcia, dlaczego akurat jama z rankorem w pałacu Jabby przyszła mu do głowy właśnie teraz, ale nie zastanawiał się nad tym długo. Brak jakichkolwiek przygotowań czy wygód świadczył o tym, że decyzję o przeniesieniu go w inne miejsce podjęto spontanicznie. Być może wpływ na to miało rychłe pojawienie się tych gości, o których wspomniała mu Mara.

Jeśli się nie mylił, być może właśnie pojawiła się szansa, że gdzieś w tym całym idiotycznym zamieszaniu Karrde i jego ludzie wreszcie popełnili błąd.

Podszedł do drzwi, odsunął wciąż ciepłą płytkę i uklęknął, by przyjrzeć się z bliska mechanizmowi zamka. Swego czasu Han przez kilka godzin próbował nauczyć go technik otwierania zamków na zwarcie, jeśli więc wystrzały Mary nie spowodowały zbyt wielkich uszkodzeń, być może udałoby się zmusić drzwi do rozsunięcia.

Na pierwszy rzut oka sytuacja nie wyglądała dobrze. Luke nie miał pojęcia, czy zadecydował o tym przypadek, czy też Mara dobrze wiedziała, co robi, ale przewody prowadzące do wewnętrznego źródła zasilania zostały zniszczone aż po kanał kablowy biegnący w ścianie, gdzie Skywalker nie był w stanie już ich dosięgnąć.

Ale może udałoby mu się znaleźć inne źródło zasilania…

Wstał, otrzepał kolana i skierował się ku ułożonym skrzętnie skrzyniom i pudłom. Mara przyglądała się ich oznaczeniom, ale zajrzała do zaledwie jednego. Może jemu udałoby się odnaleźć coś więcej?

Przeszukiwanie magazynu potrwało jednakże jeszcze krócej niż oględziny zamka. Większość skrzyń została szczelnie zamknięta i Luke nie był w stanie sforsować zabezpieczeń, a te, które udało się otworzyć, zawierały ubrania, części zamienne i inne zbędne drobiazgi.

„Dobrze, w porządku – pomyślał, siedząc na skraju którejś ze skrzyń i szukając inspiracji. – Drzwi nie otworzę. Okien też nie ma. Ale magazyn składa się przecież z dwóch pomieszczeń… Widziałem drugie drzwi, gdy Mara wprowadzała mnie do środka. Może istnieje jakieś niewielkie przejście między pomieszczeniami, zasłonięte stertami skrzyń?”

Oczywiście prawdopodobieństwo było znikome, bo Mara nie przeoczyłaby niczego tak oczywistego. Niemniej Luke nie miał czym się zająć, a czas był jedyną rzeczą, na brak której nie narzekał. Wstał i zabrał się za zdejmowanie skrzyń i rozsuwanie ich na boki.

Na to, czego szukał, natknął się niemalże natychmiast. Nie było to, co prawda, przejście, ale coś równie przydatnego – zestaw kilku gniazdek umieszczonych tuż nad listwą podłogową.

Karrde i Mara popełnili błąd.

Metalowa płytka została nadwerężona i wygięta wystrzałem Mary, przez co nie stawiała wielkiego oporu. Luke złapał ją mocno i wyginał ją to w jedną, to w drugą stronę, aż w ręku został mu mniej więcej trójkątny kawałek blachy. Metal był zdecydowanie zbyt miękki, by za jego pomocą otworzyć którąkolwiek z zapieczętowanych skrzyń, ale zapewne udałoby mu się wykorzystać go, by odkręcić śruby.

Powrócił do gniazdka i wcisnął się w ciasny przesmyk między skrzyniami i ścianą. Próbował właśnie wetknąć swój zaimprowizowany śrubokręt w szczelinę najbliższej śruby, gdy usłyszał ciche piśnięcie.

Zamarł, nasłuchując. Dźwięk rozległ się ponownie, po czym nastąpiła seria równie cichych ćwierknięć. Doskonale mu znanych ćwierknięć.

– Artoo? – zawołał cicho. – To ty?

Przez kilka uderzeń serca w sąsiednim pomieszczeniu panowała cisza, aż nagle rozległa się wręcz eksplozja elektronicznych pisków i świergotów. Nie było wątpliwości, że to R2-D2.

– Spokojnie, Artoo! – zawołał Luke. – Chcę spróbować otworzyć to gniazdko! Po twojej stronie też pewnie jakieś jest. Możesz się do niego dostać?

W dźwiękach, którymi odpowiedział droid, Luke usłyszał niesmak.

– Nie da się, co? Dobra, to poczekaj chwilę.

Nie było łatwo posługiwać się trójkątnym kawałkiem blachy, tym bardziej w tak ciasnej przestrzeni, ale wystarczyło kilka minut, by Luke zdołał zdjąć pokrywę i odsunąć kable. Pochylił się i zerknął w głąb otworu, gdzie ujrzał tyły gniazdek zainstalowanych w pomieszczeniu R2-D2.

– Chyba nie otworzę z tej strony twojego gniazdka! – zawołał do droida. – Twoje pomieszczenie jest zamknięte?

R2-D2 zaprzeczył piśnięciem, a potem Luke usłyszał cichy, intensywny skowyt silnika, jakby droid obracał kółkami z ogromną prędkością.

– Bolec ograniczający? – spytał Luke.

Kółka znów zawyły.

– Czy obręcz?

R2-D2 potwierdził przeraźliwym piśnięciem, z którego przebijała frustracja. Zgadzałoby się. Bolec ograniczający pozostawiał ślad na zewnętrznej powłoce, podczas gdy obręcz, zaciśnięta na dolnej części kadłuba droida, nie wyrządzała mu krzywdy, chyba że starłby nieco kółka podczas usilnych prób zerwania się.

– Nie przejmuj się. – Luke dodał mu otuchy. – Jeśli wyciągnę ze ściany przewód na tyle długi, by dosięgnął drzwi, przypuszczalnie zdołam je otworzyć. Wtedy obaj się stąd wydostaniemy.

Działał ostrożnie, by nie poraził go prąd, ale po chwili zdołał odnaleźć kabel niskiego napięcia i zaczął go delikatnie wyciągać. Udało mu się pozyskać go więcej, niż się spodziewał – do chwili, gdy napotkał opór, wyciągnął go ponad półtora metra.

Więcej, niż się spodziewał, ale wciąż o wiele za mało. Drzwi znajdowały się w odległości czterech metrów w linii prostej, a on przecież potrzebował jeszcze nieco zapasu, by spleść przewód z mechanizmem zamka.

– Potrzebuję jeszcze paru minut! – zawołał do R2-D2, próbując się skupić.

Skoro wyciągnął półtora metra kabla niskiego napięcia, pozostałe gniazdka prawdopodobnie miały tyle samo zapasu. Gdyby więc

udało się wyszarpnąć i odciąć kable z dwóch innych, uzyskałby tyle, ile należy. Należało się więc już tylko zastanowić nad tym, jak go przeciąć.

I jak uniknąć przy tym porażenia prądem.

– Oddałbym wszystko za mój miecz świetlny, choćby na minutę – mruknął, badając krawędź zaimprowizowanego śrubokrętu. Blacha nie była ostra, ale przecież kable nadprzewodzące do bardzo grubych nie należały.

Wyciągnięcie pozostałych przewodów zabrało jedynie chwilę, a wówczas Luke wstał, zdjął tunikę, owinął rękaw dwa razy wokół blachy i zabrał się do piłowania.

Pierwszy z kabli był już przecięty do połowy, gdy dłoń Luke ześlizgnęła się z owiniętego materiałem kawałka metalu i musnęła metalową żyłkę w środku przewodu. Cofnął się odruchowo i uderzył potylicą o ścianę.

I wtedy wszystko zrozumiał.

– Aha – mruknął, wpatrzony w rozcięty kabel.

R2-D2 gwizdnął, ciekaw, co się stało.

– Właśnie dotknąłem jednego z kabli – poinformował Luke droida. – I nie poraziło mnie.

R2-D2 gwizdnął.

– Właśnie – zgodził się Luke. Dotknął metalowej żyłki po raz drugi, a potem przycisnął do niej palec.

A więc Karrde i Mara nie popełnili jednak żadnego błędu. Po prostu zawczasu odcięli zasilanie.

Luke klęczał przez moment, trzymając kabel, i zastanawiał się, co teraz pocznie. Miał odpowiednią długość przewodu, ale żadnego źródła prądu. Każdy z modułów zamiennych w magazynie dysponował własnym zasilaniem, ale Luke nie był w stanie otworzyć żadnej ze skrzyń. Czy dałoby się jakoś wykorzystać przewód, by otworzyć którąś z nich? Może udałoby mu się przeciąć zewnętrzną warstwę szczeliwa?

Złapał kabel i szarpnął mocno, próbując oszacować jego ciągliwość. Palce Luke'a ślizgały się po izolacji, a więc oplótł przewód wokół prawej dłoni…

I nagle zamarł, czując mrowienie z tyłu karku.

Jego prawa dłoń była sztuczna! Sztuczna i dysponowała podwójnym źródłem zasilania!

– Artoo, czy wiesz coś o wymianie cybernetycznych kończyn? – zawołał i podważył kawałkiem blachy klapkę na nadgarstku.

Droid milczał przez moment, po czym odpowiedział ostrożnym, mało przekonującym świergotem.

– Nie potrzeba wiele – zapewnił Luke droida, przyglądając się plątaninie kabli i wspomagaczy we wnętrzu dłoni. Zupełnie zapomniał, jak niebywale złożony jest cały mechanizm. – Muszę jedynie wyciągnąć jedno ze źródeł energii. Możesz opisać mi całą procedurę?

Tym razem przerwa była krótsza, a odpowiedź o wiele bardziej zdecydowana.

– Dobrze – stwierdził Luke. – Bierzmy się więc do dzieła.

Rozdział 22

Han zakończył prezentację i rozsiadł się w fotelu, czekając na reakcję.

– Ciekawe – rzekł Karrde. Uśmiechał się niezobowiązująco, z lekkim rozbawieniem, przez co nie sposób było odgadnąć, o czym naprawdę myśli. – Doprawdy ciekawe. Zakładam, że Rada Tymczasowa będzie gotowa przedstawić gwarancje prawne tego układu?

– Zagwarantujmy wszystko, co się da – przekazał mu Han. – Ochronę waszych statków, legalność działań i tak dalej. Naturalnie nie możemy zagwarantować wysokości konkretnych dochodów czy innych podobnych kwestii.

– Naturalnie – rzekł Karrde i przeniósł spojrzenie na Lando. – Coś mało pan mówi, generale Calrissian. Jaką rolę odgrywa pan w tym przedsięwzięciu?

– Rolę przyjaciela – odparł Lando. – Kogoś, kto wiedział, jak się z panem skontaktować, i był w stanie poręczyć za Hana jako człowieka uczciwego i godnego zaufania.

– Uczciwego i godnego zaufania. – Karrde uśmiechnął się lekko. – Ciekawy dobór przymiotników w odniesieniu do człowieka cieszącego się tak burzliwą, niejasną reputacją jak kapitan Solo.

Han skrzywił się i zadał sobie w myślach pytanie, który incydent Karrde miał na myśli. Sam przed sobą musiał przyznać, że było z czego wybierać.

– Wszystko to, co mogło ją nadszarpnąć, pozostawiłem już dawno za sobą – oznajmił.

– Oczywiście – zgodził się Karrde. – Jak już nadmieniłem, pańska propozycja jest bardzo ciekawa. Niemniej raczej nie pasuje do mojej organizacji.

– A mogę wiedzieć, dlaczego nie? – spytał Han.

– Odpowiedź jest bardzo prosta – odparł Karrde i upił łyk ze swojego kieliszka. – Jeśli przystaniemy na pański układ, Solo, tu

i ówdzie pojawi się przekonanie, że opowiadam się po stronie konfliktu. Zważywszy zaś na rozmiar naszych operacji i rejony, w których się odbywają, nie byłaby to z mojej strony najsensowniejsza decyzja.

– Rozumiem. – Han pokiwał głową. – Chciałbym jednakże móc pana przekonać, że istnieją sposoby, by zataić naszą współpracę przed innymi klientami.

Karrde znów się uśmiechnął.

– Myślę, że nie docenia pan możliwości wywiadu Imperium, kapitanie Solo – rzekł. – Oni wiedzą o wiele więcej o posunięciach Republiki, niż się panu może wydawać.

– Coś podobnego – skrzywił się Han, zerkając na Lando. – A skoro już o tym mówimy, przypomniało mi się, że chciałem wypytać pana o jeszcze jedną rzecz. Lando powiedział, że być może słyszał pan o hakerze, który byłby w stanie złamać szyfry dyplomatyczne.

Karrde przechylił lekko głowę.

– Ciekawa prośba – stwierdził. – Tym bardziej że wychodzi od człowieka, który powinien do takich szyfrów mieć dostęp. Czyżby w najwyższych kręgach Nowej Republiki rodziła się nowa intryga?

Przez umysł Hana przemknęła jego ostatnia rozmowa z Winter i jej zawoalowane ostrzeżenia.

– To czysto osobista sprawa – zapewnił rozmówcę. – No, w każdym razie w znacznej mierze osobista.

– Ach – westchnął Karrde. – Tak się składa, że jeden z najlepszych hakerów będzie dziś gościł u mnie na obiedzie. Mam nadzieję, że przyjmiecie zaproszenie?

Nieco zaskoczony Han zerknął na zegarek. Piętnaście minut obiecane mu przez Torvego już rozciągnęło się do dwóch godzin.

– Nie chcemy zabierać panu więcej czasu…

– Ależ niczego mi nie zabieracie – zapewnił go Karrde, po czym postawił swój kieliszek i podniósł się. – Nadmiar spraw na głowie powoduje, że, jakże często, całkiem zapominamy o obiedzie, co rekompensujemy sobie późną, pospiesznie jedzoną kolacją.

– Dobrze pamiętam ten cudowny rozkład dnia w życiu przemytniczym – odparł z krzywym uśmiechem Han. Przez jego

umysł przemknęły wspomnienia. – Człowiek mógł się uważać za szczęściarza, jeśli w ogóle udało mu się zjeść dwa posiłki dziennie.

– W rzeczy samej – zgodził się Karrde. – Pozwólcie, że wskażę drogę.

Han zdążył już zauważyć, że główny budynek składa się z trzech bądź czterech koncentrycznych kręgów, a w centralnym pomieszczeniu wyrasta osobliwe drzewo. Pokój, do którego prowadził ich Karrde, znajdował się tuż za salą z drzewem, żeby zaś do niego dotrzeć, musieli pokonać czwartą część kręgu. Znajdowało się tam kilka okrągłych stołów, z których część była już zajęta.

– Nie mamy tu żadnego protokołu dotyczącego posiłków – oznajmił Karrde.

Podprowadził gości w kierunku centralnie usytuowanego stołu. Siedziało już przy nim czworo ludzi: trzech mężczyzn oraz kobieta. Karrde wskazał wolne krzesła.

– Dobry wieczór – zwrócił się do siedzących przy stole. – Pozwólcie, że przedstawię wam Calrissiana i Solo, którzy zjedzą dziś wieczór z nami. Oto moi współpracownicy – zwrócił się do gości. – Wadewarn, Chin i Ghent, który jest tym wspomnianym przeze mnie hakerem, być może najlepszym na rynku. A Marę Jade – wskazał kobietę – już poznaliście.

– Prawda – zgodził się Han i skinął jej uprzejmie, po czym usiadł.

Po plecach przebiegł mu dreszczyk. Mara towarzyszyła szefowi organizacji, gdy ten przyjął ich w swojej niby-sali tronowej. Nie pozostała z nimi długo, ale dobrze ją zapamiętał, bo kobieta przez cały czas wbijała w niego i w Lando nieprzychylne spojrzenie pięknych, intensywnie zielonych oczu.

Mniej więcej tak jak teraz.

– A więc to ty jesteś Han Solo – odezwał się żywo Ghent. – Sporo o tobie słyszałem. I zawsze chciałem cię poznać.

Han zapomniał o Marze i przeniósł na niego wzrok. Haker był bardzo młodym człowiekiem, nieledwie nastolatkiem.

– Miło jest cieszyć się sławą – powiedział. – Ale nie zapominaj, że wszystko, co słyszałeś, to tylko opowieści, a każda z nich rozrasta się z każdym kolejnym opowiadającym.

– Jest pan o wiele zbyt skromny – rzekł Karrde i skinął na przysadzistego droida, który wyjechał ku nim z tacą. Piętrzyło się na niej coś, co przypominało zwinięte liście. – Trudno byłoby na przykład upiększyć ten incydent z zygerriańskimi handlarzami niewolników.

Lando oderwał na moment wzrok od tacy niesionej przez robota.

– Z zygerriańskimi handlarzami niewolników? – spytał. – Nigdy mi o tym nie mówiłeś.

– Bo to nic ważnego – rzekł Han. Jego spojrzenie ostrzegało Lando, by natychmiast porzucił temat.

Ghent jednakże niczego nie zauważył bądź był zbyt młody, by zrozumieć, co ten wzrok oznacza.

– Kapitan Solo wraz z Chewbaccą zaatakowali okręt niewolniczy Zyggerian – wyjaśnił z zapałem. – Tylko we dwójkę! Zygerrianie tak się wystraszyli, że porzucili własną jednostkę!

– Byli bardziej piratami niż handlarzami – odparł Han, poddając się. – I wcale się mnie nie wystraszyli. Porzucili okręt dlatego, że zagroziłem im inspekcją. Powiedziałem, że mam na pokładzie dwudziestu szturmowców i chętnie sprawdzę ich licencję na przewóz towarów.

– I uwierzyli w to? – Lando uniósł brwi.

– Nadawałem pożyczony sygnał identyfikacyjny Imperium. – Han wzruszył ramionami.

– A wiecie, co się potem wydarzyło? – wtrącił Ghent. – Oddał okręt niewolnikom, których uwolnił z ładowni! Tak po prostu! Oddał im wszystko, zarówno jednostkę, jak i towar.

– Ależ ty miękniesz z wiekiem… – Lando uśmiechnął się szeroko i ugryzł jeden ze zwiniętych liści. – Nic dziwnego, że mi o tym nie opowiadałeś.

Han z najwyższym trudem zachował cierpliwość.

– W ładowniach był piracki łup! – warknął. – I to łatwy do wytropienia. Poza tym byliśmy niedaleko Janodral Mizar, a tam panowało wówczas osobliwe prawo, że w wypadku śmierci pirata bądź handlarza niewolników jego ofiary mogą się podzielić łupem.

– Z tego, co wiem, to prawo nadal obowiązuje – mruknął Karrde.

– Przypuszczalnie. Co więcej, byłem z Chewiem, a znacie jego zdanie o handlarzach niewolników.

– Taa – rzekł sucho Lando. – Zyggerianie mieliby więcej szans z dwudziestoma szturmowcami.

– A gdybym po prostu nie oddał tego statku… – zaczął Han, ale urwał, gdy rozległo się ciche piśnięcie.

– Przepraszam – odezwał się Talon i odpiął komunikator od paska. – Tu Karrde.

Han nie był w stanie usłyszeć ani słowa, ale nagle odniósł wrażenie, że twarz przemytnika stężała.

– Zaraz tam będę – rzekł.

Podniósł się i wsunął komunikator za pas.

– Jeszcze raz bardzo was przepraszam – oznajmił. – Muszę się zająć pewną drobną sprawą.

– Kłopoty? – spytał Han.

– Mam nadzieję, że nie – rzucił Karrde i spojrzał na jeszcze kogoś. Han kątem oka zauważył, że Mara również wstaje. – Liczę na to, że za kilka minut będę z powrotem. Smacznego!

Wyszli, a Han spojrzał na Lando.

– Mam złe przeczucia – mruknął.

Lando pokiwał głową. Odprowadził Karrde i Marę wzrokiem, a na jego obliczu pojawiła się dziwna mina.

– Ja już ją gdzieś widziałem, Han – szepnął. – Nie wiem, gdzie, ale na pewno gdzieś to było. I nie sądzę, by była wówczas przemytniczką.

Han spojrzał na pozostałych, którzy szeptali coś między sobą. W ich oczach pojawiła się czujność. Nawet Ghent wyczuł atmosferę napięcia i pospiesznie kończył przystawki.

– No to szybko przypomnij sobie jakieś szczegóły, chłopie – powiedział cicho do Lando. – Bo niewykluczone, że przyjdzie nam tu przebywać dłużej, niż zakładaliśmy.

– Robię, co mogę. A do tego czasu?

Do ich stołu podtoczył się kolejny droid z miskami zupy.

– Do tego czasu – rzekł Han – jedzmy jak gdyby nigdy nic.

– Wyszedł z prędkości nadświetlnej jakieś dziesięć minut temu – rzekł Aves przez ściśnięte gardło, wskazując punkt na ekranie. – Kapitan Pellaeon skontaktował się z nami dwie minuty później. Chce rozmawiać z tobą.

Karrde potarł palcem dolną wargę.

– Zauważono jakieś promy czy myśliwce? – zapytał.

– Jeszcze nie. – Aves pokręcił głową. – Ale ustawienie statku sugeruje, że za moment uwolni jakąś mniejszą jednostkę. Jej strefa lądowania to przypuszczalnie nasza okolica.

Karrde pokiwał głową zamyślony.

„Idealne wyczucie czasu – pomyślał. – Tylko dla kogo?"

– Gdzie ostatecznie umieściliśmy „Sokoła Millennium"?

– Na lądowisku numer osiem.

„A więc na skraju lasu – pomyślał Karrde. – Dobrze się składa".

Drzewa na Myrkr zawierały sporo metalu, co pomagało w zamaskowaniu statku przed sensorami „Chimaery".

– Weź dwóch ludzi i biegnijcie narzucić na niego sieć kamuflażową – przykazał Avesowi. – Nie mam zamiaru ryzykować. I nie rób zamieszania. Nie chcę, by cokolwiek zaalarmowało naszych gości.

– Robi się – rzucił Aves, ściągnął słuchawki i popędził ku wyjściu z pomieszczenia.

Karrde spojrzał na Marę.

– Intrygujący moment na wizytę.

Dziewczyna wpatrywała się w niego hardo, bez mrugnięcia okiem.

– Jeśli w ten jakże subtelny sposób chcesz się dowiedzieć, czy to ja ich wezwałam, czy też nie, daj sobie spokój. Nie mam z tym nic wspólnego.

Karrde przechylił głowę.

– Doprawdy? Jestem nieco zdziwiony.

– Ja właściwie też – odcięła się dziewczyna. – Bo już dawno powinnam była o tym pomyśleć.

Ruchem głowy wskazała mu słuchawkę.

– Porozmawiasz z nim czy nie?

– Nie sądzę, bym miał jakiś wybór – rzekł Karrde.

Przygotowując się w duchu na wymianę zdań, zajął miejsce Avesa, nałożył słuchawkę i włączył transmisję.

– Kapitanie Pellaeon, tu Talon Karrde – odezwał się. – Przepraszam, że musiał pan tak długo czekać. Co mogę dla pana zrobić?

Z ekranu znikł odległy kształt „Chimaery", ale zamiast Pellaeona Karrde ujrzał oblicze rodem z koszmarów. Patrzył na długą, szczupłą twarz z błękitną skórą i czerwonymi oczami, które mieniły się niczym dwa kawałki rozżarzonego żelaza.

– Dzień dobry, kapitanie Karrde – odezwał się nieznajomy czystym, melodyjnym głosem osoby wykształconej. – Jestem wielki admirał Thrawn.

– Dzień dobry, admirale. – Karrde skinął na powitanie, udając, że pojawienie się nowego rozmówcy nie zrobiło na nim wrażenia. – Cóż za niespodziewany zaszczyt. Czy mogę wiedzieć, z jakiego powodu kontaktuje się pan ze mną?

– Myślę, że po części już pan odgadł – powiedział Thrawn. – Okazało się, że potrzebujemy więcej isalamirów i chcielibyśmy poprosić o zgodę na zebranie większej liczby osobników.

– Oczywiście – rzekł Karrde, choć podświadomie zaczął odczuwać pewne wątpliwości. W postawie Thrawna było coś dziwnego, a poza tym… Przecież przedstawiciele Imperium nie potrzebowali wcale jego zgody, by zbierać isalamiry z drzew.

– Jeśli wolno mi coś powiedzieć, odnoszę wrażenie, że szybko wam się kończą. Czyżbyście mieli trudności z ich hodowlą?

Thrawn uniósł brew w geście uprzejmego zdziwienia.

– Żaden z nich nie zdechł, kapitanie. Po prostu potrzeba nam ich więcej.

– Ach – odparł Karrde. – Rozumiem.

– Wątpię, ale nie ma to znaczenia. Przyszło mi jednak do głowy, kapitanie, że skoro już spędzimy tu chwilę, moglibyśmy skorzystać z okazji i zamienić parę słów.

– Na jaki temat?

– Och, jestem pewien, że znajdziemy kilka tematów, które zainteresują nas obu – rzekł Thrawn. – Na przykład ja obecnie rozglądam się za okrętami wojennymi.

Dzięki długoletniemu doświadczeniu Talon zamaskował szok – zarówno jego twarz, jak i głos pozostały całkowicie obojętne – ale admirał niemalże go zaskoczył.

– Za okrętami wojennymi? – zapytał ostrożnie.

– Owszem. – Thrawn zaszczycił go lekkim uśmiechem. – Proszę się nie martwić. Nie oczekuję, że będzie miał pan okręty flagowe na stanie, ale człowiek z pańskimi kontaktami z pewnością wie, gdzie je nabyć.

– Wątpię, czy moje kontakty sięgają aż tak daleko, admirale – powiadomił go Karrde, próbując przeniknąć twarz rozmówcy, niby ludzką, ale jednocześnie mało ją przypominającą. Czyżby wiedział? A może to pytanie było tylko wyjątkowym niebezpiecznym zbiegiem okoliczności? – Nie sądzę, byśmy potrafili panu pomóc – dodał.

Wyraz twarzy Thrawna nie zmienił się, ale niespodziewanie w jego uśmiechu błysnęła groźba.

– Ale mimo to podejmie pan próbę. Chciałbym również poruszyć temat pańskiej odmowy wzięcia udziału w naszych poszukiwaniach Luke'a Skywalkera.

Napięcie w sercu przemytnika zelżało. Nagle znalazł się bowiem na bezpieczniejszym terytorium.

– Przykro mi, admirale, ale nie mogliśmy w tym pomóc. Wyjaśniłem już pańskiemu pełnomocnikowi, że zwyczajnie zabrakło nam czasu. Mieliśmy wówczas kilka naprawdę napiętych terminów i nie mogliśmy oddelegować żadnego statku do poszukiwań.

Thrawn uniósł lekko brwi.

– Wówczas, powiedział pan? Ale przecież poszukiwania nadal trwają, kapitanie.

Karrde przeklął się w myślach za nieostrożne sformułowanie.

– Naprawdę? – spytał, marszcząc czoło. – Według słów pańskiego pełnomocnika Skywalker latał myśliwcem typu Incom X-wing. Skoro jeszcze go nie znaleźliście, jego system podtrzymywania życia już dawno przestał działać.

– Ach. – Thrawn pokiwał głową. – Już rozumiem, na czym polega nieporozumienie. W innych okolicznościach miałby pan rację, ale Skywalker to Jedi, a ci mają cały zestaw asów w rękawie. Jedną z nich jest umiejętność zapadnięcia w stan zbliżony do śpiączki.

Urwał, a obraz na ekranie zamigotał przez moment.

– Innymi słowy, ma pan jeszcze mnóstwo czasu, by wziąć udział w poszukiwaniach.

– Rozumiem – rzekł Karrde. – Ciekawe. Podejrzewam, że istnieje jeszcze wiele tajemnic Jedi, o których zwykły śmiertelnik nie ma pojęcia.

– Być może będziemy mieli czas, by je omówić, gdy przybędę na Myrkr – rzekł Thrawn.

Karrde zesztywniał. Przypomniał sobie migotanie, które ujrzał przed chwilą, i uświadomił sobie, co ono oznacza. Zgroza spłynęła po jego plecach niczym prąd elektryczny.

Zerknął na ekran sensora pomocniczego, co tylko potwierdziło jego podejrzenia. Z hangarów „Chimaery" wyleciały trzy promy typu Lambda i pełna eskorta myśliwców TIE. Jednostki skierowały się ku powierzchni.

– Obawiam się, że nie uda mi się ugościć pana tak jak należy, admirale – powiedział, choć trudno mu było poruszać zesztywniałymi nagle wargami. – Gdybym dowiedział się wcześniej…

– Nie chcę, by ktoś mnie gościł – zapewnił go Thrawn. – Jak już powiedziałem, przybywam po prostu na rozmowę. Krótką rozmowę, rzecz jasna. Dobrze wiem, jak bardzo jest pan zajęty.

– Jestem głęboko wdzięczny za pańską troskę – rzekł Karrde. – A teraz, jeśli pan wybaczy, muszę zacząć przygotowania, by pana przyjąć.

– Ogromnie się cieszę na nasze spotkanie – rzekł Thrawn.

Jego twarz znikła, a na ekranie znów się pojawiła odległa sylwetka „Chimaery".

Dłuższą chwilę Karrde siedział nieruchomo, a przez jego umysł przemykały z ogromną prędkością najrozmaitsze scenariusze, zarówno te, w których otwierają się przed nim nowe szanse, jak i te, które kończą się potencjalną katastrofą.

– Łap za komunikator i szukaj China – odezwał się do Mary. – Przekaż mu, że lada moment będziemy mieć gości z Imperium. Niech się przygotuje, by przyjąć ich jak należy. Potem leć na lądowisko numer osiem i każ Avesowi przesunąć „Sokoła" jeszcze

dalej w głąb lasu. Zapomnij o komunikatorze. „Chimaera” może nas podsłuchiwać.

– A Solo i Calrissian?

Karrde zacisnął usta.

– Musimy się ich pozbyć, to jasne. Trzeba ich zaprowadzić do lasu, być może w pobliże ich statku. Lepiej będzie, jak sam się tym zajmę.

– A czemu nie oddać ich Thrawnowi?

Karrde spojrzał na nią, na jej płonące oczy i nieporuszoną, perfekcyjnie kontrolowaną twarz.

– Przecież nie wyznaczono za nich nagrody – rzekł. – Naprawdę wierzysz w to, że wielki admirał mimo wszystko okaże się szczodrym człowiekiem?

– To akurat niezbyt mnie przekonuje.

– Mnie również. Skupiłbym się na tym, że to nasi goście. Siedzieli przy naszym stole i jedli z nami obiad. Może ci się to podobać albo nie, ale są teraz pod naszą ochroną.

Wargi Mary drgnęły.

– Czy te zasady gościnności dotyczą również Skywalkera? – spytała sardonicznie.

– Sama wiesz, że nie, ale to nie moment, by oddać go Imperium, nawet jeśli podejmiemy w końcu taką właśnie decyzję. Rozumiesz?

– Nie – warknęła Mara. – Nie rozumiem.

Karrde przyjrzał się jej uważnie. Kusiło go, by powiedzieć, że nie musi niczego rozumieć, bo jej zadaniem jest wypełnianie poleceń.

– Wszystko zależy od układu sił – wyjaśnił. – Jesteśmy na planecie, a nad naszymi głowami orbituje gwiezdny niszczyciel, co znacznie osłabia naszą pozycję podczas ewentualnych negocjacji. W takich okolicznościach nie ubiłbym interesów z nikim, nawet z najuczciwszym klientem w galaktyce, choć Thrawn na pewno nikim takim nie jest. Teraz już rozumiesz?

Mara nabrała powietrza w płuca i wypuściła je powoli.

– Nie zgadzam się – wycedziła. – Ale uszanuję twoją decyzję.

– Dziękuję. Być może po odlocie delegacji imperialnej będziesz mogła zapytać generała Calrissiana o niebezpieczeństwa, jakie pociąga za sobą robienie interesów w chwili, gdy po twojej bazie

maszerują szturmowcy – rzucił Karrde, po czym zerknął na ekran. – O, „Sokół” przesunięty, a Solo i Calrissian są już na zewnątrz. Skywalker i jego droid powinni pozostać tam, gdzie są. Magazyn numer cztery dysponuje szczelną osłoną i do środka zajrzy jedynie najlepsza sonda.

– A jeśli Thrawn się uprze?

– Wówczas możemy znaleźć się w nie lada tarapatach – przyznał ze spokojem Karrde. – Choć, szczerze powiedziawszy, wątpię, czy Thrawn chciałby wylądować na Myrkr, gdyby się liczył z ryzykiem wybuchu walki na blastery. Chcąc dochrapać się wysokiej rangi, oficerowie muszą nauczyć się unikać zbytecznego ryzyka. — Ruchem głowy wskazał drzwi. – Dość gadania. Wiesz, czym się zająć, a ja też mam kilka rzeczy do zrobienia. Nie ma czasu do stracenia.

Mara skinęła i ruszyła ku drzwiom, a wtedy Karrde znieruchomiał, tknięty kolejną myślą.

– Gdzie umieściłaś miecz świetlny Skywalkera? – spytał.

– W moim pokoju – odparła dziewczyna, odwracając się. – Czemu pytasz?

– Lepiej schowaj go gdzieś indziej. Niełatwo jest wykryć obecność miecza świetlnego, ale nie mam zamiaru ryzykować. Umieść go wśród rezonatorów w magazynie numer trzy, które powinny go zasłonić przed przypadkową sondą sensoryczną.

– Dobra. – Mara wpatrywała się w niego pogrążona w myślach. – A o co chodziło z tymi okrętami wojennymi?

– Słyszałaś całą rozmowę.

– Wiem. Interesuje mnie twoja reakcja na nią.

Karrde się skrzywił.

– Miałem nadzieję, że nie była ona nazbyt oczywista.

– Nie była – stwierdziła Mara.

Czekała przez moment, aż Karrde powie coś więcej, ale ten zacisnął jedynie usta i rzucił:

– Kiedy indziej wrócimy do tego tematu. Teraz mamy robotę do wykonania.

Mara wpatrywała się w niego jeszcze przez sekundę, po czym skinęła głową i wyszła bez słowa.

Karrde zaś wciągnął głęboko powietrze i wstał. W pierwszej kolejności musiał wrócić do gości i powiadomić ich o nagłej zmianie planów. Następnie musiał przygotować się na spotkanie twarzą w twarz z najbardziej niebezpiecznym sługą Imperium.

Z którym miał odbyć rozmowę o okrętach wojennych i o Skywalkerze.

Wyglądało na to, że nuda mu nie grozi.

– Dobra, Artoo! – zawołał Luke, gdy połączył ostatnie kable. – Myślę, że możemy spróbować. Trzymaj kciuki!

Z sąsiedniego pomieszczenia dobiegł niezrozumiały elektroniczny jazgot, co Luke odebrał jako próbę przypomnienia mu, że droidów nie wyposaża się ani w kciuki, ani też w inne palce.

Palce. Luke zerknął na swoją prawą dłoń. Zwarł palce i natychmiast poczuł nieprzyjemne mrowienie na wpół odrętwiałej kończyny. Od pięciu lat ani razu się nie zdarzyło, by pomyślał o swojej sztucznej dłoni jako o maszynie wszczepionej w jego ciało. Teraz nie był w stanie myśleć o niej inaczej.

R2-D2 wydał z siebie krótki dźwięk.

– Zgoda – rzekł Luke. Oderwał wzrok od sztucznej ręki i przysunął koniec kabla do elementu, który uznał za styk.

„Mam przynajmniej nadzieję, że to styk – pomyślał. – Choć i tak mogę się uważać za szczęściarza. Co by było, gdyby protezę zaprojektowano z raptem jednym źródłem zasilania? Na nic by mi się wówczas nie przydała”.

– Uwaga! – krzyknął i dotknął kablem styku.

A wówczas, bez żadnego hałasu czy innych efektów specjalnych, drzwi po prostu się rozsunęły.

– Udało się! – syknął Luke.

Ostrożnie, starając się nie odrywać kabla od styku, wychylił się i wyjrzał na zewnątrz.

Słońce zaczynało się chować za drzewami i po bazie rozciągały się coraz dłuższe cienie. Luke nie był w stanie wiele dostrzec, ale wydawało mu się, że teren jest opuszczony. Podniósł się więc, wypuścił przewód i rzucił się ku drzwiom.

Z chwilą, gdy przerwał obwód, drzwi znów zaczęły się zamykać i niemalże uwięziły jego kostkę. Luke wyszarpnął ją, niezgrabnie przetoczył się po ziemi i zamarł w przyklęku. Zastygł w oczekiwaniu na jakąkolwiek reakcję, ale wokół nadal trwała cisza. Po kilku sekundach poderwał się więc i pomknął ku drugim drzwiom magazynu.

R2-D2 miał rację – te drzwi w istocie nie zostały wyposażone w zamek. Luke wcisnął więc przycisk otwarcia i wślizgnął się do środka.

Droid powitał go entuzjastycznym ćwierkaniem i zakołysał się w przód i w tył w więżącej go obręczy, która dokładnie opasywała jego koła i nogi.

– Cicho, Artoo! – ostrzegł Luke droida i uklęknął, by przyjrzeć się obręczy. – I nie ruszaj się przez chwilę.

Obawiał się, że obręcz została w jakiś sposób wszczepiona bądź połączona z systemem ruchu droida, przez co będzie potrzebował specjalnych narzędzi, by go uwolnić. Na szczęście okazało się, że sprawa nie jest aż tak skomplikowana. Obręcz unosiła R2-D2 nad podłogę i kółka droida obracały się w powietrzu. Luke uwolnił kilka zacisków, rozchylił obie połowy obręczy i R2-D2 był już wolny.

– Chodź! – zawołał cicho i ruszył ku drzwiom.

Z tego, co widział i słyszał, baza nadal wydawała się opuszczona.

– Mój X-wing jest gdzieś tam – szepnął, wskazując główny budynek. – Wygląda na to, że trzeba wyminąć tę budowlę z lewej strony, chowając się wśród drzew najbardziej jak to możliwe. Dasz sobie radę w takim terenie?

R2-D2 wysunął skaner i wydał z siebie dźwięk, który był ostrożnym potwierdzeniem.

– Dobra. Miej oko na otoczenie. Daj znać, jeśli się ktoś pojawi.

Dotarli do skraju lasu i pokonali być może jedną czwartą drogi wokół głównej budowli, gdy R2-D2 zaćwierkał ostrzegawczo.

– Stój! – szepnął Luke i skrył się za ogromnym, szerokim pniem. Miał nadzieję, że nie są tu specjalnie widoczni. Jego czarny strój zlewał się idealnie z cieniem rzucanym przez drzewo, ale biel i błękit R2-D2 rzucały się w oczy z daleka.

Na szczęście trzech ludzi, którzy wyszli z centralnego budynku, nawet nie spojrzało w ich stronę. Pospiesznym, zdecydowanym krokiem udali się w kierunku skraju lasu, a gdy już mieli zniknąć między drzewami, całą trójką dobyli blasterów.

R2-D2 jęknął cicho.

– Mnie też się to nie podoba – odparł Luke. – Miejmy nadzieję, że nie ma to żadnego związku z nami. Wszystko gra?

Droid pisnął twierdząco i ruszyli naprzód. Luke co chwila spoglądał za siebie, gdyż dobrze pamiętał zawoalowane aluzje Mary na temat wielkich drapieżników zamieszkujących okolicę. Oczywiście mogła go okłamać, by zniechęcić do ucieczki. W poprzedniej celi nie zauważył przecież niczego, co wskazywałoby na to, że w oknie rzeczywiście zainstalowano alarm.

R2-D2 znów pisnął. Luke szybko odwrócił głowę ku bazie i zamarł.

Z centralnego budynku wyłoniła się Mara.

Przez dłuższą chwilę stała na progu i wpatrywała się w niebo, wyraźnie rozkojarzona. Luke nie spuszczał z niej oczu. Nie odważył się nawet spojrzeć w dół i sprawdzić, czy R2-D2 rzeczywiście wyróżnia się wśród cieni, czy też nie.

„Jeśli tylko spojrzy w naszym kierunku – myślał z niepokojem. – Jeśli uda się do magazynu, by sprawdzić, co u mnie…”

Nagle Mara oderwała wzrok od nieba, a na jej twarzy pojawiła się determinacja. Odwróciła się i ruszyła żwawym krokiem w stronę drugiego baraku.

Luke odetchnął. Dopiero teraz złapał się na tym, że przez cały czas wstrzymywał oddech. Wciąż groziło im niebezpieczeństwo – wystarczyłoby, żeby Mara obróciła głowę o dziewięćdziesiąt stopni w lewo, a spojrzałaby prosto na nich. Jej postawa wskazywała jednak na to, że całą swoją uwagę skupiła na czymś innym.

Zupełnie jakby właśnie podjęła trudną decyzję.

Szła ku koszarom, a wówczas Luke dokonał własnego wyboru.

– Chodźmy, Artoo – mruknął. – Robi się tu tłoczno. Zapuścimy się głębiej w las i zatoczymy łuk. Dotrzemy do naszego myśliwca od tyłu.

Droga do hangaru nie była daleka i zabrała zaledwie kilka minut. Po dotarciu na miejsce okazało się jednak, że wśród stojących tam statków nie ma ich X-winga.

– Nie, nie mam pojęcia, dokąd go przeniesiono – wycedził Luke, wychylając głowę z przypadkowej kryjówki i rozglądając się dookoła. – Możesz go wykryć swoimi sensorami?

R2-D2 zaprzeczył piśnięciem, a potem dorzucił świergotliwe wyjaśnienie, którego Luke nawet nie próbował zrozumieć.

– Cóż, to bez znaczenia – zapewnił droida. – Tak czy owak, musielibyśmy gdzieś wylądować na tej planecie i poszukać czegoś, co ma sprawny hipernapęd. Pomińmy więc ten krok i poszukajmy tutaj jakiejś sprawnej jednostki.

Rozejrzał się w nadziei, że znajdzie jakiegoś Z-95, Y-winga czy inny typ, z którym się choć pobieżnie zaznajomił, ale rozpoznał jedynie koreliańską korwetę oraz inny statek, który przypominał mniejszą wersję frachtowca.

– Masz jakieś sugestie? – zapytał R2-D2.

Droid pisnął na potwierdzenie. Jego niewielka czasza sensoryczna celowała w parę długich, smukłych jednostek, mniej więcej dwa razy dłuższych od X-winga. Bez wątpienia były to myśliwce, ale nie przypominały żadnych jednostek wykorzystywanych przez Sojusz.

– Myślisz o jednym z nich? – spytał z powątpiewaniem.

R2-D2 znów pisnął, teraz już wyraźnie zniecierpliwiony.

– Jasne, przecież nam się spieszy – zgodził się Luke.

Bez przeszkód podkradli się do jednego z myśliwców. W przeciwieństwie do X-winga, wchodziło się do niego przez drzwi z boku.

„Pewnie dlatego właśnie go wybrał” – pomyślał Luke, pomagając droidowi dostać się do środka.

Kokpit okazał się równie ciasny, co w X-wingu, ale za fotelem pilota znajdowały się trzy inne stanowiska do obsługi uzbrojenia. Nie zostały zaprojektowane, by mieścić astromechy, ale Luke zdołał jednak wetknąć R2-D2 między dwa siedzenia i przypiąć go pasami.

– Wygląda na to, że jest gotowy do lotu! – uznał, spoglądając na migoczące światełka nad sterami. – Patrz, tu jest wejście. Sprawdź

wszystko, a ja się przypnę. Przy odrobinie szczęścia może uda nam się stąd zwiać, nim ktokolwiek zauważy naszą nieobecność.

Mara sięgnęła po komunikator i przekazała otwartym tekstem wiadomość do China. Następnie o wiele ciszej porozumiała się z Avesem i pozostałymi na „Sokole Millennium", a gdy z wściekłą miną ruszyła ku magazynowi numer trzy, raz jeszcze doszła do wniosku, że nienawidzi całego Wszechświata.

To ona znalazła Skywalkera. Sama, bez niczyjej pomocy. Nie było co do tego wątpliwości i nikt nie miał prawa się w tej kwestii z nią sprzeczać. A więc to ona powinna decydować o jego losie. Ona, a nie Karrde.

„Szkoda, że go tam nie zostawiłam – myślała z goryczą, idąc po udeptanej ziemi. – Niechby zdechł pośród zimna próżni".

Przyszło jej to wówczas do głowy, ale wiedziała, że gdyby go porzuciła, nigdy nie zyskałaby pewności, że naprawdę umarł.

Co więcej, nie chciała też przepuścić szansy, by zabić go własnymi rękami. Nie było rzeczy, która sprawiłaby jej większą satysfakcję.

Spojrzała na miecz świetlny, który ściskała w dłoni. Blask popołudniowego słońca odbijał się od srebrzystej rękojeści. Wiedziała, że może to zrobić choćby w tej chwili. Mogła wejść do jego więzienia, by sprawdzić, co się dzieje, a potem wcisnąć reszcie, że sam ją zaatakował. Przecież bez Mocy Skywalker stawał się łatwym celem nawet dla kogoś, kto tak jak ona trzymał miecz świetlny zaledwie kilka razy w życiu. Zabicie go byłoby łatwe, czyste i przyszłoby jej bardzo naturalnie.

Poza tym nie była winna Talonowi zupełnie nic. I co z tego, że jego organizacja dobrze ją traktowała. Nie było rzeczy ważniejszej od jej zemsty.

A mimo to…

Zbliżała się do magazynu numer cztery, wciąż nie podjąwszy decyzji, kiedy usłyszała w ciszy jęk repulsora.

Uniosła głowę i osłoniła oczy wolną dłonią, chcąc wypatrzeć nadciągającą jednostkę, ale niczego nie mogła dostrzec. Jęk przybrał

na sile, a wówczas Mara uświadomiła sobie, że słyszy jedną z ich własnych jednostek. Odwróciła się błyskawicznie w stronę hangaru i…

I ujrzała jedną z kanonierek typu Skipray, jak wznosi się nad korony drzew.

Przez kilka uderzeń serca wpatrywała się w jednostkę, zastanawiając się, co znowu odbiło Talonowi. Czyżby wysyłał eskortę delegacji Imperium? Albo pilota?

I nagle wszystko zrozumiała.

Zawróciła i pognała w stronę magazynu numer cztery, wyrywając blaster z kabury na przedramieniu. Zamek osadzony w drzwiach nie zadziałał, co trudno było wytłumaczyć. Spróbowała dwa razy, po czym straciła cierpliwość i rozwaliła go strzałem z blastera.

Skywalker znikł bez śladu.

Mara zaklęła wściekle i rzuciła się biegiem w kierunku centrum bazy. Skipray ruszył już przed siebie i znikł za drzewami na zachodzie. Dziewczyna wepchnęła blaster do kabury, złapała za komunikator i…

I znów zaklęła. Delegacja Imperium mogła się tu zjawić lada chwila, a wówczas wystarczyłaby wzmianka o Skywalkerze, by wpadli w naprawdę poważne tarapaty.

Pozostało więc tylko jedno rozwiązanie.

Wskoczyła do drugiego Skipraya i w ciągu niespełna dwóch minut wzniosła się w powietrze. Nie miała zamiaru – najmniejszego! – pozwolić, by Skywalker uciekł.

Ustawiła napęd na pełną moc i z dzikim wyciem silników rzuciła się w pościg.

Rozdział 23

Drugi Skipray należący do Karrde oraz imperialny gwiezdny niszczyciel na odległej orbicie pojawiły się na ekranie przed Lukiem niemalże jednocześnie.

– Myślę – zawołał do R2-D2 – że znów mamy kłopoty!

Odpowiedź droida została zagłuszona przez ryk silnika. Luke ostrożnie zwiększał jego moc, gdyż żadna z jednostek, na których dotychczas latał, nie dysponowała tak dziwnym systemem sterowania jak Skipray. Przypominał nieco śnieżne śmigacze, którymi Sojusz posługiwał się na Hoth, ale opieszała reakcja na stery sugerowała spore opancerzenie i wielką masę silnika. Wiedział, że stopniowo zdołałby się do tego przyzwyczaić i osiągnąć wielką biegłość, ale czas nagle zaczął mu się kończyć.

Ośmielił się spojrzeć na ekran pokazujący widok z tyłu. Drugi Skipray doganiał go szybko i obie jednostki dzieliła nie więcej niż minuta lotu. Na pierwszy rzut oka było widać, że ścigający go pilot ma o wiele więcej doświadczenia od Luke'a. Co więcej, kierowała nim determinacja tak ogromna, że przyćmiewała ostrożność nakazaną przez zdrowy rozsądek.

Nie było wątpliwości, że za sterami siedzi Mara Jade. Nikt inny nie dawałby z siebie aż tyle, by dopaść Luke'a.

Jego kanonierka opadła nieco zbyt nisko i dolny statecznik musnął gałąź drzewa, co wywołało ostry pisk protestu ze strony R2-D2.

– Przepraszam! – zawołał Luke. Czując, jak na jego czole perli się pot, wyrównał nieco linię lotu.

„Sam chyba również rozmijam się ze zdrowym rozsądkiem" – pomyślał, ale w tym momencie lot tuż nad czubkami drzew był jedynym sensownym rozwiązaniem. Porastające planetę lasy z jakiegoś dziwnego powodu zakłócały działanie sensorów, zarówno nawigacyjnych, jak i namierzających. Co więcej, zmuszał w ten sposób ścigającą go kanonierkę, by również leciała nisko, przez co

lada chwila Mara mogła stracić go z oczu. Mógł się też choć trochę ukryć przed orbitującym gwiezdnym niszczycielem.

„Gwiezdny niszczyciel” – pomyślał.

Zerknął na ogromny okręt widniejący na ekranie nad jego głową, i poczuł ucisk w żołądku. Przynajmniej już wiedział, jakich gości Mara miała na myśli. Wyglądało na to, że wyrwał się w ostatnim momencie.

Jednocześnie być może Karrde przeniósł go do innej kryjówki dlatego, że zdecydował na razie nie sprzedawać go Imperium. Luke postanowił w duchu, że kiedyś go o to zapyta. Najlepiej z wielkiej odległości.

R2-D2 znów zaćwierkał ostrzegawczo. Luke obrzucił pospiesznie wzrokiem wszystkie ekrany, szukając źródła zagrożenia.

I znieruchomiał.

Dokładnie nad górnym tylnym statecznikiem pojawił się drugi Skipray.

– Trzymaj się! – wrzasnął do R2-D2.

Jego ostatnią nadzieją był teraz manewr zwany koiogranem, który wytracał prędkość statku, ale odwracał go w innym kierunku. Szarpnął wolantem, a drugą dłonią przesunął przepustnicę.

Ułamek sekundy później szybę kabiny strzaskały gałęzie drzew. Impet zderzenia rzucił Lukiem o pasy, a kanonierka weszła w serię chaotycznych, niemożliwych do opanowania manewrów.

Ostatnią rzeczą, którą usłyszał, nim zawładnęła nim ciemność, był elektroniczny wrzask R2-D2.

Trzy promy wykonały idealnie zsynchronizowane lądowanie, a nad nimi przemknęła eskadra eskortująca TIE, utrzymująca równie perfekcyjny szyk.

– Wygląda na to, że Imperium dalej uwielbia bawić się w parady – mruknął Aves.

– Cicho – burknął Karrde, patrząc na opuszczane rampy. Był gotów się założyć, że ze środkowego promu wyłoni się Thrawn.

Po rampach zeszły szeregi szturmowców z karabinami przewieszonymi przez pierś, co nakazywał ceremoniał. Za nimi na

rampie nie środkowego, ale prawego promu pojawiło się kilku oficerów, a potem niski, żylasty, należący do nieznanej rasy mężczyzna o ciemnoszarej skórze, bez wątpienia ochroniarz. Miał wyłupiaste oczy i wystającą szczękę.

Dopiero wtedy pokazał się wielki admirał Thrawn.

„Czyli nie ma co liczyć na to, że będzie postępował tak, jak by się człowiek tego spodziewał – pomyślał Karrde. – Warto to sobie zapamiętać na przyszłość".

Wraz z niewielkim komitetem powitalnym za swoimi plecami Talon Karrde ruszył w kierunku delegacji imperialnej, próbując zignorować spojrzenia szturmowców.

– Wielki admirale! – Skłonił się na powitanie. – Witaj w moim małym zakątku Myrkr. Jestem Talon Karrde.

– Miło mi pana poznać, kapitanie – rzekł Thrawn i pochylił nieznacznie głowę, a Karrde doszedł do wniosku, że jego pałające oczy podczas osobistego kontaktu robią o wiele większe wrażenie niż na ekranie.

„I napędzają większego stracha".

– Przepraszam za nasze mało uroczyste powitanie – ciągnął, wskazując gestem resztę grupy. – Rzadko się zdarza, by odwiedzał nas ktoś o pańskim statusie.

Thrawn uniósł błękitnoczarną brew.

– Doprawdy? A wydawało mi się, że człowiek o pańskiej pozycji często zasiada do rozmów z elitą, a zwłaszcza z wysoko sytuowanymi przedstawicielami rządów planetarnych, z którymi współpraca jest dla pana konieczna.

Karrde uśmiechnął się swobodnie.

– W istocie, od czasu do czasu kontaktujemy się z rozmaitymi elitami, ale nigdy tutaj. Gości pan – mówiąc to, zerknął znacząco na szeregi szturmowców – w naszej prywatnej bazie operacyjnej.

– Oczywiście – rzekł Thrawn. – Kilka minut temu widzieliśmy ciekawy spektakl nad lasem na zachodzie. Może mi pan coś więcej o tym powiedzieć?

Karrde nie bez trudu ukrył grymas. Miał nadzieję, że flora Myrkr, która zakłócała działanie sensorów, ukryje pościg kanonierek przed oczami dowódcy niszczyciela, ale się przeliczył.

– Drobny problem w ramach naszych struktur – zapewnił wielkiego admirała. – Mój były, mocno sfrustrowany pracownik włamał się do jednego z magazynów, skradł nieco towaru i porwał kanonierkę, ale jeden z moich pilotów już go ściga.

– Pościg dobiegł końca, kapitanie – poprawił go leniwie Thrawn, choć blask jego płonących oczu zdawał się wgryzać w twarz przemytnika. – Wie pan, że oba statki runęły na ziemię?

Karrde wbił w niego wzrok. Miał wrażenie, że krew w jego żyłach zamienia się w lód.

– Przyznam, że nie. Nasze sensory… Cóż, miejscowe drzewa zawierają ogromne ilości metalu, przez co nie do końca dowierzamy naszej aparaturze.

– Myśmy przyglądali się pościgowi z wyższej orbity – rzekł Thrawn. – Wygląda na to, że uciekinier zderzył się z drzewem, a ścigającego pociągnął cień aerodynamiczny.

Przyglądał się Talonowi z uwagą.

– Rozumiem, że ścigający go pilot był dla pana kimś szczególnym?

Twarz przemytnika stężała.

– Wszyscy moi współpracownicy są mi bliscy – rzekł i wyciągnął komunikator. – Proszę wybaczyć na chwilę. Muszę zorganizować grupę ratunkową.

Thrawn zrobił długi krok naprzód i wyciągnął dwa bladoniebieskie palce, by przykryć górę komunikatora.

– Proszę pozwolić, bym ja się tym zajął – rzekł. – Poruczniku?

– Sir? – odezwał się jeden ze szturmowców.

– Proszę wysłać drużynę na miejsce wypadku – rozkazał Thrawn, nie spuszczając oczu z Karrde. – Niech pańscy ludzie dokładnie obejrzą oba wraki, sprowadzą tych, którzy przeżyli, i zabiorą wszystko, co nie wygląda na zwykłe wyposażenie kanonierki Skipray.

– Tak jest, sir! – zasalutował oficer. Kolumna szturmowców na rampie lewego promu zawróciła i weszła do wnętrza pojazdu.

– Doceniam pańską pomoc, admirale – powiedział Karrde, któremu nieco zaschło w ustach. – Ale to doprawdy nie jest konieczne.

– Wręcz przeciwnie, kapitanie – powiedział cicho Thrawn. – Wyświadczył mi pan wielką przysługę z isalamirami. Czy istnieje lepszy sposób, by spłacić nasz dług?

– Cóż, chyba nie – mruknął Karrde.

Rampa zamknęła się, zaszumiały silniki repulsorowe i prom wzniósł się w powietrze.

„Karty zostały rozdane – pomyślał Karrde. – Nie jestem już w stanie nic na to poradzić. Pozostaje mieć nadzieję, że Mara panuje nad sytuacją".

Gdyby ścigającym był ktokolwiek inny, Karrde nawet by się nie łudził. Ale z Marą… Cóż, z Marą zawsze istniała szansa.

– Wróćmy do naszej rozmowy – rzekł Thrawn. – Jak sądzę, chciał mnie pan oprowadzić po bazie?

– Tak. – Karrde pokiwał głową. – Proszę tędy.

– Szturmowcy chyba wracają – oznajmił Han i przycisnął makrolornetkę mocniej do czoła. – Przynajmniej ich część. Widzę, jak wchodzą szeregiem do środka promu.

– Daj mi rzucić okiem – odezwał się Lando, który chował się po drugiej stronie drzewa.

Han powoli, ostrożnie przekazał Lando makrolornetkę. Nie chciał, by gwałtowny ruch zwrócił czyjąś uwagę. Nie miał pojęcia, jakim sprzętem dysponowały załogi promów i myśliwców, a jakoś nie chciało mu się wierzyć w zapewnienia, jakoby drzewa zakłócały działanie sensorów.

– Tak, wygląda na to, że jeden z promów odlatuje – zgodził się Lando.

Han obrócił głowę, co wystarczyło, by przypominające trawy rośliny o ząbkowanych źdźbłach, na których leżeli, znów zaczęły go uwierać.

– Często macie tu gości z Imperium? – spytał.

– Nie, nie tu. – Zdenerwowany Ghent pokręcił głową tak gwałtownie, że o mało nie zaszczękał zębami. – Byli raz czy dwa w lesie, gdzie zbierali isalamiry, ale jak dotąd nie zawitali do bazy. W każdym razie nie za mojej bytności.

– Isalamiry? – Lando zmarszczył czoło. – A co to takiego?

– Takie małe węże z nogami. Pokryte futrem – wyjaśnił Ghent. – Nie mam pojęcia, do czego służą. Słuchajcie, nie możemy po prostu wrócić na statek, co? Karrde powiedział, że mam was tam trzymać. Że tam będziecie bezpieczni!

Han zignorował go.

– Masz jakiś pomysł? – spytał przyjaciela.

Ten wzruszył ramionami.

– To musi mieć jakiś związek z tym Skiprayem, który zleciał na ziemię w płomieniach, gdy Karrde nas tu zaganiał.

– Mieliśmy tu w bazie jeńca – podsunął Ghent. – Karrde i Jade gdzieś go upchnęli, sam nie wiem gdzie. Może się wyrwał? Słuchajcie, możemy już wrócić? Proszę!

– Jeńca, tak? – powtórzył Lando, wpatrując się w chłopaka. – A odkąd to Karrde przetrzymuje jeńców?

– Może zaczął uprowadzać ludzi, co? – warknął Han, nim Ghen zdołał odpowiedzieć.

– Nie mamy nic wspólnego z porywaczami! – zaprotestował haker.

– Już macie – powiadomił go Han i wskazał ruchem głowy delegację Imperium. – Widzicie tego szarego gościa w środku? Próbował uprowadzić mnie i Leię.

– Co? – Lando wytężył wzrok, spoglądając przez makrolornetkę. – Jesteś pewien?

– Cóż, na pewno należy do tej samej rasy, co tamci. Nie mieliśmy okazji, by się sobie przedstawić – burknął Han i znów spojrzał na Ghenta. – Kim był ten więzień?

– Nie wiem. – Ghent pokręcił głową. – Przywieziono go kilka dni temu na „Dzikim Karrde" i umieszczono w koszarach, a gdy dowiedzieliśmy się, że Imperium tu zmierza, przeniesiono go do któregoś z magazynów.

– A jak wyglądał?

– Nie wiem! – syknął Ghent, którego opuszczały resztki odwagi. Najwyraźniej chowanie się po lesie i podglądanie uzbrojonych szturmowców było ponad siły młodego hakera i zdecydowanie nie

należało do jego obowiązków. – Nikt nie miał prawa się do niego zbliżać ani zadawać jakichkolwiek pytań na jego temat.

Lando pochwycił spojrzenie Hana.

– Niewykluczone, że to ktoś, kogo woleli ukryć przed Imperium. Może dezerter, który próbował się dostać do Nowej Republiki?

Han przygryzł wargę.

– Bardziej martwi mnie to, że musieli go wyprowadzić z koszar. To może oznaczać, że szturmowcy zostaną tu jeszcze przez jakiś czas.

– Karrde nic o tym nie mówił – sprzeciwił się Ghent.

– Być może Karrde jeszcze nic o tym nie wie – rzekł sucho Lando. – Wierz mi, chłopcze, sam kiedyś padłem ofiarą układu ze szturmowcami.

Oddał makrolornetkę Hanowi.

– Chyba wchodzą do środka.

Nie pomylił się. Han patrzył, jak procesja rusza naprzód. Na czele szedł Karrde oraz dostojnik imperialny o błękitnej skórze, a za nim obie świty. Z obu stron osłaniały ich szeregi szturmowców.

– Masz może jakieś pojęcie, kim jest ten niebieski facet? – spytał Ghenta.

– Myślę, że to jakiś wielki admirał czy ktoś w tym stylu – odparł haker. – Od jakiegoś czasu dowodzi operacjami Imperium, ale nie wiem, jak ma na imię.

Han spojrzał na Lando i uświadomił sobie, że ten wpatruje się w niego.

– Wielki admirał? – powtórzył cicho Lando.

– Otóż to. Słuchajcie, oni właśnie… No, chyba już nie ma na co patrzeć. Proszę, czy moglibyśmy…

– Wracajmy na „Sokoła” – szepnął Han i wepchnął makrolornetkę do futerału za pasem, po czym zaczął się wycofywać na kolanach i łokciach.

„Wielki admirał – pomyślał. – Nic dziwnego, że Nowa Republika ostatnio obrywa od Imperium…”

– Nie masz chyba na „Sokole” archiwów dotyczących imperialnych wielkich admirałów, co? – mruknął Lando, który czołgał się obok niego.

– Nie – odparł Han. – Ale na Coruscant mają ich sporo.

– Świetnie – szepnął Lando, a jego słowa niemalże utonęły w szeleście ostrych traw. – Miejmy nadzieję, że uda nam się dożyć chwili, kiedy dostarczymy im tę wieść.

– Musi się udać – zapewnił go Han z zaciętą miną. – Zaczekamy tu jeszcze trochę, by się dowiedzieć, w co właściwie pogrywa Karrde, a potem zrywamy się stąd bez chwili wahania. Nawet z tą durną siatką kamuflażową narzuconą na statek.

„Najdziwniejsze jest to – uświadomił sobie półprzytomnie Luke – że chyba nic sobie nie zrobiłem”.

A powinno być inaczej. Z tego, co zapamiętał z ostatnich kilku sekund, należało dziękować losowi za to, że w ogóle zdołał ujść z życiem. Przez uszkodzoną owiewkę kabiny pilota widział potrzaskane gałęzie drzew. Najwyraźniej pasom i balonom amortyzującym z pomocą przyszedł bardziej wyrafinowany sprzęt. Czyżby awaryjny kompensator przyspieszenia?

Za sobą usłyszał bełkotliwe popiskiwanie.

– Nic ci nie jest, Artoo? – zawołał, po czym wysunął się z fotela i wspiął niezgrabnie po przechylonej podłodze. – Trzymaj się, już idę!

Należący do droida kabel pozyskiwania informacji został wyrwany z gniazdka podczas kraksy, ale poza tym i kilkoma niewielkimi wgnieceniami robot najwyraźniej nie odniósł żadnych uszkodzeń.

– Lepiej ruszajmy – powiedział Luke, odpinając mocujące go pasy. – Ten drugi statek może tu lada chwila powrócić z uzbrojonym po zęby oddziałem.

Z niemałym trudem przepchnął R2-D2 na tył kanonierki, gdzie zdołał otworzyć drzwi. Wyskoczył i rozejrzał się.

Naraz uświadomił sobie, że drugi myśliwiec nie wróci z uzbrojonym oddziałem, bo leżał nieopodal. Choć trudno było w to uwierzyć, znajdował się w o wiele gorszym stanie od tego, którym leciał Luke.

Stojący w wejściu do kanonierki R2-D2 pisnął z nabożnym przestrachem. Luke spojrzał na niego, a potem na zniszczoną jednostkę.

Okazało się, że kanonierki są dobrze przygotowane na okoliczność katastrofy, a więc Mara raczej nie odniosła poważnych obrażeń. Nie było wątpliwości, że lada moment dotrą tu posiłki z bazy, i Luke uznał, że dziewczyna przypuszczalnie wytrzyma do ich przybycia.

„A jeśli nie?" – pomyślał.

– Zaczekaj tu, Artoo! – zawołał. – Rzucę tylko okiem.

Choć statek Mary wydawał się bardziej poturbowany od kanonierki Luke'a, jego wnętrze najprawdopodobniej ucierpiał nieco mniej. Luke wślizgnął się do części zajmowanej przez obsługę uzbrojenia i stąpając po szczątkach, wszedł do kokpitu.

Zza oparcia fotela pilota wystawał jedynie czubek głowy, ale ledwie ujrzał lśniące złocistorude włosy, już wiedział, że się nie pomylił. Rzeczywiście byli ścigani przez Marę Jade we własnej osobie.

Przez kilka uderzeń serca stał w przejściu i wahał się. Logika nakazywała czym prędzej uciekać jak najdalej stąd, ale sprzeciwiały jej się etyka i chęć niesienia pomocy. Wiedział, że powinni wynosić się gdzie pieprz rośnie, ale gdyby się teraz odwrócił od Mary, gdyby uciekł, nie sprawdziwszy nawet, w jakim jest stanie…

Myślami powrócił do tej nocy na Coruscant, kiedy Ben przybył, by się z nim pożegnać. W rozmowie z C-3PO powiedział wówczas: „Innymi słowy, Jedi nie może dać się porwać kwestiom wagi galaktycznej, jeśli te kolidują z interesem zwykłych ludzi".

„Poza tym sprawdzenie jej stanu nie potrwa dłużej niż minutę" – pomyślał.

Wszedł do środka, obszedł fotel i spojrzał na Marę.

Prosto w jej otwarte, idealnie przytomne zielone oczy, wpatrujące się w niego znad lufy małego blastera.

– Wiedziałam, że przyjdziesz – oznajmiła z ponurą satysfakcją. – Cofnij się. Natychmiast.

Luke zrobił to, co mu kazała.

– Nic ci nie jest? – spytał.

– Nie twoja sprawa – warknęła Mara.

Wyczołgała się z fotela i wolną ręką wyciągnęła spod niego niewielką, płaską kasetkę. Uwagę Luke'a przyciągnął jakiś błysk – zauważył, że znów miała jego miecz świetlny przy pasku.

– W skrytce nad lukiem wyjściowym znajduje się jeszcze jedna kasetka – powiedziała. – Przynieś ją.

Luke namacał uchwyt i otworzył skrytkę. W środku znalazł oznakowaną w nieznany mu sposób metalową walizeczkę, która na pierwszy rzut oka przypominała zestaw ratunkowy.

– Mam nadzieję, że nie będziemy musieli wracać pieszo – oznajmił, wyciągnął walizkę ze środka i zeskoczył na dół.

– Ja na pewno nie – odcięła się dziewczyna. Zawahała się przez ułamek sekundy, po czym zsunęła się w ślad za nim. – To, czy tobie się uda wrócić, to zupełnie inna sprawa.

Luke spojrzał jej w oczy.

– Chcesz dokończyć to, co zaczęłaś, gdy rzuciłaś się w pościg? – spytał, wskazując gestem rozbity statek.

Mara parsknęła.

– Posłuchaj, koleś, to przez ciebie tu wylądowaliśmy, a nie przeze mnie. Moim jedynym błędem było to, że siedziałam ci za blisko na ogonie, gdy walnąłeś w drzewo. Odłóż tę walizkę i wyciągnij droida.

Luke spełnił jej polecenie i R2-D2 znalazł się na ziemi. Tymczasem Mara zdążyła już otworzyć zestaw ratunkowy i grzebała w środku jedną ręką.

– Nie podchodź – rozkazała mu. – I chcę cały czas widzieć twoje ręce.

Urwała i przechyliła lekko głowę, jakby czegoś nasłuchiwała. Chwilę później Luke odniósł wrażenie, że słyszy mało wyraźny szum nadciągającej jednostki.

– Wygląda na to, że chłopaki już po mnie lecą – rzekła Mara. – Posłuchaj, chcę, byś razem ze swoim droidem…

Urwała w pół zdania, a w jej oczach pojawiła się mgła. Przełknęła ślinę w skupieniu. Luke zmarszczył czoło, wytężając wzrok i słuch. Nie miał pojęcia, co się dzieje.

Nagle dziewczyna zatrzasnęła walizeczkę i poderwała ją gwałtownie.

– Szybko! – warknęła. Dłonią, w której trzymała blaster, umieściła płaską kasetkę pod lewą pachą. – W głąb lasu, jak najdalej od wraków! Szybko!

Coś w jej głosie – może pośpiech, może rozkazujący ton – wykluczało jakiekolwiek kłótnie czy choćby pytania. Wystarczyło kilka sekund, by Luke i R2-D2 znaleźli się wśród drzew.

– Za blisko! – rzuciła dziewczyna. – Trzeba wejść głębiej!

Nieco za późno Luke uświadomił sobie, że być może pada ofiarą makabrycznego fortelu – przecież Mara mogła chcieć strzelić mu w plecy, a potem opowiedzieć, że próbował uciec. Ale przecież biegła tuż za nim, na tyle blisko, że słyszał jej oddech, a lufa blastera co chwila muskała mu plecy. Przebiegli kolejnych dziesięć metrów i Luke pochylił się, by pomóc R2-D2 pokonać szczególnie gruby korzeń.

– Wystarczy – szepnęła mu do ucha Mara. – Ukryj gdzieś droida i kładź się.

Luke wskazał R2-D2 miejsce za szerokim pniem, a sam padł na ziemię obok Mary. I wtedy wszystko zrozumiał.

W powietrzu nad rozbitymi kanonierkami wisiał imperialny prom, który zataczał powoli krąg niczym drapieżnik szukający żeru.

Kątem oka ujrzał jakiś ruch. Odwrócił głowę i spojrzał w lufę blastera Mary.

– Ani się rusz – szepnęła. Czuł ciepło jej oddechu na swoim policzku. – I ani słowa.

Luke pokiwał głową na znak, że rozumie, a potem powrócił do obserwacji promu. Mara przytknęła mu lufę blastera do szczęki i również skupiła uwagę na jednostce Imperium.

Prom zatoczył krąg i łagodnie osiadł na zniszczonym fragmencie terenu obok rozbitych myśliwców. Jeszcze nim dotknął ziemi, wysunął rampę i zaczął wypluwać z siebie szturmowców.

Luke patrzył, jak się rozdzielają i zbliżają do obu wraków, by je przeszukać. Sytuacja była tak osobliwa, że wręcz nie mógł uwierzyć w to, co widzi. W odległości zaledwie dwudziestu metrów pojawiła się idealna wprost sposobność, by Mara mogła go wydać Imperium, a mimo to leżała tu obok niego, schowana za korzeniem drzewa,

i próbowała oddychać najciszej, jak mogła. Dlaczego nagle zmieniła zdanie?

A może po prostu nie chciała, by ktokolwiek był świadkiem chwili, kiedy będzie go zabijać?

Luke nagle uświadomił sobie, że w tej sytuacji najlepiej byłoby znaleźć jakiś sposób, by poddać się szturmowcom. Powinien wydostać się z tej planety. Gdy wróci do niego Moc, będzie przynajmniej mógł walczyć. Musiał tylko odwrócić uwagę Mary, żeby dziewczyna choć na chwilę przestała w niego celować…

Dziewczyna leżała tak blisko Luke'a, że przypuszczalnie wyczuła napięcie jego mięśni.

– Nie wiem, co ci właśnie strzeliło do głowy, ale odradzam – szepnęła mu do ucha i wbiła blaster mocniej w jego skórę. – Bez trudu zdołam wszystkim wmówić, że trzymałeś mnie jako zakładniczkę, ale wyrwałam ci blaster.

Luke przełknął ślinę i rozluźnił mięśnie. Czekał.

Na szczęście nie przyszło mu czekać długo. Szturmowcy z obu grup weszli do wnętrza wraków, a reszta obeszła teren katastrofy, rozglądając się uważnie i celując w las przenośnymi sensorami. Po kilku minutach ci, którzy badali wraki, wyszli na zewnątrz i odbyli krótką naradę u dołu rampy promu. Rozkaz, którego Luke nie usłyszał, wezwał pozostałych i cały oddział wszedł do środka. Rampa zamknęła się i prom wzniósł się ku niebu, po czym znikł z szumem repulsorów.

Luke zaczął się podnosić.

– Cóż…

Urwał, gdy Mara znów dziabnęła go lufą blastera.

– Cicho bądź – mruknęła. – Na pewno zostawili jakiś sensor na wypadek, gdyby ktoś wrócił.

– Skąd to wiesz? – Luke zmarszczył brwi.

– Bo to standardowa procedura szturmowców w takich sytuacjach – warknęła Mara. – I przestań już gadać. Ruszamy, musimy oddalić się od wraków. I każ temu droidowi się zamknąć.

Kadłuby obu myśliwców znikły im po chwili z oczu. Przebyli jeszcze jakieś pięćdziesiąt metrów, gdy Mara zarządziła kolejny postój.

– I co teraz? – spytał Luke.

– Teraz siadamy – poinformowała go przemytniczka.

Luke skinął głową i opadł na ziemię.

– Dziękuję ci za to, że nie wydałaś mnie szturmowcom.

– Daruj sobie – odparła Mara. Ostrożnie usiadła na ziemi i ułożyła blaster obok siebie.

– Nie myśl tylko, że kierował mną altruizm. Lądujące promy musiały nas widzieć i dlatego wysłały grupę na zwiad. Karrde będzie więc musiał wymyślić na poczekaniu jakąś bajeczkę, by wytłumaczyć całe zajście. Wolałabym ją poznać, zanim rzucę się szturmowcom w ramiona.

Ułożyła niewielką, płaską kasetkę na kolanie i otworzyła ją.

– Możesz do niego zadzwonić – przypomniał jej Luke.

– Mogę też złapać za komunikator i powiadomić bezpośrednio Imperium, by oszczędzić sobie fatygi – parsknęła Mara. – Jakbyś tego nie wiedział, Imperium zawsze taszczy ze sobą kupę sprzętu. Są w stanie podsłuchać każdą rozmowę. A teraz się zamknij, bo mam robotę do wykonania.

W środku kasetki znajdowała się klawiatura. Przez kilka minut Mara pracowała w milczeniu i co rusz marszczyła czoło, spoglądając na coś, czego Luke ze swojego miejsca nie widział. Raz na jakiś czas unosiła głowę i przyglądała mu się uważnie, jakby chciała się upewnić, czy ten nie planuje jakiegoś podstępu. Luke czekał cierpliwie, aż Mara wreszcie mruknęła z zadowoleniem i zamknęła kasetkę.

– Trzy dni – powiedziała głośno.

– Trzy dni do czego? – spytał Luke.

– Trzy dni drogi na skraj lasu. – Mara wpatrywała się w niego, nie mrugając. – Do cywilizacji. Cóż, w każdym razie do Hyllyard City. Niczego lepszego ta planeta do zaoferowania nie ma.

– A ilu spośród nas się tam wybiera? – spytał cicho Luke.

– To ci dopiero pytanie, no nie? – powiedziała lodowatym tonem. – Mógłbyś podać mi jakiś powód, dla którego miałabym zawracać sobie tobą głowę?

– Pewnie. – Luke przechylił lekko głowę. – Artoo.

– Chyba zdurniałeś. – Mara zerknęła na droida, a potem znów na Luke'a. – Bez względu na wszystko droid zostaje tutaj. I to w kawałkach.

– W kawałkach? – Luke wbił w nią wzrok.

– Nie zrozumiałeś mnie? – odcięła się Mara. – Mam ci przeliterować? Przecież ten droid wie zbyt dużo. Nie możemy go tu pozostawić, by znaleźli go szturmowcy.

– A niby o czym tyle wie?

– O tobie, rzecz jasna. O Karrde, o mnie i o tym całym bałaganie.

R2-D2 jęknął cicho.

– Niczego im nie powie! – upierał się Luke.

– Pewnie. Po tym, jak go rozwalę na kawałki, nie będzie w stanie.

Luke narzucił sobie spokój, choć nie przyszło mu to łatwo. Jeśli cokolwiek mogło ją przekonać, była to logika, a na pewno nie pokaz emocji.

– Potrzebujemy tego droida – przypomniał jej. – Sama mi powiedziałaś, że las jest niebezpieczny. Dzięki swoim sensorom Artoo jest w stanie z daleka wykrywać obecność drapieżników.

– Może tak, może nie. Roślinność na tej planecie praktycznie sprowadza wszelkie sensory do roli bezużytecznych gadżetów.

– Ale i tak będzie widział więcej niż któreś z nas – rzekł Luke. – Ponadto będzie mógł pełnić straż, gdy będziemy spać.

– My? – Mara uniosła lekko brew.

– My – odparł Luke. – Nie wydaje mi się, by Artoo chciał cię strzec, jeśli mnie zabraknie.

Mara pokręciła głową.

– Cóż – oznajmiła, unosząc blaster. – Dam sobie radę bez niego. A ciebie z całą pewnością nie potrzebuję.

Luke poczuł narastający ucisk w gardle.

– Czy ty aby nie pozwalasz, by emocje brały górę nad osądem?

Wzrok Mary stał się jeszcze bardziej lodowaty niż przed chwilą, choć wydawać by się mogło, że to już niemożliwe.

– Wiesz co, Skywalker? – odezwała się tak cicho, że ledwie mógł ją usłyszeć. – Powiem ci coś, chłopie. Pragnę cię zabić nie od dziś. Marzyłam o tym za dnia i w nocy przez większą część pierwszego roku. Śniłam o tym, że cię zabijam, planowałam to, ułożyłam tysiąc

scenariuszy, próbując ustalić najwłaściwszą metodę. Jeśli chcesz, możesz sobie mówić, że pragnienie odebrania ci życia przyćmiło mój osąd, ale ja się przyzwyczaiłam do tego stanu. Czasem mam wrażenie, że chęć zemsty stała się mi bliższa niż ktokolwiek spośród żywych.

Luke, wstrząśnięty do granic, nie odrywał od niej oczu.

– A co ja ci zrobiłem? – szepnął.

– Zniszczyłeś mi życie – odparła z goryczą. – Wypada więc, bym ja zniszczyła twoje.

– Czy odzyskasz swoje dawne życie, jeśli mnie teraz zabijesz?

– Sam dobrze wiesz, że nie. – Głos Mary zadrżał lekko. – Ale i tak muszę to zrobić. Dla siebie i dla…

Urwała.

– A Karrde? – spytał Luke.

– Czemu o niego pytasz?

– Myślałem, że zależy mu, bym żył.

Mara parsknęła.

– Każdy z nas marzy o czymś, czego mieć nie może.

Luke miał jednak wrażenie, że przez ułamek sekundy widział coś nowego w jej oczach, coś, co przebiło się przez nienawiść.

Nie wystarczyło jednak.

– Żałuję, że nie mogę się z tobą bardziej zabawić – odezwała się znów lodowatym głosem, unosząc blaster. – Ale nie mam ani minuty do stracenia.

Luke wpatrywał się w lufę. Jego umysł pracował gorączkowo, szukając rozwiązania…

– Poczekaj no! – odezwał się nagle. – Chciałaś się dowiedzieć, co Karrde powiedział przedstawicielom Imperium. Czy wiesz, że mogę stworzyć dla ciebie bezpieczny kanał komunikacyjny?

Lufa blastera zadrżała lekko.

– Jak? – spytała podejrzliwie.

Luke wskazał ruchem głowy zestaw ratunkowy.

– Czy komunikator, który tam jest, ma wystarczający zasięg, by pochwycić bazę? Bez wzmacniacza satelitarnego czy innych takich?

Mara nadal spoglądała na niego z podejrzliwością.

– Znalazłam tam balon sondujący, który może wynieść antenę na tyle wysoko, by nie przeszkadzała jej wilgoć lasu. Problem w tym, że to antena niekierunkowa. Transmisję usłyszy zarówno Imperium, jak i każdy inny na tej półkuli.

– To nie problem – rzekł Luke. – Zaszyfruję wiadomość, by nikt jej nie odczytał. A raczej nie ja, tylko Artoo.

– Cudownie. – Mara uśmiechnęła się chłodno. – Pozostaje tylko jeden mały szczegół. Skoro ten szyfr będzie tak dobry, że Imperium go nie rozgryzie, w jaki sposób Karrde dowie się, o co chodzi?

– Nie będzie musiał. Komputer w moim X-wingu wykona robotę za niego.

Chłodny uśmiech dziewczyny znikł.

– Próbujesz zmylić moją czujność! – warknęła. – Nie jesteś w stanie stworzyć kodu działającego między komputerem pokładowym a astromechem!

– A niby czemu nie? Artoo to jedyny droid, który pracuje z tym komputerem od pięciu lat, co daje około trzech tysięcy godzin lotu. Przez ten czas stworzyli wręcz symbiozę i mam wrażenie, że Artoo zlał swoją osobowość z pamięcią komputera. Ba, nie wrażenie, ale pewność. Ludzie z obsługi technicznej przeprowadzają testy diagnostyczne za pośrednictwem Artoo, inaczej bowiem niczego by nie zrozumieli.

– Wydawało mi się, że standardowa procedura nakazuje wykasować i wgrać ponownie wspomnienia droida co sześć miesięcy, by nie doszło do takich sytuacji.

– A ja lubię Artoo takiego, jakim jest – rzekł Luke. – Poza tym on i X-wingi działają w ten sposób lepiej.

– W jaki sposób lepiej?

Luke przeszukał swoją pamięć. Obsługa techniczna przeprowadziła ten test zaledwie kilka miesięcy temu.

– Nie pamiętam dokładnych statystyk, ale mam wrażenie, że działają o jakieś trzydzieści procent szybciej niż standardowy układ astromecha z X-wingiem. Może trzydzieści pięć.

Mara wpatrywała się ostro w R2-D2.

– Czyli działają szybko. No dobra – zgodziła się niechętnie. – Ale Imperium i tak może złamać kod.

– Z czasem na pewno. Będą jednak potrzebować wyspecjalizowanego sprzętu, a my, jak sama powiedziałaś, za trzy dni wyjdziemy z lasu.

Przez długą chwilę Mara wpatrywała się w niego, zaciskając mocno zęby. Na jej twarzy widać było zmagania emocji – goryczy, nienawiści, chęci przetrwania i… I czegoś jeszcze. Czegoś, co – zdaniem Luke'a – mogło być odrobiną lojalności, a przynajmniej miał taką nadzieję.

– Twój myśliwiec stoi samotnie w lesie – warknęła wreszcie. – W jaki sposób przekażesz wiadomość Talonowi?

– Ktoś prędzej czy później będzie musiał do niego zajrzeć – powiedział Luke. – My jedynie musimy przesunąć transmisję do pamięci głównej i uruchomić jakiś sygnał świetlny, że ta się tam znalazła. Macie przecież w bazie ludzi, którzy potrafią odczytywać wiadomości?

– Każdy idiota wie, jak to zrobić. – Mara spojrzała na niego ze złością. – Genialny plan, Skywalker. A najbardziej genialne w nim jest to, że obaj musicie pozostać przy życiu, by zadziałał.

Luke milczał i bez mrugnięcia okiem wytrzymywał jej wściekłe spojrzenie, aż nagle wewnętrzne zmagania Mary dobiegły końca.

– A co z tym droidem? – zapytała ostro. – Nigdy go nie przeciągniemy przez ten las!

– Artoo już nieraz wędrował po lesie, chociaż… – zaczął Luke i rozglądał się, aż natrafił wzrokiem na drzewo z dwiema gałęziami odpowiedniej długości. – Chociaż lepiej będzie, gdy sporządzę dla niego odpowiednie nosze.

Zaczął się podnosić.

– Jeśli oddasz mi na chwilę miecz świetlny, zetnę kilka konarów.

– Siadaj – warknęła Mara, wstając. – Ja to zrobię.

Cóż, warto było spróbować.

– Te dwie nadadzą się idealnie. – Wskazał odpowiednie gałęzie. – Tylko uważaj. Miecze świetlne to nie zabawka.

– Wzrusza mnie twoja troska o mnie. – Mara odpowiedziała głosem ociekającym sarkazmem.

Wyciągnęła broń i podeszła do wskazanego drzewa, ani na moment nie spuszczając wzroku z Luke'a. Uniosła miecz,

uruchomiła go i kilkoma szybkimi, celnymi machnięciami ogołociła konary z mniejszych gałązek i ścięła je przy pniu. Potem wyłączyła miecz i jednym płynnym ruchem przypięła go do pasa.

– Proszę bardzo – powiedziała do Luke'a.

– Już się biorę do pracy – odparł ten odruchowo i podszedł, by podnieść gałęzie. Wprawa, z jaką obrobiła gałęzie, zaskoczyła go do granic.

– Miałaś już w ręku miecz świetlny, co? – spytał.

Mara spojrzała na niego chłodno.

– Dobrze to sobie zapamiętaj, gdyby przyszło ci do głowy, by spróbować wyrwać mi blaster.

Uniosła głowę ku ciemniejącemu niebu.

– Bierz się za te nosze. Będziemy musieli znaleźć jakąś polanę, by wypuścić ten balon, a chciałabym mieć to z głowy przed zmierzchem.

Rozdział 24

– Muszę przeprosić, że wygoniłem was tak bezceremonialnie – mówił Karrde do Hana. – Tym bardziej że byliśmy w samym środku posiłku. Na ogół staram się okazywać większą gościnność.

– To naprawdę nie problem – odparł Han.

Szli w stronę centralnego budynku bazy. Padające z jej okien światło opromieniało lekko oblicze przemytnika i Han liczył na to, że uda mu się odczytać wyraz jego twarzy.

– O co tu właściwie chodziło? – spytał.

– O nic poważnego – zapewnił go beztrosko Karrde. – Kilku moich partnerów biznesowych postanowiło mnie odwiedzić i przyjrzeć się mojej bazie.

– Ach – odparł Han. – A więc pracujesz teraz bezpośrednio dla Imperium?

Przez ułamek sekundy widział na twarzy rozmówcy wahanie. Spodziewał się, że ten odruchowo zaprzeczy, ale Karrde zatrzymał się i spojrzał na niego, Lando oraz Ghenta.

– Ghent? – odezwał się cicho.

– Przykro mi, sir – bąknął chłopak. Wydawał się zdruzgotany. – Nie udało mi się ich zatrzymać.

– Rozumiem. – Karrde przeniósł spojrzenie na Hana. Na jego twarzy znów pojawił się spokój. – Przypuszczalnie nic złego się nie stało, choć na twoim miejscu raczej trzymałbym się z dala od zagrożenia.

– Przywykłem – odparł Solo. – A ty nie odpowiedziałeś mi na pytanie.

Karrde ruszył przed siebie.

– Skoro nie interesuje mnie praca dla Republiki, tym bardziej nie będę pracował dla Imperium. Jego przedstawiciele przybywali tu ostatnio po isalamiry, nadrzewne stworzenia, takie jak te, które widzieliście na drzewie w moim salonie. Zaproponowałem im pomoc w ich zbieraniu.

– A co otrzymałeś w zamian?

– Okazję przyjrzenia się temu, co robią – odparł Karrde. – Chciałem się dowiedzieć, do czego ich potrzebują.

– I co? Do czego?

Karrde zerknął na Hana.

– Informacje mają tu swoją cenę, Solo, ale jeśli mam być z tobą całkiem szczery, nie mam pojęcia, co knuje Imperium. Próbujemy jednak się dowiedzieć.

– Rozumiem. Ale ich dowódcę znasz osobiście?

– Proszę.. – Uśmiechnął się lekko Karrde. – Kolejna informacja.

Han zaczynał mieć wszystkiego dosyć.

– Jak sobie chcesz. Ile będzie mnie kosztować imię tego wielkiego admirała?

– Póki co jego imię nie jest na sprzedaż – odparł Karrde. – Być może jednak uda nam się porozmawiać o tym później.

– Świetnie, ale nie sądzę, by było jeszcze jakieś później – warknął Han i zatrzymał się. – Jeśli nie masz nic przeciwko, pożegnamy się tu i teraz, a potem wrócimy na „Sokoła".

Karrde odwrócił się ku niemu z lekkim zdziwieniem.

– Nie chcecie dokończyć posiłku? Przecież nawet nie zaczęliśmy!

Han spojrzał mu prosto w oczy.

– Nie przepadam za miejscami, w których lada moment mogę się stać celem ćwiczebnym dla szturmowców – oznajmił bez ogródek.

Oblicze Karrde stężało.

– Póki co proponuję jednak pozostać na powierzchni – oznajmił chłodnym głosem. – Gwiezdny niszczyciel nadal wisi na orbicie. Opuszczając planetę, zapraszacie ich do otwarcia ognia.

– „Sokół" już nieraz przegonił niszczyciela – skontrował Han, ale w duchu przyznał, że Karrde ma rację. Co więcej, skoro nie wydał ich Imperium, oznaczało to przypuszczalnie, że można mu zaufać. Przynajmniej na razie.

Przypuszczalnie.

Z kolei, gdyby tu pozostali…

– Choć nie zaszkodziłoby, gdybyśmy trochę przedłużyli swój pobyt – przyznał. – Dobra, dokończymy posiłek.

– Świetnie – rzekł Karrde. – Dajcie nam kilka minut, by przywrócić jadalnię do poprzedniego stanu.

– Wszystko usunęliście? – spytał Lando.

– Wszystko, co mogłoby wskazywać na gości – rzekł. – Wielki admirał jest bardzo spostrzegawczym człowiekiem i nie zdziwiłbym się, gdyby znał dokładną liczbę moich współpracowników, którzy przebywają obecnie w bazie.

– W porządku, a w trakcie waszych przygotowań my z Lando udamy się na statek – rzekł Han. – Muszę sprawdzić kilka rzeczy.

Karrde zmrużył oczy.

– Ale wrócicie, jak rozumiem?

– Zaufaj mi – rzekł Han i obdarzył przemytnika niewinnym uśmiechem.

Karrde wpatrywał się w niego jeszcze przez chwilę, po czym wzruszył ramionami.

– Dobrze, tylko uważajcie na siebie. Miejscowe drapieżniki na ogół nie zbliżają się do bazy, ale zdarzają się wyjątki.

– W porządku, będziemy uważać – obiecał mu Han. – Chodź, Lando.

Obaj ruszyli w drogę powrotną.

– A więc czego zapomnieliśmy zrobić na „Sokole”? – spytał cicho Lando, gdy zagłębili się między drzewa.

– Niczego – odparł Han równie cicho. – Przyszło mi do głowy, że dobrze byłoby sprawdzić magazyny Karrde, a zwłaszcza ten, w którym rzekomo znajdował się jeniec.

Weszli w las na jakieś pięć metrów i skręcili, by obejść bazę. Po pokonaniu jednej czwartej drogi natrafili na grupę budynków, które wyglądały na magazyny.

– Szukajmy drzwi z zamkiem, stałym albo tymczasowym – zaproponował Lando, gdy znaleźli się między nimi.

– Dobry pomysł. – Han wytężał wzrok. – O, widzisz tamten? Ten z dwojgiem drzwi?

– Może to i ten – zgodził się Lando. – Chodź, trzeba się przyjrzeć z bliska.

Drzwi po lewej rzeczywiście miały kiedyś zamek.

– Został odstrzelony. – Lando wskazał palcem resztki. – Dziwne.

– Może ten więzień miał przyjaciół – rzucił Han i rozejrzał się. Wokół nie było żywej duszy. – Wejdźmy do środka.

Rozsunęli drzwi, wślizgnęli się do wnętrza magazynu i zamknęli je za sobą, po czym zapalili światło. Pomieszczenie było wypełnione do połowy skrzyniami, które ustawiono głównie wzdłuż prawej ściany.

Han podszedł bliżej.

– Coś takiego – mruknął, gdy jego wzrok natrafił na odkręcone gniazdko i wystające z niego kable. – Ktoś tu miał ręce pełne roboty.

– Tu również – odezwał się Lando, który klęczał przy drzwiach i przyglądał się mechanizmowi zamka. – Spójrz no tylko.

Znaczna część blaszanej obudowy zamka została odstrzelona, podobnie jak ta na zewnątrz.

– To ci był dopiero strzał! – Han zmarszczył brwi.

– To nie był pojedynczy strzał. – Lando pokręcił głową. – Spójrz, przecież środek jest nietknięty.

Odchylił nieco resztki obudowy i zaczął szturchać palcem obwody elektroniczne.

– Wygląda na to, że nasz tajemniczy więzień grzebał w instalacji.

– Ciekawe, jak zdołał otworzyć drzwi. – Han spojrzał na usuniętą płytkę zasilającą. – Wiesz co? Przyjrzę się sąsiednim drzwiom – oznajmił. Podszedł do wejścia i nacisnął przycisk otwierający.

Drzwi nawet nie drgnęły.

– Oho! – mruknął i spróbował ponownie.

– Poczekaj! – odezwał się Lando, który majstrował w czymś za płytką. – Już wiem, na czym polega problem. Podpięto tu jakieś źródło zasilania…

Drzwi nagle stanęły otworem.

– Wracam za sekundę – oznajmił Han i wymknął się na zewnątrz.

Drugie z pomieszczeń magazynu niewiele różniło się od pierwszego — z jednym wyjątkiem. Na samym środku, między odsuniętymi na boki skrzyniami, leżała obręcz ograniczająca przeznaczona dla droidów.

Han zmarszczył brwi. Nie złożono jej jak należy ani nawet nie zamknięto, co nie pasowało mu do zasad panujących w organizacji Karrde. Wydawało mu się, że jej członkowie raczej nie traktują

należącego do firmy sprzętu w tak nonszalancki sposób. Co więcej, w samym środku rozwartej obręczy odkrył trzy ledwie widoczne ślady na podłodze.

„To ślady po kółkach – uznał. – Uwięziony droid najwyraźniej próbował się uwolnić".

Drzwi za jego plecami nagle skrzypnęły. Han odwrócił się błyskawicznie z blasterem w dłoni.

– Chyba się zgubiłeś – rzekł spokojnie Karrde i rozejrzał się po pomieszczeniu. – Co więcej, zgubiłeś też gdzieś generała Calrissiana.

Han opuścił broń.

– Musisz przekazać swoim ludziom, by po zakończonej zabawie odkładali zabawki na miejsce – powiedział, ruchem głowy wskazując porzuconą obręcz. – Przetrzymywałeś nie tylko człowieka, ale także droida?

Karrde uśmiechnął się lekko.

– Widzę, że Ghent naprawdę się rozgadał. Trudno w to uwierzyć, że tylu doskonałych hakerów wie doprawdy wszystko o komputerach i droidach, a nie ma pojęcia, kiedy należy trzymać gębę na kłódkę.

– Trudno też uwierzyć w to, ilu doskonałych przemytników nie ma pojęcia, że w niektóre interesy lepiej się nie pakować – odciął się Han. – A więc do czego zmusił cię ten wielki admirał? Do handlu niewolnikami? Porwań?

Oczy Karrde błysnęły.

– Ja nie handluję niewolnikami, Solo. Nie zajmuję się też porwaniami. Nie ma o tym mowy.

– Jak więc wytłumaczysz tego tutaj? Wypadek przy pracy?

– Nie zapraszałem go do mojego życia! – odparował Karrde. – A już tym bardziej nie zależało mi, by trafił tutaj.

– Ależ ty bredzisz, Karrde – parsknął Han. – Chcesz powiedzieć, że spadł ci z nieba na głowę?

– Jeśli chodzi o ścisłość, to niewiele się pomyliłeś – odparł sztywno Karrde.

– Cóż, trudno o lepszy powód, by zamknąć kogoś w prowizorycznym areszcie – stwierdził sardonicznie Han. – Kto to jest?

– Ta informacja nie jest na sprzedaż.

– A może wcale nie musimy jej kupować? – odezwał się Lando zza jego pleców.

– Ach, to ty. – Karrde spojrzał na Calrissiana, który wyminął go i wszedł do środka. – Sprawdzasz drugą część magazynu, jak mniemam?

– Tak – odparł Han. – Jak widzisz, zdarza się, że się gubimy, ale nigdy na długo. Co znalazłeś, Lando?

– To. – Calrissian uniósł w dłoni niewielki, czerwony cylinder. Z obu końców elementu odbiegała para przewodów. – To miniaturowe źródło zasilania dla urządzeń niewymagających wielkich ilości mocy. Nasz więzień podłączył go do mechanizmu zamka i w ten oto sposób wydostał się na zewnątrz.

Podszedł bliżej.

– Logo producenta jest niewielkie, ale czytelne. Poznajesz?

Han zmrużył oczy. Napis wykonano w obcym alfabecie, ale wydawał mu się znajomy.

– Widziałem to gdzieś, ale nie pamiętam szczegółów.

– Widziałeś to podczas wojny – rzekł Lando, wpatrując się w Karrde. – To logo Sibha Habadeet.

Po plecach patrzącego na cylinder Hana przeszedł zimny dreszcz. Sibha Habadeet należało do głównych dostawców mikroelektroniki pracujących dla Sojuszu. A specjalizowało się w…

– To bioelektroniczne źródło zasilania?

– Otóż to – przyznał ponurym głosem Lando. – Dokładnie coś takiego umieścilibyśmy, dajmy na to, w sztucznej dłoni.

Lufa blastera Hana powoli podjechała w górę i wycelowała w brzuch przemytnika.

– A tutaj przebywał droid – powiedział do Lando. – Ślady kółek na podłodze odpowiadają tym, jakie zostawiłaby jednostka Artoo.

Uniósł brew.

– Chciałbyś może wziąć udział w naszej rozmowie, Karrde?

Karrde westchnął, a na jego twarzy pojawiła się mieszanina rozdrażnienia i rezygnacji.

– I co wy chcecie ode mnie usłyszeć? Że Luke Skywalker był tu przetrzymywany? W porządku. Załóżmy, że to powiedziałem.

Han uświadomił sobie, że zaciska mocno zęby. Przebywali z Lando na tej planecie od wielu godzin i nie mieli o niczym pojęcia…

– Gdzie jest teraz? – spytał ostro.

– Myślałem, że Ghent wszystko wam powiedział – rzekł ponuro Karrde. – Uciekł na jednej z moich kanonierek typu Skipray. — Wykrzywił usta. – I rozbił się po drodze.

– Co takiego?

– Nic mu się nie stało – zapewnił go Karrde. – Nie wiem, co się dzieje z nim teraz, ale szturmowcy, wysłani z zadaniem zbadania miejsca kraksy, zameldowali po powrocie, że oba wraki były puste. — Blask jego oczu przygasł na chwilę. – Co oznacza, że piloci próbują wrócić do cywilizacji. A przynajmniej taką mam nadzieję.

– Nie wydajesz się tego pewien – dociskał Han.

Oczy Talona zmatowiały jeszcze bardziej.

– W pościg za nim udała się Mara Jade, która ma pewien… Dobra, nazwijmy rzeczy po imieniu. Mara chce go zabić i nie myśli o niczym innym.

Han spojrzał ze zgrozą na Lando.

– Dlaczego?

– Nie wiem. – Karrde pokręcił głową.

Przez moment w pomieszczeniu panowała cisza.

– W jaki sposób on się tu w ogóle znalazł? – spytał Lando.

– Jak już mówiłem, zupełnie przez przypadek – odparł Karrde. – Choć nie. Cofam to, co powiedziałem. Odnalazła go właściwie Mara, która doprowadziła nas prosto do jego uszkodzonego myśliwca.

– Jak?

– Tego też nie wiem. – Karrde wbił w Hana twarde spojrzenie. – I zanim o to spytasz, wiedz, że nie mieliśmy nic wspólnego z uszkodzeniem jego myśliwca. Spalił oba motywatory hipernapędu podczas potyczki z jakimś gwiezdnym niszczycielem Imperium. Gdybyśmy go nie zabrali, przypuszczalnie by już nie żył.

– A teraz wędruje po lesie z kimś, kto nadal chce go zabić – zripostował Han. – Tak, Karrde, to się nazywa ocalenie. Prawdziwy z ciebie bohater!

Spojrzenie przemytnika stwardniało jeszcze bardziej.

– Imperium pragnie dorwać Skywalkera, Solo. Za wszelką cenę. Jeśli raz jeszcze przemyślisz tę całą sytuację, zauważysz zapewne, że im go nie wydałem!

– Bo uciekł.

– Uciekł, bo znalazł się w tym magazynie. Trafił tu na mój rozkaz, bo nie chciałem, by ktoś z naszych niezapowiedzianych imperialnych gości przypadkiem się na niego natknął. — Urwał na moment. – Po dłuższym namyśle pewnie dojdziesz też do wniosku – dodał cicho – że was dwóch również nie wydałem.

Han powoli opuścił broń. Nie wolno było wierzyć niczemu, co mówił człowiek, w którego wycelowano broń, ale sam fakt, że Karrde nie oddał ich Imperium, rzeczywiście przemawiał na jego korzyść.

„Czy raczej – Han poprawił się w myślach – jeszcze nas nie oddał. Przecież wszystko się jeszcze może zmienić".

– Chcę obejrzeć X-winga Luke'a – oznajmił.

– Oczywiście – rzekł Karrde. – Choć proponowałbym zrobić to dopiero jutro rano. Kazałem go przesunąć w głąb lasu, jeszcze dalej niż „Sokoła", a wierzcie mi, że w ciemnościach czają się drapieżniki.

Han zawahał się, ale skinął głową. Jeśli Karrde miał coś na sumieniu i nie powiedział im całej prawdy, bez wątpienia wykasował pamięć komputera X-winga bądź wprowadził do niej zmiany. Kilka godzin nie miało więc znaczenia.

– Dobra. To co zrobimy z Lukiem?

Karrde pokręcił głową. Nie patrzył na Hana.

– Tej nocy tak naprawdę nie możemy zrobić dla nich nic. Po lesie włóczą się vornskry, a na orbicie wisi wielki admirał. Jutro jednak… Cóż, będziemy musieli porządnie się naradzić i zobaczymy, co się uda ustalić. — W jego oczach znów pojawił się błysk, a usta wykrzywił lekko ironiczny uśmieszek.– A tak na marginesie, posiłek powinien być już gotowy. Pozwolicie?

Słabo oświetlona holograficzna galeria sztuki uległa zmianom. Tym razem oczom Pellaeona ukazała się kolekcja podobnych do siebie dzieł przypominających płomienie, które pulsowały, wibrowały

i ulegały przekształceniom. Kapitan ostrożnie przechodził między piedestałami, przyglądając się uważnie hologramom. Nie miał pojęcia, skąd pochodzi ten zbiór.

– Znalazł ich pan, kapitanie? – spytał Thrawn, gdy Pellaeon minął wewnętrzny krąg.

Oficer przygotował się na najgorsze.

– Obawiam się, że nie, sir. Miałem nadzieję, że po zapadnięciu ciemności uda nam się pochwycić coś za pomocą sensorów podczerwieni, ale nawet one nie są w stanie przeniknąć przez korony drzew.

Thrawn pokiwał głową.

– A co z tą transmisją pulsacyjną, którą przechwyciliśmy tuż po zachodzie słońca?

– Udało nam się ustalić, że została nadana niedaleko miejsca katastrofy – powiadomił go Pellaeon. – Była jednak zbyt krótka, by precyzyjnie namierzyć miejsce nadania. Posłużono się też bardzo osobliwym szyfrem. Dział deszyfracji twierdzi, że być może to szyfr dyplomatyczny. Pracują nad jego złamaniem.

– Rozumiem, że wypróbowali wszystkie klucze stosowane przez Rebelię?

– Tak jest, sir. Zgodnie z pańskim rozkazem.

Thrawn pokiwał głową w zadumie.

– Wygląda więc na to, kapitanie, że znaleźliśmy się w impasie. Do chwili, gdy rozbitkowie nie wyjdą z lasu, niewiele możemy zrobić. Czy wyliczono może ich najbardziej prawdopodobne trasy ewakuacyjne?

– Tak naprawdę istnieje tylko jedna – powiedział Pellaeon, zastanawiając się w duchu, dlaczego wielki admirał poświęca temu tyle uwagi. – Na skraju puszczy znajduje się miasto o nazwie Hyllyard City, które leży niemalże dokładnie na ich trasie. W promieniu stu kilometrów nie ma innego skupiska ludności. Ponieważ rozbitkowie mają tylko jeden zestaw ratunkowy, raczej na pewno udadzą się właśnie tam.

– Doskonale. – Thrawn skinął głową. – Proszę wysłać trzy drużyny szturmowców, by założyły tam stanowisko obserwacyjne. Mają wyruszyć bezzwłocznie.

– Szturmowców, sir? – Pellaeon zamrugał oczami.

– Szturmowców – powtórzył Thrawn, odwracając spojrzenie ku jednej z ognistych rzeźb. – Proszę im dodać połowę kompanii zwiadowców oraz trzy pojazdy uderzeniowe typu Chariot.

– Tak jest, sir – rzekł ostrożnie Pellaeon.

Ostatnimi czasy cierpieli na wielki niedobór szturmowców i na samą myśl, że ma ich tracić podczas jakichś idiotycznych utarczek z przemytnikami…

– Karrde nas okłamał, bez wątpienia – ciągnął Thrawn, jakby czytał kapitanowi w myślach. – Ten incydent nad puszczą, którego byliśmy świadkami, z pewnością nie był zwykłym pościgiem za byle złodziejem. Bardzo chciałbym się dowiedzieć, co tam się naprawdę odbyło.

– Ja… Chyba nie nadążam, sir.

– To bardzo proste, kapitanie. – Thrawn odezwał się tym samym tonem, który przybierał najwyraźniej zawsze wtedy, gdy objaśniał rzeczy oczywiste. – Pilot kanonierki ścigającej nie złożył ani jednego meldunku podczas lotu. Co więcej, nie skontaktował się z nim nikt spośród pracowników bazy. Nie ma co do tego wątpliwości, bo przechwycilibyśmy takie transmisje. Nie było meldunków o przebiegu pościgu, nie było wezwania o pomoc, nic. Całkowita cisza radiowa. — Thrawn zamilkł i spojrzał na Pellaeona. – Jakieś wnioski, kapitanie?

– Nie mam pojęcia, co się tam rozegrało – rzekł powoli oficer – ale nie chcieli, byśmy się o tym dowiedzieli. I to chyba tyle. — Pokręcił głową i dodał: – Nie wiem, sir. Założę się, że ci przemytnicy ukrywają wiele spraw przed ludźmi z zewnątrz, trudno mi jednak sobie wyobrazić, co by to miało być. Przecież to w końcu przemytnicy. Przestępcy!

– Zgadzam się. – Oczy Thrawna zdawały się migotać. – A teraz niech sobie pan przypomni, że Karrde nie chciał wziąć udziału w naszym poszukiwaniu Skywalkera, a dziś pod wieczór zasugerował, że dobiegło już końca.

Uniósł brew.

– No? I co to panu mówi?

Pellaeon rozdziawił usta.

– Nie chce pan… Nie chce pan chyba powiedzieć, że to Skywalker uciekał na tym Skiprayu?

– Intrygujący wniosek, nieprawdaż? – zgodził się Thrawn. – Przyznaję, że to raczej niemożliwe, ale na tyle prawdopodobne, że warto się temu przyjrzeć.

– Tak jest, sir – rzekł Pellaeon i zerknął na zegarek, po czym dokonał szybkich obliczeń. – Choć jeśli zostaniemy tu jeszcze dzień czy dwa, będziemy musieli przesunąć atak na Sluis Van.

– Niczego nie przesuwamy – rzekł dobitnie Thrawn. – Nasza droga do zwycięstwa nad Rebelią zaczyna się tu i nie chcę wprowadzać zmian do tak złożonego i dalekosiężnego planu, nawet dla Skywalkera.

Ruchem głowy wskazał płonące rzeźby.

– Sztuka mieszkańców Sluis Van wyraźnie wskazuje na ich związek z dwurocznym cyklem, a ja chcę w nich uderzyć w najmniej aktywnym momencie. Zaraz po odesłaniu oddziałów i pojazdów na Myrkr udamy się na miejsce spotkania z „Inexorable”, gdzie przeprowadzimy test systemu maskującego. Trzy drużyny szturmowców powinny wystarczyć, by uporać się ze Skywalkerem, jeśli to rzeczywiście on. – Zatopił wzrok w twarzy Pellaeona. – Wystarczy ich też, by zająć się Karrde – dodał cicho. – Jeśli okaże się zdrajcą.

Resztki błękitu w prześwitach między koronami drzew znikły, ustępując wszędzie miejsca czerni. Mara ustawiła lampkę zestawu ratunkowego na najniższą jasność i z ulgą usiadła na ziemi obok ogromnego korzenia. Prawa kostka, nieco nadwerężona podczas katastrofy, znów zaczęła ją boleć i dobrze było dać jej odpocząć.

Skywalker już wyciągnął się na ziemi po drugiej stronie lampki i pod głowę podłożył sobie zwiniętą tunikę. Jego lojalny droid czuwał nad nim. Mara zastanawiała się, czy wie o jej kontuzji, ale uznała podobne rozważania za całkowicie zbędne. Odnosiła przecież o wiele poważniejsze obrażenia, które wcale jej nie spowolniły.

– Jak na Endorze – powiedział cicho, gdy Mara ułożyła sobie broń i lampkę na kolanie, by móc w każdej chwili po nie sięgnąć. – Las

zawsze wydaje się taki pełen życia po zmroku.

– A żebyś wiedział, że jest pełen życia – burknęła Mara. – Wiele zwierząt poluje tu nocą, w tym również vornskry.

– Dziwne – mruknął Luke. – Te, które trzyma Karrde, wydawały się dość aktywne, choć było późne popołudnie.

Mara spojrzała na niego, nieco zaskoczona tym, że zauważył taki szczegół.

– Nawet na wolności drzemią w różnych porach doby – powiedziała. – Polują jednakże głównie w nocy.

Skywalker zastanawiał się nad tym przez moment.

– Może więc powinniśmy podróżować w nocy? – zaproponował. – Lepiej, żebyśmy nie spali, gdy drapieżniki ruszą na łowy. Po co ułatwiać im zadanie?

Mara pokręciła głową.

– Więcej z tym kłopotów niż pożytku. Musimy przecież cały czas widzieć teren przed sobą, jeśli nie chcemy wpadać w ślepe zaułki. Poza tym puszcza jest pełna polanek.

– Z których światło latarki słupkowej będzie widoczne dla orbitującego statku – dokończył za nią Skywalker. – W porządku, masz rację. Wygląda na to, że sporo wiesz o tym miejscu.

– Każdy średnio spostrzegawczy pilot wychwyciłby taki szczegół – warknęła Mara i oparła się o chropowatą korę drzewa. W głębi duszy wiedziała, że Skywalker się nie myli. Wszak pierwszą zasadą, jaką jej wpojono, było: „Poznaj swoje terytorium” – i od tego rozpoczęła, gdy dostała się do organizacji Talona Karrde. Długo studiowała mapy lasu i okolicznych terenów, a potem wyprawiała się na długie piesze wędrówki, zarówno w nocy, jak i za dnia, by zapoznać się z dźwiękami i zapachami puszczy. Wytropiła i zabiła kilka vornskrów i innych drapieżników, chcąc poznać najlepsze i najszybsze sposoby na ich pokonanie. Namówiła również innych członków organizacji, by przeprowadzili testy miejscowych gatunków flory i ustalili, które nadają się do jedzenia. Dowiedziała się też sporo na temat osadników na planecie, pojęła miejscową politykę i schowała niewielką ilość kredytów w miejscu, w którym mogła łatwo się do nich dostać.

Nie sądziła, by ktokolwiek w całej organizacji miał większe szanse na przeżycie poza bazą. Dlaczego więc tak bardzo chciała tam wrócić?

Nie chodziło wcale o samego Karrde – tego akurat była pewna. Zrobił dla niej wiele i zapewnił jej wysokie stanowisko w organizacji, ale przecież spłaciła dług ciężką pracą i lojalną służbą. Nie była mu nic winna, a wymyślona naprędce historia o pościgu nad puszczą, którą wcisnął Thrawnowi, miała w pierwszej kolejności uratować jego własny kark, a nie jej. Gdyby zaś zauważył, że wielki admirał mu nie wierzy, miał prawo jeszcze dziś zebrać całą grupę i zniknąć w jednej z kryjówek rozsianych po całej galaktyce.

Choć Mara wiedziała, że tego nie zrobi. Czuła, że Karrde będzie tkwił w bazie, wysyłał jedną grupę ratunkową za drugą i bez końca czekał, aż Mara wyjdzie z puszczy. Nawet jeśli nie było na to żadnych szans.

Nawet gdyby przyszło mu w ten sposób nadużyć cierpliwości Thrawna.

Przed oczami dziewczyny pojawiło się wyobrażenie Talona przykutego do ściany celi i rzuconego na pastwę droida przesłuchującego. Mara zacisnęła zęby i potrząsnęła głową, chcąc odpędzić tę wizję. Znała bowiem Thrawna. Wiedziała, że jest nieustępliwym człowiekiem o wielkiej cierpliwości. Wiedziała, że będzie czekał i przyglądał się bądź też wyznaczy kogoś, kto zrobi to za niego. Nie opuści przemytnika, jeśli nie pozna odpowiedzi na wszystkie swoje pytania.

Jeśli zaś ona bądź Skywalker nigdy nie wyjdą z lasu, Thrawn bez wątpienia dojdzie do nieprawdziwych wniosków, a wówczas przekaże Karrde w ręce specjalistów do spraw przesłuchań. Ci w końcu ustalą, kim był uciekinier.

Wtedy Karrde zostanie skazany na śmierć.

Kopułka droida obracała się to w jedną, to w drugą stronę, a on sam wydał z siebie serię pełnych niepokoju piśnięć.

– Artoo chyba coś wychwycił. – Skywalker uniósł się na łokciach.

– Co ty nie powiesz! – odparła Mara.

Złapała latarkę, wycelowała nią w zauważony chwilę wcześniej cień, który już podkradał się ku nim, i włączyła ją.

Plama światła opromieniła przyczajonego vornskra. Drapieżnik wbił pazury w ziemię i poruszał powoli wyprężonym, sztywnym ogonem. Nie zwróciwszy uwagi na światło, podkradał się do Skywalkera.

Mara pozwoliła mu zrobić jeszcze dwa kroki, a potem przestrzeliła mu czaszkę.

Bestia zwaliła się na ziemię, a jej ogon zadrżał spazmatycznie i zwiotczał. Mara obróciła się wokół własnej osi, oświetlając wszystkie cienie, po czym wyłączyła latarkę.

– Nacieszyć się nie mogę, że mamy ze sobą twojego droida – stwierdziła sarkastycznie w mroku.

– Cóż, gdyby nie Artoo, nawet bym się nie domyślił, że coś nam grozi – odparł kwaśno Skywalker. – Dzięki.

– Przestań już – burknęła.

– Czy oswojone vornskry Karrde to inny gatunek? – odezwał się po chwili Skywalker. – Czy może kazał im usunąć ogony?

Mara spojrzała na niego przez mrok. Nie chciała tego przyznać nawet przed sobą, ale młody Jedi zrobił na niej wrażenie. Mało kto, wpatrzony w gardziel vornskra, zauważyłby taki szczegół.

– Usunięto je – przytaknęła. – One smagają tymi ogonami jak biczami. Nie dość, że boli jak cholera, to jeszcze ogony kryją w sobie łagodną truciznę. Z początku chodziło głównie o to, by zwierzaki nie smagały nimi ludzi, ale okazało się też, że usunięcie ogona temperuje nieco ich agresywne usposobienie.

– Wydawały się raczej udomowione – zgodził się Skywalker. – Ba, wręcz przyjazne.

„Z tym, że jemu jakoś sympatii nie okazały – pomyślała dziewczyna. – Co więcej, ten tutaj zignorował mnie i ruszył prosto na niego. Czyżby przypadek?”

– Bo są – przyznała. – Karrde myślał nawet o hodowaniu ich i sprzedawaniu jako zwierzęta stróżujące, ale jak dotąd się za to nie zabrał.

– Cóż, a więc z ochotą odegram rolę doradcy – rzekł sucho Luke. – Powiedz mu, że spojrzałem vornskrowi prosto w gardziel i wiem, że przeciętny intruz nie chciałby raz jeszcze tego oglądać.

Mara się skrzywiła.

– Przyzwyczaj się – poradziła mu. – Na skraj lasu czeka nas długa droga.

– Wiem. – Skywalker znów się ułożył. – Na szczęście wydaje mi się, że świetnie strzelasz.

Umilkł, by zapaść w sen, z nadzieją, że ona również ma taki zamiar.

„Akurat” – pomyślała ironicznie Mara.

Sięgnęła w głąb zestawu ratunkowego i wyciągnęła paczkę z pigułkami energetycznymi. Zbyt duża dawka mogła szybko zniszczyć zdrowie, ale sen w odległości pięciu kroków od śmiertelnego wroga stwarzał o wiele większe niebezpieczeństwo.

Trzymając opakowanie w dłoni, spojrzała na Skywalkera i zmarszczyła lekko czoło. Patrzyła na jego zamknięte oczy i spokojną twarz, na której nie było ani cienia zmartwienia. Wydało jej się to dziwne, bo z ich dwojga to właśnie on miał powody, by się martwić. Ogołocony przez isalamiry ze swoich cudownych mocy Jedi, zagubiony w głębi puszczy na planecie nieznanej nawet z nazwy, skazany na jej towarzystwo, bliskość Imperium i sąsiedztwo vornskrów — powinien siedzieć z bijącym mocno sercem i wytrzeszczonymi oczyma wpatrywać się w mrok.

A może udawał? Może jedynie pozorował spokój w nadziei, że Mara straci czujność? Cóż, w jego sytuacji ona z pewnością sięgnęłaby po tę sztuczkę.

A może po prostu go nie doceniała? Może kryło się w nim więcej niż tylko znane nazwisko, polityczna pozycja i kilka sztuczek Jedi?

Zacisnęła mocno usta i musnęła palcami rękojeść miecza świetlnego, zwisającego z jej paska. Ba, z pewnością kryło się w nim coś więcej. Dobrze pamiętała ten straszny, skomplikowany finał, który zrujnował jej życie. Dobrze pamiętała, co się wówczas wydarzyło, i wiedziała, że Skywalker nie może zawdzięczać swojego ocalenia sztuczkom Jedi. Coś innego uratowało mu życie i Mara poprzysięgła sobie, że wyciągnie z niego tę tajemnicę, zanim wymierzy mu sprawiedliwość.

Kciukiem wyłuskała tabletkę z opakowania i połknęła ją, a w sercu poczuła nagły przypływ determinacji. Nie, Skywalker nie musiał się obawiać ani vornskrów, ani Imperium. To ona miała

odebrać mu życie. Tylko ona. To jej prawo, jej przywilej oraz jej obowiązek.

Ułożyła się w wygodniejszej pozycji i rozpoczęła oczekiwanie na świt.

Z oddali dobiegały już nocne szepty lasu, przemieszane z odgłosami cywilizacji rozlegającymi się w budynku za jego plecami. Karrde upił kolejny łyk, wpatrzony w ciemność. Nigdy w życiu nie czuł się aż tak zmęczony.

W ciągu raptem jednego dnia całe jego życie stanęło na głowie.

Siedzący obok niego Drang uniósł głowę i spojrzał na prawo.

– Mamy towarzystwo? – spytał Karrde i również odwrócił głowę.

Zmierzała ku nim jakaś postać, niewyraźna, ledwie zauważalna w blasku gwiazd.

– Karrde? – odezwała się cicho głosem Avesa.

– Tu jestem! – odpowiedział przemytnik. – Łap krzesło i chodź tu.

– Po co mi krzesło? – burknął Aves. Podszedł bliżej i usiadł po turecku na ziemi. – Przecież zaraz i tak muszę wracać do centrali.

– Ciągle się zmagasz z tą tajemniczą wiadomością?

– Taa… Nie mam pojęcia, co Marze strzeliło do głowy.

– Ja też nie – przyznał Karrde. – Ale jestem przekonany, że pomysł w założeniu był bardzo sprytny.

– Pewnie tak – stwierdził Aves. – A ja mam nadzieję, że nam też sprytu nie zabraknie. Przecież trzeba jakoś to cholerstwo odszyfrować.

Karrde pokiwał głową, po czym spytał:

– Przygotowaliście nocleg dla Solo i Calrissiana?

– Wrócili na własny statek – odparł Aves, krzywiąc się. – Chyba nam nie ufają.

– W tych okolicznościach trudno im się dziwić. – Karrde pochylił się i podrapał Dranga po łbie. – Jutro rano ściągniemy pamięć komputera tego X-winga. Może to ich przekona, że jesteśmy po ich stronie.

– A jesteśmy?

Karrde zacisnął usta.

– Nie mamy już wyboru, Aves. To nasi goście.

Aves wydął wargi.

– Wielki admirał nie będzie zadowolony.

Karrde wzruszył ramionami i powtórzył:

– To nasi goście.

W mroku ujrzał, jak Aves odpowiada tym samym gestem. Wiedział, że jego rozmówca dobrze rozumie obowiązki i powinności gospodarza. W przeciwieństwie do Mary, która chciała wysłać „Sokoła" jak najdalej stąd.

Żałował teraz, że jej nie posłuchał. Z całego serca żałował.

– Chcę, byś jutro rano zorganizował grupę poszukiwawczą – powiedział do Avesa. – Prawdopodobnie to zbyteczny wysiłek, ale mimo to trzeba go podjąć.

– W porządku. A co z Imperium?

Karrde skrzywił się do siebie.

– Wątpię, by chcieli podejmować jeszcze jakieś poszukiwania. Ten statek, który wymknął się z gwiezdnego niszczyciela jakąś godzinę temu, podejrzanie przypomina mi prom uderzeniowy. Przypuszczam, że chcą się zainstalować w Hyllyard City i tam zaczaić się na Marę i Skywalkera.

– Brzmi sensownie – rzekł Aves. – Co zrobimy, jeśli nie odnajdziemy ich pierwsi?

– Wówczas będziemy musieli odebrać ich szturmowcom. Jesteś w stanie zebrać grupę?

Aves parsknął cicho.

– Bułka z masłem. Słuchałem kilku rozmów, które rozpoczęły się po twoim komunikacie, i muszę przyznać, że nastroje w bazie są bojowe. Mniejsza nawet o to, że Skywalker niby jest bohaterem Republiki i tak dalej. Po prostu wielu z naszych uważa, że jesteśmy mu coś winni za to, że wyeliminował Jabbę z gry.

– Wiem – rzekł ponuro Karrde. – Niemniej cały ten entuzjazm może stać się problemem. Bo jeśli nie uda nam się wyrwać Skywalkera z rąk Imperium… Cóż, nie możemy pozwolić, by go zabrali żywego.

Cień siedzący przy Talonie milczał przez dłuższą chwilę.

– Rozumiem – odezwał się w końcu bardzo cicho. – Choć pewnie nie zrobi to wielkiej różnicy. Wiesz, że Thrawn nas podejrzewa?

– Wolę wymierzone we mnie podejrzenia od solidnych dowodów mojej winy – przypomniał mu Karrde. – Jeśli nie uda się zlokalizować Mary i Skywalkera w lesie, być może nie będziemy mieli wyboru.

– Nie podoba mi się to – Aves pokręcił głową.

– Mnie też nie. Musimy jednak być gotowi na każdą ewentualność.

– Zrozumiano.

Aves siedział w milczeniu jeszcze przez dłuższą chwilę, po czym stęknął głucho i wstał.

– Wrócę już do środka i sprawdzę, czy Ghentowi udało się coś zdziałać w sprawie tej wiadomości od Mary.

– A potem idź spać – przykazał mu Karrde. – Jutro czeka nas ciężki dzień.

– Racja. Dobranoc.

Aves odszedł i raz jeszcze nocne powietrze wypełniła osobliwa mieszanina odgłosów lasu. Odgłosów, które miały wielkie znaczenie dla istot, które je wydawały, ale dla niego były nieistotne.

Zupełnie pozbawione znaczenia.

Pokręcił głową wyraźnie zmęczony. Cóż Mara chciała im przekazać tą dziwną, niezrozumiałą wiadomością? Czyżby było to coś prostego? Coś, co on i każdy inny człowiek powinien być w stanie rozgryźć bez trudu?

A może dziewczyna, która zawsze taiła swoje zamiary przed innymi, wreszcie się przeliczyła?

Z oddali dobiegł charakterystyczny dla vornskrów chichot połączony z mruknięciem. Drang uniósł łeb.

– Kumpel jakiś? – spytał cicho Karrde, słuchając, jak inny drapieżnik powtórzył zew pierwszego. Przecież Sturm i Drang też kiedyś były dzikimi zwierzętami, zanim je udomowiono.

Podobnie jak Mara, nim ją przygarnął. Zadał sobie w myślach pytanie, czy kiedykolwiek uda się ją obłaskawić do końca.

„Ciekawe też, czy zabijając Skywalkera własnymi rękami, rozwiązałaby cały nasz problem?”

Ni to chichot, ni to mruknięcie rozległo się ponownie, tym razem bliżej.

– Chodź już, Drang – powiedział do vornskra. – Pora wrócić do środka.

Zatrzymał się przy drzwiach, by raz jeszcze obrzucić wzrokiem las. Jego serce na moment przeszyła melancholia oraz coś, co niepokojąco przypominało lęk. Nie, wielki admirał na pewno nie będzie z tego powodu szczęśliwy. Nie ma mowy.

I tak oto Karrde uświadomił sobie, że jego życie w tej bazie dobiegło właśnie końca.

Rozdział 25

W ciemnym pokoju panowała cisza. Subtelne odgłosy nocnego życia w Rwookrrorro wnikały przez kratkę w oknie wraz z podmuchami chłodnego wiatru. Leia wpatrywała się w zasłonę i ściskała rękojeść blastera spoconą dłonią, zastanawiając się, co ją właściwie zbudziło.

Leżała przez kilka minut z sercem walącym w piersi. Nie, nie było żadnego zagrożenia. Nie słyszała niepokojących dźwięków, nie wyczuła gwałtownych ruchów ani też innych niebezpieczeństw, które mogła wychwycić dzięki swoim wciąż ograniczonym zmysłom Jedi. Nie było nic poza nieprzyjemnym przeświadczeniem gdzieś z tyłu głowy, że nie jest już tu bezpieczna.

Nabrała głęboko powietrza, wypuściła je w ciszy i nadal nasłuchiwała. Z tego, co widziała, wina z pewnością nie leżała po stronie jej gospodarzy. Przywódcy miasta przez pierwszych kilka dni utrzymywali stan podniesionej gotowości. Każdego jej kroku strzegł tuzin uzbrojonych Wookieech, a ochotnicy, ogromni i groźni niczym włochate maszyny kroczące, przeczesywali miasto w poszukiwaniu szaroskórego obcego, którego zauważyła podczas pierwszego dnia. Sprawność, szybkość działania i skrupulantość Wookiech była godna podziwu i Leia rzadko widywała podobną w szeregach Sojuszu.

Dni jednakże mijały i nikt nie natknął się na najmniejszy ślad obcego. Podwyższona gotowość zaczęła powoli słabnąć, a gdy z innych miast na Kashyyyku dotarły raporty, że tam również nie natknięto się na nic niepokojącego, grupy ochotników skurczyły się do zaledwie garstki, a z ochrony pozostało tylko trzech wojowników.

Teraz zaś zniknęło nawet tych trzech. Każdy powrócił do swojego życia i swojej profesji, a przy księżniczce pozostali jedynie Chewbacca, Ralrra i Salporin.

Leżąca w ciemnościach Leia, która pamiętała niejedno starcie z Imperium, rozpoznała klasyczną strategię. Istoty rozumne jak ludzie czy Wookiee po prostu nie były w stanie utrzymywać

nieustannej czujności w sytuacji, gdy dookoła nie było wroga. Jako Sojusz często musieli stawiać tej strategii czoła.

Równie często musieli walczyć ze śmiertelnie groźną apatią, która kusiła, by pozostać w jednym miejscu zbyt długo.

Skrzywiła się, gdy znów nawiedziły ją wspomnienia z mroźnego Hoth, gdzie niemalże ponieśli klęskę. Żałowała, że spędziła tu aż tyle czasu. Czuła, że wraz z Chewbaccą już dawno powinni byli opuścić Rwookrrorro lub w ogóle Kashyyyk. Zrobiło się tu jej zbyt wygodnie, miejsce stało się zbyt przytulne, zbyt znane. Jej umysł już nie dostrzegał wszystkiego, co działo się wokół niej, a wychwytywał jedynie szczegóły i uzupełniał resztę wspomnieniami. Sprytny wróg mógł z łatwością wykorzystać tę psychologiczną słabość i po prostu wślizgnąć się w jej codzienną rutynę.

Nadszedł czas, by ją drastycznie zmienić.

Spojrzała na zegar na stoliku nocnym i dokonała szybkich obliczeń. Do świtu pozostała jeszcze mniej więcej godzina. Na zewnątrz czekały repulsorowe sanie. Gdyby uruchomili je wraz z Chewbaccą teraz, dotarliby na „Ślicznotkę” niedługo po wschodzie słońca.

Leia usiadła na łóżku, odłożyła blaster na stolik i sięgnęła po komunikator.

Z ciemności wyłoniła się żylasta dłoń, która pochwyciła ją za nadgarstek.

Księżniczka nie miała czasu do namysłu, ale przez pierwsze pół sekundy nie było zgoła takiej potrzeby. Jej umysł oniemiał, zaskoczony niespodziewanym atakiem, ale wpojone jej nawyki obronne zadziałały natychmiast. Leia odsunęła się gwałtownie, obróciła się na biodrze i wykorzystując impet, z jakim ciągnął ją napastnik, kopnęła z całej siły.

Stopa uderzyła w coś twardego, przypuszczalnie w jakiś rodzaj pancerza. Wówczas Leia złapała wolną ręką poduszkę i cisnęła nią w ledwie widoczną głowę napastnika.

Pod poduszką ukryła miecz świetlny.

Nieznajomy najwyraźniej zupełnie się nie spodziewał, że poduszka również może okazać się bronią. Zanim ściągnął ją z twarzy, Leia włączyła miecz. Dostrzegła jedynie wielkie, czarne

oczy i wysuniętą szczękę, po czym ułamek sekundy później jarząca się klinga miecza przecięła go niemalże wpół.

Ucisk na jej nadgarstku natychmiast zelżał. Leia zamknęła miecz, przetoczyła się po łóżku i stanęła na podłodze, a wtedy włączyła miecz ponownie i rozejrzała się.

Mocne, niemalże paraliżujące uderzenie w nadgarstek wytrąciło jej broń z ręki. Miecz zakreślił łuk w powietrzu i zgasł w locie, a wtedy pomieszczenie znów zalały ciemności.

Odruchowo przybrała pozycję obronną, choć czuła, że wiele jej to nie da. Pierwszy obcy przypuszczalnie został zaskoczony pozorną bezbronnością ofiary, ale drugi już wyciągnął odpowiednie wnioski. Nie zdołała się nawet ku niemu odwrócić, gdy ten znów pochwycił ją za nadgarstek i wykręcił jej rękę. Druga dłoń zacisnęła się na jej ustach i przycisnęła jej szyję do oblicza agresora, który jednocześnie oplótł nogą jej kolana, uniemożliwiając kopnięcie. Mimo to Leia nie przestawała się szamotać – próbowała uwolnić nogę i w tym samym czasie wbić przeciwnikowi palec w oko. Czuła na karku jego gorący oddech, a jego ostre niczym igły kły nakłuwały skórę jej karku. Niespodziewanie obcy zesztywniał i…

Leia uświadomiła sobie, że jest wolna.

Nagła utrata oparcia sprawiła, że o mało się nie przewróciła. Zdołała jednakże odzyskać równowagę i obróciła się gwałtownie ku przeciwnikowi, nie mając pojęcia, w co ten pogrywa. Rozglądała się pospiesznie, z paniką w poszukiwaniu broni, którą ten z całą pewnością już w nią wycelował…

Nie było jednak żadnej broni. Obcy stał nieruchomo zwrócony plecami do drzwi. Dłonie miał puste, a ramiona rozłożył tak, jakby próbował się uchronić przed upadkiem w tył.

– Mal’ary’ush – wyszeptał chrapliwie.

Leia cofnęła się o krok i wtedy przypomniała sobie o oknie.

„Może uda mi się doskoczyć do niego, nim znów zaatakuje” – przemknęło jej przez myśl.

Atak jednakże nie nastąpił. Drzwi za plecami obcego nagle stanęły otworem i do środka wpadł z rykiem Chewbacca.

Napastnik nie odwrócił się. Nie wykonał żadnego ruchu, choć musiał wiedzieć, że Wookiee pędzi prosto na niego, a ogromne,

włochate dłonie sięgają ku jego szyi.

– Nie zabijaj go! – warknęła Leia.

Jej okrzyk zaskoczył Chewbaccę równie mocno, jak ją samą, ale Wookiee zareagował w porę i zamiast złamać nieznajomemu kark, rąbnął go w bok głowy. Napastnik przeleciał przez pokój, zderzył się ze ścianą i osunął na podłogę, gdzie zastygł bez ruchu.

– Miejcie się na baczności! – krzyknęła Leia, która przetoczyła się po łóżku, by pochwycić swój miecz. – Może ich być więcej!

– Spokojna głowa! – zadudnił jakiś Wookiee. Leia uniosła głowę i ujrzała Ralrrę wspartego o framugę. – Pozostałych trzech już załatwiliśmy.

– Jesteś pewien? – zapytała Leia i zrobiła krok ku niemu. Ralrra nadal się opierał.

„On ledwie stoi!" – uświadomiła sobie nagle.

– Jesteś ranny! – krzyknęła, włączyła światło i obejrzała go pospiesznie. Nie widziała żadnych obrażeń. – Oberwałeś z blastera?

– Z brrroni obezwładniającej – poprawił ją. – Nastawionej nie na Wookiech, ale na człowieka. Jest mi tylko trrrochę słabo. To Chewbacca odniósł rrranę.

Przerażona Leia spojrzała na Chewaccę i wtedy po raz pierwszy dojrzała ciemną plamę mokrych od krwi włosów na jego piersi.

– Chewie! – szepnęła i przypadła do niego, ale Wookiee odgonił ją niecierpliwym warknięciem.

– Ma rrrację! – zgodził się Ralrra. – Musimy cię stąd zabrrrać, nim nastąpi drrrugi atak!

Gdzieś na zewnątrz jakiś Wookiee zawył na alarm.

– Nie będzie kolejnego ataku – oznajmiła Leia. – Napastnicy zostali wykryci. Lada moment zgromadzi się tu cały tłum.

– Nie tu! – zadudnił Ralrra ponuro. – Czterrry domy stąd wzniecono pożarrr!

Po plecach Lei przebiegł zimny dreszcz.

– Czyli dywersja – szepnęła. – Podpalili dom, by zamaskować zamach i utrudnić wszczęcie alarmu.

Chewbacca potwierdził warknięciem.

– Musimy cię stąd zabrrrać – powtórzył Ralrra i powoli, ostrożnie wyprostował się.

Leia spojrzała w ciemny korytarz za jego plecami, a jej serce nagle przepełniła nowa groza. Przecież jej domu strzegło trzech Wookieech!

– A gdzie Salporin? – spytała.

Ralrra zawahał się na moment, co wystarczyło, by podejrzenia Lei przerodziły się w pewność.

– Nie przeżył ataku – powiedział cichym, niemalże niesłyszalnym głosem.

Leia z trudem przełknęła ślinę.

– Tak mi przykro – wyjąkała, ale jej słowa zabrzmiały boleśnie trywialnie w jej uszach.

– Jak i nam. Ale to nie czas, by go opłakiwać.

Leia pokiwała głową i zamrugała, by odpędzić łzy. Odwróciła się ku oknu. Straciła już wielu przyjaciół i towarzyszy podczas bitew ostatnich lat i wiedziała, że Ralrra ma rację, ale nawet cała logika wszechświata nie mogła załagodzić bólu.

Na zewnątrz nie widziała nikogo z obcych, ale wiedziała, że gdzieś się kryją. Ba, była tego pewna. Oba zespoły, które zaatakowały ją oraz Hana, liczyły więcej niż pięciu członków, i nie było powodu uważać, że teraz będzie inaczej. Spodziewała się raczej, że zostaną znienacka napadnięci podczas szybkiej ucieczki z miasta.

Co gorsza, zamieszanie wokół płonącego domu powiększało się z każdą chwilą, co dawało obcym znakomitą okazję, by uderzyć ponownie, bo odgłosy walki utonęłyby w zgiełku na ulicach.

Leia spojrzała na płonący dom i poczuła przez moment wyrzuty sumienia z powodu mieszkających tam Wookieech, ale odepchnęła emocje na bok. Im też w żaden sposób nie mogła pomóc.

– Wygląda na to, że ci obcy chcą dopaść mnie żywcem – powiedziała i opuściła zasłonę. Odwróciła się ku obu swoim towarzyszom. – Jeśli wsiądziemy do jakiegoś latającego pojazdu, przypuszczalnie nie będą próbowali nas zestrzelić.

– Myślisz, że sanie to dobrrry pomysł? – spytał dobitnie Ralrra.

Leia zatrzymała się i zacisnęła mocno usta, zirytowana na siebie. Nie, sanie zdecydowanie nie były dobrym pomysłem. Przecież obcy przypuszczalnie już zrobili wszystko, by uniemożliwić jej ucieczkę

w ten sposób. Zapewne je zepsuli lub – co gorsza – wprowadzili modyfikacje, po których pojazd zawiózłby ją prosto w pułapkę.

Nie mogła zostać w tym domu. Nie mogła uciec na ulicę i nie mogła wznieść się ku niebu. Pozostał więc już tylko jeden kierunek.

– Potrzebna mi lina – powiedziała, ubierając się pospiesznie. – Silna lina, która utrzyma mój ciężar. Najdłuższa, jaką macie.

Wookiee od razu zrozumieli, o co jej chodzi. Spojrzeli po sobie.

– Chyba żarrrtujesz – zaprotestował Ralrra. – To niebezpieczne nawet dla Wookieech, a dla człowieka to wrrręcz samobójstwo.

– Nie sądzę – odparła Leia, naciągając buty. – Widziałam, jak gałęzie się splatają, gdy pokazałeś mi spód miasta. Będę w stanie zejść między nimi.

– Ale nigdy sama nie dotrzesz do lądowiska – sprzeciwił się Ralrra. – Idziemy z tobą.

– Oberwałeś od obcych! – powiedziała Leia bez ogródek. – Po ulicy nie jesteś w stanie chodzić, a co dopiero piąć się po gałęziach.

Podniosła blaster i wsunęła go do kabury.

– Chewbacca zresztą też nie – dodała już na progu. – Zejdźcie mi z drogi, proszę.

Ralrra nawet nie drgnął.

– Nie próbuj nas zmylić, Leiaorrrganasolo. Wydaje ci się, że jeśli obaj zostaniemy tutaj, wrrróg podąży za tobą i zostawi nas w spokoju!

Leia skrzywiła się. A więc nici z jej szlachetnego poświęcenia.

– Istnieje szansa, że tak postąpią – powiedziała. – Przecież to mnie ścigają. I chcą mnie żywcem!

– Nie ma czasu na sporrry – rzekł Ralrra. – Trzymamy się rrrazem, obojętne, czy tu, czy pod miastem.

Leia nabrała tchu. Nie podobało jej się to wszystko, ale wyglądało na to, że nie uda się jej przemówić im do rozumu.

– Dobra, wygraliście – westchnęła.

Obcy uderzony przez Chewbaccę nadal leżał nieprzytomny i przez moment zastanawiała się, czy nie warto by go związać, ale zwyciężył pośpiech.

– Znajdźcie linę i ruszajmy! – zdecydowała.

Poza tym jakiś cichy głos z tyłu jej głowy przypomniał jej, że nawet gdyby uciekła samotnie, obcy wciąż mogliby zaatakować sam dom. Co więcej, mogliby nie chcieć pozostawić za sobą świadków.

Płaska, nieco gąbczasta struktura, z której uformowano „ziemię” w Rwookrrorro, miała grubość około metra. Miecz świetlny Lei bez trudu wyciął dziurę zarówno w niej, jak i w podłodze domu. Spory, mniej więcej kwadratowy kawał substancji runął ku splecionym gałęziom i znikł w ciemnościach.

– Ja pójdę pierrrwszy – rzekł Ralrra i zsunął się w wycięty otwór, nim ktokolwiek mógł się sprzeciwić. Wciąż poruszał się nieco ociężale, ale oszołomienie wywołane ogłuszającą bronią obcych najwyraźniej minęło.

Leia spojrzała na Chewbaccę, który podszedł do niej i narzucił jej na ramiona szarfę Ralrry.

– To ostatnia szansa, byś zmienił zdanie – ostrzegła go.

Jego odpowiedź okazała się krótka, ale dosadna. Leia wzruszyła ramionami i pozwoliła, by Wookiee ją podniósł. Wówczas Chewbacca przypiął ją sobie mocno do piersi.

– Czysto! – zawołał Ralrra.

Rozpoczęła się droga w dół.

Leia była przygotowana na to, że doświadczenie nie okaże się przyjemne, ale nie miała pojęcia, że napełni ją aż tak wielkim przerażeniem. Spodziewała się, że Wookiee będą pełzać po splecionych gałęziach, ale okazało się, że ci wolą wykorzystywać swoje szpony, które pokazali jej pierwszego dnia, do wspinaczki i czepiają się gałęzi wszystkimi czterema kończynami.

Leia wciskała twarz we włochatą pierś Chewbakki i zaciskała mocno zęby, by powstrzymać zarówno ich szczękanie, jak i jęki przerażenia. Lęk wysokości, który nawiedził ją w windzie, powrócił z tysiąckrotną siłą. Nie było już nawet grubej liny, która powstrzymywałaby ją przed upadkiem w nicość. Mogła liczyć jedynie na pazury Chewbakki i cienką linę, która łączyła ją z innym Wookieem. Chciała coś powiedzieć. Chciała ich prosić, by się zatrzymali i choć opletli tym sznurem cokolwiek mocnego, ale

obawiała się, że każdy dźwięk może zaskoczyć Chewbaccę i zdekoncentrować go. Jego oddech był głośny niczym ryk wodospadu. Czuła też wilgoć jego rany, przenikającą przez materiał jej tuniki. Jak poważna była ta rana? Wtulona w jego pierś, wsłuchana w bicie serca, Leia nie miała odwagi o nic pytać.

Nagle Chewbacca się zatrzymał.

Leia otworzyła oczy i dopiero wtedy uświadomiła sobie, że przez cały czas zaciskała powieki.

– Co się dzieje? – spytała drżącym głosem.

– Wrrróg nas odnalazł – warknął cicho Ralrra.

Leia, przygotowana na najgorsze, odwróciła głowę najdalej, jak umiała, i dostrzegła w oddali niewielki kształt ciemniejszy od szarości nadciągającego świtu. Po chwili wiedziała już, że to śmigacz wyposażony w silniki repulsorowe, trzymający się daleko poza zasięgiem strzału z kuszy.

– A może to statek ratunkowy Wookieech? – spytała z nadzieją.

Chewbacca warknął kilkakrotnie i Leia natychmiast zrozumiała swój błąd. Pojazd nie miał włączonych świateł pozycyjnych.

– Ale się nie zbliża – zauważył Ralrra.

– Chcą mnie żywcem – powiedziała Leia, bardziej po to, by dodać sobie otuchy, niż by przypomnieć ten fakt towarzyszom. – Nie chcą nas wystraszyć.

Rozejrzała się w poszukiwaniu jakiegokolwiek pomysłu.

I naraz uderzyła ją nowa myśl.

– Potrzebuję resztę tej liny – powiedziała do Ralrry, zerkając na wiszący nieruchomo śmigacz. – Całą!

Gotowa na najgorsze, obróciła się w swojej zaimprowizowanej uprzęży, by wziąć zwój liny od Ralrry, po czym przywiązała jeden koniec mocno do mniejszej gałęzi. Chewbacca wywarczał sprzeciw.

– Nie, nie chcę nas wcale przywiązać! – zapewniła go. – Przyszło mi coś innego do głowy. Dobra, w drogę.

Ruszyli w dół, tym razem nieco szybciej niż poprzednio, a Leia, podskakując co rusz na piersi Chewbakki, uświadomiła sobie z lekkim zaskoczeniem, że choć nadal się boi, nie jest już sparaliżowana grozą.

„Być może dlatego, że nie jestem już dla nikogo zbędnym bagażem – uzmysłowiła sobie. – Dlatego, że mój los nie zależy już od łaski Wookieech, szaroskórych czy grawitacji. Przynajmniej częściowo mam wpływ na to, co się teraz dzieje”.

Wciąż schodzili w dół, a Leia wypuszczała trzymaną w ręku linę. Ciemny śmigacz podążał za nimi, nadal utrzymując odpowiedni dystans. Wciąż nie zapalił świateł. Leia nie spuszczała z niego oczu, wiedząc, że musi odpowiednio dobrać zarówno czas, jak i odległość. Tymczasem brakowało już naprawdę niewiele… Jeszcze parę metrów…

W zwoju zostały być może trzy metry liny, gdy Leia zawiązała mocny węzeł i spojrzała na prześladowców.

– Uwaga – powiedziała do Chewbakki. – Zatrzymaj się!

Wookiee spełnił rozkaz. Leia dodała sobie w myślach odwagi, za plecami Chewiego włączyła miecz świetlny i wypuściła go z ręki.

Broń, przypominająca teraz zbłąkaną, śmiertelnie groźną błyskawicę, zawisła na długiej linie kilka metrów pod nimi. Niczym wielkie wahadło wychyliła się w jedną stronę, po czym pomknęła w przeciwną.

I uderzyła prosto w spód śmigacza.

Leia ujrzała spektakularny rozbłysk, gdy miecz świetlny przebił generator repulsatorów. Sekundę później śmigacz runął niczym kamień, buchając ogniem z obu burt, i znikł wśród mgieł. Jeszcze przez chwilę widać było oba płomienie, które wnet zlały się w jedno niewyraźne, rozmazane światło. Kilka uderzeń serca później znikło również ono. Pozostał jedynie miecz świetlny, kołyszący się łagodnie pośród ciemności.

Leia, drżąc, odetchnęła głęboko.

– Muszę odzyskać miecz – powiedziała do Chewbakki. – A potem możemy chyba wracać na górę. Myślę, że z ich grupy nie został już nikt.

– A potem prrrosto na wasz statek? – spytal Ralrra, gdy ruszyli w górę ku gałęzi, do której przywiązała miecz.

Leia zawahała się. Przed jej oczami stanął drugi z napastników, ten który zamarł przed nią w bezruchu. Pamiętała wyraz jego twarzy, ale nie umiała go odczytać.

„Co go zatrzymało? – pomyślała. – Co zaskoczyło go tak, że nawet nie zauważył Chewbakki? Coś go oszołomiło? Zachwyciło? Przeraziło?”

– Tak, wracamy na statek – zadecydowała. – Ale nie od razu.

Obcy siedział na niskim krześle w pokoju przesłuchań udostępnionym przez miejscową policję. Splótłszy palce w osobliwie wyglądający węzeł, ułożył dłonie na kolanach. Jedynym widocznym świadectwem ciosu Chewbakki był niewielki bandaż na czole. Pojmanego pozbawiono stroju oraz sprzętu i ubrano w luźną szatę Wookiech. Ktoś inny jego postury, ubrany w niezwykle obszerny strój, zapewne wzbudziłby wesołość, ale siedzący nieruchomo obcy roztaczał wokół siebie aurę śmiercionośnej skuteczności, leżącej na nim niczym druga skóra. Był wszak i na zawsze miał pozostać członkiem niebezpiecznej, zaciekłej grupy wyszkolonych maszyn do zabijania. Co ciekawe, zażyczył sobie spotkania z Leią. Twarzą w twarz.

Chewbacca nachylił się nad księżniczką i raz jeszcze wywarczał protest.

– Mnie też się to nie podoba – przyznała Leia, wpatrzona w ekran monitora. Ze wszystkich sił próbowała odnaleźć w sobie odwagę. – Ale w nim jest coś dziwnego. Trzymał mnie, a potem wypuścił. Chcę się dowiedzieć… Nie, ja muszę się dowiedzieć, o co w tym chodzi.

Wtem przypomniała sobie rozmowę z Lukiem, którą odbyła tuż przed bitwą o Endor. Dobrze pamiętała cichą zaciętość, jaką okazał w obliczu jej lęków, dobrze pamiętała jego przekonanie, że musi stawić czoła Darthowi Vaderowi. Ta decyzja niemalże skończyła się jego śmiercią, ale przyniosła im zwycięstwo.

Niemniej Luke wyczuwał ziarnko dobra zagrzebane głęboko w mrocznym sercu Vadera. Czy ona mogła powiedzieć to samo o tym obcym zabójcy? A może po prostu kierowała się chorobliwą ciekawością?

A może litością?

– Przysłuchuj się naszej rozmowie stąd – przykazała Chewiemu. Oddała mu blaster i podeszła do drzwi. Pozostawiła sobie miecz

świetlny, choć nie miała pojęcia, czy przydałby się jej na coś w tak niewielkim pomieszczeniu.

– Nie wchodź, chyba że będzie mi grozić niebezpieczeństwo – dodała, po czym nabrała powietrza i otworzyła drzwi.

Obcy spojrzał na nią, gdy weszła. Leia miała wrażenie, że wyprostował się na jej widok. Drzwi zasunęły się bezszelestnie za jej plecami i przez dłuższą chwilę oboje spoglądali na siebie w milczeniu.

– Jestem Leia Organa Solo – powiedziała w końcu księżniczka. – Chciałeś ze mną rozmawiać?

Ten wpatrywał się w nią jeszcze przez chwilę. Następnie podniósł się powoli i wyciągnął ramię.

– Twoja dłoń – mówił chropowatym tonem z dziwnym akcentem. – Mogę jej dotknąć?

Leia miała świadomość, że spełniając tę prośbę, okazuje zabójcy zaufanie, na które zupełnie nie zasługuje. Wszak ten mógł ją przyciągnąć i skręcić jej kark, nim ktokolwiek zdołałby choć drgnąć. Mimo to podeszła bliżej i podała mu rękę.

Nie przyciągnął jej do siebie. Zamiast tego ujął jej dłoń z osobliwą delikatnością, pochylił się i przysunął ją sobie do pyska. Palce księżniczki znalazły się na wysokości dwóch ogromnych nozdrzy, częściowo skrytych za kępkami włosów.

Wtedy wciągnął powietrze.

Wąchał jej dłoń raz za razem. Wciągał powietrze w płuca, smakował je, analizował, a Leia odkryła, że nie może oderwać wzroku od jego nozdrzy. Po raz pierwszy uświadomiła sobie, jak są ogromne. Zauważyła również, że fałdy skóry wokół nich są miękkie i elastyczne, zupełnie jak u polującego zwierzęcia. Przypomniała jej się chwila, gdy obcy więził ją w swoim uścisku. Wówczas te ogromne nozdrza przylgnęły do jej karku.

Chwilę później ją wypuścił.

Obcy wyprostował się powoli, niemalże delikatnie.

– A więc to prawda – wychrypiał i wypuścił jej dłoń. Jego ramię opadło bezwładnie. Ogromne oczy zabójcy wpatrywały się w nią intensywnie, a zmysły Jedi wychwyciły niezwykle silne emocje, których Leia nie umiała nazwać. – Czyli się nie pomyliłem.

Niespodziewanie padł przed nią na oba kolana.

– Błagam cię o wybaczenie, Leio Organa Solo, za wszystko, co zrobiłem – wychrypiał. Znów rozrzucił ramiona na boki, tak jak w jej sypialni, i dotknął czołem podłogi. – Nasze rozkazy nie precyzowały, kim jesteś. Znaliśmy tylko twoje imię.

– Rozumiem. – Leia pokiwała głową, choć w myślach miała zamęt. – A teraz już wiesz, kim jestem?

Obcy znów pochylił twarz ku podłodze.

– Jesteś Mal'ary'ush – rzekł. – Jesteś córką i dziedziczką samego lorda Dartha Vadera. Tego, który był naszym władcą.

Leia wpatrywała się w więźnia z szeroko otwartymi ustami, próbując odzyskać równowagę. Wydarzenia następowały o wiele za szybko.

– Waszym władcą, tak? – powtórzyła ostrożnie.

– Był tym, który przyszedł do nas w godzinie największej potrzeby. – W głosie obcego pojawił się nabożny wręcz szacunek. – Tym, który wydźwignął nas z rozpaczy i dał nam nadzieję.

– Rozumiem – wykrztusiła Leia.

Sytuacja stawała się coraz mniej realna, ale jeden fakt pozostawał nie do podważenia. Korzący się przed nią więzień uważał ją za kogoś nadrzędnego, wręcz za władczynię.

Leia zaś dobrze wiedziała, jak zachowują się władcy.

– Możesz powstać – odezwała się, odruchowo przybierając postawę i ton głosu, którymi kiedyś, w niemalże zapomnianych czasach, posługiwała się na dworze Alderaana. – Jak cię zwą?

– Nasz władca nazywał mnie Khabarakh – odparł obcy, wstając. – W języku Noghri zaś zwę się…

Wydał z siebie skomplikowany, irytujący dźwięk, którego Leia nie miała nawet zamiaru próbować wyartykułować.

– Będę cię nazywać Khabarakh – zadecydowała. – A więc twój lud zwie się Noghri?

– Tak – odparł więzień, ale w jego ciemnych oczach po raz pierwszy pojawiła się niepewność. – Ale przecież ty jesteś Mal'ary'ush! – dodał ze zdumieniem.

– Mój ojciec miał wiele sekretów – rzekła ponuro Leia. – Ty, jak widać, jesteś jednym z nich. Mówisz, że przyniósł wam nadzieję,

tak? Opowiedz mi o tym.

– Przybył do nas – rzekł Noghri – po wielkiej bitwie. Po zniszczeniu.

– Jakiej bitwie?

Spojrzenie Khabarakha rozmyło się, jakby spoglądał w przeszłość.

– Dwa wielkie statki kosmiczne spotkały się nad naszym światem. – Jego ochrypły głos przycichł. – Może więcej niż dwa. Nigdy nie poznaliśmy prawdy. Bitwa trwała dzień i noc, a gdy dobiegła końca, nasza ojczyzna została spustoszona.

Leia skrzywiła się, a w jej sercu pojawił się ból współczucia. Znów ogarnęło ją poczucie winy.

– Nigdy świadomie nie atakowaliśmy sił czy światów nienależących do Imperium – powiedziała cicho. – To, do czego doszło na waszej planecie, było zwykłym przypadkiem.

Ciemne oczy znów wwierciły się w nią.

– Lord Vader był innego zdania. Uważał, że zniszczeń dokonano celowo, by zasiać lęk w sercach wrogów Imperatora.

– A więc lord Vader się pomylił. – Leia spojrzała mu w oczy z mocą. – Toczyliśmy bitwę z Imperatorem, a nie z jego sługami czy z podporządkowanym mu ludem.

Khabarakh się wyprostował.

– Nie służyliśmy Imperatorowi – wychrypiał. – Byliśmy zwykłym ludem, który cenił sobie spokojne życie i nie miał zamiaru przejmować się sprawami innych.

– Ale teraz służycie Imperium – wytknęła Leia.

– W zamian za pomoc, jakiej udzielił nam Imperator. – W głosie Khabarakha, obok uniżoności, pojawiła się duma. – Tylko on przyszedł nam z pomocą, gdy naprawdę jej potrzebowaliśmy. Pamiętamy jego dokonania i dlatego służymy teraz jego dziedzicowi, człowiekowi, którego wskazał nam sam lord Vader wiele lat temu.

– Trudno mi jakoś uwierzyć w to, by Imperatorowi kiedykolwiek na was zależało – powiedziała bez ogródek Leia. – On po prostu nie był w stanie przejmować się niedolą innych. Interesowało go jedynie przeciągnięcie was na swoją stronę.

– Tylko on przyszedł nam z pomocą – powtórzył Khabarakh.

– Ponieważ my nie mieliśmy pojęcia o waszej niedoli – rzekła Leia.

– Tak tylko mówisz.

Leia uniosła brwi.

– A więc daj mi szasnę, by to udowodnić. Powiedz mi, gdzie znajduje się wasz świat.

Khabarakh cofnął się gwałtownie.

– To niemożliwe! Odnaleźlibyście nas, by dokończyć dzieło zniszczenia!

– Khabarakh! – przerwała mu ostro Leia. – Kim jestem?

Fałdki skóry wokół nozdrzy Noghriego rozciągnęły się.

– Jesteś lady Vader. Jesteś Mal'ary'ush.

– Czy lord Vader kiedyś was okłamał?

– Ty utrzymujesz, że tak.

– Ja powiedziałam, że się pomylił – przypomniała mu Leia, czując, jak pod jej kołnierzem zaczyna zbierać się pot. Uświadomiła sobie bowiem, że stąpa po coraz cieńszym lodzie. Khabarakh okazywał jej szacunek tylko dlatego, że wcześniej czcił Dartha Vadera, a Leia nie była w stanie podważyć jego słów tak, by nie osłabić swojej pozycji w oczach zabójcy.

– Nawet lord Vader mógł zostać oszukany! – ciągnęła. – A Imperator był mistrzem kłamstw.

– Lord Vader służył Imperatorowi – upierał się Khabarakh. – Imperator z całą pewnością by go nie okłamał.

Leia zacisnęła zęby.

„Czyżby impas?" – pomyślała.

– Czy twój nowy pan jest z tobą równie szczery?

– Nie wiem – zawahał się zabójca.

– Ależ wiesz. Sam powiedziałeś, że nie zdradził wam, kogo macie odnaleźć.

Z rozchylonych ust Khabarakha dobiegło osobliwe, ciche jęknięcie.

– Jestem tylko żołnierzem, moja pani. Nie mnie oceniać takie sprawy. Ja mam jedynie wypełniać rozkazy. Co do jednego.

Leia zmarszczyła brwi. Zaintrygowało ją coś w tonie głosu zabójcy, ale szybko domyśliła się, o co mu chodzi. Wszak złapanemu

do niewoli komandosowi, który zostaje poddany przesłuchaniu, pozostał już tylko jeden rozkaz do wypełnienia.

– Ale przecież wiesz coś, z czego nie zdaje sobie sprawy nikt z twoich rodaków – powiedziała szybko. – Musisz przeżyć, by podzielić się z nimi tą informacją!

Khabarakh uniósł dłonie, jakby miał zamiar w nie klasnąć, ale niespodziewanie zamarł, wpatrzony w księżniczkę.

– Lord Vader potrafił czytać w duszach Noghri – rzekł cicho. – Tak, nie ma wątpliwości, że jesteś jego Mal'ary'ush.

– Twój lud cię potrzebuje, Khabarakh – powiedziała mu Leia. – I ja również. Umierając, skrzywdzisz jedynie tych, którym próbujesz pomóc.

Noghri powoli opuścił dłonie.

– Jak to możliwe, że mnie potrzebujesz?

– Bo bez twojego wsparcia i rady nie jestem w stanie zrobić niczego dla twojego ludu – powiedziała. – Musisz mi powiedzieć, gdzie leży wasz świat.

– Nie mogę – odparł z przekonaniem. – Gdybym podzielił się tą informacją, ściągnąłbym na niego całkowite zniszczenie. Skazałbym również i siebie na śmierć, gdyby się okazało, że informacja wyszła ode mnie.

Leia zacisnęła usta.

– No to zabierz mnie tam.

– Nie mogę.

– Dlaczego nie?

– Nie mogę i koniec!

Leia zmierzyła go najbardziej królewskim ze swoich spojrzeń.

– Ja jestem córką lorda Dartha Vadera. Ja jestem Mal'ary'ush! – powiedziała dobitnie. – Sam przyznałeś, że był nadzieją dla waszego świata. Czy sytuacja poprawiła się w chwili, gdy przekazał was nowemu przywódcy?

Khabarakh znów się zawahał.

– Nie. Powiedział nam, że nie da się dla nas zrobić wiele więcej.

– Wolałabym sama to ocenić – rzekła wyniośle Leia. – Chyba że twoi rodacy uznaliby jednego człowieka za zbyt duże zagrożenie?

Khabarakh drgnął.

– Udałabyś się w tę podróż sama? Bez niczyjej asysty poleciałabyś do świata, którego mieszkańcy próbują cię pojmać?

Leia przełknęła ślinę, a po jej plecach przeszedł zimny dreszcz. Nie, zupełnie nie o to jej chodziło, ale przecież nie miała pewności, dlaczego w ogóle chciała rozmawiać z tym obcym. Miała teraz tylko nadzieję, że jej intuicję prowadzi Moc.

– Mam nadzieję, że twoi rodacy potrafią się zachować zgodnie z zasadami honoru – powiedziała cicho. – Mam też nadzieję, że będą chcieli mnie wysłuchać.

Odwróciła się i skierowała ku drzwiom.

– Zastanów się nad moją propozycją – dodała. – Rozważ ją z tymi, których zdanie sobie cenisz. Za miesiąc będę czekać na orbicie Endora.

– Będziesz sama? – zapytał Khabarakh, który najwyraźniej nadal jej nie wierzył.

Leia odwróciła się i spojrzała ponownie w twarz rodem z koszmarów.

– Sama. A ty?

Zabójca wytrzymał jej spojrzenie bez mrugnięcia.

– Jeśli przybędę – odezwał się – przybędę sam.

Leia spoglądała na niego jeszcze przez moment, po czym pokiwała głową.

– Mam więc nadzieję, że się spotkamy. Bywaj.

– I ty również, lady Vader.

Wciąż się w nią wpatrywał, gdy drzwi rozchyliły się i Leia wyszła.

***

Niewielki statek przemknął przez chmury i zniknął szybko z ekranów kontroli powietrznej Rwookrrorro. Chewbacca siedzący obok Lei warknął gniewnie.

– Też nie powiem, bym była do końca szczęśliwa – przyznała. – Ale nie możemy ich unikać przez wieczność. Jeśli pojawiła się najdrobniejsza nawet szansa, by wyrwać ich spod zwierzchnictwa Imperium…

Pokręciła głową.

Chewbacca znów zawarczał.

– Wiem – powiedziała cicho, a w jej sercu znów przebudził się ból. – Nie byłam tak blisko Salporina jak ty, ale mimo to uważałam go za przyjaciela.

Wookiee odwrócił się od ekranów i przeszedł przez pomieszczenie. Leia odprowadziła go wzrokiem, żałując, że nie może zrobić nic, by mu pomóc. Była jednak bezsilna. Chewbacca zmagał się z dwoma sprzecznymi nakazami kodeksu honorowego i musiał ten konflikt rozstrzygnąć sam.

Ktoś poruszył się obok niej.

– Nadszedł czas – powiedział Ralrra. – Rrrozpoczął się czas wspomnień. Musimy dołączyć do rrreszty.

Chewie warknął potwierdzająco i podszedł do Ralrry. Leia spojrzała na niego.

– We wspomnieniach mogą wziąć udział jedynie Wookiee – zagrzmiał. – Później będziesz mogła do nas dołączyć.

– Rozumiem – powiedziała Leia. – Gdybyście mnie potrzebowali, będę czekać na lądowisku. Przygotuję „Ślicznotkę” do lotu.

– Jeśli naprrrawdę uważasz, że wylot to bezpieczne rrrozwiązanie. – W głosie Ralrry pojawiła się wątpliwość.

– Tak – rzekła Leia.

„A nawet gdyby było inaczej – pomyślała – nadal nie miałabym wyboru”.

Poznała przecież nazwę obcej rasy – Noghri – i musiała jak najszybciej wrócić na Coruscant, by rozpocząć przeszukiwanie archiwów.

– Dobrze. Sama żałoba rrrozpocznie się za dwie godziny.

Leia pokiwała głową i zdusiła łzy.

– Dołączę do was – obiecała.

A w duchu zadała sobie pytanie, czy ta wojna kiedyś dobiegnie końca.

Rozdział 26

Masa splątanych pnączy zwisających z drzew na ich drodze utworzyła nieprzebytą gęstwinę, przywodzącą na myśl sieć szalonego gigantycznego pająka. Mara pochwyciła miecz świetlny Skywalkera i przyjrzała się im uważnie, próbując odnaleźć miejsce, gdzie najłatwiej będzie się przez nie przebić.

Kątem oka dostrzegła Skywalkera, który przestępował z nogi na nogę.

– Nie denerwuj się – powiedziała. – To długo nie potrwa.

– Nie musisz się spieszyć, wiesz? – odparł Luke. – Mieczowi świetlnemu moc się nie skończy tak łatwo.

– Już zapomniałeś, gdzie jesteśmy? – warknęła dziewczyna. – Masz jakiekolwiek pojęcie, jak daleko niesie się szum miecza świetlnego w takim lesie?

– Raczej nie.

– Ja też nie i wolałabym się tego nie dowiedzieć – powiedziała Mara i przełożyła blaster do lewej ręki. Prawą uruchomiła miecz świetlny i wykonała trzy szybkie cięcia. Na ziemię osunęła się plątanina pnączy, a wtedy Mara wyłączyła miecz. – Nic prostszego, prawda? – powiedziała, odwracając się do Skywalkera i przypinając miecz do pasa. Już chciała zwrócić się w stronę, w którą zmierzali, gdy…

Ostrzegawcze piśnięcie droida rozległo się na ułamek sekundy przed tym, jak zaszeleściły liście. Mara obróciła się błyskawicznie i złapała prawą ręką za blaster. W ten samej chwili przyczajony na konarze vornskr skoczył na Skywalkera.

Choć wędrowali już od dwóch dni, ten zareagował błyskawicznie. Wypuścił drągi noszy i padł na ziemię. Zakrzywione szpony i długi ogon przemykającego nad nim drapieżnika minęły go o włos. Mara zaś wyczekała, aż ten wyląduje i obróci się ku domniemanej zdobyczy, i wtedy go zastrzeliła.

Skywalker ostrożnie podniósł się na nogi i rozejrzał czujnie.

– Może byś zmieniła zdanie i oddała mi miecz świetlny, co? – odezwał się, schylając po drągi noszy. – Jestem już zmęczony tym, że ciągle zestrzeliwujesz ze mnie vornskry.

– A co? Boisz się, że chybię? – zadrwiła Mara.

Podeszła do drapieżnika i trąciła go stopą, ale ten był już martwy.

– Strzelasz znakomicie – odparł Luke i pociągnął nosze w kierunku wyrąbanej przez nią dziury w gęstwinie. – Ale nie śpisz już od dwóch dni, co kiedyś źle się dla ciebie skończy.

– O siebie się martwisz, i tyle – warknęła Mara. – Dalej, idziemy. Muszę znaleźć jakąś polanę, by wypuścić balon.

Skywalker ruszył, wlekąc za sobą nosze z popiskującym cicho droidem. Mara zamykała pochód, bacząc na to, by nosze nie zostawiały nazbyt wyraźnych śladów. Przez cały czas mierzyła Skywalkera niechętnym spojrzeniem.

Najbardziej irytowało ją to, że Luke właściwie miał rację. Niewiele brakowało, by przerzut broni z lewej ręki do prawej, co zrobiła już tysiąc razy w życiu, tym razem jej nie wyszedł. Serce waliło jej przez cały czas, nawet gdy układała się na spoczynek, a podczas marszu nierzadko traciła koncentrację na dłuższą chwilę.

Kiedyś, dawno temu, udało jej się przetrwać sześć dni bez snu. Teraz zaczynała się rozpadać po upływie raptem dwóch.

Zacisnęła zęby i skrzywiła się jeszcze bardziej. Jeśli Skywalker miał nadzieję, że ujrzy, jak pada, czekało go wielkie rozczarowanie. Miała zamiar przetrwać tę wędrówkę, nawet jeśli jedynym powodem miałaby być zawodowa ambicja.

Idący przodem Skywalker potknął się na nierównym terenie. Prawy drąg noszy wysunął mu się z ręki i o mało nie zrzucił droida na ziemię, co oczywiście wywołało pisk protestu.

– Cóż to? – warknęła Mara, gdy się pochylił, by podnieść drąg. – Siły tracisz, co? To już trzeci raz w ciągu godziny.

– Mam problem z dłonią – odparł ze spokojem Luke. – Chyba całkiem mi zdrętwiała.

– Tak, jasne – burknęła Mara. Między koronami drzew zamigotał na moment błękit nieba. – O, stąd wypuszczę balon – powiedziała. – Połóż tu droida.

Skywalker postąpił zgodnie z poleceniem, a potem usiadł pod jednym z drzew na skraju polany. Mara napełniła powietrzem niewielki balon i posłała go w górę wraz z anteną i jej kablem, którego drugi koniec podłączony został do gniazdka droida.

– Wszystko gotowe – powiedziała do Skywalkera.

Ten, wciąż oparty o drzewo, był pogrążony we śnie.

Mara parsknęła z pogardą.

– Też mi Jedi! – mruknęła i odwróciła się do droida. – Dobra, bierzmy się do roboty – powiedziała do niego i usiadła ostrożnie na ziemi. Jej nadwerężona kostka wyglądała już o wiele lepiej, ale Mara nie miała zamiaru jej forsować.

Droid pisnął pytająco i odwrócił kopułę ku Skywalkerowi.

– Kazałam ci wziąć się do roboty! – powtórzyła ostro.

R2-D2 wydał z siebie kolejny dźwięk, tym razem pełen rezygnacji. Czujnik pulsacyjny komunikatora błysnął raz, gdy droid pobrał wiadomość z komputera odległego X-winga, i błysnął ponownie, gdy ta dotarła.

Nagle pisnął głośno z wyraźną ekscytacją.

– Co? – rzuciła Mara, łapiąc blaster i rozglądając się dookoła. Nie dostrzegła niczego niepokojącego. – Jest w końcu wiadomość czy nie?

Droid potwierdził innym dźwiękiem i znów obrócił kopułę w stronę Skywalkera.

– Dobra, puszczaj – warknęła Mara. – Jeśli jest w niej coś przeznaczonego tylko dla niego, równie dobrze może usłyszeć to godzinę później.

„Oczywiście – dodała w myślach – jeśli w wiadomości nie ma wyraźnej wskazówki, że powinnam wyjść z lasu sama”.

Droid pochylił się lekko. Na splątanych liściach pojawił się holograficzny obraz.

Nie był to jednak Karrde, czego się spodziewała. Zamiast tego ujrzała złocistego droida protokolarnego.

– Dzień dobry, panie Luke – odezwał się robot irytująco pedantycznym tonem. – Przynoszę panu pozdrowienia od kapitana Karrde. Och, i pani również, panno Jade – dodał jakby po namyśle.

– Kapitanowie Karrde i Solo bardzo się cieszą, że oboje wyszliście bez szwanku z waszego wypadku.

„Kapitan Solo? – Mara wpatrywała się w hologram wyraźnie oszołomiona. – Na Imperium, co ci odbiło, Karrde? Czy ty naprawdę powiedziałeś Solo i Calrissianowi o Skywalerze?”

– Liczę na to, że zdołasz rozkodować tę wiadomość, Artoo – ciągnął pedantyczny droid protokolarny. – Kapitan Karrde zasugerował, bym spotęgował zamieszanie w kodzie. Uważa bowiem, że w Hyllyard City oczekują na was szturmowcy Imperium.

Mara zacisnęła zęby i spojrzała na swojego śpiącego więźnia. A więc Thrawn nie dał się wyprowadzić w pole. Wiedział, że Skywalker znalazł się na tej planecie, i szykował się, by pojmać ich oboje.

Z niemałym wysiłkiem zdusiła panikę podsyconą skrajnym wyczerpaniem. Nie. Thrawn o niczym nie wiedział. A w każdym razie nie miał pewności. On jedynie podejrzewał. Gdyby był pewien, nie pozostawiłby w bazie nikogo przy życiu i ta wiadomość nigdy by do niej nie dotarła.

– Kapitan Karrde opowiedział wysłannikom Imperium, że jego były pracownik skradł cenny towar i próbował uciec. W pościg za zdrajcą rzucił się inny pracownik o nazwisku Jade. Ani razu nie zdradził wielkiemu admirałowi, że Jade to kobieta, a więc proponuję, byście zamienili się rolami po wyjściu z lasu.

– Jasne – burknęła pod nosem Mara.

„Jeśli Karrde naprawdę oczekuje, że z radością oddam blaster Skywalkerowi, niech się lepiej dobrze zastanowi” – pomyślała.

– Tak czy owak – ciągnął droid protokolarny – kazał mi przekazać, że wraz z kapitanem Solo opracowują plan, by dotrzeć do was przed szturmowcami. Jeśli im się nie uda, spróbują was odbić z ich rąk. Obawiam się, że to wszystko, co mogę wam w tym momencie przekazać. Kapitan Karrde zastrzegł bowiem, by transmisja nie przekroczyła minuty, gdyż wówczas mogłaby zostać namierzona. Życzy wam ponadto powodzenia. Dbaj o pana Luke’a, Artoo i… I o siebie też.

Hologram znikł, a projektor droida zgasł. Mara wyłączyła komunikator i zaczęła nawijać kabel, by ściągnąć balon z powrotem.

– Pomysł jest niezły – mruknął Skywalker.

Mara spojrzała na niego ostro. Jedi nadal siedział z zamkniętymi oczami.

– Byłam pewna, że udajesz – parsknęła, choć bez przekonania.

– Wcale nie udaję – poprawił ją sennym głosem. – Balansuję na pograniczu snu. A pomysł mi się naprawdę podoba.

– Zapomnij o nim. – Mara wydęła usta. – Skręcimy na północ i przejdziemy kilka kilometrów w tym kierunku, po czym zatoczymy łuk i dotrzemy do Hyllyard od strony równin.

Spojrzała na zegarek, a potem na niebo, ledwie widoczne między drzewami. Od kilku minut napływały ciemne chmury przesłaniające już wszystkie skrawki błękitu.

„Na deszcz się nie zanosi – uznała. – Ale przez resztę dnia będzie ciemniej".

– Choć równie dobrze możemy zostawić to sobie na jutro – oznajmiła. Wstała i wypróbowała nadwerężoną kostkę. – Ty pewnie chcesz… Ach, mniejsza o to – przerwała, gdyż oddech Luke'a znów się uspokoił, jakby ten zapadł w sen.

Co oznaczało, że zadanie rozłożenia obozowiska spadło na jej barki.

„Wspaniale…"

– Miej oczy dookoła głowy! – warknęła do droida i odwróciła się w stronę położonego na ziemi zestawu ratunkowego.

Słysząc elektroniczny wrzask droida, błyskawicznie odwróciła się na pięcie, łapiąc za blaster. Rozejrzała się w poszukiwaniu niebezpieczeństwa, gdy…

Coś ciężkiego niespodziewanie spadło na jej ramiona i plecy. Odurzona nagłą falą bólu, dziewczyna runęła na runo leśne.

Nim zawładnęła nią ciemność, zdążyła uświadomić sobie, że trzeba było zabić Skywalkera, gdy miała jeszcze ku temu okazję.

Świergot przerażonego R2-D2 wyrwał Luke'a z drzemki. Jedi otworzył szeroko oczy i ujrzał masę mięśni, sierści i szponów mknącą prosto ku plecom Mary.

Błyskawicznie rozbudzony, zerwał się na równe nogi. Vornskr stał nad Marą, wsparty przednimi łapami o jej ramiona, i odwrócił łeb na bok, jakby gotował się, by zatopić kły w jej szyi. Mara leżała nieruchomo, plecami w stronę Luke'a. Z tej odległości trudno było ustalić, czy została zabita, czy tylko ogłuszona. R2-D2 był za daleko, by zdążyć na ratunek, ale mimo to gnał ku niej najszybciej, jak umiał, wysuwając wysięgnik spawalniczy, jakby szykował się do walki.

Luke nabrał tchu i wrzasnął.

Nie był to zwykły krzyk, ale przeszywający, nieludzki wprost wrzask, tak donośny, że zdawał się wypełnić całą polanę i odbić echem od pobliskich wzgórz. Tym samym wrzaskiem – imitacją mrożącego krew w żyłach ryku smoka krayt – wiele lat temu Ben Kenobi wystraszył ludzi pustyni na Tatooine i być może ocalił mu życie.

Z vornskrem nie poszło już tak łatwo, ale Luke bez wątpienia przyciągnął jego uwagę i sprawił, że drapieżnik na moment zapomniał o swojej zdobyczy. Vornskr obrócił się na plecach Mary, przyczaił i skierował łeb w stronę źródła dźwięku.

Przez kilka sekund zwierzę i człowiek spoglądali sobie w oczy. Luke bał się nawet drgnąć. Gorączkowo myślał nad tym, jak przyciągnąć uwagę drapieżnika na tyle długo, by R2-D2 zdążył dźgnąć go spawarką.

I wtedy Mara, choć nadal przygwożdżona do ziemi, drgnęła. Luke raz jeszcze otoczył usta dłońmi i zawył ponownie. W odpowiedzi vornskr znowu zmienił pozycję.

Z okrzykiem, który był zarówno głośnym stęknięciem, jak i wezwaniem do boju, Mara odwróciła się na plecy, a jej ramiona wystrzeliły ku górze. Zacisnęła dłonie na gardle bestii.

Luke uświadomił sobie, że drugiej szansy nie dostanie. Co więcej, musiał się spieszyć, bo ranny człowiek nie miał z vornskrem żadnych szans. Odepchnął się od drzewa i runął na bestię, mierząc w jej bok.

Do zderzenia został ułamek sekundy, gdy drapieżnik uzmysłowił sobie jego obecność i smagnął go ogonem po ramieniu i twarzy.

Luke padł i przetoczył się po ziemi. Zerwał się w okamgnieniu, ledwie świadom tego, że po jego czole i policzku biegnie linia płonącego bólu. Vornskr zasyczał ponownie i rzucił się do kolejnego ataku. Ciął powietrze pazurami, by odpędzić Luke'a, ale wtedy do starcia włączył się R2-D2 i raził impulsem elektrycznym przednią lewą łapę drapieżnika. Ten, niemalże od niechcenia, machnął łapą i oderwał wysięgnik, który poleciał między drzewa, a potem smagnął droida ogonem, aż ten się zakołysał. Nie poprzestał na tym – tłukł go raz za razem, coraz silniej, aż się wydawało, że lada moment przewróci droida.

Luke zacisnął zęby, gorączkowo szukając jakiegoś planu. Mógł walnąć potwora pięścią w głowę, ale nie sądził, by udało mu się go na długo zająć, a w chwili, gdy vornskr się nim znudzi, Mara będzie już martwa. Vornskr mógł ją rozszarpać długimi szponami bądź po prostu przygnieść masą. Pozbawiony spawarki R2-D2 pozostawał praktycznie bezbronny, a każde kolejne uderzenie ogonem…

„Zaraz, ogon!"

– Artoo! – warknął Luke. – Spróbuj złapać go za ogon!

Droid wybełkotał niewyraźne potwierdzenie i wyciągnął masywny chwytak. Luke, który z desperacją okładał łeb drapieżnika pięściami, kątem oka dostrzegł ogon opadający do kolejnego ciosu. Wtem droid pochwycił go z tryumfalnym świergotem.

W okamgnieniu świergot przerodził się we wrzask. Vornskr, niemalże od niechcenia, z ogromną siłą wyrwał ogon i wraz z nim sporą część chwytaka.

Zajęło go to jednak na dobrych kilka sekund, a Luke nie potrzebował więcej czasu. Przypadł do ziemi, schronił się za masywnym korpusem R2-D2 i sięgnął po swój miecz świetlny, nadal wiszący u pasa Mary.

Ogon ponownie przeciął powietrze. Luke wykonał unik, przetoczył się po ziemi i znów zerwał na równe nogi, poza zasięgiem ciosu. Włączył miecz świetlny, przypadł do szalejącej bestii i musnął klingą jej nos.

Drapieżca wrzasnął z bólu bądź wściekłości i cofnął się przed dziwacznym przeciwnikiem, którego nigdy dotąd nie widział na

oczy. Luke machnął mieczem ponownie, a potem jeszcze raz, próbując odpędzić vornskra od Mary, tak by zadać śmiertelny cios.

Niespodziewanie vornskr uskoczył w tył na twardy grunt, gdzie napiął mięśnie i wystrzelił w kierunku Luke'a. Ten zamachnął się mieczem i jednym płynnym ciosem przeciął go na pół.

– Wreszcie! – wychrypiała Mara leżąca tuż obok jego stóp. Spojrzał w dół i zobaczył, jak dziewczyna próbuje odepchnąć ze swojej piersi połowę zabitego drapieżnika i jednocześnie podnieść się na łokciu. – Myślałam, że nigdy nie skończysz tej idiotycznej zabawy! W coś ty się z nim bawił?

– Nadal próbowałaś go udusić – przypomniał jej zdyszany Luke. – Gdybym chybił, mógłbym ci odrąbać rękę, a to by ci się chyba nie spodobało.

Cofnął się o krok i wyciągnął dłoń, by pomóc jej wstać.

Ta machnęła ręką, by pokazać, że nie potrzebuje pomocy. Powoli przewróciła się na brzuch, z trudem dźwignęła na równe nogi i odwróciła się ku niemu.

Z blasterem w dłoni.

– Wypuść miecz świetlny i cofnij się – wydyszała, wskazując jego broń, by podkreślić znaczenie swoich słów.

Luke westchnął i pokręcił głową.

– Serio, nie wierzę – rzekł. Wyłączył miecz i upuścił go na ziemię. Adrenalina powoli opadała i zarówno twarz, jak i ramię płonęły wściekłym bólem. – A może nie zauważyłaś, że wraz z Artoo właśnie uratowaliśmy ci życie?

– Zauważyłam. Dzięki – odparła Mara i nadal celując w niego z blastera, pochyliła się, by podnieść miecz. – To chyba nagroda za to, że nie zastrzeliłam cię dwa dni temu. Siadaj no tam.

Luke spojrzał na R2-D2, który pojękiwał cicho.

– Pozwolisz, bym najpierw przyjrzał się Artoo?

Mara spojrzała na droida. Jej zaciśnięte mocno usta utworzyły cienką kreskę.

– Pewnie, nie krępuj się.

Odsunęła się od towarzyszy, podniosła zestaw ratunkowy i poczłapała na skraj polany.

R2-D2 nie oberwał tak bardzo, jak się Luke obawiał. Zarówno chwytak, jak i spawarka zostały czysto oderwane i z dziur nie zwisały żadne przewody czy inne luźne elementy, które mogłyby się w coś zaplątać. Luke pocieszył więc droida i zasklepił oba otwory.

– No i? – spytała Mara, która siedziała oparta plecami o pień drzewa i ostrożnie, delikatnie nakładała maść na rany po pazurach ciągnące się wzdłuż ramion.

– Póki co nic mu nie grozi – powiedział Luke, siadając pod własnym drzewem. – Bywało już, że obrywał bardziej.

– Jakże się cieszę – powiedziała kwaśno Mara i obrzuciła Luke'a dłuższym spojrzeniem. – Porządnie ci przyłożył, co?

Luke ostrożnie dotknął czerwonej pręgi, ciągnącej się wzdłuż policzka i czoła.

– Nic mi nie będzie.

– Pewnie, że nie! – parsknęła Mara. Jej głos aż ociekał sarkazmem. – Zupełnie zapomniałam, że przecież też jesteś bohaterem! – dodała i powróciła do zajmowania się własnymi skaleczeniami.

Luke przyglądał się jej przez chwilę, próbując zrozumieć sprzeczności targające tą dziwną kobietą. Dzieliły ich trzy metry, a mimo to widział, jak dłoń nakładająca maść lekko drży. Być może była to reakcja na stres, być może zmęczenie mięśni, a z całą pewnością strach. Przecież dopiero co uniknęła strasznej śmierci i musiałaby być głupia, by nie zdawać sobie z tego sprawy.

Nie miał pojęcia, jakie targały nią emocje, ale widział, że robi wszystko, by ich nie zdradzić. Bez względu na sytuację cały czas próbowała utrzymać chłodną, nieprzeniknioną minę, jakby się obawiała, że ujawni jakąś słabość…

Niespodziewanie Mara uniosła głowę, jakby nagle wyczuła na sobie jego wzrok.

– Już ci podziękowałam – warknęła. – Czego jeszcze chcesz? Medalu?

Luke pokręcił głową.

– Chciałbym się dowiedzieć, co ci się przytrafiło.

Jej zielone oczy raz jeszcze rozbłysnęły nienawiścią, ale tylko na chwilę. Atak vornskra, który nastąpił po dwóch dniach wytężonej

wędrówki i dwóch nieprzespanych nocach, odcisnął wielkie piętno na jej emocjonalnej sile. Gniew wkrótce znikł z jej oczu, pozostawiając po sobie jedynie zmęczenie i chłód.

– Co mi się przytrafiło? – powtórzyła głosem, w którym było więcej znużenia niż goryczy. – Ty mi się przytrafiłeś. Ty, brudny wieśniak z zapomnianej planety na galaktycznym zadupiu. Zniszczyłeś mi życie, wiesz?

– Jak?

Mara skrzywiła się z pogardą.

– Nie masz bladego pojęcia, kim jestem, co?

Luke pokręcił głową.

– Jestem pewien, że bym cię zapamiętał, gdybyśmy się spotkali.

– Racja – rzekła z przekąsem. – Przecież jesteś wielkim, wszechwiedzącym Jedi! Widzisz, słyszysz i wiesz wszystko. I wszystko rozumiesz. Nie, tak naprawdę to wcześniej nie zamieniliśmy nawet słowa, ale spotkaliśmy się, choć oczywiście nie zwróciłeś na mnie uwagi. Byłam tancerką w pałacu Jabby. Występowałam tego dnia, gdy przybyłeś po Solo.

„Ach, a więc o to tu chodzi – pomyślał Luke. – Pracowała dla Jabby i gdy go zabiłem, zrujnowałem jej życie…”

Spojrzał na nią, marszcząc czoło. Nie. Była szczupłą, zwinną dziewczyną pełną gracji i bez wątpienia mogła znaleźć zatrudnienie jako profesjonalna tancerka, ale inne jej cechy raczej taką karierę wykluczały. Przecież była również znakomitą pilotką, świetnie strzelała i, choć trudno to było wytłumaczyć, nieźle władała mieczem świetlnym. Jak to możliwe?

Mara nadal czekała. Wpatrywała się w niego intensywnie, jakby prowokowała go do wyciągnięcia kolejnych wniosków.

– Nie byłaś tylko zwykłą tancerką – oznajmił. – Przykrywka, co?

Mara się skrzywiła.

– Nieźle, nieźle. Przenikliwość godna Jedi. Zgaduj dalej, bo nieźle ci idzie. No? To co tak naprawdę robiłam u Jabby?

Luke się zawahał. Istniało wiele możliwości. Mogła być łowczynią nagród, przemytniczką, zamaskowaną ochroniarką, szpiegiem pracującym dla konkurencji…

Nie. Przecież znała się na mieczach świetlnych…

I naraz wszystkie elementy ułożyły się w całość.

– Czekałaś na mnie – rzekł. – Vader wiedział, że będę próbował uratować Hana, a więc wysłał cię, byś mnie złapała.

– Vader? – Mara niemalże wypluła to słowo. – Nie rozśmieszaj mnie. Vader był głupcem, który na dodatek przez cały czas ocierał się o zdradę. Mój mistrz wysłał mnie do Jabby, bym cię zabiła, a nie zwerbowała.

Luke wpatrywał się w nią, a po jego plecach przebiegł zimny dreszcz. Nie mógł w to uwierzyć, ale patrzył w jej udręczoną twarz i z każdą chwilą nabierał coraz większej pewności.

– A twoim mistrzem – rzekł cicho – był Imperator.

– Tak – syknęła niczym wąż. – A ty go zabiłeś.

Luke przełknął ślinę. Huk krwi w jego uszach był jedynym słyszalnym odgłosem. Nie zabił Imperatora – zrobił to Darth Vader – ale dla Mary stanowiło to jedynie nieistotny niuans.

– Mylisz się jednak – powiedział. – Imperator próbował mnie przeciągnąć na swoją stronę.

– Tylko dlatego, że ja sama zawiodłam – wykrztusiła Mara przez zaciśnięte gardło. – A doszło do tego dopiero w chwili, gdy Vader postawił cię przed jego obliczem. A co? Nie sądzisz chyba, że nie wiedział o propozycji, którą złożył ci Vader? O tym, że był gotów ci pomóc w obaleniu Imperatora?

Luke nieświadomie zacisnął palce swojej zdrętwiałej sztucznej dłoni. Tak, Vader rzeczywiście zaproponował mu taki sojusz podczas ich pojedynku w Mieście w Chmurach.

– Nie wiedziałem, że mówi na poważnie – bąknął.

– Ale Imperator to wiedział – powiedziała Mara bez emocji. – A ja wiedziałam wszystko to, co on.

Jej oczy nagle wypełnił ból.

– Byłam jego prawą ręką, Skywalker – mówiła. – W ten oto sposób znalazłam się wśród członków jego wewnętrznego, najbliższego dworu, jako jego namiestniczka. Wykonywałam dla niego zadania w całej galaktyce. Podejmowałam się misji, które były zbyt trudne dla floty i szturmowców. Dysponowałam bowiem wielkim talentem, Skywalker. Potrafiłam usłyszeć jego zew w całym Imperium i odpowiedzieć w ten sam sposób. Ujawniałam dla niego

zdrajców, przyprowadzałam wrogów przed jego oblicze, pomagałam mu utrzymać kontrolę nad bezduszną demokracją. Cieszyłam się szacunkiem i miałam władzę.

Jej wzrok się wyostrzył. Odepchnęła wspomnienia.

– A ty mi to wszystko odebrałeś. To wystarczy, byś zasłużył na śmierć.

– Co poszło nie tak? – z trudem wydukał pytanie.

– Na drodze stanął mi drobiazg – odparła z grymasem niechęci. – Jabba nie pozwolił mi dołączyć do grupy, która miała towarzyszyć egzekucji. To wystarczyło. Błagałam go, próbowałam się przymilać, targować, ale wszystko na nic. Nie byłam w stanie wpłynąć na jego decyzję.

– Fakt – przyznał Luke. – Jabba był w wysokim stopniu odporny na aspekty Mocy, które kontrolują umysł.

„Ale gdyby znalazła się na tej barce…”

Luke zadrżał, gdy przed jego oczami stanęła znów przerażająca wizja, która nawiedziła go w jaskini na Dagobah. Ta tajemnicza, ledwie widoczna kobieta, stojąca na górnym pokładzie barki, wznosząca jego własny miecz i śmiejąca się z drwiną.

Podczas pierwszej wizyty w jaskini wiele lat temu ujrzał możliwą wizję przyszłości. Tym razem – wobec czego nie miał już wątpliwości – jaskinia pokazała mu możliwą przeszłość.

– Dopiełabyś swego – powiedział cicho.

Mara spojrzała na niego ostro.

– Nie proszę cię o zrozumienie czy współczucie – wyrzuciła z siebie. – Chciałeś poznać prawdę, to ją poznałeś, i tyle.

Przez moment Luke pozwolił jej opatrywać rany w spokoju, po czym spytał:

– No to co tu właściwie robisz? Dlaczego nie stanęłaś po stronie Imperium?

– Jakiego znowu Imperium? – parsknęła Mara. – Imperium ginie i sam dobrze o tym wiesz.

– Ale póki jeszcze istnieje…

Mara smagnęła go wściekłym spojrzeniem.

– A do kogo niby mam się udać? – spytała z gniewem. – Nikt mnie nie znał. Nie zawarłam żadnych znajomości jako

namiestniczka Imperatora. Byłam niczym cień i działałam poza trybem dowodzenia, poza wszelkimi protokołami. Moje misje nie były nigdzie odnotowywane. Nieliczni ludzie, z którymi zawarłam znajomość, uznali mnie za zwykłą dworską zdzirę, mało istotny element dekoracji, trzymany w pałacu ku uciesze Imperatora. — Jej oczy znów zamgliło wspomnienie. – Po Endorze nie miałam dokąd się udać – powiedziała z goryczą. – Nie miałam żadnych kontaktów, nie miałam środków do życia, statku, domu. Nie miałam nawet prawdziwej, wiarygodnej tożsamości. Zostawiono mnie samą sobie.

– Ale połączyłaś siły z Talonem Karrde.

– Po jakimś czasie. Przez cztery i pół roku włóczyłam się po rubieżach galaktyki, podejmując się różnych zadań – mówiła, wpatrując się w niego. W jej spojrzeniu odżyła nienawiść. – Pracowałam długo i wytrwale, by dotrzeć do miejsca, w którym teraz jestem, Skywalker. Nie odbierzesz mi tego. Nie tym razem.

– Nie chcę ci niczego odbierać – powiedział spokojnie Luke. – Marzę tylko o tym, by powrócić do Nowej Republiki.

– A ja marzę o powrocie starego Imperium – odcięła się. – Nie wszystkie marzenia się spełniają, co?

– Nie. – Luke pokręcił głową. – Nie wszystkie.

Przez moment Mara wpatrywała się w niego z niechęcią, po czym nagle podniosła tubkę maści i rzuciła mu ją.

– Masz. Posmaruj tę pręgę i się prześpij. Jutro czeka nas długi dzień.

Rozdział 27

Wysłużony, poobijany frachtowiec klasy A dryfował niedaleko prawej burty „Chimaery”. Przypominał ogromną, podróżującą w kosmosie skrzynię z doczepionym hipernapędem. Jego spłowiała powłoka połyskiwała matowo w blasku reflektorów niszczyciela. Thrawn, który siedział na stanowisku dowodzenia, przyjrzał się danym zebranym przez sensory i pokiwał głową.

– Dobrze to wygląda, kapitanie – zwrócił się do Pellaeona. – Dokładnie tak, jak powinno. Proszę rozpocząć testy, gdy będzie pan gotowy.

– Potrzeba jeszcze kilku minut, sir – powiedział kapitan, który przyglądał się odczytom na swojej konsoli. – Obsługa techniczna ma pewne problemy z dostrojeniem systemu maskowania.

Wstrzymał oddech, obawiając się ostrej reprymendy. Nieprzetestowany jeszcze system kamuflażu oraz specjalnie zmodyfikowany frachtowiec, na którym go zainstalowano, kosztowały ogromne pieniądze, a Imperium musiało się liczyć z wydatkami. Pellaeon nie wyobrażał sobie sytuacji, w której nowa technologia miałaby ich zawieść, tym bardziej że zależał od niej sukces całej operacji na Sluis Van.

Wielki admirał pokiwał jednakże jedynie głową.

– Mamy czas – rzekł spokojnie. – Czy są jakieś wieści z Myrkr?

– Ostatni raport dotarł dwie godziny temu – odparł Pellaeon. – Nadal nic.

Thrawn znów pokiwał głową.

– A jak wyglądają ostatnie szacunki ze Sluis Van?

– Hm… – Pellaeon sprawdził odpowiedni plik. – Sto dwanaście okrętów wojennych, z których sześćdziesiąt pięć jest wykorzystanych w charakterze transportowców, a reszta jako eskorta.

– Sześćdziesiąt pięć – powtórzył Thrawn, nie kryjąc satysfakcji. – Doskonale. A więc będziemy mieli spory wybór.

– Tak jest, sir. – Pellaeon poruszył się nerwowo.

Thrawn, pochłonięty dotąd kontemplacją frachtowca, przeniósł spojrzenie na Pellaeona.

– Dręczy coś pana, kapitanie?

Ten wskazał frachtowiec ruchem głowy.

– Nie podoba mi się pomysł posłania ich na terytorium wroga bez żadnej komunikacji.

– Nie mamy w tej kwestii szczególnego wyboru – przypomniał mu sucho Thrawn. – W ten sposób działa pole maskujące. Nic się nie dostaje i nic nie wychodzi. — Uniósł brew i dodał znacząco: – Przy założeniu, rzecz jasna, że to w ogóle działa.

– Tak jest, sir. Ale…

– Ale co, kapitanie?

Pellaeon nabrał tchu i zdecydował się dokończyć zdanie:

– Wydaje mi się, admirale, że podczas operacji tego typu powinniśmy wykorzystać C'baotha.

Spojrzenie wielkiego admirała nieco stwardniało.

– C'baotha?

– Tak, sir. Mógłby zapewnić nam łączność z…

– Nie potrzebujemy łączności, kapitanie – przerwał mu Thrawn. – Dobre wyliczenie w czasie wystarczy nam w zupełności.

– Nie zgadzam się, admirale. W normalnych okolicznościach miałby pan rację. Dzięki odpowiedniej synchronizacji wszystkie jednostki znalazłyby się w odpowiednich miejscach, ale nie mamy pojęcia, ile czasu potrwa, zanim nasza główna jednostka otrzyma zielone światło od kontroli orbitalnej.

– Wręcz przeciwnie – zripostował spokojnie Thrawn. – Studiowałem dokładnie zwyczaje mieszkańców Sluis Van i jestem w stanie przewidzieć, ile czasu zabierze im odprawa frachtowca.

Pellaeon zacisnął zęby.

– Oczywiście przy założeniu, że zespół przeprowadzający odprawę będzie się składał z miejscowych. Pamiętajmy jednak, że Rebelia przepuszcza mnóstwo swoich dostaw przez Sluis Van. Z pewnością mają swoich ludzi w kontroli orbitalnej.

– To bez znaczenia – odparł Thrawn. – Stanowiska kierownicze piastują miejscowi i to oni nadają tempo wydarzeniom.

Pellaeon wypuścił powietrze z płuc i uznał swoją porażkę.

– Tak jest, sir – wymamrotał.

Thrawn przyglądał mu się uważnie.

– Ja nie popisuję się brawurą, kapitanie. Nie próbuję też udowodnić, że flota imperialna może działać bez naszego mistrza. Musimy obaj zapamiętać, że nie stać nas na to, by korzystać z usług C'baotha zbyt często.

– Ponieważ niebawem uzależnimy się od jego zdolności – warknął Pellaeon. – Zupełnie jakbyśmy wszyscy byli cyborgami podłączonymi do komputera bojowego.

Thrawn uśmiechnął się lekko.

– Nadal to panu przeszkadza, prawda? Niech się pan nie przejmuje. To tylko część problemu. Niewielka i mało istotna część. Mnie bardziej martwi to, że nie dajemy mistrzowi C'baothowi nazbyt często posmakować tego rodzaju władzy.

Pellaeon zmarszczył brwi.

– Powiedział, że nie zależy mu na władzy.

– A więc kłamie – odparł zimno Thrawn. – Wszyscy ludzie pragną władzy, a im więcej jej mają, tym więcej pożądają.

Pellaeon zastanowił się.

– Ale jeśli okaże się dla nas zagrożeniem… – zaczął, ale urwał, przypomniawszy sobie o innych oficerach i członkach załogi pracujących na mostku niszczyciela.

Wielki admirał jednakże nie okazał podobnej powściągliwości.

– …dlaczego się go nie pozbędziemy? – dokończył za niego pytanie. – Odpowiedź jest bardzo prosta, kapitanie. Bo wkrótce znajdziemy sposób, by zaspokoić cały jego apetyt na władzę, a wówczas mistrz C'baoth stanie się dla nas tylko narzędziem. Narzędzia zaś, jak wiadomo, nie stwarzają zagrożenia.

– Ma pan na myśli Leię Organę Solo i jej bliźnięta?

– Właśnie. – Oczy Thrawna rozbłysły, gdy przytakiwał. – Kiedy C'baoth będzie ich miał w ręku, drobne wycieczki z flotą staną się dla niego jedynie krótkimi przerwami w prawdziwej pracy.

Pellaeon złapał się na tym, że odwraca spojrzenie. Nie był w stanie znieść tak intensywnego wzroku admirała. Jego teoria wydawała się sensowna, ale w praktyce…

– Oczywiście zakładamy, że Noghri będą w ogóle w stanie ją odnaleźć.

– Będą – rzekł Thrawn cicho, ale z przekonaniem. – Lei i jej strażnikom w końcu wyczerpią się pomysły i to przypuszczalnie na długo, zanim nam skończą się Noghri.

Na ekranie przed Pellaeonem pojawił się nowy komunikat.

– Są gotowi, sir.

Thrawn odwrócił się ku frachtowcowi.

– Proszę zaczynać, kapitanie.

Pellaeon nabrał głęboko tchu i włączył odpowiedni kanał komunikacyjny.

– Aktywować pole maskujące.

Frachtowiec, doskonale widoczny przez okna na mostku, nawet nie drgnął. Nadal wisiał tam gdzie przed chwilą.

Thrawn wpatrywał się w niego intensywnie. Zerknął na ekrany, potem znów na statek, a na końcu spojrzał na samego Pellaeona. Na jego twarzy pojawił się uśmiech satysfakcji.

– Doskonale, kapitanie. Dokładnie to, co chciałem ujrzeć. Chciałem pogratulować panu i pańskim zespołom technicznym.

– Dziękuję, sir – rzekł Pellaeon i rozluźnił mięśnie. Nie zdawał sobie sprawy z własnego napięcia. – Rozumiem, że mam zielone światło?

Uśmiech wielkiego admirała się nie zmienił.

– Światło jest zielone, kapitanie – oznajmił z powagą. – Proszę postawić grupę uderzeniową w stan gotowości. Okręty mają się szykować do skoku w ustalone miejsca. Stocznie na Sluis Van są nasze.

Wedge Antilles uniósł głowę znad datapada. Na jego twarzy malowało się niedowierzanie.

– Chyba jaja sobie pan robi – zwrócił się do dyspozytora. – Misja eskortowa?

Tamten spojrzał na niego niewinnie.

– O co ci chodzi? – spytał. – Przecież latacie na X-wingach, no nie? Zajmujecie się eskortą przez cały czas!

– Eskortujemy ludzi! – odciął się Wedge. – Nie bawimy się w pieski pasterskie statków transportowych.

Niewinne spojrzenie dyspozytora znikło, zastąpione słabo maskowaną niechęcią, a Wedge nagle odniósł wrażenie, że ostatnio często odbywa takie rozmowy.

– Komandorze, niechże pan mi da spokój, co? – warknął w odpowiedzi dyspozytor. – Macie eskortować fregatę. Co za różnica, czy ta przewozi ludzi, czy na przykład zepsuty reaktor.

Wedge spojrzał na datapad. Różnica polegała na tym, że eskortowanie ludzi było dla niego i innych źródłem zawodowej satysfakcji.

– Sluis Van leży daleko stąd – rzekł zamiast tego. – Niezły szmat drogi jak dla myśliwca.

– Tak, ale według wytycznych macie znaleźć się na fregacie, którą opuścicie dopiero po przekroczeniu granic układu. – Dyspozytor wyciągnął rękę i dotknął odpowiedniego klawisza na datapadzie Wedge'a.

Pilot przestudiował pozostałe wytyczne. Po dotarciu na miejsce mieli czekać w stoczniach, aż zbierze się cały konwój, i wtedy ruszać na Bpfassh.

– Minie sporo czasu, nim wrócimy na Coruscant – stwierdził.

– Na pańskim miejscu uznałbym to za fart – rzekł dyspozytor, a ciszej dodał: – Zanosi się na coś wielkiego. Myślę, że radca Fey'lya i jego stronnicy planują jakiś ruch.

Wedge poczuł zimny dreszcz.

– Nie ma pan chyba na myśli przewrotu?

Ten podskoczył, jakby się oparzył.

– Nie, skądże znów! Za kogo pan ma tego Fey'lyę? — Urwał i spojrzał czujnie na pilota. – Dobra, kapuję. Jest pan jednym z zabijaków lojalnych wobec Ackbara, co? Niech się pan pogodzi z faktami, komandorze. Ackbar stracił kontakt ze zwykłymi żołnierzami Republiki, o ile kiedykolwiek w ogóle go miał. Fey'lya to jedyny członek Rady, któremu naprawdę zależy na naszym dobru. — Wskazał datapad. – A oto dowód. Wszystkie te bzdury przyszły prosto z biura Ackbara.

– Tak, jasne, ale wciąż mamy Imperium na horyzoncie – mruknął Wedge, który nagle poczuł się niekomfortowo, bo krytykując Ackbara, dyspozytor sprawnie pozbawił go własnych argumentów. Zadał sobie w myślach pytanie, czy nie zrobił tego aby celowo. A może naprawdę należał do rosnących rzesz zwolenników Fey'lyi w armii?

Zresztą krótkie wakacje z dala od Courscant może wcale nie byłyby tak złym pomysłem. Przynajmniej przez jakiś czas przebywałby z daleka od tych politycznych wariactw.

– Kiedy wylatujemy?

– Gdy tylko zdoła pan zebrać ludzi na pokładzie fregaty – rzekł dyspozytor. – Wasze myśliwce są już ładowane.

– Jasne.

Wedge odwrócił się od biurka, wyszedł na korytarz i skierował w stronę pokoju odpraw. Tak, skok na Sluis Van i Bpfassh to w tej chwili dobry pomysł. Miał ochotę odetchnąć świeżym powietrzem i rozeznać się w tym, co się działo z Nową Republiką, którą z takim mozołem próbował budować.

A jeśli Imperium planowało ich szturchnąć po drodze… Cóż, z takim zagrożeniem akurat potrafił sobie radzić.

Rozdział 28

Tuż przed południem dobiegły ich nowe, ledwie słyszalne dźwięki, które docierały do nich między drzewami. Po kolejnej godzinie znaleźli się na tyle blisko, że Luke zdołał je wreszcie rozpoznać.

Skutery repulsorowe.

– Jesteś pewien, że to wojskowy model? – szepnęła Mara, gdy wycie silnika dwukrotnie przybrało na sile i znów opadło gdzieś w oddali.

– Nie mam wątpliwości – oznajmił ponurym głosem Luke. – Leciałem na takim na Endorze. O mały włos nie skończyłem na drzewie.

Mara nie odpowiedziała i przez chwilę Luke zastanawiał się, czy w ogóle powinien w jej obecności wspominać wydarzenia, jakie rozegrały się na Endorze. Zerknął jednakże na jej twarz i jego obawy znikły. Dziewczyna, zamiast pogrążać się znów w ponurych wspomnieniach, stała nieruchomo i nasłuchiwała czujnie.

– Są gdzieś na południu – oznajmiła mniej więcej po minucie. – Na północy cisza. Nic stamtąd nie dobiega.

– Ja też nic nie słyszę. – Luke wytężył słuch. – Artoo, czy byłbyś w stanie stworzyć dla nas holograficzną audiomapę?

Droid pisnął na potwierdzenie. Chwilę później uruchomił holoprojektor i kilka centymetrów nad zdeptanymi liśćmi zawisła dwukolorowa mapa.

– Miałam rację. – Mara wskazała palcem. – Kilka z nich jest dokładnie przed nami, a inne na południu. Północ jest czysta.

– Co oznacza, że musieliśmy po drodze skręcić na północ – stwierdził Luke.

Mara zmarszczyła lekko brwi.

– Jak do tego doszedłeś?

– Cóż, z pewnością wiedzą, że kierujemy się do Hyllyard City. Muszą więc skupić swoje poszukiwania na trasie, która wiedzie prosto do miasta.

Mara uśmiechnęła się chłodno.

– O cudowna naiwności Jedi! A przyszło ci może do głowy inne rozwiązanie? A może to, że ich nie słyszymy, wcale nie oznacza, że ich nie ma?

Luke zmarszczył brwi, wpatrując się w holomapę.

– Nie ma wątpliwości, że mogliby ukryć tam jakiś oddział – zgodził się. – Ale co by im to dało?

– Och, przestań, Skywalker. Przecież to najstarszy fortel w galaktyce. Jeśli perymetr wydaje się nie do przejścia, cel poszukiwań przyczaja się i czeka na dogodną sposobność. Jeśli więc nie chcesz, by tak postąpił, podsuwasz mu coś, co wydaje się wygodną możliwością.

Mara ukucnęła i przesunęła palcem po „cichej" części lasu.

– W naszej sytuacji ten podstęp przynosi im dodatkowe korzyści. Jeśli skręcimy jeszcze dalej na północ, by uniknąć tych skuterów, tamci od razu będą wiedzieć, że mamy coś do ukrycia.

– Wątpię, czy naprawdę potrzebują jakiegoś dowodu – skrzywił się Luke.

Mara wzruszyła ramionami i podniosła się.

– Niektórzy oficerowie bardziej przestrzegają litery prawa od innych, ale ja raczej skupiłabym się na tym, co my powinniśmy teraz zrobić.

Luke znów spojrzał na mapę. Według rachub Mary do skraju lasu pozostało im nie więcej niż cztery, pięć kilometrów, czyli około dwóch godzin marszu. Skoro Imperium tak dobrze przygotowało się na ich przybycie…

– Przypuszczalnie będą próbowali nas otoczyć – powiedział powoli. – Przesuną ludzi na północ i południe, być może również spróbują zajść nas od tyłu.

– O ile już tego nie zrobili – rzekła Mara. – To, że ich nie usłyszeliśmy, nie ma znaczenia. Nie wiedzą, z jaką prędkością się poruszamy, a więc pewnie musieli zatoczyć wielki krąg. Przypuszczalnie formują szeroki krąg z Chariotów i grup skuterów repulsorowych. To standardowa taktyka szturmowców stosowana podczas obław.

Luke zacisnął usta. Oficerowie dowodzący obławą nie wiedzieli jednak, że jeden ze ściganych przez nich ludzi doskonale widział, co planują.

– To jak się stąd wyrwiemy? – spytał.

Mara syknęła przez zęby.

– Nie wiem – powiedziała z rezygnacją. – Z tym sprzętem, który mamy, niewiele jesteśmy w stanie zdziałać.

Gdzieś przed nimi ponownie rozległ się cichy jęk silnika repulsorowego. Przez chwilę przybierał na sile, po czym znów ucichł, gdy zwiadowca pomknął dalej.

– W tej sytuacji – powiedział Luke – równie dobrze możemy iść prosto na nich. Ba, moglibyśmy nawet ich zawołać, gdy się pojawią.

– Jakbyśmy byli turystami? – parsknęła Mara. – I nie mieli nic do ukrycia?

– A masz lepszy pomysł?

Mara odruchowo obrzuciła go niechętnym spojrzeniem, ale widać było, że nie jest w stanie wymyślić nic innego.

– Nie, chyba nie – przyznała w końcu. – Pewnie też chciałbyś sięgnąć po tę sztuczkę z zamianą ról, którą wymyślił Karrde?

– Nie przebijemy się przez nich. – Luke wzruszył ramionami. – A jeśli się nie mylisz co do ich taktyki, nie zdołamy się również prześlizgnąć przez ich sito. Pozostaje nam więc blef, a im lepszy blef, tym większe szanse.

Mara wykrzywiła usta.

– Cóż, pewnie tak – powiedziała i wyjęła swój blaster. Z lekkim ociąganiem wyciągnęła z niego baterię, po czym wręczyła Luke'owi broń razem z kaburą.

Luke zważył blaster w dłoni.

– Być może będą chcieli sprawdzić, czy jest naładowany – powiedział. – Ja bym tak zrobił.

– Posłuchaj, Skywalker, jeśli myślisz, że oddam ci naładowaną broń…

– A jeśli przed Imperium dopadnie nas kolejny vornskr – przerwał jej cicho Luke – nie zdołasz go w porę załadować.

– A może już mi nie zależy? – odcięła się Mara.

– Może nie – zgodził się Luke.

Dziewczyna znów spojrzała na niego ze złością, ale i tym razem w jej wzroku zabrakło przekonania. Zaciskając mocno zęby, wcisnęła mu baterię do ręki.

– Dziękuję – rzekł Luke. Załadował blaster i przypiął go do lewego przedramienia. – Dobra… Artoo?

Droid zrozumiał go natychmiast i odsunął klapkę w kształcie trapezu znajdującą się na szczycie jego kopuły. Oczom Mary ukazał się długi, głęboki schowek. Spojrzała na Luke'a, który wyciągnął ku niej dłoń.

Zerknęła raz jeszcze na schowek i ponownie na pustą dłoń młodego Jedi.

– A więc tak tego dokonałeś – skomentowała kwaśno, po czym odpięła miecz świetlny i podała mu go. – Zawsze się zastanawiałam, jak ci się udało go przemycić do nory Jabby.

Luke wsunął miecz do środka, a R2-D2 zamknął klapkę.

– Zawołam, gdy będę tego potrzebować – powiedział Skywalker.

– Pamiętaj tylko, że sztuczka z mieczem może ci się już nie udać – ostrzegła go Mara. – Oddziaływanie isalamirów sięga kilkanaście kilometrów poza skraj lasu. Nie licz na to, że będziesz mógł skorzystać z Mocy w pobliżu Hyllyard City.

– Rozumiem. – Luke pokiwał głową. – A więc ruszajmy w drogę.

– Zaraz, powoli – zatrzymała go Mara, przyglądając mu się uważnie. – Pozostaje jeszcze twoja twarz.

Luke uniósł brew.

– Nie sądzę, by Artoo zdołał schować również i ją.

– Ale śmieszne. Miałam inny pomysł. – Mara rozejrzała się i podeszła do kępy osobliwie wyglądających krzaków rosnących kilka metrów dalej. Ostrożnie zerwała parę liści, ujmując je przez tkaninę rękawa.

– Podwiń rękaw i wyciągnij rękę – powiedziała, wróciwszy do niego.

Luke spełnił jej polecenie, a Mara lekko musnęła jego przedramię brzegiem jednego z liści.

– Zobaczmy, czy to zadziała.

– A co ty chcesz właściwie osią… Ożeż! – wrzasnął Luke, a jego rękę przeszył palący ból.

– Idealne! – oznajmiła Mara z ponurą satysfakcją. – A więc masz na nie alergię. Och, nie martw się, ból zaraz minie.

– Dzięki. – Luke zacisnął zęby. Ból rzeczywiście słabł. – No dobra… A to… do licha, cholerne swędzenie?

– Utrzyma się jeszcze przez jakiś czas, ale tym też się nie martw. Spójrz lepiej na rękę. Co widzisz?

Luke znów zacisnął zęby. Swędzenie nie było przyjemne, ale Mara miała rację. Coś się zaczęło dziać. Skóra w miejscu dotkniętym liściem nabrzmiała i poczerniała, pojawiła się też drobna opryszczka.

– Wygląda paskudnie – stwierdził.

– I to jeszcze jak – zgodziła się Mara. – Chcesz sam to zrobić czy mam cię wyręczyć?

Luke zacisnął zęby. Doświadczenie zapowiadało się dobrze.

– Dam sobie radę – stwierdził.

Zabieg nie był przyjemny, ale gdy skończył smarować liściem podbródek, ból czoła zdążył już ustąpić.

– Mam nadzieję, że nie dotknąłem za blisko oczu – wycedził i wyrzucił liście w krzaki. Z całej siły walczył z pokusą, by wbić w skórę twarzy paznokcie obu dłoni. – Dobrze byłoby nadal coś widzieć dziś po południu.

– Nic ci nie będzie – zapewniła go Mara, przyglądając się wynikom jego wysiłków. – Twoja twarz wygląda ohydnie. Nie mam pojęcia, jakie zdjęcia wręczono szturmowcom, ale na pewno nie przypominasz siebie.

– Cieszę się z całego serca. – Luke nabrał powietrza i wykonał kilka ćwiczeń, które pomagały Jedi uśmierzyć ból. Bez Mocy nie były aż tak skuteczne, ale miał wrażenie, że przyniosły mu lekką ulgę. – Jak długo będę tak wyglądał?

– Opuchlizna zacznie ustępować za kilka godzin. Jutro nie będzie po niej śladu.

– Dobrze wiedzieć. Ruszamy?

– Nie ma na co czekać – oznajmiła Mara, odwróciła się plecami w stronę R2-D2 i ujęła drągi noszy. – Chodźmy.

***

Mimo że Marze nadal dokuczała kostka, a Luke niełatwo znosił swędzenie, poruszali się w niezłym tempie. Na szczęście, co Skywalker odnotował z niemałą ulgą, swędzenie zaczęło ustępować po mniej więcej trzydziestu minutach. Pozostały jedynie obrzęk i odrętwienie.

Kostka Mary jednakże była o wiele poważniejszym problemem. Idąc obok, Luke widział, że dziewczyna lekko utyka, a ciężar holowanego droida bynajmniej nie pomagał. Dwa razy chciał już zaproponować, by dali sobie spokój z zamianą ról, ale opanował pokusę. Oboje wiedzieli, że był to najlepszy sposób, by się wyrwać z matni.

Poza tym Mara była zbyt dumna, by się zgodzić na inne rozwiązanie.

Przebyli jakiś kilometr, cały czas nasłuchując wycia skuterów w oddali, kiedy niespodziewanie uświadomili sobie, że zostali odnalezieni.

Dwóch zwiadowców w błyszczących, białych zbrojach wypadło ku nim i wyhamowało tuż przed tym, jak Luke zarejestrował wizg ich silnika. Oznaczało to, że czaili się nieopodal.

„Co więcej – pomyślał Luke – cała grupa zapewne namierzyła nas już parę minut temu. Czyli jednak dobrze, że nie próbowałem się na powrót zamienić rolą z Marą".

– Stać! – zawołał jeden ze zwiadowców, co bynajmniej nie było potrzebne. Obrotowe działka blasterowe były już bowiem wycelowane prosto w nich. – W imię Imperium, podajcie swoje imiona!

Nadszedł czas, by rozpocząć przedstawienie.

– Rany, nie macie pojęcia, jak się cieszę, że was widzę! – zawołał Luke z ulgą, choć obrzęk twarzy niczego mu nie ułatwiał. – Nie macie ze sobą jakiegoś transportu, co? Nóg nie czuję!

– Podajcie imiona! – powtórzył zwiadowca. W jego głosie pojawiło się ledwie wyczuwalne wahanie.

– Nazywam się Jade – oznajmił Luke i pokazał gestem Marę. – Mam prezent dla Talona Karrde. Może chociaż on wysłał jakiś transport?

Zwiadowcy wisieli przed nimi nieruchomo. Luke uznał, że naradzają się przez interkom bądź wzywają bazę z prośbą o instrukcję. To, że więzień okazał się kobietą, najwyraźniej zbiło ich nieco z tropu, choć Luke nie miał pewności, czy to wystarczy.

– Udacie się z nami – rozkazał jeden ze zwiadowców. – Nasz oficer chce z wami porozmawiać. Ej, ty! Kobieto? Odłóż tego droida i cofnij się.

– Jasne, jasne – odezwał się Luke, gdy drugi z nich podjechał kilka metrów i zatrzymał skuter przed noszami z R2-D2. – Ale chciałbym, byście obaj poświadczyli, że to ja ją złapałem. Karrde często wymiguje się z płacenia nagród za złapanych uciekinierów, ale tym razem mu na to nie pozwolę.

– Jesteś łowcą nagród? – spytał zwiadowca. W jego głosie pojawiła się pogarda.

– Owszem – odparł Luke, imitując urażoną dumę zawodową. Nastawienie żołnierza wcale mu nie przeszkadzało, a w gruncie rzeczy na nie liczył. Wiedział bowiem, że im mocniej utrwali swój fałszywy wizerunek, tym trudniej będzie im przejrzeć oszustwo.

Odruchowo zadał sobie w myślach pytanie, czy taka sztuczka przystoi Jedi.

Drugi zwiadowca zszedł z maszyny i przymocował drągi do tyłu skutera. Znów wskoczył na siodełko i ruszył naprzód w tempie osiąganym przez żwawego piechura.

– Ruszajcie za nim – przykazał im pierwszy zwiadowca, a sam zajął miejsce z tyłu. – Ale najpierw wyrzuć swój blaster na ziemię, Jade.

Luke spełnił polecenie i podjęli marsz. Pierwszy zwiadowca zatrzymał się, by podnieść upuszczoną broń, i zamknął szyk.

Dotarcie do skraju lasu zabrało kolejną godzinę. Obaj zwiadowcy na skuterach nie opuścili ich ani na moment, a co więcej – ich grupa zaczęła rosnąć. Pojawili się kolejni zwiadowcy na skuterach, którzy

formowali ciasny szyk po obu stronach procesji bądź wzmacniali straż przednią lub tylną. Bliżej skraju lasu pojawili się też szturmowcy w pełnych pancerzach, którzy również dołączyli do konwoju, uzbrojeni w przewieszone przez pierś karabiny. Wówczas zwiadowcy zaczęli się oddalać i utworzyli ruchomą eskortę.

W chwili, gdy wyszli spomiędzy drzew, towarzyszyło im nie mniej niż dwudziestu pieszych szturmowców i dziesięciu zwiadowców na skuterach. Był to imponujący pokaz wojskowej potęgi Imperium, który ponadto uświadomił Luke'owi, że ten tajemniczy człowiek, który stanął teraz na jego czele, przypisuje temu incydentowi wielkie znaczenie. Nawet będąc u szczytu swojej chwały, Imperium nie szafowało szturmowcami.

Wśród pierwszych zabudowań Hyllyard City, leżących w odległości zaledwie pięćdziesięciu metrów, czekało jeszcze dwóch szturmowców oraz człowiek z insygniami majora na zakurzonym brązowym mundurze imperialnym. Miał zaciętą, nieprzyjemną twarz.

– No, nareszcie – mruknął pod nosem, gdy popchnięto Marę i Luke'a ku niemu. – Co to za jedni?

– Mężczyzna twierdzi, że ma na imię Jade – odpowiedział jeden ze szturmowców nieco zniekształconym, przefiltrowanym przez hełm głosem, typowym dla wszystkich żołnierzy ich formacji. – To łowca nagród, który pracuje dla Karrde. Twierdzi, że kobieta jest jego więźniem.

– Była jego więźniem – sprostował major i przeniósł spojrzenie na Marę. – Jak się nazywasz, złodziejko?

– Senni Kiffu – odparła ta kwaśno – I nie jestem złodziejką. Talon Karrde jest mi winien, i to niemało. Nie odebrałam niczego, co nie należało do mnie.

Major spojrzał na Luke'a, a ten wzruszył ramionami.

– Inne interesy Karrde to nie moje zmartwienie. Kazał mi ją przyprowadzić, a więc ją przyprowadziłem.

– Nie tylko ją, ale i jej łup, z tego, co widzę. – Oficer spojrzał na R2-D2, wciąż przywiązanego do noszy i wleczonego za skuterem. – Dość już tego holowania! – ofuknął zwiadowcę. – Teren tu jest wystarczająco płaski, by droid sam sobie dał radę, a wy macie

wracać na perymetr. I skuć mi tych dwoje. O korzenie drzew już się tu nie wywrócą.

– Zaraz, powoli! – sprzeciwił się Luke, gdy podszedł do niego jeden z szturmowców. – Mnie też?

Major uniósł lekko brwi.

– To jakiś problem, łowco nagród? – spytał wyzywająco.

– Tak, mam! – warknął Luke. – To ona jest tu więźniem, nie ja!

– Póki co oboje nimi jesteście, więc się zamknij! – oznajmił oficer i zmarszczył brwi, przyglądając się twarzy Luke'a. – A w ogóle to co ci się stało, na Imperium?

„A więc nie wezmą tej opuchlizny za moją wrodzoną cechę" – pomyślał Luke.

– Wpadłem w jakieś krzaki, gdy ją goniłem – warknął, gdy szturmowiec zakładał mu kajdanki. – Przez pewien czas swędziało jak cholera.

Major uśmiechnął się bez wesołości.

– Kiepska sprawa, co? – powiedział oschle. – Na szczęście mamy w kwaterze w pełni wyszkolonego medyka, który w okamgnieniu zlikwiduje tę opuchliznę.

Przez moment wpatrywał się w Luke'a, a potem przeniósł wzrok na podoficera dowodzącego szturmowcami.

– Rozbroiłeś go, jak sądzę?

Szturmowiec skinął na pierwszego zwiadowcę, który wręczył majorowi blaster Mary.

– Interesująca broń – mruknął oficer. Obracał go przez moment w dłoniach, po czym wsunął go sobie za pas.

Z góry dobiegł pomruk repulsorów. Luke uniósł głowę i ujrzał nadlatującego Chariota.

„A więc Mara się nie pomyliła" – pomyślał.

– Ach – rzucił major, spoglądając na pojazd. – W porządku, poruczniku. Ruszamy.

Hyllyard City pod wieloma względami przypominało Luke'owi Mos Eisley. Wszędzie widział ściśnięte ciasno, niewielkie domy oraz sklepy i warsztaty, między którymi biegły wąskie uliczki. Chariot przeleciał nad osadą, kierując się ku jednej z szerszych ulic, które niczym szprychy koła wychodziły z centrum miasta. Luke,

przyglądając się miastu, dostrzegł jakiś otwarty teren za kilkoma przecznicami, prawdopodobnie rynek bądź lądowisko dla statków kosmicznych.

Przednia straż dotarła już do szerokiej ulicy, gdy szturmowcy nagle zmienili formację, dając pokaz idealnej synchronizacji. Ci, którzy tworzyli wewnętrzny krąg, przysunęli się do Luke'a i Mary, a żołnierze z zewnętrznego kręgu oddalili się od nich. Cały oddział zatrzymał się, a więźniowie razem z nimi.

Chwilę później Luke ujrzał, co było przyczyną nagłego manewru. Zza rogu wyłoniło się czterech niechlujnie odzianych, zaniedbanych ludzi, którzy szli szybko ku nim, prowadząc piątego z dłońmi skutymi łańcuchami.

Sekundę później zostali otoczeni przez szturmowców ze straży przedniej. Wywiązała się krótka rozmowa, z której Luke nie zrozumiał ani słowa, lecz po chwili obcy z wyraźną niechęcią oddali blastery szturmowcom. Eskortowani teraz przez żołnierzy Imperium miejscowi maszerowali w stronę głównego oddziału. Wtedy Luke wreszcie zdołał się przyjrzeć człowiekowi, którego prowadzili.

Był nim Han Solo.

Szturmowcy rozluźnili szyki, by wpuścić nowo przybyłych.

– Czego chcecie? – spytał major, gdy ci stanęli przed nim.

– Nazywam się Chin – powiedział jeden z nich. – Złapaliśmy tego obdartusa, jak węszył po lasach. Być może szukał któregoś z tych waszych więźniów. Może chcielibyście z nim pogadać, co?

– Niezwykle miło z waszej strony, muszę przyznać – rzekł sardonicznie major i obrzucił Hana szybkim, taksującym spojrzeniem. – Sami doszliście do tego wniosku?

Chin się wyprostował.

– To, że nie mieszkam w wielkim mieście pełnym świateł, nie oznacza, że jestem głupi – odparł oschłym tonem. – Myślicie, że nie wiemy, co to znaczy, gdy Imperium zaczyna zakładać tymczasowy garnizon?

Major wbił w niego długie, chłodne spojrzenie.

– Lepiej miej nadzieję, by garnizon okazał się tymczasowy – rzekł i spojrzał na szturmowca stojącego obok niego. Ruchem głowy wskazał Hana. – Sprawdź, czy ma broń.

– My już… – zaczął Chin, ale major spojrzał na niego i mężczyzna umilkł.

Przeszukanie potrwało tylko chwilę. Nie znaleziono nic.

– Daj go do środka wraz z innymi – zarządził major. – Dobra, Chin, chodź z nami i weź swoich kumpli. Jeśli okaże się, że ten wasz jeniec nam się przyda, dopilnuję, by i dla was coś skapnęło.

– Niezwykle miło z waszej strony – rzekł Chin z miną, która niewiele się różniła od szyderczego uśmiechu. – Oddacie nam teraz naszą broń?

Spojrzenie majora stwardniało.

– Możecie ją odebrać później w naszej kwaterze głównej – rzekł. – To Hotel Hyllyard po drugiej stronie pałacu, choć jestem pewien, że obyty obywatel jak ty na pewno wie, gdzie się znajduje.

Przez moment wydawało się, że Chin odpłaci się majorowi pięknym za nadobne, ale wystarczył rzut oka na szturmowców, by zmienił plan. Odwrócił się bez słowa i wraz z trzema kompanami zawrócił w stronę miasta.

– Ruszamy – rozkazał major.

Oddział podążył naprzód.

– Cóż – mruknął Han, zrównawszy się z Lukiem. – Znowu razem, co?

– Trudno tego nie zauważyć – odparł cicho Luke. – Twoi przyjaciele uciekają stąd, jakby im się ziemia paliła pod nogami.

– Pewnie nie chcą przegapić imprezy – odparł Han. – Tej, którą wyprawili, by uczcić pojmanie mnie.

Luke spojrzał na niego z ukosa.

– Szkoda, że nas nie zaproszono.

– Zgadza się, szkoda – rzekł Han z nieprzeniknioną twarzą. – Choć właściwie nigdy nie wiadomo.

Skręcili już w główną ulicę i kierowali się ku centrum. Nad głowami szturmowców Han dostrzegł jakąś szarą konstrukcję, znajdującą się dokładnie przed nimi. Przechylił głowę i uświadomił sobie, że to wolno stojąca brama z łukowatym zwieńczeniem.

Konstrukcja była doprawdy imponująca, tym bardziej że wzniesiono ją w mieście położonym tak daleko od głównych traktów galaktyki. Górna część składała się z różnych rodzajów idealnie

dopasowanych do siebie kamieni i wieńczył ją kształt będący połączeniem parasola i grzyba. Wspierała się na rzędach kwadratowych słupów metrowej szerokości. Przejście między nimi miało jakieś dziesięć metrów wysokości, a jego szerokość wynosiła połowę tego.

Łuk wznosił się na samym końcu rozległego, pustego placu, który dostrzegł wcześniej.

„Idealne miejsce na zasadzkę – uzmysłowił sobie Luke i poczuł ucisk w żołądku. Otrzeźwienie przyszło z kolejną myślą: – Ale to, co jest oczywiste dla mnie, będzie tym bardziej oczywiste dla szturmowców!"

Nie pomylił się. Straż przednia znalazła się już na rynku, a szturmowcy, którzy dotarli tam po nich, unieśli wyżej karabiny i oddalili się nieco od swoich sąsiadów. Ewidentnie byli przygotowani na zasadzkę i oczekiwali jej właśnie tu.

Luke zacisnął zęby i znów skupił uwagę na łuku.

– Jest tu gdzieś Threepio? – szepnął do Hana.

Kątem oka zauważył, że Han marszczy brwi, ale jego przyjaciel nie tracił czasu na niepotrzebne pytania.

– Tak, jest z Lando.

Luke skinął głową i zerknął na prawo. R2-D2 toczył się obok niego po wyboistej drodze, próbując nadążyć za ludźmi. Skywalker, gotowy na wszystko, zboczył lekko ku niemu… Niespodziewanie droid z głośnym piskiem potknął się o jego wystawioną stopę, a potem przewrócił się z głośnym trzaskiem.

Luke przypadł do niego w okamgnieniu, pochylił się i spróbował podnieść skutymi dłońmi. Wyczuł, że niektórzy szturmowcy zbliżają się, by mu pomóc, ale przez raptem kilka sekund był przy droidzie całkiem sam. Nie zmarnował tej chwili.

– Artoo, skontaktuj się z Threepio – szepnął do audioreceptora droida. – Powiedz, by zaczekał z atakiem, aż znajdziemy się pod łukiem.

Droid natychmiast spełnił polecenie, a jego głośny świergot niemal ogłuszył klęczącego przy nim Luke'a. W uszach nadal mu dzwoniło, gdy silne dłonie szturmowców pochwyciły go za ramiona i postawiły mocnym szarpnięciem.

Luke odzyskał równowagę i ujrzał stojącego przed nim majora, który mierzył go podejrzliwym spojrzeniem.

– Co to miało oznaczać? – spytał.

– Przewrócił się! – odparł Luke. – Chyba wywalił się o…

– Mam na myśli transmisję! – przerwał mu major. – Co on powiedział?

– Pewnie poskarżył się na to, że się przewrócił! – odciął się Luke. – A skąd niby mam wiedzieć, co on powiedział?

Major wpatrywał się w niego ze złością przez dłuższą chwilę.

– Ruszamy, poruczniku – zwrócił się do dowódcy szturmowców. – Zachować czujność!

Odwrócił się i oddział ruszył naprzód.

– Mam nadzieję – mruknął idący obok niego Han – że wiesz, co robisz.

Luke nabrał tchu i wbił wzrok w łuk, który nadal znajdował się przed nimi.

– Ja też – odparł cicho.

Za kilka chwil obaj mieli się o tym przekonać.

Rozdział 29

– Och, och! – sapnął C-3PO. – Generale Calrissian, mam…

– Cicho, Threepio! – przykazał mu Lando i ostrożnie wyjrzał zza skraju okna, by spojrzeć na niewielkie zamieszanie na rynku. – Widziałeś, co tam się stało, Aves?

Aves, kucający pod parapetem, pokręcił głową.

– Nie do końca. Mam wrażenie, że Skywalker i jego droid przewrócili się na ziemię. Wiele nie zobaczyłem, bo szturmowcy mi zasłaniają widok.

– Generale Calrissian!

– Cicho bądź, Threepio! – Lando w napięciu przyglądał się dwóm szturmowcom, który postawiali Luke'a na nogi, a potem podnieśli R2-D2. – Chyba nic im nie grozi.

– Taa… – Aves podniósł niewielki nadajnik leżący na podłodze obok niego. – Dobra, bierzemy się do roboty. Mam nadzieję, że wszyscy są gotowi.

– I że Chin oraz pozostali nie mają już blasterów – dodał cicho Lando.

– Nie mają – parsknął Aves. – Nie przejmuj się, szturmowcy zawsze odbierają broń innym ludziom.

Lando pokiwał głową i lepiej ujął blaster. W głębi serca myślał tylko o tym, by było już po wszystkim. Zamieszanie na rynku zostało opanowane i szturmowcy, z powrotem we wzorowym szyku, ruszyli naprzód. Czekał, aż wszyscy znajdą się na placu, gdzie nie będą mogli liczyć na żadną osłonę…

– Generale Calrissian, muszę panu coś powiedzieć! – C-3PO się nie poddawał. – Mam wiadomość od pana Luke'a…

Lando zamrugał.

– Od Luke'a? – wyjąkał, ale wtedy przypomniał sobie elektroniczny jazgot R2-D2 tuż po jego upadku. Czyżby to był komunikat?

– O co chodzi? – spytał.

– Pan Luke chce, byście wstrzymali się z atakiem – oznajmił C-3PO z wyraźną ulgą. – Mówi, że macie zaczekać z otwarciem ognia do chwili, gdy szturmowcy znajdą się przy łuku.

Aves się obrócił.

– Co? Przecież to szaleństwo! Mają trzykrotną przewagę! Jeśli damy im szansę, by mogli się ukryć, rozstrzelają nas jak kaczki!

Lando wyjrzał przez okno i zgrzytnął zębami. Znał się tyle na taktyce, by wiedzieć, że Aves ma rację. Lecz z drugiej strony…

– Idą w bardzo luźnym szyku – rzekł. – Nawet bez osłony ciężko będzie ich wystrzelać, zwłaszcza że towarzyszą im te skutery.

Aves pokręcił głową.

– To wariactwo – powtórzył. – Nie będę ryzykował życiem moich ludzi.

– Luke wie, co robi! – nalegał Lando. – To Jedi!

– Akurat! – parsknął Aves. – Słuchałeś, jak Karrde opowiadał o isalamirach?

– Bez względu na to, czy może sięgnąć po Moc, czy nie, nadal jest Jedi! – naciskał Lando. Niespodziewanie uświadomił sobie, że wycelował swój blaster w Avesa, co temu najwyraźniej nie przeszkadzało, również bowiem w niego mierzył. – Jego życie jest w o wiele większym niebezpieczeństwie niż twoje czy kogokolwiek z twoich ludzi. Przecież zawsze możecie się wycofać!

– Tak, jasne! – parsknął Aves i zerknął przez okno. Oddział Imperium pokonał już połowę drogi przez rynek, a szturmowcy wydawali się czujni i skupieni. – Sęk w tym, że jeśli przeżyje choć jeden, zaraz otoczą miasto kordonem. A o tym Chariocie nad nami też zapomniałeś?

– Nie, pamiętam! I nadal nie dowiedziałem się od was, w jaki sposób zamierzacie go zdjąć.

– Cóż, na pewno nie chcemy, by wylądował! – odciął się Aves. – A stanie się tak, jeśli pozwolimy szturmowcom dotrzeć do łuku. Chariot osiądzie na ziemi dokładnie między nimi a nami, a wtedy jego kadłub oraz sam łuk skutecznie ich zasłoni. Zobaczysz, urządzą sobie zawody strzeleckie!

Potrząsnął głową i zacisnął dłoń na nadajniku.

– Poza tym już trochę za późno, by wprowadzać resztę chłopaków w nowy plan.

– Nie musisz nikogo w nic wprowadzać! – upierał się Lando, czując, jak pod kołnierzem gromadzi mu się pot. Przecież Luke na niego liczył! – Wszyscy mają czekać do chwili, gdy odpalisz ładunki wybuchowe ukryte w skonfiskowanej broni!

Aves znów pokręcił głową.

– Zbyt ryzykowne – powtórzył. Odwrócił się w stronę okna i podniósł nadajnik.

I wtedy Lando uświadomił sobie, że to jest ta chwila, kiedy musisz zdecydować: chcesz zaufać abstrakcyjnej taktyce czy… żywym ludziom. Opuścił blaster i oparł lufę o szyję Avesa.

– Zaczekamy – powiedział cicho.

Aves nawet nie drgnął, ale w jego postawie zaszła jednak jakaś zmiana. Calrissian uświadomił sobie, że kucający, przygarbiony przemytnik przypomina mu przyczajonego drapieżcę podczas polowania.

– Nie zapomnę ci tego, Calrissian – powiedział cichym, lodowato zimnym głosem.

– Ależ ja bynajmniej tego nie chcę – odparł Lando.

Znów spojrzał na szturmowców i pomodlił się w myślach, by Luke naprawdę wiedział, co robi.

Straż przednia przeszła już pod łukiem, a majora dzieliło od niego zaledwie kilka kroków, gdy czterech szturmowców nagle wyleciało w powietrze.

Jednoczesne, niebywale intensywne eksplozje żółto-białego ognia boleśnie raziły w oczy każdego, kto patrzył w ich kierunku, a huk był tak donośny, że Luke niemalże padł na ziemię.

W uszach nadal mu dzwoniło, gdy za nimi otwarto ogień z blasterów.

Szturmowcy zademonstrowali dobre wyszkolenie. Luke nie widział w ich zachowaniu żadnej paniki, zaskoczenia czy wahania. Błyskawicznie zajęli pozycje obronne, niemalże wyprzedzając ogień blasterów. Ci, którzy znaleźli się blisko słupów, prowadzili zza nich

ostrzał, a reszta przesuwała się szybko ku nim. Przez kanonadę przebiło się wycie rozpędzających się gwałtownie skuterów, a gdzieś nad głową zauważył pojazd uderzeniowy Chariot, który lądował, by stawić czoła niewidocznym napastnikom.

Wtedy opancerzona dłoń pochwyciła go pod pachą i pociągnęła w stronę łuku. Kilka sekund później został bezceremonialnie ciśnięty w wąskie przejście między kwadratowymi słupami wspierającymi północny bok łuku. Klęczała tam już Mara, a chwilę później szturmowcy pchnęli ku nim Hana. Czterech żołnierzy stanęło nad nimi i wychylili się zza słupów, by wesprzeć ogniem kolegów. Luke zdołał dźwignąć się na kolana i wychylił się, by móc się rozejrzeć.

Strzały padały teraz ze wszystkich stron i w samym środku straszliwej nawałnicy dostrzegł R2-D2. Droid, który wydawał mu się drobny i bezbronny, gnał ku nim, najszybciej, jak mógł, wyciskając pełną moc ze swoich malutkich kółek.

– Myślę, że mamy przechlapane – zawołał Han do ucha Luke'owi. – Nie mówiąc już o Lando i reszcie!

– Jeszcze nie jest po wszystkim! – odparł Luke. – Tylko się nie wychylaj! Znasz się na sianiu zamieszania?

– Jak mało kto! – odezwał się Han i ku zdumieniu Luke'a pokazał mu wolne dłonie. Łańcuch i kajdanki zwisały luźno z lewego nadgarstka. – Skomplikowany mechanizm, muszę przyznać – mruknął i wyciągnąwszy ukryty metalowy wytrych, przypadł do kajdanków Luke'a. – Mam nadzieję, że to dziadostwo… O, proszę.

Napór na nadgarstki Luke'a nagle znikł, a obręcze spadły na ziemię.

– Coś mówiłeś o zamieszaniu. – Han ujął mocno luźny kawałek łańcucha.

– Poczekaj no jeszcze chwilę – zatrzymał go Luke i uniósł głowę.

Większość zwiadowców na skuterach schroniła się wewnątrz bramy, gdzie przypominali osobliwy gatunek gigantycznych ptaków chroniących się przed burzą. Trzymając się blisko kamiennych słupów, zasypywali okoliczne domy salwami z obrotowych działek. Tymczasem Chariot zatoczył krąg nad linią ostrzału, ustawił się bokiem do łuku i rozpoczął schodzenie.

Na ramieniu Luke’a zacisnęła się mocna dłoń. Czyjeś palce wbiły mu się w skórę.

– Nie wiem, jaki masz plan, ale lepiej weź się do roboty! – syknęła z furią Mara. – Jeśli ten Chariot wyląduje, już nic nie wyciągnie ich zza osłony!

– Wiem. – Luke pokiwał głową. – Na to właśnie liczę.

Chariot opadł miękko na ziemię i całkiem zasłonił szturmowców przed ogniem napastników. Kucający przy oknie Aves zaklął wściekle.

– Proszę bardzo! – warknął. – Oto twój wielki Jedi! Masz jeszcze jakieś wspaniałe pomysły, Calrissian?

Lando przełknął ślinę.

– Musimy tylko dać mu…

Nie zdążył dokończyć zdania. Strzał z blastera odbił się od ramy okiennej i poraził go w ramię. Calrissian krzyknął i zatoczył się, oszołomiony bólem, a wtedy kolejna wiązka rozbiła ramę w drobny mak. Grad drewnianych drzazg i kawałków zaprawy obsypał mu pierś i ramię.

Padł na ziemię z takim impetem, że w oczach rozbłysnęły mu gwiazdki. Zamrugał, zacisnął zęby, by zwalczyć ból, i uniósł głowę…

Ujrzał pochylającego się nad nim Avesa.

Spojrzał mu w oczy.

„Nie zapomnę ci tego, Calrissian” – powiedział przemytnik niecałe trzy minuty temu. Wzrok, jakim obrzucił Lando, nie pozostawiał żadnych wątpliwości: Aves bynajmniej nie zapomniał, co mu obiecał.

– On da sobie radę – wyszeptał odurzony bólem Lando. – Zobaczysz…

Widział jednak, że Aves go nie słucha. W głębi serca uświadomił sobie, że wcale go nie wini. Lando Calrissian, zawodowy gracz i hazardzista, postawił po raz ostatni w ryzykownej grze. I przegrał.

Teraz zaś przyszło mu za to zapłacić.

Chariot miękko osiadł naprzeciwko bramy, a wtedy Luke przygotował się do skoku. Nadszedł czas.

– Dobra, Han – rzucił. – Działaj.

Han Solo zerwał się i z dzikim rykiem wdarł się między czterech stojących nad nim szturmowców. Zamachnął się łańcuchem, który jeszcze przed chwilą krępował mu nadgarstki, i rąbnął nim z całej siły przez napierśnik najbliższego. Ułamek sekundy później oplótł łańcuchem szyję kolejnego i oderwał go od słupa. Pozostali dwaj instynktownie skoczyli na niego i w oddziale powstało zamieszanie.

Przez kilka kolejnych sekund Luke był wolny.

Zerwał się i wyjrzał zza słupa. R2-D2 nadal był w samym środku ziemi niczyjej. Gnał ile sił w kółkach, nie chcąc być trafiony przypadkowym strzałem. Na widok Luke'a zaświergotał z rozpaczą.

– Artoo, teraz! – krzyknął Skywalker i wyciągnął rękę.

Na chwilę krótką jak myśl zerknął ku południowym słupom zwieńczonej łukiem bramy. Szturmowcy, którzy prowadzili zza nich ostrzał, byli teraz osłonięci kadłubem Chariota. Nie miał wątpliwości, że Han miał rację. Jeśli jego plan nie zadziała, Lando i cała reszta może pożegnać się z życiem.

„Mam nadzieję, że jeszcze nie jest za późno" – pomyślał z zaciśniętymi zębami i odwrócił się ku R2-D2.

Wyrzucony przez droida przedmiot błysnął srebrzyście w powietrzu i z idealną precyzją wpadł mu prosto w wyciągniętą dłoń.

Szturmowcy kilka kroków dalej zdołali już obezwładnić Hana i podnosili się po walce, mierząc do Solo klęczącego między nimi. Luke jednym cięciem odebrał życie całej czwórce. Jarząca się zielona klinga miecza świetlnego przechodziła przez błyszczące pancerze szturmowców gładko, niemalże bez żadnego oporu.

– Kryjcie się za mną! – rzucił do Hana i Mary.

Przypadł do luki między dwoma północnymi słupami i skupił uwagę na żołnierzach klęczących między nim a południowym skrajem. Kilku z nich uświadomiło już sobie, że na tyłach pojawiło się nieoczekiwane zagrożenie, i zaczęło się obracać, szukając nowych celów.

Gdyby jego dłonią kierowała Moc, mógłby ich powstrzymywać przez całą wieczność, odbijając mieczem strzały z blasterow. Mara jednakże miała rację – miasto znajdowało się w zasięgu oddziaływania isalamirów i Moc nadal milczała.

Luke jednakże ani przez moment nie planował walczyć z całym oddziałem. Odwracając się plecami do zaalarmowanych szturmowców, rąbnął mieczem w kamienny słup.

Bez trudu przeciął go wpół.

Rozległ się głośny trzask, gdy całą konstrukcję przeszył wstrząs. Luke, nie zwlekając, przerąbał kolejną kolumnę.

Nagle odgłosy bitwy zagłuszył przerażający zgrzyt trących o siebie głazów. Dwie przecięte kolumny osuwały się na boki.

Luke odwrócił się. Kątem oka widział Marę i Hana, którzy uciekali za jego plecami spod walącej się konstrukcji. Twarze szturmowców zasłonięte były maskami, ale przerażenie na obliczu majora mówiło wszystko. Kamienne zwieńczenie bramy raz jeszcze zazgrzytało ostrzegawczo. Luke zacisnął zęby i runął w stronę przejścia między słupami. Przerąbał po drodze trzeci i zahaczył o czwarty.

Brama zawaliła się z ogłuszającym hukiem.

Luke zdążył wyskoczyć w ostatniej chwili. Szturmowcy kucający w środku już takiej szansy nie mieli.

Rozdział 30

Karrde obszedł zwałowisko głazów, z którego wystawał zmaltretowany dziób Chariota. Rozglądał się z oszołomieniem i niedowierzaniem.

– Jeden człowiek – mruknął.

– Cóż, trochę mu pomogliśmy – przypomniał mu Aves, ale sarkazm jego słów przygasił niechętny szacunek.

– I to bez Mocy – dodał Karrde.

Kątem oka widział, jak Aves wzruszył niechętnie ramionami.

– Tak mówi Mara. Choć Skywalker mógł ją okłamać.

– Wątpię – rzekł Talon.

Jego uwagę przykuło jakieś zamieszanie na skraju rynku. Oczom przemytników ukazali się Solo i Skywalker, którzy pomogli wyraźnie osłabionemu Calrissianowi wejść do jednego ze śmigaczy.

– Oberwał?

– Tak – burknął Aves. – A mało brakowało, by dostał też ode mnie. Uznałem, że nas zdradził. Nie chciałem puścić mu tego płazem.

– Całe szczęście, że tego nie zrobiłeś.

Karrde uniósł głowę i spojrzał w niebo. Zastanawiał się, kiedy Imperium zorientuje się w sytuacji i odpowie na to, co się wydarzyło w Hyllyard City.

Aves spojrzał na niebo w ślad za nim.

– Wciąż mamy szansę dogonić pozostałe Charioty, zanim ich piloci złożą raport – zaproponował. – Nie sądzę, by ktokolwiek z ich kwatery głównej zdołał wysłać jakiś meldunek.

Karrde pokręcił głową, czując w swoim sercu wielki smutek. Aż do niedawna nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo pokochał to miejsce – swoją bazę, las i całą planetę Myrkr. Teraz nie miał już wyboru i musiał je porzucić.

– Nie – odezwał się do Avesa. – Nie ma sposobu, by zatuszować nasz udział w tym, do czego tu doszło. Ktoś taki jak Thrawn od razu

domyśli się prawdy.

– Pewnie masz rację. – Aves również spoważniał, a w jego głosie pojawiła się gotowość do działania. Doskonale rozumiał implikacje wynikające z potyczki. – Chcesz, bym wrócił do bazy i zajął się ewakuacją?

– Tak – rzekł Karrde. – Weź ze sobą Marę i dopilnuj, by miała jak najwięcej roboty. Możliwie najdalej od „Sokoła” i X-winga Skywalkera.

Czuł na sobie spojrzenie Avesa, ale jeśli ten miał jakieś przemyślenia, zachował je dla siebie.

– W porządku. Do zobaczenia – rzekł i oddalił się.

Śmigacz z Calrissianem na pokładzie już wystartował i skierował się tam, gdzie do lotu szykował się „Sokół Millennium”. Solo i Skywalker szli w stronę drugiego śmigacza. Karrde po chwili wahania ruszył ku nim.

Spotkali się po przeciwnych stronach śmigacza i spojrzeli na siebie.

– Jestem twoim dłużnikiem, Karrde – rzekł Solo.

Przemytnik pokiwał głową.

– Nadal chcesz wyciągnąć dla mnie „Eteryczny Szlak” z rąk władz?

– Obiecałem i słowa dotrzymam – rzekł Solo. – Gdzie go mam dostarczyć?

– Zostaw go na Abregado. Ktoś go odbierze – rzekł Karrde i przeniósł uwagę na Skywalkera. – Ciekawą sztuczkę nam pokazałeś. – Wskazał ruchem głowy stertę gruzów. – Nietypową, łagodnie mówiąc.

– Grunt, że zadziałała – odparł skromnie Skywalker, wzruszając ramionami.

– Nie ma co do tego dwóch zdań – zgodził się Karrde. – Uratowałeś w ten sposób życie wielu moich chłopaków.

Skywalker spojrzał mu prosto w oczy.

– Czy to oznacza, że podjąłeś decyzję?

Karrde uśmiechnął się lekko.

– Nie sądzę, bym nadal miał jeszcze wybór – powiedział i przeniósł spojrzenie na Solo. – Wyruszacie najszybciej jak się da,

jak sądzę?

– Jak tylko X-wing Luke'a będzie się znowu nadawał do holowania – przytaknął Solo. – Lando jakoś się trzyma, ale będzie potrzebował specjalistycznej opieki lekarskiej, której na „Sokole", niestety, nie ma.

– Mogło być gorzej – stwierdził Karrde.

– O wiele gorzej. – Solo spojrzał na niego znacząco, a jego głos stwardniał.

– Wszystko to mogło się zakończyć źle – przypomniał mu Karrde. W jego głosie pojawiła się ostrzegawcza nuta. Wszak bez większego trudu mógł wydać całą ich trójkę delegacji Imperium.

Solo zrozumiał, o co chodzi przemytnikowi.

– Taa… – przyznał. – Cóż, to na razie.

Karrde patrzył, jak wsiadają do śmigacza.

– I jeszcze jedno – powiedział, gdy zaczęli zakładać pasy. – Bez wątpienia będziemy musieli się stąd wydostać, zanim Imperium domyśli się, do czego tu doszło. Zależy nam na pośpiechu, co oznacza, że przyda się kilka dodatkowych ładowni. Nie macie przypadkiem jakichś zbędnych statków transportowych czy zdemobilizowanych okrętów wojennych, z których mógłbym skorzystać, co?

Solo obrzucił go dziwnym spojrzeniem.

– Nie mamy odpowiedniej liczby transportowców, by zapewnić gospodarce Nowej Republiki normalne działanie – rzekł. – Wydaje mi się, że chyba coś ci o tym wspominałem.

– No to może coś wynajmę? – naciskał Karrde. – Zdemobilizowany gwiezdny krążownik kalamariański byłby w sam raz.

– Jasne – odparł Solo, nie kryjąc sarkazmu. – Zobaczę, co da się zrobić.

Z tymi słowami opuścił i uszczelnił owiewkę. Karrde cofnął się, a śmigacz uniósł się z wyciem repulsorów ku niebu. Obrócił się we właściwym kierunku i pomknął nad lasem.

Karrde patrzył, jak odlatuje, i zastanawiał się przez chwilę, czy jego ostatnia prośba nie okazała się przesadna, ale doszedł do wniosku, że nie postąpił niestosownie. Solo był człowiekiem, który

uważał długi honorowe za świętość, czego przypuszczalnie nauczył się od swojego przyjaciela Wookieego. Jeśli będzie w stanie wytrzasnąć ten krążownik, z pewnością to zrobi.

Gdy zaś tu dotrze, Karrde bez trudu wykradnie go załodze i podaruje wielkiemu admirałowi Thrawnowi. Być może załagodzi to jego gniew wywołany zdarzeniami na Myrkr.

A może nie?

Karrde spojrzał na ruiny kamiennej bramy i poczuł dreszcz. Nie, okręt wojenny w niczym mu nie pomoże. Nie w tej sytuacji. Thrawn stracił tu zbyt wiele, by po prostu machnąć ręką i przypisać wszystko kaprysom losu. Thrawn powróci tu i będzie domagał się krwi.

Być może po raz pierwszy w całym swoim życiu Karrde poczuł nieprzyjemny lęk o własny los.

Odległy już śmigacz niknął nad koronami drzew. Karrde odwrócił się i obrzucił Hyllyard City ostatnim spojrzeniem. Wiedział, że bez względu na wszystko nigdy już tego miejsca nie ujrzy.

Luke ułożył Lando w jednej z koi „Sokoła”, a Han i kilku ludzi Talona Karrde zajęło się przygotowywaniem holu dla myśliwca. Zestaw medyczny „Sokoła” należał do raczej podstawowych, ale zawierał środki do oczyszczania i opatrywania rany po postrzale z blastera. By zostać w pełni wyleczonym, Lando musiałby się zanurzyć w zbiorniku z bactą, ale na razie wydawało się, że jakoś się trzyma. Luke pozostawił C-3PO oraz R2-D2, by go pilnowali – mimo protestów samego Lando, który twierdził, że nie potrzebuje niańki, a ponadto ma już serdecznie dosyć C-3PO – po czym wrócił do kokpitu w chwili, gdy statek zaczął się wznosić.

– Wszystko gra z liną holowniczą? – spytał i opadł na fotel drugiego pilota.

– Jak dotąd tak. – Han wychylił się i rozejrzał uważnie dookoła. „Sokół” leciał nad koronami drzew. – Dodatkowy ciężar nieszczególnie nam przeszkadza, z tego, co widzę. Damy radę.

– Świetnie. Spodziewasz się towarzystwa?

– Nigdy nic nie wiadomo – rzekł Han i raz jeszcze spojrzał na niebo, po czym rozsiadł się w fotelu pilota i zwiększył moc repulsorów. – Karrde twierdzi, że nie doliczono się kilku Chariotów i skuterów zwiadowczych. Kto wie? Być może któraś z załóg uzna, że lepiej rzucić się do samobójczego ataku, niż składać meldunek wielkiemu admirałowi.

Luke wbił w niego spojrzenie.

– Wielkiemu admirałowi? – spytał ostrożnie.

Han wykrzywił usta.

– Tak. To on najwyraźniej dyryguje przedstawieniami w imieniu Imperium.

Po plecach Luke'a przebiegł zimny dreszcz.

– Ciekawe. A wydawać by się mogło, że znamy nazwiska wszystkich wielkich admirałów Imperium.

– Ja też tak sądziłem. Chyba jednego przeoczyliśmy.

Nim Han wypowiedział ostatnie słowo, Luke poczuł, jak wypełniają go siła i świadomość, zupełnie jakby się przebudził z głębokiego snu bądź wyszedł z ciemnej komnaty prosto w światło. Jakby z powrotem zrozumiał Wszechświat.

Moc do niego wróciła.

Nabrał tchu i zerknął na wysokościomierz. Jakieś dwanaście kilometrów. A więc Karrde się nie mylił. Isalamiry wzmacniały się nawzajem.

– Znasz jego imię? – odezwał się cicho.

– Karrde nie chciał się nim podzielić. – Han zerknął na Luke'a z zaciekawieniem. – Może się dowiemy, gdy dostarczymy mu ten krążownik. Nic ci nie jest?

– Nie – zapewnił go Luke. – Ja tylko… Mam wrażenie, że właśnie odzyskałem wzrok po długim okresie ślepoty.

Han parsknął cicho.

– Taa… Wiem, jak to jest – rzekł z przekąsem.

– Wcale się nie dziwię. – Luke spojrzał na niego. – Nie miałem okazji powiedzieć tego wcześniej, ale dzięki za to, że przybyliście mi na ratunek.

Han machnął ręką.

– Nie przejmuj się, faktury ci za to nie wystawię. Ja też nie miałem okazji powiedzieć wcześniej paru rzeczy, jak choćby tego, że wyglądasz, jakby ci proom usiadł na twarzy.

– Ach, to mój cudowny kamuflaż. – Luke dotknął ostrożnie policzków. – Mara twierdzi, że opuchlizna zniknie za kilka godzin.

– Mara, właśnie – podchwycił Han. – Miałem wrażenie, że dobrze się dogadujecie. Aż za dobrze…

– Zapomnij o tym – odparł Luke z grymasem. – Tak się złożyło, że przez jakiś czas mieliśmy wspólnego wroga. Najpierw puszczę, a po niej Imperium.

Wyczuł, że Han zastanawia się, jak sformułować kolejne pytanie, i postanowił oszczędzić mu kłopotu.

– Ona chce mnie zabić – rzekł.

– A wiesz może dlaczego?

Luke otworzył usta, ale, ku swojemu zdziwieniu, natychmiast je zamknął. Nie znajdował żadnego powodu, dla którego miałby nie opowiedzieć Hanowi o przeszłości Mary. Nie przychodziło mu nic do głowy, a mimo to poczuł dziwną niechęć, by wciągnąć go w tę historię.

– To osobista sprawa – uciął.

Han spojrzał na niego ze zdziwieniem.

– Osobista? Ktoś wyznaczył nagrodę za twoją głowę, a ty to zbywasz takim frazesem?

– Nikt nie chce nagrody – bąknął Luke. – To… Cóż, naprawdę osobista sprawa.

Han wpatrywał się w niego jeszcze przez chwilę, po czym skupił uwagę na sterach.

– Jasne – rzucił pod nosem.

„Sokół” przebijał się już przez atmosferę i gnał ku przestrzeni kosmicznej. Luke odwrócił się, by spojrzeć na las, i doszedł do wniosku, że wygląda on teraz dość przyjemnie.

– Wiesz co? Nagle uświadomiłem sobie, że nigdy nie poznałem nazwy tej planety – powiedział.

– To Myrkr – odparł Han. – Czego zresztą dowiedziałem się dopiero dziś rano. Myślę, że Karrde postanowił porzucić to miejsce jeszcze przed starciem ze szturmowcami, bo gdy przybyłem tu

z Lando, zarówno planeta, jak i jej nazwa objęte były ścisłą tajemnicą.

Kilka minut później zamigotała kontrolka, oznaczająca, że „Sokół" znalazł się na tyle daleko od pola grawitacji planety, że można było uruchomić hipernapęd.

– Dobra. – Han skinął głową. – Kurs już wprowadzony. Zjeżdżamy stąd.

Położył dłonie na odpowiednich dźwigniach i przesunął je zdecydowanym ruchem. Wokół nich zamigotały rozciągnięte gwiazdy i w okamgnieniu znaleźli się w drodze.

– Dokąd zmierzamy? – spytał Luke, gdy mknący przez nadprzestrzeń statek otoczyła plątanina jasnych linii. – Na Coruscant?

– Najpierw musimy się jeszcze gdzieś zatrzymać – rzekł Han. – Chcę przelecieć przez Sluis Van. Sprawdzę, czy da się naprawić twojego X-winga i połatać Lando.

Luke spojrzał na niego z ukosa.

– I może wykombinować jakiś gwiezdny krążownik dla Karrde?

– Może – rzekł Han nieco obronnym tonem. – Wiesz, Ackbar zdemobilizował trochę okrętów wojennych, które już wożą towary do sektora Sluis. Nie będzie chyba problemu z pożyczeniem jednego z nich na parę dni, co?

– Pewnie nie – przyznał z westchnieniem Luke. Nagle zrozumiał, jak dobrze jest usiąść wygodnie i choć przez chwilę nic nie robić. – Myślę, że na Coruscant obejdą się bez nas jeszcze przez kilka dni.

– Mam nadzieję – odparł Han, którego głos nagle zabrzmiał ponuro i poważnie. – Ale powoli zanosi się tam na coś dużego, o ile już do tego nie doszło.

Sens tych słów był równie złowieszczy, jak one same.

– Może więc podarujmy sobie postój na Sluis Van? – zaproponował Luke, zwalczywszy dreszcz. – Lando, co prawda, cierpi, ale jego życiu nie zagraża niebezpieczeństwo.

Han pokręcił głową.

– Nie. Chcę, by znalazł się pod dobrą opieką. Ty też musisz trochę odpocząć, młody – dodał, zerknąwszy na Luke'a. – Miej na uwadze, że z chwilą, kiedy dotrzemy na Coruscant, będziemy mieli pełne

ręce roboty. Naciesz się więc Sluis Van, bo o spokoju przez jakiś czas będziesz mógł już tylko pomarzyć.

W czerni przestrzeni kosmicznej, w odległości trzech tysięcznych roku świetlnego od Sluis Van, zbierała się grupa uderzeniowa.

– Właśnie zgłosił się „Judicator", kapitanie – odezwał się oficer łączności. – Potwierdzają gotowość bojową i pytają o aktualizację rozkazów.

– Przekaż kapitanowi Brandei, że nie ma żadnych zmian – poinformował go Pellaeon.

Stał przy prawoburtowych iluminatorach i spoglądał na niewyraźne kształty gromadzące się wokół „Chimaery". Rozpoznawał jedynie najbliższe, tożsamości reszty domyślał się tylko dzięki światłom pozycyjnym. Zgromadzili doprawdy imponującą siłę uderzeniową, jak za dawnych czasów: pięć gwiezdnych niszczycieli, dwanaście krążowników typu Strike, dwadzieścia dwa starsze lekkie krążowniki typu Carrack oraz trzydzieści pełnych eskadr myśliwców TIE w hangarach pokładowych, gotowych do akcji.

A w samym środku tej złowieszczej, budzącej grozę flotylli, niczym doprawdy kiepski dowcip, znajdował się sterany, rozklekotany frachtowiec typu A.

Klucz powodzenia całej operacji.

– Jaki status, kapitanie? – Pellaeon usłyszał za sobą cichy głos wielkiego admirała.

Odwrócił się ku niemu.

– Wszystkie jednostki na wyznaczonych pozycjach – zameldował. – Urządzenie maskujące na frachtowcu sprawdzone i naładowane, myśliwce obsadzone ludźmi i gotowe do akcji. Myślę, że możemy zaczynać.

Thrawn skinął głową. Jego czerwone, jarzące się oczy omiotły mozaikę świateł pozycyjnych.

– Doskonale – mruknął. – Czy są wieści z Myrkr?

Pytanie całkiem zaskoczyło Pellaeona. Nie wracał myślą do Myrkr od kilku dni.

– Nie wiem, admirale – przyznał i spojrzał nad ramieniem Thrawna na oficera łączności. – Poruczniku, poproszę o wywołanie raportu desantu wysłanego na Myrkr.

Łącznościowiec już wywoływał właściwy meldunek.

– To rutynowy raport, sir – oznajmił. – Wysłany… czternaście godzin i dziesięć minut temu.

Thrawn odwrócił się ku niemu.

– Czternaście godzin? – powtórzył. Jego głos nagle stał się bardzo złowieszczo cichy. – Pozostawiłem dyspozycje, by składano mi meldunek co dwanaście godzin.

– Tak jest, admirale – rzekł oficer łączności, który wyglądał już na odrobinę zdenerwowanego. – Pański rozkaz został wprowadzony do systemu. Widzę go tutaj. Zapewne…

Urwał i spojrzał bezradnie na Pellaeona.

„Zapewne zapomniano mu o wszystkim zameldować” – dokończył w myślach Pellaeon, ale natychmiast uznał wniosek za niedorzeczny. Przecież szturmowcy nie zapominają o takich rzeczach. Nigdy.

– Może mają jakiś problem z nadajnikiem? – zaproponował z wahaniem.

Przez kilka uderzeń serca Thrawn stał w milczeniu.

– Nie – rzekł w końcu. – Zostali zniszczeni. Skywalker rzeczywiście się tam zjawił.

– Naprawdę trudno mi w to uwierzyć, sir – zawahał się Pellaeon, kręcąc głową. – Przecież jeden Luke Skywalker nie zniszczył całego oddziału desantowego. Isalamiry blokują jego moce!

Thrawn obrócił spojrzenie jarzących się oczu na Pellaeona.

– Zgadzam się – oznajmił chłodnym głosem. – Oczywiście, że otrzymał pomoc.

Pellaeon zmusił się, by spojrzeć mu w oczy.

– Karrde?

– A któż by inny? To tyle, jeśli chodzi o jego zapewnienia co do własnej neutralności.

Pellaeon spojrzał na ekran przedstawiający status eskadry.

– Myślę, że powinniśmy wysłać jakąś jednostkę, by przeprowadziła dochodzenie. Przypuszczalnie możemy się obyć bez

jakiegoś krążownika, a może nawet bez „Stormhawka”?

Thrawn wziął głęboki oddech i powoli wypuścił powietrze z płuc.

– Nie – rzekł. Jego głos znów był spokojny i opanowany. – W tej chwili operacja w systemie Sluis Van ma najwyższy priorytet, a jak sam pan wie, obecność bądź brak jednego okrętu czasem może przesądzić o wyniku bitwy. Zdradą Karrde zajmiemy się kiedy indziej.

Odwrócił się do oficera łączności.

– Proszę poinformować frachtowiec, by uruchomili generator pola maskującego.

– Tak jest, sir.

Pellaeon znów zwrócił się w stronę iluminatora. Frachtowiec, skąpany w blasku świateł „Chimaery”, wyglądał niepozornie i niewinnie.

– Kamuflaż aktywowany – zameldował oficer.

Thrawn pokiwał głową.

– Niech ruszają.

– Tak jest, sir.

Frachtowiec powoli, wręcz ociężale wysunął się przed „Chimaerę”, skierował ku odległemu słońcu systemu Sluis Van i przeskoczył w nadprzestrzeń.

– Rozpocząć odliczanie czasu – rozkazał Thrawn.

– Rozpoczęte – zameldowano na mostku.

Thrawn przeniósł spojrzenie na Pellaeona.

– Czy mój okręt flagowy jest gotów, kapitanie? – zadał formalne pytanie.

– „Chimaera” jest do pańskiej dyspozycji, admirale – odparł Pellaeon równie uroczyście.

– Dobrze. Ruszamy za frachtowcem dokładnie za sześć godzin i dwadzieścia minut. Chcę, by wszystkie jednostki przeprowadziły raz jeszcze testy diagnostyczne. Proszę też, by przypomniał pan wszystkim dowódcom, że naszym zadaniem jest jedynie związanie walką i zduszenie systemu obronnego przeciwnika. Nie życzę sobie bohaterskich popisów ani zbytecznego ryzyka. Niech to będzie jasne dla wszystkich, kapitanie. Naszym celem jest zajęcie nowych jednostek, a nie ich utrata.

– Tak jest, sir – odparł Pellaeon i ruszył w stronę stanowiska dowodzenia.

– Aha. Kapitanie?

– Tak, admirale?

Na twarzy Thrawna pojawił się uśmiech.

– Proszę przypomnieć również – dodał cicho – że nasze ostateczne zwycięstwo nad Rebelią zaczyna się tu.

Rozdział 31

Kapitan Afyon, dowodzący fregatą eskortową „Larkhess”, pokręcił głową z ledwie zamaskowaną wzgardą i spojrzał na Wedge’a z głębin swojego fotela.

– Postrzeleńcy z X-wingów – warknął. – Wy to naprawdę się ustawiliście w życiu, wiesz?

Wedge wzruszył ramionami, ze wszystkich sił próbując zignorować słowa kapitana. Nie było to łatwe, ale przez ostatnie dni nabrał sporo wprawy. Afyon opuścił Coruscant z pretensjami do całego Wszechświata i nie przestawał ich pielęgnować ani przez moment.

Ponadto wystarczył rzut oka przez iluminator na setki okrętów tłoczących się na orbicie dokowania wokół Sluis Van, by wiedzieć, skąd się brały takie nastroje.

– Cóż, my również tu utknęliśmy, kapitanie – przypomniał Afyonowi.

– Jasne – parsknął oficer. – Też mi ofiara. Od kilku dni snujecie się po moim okręcie niczym banda milionerów na wakacjach. Potem, gdy ja żyły sobie wypruwam, by przeprowadzić fregatę między frachtowcami i umieścić ją w doku zaprojektowanym dla zbieraczy złomu, wy latacie sobie przez dwie godzinki, później lądujecie i znowu się obijacie. Moim skromnym zdaniem, nie tak powinno wyglądać zarabianie na siebie.

Wedge zacisnął mocniej zęby i tylko zwiększył tempo mieszania herbaty. Wykłócanie się z oficerami wyższymi rangą, zwłaszcza tymi, którzy młodość już dawno mieli za sobą, uznawane było za spory nietakt. Przypuszczalnie po raz pierwszy, odkąd otrzymał dowództwo Eskadry Łotrów, pożałował, że nie przyjął proponowanego mu awansu. Wyższa ranga pozwoliłaby mu przynajmniej odgryźć się Afyonowi.

Uniósł filiżankę, upił ostrożnie łyk i spojrzał przez iluminator na sceny rozgrywające się dookoła nich.

„Nie – poprawił się w duchu. – Wcale nie żałuję, że pozostałem wśród pilotów. Gdybym przyjął awans, znalazłbym się prawdopodobnie w tej samej sytuacji, co Afyon. Musiałbym dowodzić okrętem wojennym zredukowanym do roli transportowca, mając piętnastu ludzi załogi zamiast dziewięćset dwudziestu".

A do tego musiałby znosić towarzystwo bandy postrzeleńców z X-winga, którzy porozsiadali się na jego mostku, popijali herbatę i twierdzili, że robią dokładnie to, co im kazano.

Zamaskował filiżanką uśmiech. Tak, na miejscu Afyona zapewne pieniłby się z wściekłości. Może powinien jednak dać się wciągnąć w kłótnię i pozwolić kapitanowi spuścić odrobinę napięcia. W końcu, jeśli wierzyć zapewnieniom kontroli orbitalnej, mieli zostać odprawieni w ciągu jakiejś godziny. Dobrze by było, by kapitan Afyon uspokoił się do tego czasu na tyle, by bezpiecznie doprowadzić fregatę na Bpfassh.

Wedge upił kolejny łyk i znów wyjrzał na zewnątrz. Na jego oczach w dalszą drogę ruszało kilka zmodernizowanych liniowców pasażerskich eskortowanych przez cztery koreliańskie korwety. Za nimi, jak mu się zdawało, sunął jeden z tych nieco jajowatych transportowców, które eskortował w szczytowym momencie wojny. Jednostce, ledwie widocznej w blasku boi wytyczającej tor orbitalny, towarzyszyły dwa B-wingi.

Na uboczu zaś wypatrzył frachtowiec typu A, który szedł równolegle do ich kursu z zamiarem rychłego dokowania.

Bez żadnej eskorty.

Wedge przyglądał się frachtowcowi, który powoli pełznął ku nim. Jego uśmiech przygasł, gdy nagle obudził się w nim instynkt bojowy.

Obrócił się na krześle, sięgnął po leżącą obok niego konsolę i wywołał odczyt z sensorów.

Jednostka wyglądała niewinnie. Był to starszy frachtowiec, przypuszczalnie podróbka koreliańskiego modelu Action IV. Stan jego kadłuba dało się wytłumaczyć albo wieloma laty ciężkiej, uczciwej pracy w przestrzeni kosmicznej, albo krótkim, pechowym pirackim epizodem. Według raportów ładownie były puste, a sensory „Larkhess" nie wychwytywały żadnego uzbrojenia.

Całkowicie pusty frachtowiec.

„Kiedy po raz ostatni widziałem transportowiec z pustymi ładowniami?” – pomyślał.

– Jakiś problem?

Wedge spojrzał na kapitana z lekkim zdumieniem. Jego gniew oraz frustracja sprzed paru minut całkowicie znikły, a zastąpił je spokój, czujność i gotowość do działania.

„Być może najlepsze lata Afyona jeszcze nie minęły” – przeszło mu przez głowę.

– Proszę spojrzeć na ten nadciągający frachtowiec – powiedział, odstawiając filiżankę i uruchamiając kanał komunikacyjny. – Coś mi w nim nie gra.

Kapitan spojrzał przez iluminator, a potem na dane z sensorów zebrane przez Wedge’a.

– Ja tu nie widzę nic podejrzanego.

– Ja też nie – musiał przyznać Wedge. – Mam tylko wrażenie… Kurde!

– Co znowu?

– Kontrola orbitalna nie daje mi dostępu – rzekł Wedge. – Twierdzą, że już mają przeciążenie na łączach komunikacyjnych.

– Ja spróbuję. – Afyon uruchomił własną konsolę.

Frachtowiec zmieniał właśnie kurs. Wykonywał powolny, ostrożny manewr, który zazwyczaj oznaczał pełen ładunek, ale jego dowódca żadnego ładunku nie zgłosił.

– Proszę – rzekł Afyon i spojrzał na Wedge’a z ponurą satysfakcją. – Udało mi się wkraść do ich komputera. Sprytna sztuczka, której się nie nauczysz, szalejąc w X-wingu. Spójrzmy… Frachtowiec nazywa się „Nartissteu” i przybywa z Nellac Kram. Zostali napadnięci przez piratów, a ich główny napęd został uszkodzony podczas walki. Musieli się pozbyć ładunku, by móc uciec. Mają nadzieję, że uda im się tu dokonać napraw, a kontrola orbitalna nakazała im przeskoczyć kolejkę.

– Myślałem, że ruch mają tu taki, że nie są w stanie robić wyjątków. – Wedge zmarszczył brwi.

Afyon wzruszył ramionami.

– Teoretycznie. W praktyce Sluissan łatwo namówić, by nagięli nieco zasady. Trzeba tylko odpowiednio sformułować prośbę.

Wedge pokiwał głową z niechęcią. Wszystko rzeczywiście brzmiało sensownie, a uszkodzony, pusty statek w zasadzie prowadziło się tak jak sprawny, ale wyładowany po brzegi. Co więcej, sensory „Larkhess" potwierdzały, że przybysz pojawił się z pustymi ładowniami.

Niemniej nie mógł pozbyć się podejrzeń.

Niespodziewanie złapał wiszący u pasa komunikator.

– Eskadra Łotrów, tu dowódca Łotrów – zawołał. – Wszyscy do maszyn!

Usłyszał potwierdzenia swoich ludzi, a gdy uniósł głowę, poczuł na sobie wzrok Afyona.

– Czyli nadal wietrzysz kłopoty? – spytał tamten cicho.

Wedge skrzywił się i raz jeszcze spojrzał przez iluminator na nieznajomy frachtowiec.

– Pewnie nie mam racji, ale nie zaszkodzi, jeśli będziemy w gotowości. Moi piloci nie mogą przecież siedzieć całymi dniami bezczynnie i popijać herbatę!

Odwrócił się i biegiem opuścił mostek.

Gdy dotarł do hangaru fregaty, pozostałych jedenastu członków Eskadry Łotrów czekało już przy swoich X-wingach. Wystartowali trzy minuty później.

W chwili, gdy opuścili fregatę i uformowali luźny szyk patrolowy, Wedge zauważył, że frachtowiec nie miał wielkiej przewagi. Co ciekawe, przesunął się wyraźnie w bok, oddalając od „Larkhess", a zbliżając do dwóch kalamariańskich krążowników, które orbitowały kilka kilometrów dalej.

– Zwiększyć dystans między myśliwcami – rozkazał Wedge, a sam ruszył na spotkanie frachtowca. – Przelecimy obok niego od niechcenia i dobrze się mu przyjrzymy.

Pozostali potwierdzili. Wedge zerknął na ekran nawigacyjny, zmodyfikował nieco prędkość, znów uniósł głowę, a wtedy…

Wystarczył jeden ułamek sekundy, by rozpętało się piekło.

Frachtowiec eksplodował. Nagle, nieoczekiwanie, bez żadnego ostrzeżenia ze strony sensorów czy jakiegokolwiek sygnału

zauważalnego gołym okiem, po prostu się rozpadł.

Wedge odruchowo uruchomił kanał łączności.

– Sytuacja awaryjna! – warknął. – Eksplozja statku niedaleko doku orbitalnego V-475. Przyślijcie drużyny ratunkowe!

Przez chwilę widział tylko szczątki frachtowca rozchodzące się na wszystkie strony, ale po chwili z zaskoczeniem uświadomił sobie, że widzi wnętrze rozerwanego, zniszczonego statku, ale nie widzi niczego za nim!

Ładownie nie były jednak puste.

Jeden z jego pilotów sapnął wyraźnie zaskoczony. Wnętrze frachtowca wypełniała po brzegi ciemna masa, niewidoczna dla sensorów „Larkhess", która rozchodziła się niczym kopnięte gniazdo szerszeni w ślad za elementami kadłuba.

Masa, która kilka sekund później okazała się rojem myśliwców TIE.

– W górę! – warknął Wedge i pchnął orczyk, by ostrym manewrem zejść z drogi nadciągającej fali szczątków. – Zawracamy i odtwarzamy szyk! Rozsunąć skrzydła.

Pozostałe X-wingi pomknęły za Wedgem, a on sam z narastającym napięciem uświadomił sobie, że kapitan Afyon jednak się pomylił. Eskadra Łotrów będzie musiał się dziś mocno napracować.

Rozpoczęła się bitwa o Sluis Van.

Przebyli zewnętrzny system obronny i pokonali masę biurokracji, która obecnie wydawała się dla kontroli orbitalnej największą świętością. Han już brał kurs na wskazany przesmyk, kiedy na kanale komunikacyjnym ogłoszono alarm.

– Luke! – krzyknął w stronę korytarza. – Doszło do eksplozji jakiegoś frachtowca. Rzućmy na to okiem!

Zerknął na mapę doków orbitalnych, by zlokalizować V-475, i naparł lekko na stery, by znaleźć się na właściwym kursie.

I o mało nie spadł z fotela, gdy w rufę „Sokoła" trafiła wiązka laserowa.

Błyskawicznie zwiększył moc i wykonał serię uników, ale wtedy drugi strzał z sykiem przebił kokpit. W ryku silników usłyszał krzyk

zaskoczonego Luke'a, a potem zdołał zejść z drogi kolejnemu laserowi. Wtedy wreszcie mógł spojrzeć na ekrany rufowych sensorów, by się przekonać, co się właściwie dzieje.

I natychmiast tego pożałował. Tuż za nimi wisiał imperialny gwiezdny niszczyciel, którego baterie już związały ogniem jedną ze stacji bojowych na perymetrze Sluis Van.

Zaklął pod nosem i zwiększył moc silników. Luke nie bez trudności dotarł na fotel drugiego pilota.

– Co tu się wyrabia?

– Trafiliśmy w sam środek ataku Imperium – warknął Han, gorączkowo omiatając wzrokiem poszczególne ekrany. – Za nami niszczyciel, na prawej burcie kolejny, a to chyba nie wszystko!

– Zamknęli cały system! – Głos Luke'a był lodowato spokojny.

„Co się stało z tym roztrzęsionym dzieciakiem, którego tyle lat temu wyciągnąłem z Tatooine pod ostrzałem gwiezdnego niszczyciela?" – pomyślał Han.

– Moim zdaniem, niszczycieli jest pięć, a do tego ponad dwadzieścia mniejszych jednostek – dodał Luke.

– Przynajmniej już wiemy, dlaczego wcześniej zaatakowali Bpfassh i inne planety – burknął Han. – Chcieli ściągnąć tu jak najwięcej jednostek, by kolejnym atakiem doprowadzić do jak największych zniszczeń.

W tej samej sekundzie niespodziewanie znów ożył awaryjny kanał komunikacyjny.

– Alarm! Imperialne myśliwce TIE na orbicie dokowej! Wszystkie okręty, ogłaszam gotowość bojową!

Luke aż podskoczył.

– To chyba był Wedge! – zawołał i przełączył na transmisję. – Wedge? To ty?

– Luke? – odparł tamten. – Mamy tu spore kłopoty! Przynajmniej czterdzieści TIE i chyba pięćdziesiąt jakichś dziwnych myśliwców, które przypominają ścięte stożki. Nigdy czegoś takiego nie widzia…

Urwał, a w głośniku rozległ się cichy zgrzyt orczyka, gdy Wedge wykonywał ostry manewr.

– Mam nadzieję, że masz ze sobą kilka myśliwców – rzucił w eter. – Bo raczej czarno to widzę!

Luke zerknął na Hana.

– Obawiam się, że możesz liczyć tylko na mnie, Hana i „Sokoła”. Ale lecimy wam na odsiecz!

– Pospieszcie się!

Luke wyłączył nadajnik.

– Znasz jakiś sposób, by przerzucić mnie do mojego X-winga?

– Nie ma na to czasu! – Han pokręcił głową. – Będziemy musieli go odciąć i ruszać do walki!

Luke skinął głową i podniósł się.

– Sprawdzę, czy Lando i droidy są przypięci, a potem obsadzam wieżyczkę!

– Zajmij tę na górze! – zawołał za nim Han.

Górne pole siłowe działało teraz silniej i Luke był tam bezpieczniejszy, o ile na moment przed skokiem w gąszcz myśliwców Imperium można w ogóle mówić o bezpieczeństwie.

Han zmarszczył brwi, niespodziewanie tknięty osobliwą myślą.

„Stożki z obciętymi czubkami? Nie, nie ma mowy, by były to zaginione kretowierty Lando. Nawet wielki admirał nie byłby na tyle szalony, by wykorzystać coś takiego w bitwie”.

Han przekazał więcej mocy do przednich generatorów pola siłowego, nabrał powietrza i przyspieszył.

– Wszystkie jednostki, proszę rozpocząć atak! – zawołał Pellaeon. – Utrzymajcie pozycję i pamiętajcie o wytycznych.

Usłyszał kilka potwierdzeń, po czym odwrócił się do Thrawna.

– Wszystkie okręty weszły w kontakt z wrogiem, sir – rzekł.

Wielki admirał jednakże najwyraźniej go nie słyszał. Stał przy iluminatorze i wpatrywał się w okręty Nowej Republiki, spieszące, by stawić im czoła, i lekko zaciskał splecione z tyłu dłonie.

– Admirale? – spytał ostrożnie.

– To byli oni, kapitanie – odezwał się Thrawn głosem, w którym nie było żadnych emocji. – Ten statek przed nami. To był „Sokół Millennium” i holował za sobą X-winga.

Pellaeon zmarszczył brwi i spojrzał nad ramieniem admirała. Ledwie dostrzegał emanację silników wskazanej jednostki pośród

błyskających zewsząd laserowych strzałów. Zauważył, że obcy był już poza zasięgiem dział niszczycieli i z każdą chwilą oddalał się od nich coraz bardziej, ale nie był w stanie dojrzeć kształtu okrętu ani tym bardziej rozpoznać jego tożsamości.

– Tak jest, sir – rzekł neutralnym tonem. – Dowódca Ukrytych melduje, że eskadry myśliwców wydostały się bez trudu, a centrum dowodzenia frachtowca oddala się ku peryferiom. Natrafili na pewien opór ze strony jednostek eskortowych i eskadry X-wingów, ale jak dotąd reakcja przeciwnika jest słaba i niezdecydowana.

Thrawn nabrał powietrza i odwrócił się od okna.

– To się zmieni – rzekł do Pellaeona, już całkowicie nad sobą panując. – Proszę przypomnieć dowódcy Ukrytych, by nie zapuszczali się zbyt daleko i nie marnowali czasu na wybór celów. Niech również pamiętają, że kretowierty powinny się skupić na krążownikach kalamariańskich, bo tam przypuszczalnie znajdą najwięcej obrońców.

Czerwone oczy admirała lśniły.

– Proszę również poinformować naszych pilotów, że zmierza ku nim „Sokół Millennium".

– Tak jest, sir – odparł kapitan. Zerknął przez okno na odległy, uciekający statek. Holował X-winga?

– Nie sądzi pan chyba, że to Skywalker?

Twarz Thrawna stężała.

– Niedługo się dowiemy – powiedział cicho. – A jeśli tak jest, utnę sobie z Talonem Karrde długą pogawędkę. Bardzo długą.

– Uważaj, Łotr Pięć! – zawołał Wedge, gdy seria strzałów z tyłu poszczerbiła skrzydło jednego z X-wingów przed nimi. – Mamy ogon.

– Zauważyłem! – odparł tamten. – Oskrzydlamy?

– Na mój znak! – rzucił Wedge, gdy przemknęła nad nim kolejna salwa.

Znajdujący się dokładnie przed nimi krążownik kalamariański ociężale usuwał się ze strefy bitwy, czym zapewnił im idealną osłonę do takiego manewru. Oba myśliwce zanurkowały pod nim…

– Teraz! – Wedge naparł na orczyk i ostro skręcił w prawo. Łotr Pięć zrobił to samo, tylko w lewo. Ścigający ich TIE zawahał się, nie wiedząc, na którym przeciwniku skupić ogień. Zwrócił się ku Wedge'owi, ale w tej samej chwili zdmuchnął go Łotr Pięć.

– Niezły strzał – pochwalił go Wedge i rozejrzał się po polu walki.

Wydawało się, że TIE są wszędzie, ale przynajmniej w tej chwili żaden nie był na tyle blisko, by stanowić dla nich zagrożenie.

Łotr Pięć też to zauważył.

– Chyba zabłądziliśmy, dowódco! – stwierdził.

– To akurat łatwo da się naprawić – odparł Wedge.

Rozpędzony, oddalał się od krążownika, za którym się schronili. Skierował się ku górze i okrążył kalamariańską jednostkę, by powrócić do bitwy. Przelatywał właśnie nad krążownikiem, gdy zauważył niewielki, stożkowaty kształt przytwierdzony do jej kadłuba.

Przechylił głowę, by przyjrzeć się lepiej. Bez wątpienia był to jeden z tych dziwacznych statków, które wraz z myśliwcami TIE wystrzeliły z pękającego kadłuba frachtowca. Przylgnął na wysokości mostka, zupełnie jakby został do niego przyspawany.

Nieopodal toczyła się bitwa, w której walczyli i przypuszczalnie ginęli jego ludzie. Coś jednak podpowiedziało Wedge'owi, że to, co właśnie odkrył, może być ważne.

– Poczekaj no! – rzucił do Łotra Pięć. – Chcę się temu przyjrzeć.

Był już na wysokości dziobu krążownika. Wykonał więc pętlę, by zawrócić, gdy niespodziewanie wokół jego kabiny zajaśniały wiązki z dział laserowych. X-wing szarpnął i zadygotał niczym przerażone zwierzę.

Krążownik kalamariański otworzył do niego ogień.

Łotr Pięć krzyczał coś do niego.

– Nie podlatuj! – warknął Wedge, desperacko próbując zaradzić gwałtownemu spadkowi mocy. Rozejrzał się po ekranach. – Trafili mnie, ale nie jest źle.

– Oni otworzyli do ciebie ogień!

– Tak, wiem – warknął Wedge, próbując nadal wykonywać uniki, choć przychodziło mu to z coraz większym trudem. Na szczęście systemy zaczynały już wracać do życia, w miarę jak jego droid

pospiesznie zmieniał ich organizację. Z ulgą zauważył też, że krążownik nie otwierał już ognia.

To dlaczego w ogóle rozpoczął ostrzał?

„Przecież oni chyba nie…” – pomyślał, ale urwał.

Jego droid był nazbyt pochłonięty naprawami, by zająć się czymkolwiek innym.

– Łotr Pięć, potrzeba mi szybkiego skanu sensorycznego! – zawołał. – Gdzie jest reszta tych stożków?

– Powoli, już sprawdzam – odparł partner. – Według odczytu… Widzę ich tylko piętnaście. Najbliższy jest w odległości dziesięciu kilometrów, idzie kursem jeden-jeden-osiem na cztery!

Wedge poczuł, jak w jego sercu rozlewa się zimno. Piętnaście z około pięćdziesięciu, które wystrzeliły z frachtowca razem z TIE. Co się więc stało z całą resztą?

– Przyjrzyjmy mu się! – odezwał się i zaprogramował kurs na przechwycenie.

Widział już, że stożek zmierza prosto na fregatę eskortową, identyczną z „Larkhess”. Eskortowały go cztery myśliwce TIE, choć było to w zasadzie zbyteczne – jeśli fregatę obsadzała równie skąpa załoga jak samą „Larkhess”, nie miała szans stawić oporu.

– Może uda nam się ich zdjąć, zanim nas zauważą! – powiedział do Łotra Pięć, pędząc prosto na wrogą formację.

Cztery myśliwce imperialne niespodziewanie zmieniły kurs i skręciły ku nim.

„To tyle, jeśli chodzi o zaskoczenie” – pomyślał Wedge.

– Bierz tych po prawej, Łotr Pięć! Ja zajmę się tymi po lewej!

– Przyjąłem.

Wedge zaczekał do ostatniego możliwego momentu. Dopiero wtedy otworzył ogień do pierwszego TIE-a i błyskawicznie skręcił, by uniknąć kolizji z drugim. Ten przemknął pod nim, a X-wing zadygotał, gdy otrzymał kolejne trafienie. Wedge skręcił ostro i kątem oka dostrzegł myśliwca TIE, który już wychodził na jego ogon…

Wtedy coś przemknęło obok niego, plując ogniem laserowym, po czym wykonało szaloną pętlę przywodzącą na myśl pijacki manewr obronny. Trafiony bezpośrednio TIE zamienił się w chmurę gazów.

Wedge zakończył pętlę i zauważył, że drugi cel Łotra Pięć również wybucha.

– Czysto, Wedge! – zawołał znajomy głos. – Oberwałeś?

– Wszystko gra, Luke! – zapewnił go Wedge. – Dzięki!

– Patrzcie, tam leci! – wtrącił się Han. – W kierunku tej fregaty! To jeden z kretowiertów Lando!

– Widzę! – potwierdził Luke. – Co ona tu robi?

– Widziałem chwilę temu, jak inna przylgnęła do kadłuba krążownika! – zawołał Wedge i wziął kurs na fregatę. – Ta tu chyba próbuje tej samej sztuczki. Nie wiem tylko po co.

– To już nie ma znaczenia! – stwierdził Han. – Trzeba ją zatrzymać.

– Zgoda!

Kretowiert był jednakże zbyt blisko, by mieli szansę ją dogonić. Na oczach Wedge'a obróciła się spodem ku fregacie i przyssała się do jej kadłuba. Nim przylgnęła do niego całkowicie, Wedge zdążył zauważyć pod spodem oślepiająco jasne światło.

– A co to było? – spytał Luke, który zauważył to samo.

– Pojęcia nie mam! – Wedge zamrugał oczami, próbując się pozbyć powidoku. – Zbyt jasne jak na laser!

– Strumień plazmowy! – burknął Han, zrównawszy się z X-wingiem. – A przylgnęła prosto do włazu ewakuacyjnego mostka. A więc już wiadomo, po co kradli te kretowierty! Wykorzystują je, by przepalić kadłuby…

Urwał i zaklął.

– Luke, pomyliliśmy się! Oni nie przybyli, by zniszczyć naszą flotę! Oni chcą ją ukraść!

***

Przez kilka sekund Luke wpatrywał się we fregatę, aż nagle wszystkie elementy układanki wpadły na swoje miejsca. Kretowierty, zdemobilizowane okręty wojenne ze szkieletowymi załogami, które Nowa Republika musiała przeznaczyć do służby transportowej, flota imperialna, która czekała na zewnątrz układu i nie próbowała nawet sforsować jego systemu obronnego…

I krążownik gwiezdny Nowej Republiki z kretowiertem na kadłubie, który otworzył ogień do myśliwca Wedge'a.

Rozejrzał się po niebie. Kilka, kilkanaście przejętych okrętów Nowej Republiki, poruszając się zwodniczo powoli, wycofywało się w stronę przestrzeni kosmicznej.

– Trzeba ich powstrzymać! – powiedział reszcie.

– Świetnie – zgodził się Han. – Tylko jak?

– Czy istnieje jakikolwiek sposób, byśmy sami dostali się na pokłady uprowadzonych jednostek? – spytał Luke. – Lando mówił, że jego kretowierty mają dwuosobowe załogi. Nie sądzę, by Imperium zdołało wepchnąć do każdej z nich więcej niż czterech, pięciu szturmowców.

– Wystarczy czterech, by rozprawić się ze szkieletową załogą – zauważył Wedge.

– Dam sobie radę z czterema! – rzucił Luke.

– Na pięćdziesięciu okrętach? – zauważył Han. – Poza tym włazy awaryjne otwierają się prosto na próżnię. Po wejściu do środka będziesz musiał pokonywać kolejno śluzy ciśnieniowe. Minie mnóstwo czasu, nim dostaniesz się na mostek.

Luke zacisnął zęby. Han miał rację.

– A więc trzeba je powstrzymać w inny sposób! – oznajmił. – Należy rozwalić im silniki, mechanizmy sterujące czy coś w tym stylu. Jeśli dotrą na perymetr bądź w pobliże tych gwiezdnych niszczycieli, nigdy ich już nie zobaczymy.

– Och, i tu się mylisz – warknął Han. – Zobaczymy je, gdy otworzą do nas ogień! Masz rację! Trzeba wyłączyć z akcji tyle, ile się da, ale całej pięćdziesiątki nie ocalimy.

– Nie ma ich aż tylu! Przynajmniej na razie! – wtrącił Wedge. – Dwanaście spośród nich jak na razie nie przyczepiło się do niczego!

– Dobra! – zawołał Han. – Rozwalmy te w pierwszej kolejności! Masz ich kursy?

– Przesyłam na wasz komputer.

– Super. Do roboty!

„Sokół" wykonał ostry skręt i pomknął w nowym kierunku.

– Luke, łap za komunikator i przekaż kontroli orbitalnej, co tu się wyprawa – dodał Solo. – Powiedz, żeby nie wypuszczali kolejnych

jednostek z orbity dokowania!

– Się robi! – Luke przełączył kanały, ale wtedy niespodziewanie zdał sobie sprawę z tego, że w atmosferze kokpitu „Sokoła” zaszła jakaś subtelna zmiana. – Han? Wszystko w porządku?

– Co? Jasne. A o co chodzi?

– Nie wiem. Wyczuwam jakąś zmianę. Chyba w tobie.

– Bo przed chwilą coś mi przyszło do głowy – odparł Han. – Ale dałem sobie z tym spokój. Dobra, łącz się z kontrolą, a potem siadaj do działek!

Rozmowa z kontrolą dobiegła końca, zanim „Sokół” namierzył pierwszy kretowiert.

– Dziękują nam za informację – Skywalker przekazał reszcie – ale mówią, że nie mają nic, czym mogliby nas wesprzeć.

– Bo pewnie rzeczywiście nie mają – zgodził się Han. – Dobra, widzę dwa myśliwce TIE lecące w osłonie. Wedge, ty i Łotr Pięć zajmijcie się nimi. My z Lukiem rozwalimy kretowiert.

– Rozkaz – potwierdził Wedge.

Oba X-wingi przeleciały nad wieżyczką Luke’a i pomknęły na boki kursem na przechwycenie. Oba TIE-e zakręciły i runęły im na spotkanie.

– Luke, postaraj się go rozwalić na kawałki, a nie w pył – zaproponował Han. – Zobaczmy, ilu ludzi Imperium upchnęło w środku.

– Kapuję! – zawołał Luke.

Miał już kretowiert na celowniku. Zmniejszył moc działek i otworzył ogień.

Trafiony przez niego fragment kadłuba zamienił się w rozjarzony gaz, ale poza tym kretowiert wydawał się nietknięty. Nadal zmierzał tym samym kursem i Luke przygotował się już do kolejnego strzału, gdy zaczął się otwierać właz na szczycie stożka.

Przez otwór wypełzła monstrualna postać przypominająca na pierwszy rzut oka robota.

– Co to…

– Szturmowiec z desantu próżniowego! – warknął Han. – Widzisz ten skafander? Trzymaj się!

Obrócił „Sokoła”, by oddalić się od szturmowca, ale wtedy z plecaka żołnierza wystrzelił płomień i kadłubem statku wstrząsnęło potężne uderzenie. Han wykonał beczkę i Luke stracił szturmowca z oczu, po czym wstrząs się powtórzył.

Oddalali się, ale powoli, przerażająco wprost powoli. Luke przełknął ślinę i zadał sobie w myślach pytanie, jakie uszkodzenia właśnie odnieśli.

– Han, Luke, wszystko gra? – zawołał Wedge z niepokojem.

– Tak, na razie tak! – odparł Han. – Dorwaliście te myśliwce?

– Tak, ale kretowiert chyba nadal leci na swoim kursie!

– Dobra, zajmijcie się nim! – rzucił Han. – Nie ma co się bawić w finezję. Rozwalcie go, i tyle, ale uwaga na tego szturmowca w skafandrze! Strzela chyba jakimiś miniaturowymi torpedami protonowymi czy czymś w tym stylu. Próbuję go odciągnąć, ale nie wiem, czy da się nabrać.

– Raczej na to nie licz! – odparł ponuro Wedge. – Nadal siedzi na kretowiercie. Kieruje się prosto na ten pasażerski liniowiec! I chyba da radę!

Han zaklął pod nosem.

– Czyli pewnie ma w środku kilku kolegów już bez skafandrów kosmicznych. Dobra, pora na bardziej brutalne rozwiązanie. Trzymaj się, Luke. Staranujemy go!

– Co?

Protesty Luke’a zagłuszył ryk silników, gdy Han pchnął „Sokoła” naprzód, a potem wykonał ciasny skręt. Oczom Skywalkera ukazał się kretowiert oraz szturmowiec w skafandrze…

Wedge się pomylił. Szturmowiec nie siedział na uszkodzonym kretowiercie, ale właśnie się z niego ześlizgiwał. Nieprzyjemnie wyglądające wybrzuszenie za jego plecami parokrotnie rozjarzyło się ponownie, a kilka sekund później kadłubem „Sokoła” wstrząsnęły uderzenia torped protonowych.

– Uwaga! – wrzasnął Han.

Luke przygotował się na najgorsze, próbując nie myśleć o tym, co by się stało, gdyby któraś z tych torped uderzyła w jego wieżyczkę. Odrzucił również wątpliwość, czy Han zdoła staranować

szturmowca i jednocześnie uniknąć zderzenia z liniowcem, który był coraz bliżej.

„Sokół”, ignorując wstrząsy, nabierał prędkości.

I wtedy Han, bez ostrzeżenia, zanurkował pod wypuszczanymi przez szturmowca torpedami.

– Teraz, Wedge!

Luke dostrzegł szarżującego X-winga, który znów przemknął nad jego głową i otworzył ogień z działek laserowych.

Kretowiert zmienił się w chmurę płonącego pyłu.

– Dobry strzał – skwitował Han z satysfakcją. Pchnął ster i przemknął pod liniowcem, o mało nie zrywając przy tym głównej czaszy sensorycznej „Sokoła”. – Proszę bardzo, ty baranie w kosmicznym skafandrze! Miłych wrażeń życzę!

Luke wtedy zrozumiał, na czym polegał fortel Hana.

– Ci szturmowcy słuchali naszych rozmów! – oznajmił. – Chciałeś go skłonić, by oddalił się od kretowiertu!

– Właśnie tak – rzekł Han. – Domyśliłem się, że włamie się na nasz kanał. Imperium zawsze tak robi, gdy mają ku temu…

Urwał na moment.

– Co się dzieje? – spytał Luke.

– Nie wiem – odparł powoli Han. – Coś mi tu nie pasuje. Mam wrażenie, że umyka mi jakiś szczegół, ale nie potrafię powiedzieć, co konkretnie. Dobra, mniejsza z tym. Musimy pożegnać się z naszym przyjacielem w kosmicznym skafandrze. Pora rozwalić jeszcze kilka kretowiertów!

„Może i dobrze – pomyślał Pellaeon – że naszym zadaniem jest tylko związanie wroga walką. Sluissanie oraz ich sojusznicy z Nowej Republiki stawiają coraz bardziej zacięty opór”.

Na ekranie przedstawiającym status niszczyciela część pola ochronnego „Chimaery” zajaśniała na czerwono.

– Przekazać rezerwową moc na prawoburtową osłonę – nakazał i spojrzał w tym kierunku. Dostrzegł pół tuzina okrętów wojennych, które prowadziły wściekły ostrzał. Wspierała ich znajdująca się za

nimi stacja bojowa. Skoro sensory wskazywały, że prawoburtowe pole siłowe „Chimaery” zaczynało słabnąć…

– Prawoburtowe turbolasery, skupić ogień na fregacie uderzeniowej na pozycji trzydzieści-dwa na czterdzieści – mówił ze spokojem Thrawn. – Skoncentrujcie ostrzał jedynie na prawej burcie celu.

Załogi dział błyskawicznie zareagowały na ostrzał i baterie turbolaserów plunęły zmasowanym ogniem. Fregata przeciwnika próbowała wykonać zwrot, ale wtedy jej burta rozjarzyła się, gdy celne strzały zamieniały metal w parę. Jej baterie, które dotychczas ani razu nie zamilkły, nagle przestały strzelać.

– Doskonale – rzekł Thrawn. – Komunikat do prawoburtowych generatorów wiązek ściągających! Proszę namierzyć fregatę i przyciągnąć ją do burty „Chimaery” tak, by zasłoniła uszkodzone pole siłowe przed wrogim ostrzałem. Pilnujcie też, by się obróciła. Działa na lewej burcie z pewnością nadal są sprawne.

Fregata przeciwnika zaczęła się przybliżać, ewidentnie wbrew woli swojej załogi. Pellaeon przyglądał się jej przez moment, po czym znów skupił się na trwającym starciu. Nie miał wątpliwości, że obsługa wiązek znakomicie wypełni swój obowiązek, gdyż ostatnimi czasy ich skuteczność wzrosła imponująco.

– Eskadra Czwarta, związać walką te B-wingi! – rozkazał. – Lewoburtowe działa jonowe, kontynuujcie ostrzał tego centrum dowodzenia.

Spojrzał na Thrawna.

– Jakieś konkretne rozkazy, sir?

Thrawn pokręcił głową.

– Nie. Bitwa rozgrywa się zgodnie z założonym planem – rzekł i przeniósł spojrzenie płonących oczu na Pellaeona. – Czy są jakieś meldunki od dowódcy Ukrytych?

Pellaeon spojrzał na odpowiedni ekran.

– Nasze myśliwce nadal wiążą walką rozmaite okręty eskortowe – zameldował. – Czterdzieści trzy kretowierty z powodzeniem wczepiły się w wybrane przez siebie jednostki. Trzydzieści dziewięć zostało przejętych i zmierza już w stronę perymetru. Na czterech

wciąż toczy się walka, choć załogi abordażowe nie przewidują dłuższego oporu.

– A pozostałych osiem?

– Zostały zniszczone – odparł Pellaeon. – W tym dwie ze szturmowcami desantu próżniowego na pokładzie. Jeden z nich nie odpowiada na komunikaty, co oznacza, że przypuszczalnie zginął wraz z całą załogą. Z drugim nadal jesteśmy w kontakcie. Dowódca Ukrytych kazał mu dołączyć do ataku na jednostki eskortowe.

– Proszę anulować ten rozkaz – rzekł Thrawn. – Jestem przekonany, że szturmowcy mają bezgraniczną wiarę w swoje umiejętności i męstwo, ale skafandry kosmiczne nie zostały zaprojektowane po to, by brać udział w bitwach. Niech dowódca Ukrytych wyśle po niego myśliwca TIE. Przekaż mu również, że jego skrzydło ma zacząć wycofywać się na perymetr.

– Teraz, sir? – Pellaeon zmarszczył brwi.

– Oczywiście, że teraz. – Thrawn skinął głową w stronę okna. – Pierwsze spośród naszych nowych okrętów zaczną przybywać za jakieś piętnaście minut, a gdy wszystkie znajdą się tutaj, grupa uderzeniowa rozpocznie odwrót.

– Ale…

– Siły Rebeliantów w obrębie perymetru nie są dla nas zmartwieniem, kapitanie – rzekł Thrawn z cichą satysfakcją. – Przejęte jednostki już tu zmierzają. Bez względu na to, czy zapewnimy im osłonę myśliwców, czy też nie, Rebelia nie zdoła już ich zatrzymać.

Han doprowadził „Sokoła” tak blisko silników fregaty, jak się odważył. Luke wciąż prowadził ostrzał z poczwórnych działek. Za każdym naciśnięciem spustu moc statku nieznacznie spadała.

– Masz coś? – zapytał, wyłaniając się po przeciwległej burcie fregaty.

– Chyba nie! – odparł Luke. – Przewody z chłodziwem są zbyt dobrze opancerzone.

Han spojrzał w kierunku, w którym zmierzała fregata, i naszła go ochota, by soczyście zakląć. Znaleźli się nieprzyjemnie blisko

perymetru i wciąż się przybliżali.

– To na nic! Przecież musi być jakiś sposób, by wyłączyć z gry dużą jednostkę!

– Na przykład waląc do niej z innej dużej jednostki – wtrącił Wedge. – Ale co racja, to racja. Nic nie działa.

Han zacisnął usta.

– Artoo? Jesteś na łączach? – zawołał.

Korytarzykiem prowadzącym do kokpitu dobiegł ledwie słyszalny świergot droida.

– Raz jeszcze przejrzyj schematy! – polecił mu Han. – Sprawdź, czy uda ci się znaleźć jakiś inny słaby punkt.

Droid potwierdził piśnięciem, ale nie zawarł w nim wiele optymizmu.

– Niczego lepszego nie znajdzie, Han – odezwał się Luke, potwierdzając tym samym wnioski, do których Solo sam zdążył dojść. – Nie sądzę, byśmy mieli wybór. Muszę się dostać na kadłub i wykorzystać miecz świetlny.

– To czyste wariactwo i sam dobrze o tym wiesz – warknął Han. – Bez odpowiedniego skafandra ciśnieniowego nie masz szans! A co będzie, jak chłodziwo na ciebie buchnie?

– To może wykorzystajmy któregoś z droidów! – zaproponował Wedge.

– Żaden nie da rady – powiedział Luke. – Artoo nie jest w stanie pochwycić broni, a Threepio nie miałbym odwagi jej wręczyć, tym bardziej że wykonujemy manewry z dużym przyspieszeniem.

– Potrzeba więc jakiegoś zdalnie sterowanego wysięgnika – rzekł Han. – Czegoś, czym Luke mógłby się posłużyć ze środka…

Urwał znów, oszołomiony nową myślą. Pomysł, który prześladował go od chwili, gdy znaleźli się w samym środku tej szalonej bitwy, wreszcie się wykrystalizował.

– Lando! – wrzasnął do interkomu. – Lando! Chodź tutaj!

– Przymocowałem go pasami do łóżka! – przypomniał mu Luke.

– To go odepnij i przyprowadź do kokpitu! – warknął Han. – I to szybko!

Luke nie marnował czasu na pytania.

– Moment!

– Co się dzieje? – spytał Wedge z napięciem.

Han zacisnął zęby.

– Byliśmy na Nkllonie, kiedy Imperium podprowadziło Calrissianowi te kretowierty! – wyjaśnił. – Musieliśmy wówczas przekierować naszą komunikację, bo byliśmy zagłuszani.

– No i co z tego?

– To z tego, że nie zastanowiłem się wówczas, po co nas zakłócają – rzekł Han. – Byśmy nie wezwali pomocy? A kto niby miałby nam pomóc? Teraz, jak sam słyszysz, zakłóceń nie ma!

– Poddaję się – odezwał się Wedge, już nieco rozdrażniony. – Czemu nie zakłócają?

– Bo wtedy musieli! Bo…

– Bo większość kretowiertów na Nkllonie była sterowana radiowo – rozległ się zmęczony głos za ich plecami.

Han odwrócił się i ujrzał Lando, który ostrożnie wchodził do kokpitu. Był bardzo osłabiony, ale w jego oczach pojawiła się determinacja. Towarzyszył mu Luke, który podtrzymywał go za łokieć.

– Słyszałeś, o czym rozmawialiśmy? – spytał Han.

– Wszystko, co miało znaczenie. – Lando opadł na fotel drugiego pilota. – Powinienem sam kopnąć się w tyłek za to, że już dawno na to nie wpadłem.

– Ja też. Pamiętasz kody kierujące?

– Większość. Czego potrzebujesz?

– Niczego szczególnego! – Han wskazał mu ruchem głowy fregatę, która znajdowała się teraz pod nimi. – Kretowierty są nadal uczepione kadłubów okrętów. Uruchom je i wpraw w ruch.

Lando spojrzał na niego z zaskoczeniem.

– Mam je wprawić w ruch? – powtórzył.

– Właśnie tak! – potwierdził Han. – Wszystkie przylgnęły niedaleko mostka bądź skrzydła kontroli. Jeśli zaczną się przemieszczać, może przepalą jakieś kluczowe elementy czy przewody.

Lando odetchnął głośno i przechylił lekko głowę. Wszyscy dobrze znali ten gest i wiedzieli, że oznacza niechętną zgodę.

– To ty jesteś tu szefem – oznajmił, a jego palce rozpoczęły bieganinę po klawiaturze komputera komunikacyjnego.

Po chwili dodał:

– Mam tylko nadzieję, że wiesz, co robisz. Gotów?

– Działaj! – rzekł Han.

Lando wprowadził ostatni element kodu, a wtedy…

Fregata pod nimi drgnęła.

Z początku były to ledwie zauważalne ruchy, ale po kilku sekundach nie było już wątpliwości, że ze statkiem coś się dzieje. Główne silniki zamigotały parokrotnie i zgasły, tymczasem pomocnicze rozjarzały się na moment i gasły. Stateczniki poruszały się przez chwilę, posyłając okręt to w jednym kierunku, to w drugim, ale ten, pchany jeszcze przez krótki czas w stronę perymetru, zwalniał stopniowo, aż się zatrzymał.

Burta przeciwna do tej, na której tkwił kretowiert, eksplodowała jasnymi płomieniami.

– Przebiła się na wylot! – sapnął Lando.

Sądząc po tonie jego głosu, trudno było ustalić, czy jest z siebie dumny, czy też przerażony swoim dziełem.

Skądś nadleciał myśliwiec TIE, być może w reakcji na sygnał alarmowy uwięzionych w środku szturmowców, i, zaskoczony rozwojem wypadków, wpadł prosto w erupcję przegrzanej plazmy. Pojawił się po drugiej stronie fregaty, ale już z płonącymi panelami słonecznymi. Eksplodował kilka uderzeń serca później.

– Działa – oznajmił Wedge z podziwem i grozą. – Patrzcie! To naprawdę działa!

Han oderwał wzrok od fregaty. Okręty, które jeszcze chwilę temu przemierzały orbitę dokującą w kierunku przestrzeni kosmicznej, skręcały teraz i wiły się niczym ogromne metalowe stworzenia pochwycone przedśmiertnymi konwulsjami.

Z burt ich wszystkich buchały strumienie ognia.

Przez długą minutę Thrawn siedział w milczeniu i wpatrywał się w ekran przedstawiający status operacji, zupełnie jakby zapomniał o szalejącej wokół nich bitwie. Pellaeon wstrzymał oddech, czekając

na nieuniknioną eksplozję gniewu. Któż bowiem byłby w stanie znieść ze spokojem tak nieoczekiwany obrót wydarzeń? Czyja duma ścierpi taką porażkę?

„Jedyne, czego nie wiem – pomyślał – to to, na kim Thrawn skupi swój gniew".

Wielki admirał naraz oderwał wzrok do iluminatora.

– Czy wszystkie myśliwce TIE należące do formacji Ukrytych powróciły na nasze okręty, kapitanie? – spytał ze spokojem.

– Tak, sir – rzekł Pellaeon, nadal czekając.

Thrawn skinął głową.

– Przekaż grupie uderzeniowej, by rozpoczęła odwrót.

– Odwrót? – spytał ostrożnie Pellaeon. Nie takiego rozkazu się spodziewał.

Thrawn spojrzał na niego z lekkim uśmiechem.

– Oczekiwał pan może, że wydam rozkaz zmasowanego ataku? – spytał. – Albo że będę próbował zamaskować naszą porażkę serią szaleńczych, całkowicie zbędnych starć?

– Oczywiście, że nie! – zaprotestował Pellaeon.

W głębi serca wiedział jednak, że jego zwierzchnik zna prawdę. Uśmiech Thrawna ostygł.

– Nie zostaliśmy pokonani, kapitanie – powiedział cicho. – Spowolniono nas tylko. Mamy przecież planetę Wayland, a na niej skarby należące do Imperatora. Sluis Van było dopiero wstępem do kampanii, a nie samą kampanią. Dopóki mamy górę Tantiss, dopóty nasze zwycięstwo jest nadal pewne.

Spojrzał przez iluminator, a na jego twarzy pojawiła się zaduma.

– Utraciliśmy wartościową zdobycz, kapitanie, ale to wszystko, na co możemy się poskarżyć. Nie będę tracił okrętów i ludzi, by zmienić to, czego zmienić się już nie da. Pojawią się inne możliwości, by pozyskać potrzebne okręty. Proszę wypełnić rozkazy.

– Tak jest, admirale – rzekł Pellaeon i pochylił się nad swoim ekranem z ulgą w sercu.

„A więc nie będzie eksplozji gniewu" – pomyślał i nagle z poczuciem winy uświadomił sobie, że od początku powinien się tego spodziewać. Przecież Thrawn nie był zwykłym żołnierzem, jak wielu tych, z którymi służył Pellaeon. Thrawn był wszak

prawdziwym wojownikiem, który dążył ku ostatecznemu zwycięstwu i za nic miał osobistą chwałę.

Kapitan raz jeszcze spojrzał przez iluminator i wydał rozkaz do odwrotu. W myślach zaś ponownie zadał sobie pytanie, czym skończyłaby się bitwa o Endor, gdyby dowodził nią Thrawn.

Rozdział 32

Minęło jeszcze sporo czasu po wycofaniu się floty imperialnej, nim oficjalnie uznano, że bitwa dobiegła końca, ale po zniknięciu gwiezdnych niszczycieli jej rezultat był już przesądzony.

Najłatwiej było uporać się ze szturmowcami. Większość z nich zginęła w chwili, gdy Lando uruchomił kretowierty, a te naruszyły integralność kadłubów przejętych jednostek i wpuściły do środka próżnię. Pozostali polegli w walce. O wiele trudniej poszło z ośmioma ocalałymi szturmowcami z desantu próżniowego. Ich skafandry pozwoliły im na kontynuowanie walki po unieszkodliwieniu statków. Ignorując wezwania do poddania się, szaleli po stoczniach i dokach, najwidoczniej chcąc poczynić jak najwięcej zniszczeń, nim ulegną przewadze obrońców. Sześciu dogoniono i zabito, a dwóch pozostałych dokonało autodestrukcji, przy czym jeden z nich zdołał jeszcze uszkodzić korwetę.

Ginąc, spowodował ogromne zniszczenia na orbicie dokowej oraz w stoczni, a także pozostawił po sobie całą masę poważnie uszkodzonych okrętów wojennych.

– Nie nazwałbym tego wielkim zwycięstwem – burknął kapitan Afyon, przyglądając się temu, co zostało z mostka „Larkhess” przez okno w ściance działowej. Ostrożnie poprawił przy tym opatrunek na czole. – Założenie obwodów kontrolnych zabierze dobrych parę miesięcy.

– Wolałbyś, by Imperium zabrało fregatę w całości? – spytał stojący za nim Han, uparcie próbując uspokoić własne mieszane uczucia. Jego plan wprawdzie zadziałał, ale przyszło im zapłacić wysoką cenę.

– Nie, skądże – odparł spokojnie Afyon. – Zrobiłeś to, co należało, i powtórzyłbym te słowa, również gdybym nie miał w tym własnego interesu. Mówię jedynie to, co usłyszysz od innych. Niszczenie tych wszystkich statków po to, by je ocalić, nie było najlepszym rozwiązaniem.

Han zerknął na Luke'a.

– Jakbym słuchał radcy Fey'lyi – oznajmił.

– Otóż to – rzekł Afyon.

– Na szczęście Fey'lya to tylko jeden głos – stwierdził Luke.

– Ale głośny – powiedział kwaśno Han.

– Do tego stopnia, że wielu ludzi zaczyna go słuchać – dodał Wedge. – W tym dowódcy wysocy rangą.

– Jestem przekonany, że znajdzie sposób, by wykorzystać ten incydent dla własnych politycznych celów – burknął Afyon. – Dajcie mu tylko chwilę.

Han chciał skwitować jego słowa, ale przerwał mu sygnał z interkomu w ścianie. Afyon podszedł bliżej i włączył go.

– Tu kapitan Afyon.

– Sekcja komunikacyjna kontroli orbitalnej – oznajmił głośnik. – Mamy transmisję z Coruscant do kapitana Solo. Czy jest tam z panem?

– Tak, jestem tu – zawołał Han i podszedł do głośnika. – Proszę uruchomić transmisję.

Nastąpiła krótka przerwa, a potem rozległ się doskonale mu znany głos, za którym tęsknił z całego serca.

– Han? Tu Leia!

– Leia! – zawołał Han, czując, jak na jego twarz wypływa zachwycony i zapewne odrobinę niemądry uśmiech. Opamiętał się jednak błyskawicznie, gdy dotarło do niego to, co powiedział pracownik sekcji.

– Zaraz, zaraz! A co ty robisz na Coruscant?

– Wydaje mi się, że zdołałam rozwiązać drugi z naszych problemów – powiedziała Leia.

Z jej głosu, co Han dopiero teraz zauważył, przebijało napięcie, a także odrobina znużenia. Spojrzał na Luke'a.

– Wydaje ci się?

– Słuchaj, to nie jest teraz ważne – powiedziała Leia. – Ważne jest to, byś wrócił na Coruscant. I to natychmiast.

Han poczuł, jak w jego brzuchu rozlewa się coś zimnego i nieprzyjemnego. Nie pamiętał, kiedy Leia ostatni raz była tak wyprowadzona z równowagi.

– Co się dzieje?

Usłyszał, jak jego żona nabiera głęboko powietrza.

– Admirałowi Ackbarowi odebrano rangę głównodowodzącego. W tym dowódcy wysocy rangą.

W pomieszczeniu zapadła głucha, pełna napięcia cisza. Han spojrzał najpierw na Luke'a, potem na Afyona i Wedge'a, ale nie miał pojęcia, co należy powiedzieć.

– Wrócę najszybciej jak się da – powiedział. – Luke też tu jest. Mam go zabrać?

– Tak, o ile jest w stanie znieść powrót na Coruscant – odparła Leia. – Ackbar będzie potrzebował pomocy wszystkich swoich przyjaciół.

– W porządku – rzekł Han. – Skontaktuj się z „Sokołem", jeśli pojawią się nowe wieści. Ruszamy w drogę.

– Do zobaczenia, Han. Kocham cię.

– Ja ciebie też.

Han Solo przerwał transmisję i odwrócił się do reszty.

– Cóż – rzekł, nie kierując swoich słów do nikogo konkretnego. – Klamka zapadła. Wracasz ze mną, Luke?

Ten spojrzał na Wedge'a.

– Czy twoim ludziom udało się zrobić cokolwiek z moim X-wingiem?

– Jeszcze nie. – Wedge pokręcił głową. – Ale znalazł się na samej górze listy priorytetów. Będzie gotów do lotu za dwie godziny, nawet jeśli będę musiał wymontować motywatory z własnego myśliwca.

Luke skinął głową i przeniósł spojrzenie na Hana.

– A więc wrócę na Coruscant na własną rękę – oznajmił. – Ale wejdę jeszcze z tobą na „Sokoła", by zabrać Artoo.

– Dobra, chodźmy.

– Powodzenia! – zawołał za nimi cicho Afyon.

„Tak – pomyślał Han, gdy szli szybko korytarzem w stronę luku, do którego przycumował »Sokół«. – Klamka zapadła. Jeśli Fey'lya i jego stronnicy rzeczywiście naparli zbyt mocno i zbyt szybko… A znając Fey'lyę, niemalże na pewno naparł zbyt mocno i zbyt szybko…"

– Przypuszczalnie znaleźliśmy się na skraju wojny domowej – Luke dokończył myśl za niego.

– Nie pozwolimy, by do tego doszło – rzekł Han z pewnością siebie, której wcale nie czuł. – Nie po to przeżyliśmy całą wojnę, by patrzeć z założonymi rękami, jak jakiś Bothanin z przerostem ambicji niweczy nasz wysiłek.

– A jak go powstrzymamy?

– Coś wymyślimy – odparł z grymasem Han.

Ciąg dalszy nastąpi…

Przekład: Marcin Mortka

Konsultacja merytoryczna: Jacek Drewnowski
Redakcja: Magdalena Adamska
Korekta: Marcin Grabski, Lena Marciniak-Cąkała, Agnieszka Zygmunt / Słowne Babki

Skład: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
ul. Domaniewska 48, 02-672 Warszawa
Tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-6202-3

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
i Michał Latusek / Virtualo Sp. z o.o.